



fabryka słów

# DIABEL LANCUCKI

JACEK KOMUDA





**Jacek Komuda**  
**Diabel Lancucki**

*Lepiej nie żyć, niż szlachcicem nie być  
Lepiej szlachcicem nie być, niż wolności odstąpić.  
Stanisław Stadnicki zwany Diabłem Łańcuckim*

## Rozdział I Prawem i Lewem

Wilczyca w klasztorze Monachomachia u świętej Barbary Krwawy pątnik  
Niespodziewana odsiecz Jacek nad Jackami Bracia Dydyńscy Ich przygody i  
awantury w Tyczynie Jak smakuje pozew Zwada z Przeclawem

W klasztorze Ojców Bernardynów w Przeworsku rozdzwięczały się dzwony na  
tercję. Niski, głęboki dźwięk dobywający się ze spiżowych czasz niósł się daleko nad  
krytymi gontem dachami domów, nad wieżycami bram Łańcuckiej, Kańczuckiej i  
Czabarskiej. Rozbrzmiewał na rynku, gdzie u stóp ratusza, między jatkami i  
chlebowymi ławami, kłębił się różnokolorowy tłum pospólstwa. Był pierwszy  
poniedziałek po Święcie Narodzenia Maryi Panny, dzień targowy, a za cztery dni, na  
Święto Podniesienia Krzyża Pańskiego, zaczynał się jarmark sławny na całą Ziemię  
Przemyską. Dziewięć ulic sławetnego grodu zastawiały zatem wozy, kolasy i telegi,  
konie, woły i wielbłądy. Obładowane belami jedwabiu, miodem, woskiem, przędzą,  
skórami i ciężkimi zwojami żaglowego płótna, które wywożono stąd do Gdańska,  
Wrocławia i Frankfurtu.

Było piękne, ciepłe przedpołudnie. Złota polska jesień pachnąca miodem z barci i  
dymem z pasterskich ognisk na połoninach rozlała się szeroko po brunatnych  
polach; wsiąkła w mgły i tumany nad ścierniskami, w łąki, gaje i dąbrowy okryte  
złotym listowiem. Bracia bernardyni śpieszyli do kościoła na mszę. Postacie w  
brązowych habitach przemykały między krzakami róży, bzu i jaśminu w klasztorным  
wirydarzu, powoli wyłaniały się z krużganków i dormitorium. Mnisi zbierali się u  
ciężkich dębowych wrót prowadzących do kościoła Świętej Barbary, chcąc  
gromadnie wkroczyć do głównej nawy, pozdrawiali się w mowie znaków, żegnali,  
mruzcili modlitwy. Słońce przygrzewało, rozświetlało stare, sklepione krużganki  
obrośnięte dzikim winem aż po dach okryty poczerniałym gontem.

I wtedy ogromna brama wirydarza rozleciała się na kawałki. Huk wstrząsnął  
budynkami klasztoru; z dachu dormitorium posypały się dachówki, a z poczerniałych  
sterczyn kościoła zerwało się z łopotem stado białych gołębi. Podmuch eksplozji  
wyrzucił w górę wyłamane deski, potrzaskane bale, rozwarł oba skrzydła wrót,  
sypnął zakonnikom w twarze płonącymi resztkami drewna. I zanim którykolwiek z  
braci zdołał wyszeptać zbielełymi wargami: *Miserere nobis*, przez wypełnioną po  
wybuchu petardy kwaśnymi dymami bramę do klasztoru wpadli z krzykiem i  
pohańskim hałakowaniem wąsaci szlachcice w deliach, żupanach, kolczugach,  
kołpakach i bechterach.

Najeźdźcy skoczyli konno przez krużganki, runęli do wirydarza jak tatarski zagon,  
tratując krzewy, dzikie róże, wywracając skrzynie i drewniane rynny z kwieciem;  
dopadli do osłupiałych mnichów jak głodne wilki. Żegnali bernardynów do kupy, niby  
kierdel przerażonych owiec, nie szczędząc nahajek i bizunów. Bez krztyny litości

okładali braci obserwantów rękojęściami obuszków i czekanów, płazami szabel i nadziejami. Tych, którzy zamarudzili w dormitorium, spędzono kopniakami, krzyżąc, wyklinając od matek i miłośników kóz. Braciszkwowie byli przerażeni. Kilku młodych nowicjuszy załkało, najstarsi rzucili się na kolana, szepcząc modlitwy.

–Cóż to ma znaczyć, bracia? – zagrzmiął brat Błażej, najmniej bojaźliwy ze zgromadzenia, bowiem zanim przyjął zakonną suknię, służywał wojskowo pod królem Stefanem i Janem Zamoyskim. Niegdyś był z niego sławny burda i zawadiaka; niejednemu zawałodrode podciął węża lub złożył na podgolonym łbie zamaszty podpis ostrą szabelką. – Cóż czynicie w imię Boże, panowie szlachta?! Dlaczego nas jak pohańcy zajeżdżacie?!

–Stul gębę, klecho! – huknął posiwiały szlachcic w kolczudze i poszczerbionym szyszaku. Część braciszków od razu rozpoznała w nim pana Atanazego Toporowskiego, swawolnika i warchoła, który dla fantazji zwykł tytułować się „panem rotmistrzem”, choć w wojsku kwarcianym nie dosłużył się nawet namiestnika w najpodlejszej chorągwi wołoskiej. – Ty się lepiej módl o zdrowie. – Pan Atanazy splunął na grządki. – Nie przyjechaliśmy tu na różańce!

–Dość gadania!

Z gromady szlachty wyjechał młody szlachcic na siwym rumaku. Pysk konia opięty był złotą tranzelką z forgą i pióropuszem pawich piór osadzonych w trzęsieniu nabijanym perłami, grzbiet zaś nakryty wzorzystym tureckim czaprakiem. Długą grzywę miał zaplecioną w warkocze.

Brat Błażej zerknął na jeźdźca i zrozumiał, że się pomylił. W kulbace nie zasiadał młody panicz, ale panna. Zakonnik prędeż spodziewałby się Belzebuba albo bezbożnego Lutra przychodzącego, aby porwać do piekła niewinne polskie duszyczki, niż niewiasty. Możej pani odzianej po szlachecku, w żupan ze złotogłowiu i kołpak z rysiego futerka, ozdobiony czaplami piórami, spod którego wymykał się długi, ciężki czarny warkocz. Jej piękne błękitne oczy były zimne niby dwa sopte lodu. Panna siedziała w siodle po męsku, przy boku miała szablę, w olstrach pistolety. Jednak najbardziej zwracała uwagę jej szczupła kibić i żupan opinający ściśle – a może nawet zbyt ściśle – dwa zacne i rozfiglowane pagórki, równie krągłe co kopuły na zwieńczeniach cerkwi brackiej w Poczajowie. Na ich widok, zapewne z przyrodzonej skromności, większość braci konwersów i nowicjuszy czym prędeż spuściło wzrok. Nie poruszył się tylko brat Błażej, gdyż, jako się wyżej rzekło, był najodważniejszy, oraz brat Bazyli, który do klasztoru wstąpił, by odpokutować za grzechy młodości. Przed laty bowiem taki był z niego birbant i jebaka, że żadnej pannie nie przepuścił, choćby była ślepa, kulawa czy garbata. A mówiono nawet, że przyjął habit dopiero wówczas, kiedy czart chciał niecznie zażyć go do sprośnej i bezbożnej tureckiej miłości. Co było jasnym i wyraźnym ostrzeżeniem z nieba, iż czas już zerwać z rozpustą i pomyśleć o zbawieniu.

Przed mnichami stała panna Anna Łahodowska, zwana przez krewnych i sąsiadów krótko i zwięźle Wilczycą. A to dlatego, iż w ciągu ostatnich dziesięciu lat nazbierała na swym wdzięcznym karku bodaj więcej infamii i banicji niż przesławny

**Samuel Zborowski, święty na Wawelu za króla Stefana, dorobił się przez całe życie.**

**–Nadstawcie uszu, popy! – warknęła Wilczyca. – My tu nie po odpusty, nie z datkiem, tedy dwa razy nie będę strzępiła języka. Przysyła mnie pan starosta zygwulski względem bakszyszu, którego wasz klasztor nie zapłacił.**

**–To zajazd! Gwałt! – zahuczał brat Błażej. – To jest Dom Boży, którego spokój waćpanna naruszyłaś! I powiadam ci, niewiasto, że za to wszystko będziesz przed sądami odpowiadać! Opamiętaj się, porzuć pychę, w pokorze do bramy zakołataj! Męskie szaty zdymaj, grzesznico! Nie przystoi niewieście na koniu z szablą paradować, zamiast kądzielą się bawić!**

**–Tu jest miasto i klasztor Jaśnie Oświeconej księżniczki Zofii Ostrogskiej, a nie folwark pana starosty zygwulskiego! – zakrzyknął Bazyli. – My pod księżęcą opieką!**

**Łahodowska dała koniowi ostrogi tak mocno, że rumak skoczył w tłum zakonników. Bracia mendykanci rozpierzchli się w panice na boki, a Błażej niespodziewanie znalazł się oko w oko z rozjuszoną Wilczycą.**

**–Pani Zosieńka Ostrogska daleko – rzekła szyderczo Łahodowska – a pan starosta blisko, zaraz za miedzą. I dlatego radzę go wysłuchać, a na księżniczkę Zosieńkę, wieczną dziewicę, nie zważać. Panu staroście krzywda się dzieje z waszej sprawy! Kto brał drzewo z lasów pod Rakszawą? Wy! Kto przesuwiał kamienie graniczne? Wy! To teraz płacie bakszysz. Świętemu Franciszkowi nie trzeba talarów w przeorskiej skrzyni! On żył z ptaków i datków, z ludzkiej litości, a nie z obdzierania sąsiadów!**

**–To wszystko podle kłamstwa! – rzucił brat Atanazy, klucznik. – Nikt z nas nigdy nie splamił się kradzieżą!**

**–Na kolana, grzesznico! – huknął znowu brat Błażej. – Jesteś w miejscu Bożym. Klauzurę łamiesz, bo tu niewiastom wstęp zabroniony!**

**Wilczyca roześmiała się lodowato. To wystarczyło, aby zakonnicy natychmiast umilkli.**

**–Pan starosta wie dobrze, że gorsi z was dusigrosze niż Żydzi łańcuccy – rzekła, bawiąc się końcówką warkocza. – Dlatego łaskę wam okazał i dał czas na zapłatę do Święta Matki Boskiej Zielnej. Ale pieniędzy nie daliście. Pytam was tedy po dobroci i po raz ostatni. Zapłacicie?**

**Mnisi spojrzeli po sobie. Brat Błażej zacisnął pięści. Miał już tego dosyć.**

**–Prędej wieloryb przejdzie przez ucho igielne – warknął – niż od nas, mościa panno, chociażby jednego talara zobaczysz!**

**Zacisnęła wargi ze złości. Jej ciężkie, krągłe piersi zafalowały niebezpiecznie pod cienką tkaniną żupana.**

**–Mości Toporowski! Naucz te golone pałki pokory!**

**Pan rotmistrz skinął na ponurego szlachcica z przetrąconym nosem. To był Fedio, najstarszy z siedmiu braci Żurakowskich, znanych zawalidrogów i wichrzycieli, którzy zwykle przewalali się po karczmach Ziemi Przemyskiej i Sanockiej, wzniecając burdy i pojedynki. Ostatnio wślawili się zdradzieckim usieczeniem niejakiego Żołądzia, zajazdem na dwór pana Głębckiego, spaleniem dwóch karczem pod Lwowem i kilkoma innymi uczynkami, z których każdy wart był roku dolnej wieży na**

zamku przemyskim. Dwóch najmłodszych przyjechało do Przeworska na zajazd razem z Wilczycą, starsi leczyli rany po jakiejś zwadzie, średni zaś Żurakowski pokutował sromotnie w Gelazynce na lwowskim ratuszu za zwadę i strzelaninę, którą urządzili w karczmie razem z panem Niemirylichem, paląc do Żydów z półhaków i przybijając mieszczan za brody do stołów dla swej szlacheckiej fantazji.

Żurakowski podniósł w górę ceber z wodą, wydobył z niego długi skórzany bicz i potrząsnął, strącając deszcz srebrzystych kropel na głowy zakonników. Jego pacholek zeskoczył z konia, a potem cisnął na ziemię wzorzysty ormiański kilim.

–Każdy wasz występek zostanie osądzony i ukarany – mruknęła Wilczyca. – Skoro nie chcecie płacić, tedy wasz gwardian tu, na dziedzińcu, dostanie pięćdziesiąt odlewanych prosto na gołą rzyć. A potem kolejno – klucznik, kwestarze i tak aż do najmniejszego braciszka. Chyba że bakszysz zobaczę!

Bernardyni zaszemrali, skulili się.

–A ty, dziadu – warknęła panna, napierając koniem na Błażeja – weźmiesz jeszcze dziesięć. Za to, żeś mnie do kądzieli wysyłał! Sprawię ja ci taką kądziel, popie, że do sądneho dnia panią Łahodowską popamiętasz!

–Gdzie jest brat Mikołaj z Radomia?! – Toporowski rozglądał się po tłumie zakonników, szukając siwej brody przeora. – Dawać tu gwardiana, klechy!

Bernardyni zaszemrali, zbili się w gęstą gromadę, przywarli do ciężkich, zamkniętych wrót i ceglanej ściany kościoła.

–Chwalmy Pana, bracia! – zagrział Błażej. – Niechaj nas broni Matka Boska i Jezus Chrystus jako Panienkę Przenajświętszą przed sprośnym Turczyńcem! Trzymać się w kupie, z szeregów nie wychylać! Choćby Sąd się zaczął, nie ustępujcie, proszę!

–Panie Toporowski, rozgoń, waszmość, tę hołotę!

–Służba, pani pułkownikowo! – huknął samozwańczy rotmistrz. A potem skoczył konno prosto w największą ciżbę zakonników, wspomagany przez braci Żurakowskich, Nietyksę, Zagwojskiego i pacholek. Jeśli bernardyni zamyślali o stawianiu oporu do dnia Sądu, to ów koniec świata właśnie nadszedł. W klasztornym wirydarzu rozpętało się piekło. Konie brygantów i swawolników wpadły w tłum niby rumaki Jeźdźców Apokalipsy, roztrącając braci, tratując i obalając na ziemię. Na głowy, karki, twarze, na ręce, którymi się osłaniali, spadły nahaje, ciosy obuszków i czekanów. Brat Atanazy legł pod kopytami, zajęczał, gdy stratowały go podkowsy; brat Błażej porwał za drewniany krucyfiks, huknął nim w bok najmłodszego z Żurakowskich i zaraz zwałił się pod ciosem nadziaka Zagwojskiego. Widząc klęskę jedyne go obrońcy i Hektora przeworskiego, braciszkanie rozpierzchli się, przemykając pod brzuchami koni, uchodząc przed rozsierzdzoną szlachtą i pacholekami; niektórzy rzucili się na ziemię, inni padli na kolana, płacząc, modląc się i prosząc o łaskę.

Toporowski i Zagwojski wrzasnęli z tryumfem, kiedy wywlekli spośród kłębowiska brązowych bernardyńskich habitów siwobrodego starca w kapturze, który spadł mu z głowy, odsłaniając długie białe włosy ze starannie wygoloną tonsurą.

–Niech będzie pochwalony na wieki wieków, ojciec Mikołaju. – Wilczyca aż

klasnęła w ręce. – Dawać go na kilim!

–Poniechaj mnie, siostró – rzekł stary gwardian. – Nie bierz na barki występku, albowiem niezbadane są wyroki Opatrzności...

–Będziesz mnie błagał, jak przeżyjesz! – warknęła w odpowiedzi Łahodowska. Żurakowski i Toporowski z okrutnym uśmiechem powlekli starca ku kilimowi. Węgierski sabat z bizunem czekał już na nich, szczerząc w uśmiechu żółte zębiska, poszczerbione jak blanki na przemyskim zamku po najeździe ordy.

–Będę się modlił za twoje grzechy, córko! – rzekł spokojnie gwardian. – W intencji, abyś zrozumiała, jak zbłądziłaś!

Swawolnicy rozdarli habit na plecach starca, przygięli mu głowę do ziemi.

–Lepiej módl się za pięćdziesiąt odlewanych. Czerlony bił cię będzie – panna wskazała sługę z batem – a on za każdym uderzeniem kawałki mięsa wyrывa. I będziesz miał nauczkę, aby nie zadzierać z mości starostą zygwulskim! Niechaj ci Pan Bóg da silną wolę, bo inaczej w niebiesiech z Panią Śmiercią zatańczysz!

–A może najpierw ja z waćpanną potańczę?!

To nie był głos gwardiana ani żadnego z zakonników. Łahodowska przygryzła koniec warkocza, wstrząsnęła głową jak młoda klacz, która zwietrzyła ogiera, potoczyła wzrokiem po pobitych, rannych lub modlących się mnichach.

We wrotach prowadzących do kościoła Świętej Barbary stał przygarbiony człowiek. Był potężny, zwalisty jak katedra krakowska, ubrany w czarną włosienicę i kukullę. Nie wyglądał na szlachetnie urodzonego pana brata ani miejskiego łyka – po stroju sądząc, można go było wziąć za klasztornego sługę, pątnika albo członka bractwa. Nie miał szabli ani safianowych butów, jednak trzymał się prosto i dumnie, a posiwiaty łeb podgalał po szlachecku. Na głowie przewiązaną miał chustę zasłaniającą lewe oko i dużą bliznę na czole. W sękatym łapsku dzierżył dębową lagę – daleko grubszą i dłuższą niż kostur, na którym wspierały się proszalne dziady, franci, szelmy i żebracy, jakich pełno było na gościńcach, jarmarkach oraz odpustach Ziemi Przemyskiej. A kiedy ruszył w stronę Wilczycy, bryganci dostrzegli, iż nie miał prawej stopy; jego noga kończyła się drewnianą, okutą żelazem kulą.

–Waćpanna zostaw ojca Mikołaja – rzekł groźnym głosem, zaciągając z ruska niektóre słowa, jakby wrócił właśnie z Ukrainy. – A wy, drapichrusty – zerknął z pogardą na resztę zbójckiej kompanii – dymajcie na gościniec, pókim dobry. Do kurew i karczmy. Tam wasze miejsce, psie syny. Słyszycie, com mówił, fajdanisy? Zbierać dupy w troki i hajda stąd, kiernozy niechrzczone!

Gdyby święty Stanisław zstąpił z nieba i osłonił klasztor przed zajezdnikami, nie uczyniłby chyba większego wrażenia na swawolnej kompanii niż ten ponury zawalidroga. Nikt nie porwał za szablę, żadna dłoń nie wyciągnęła się w stronę rękoności czekana czy pistoletu.

–Panie Toporowski – mruknęła Wilczyca – ucisz, waszmość, krzykacza, bo nam w ceremonii przeszkadza.

Nieznajomy szedł już ku nim, kołysząc się na metalowym kulasie. Kij trzymał w obu rękach, przed sobą. Rotmistrz nawet nie pofatygował się osobiście. Skinął na starszego Żurakowskiego. Ten popędził konia, doskoczył do intruza. Pogardliwy



uśmiech wykrzywił jego wargi. Zamierzył się zwykłym biczem, chlasnął pielgrzymą przez łeb, z zamachu...

Przeciwnik wyciągnął lewą rękę, schylił się lekko. Bat spadł nań jak wąż, przecinając ze świstem powietrze, owinał się wokół jego ramienia, chlasnął w twarz. Pielgrzym chwycił go bez trudu, szarpnął i jednym ruchem wyrwał z ręki jeźdźca.

Żurakowski wrzasnął, omal nie wyleciał z kulbaki. Gruba dębowa laga zafurkotała w rękę nieznanego, trafiając jednym końcem Fedia prosto w podgolony łeb, rzuciła jeźdźcem wstecz, na tylny łęk kulbaki. Czarny pątnik cofnął laskę, chwycił ją oburącz i nim ktokolwiek zdołał coś uczynić, pchnął z całych sił wprost w żywot napastnika.

Cios był tak mocny, że zmiotł szlachcica z konia. Podniósł się krzyk, gdy brygant poleciał w tył, spadł między drewniane skrzynie z ziemią, rozwalił je od impetu, przeturlał się po świeżej kupie końskiego nawozu. Przeciwnik doskoczył doń, wbił kij pionowo, celując w pierś, wszyscy usłyszeli, jak chrupnęły łamane żebra. Żurakowski wrzasnął, zacharczał, krew pociekła mu z ust, a potem opadł na bok i znieruchomiał, oznajmiając wszystkim ostatnim jękiem, że żarty i krotochwile właśnie się skończyły.

Kompania pani Łahodowskiej porwała za szable. Ostrza wyskoczyły z pochew ze świstem, zalśniły w słońcu.

–Słyszeliście, co mówiłem – zagrzemiał pielgrzym – czy gorzałka wam na uszy padła?! Po żydowsku mam do was gadać? Czy po tatarsku, skoro po ludzku nie pojmujecie? A może uszy wam wygarbować, abyście zrozumieli, że nic tu po was?!

–Mości panowie! – krzyknął Toporowski. – Bij, kto cnotliwy!

Skoczyli na samotnego męża z krzykiem i wrzaskiem. Nieliczni bernardyni, którzy pozostali jeszcze w wirydarzu, rzucili się na boki, niektórzy ledwie uszli spod kopyt, potrąceni przez wierzchowce, odpędzani płazami szabel.

Toporowski pierwszy dopadł nieznanego. Uniósł się w strzemionach do cięcia szablą, zamierzył z zamachu, aby rozrąbać siwy łeb zawadiaki.

Nie zdążył... Szybko jak błyskawica pątnik rzucił się w bok, pomimo drewnianej nogi przeturlał tuż przed kopytami rozpędzonego konia, a potem uderzył z całych sił – prosto w przednie nogi wierzchowca. Polski koń zarżał, gdy dostał dębową lagą po pęcinach, zerwał się do skoku, potknął, a potem zwałił na pysk, w pył i piach wirydarza. Padając, przygniół jedną nogę Toporowskiemu. To wystarczyło. Kij zafurkotał w rękach intruza, gdy błyskawicznym ciosem uderzył rotmistrza w potylicę, poprawił po krzyżu, a potem chwycił za kark, poderwał w górę i z całej siły walnął czołem szlachcica w zdobioną srebrem kulę przedniego łęku. Rotmistrz krzyknął, wypuścił z ręki szablę i padł na bpk, a jego koń po chwili zerwał się, powłókł go na strzemieniu poprzez krzaki bzu i dzikiej róży.

A na pielgrzymą spadła reszta kompanii.

Nieznanomy uchylił się, sparował dębową lagą cięcia szabel Żurakowskich, Zagwojskiego i pacholków Łahodowskiej. Zagwojski zaatakował ponownie, lecz palce pątnika ścisnęły mu lewe ramię niczym kowalskie obcęgi. Brygant wrzasnął, zamierzył się, ale nim zdążył zadać cios, przeciwnik zmiażdżył mu rękę w uścisku. Kości trzasnęły w jednej chwili, szlachcic zleciał na ziemię i runął do stóp nieznanego, aż gruchnęło. Wypuścił broń i zdrową, prawą ręką sięgnął po kindżał.

Ruchem tak szybkim, że wprost trudno było zauważyć, pielgrzym uderzył go kijem pod brodę, aż trzasnęły łamane zęby. Zagwojski padł na plecy, miotał się, dygotał i jęczał, dopóki pielgrzym nie uspokoił go przyjacielskim kopnięciem w ucho, zadany żelaznym kulasem zastępującym mu prawą stopę.

Bryganci opadli intruza ze wszystkich stron. Żurakowscy konno, a pacholkiwie pieszo. Czarny nieznajomy zasłonił się furkocącą lagą, umknął spod ostrzy i zaczął bić.

Szeregi swawolników topniały szybciej niżli kwietniowy śnieg na szczytach Bieszczadu.

Jak wystrzelony z procy wyleciał z kłębowiska walczących jeden z Żurakowskich. Któryś pacholek padł ze strzaskaną nogą i rozwalonym łbem. Wreszcie zwałił się potłuczony, pchnięty w żywot Czerleny, a kolejny czeladnik Łahodowskiej zajęczał i począł wypluwać zęby do kałuży.

Pątnik skulił się, przemknął pod brzuchem konia najmłodszego z Żurakowskich, mimochodem uderzając wierzchowca w słabiznę. Rumak stanął dęba, zarżał i nim jeździec zdołał go opanować, przeciwnik rąbnął szlachcica w kark samym końcem kija, poprawił w krzyż, a potem jeszcze raz w łeb. Żurakowski zleciał na ziemię, padł na twarz; zerwał się utyłany w gnoju, a wtedy wróg położył go szybkim pchnięciem.

W wirydarzu zapadła cisza przerywana jękami rannych, modlitwami mnichów, rzeniem koni i stukotem kopyt. Czarny pielgrzym postąpił w przód, kierując się tam, gdzie przy wejściu na klasztorne krużganki czekała nań Wilczyca. Uśmiechała się lodowato, niemal nie zwracając uwagi na pobitą czeladź, na dygocących i miotających się we krwi rannych. Na krew, stratowane krzaki, porozbijane skrzynie z ziemią, podeptane kwiaty, połamany krzyż i gwardiana Mikołaja, który spoglądał na pobożowisko przerażonym wzrokiem.

–Stój!

Pielgrzym szedł prosto na Wilczycę, ponury, zawzięty. Krew z rozciętego łba plamiła mu lewy policzek, skapywała na porwaną Włosienicę.

Łahodowska mierzyła doń z pistoletu. Zamek był nakręcony, kurek spuszczoney. Śledziła go spod zmrużonych powiek, spod długich, pięknych rzęs. Powoli poczęła zginać palec na spuście.

–Odejdź stąd, niewiasto! – warknął gniewnie. – Daruję cię zdrowiem, jeśli odfruniesz, sikoreczko.

–Kim ty jesteś?! – spytała, jakby dopiero teraz dotarło do niej, co się stało. – Skąd się tu wzięłeś?!

–Dla ciebie, Wilczyco, jestem wcielonym diabłem.

–Więc idź do piekła!

Pociągnęła za spust. Sprężyna trzasnęła, obracając krążkiem, a wtedy...

Szybko jak błyskawica cisnął lagą! Ogień z lufy błysnął mu tuż przed oczyma, kula świsnęła nad ramieniem, tuż obok ucha, gorące drobinki prochu trysnęły w twarz. Obłok prochowego dymu spowił na krótką chwilę postać pątnika.

Łahodowska chwyciła za szablę. Lecz nim zdążyła zrobić z niej użytek, mocna dłoń chwyciła za czanki przy munsztuku jej wierzchowca, a potem gwałtownym

ruchem poderwała je w górę.

Natolijczyk zarżał i stanął dęba. Wilczyca utrzymała się w kulbace i popuszczając wodze, podniosła broń do cięcia...

Za wolno!

Czarny bez trudu chwycił ją za uzbrojoną rękę i popchnął w tył, wyłuskał z kulbaki jak dziecko. Łahodowska upadła na wznak, uderzając głową i plecami o kamienną kolumnę podtrzymującą strop ganku klasztornego wirydarza. Chciała się zerwać, lecz nie dał jej szansy. Przyskoczył bliżej, zwinnie i szybko jak ryś, chwycił za gardło i z rozmachu uderzył otwartą dłońią w twarz. Cios był tak silny, że odrzucił na bok głowę Wilczycy. Łahodowska krzyknęła, a potem jej oczy powlekły się bielmem.

Minęła długa chwila, nim pobici i potłuczeni bracia zdołali zebrać się do kupy. Nowicjusze i konwersi rzucili się do dygocącego z przerażenia gwardiana, podnieśli go z ziemi. Jedni krzyczeli z radości, inni modlili się, płakali ze szczęścia. Szybko opatrzono poturbowanych braci Błażeja i Atanazego, zaczęto ich cucić, posłano po medyka.

Mikołaj z Radomia pierwszy odzyskał zimną krew. Rozejrzał się po zrujnowanym wirydarzu, spojrzał na pobitych, jęczących i znieważonych swawolników, a potem wsparty na ramieniu jednego z nowicjuszy ruszył tam, gdzie stał ów nieznajomy pątnik, salwator i wybawiciel zakonu braci od świętego Bernardyna. Braciszkanie klasztorni cisnęli się za gwardianem – wszyscy wpatrzeni w pielgrzyma jak w obraz Rafała z Tarnowa, fundatora klasztoru, przed którym zgodnie z jego ostatnią wolą codziennie dorzucali do uzbieranych przez niego jakichś dwóch milionów czterystu tysięcy odpustów kolejne zdrowaśki i ojczenasze.

Gwardian miał pochmurną, zafrasowaną twarz, kiedy zatrzymał się tuż przed nieznajomym.

–Znam cię, bracie – rzekł. – Byłeś u mnie na spowiedzi. Ale na mszę nie przyszedłeś...

–Nie dajcie mi rozgrzeszenia, ojcze – rzekł zapytany ponuro. – Dopóki to nie nastąpi, nie przestąpię progu waszej świątyni.

–Jeśli myślisz, że po tym wszystkim, coś tu sprawił – gwardian rzucił okiem na pobitych, jęczących zajezdników – odpuszczę ci grzechy równie łatwo, jak daruję nieposłuszeństwo małemu dziecku, to jesteś w błędzie większym niż ta wieża u Świętej Barbary! Cóżeś najlepszego uczynił, synu? Do starych złych uczynków dodałeś nowe!

–Miałem czekać, aż usieką was na śmierć, ojcze gwardianie?

–Czy wiesz, że rozprawiając się z tymi oto swawolnikami, uczyniłeś większe zło, niż gdybyś pozwolił nas wychłostać? Starosta zygwulski nigdy nie wybaczy takiej zniewagi. Będzie nas najeżdżał, zasypywał pozwami. Powiedział Pan: *Nie sprzeciwiajcie się złemu. Owszem, kto by cię kolwiek uderzył w prawy policzek twój, obróć mu i drugiego. A kto by cię gwałtem przymuszał na jedną milę, idź z nim dwie.* Jak chcesz odkupić swe winy, bracie Gedeonie, skoro nie ma w tobie ani krzty pokory?!

Pątnik spuścił głowę, zgarbił się, słysząc słowa gwardiana.

–Dzięki za naukę, ojcie Mikołaju – mruknął. – Jak miemam, gdy starosta przyśle tu znowu swoich pacholów, spróbujecie zawrócić ich oracjami i hymnami ku Bożej chwale. Domyślam się, że chcielibyście zostać świętym Florianem albo błogosławioną Agnieszką. Ja jednak się boję, że prędzej pisany wam los świętego Stanisława ze Szczepanowa. Tyle że zamiast z obciętymi członkami skończycie z połamanymi kulasami.

Zakonnik przeżegnał się.

–Wybaczcie, ojcie Mikołaju – mruknął pielgrzym. – Kiedy widziałem, że chcą was jako lada chłopu u pręgi osmagać, nie mogłem znieść takiej nikczemności. Ja nie chcę nagrody ani zapłaty za to, że was uchroniłem od złego losu. Ale liczyłem choć na dobre słowo. Nic więcej. Wybaczcie, bo jak powiadają – nadzieja matką głupich, a ja już nawet nie głupi, ale szalony jestem.

–Ze wszystkich ludzi w tym miejscu – rzekł gwardian – ja znam o tobie prawdę. I rzeknę ci, że nie uczyniłeś tego dla zapobieżenia nikczemności, ale dla prywatnej zemsty, która spala twą duszę. Albowiem wyszedłeś dopiero wtedy, gdy usłyszałeś, że to sprawa ze starostą zygwulskim!

–Tak, ojcie. – Pątnik spuścił wzrok.

–I dlatego nie dałem ci rozgrzeszenia, mój synu. Miłuj bliźniego swego jak siebie samego. Odpuść wrogom. A kiedy to uczynisz, wróc do mnie, a ja dopuszczę cię do świętej komunii.

–Ostańcie tedy z Bogiem!

Pielgrzym starł krew z czoła, odtrącił bernardyna, który przypadł doń z naręczem szarpi, i wspierając się na kosturze, ruszył w stronę bramy. Mnisi rozstępowali się przed nim, odprowadzali go zdumionymi spojrzeniami, żegnali krzyżem. Nie zwracał na nich uwagi. Szedł wolno prosto do krużganka, a potem w stronę placu przed głównymi wrotami kościoła. Gwardian uczynił znak krzyża.

–Bracie Mikołaju! – jęknął Błażej. Dwaj konwersi prowadzili go pod ramiona, pomagali tamować sączącą się z rozbitego łba, plamiącą tonsurę i habit krew. – Dlaczegoście go odprawili? Toż to nasz wybawiciel!

Ojciec Mikołaj odwrócił się w jego stronę. Błażej ujrzał jego pobladłe oblicze i płonące gorączką oczy.

–To diabeł – rzekł ponuro Mikołaj. Bernardyni zadrżeli, stojący najbliżej zakonnicy przeżegnali się, spojrzeli z lękiem w stronę oddalającego się nieznanego.

–Uprzątnijcie wszystko – wyszeptał gwardian. – Rannych do infirmerii i opatrzcie. A potem przynieście mi kropidło. Trzeba oczyścić to miejsce.

\* \* \*

Wjechali w wąskie, zastawione wozami i kolasami uliczki Tyczyna, gdy zegar na drewnianej ratuszowej wieży zaczął wybijać południe. Przybyli w sześciu – wszyscy przy szablach, półhakach, bandoletach i z bojowym moderunkiem, jakiego próżno by szukać nawet wśród towarzystwa chorągwi kwarcianych. Odziani w pyszne żółte i karmazynowe delie, na których jeden guz zdawał się być wart więcej niż cały zaścianek sanockiej szlachty-hołoty. Jechali rysią w lśniących kolczugach i karwaszach, futrzanych kołpakach; w bechterach nakrytych skórmi lwów i

lampartów. W ferezjach, z których najmniej strojna narzucona na grzbiet hołysza od razu uczyniłaby z niego jaśnie oświeconego pana brata.

Na ich widok cichły rozmowy, miejskie łyki ustępowały z drogi, a chłopci zginali się w ukłonach, gniotąc w spracowanych dłoniach futrzane czapy i filcowe magierki. Szaraczkowie wystający przy wyszynkach, beczkach z piwem i kotłach z kaszą odwracali głowy, udając, że szukają utraconej mądrości na dnie kufla. Franci i szelmy nagle zaczęli być ciekawi, cóż takiego płynie w tyczyńskich rynsztokach, a miejskie zawalidrogi kryli się w bramach, przemykali podsieniami drewnianych domów. Żydzi łapali się za brody i pejsy, zamykali okna, kobiety wciągały do domów dzieci. Jedynie sławny burda, paliwoda i wichrzyciel Marcin Kramarz szarpnął ze złością za złotego guza swojej bekieszy. Ale nawet on nie szukał zwady z jeźdźcami, których wyczyny, a raczej wybryki, nie od dziś znane były mieszkańcom Tyczyna.

–To oni sami – krążyły trwożliwe szeptu wśród mieszczan i szlachty. – Dydyńscy! Na kogóż dzisiaj parol zagieśli? Zwada będzie! Już krew czuć! Skoro podpiją, zaraz zabiją! Jezusie Nazareński! Spasi Chryste!

Niewiele robiąc sobie z ludzkiej opinii, spoglądając szyderczo na mieszczan, a pobłażliwie na szlachtę, uśmiechając się oraz podkręcając węża na widok wymalowanych ladacznic i przechodek, bracia Dydyńscy dojechali do rynku. Tu właśnie, pod straganami, na których przekupnie prezentowali wełnę sprowadzoną z Krakowa dla miejscowych tkaczy, czekał na nich ubogi szlachetka z szabelką przy boku. Był młody, zawiadycki, a chociaż jego żupan wyglądał jak wyciągnięty z trumny pradziada, spoglądał na świat bystro, dumnie i hardo.

–Panom Dydyńskim cześć i sława! – zawołał.

–Czołem, bracie Przeclawie! – rzekł jadący na czele Jacek Dydyński, najstarszy z braci, zwany przez wzgląd na swoją bitność i wojenne podstępny Jackiem nad Jackami. – Jakże tam, udał się fortel?

–Siedzi w alkierzu i nawet nosa za próg nie wystawi.

–A czeladź?

–Pijana jak świnie. Jam to, nie chwaląc się, sprawił. – Przeclaw Dydyński podkręcił węża. – Oplacało się za szaraczka przebrać i zdrowie chamów pić. Dwóch pacholków zostało na warcie, ale i ci pod dobrą datą.

–A nie dowiedział się, że przyjechaliśmy?

–On teraz, bracie, co innego ma do roboty – uśmiechnął się tajemniczo Przeclaw.

– Sam zobaczysz. Zapewniam, że nieprędko skończy. Jeśli w ogóle skończy!

–Z koni, bracia! – zakomenderował Jacek nad Jackami.

Dydyńscy zeskoczyli z kulbak i terlic. Ruszyli do szynku u Matiasza Połuby, zwanego szumnie Wiedniem, chociaż mieszkańcy Tyczyna od dawna już określali go krótką i wdzięcznie brzmiącą nazwą Mordowni. Szybko wkroczyli pod omszałe przypory drewnianych podsieni ozdobionych wyschniętym, poszczerbionym wieńcem – znakiem, który ściągał pijaniców i moczygębów równie skutecznie co zapach świeżego mięsa muchy i bąki.

Szynk Połuby nie był karczmą zajezdną, więc drzwi nie prowadziły do sieni, ale od razu do głównej izby gospody. Dydyński porwał za swą czarną szablę. Z krótkim,

**złowróbnym świstem ostrze wyskoczyło z pochwy. A potem kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do karczmy razem z braćmi.**

**Nikt nie poderwał się z ław na widok uzbrojonych gości. Nikt nie chwycił za szablę czy czekan. Nikt nie strzelił...**

**Wnętrze karczemnej izby oświetlonej kagankami, świecami i migotliwym blaskiem ognia płonącego w grabie wyglądało niemal jak pobożowisko. Drugi Kircholm, jak mógłby rzec Jacek Dydyński, były towarzysz chorągwi husarskiej pana hetmana Chodkiewicza. Jednak zamiast Szwedów na ławach i stołach leżeli pijani czeladnicy i pacholki, hajducy i sabaci, a wokół nich poniewierały się ogryzione kości, drewniane kufle, cynowe puchary do wina, resztki chleba, misy z kaszą, poprzewracane konwie i antaiki.**

**Dydyński nie poświęcił pijanym pacholarzom więcej uwagi co kurom umykającym w kąty izby. Od razu ruszył ku drzwiom do alkierza, przy których stała straż – dwóch rosnących hajduków w krasnych żupicach i szarawych deliach. Ci byli jeszcze na nogach – nie wiadomo, czy wypili mniej, czy też z większą powagą traktowali swoją służbę. Zamiast, jak pozostali, tarzać się w nieczystościach, kiwali się sennie i ożywili dopiero wówczas, gdy Dydyńscy byli o krok.**

**–To ty... Hryčko? – wydukał jeden z nich, nieco zdumiony pojawieniem się braci. – A co ty... taki wysoki?**

**–Pan Trojecki w alkierzu? – zapytał Jacek nad Jackami. Na razie grzecznie i bez nalegania.**

**–Troje...ssssski... nasz pan... tak, tak... – wymamrotał drugi, bardziej widać zamroczony niż pierwszy. – Do alkierza... nikomu nie lzia... Pan zakasssał.**

**Uniósł na wysokość oblicza brudny palec wskazujący, po czym pokiwał nim smętnie w prawo i w lewo.**

**–Puszczaj, chamie, a daruję cię zdrowiem!**

**–Pan powiesssał... – wymamrotał pijany – coby drzwi bronić, gdyby Dydyssscy przyszli...**

**–A więc brońcie!**

**Dydyński odtrącił rękę sługi i wałnął go rękojeścią szabli w łeb. Hajduk szarpnął się, porwał za broń, a potem padł na klepisko. Z drugim było jeszcze mniej roboty. Mikołaj Dydyński nie zdążył nawet polechtać go obuszkiem. Starczyło, że pchnął czeladnika na ścianę, a ten osunął się na ziemię i zachrapał słodko jak hurysa po upojonej nocy.**

**Drzwi do alkierza były zaryglowane. Mikołaj – najpotężniejszy z braci – runął na nie jak rozjuszony byk, którego pan Wapowski wypuścił kiedyś dla uciechy na ulice Dynowa. Drewniana przeszkoda rozleciała się w jednej chwili. Mikołaj, wzięwszy zbyt duży rozpęd, wyłożył się jak długi na wyłamanych deskach, a Jacek spokojnie przekroczył próg, przestąpił nad bratem i stanął przed stołem, na którym parowała jeszcze gęś na czarno ze śliwkami, w konwiach stał zacny węgrzyn, a na półmiskach królowały marcepany i wielkie cukrowe głowy. A na ławie siedział rozparty jak turecki basza gruby szlachcic z nosem czerwonym od pijaństwa i sumiastymi wąsiskami. U jego stóp zaś klęczała Sonka – najładniejsza ladacznica z Rzeszowa. Uwadze Jacka**

Dydyńskiego nie uszedł zaś fakt, iż dziewczadziwnym trafem trzymała głowę na wysokości hajdawerów pana Trojeckiego.

Miłośnica, choć niećwiczona w retoryce, czyniła właśnie ze swego gardła użytek, który niewiele miał wprawdzie wspólnego z kazaniami Piotra Skargi czy sejmikowymi mowami, ale na pewno spodobały się każdemu mężowi. Mówiąc zaś krótko – uprawiała *ars amandi* w tak bezbożny i bluźnierczy sposób, że nawet najzacniejszy ksiądz bernardyn z pobliskiego Rzeszowa dałby za ową czynność przynajmniej trzy dni postów pokuty i z tysiąc ojczenaszów na dokładkę.

–Czego?! – ryknął Trojecki. Ladacznica nie poderwała się, nie krzyknęła. I całe szczęście. Bo gdyby to uczyniła, być może wygasłaby ze szczętem męska linia rodu Trojeckich z Trojczyny. Szlachcic poderwał się z ławy, złapał za hajdawery, podciągnął. A widząc, że ma do czynienia z Dydyńskimi – porwał też za szablę. – Czego tu chcecie?! – warknął. – Guza szukacie?!

–Szukamy – potwierdził Dydyński i jakby na potwierdzenie swych słów zdjął kołpak. – Przyszyła nas pan starosta zygwulski.

–Dobry znajomy waszmości – uzupełnił Przeclaw.

Trojecki zamarł. Popatrzył na Dydyńskich. Zerknął w stronę drzwi do głównej izby, a nawet po kątach, jakby spodziewał się tam zobaczyć przybywające mu na pomoc hufce anielskich serafinów. Będąc widać w czarnej rozpacz, zerknął nawet na Sonkę, tylko po to, aby przekonać się naocznie, jak zmienna i fałszywa jest kobieca natura. Sonka bowiem skoczyła w kąt izby, a widząc, iż Dydyńscy są górą, ani myślała, aby wołać gwałtu. Przeciwnie – wyszczerzyła zęby do najmłodszego z nich, Łukasza.

–Hryćko, Stiepan! – jęknął Trojecki w stronę drzwi do głównej izby karczmy. – Bywajcie tu! Zaraz!

–Chyba się pospali – mruknął Przeclaw, kiedy na nawoływania stolnika odpowiedziało głucho milczenie. – Zawołaj, waść, głośniej!

–Wa...szmościowie to czego chcecie? – zapytał Trojecki, spuszcżając nieco z tonu. – Przecież możemy się dogadać...

Dydyńscy wybuchnęli śmiechem.

–Pozwól, waść, że przypomnę, czemu zawdzięczasz spotkanie z nami – rzekł Jacek. – Dwa miesiące temu przysłałeś do Łańcuta woźnego z pozwem za rzekome zagarnięcie zboża z jarosławskich spichrzów. A wiadomym jest, że kto list wysyła, prędzej czy później odpowiedzi się doczeka. I to my, panie bracie, jesteśmy tym responsem.

–Jeśli o owo zboże idzie – rzekł Trojecki coraz bardziej zaniepokojony – to cała rzecz toczy się między mną a panem łańcuckim. A wam nic do tego.

–Rzecz oczywista, że nam do tego – zaoponował Dydyński. – Jesteśmy przyjaciółmi i towarzyszami pana starosty. A nawet pomijając naszą znajomość, tedy my sami pro publico bono chcemy dać godną odprawę potwarcy, który ośmielił się gnębić pozwami pana ze Żmigrodu, starego żołnierza, który krew przelewał za ojczyznę...

–Chyba za ojcowiznę – mruknął Trojecki. – I nie swoją przelewa, a waszą, bo mu

stolnikowice sanoccy służą za rękodajnych i hajduków. Wielkim partyzantem jesteś starosty zygwulskiego, mości panie Dydyński. Ba, nie tylko partyzantem, widzę, ale i rękodajnym, famulusem domowym. Głowę dałbym, że kiedy pan łańcucki talara na święty Marcin ci przyobieca, to ty pewnie jak kuglarz kozły w powietrzu fikasz.

–Póki kulasy zdrowe, to fikam – rzekł pogodnie Dydyński. – Jednak myślę, że kiedy waściny się zajmujemy, nieprędko znowu dziewczkę wychędożysz!

–Co takiego?!

–Kiedy przylazł do nas, do Łańcuta, woźny z pozwem – Dydyński niepytany nalał sobie węgryzna – myśleliśmy, co zrobić. Czy wedle starodawnego zwyczaju polskiego kijami go obić, jako uczynił pan Ostrowski, przypiec, albo może końmi z miasta wywlec, jako pan Hynek w Dublanach lata temu. Ale ponieważ woźny nic nie winien – ciągnął Jacek nad Jackami obojętnym tonem – postanowiliśmy, że nie jemu, jeno temu, kto pozew napisał, papier do gardła wciśniemy. Hej, brać go!

Bracia skoczyli na Trojeckiego jak wilki na starego niedźwiedzia w lasach pod Werhowyną. Stolnik uczynił najpierw ruch, jakby chciał zastawić się szablą, potem zmienił zdanie – ciął w Przeclawa, ale najmłodszy Łukasz zablokował cios, Mikołaj złapał szlachcica za ramię, wykręcił, wyrwał szablę, zaś Zygmunt porwał Trojeckiego za kark i zdzielił po łbie trzonkiem nadziaka. A potem już wspólnie chwycili pana brata, wykręcili mu ręce i rzucili na stół z takim rozmachem, że aż podskoczyły cynowe konwie i półmiski.

Dydyński spokojnie wydobył zza pasa złożony we czworo, rozpieczętowany pozew i podetknął go pod nos Trojeckiemu.

–Za to, coś uczynił – rzekł – pan starosta zygwulski zarządził, abys ten zajadły pozew zjadł do samego końca.

–Jedz, jedz, waćpan – zarechotał Mikołaj Dydyński. – Tak to już jest na tym świecie. Kto piwo warzy, tedy go potem wypić musi. Cierpienia sobie oszczędzisz, a nam wysiłku.

–Ja was... do trybunału! – zawarczał Trojecki. – Wy skurwesyny! Wy popie przysiercki! Wy sucze chwosty, bęsie narożnicy capem wyjebanej! Ja was... w dyby! W wieży przemyskiej *in fundo* pognijecie!

Dydyński dał znak Przeclawowi. Młodszy brat chwycił pozew, po czym bezceremonialnie wetknął go w gębę szlachcica, skutecznie głuszając dalsze wywody na temat pochodzenia matki Dydyńskich, a także jej częstych sodomii z chłopami i resztą chudoby z rodzinnej Niewistki w Sanockiem. Trojecki zajęczał, szarpnął się w żelaznych rękach braci, z najwyższym wysiłkiem wypluł zaśliniony papier. Przeclaw zaklął, po czym złapał stolnika przemyskiego za podgolony czub, porwał pozew, począł drobić go i z wydatną pomocą braci wciskać jak odpornej gęsi. I w końcu, wspierany śmiechami braci, Trojecki rozpoczął niewesołą ucztę. Jednak trzeba przyznać, że aż do samego końca nie dawał za wygraną. Szarpał się i wierzgał, próbował kopać i wyrwać się, ale mocarne łapska Dydyńskich trzymały go niczym kowalskie kleszcze. Na koniec, kiedy prawie cały pozew trafił już do potężnego brzuszyska pana Trojeckiego, szlachcic poderwał nagle głowę w górę i w jednej chwili plunął resztkami przeżutej pieczęci prosto na żupan Przeclawa. Dydyński



szarpnął się wstecz, a w jego oczach zamigotał zły błysk. Chwycił szablę, ciął z zamachu w łeb Trojeckiego i...

Jacek nad Jackami zasłonił stolnika przemyskiego ostrzem własnej broni! Odbił cios i chwycił lewą ręką uzbrojoną dłoń Przeclawa. Młody Dydyński szarpnął się, zamierzył ponownie, a wówczas Jacek odepchnął go. Przeclaw uderzył plecami o ścianę, potrącił ławę, wsparł się o stół, z którego spadł z brzękiem gliniany dzban. Jacek stanął na wprost rozwścieczonego młodzieńca.

–Co to ma znaczyć, bracie?! Mieliśmy go nastraszyć, a nie zabijać!

–Nie puszczę płazem obelgi! – warknął Przeclaw. – Ja...

Urwał, kiedy Jacek uderzył go z rozmachu w twarz. Głowa młodszego brata odskoczyła w tył, odbiła się od drewnianych bali karczmy, aż zahuczało.

–Powiedziałem: dość! – zakrzyknął Jacek. – A przecież mądrej głowie dość dwie słowie. Czyżbyś o tym zapomniał, bracie?

Przeclaw otarł krew z warg. Opuścił rozdygotaną rękę z szablą, schował broń do pochwy. Gdy zorientował się, że wszyscy patrzą na niego, zacisnął dłoń na krawędzi stołu. Być może po to, aby ukryć drżenie palców.

–Wybacz, bracie – mruknął. – Zapamiętałem się.

–Prędzej chyba rozum straciłeś.

Przeclaw pokiwał głową. A potem wolno i niechętnie podszedł do Jacka nad Jackami, ujął jego dłoń i pocałował na znak uznania starszeństwa brata. Stolnikowic odwrócił się do reszty kompanii.

–Kończyć, waszmościowie!

Mikołaj chwycił Trojeckiego za podgolony łeb i z rozmachem walnął jego czołem o kant stołu. Stolnik jęknął i opadł na twarz, zgłuszony równie sprawnie co wół przed zarżnięciem.

–W konie, bracia! – zakomenderował Dydyński. – Niedaleko stąd jest folwarczek, a tam... – na chwilę się zamyślił – czeka na nas już gotowy bakszysz dla pana starosty.

Pomruk aprobaty starczył za odpowiedź.

\* \* \*

Opuściwszy Przeworsko, Gedeon podążał drogą na Kańczugę, Jawornik, Szklary i Dynów, prowadzącą między wzgórz i rozległe pagóry. W miarę jak mijały jesienne godziny, wzniesienia stawały się coraz wyższe, wynioślejsze i zdziczałe. Piaszczysty trakt wiódł na południe, prosto ku węgierskiej granicy, ku odległym werchowynom i połoninom Bieszczadu, niewidocznym stąd jeszcze, bo ukrytym za mgłami oparów. Opadał w doliny strumieni, wił się wzdłuż stromych zboczy, przecinał wiekowe, pachnące żywicą bory, w których wznosiły się strzeliste, proste jak okrętowe maszty sosny, buki i jodły. Mijał zagajniki z brzoź, olszy, dębów i modrzewi, na które polska jesień narzuciła delię tkaną z żółtego listowia, piękniejszą niż najokazalsza ferezja ukraińskiego magnata; przecinał łąki i uroczyska, gdzie wśród kamieni pienila się tarnina i dzika róża. Aż wreszcie, gdy zmęczony pielgrzym wspierający się na żebraczym kosturze przeszedł przez gwarny Dynów, z lewej strony dostrzegł złocisty nurt. To był San mieniący się rozbłyskami słońca w wodzie spienionej na kamiennych

progach i karpach. Poziom wód nie był wysoki, gdyż przez sierpień i wrzesień panowały upały. Rzeka opadła, odsłaniając liczne płycizny, głazy i gacie, jednak trwał na niej bezustanny ruch. Tą właśnie drogą płynęło do Wisły i dalej, do Warszawy, Torunia i Gdańska, bogactwo Rusi Czerwonej – Ziemi Przemyskiej, Sanockiej, Halickiej i Lwowskiej – dary lasów, pól i łąk, owoce pracy chłopów, woli i przemysłowości szlachcica, kupowane na pniu przez Holendrów, Prusaków, duńskich i angielskich kupców. Pomimo niskiej wody rzeką szły komiędzy i dubasy wyładowane po brzegi żytem, pszenicą, jęczmieniem, tratwy pełne świeżo okorowanych pni dębowych, smukłych jodeł, sosen i świerków, beczek z potażem i suszoną śliwką, smoły, skór i wosku. Była to danina, którą ziemia płaciła swym szlacheckim władcom. Wywożona za granicę powracała jako brzęczące dukaty, talary i floreny. To stąd pochodziło bowiem największe bogactwo oraz potęga Korony i Litwy, gdzie lada pacholek chodził w atlasach i jedwabiach, lada rękodajny wywijał szablą oprawną w srebro i złoto, byle szaraczek zaściankowy pił ze złotego pucharu, w kołpak wtykał czaple pióra, a ladacznicom z zamtuza ścielił łoże czerwonymi złotymi.

Trakt wkrótce zrównał się z Sanem i wraz z nim wił się wokół niewysokich gór pociętych wzorzystą mozaiką pól i zielonych ugorów; zwieńczonych lasami złożonymi z sosen, świerków i jodeł. Biegł obok żółtych ściernisk i brązowych łąków, na których niskie, krępe woły ciągnęły szerokie, koleśne pługi zostawiające za sobą świeże bruzdy zaoranej ziemi. Przemierzał brzozowe gaje i ciemne dąbrowy, gdzie zapach wilgotnych, świeżo spadłych liści uderzał w nozdrza z niezwykłą siłą. I wiódł wędrowca coraz dalej – na Sanok, Lisko, a potem znacznie dalej – na Hoczew, Ciasną i Baligród, hen ku zielonym górcom i siedmiogrodzkiej granicy.

Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, kiedy wędrowiec zboczył z traktu w lewo, kierując się tam, gdzie za brązowymi ścierniskami żółciły się słomiane strzechy chałup małej wioszczyny – z tego, co pamiętał, bodaj Jotryłowa. Był spragniony i zmęczony. Kuśtykał z trudem, wspierając się na kij, ocierał pot spływający z czoła.

Kiedy jednak zbliżył się do pierwszych zabudowań i wychynał spoza rozłożystej kępy rokity rosnącej przy płocie, od razu chwycił kij oburącz.

Przy rozstajnych drogach przed wioską stał nieduży, kryty słomą dworek. Z daleka przypominał zwykłą chłopską chyżę, jednak z bliska wyróżniał się dużym gankiem, stromym, dwuspadowym dachem i ścianami z modrzewiowych bali, pomalowanymi na biało. Wyglądał inaczej niż chłopskie domostwa, gdzie cała zagroda znajdowała się pod jednym dachem, drewniane części ścian mazano przepaloną gliną na brązowo, a zalipy ochlapywano wapnem. Dworek, choć mały, był dostatni – w oknach widniały błony, a z dachu wystawał ceglany komin – rzecz rzadko spotykana nawet w niektórych siedliskach szlachty sanockiej.

Przy płocie stało uwiązanych kilka koni, między którymi był śmigły polski wierzchowiec, jeden wołoszyn i cztery podjezdki. Na środku podwórza przechadzał się niecierpliwie młody szlachcic w kolczudze i misiurce, podkręcał co i raz sumiastego węża i pobrzękiwał ostrogami przy wysokich rajtarskich butach. Tuż za nim dreptała młoda, zapłakana kobieta tuląca do sukni na fortugałach dwójkę maleńkich dzieci.

Tymczasem czeladź i towarzysze zawadiackiego szlachcica bynajmniej nie próżnowali. Jeden buszował w kurniku, łapiąc kury, kaczki i gęsi, z których kilka leżało już przed progiem z ukręconymi łbami. Inny wyprowadzał z obórki dwie włochoate, czerwonawe krowy, a pozostali krzżeli się we wnętrzu dworku i bez litości wyrzucali z niego wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Kolejno zatem lądowały na klepisku tureckie kobierce, makaty i opony zerwane ze ścian, szuby, delie, kołpaki, srebrne półmiski, kielichy, miednice, roztruchany, stołki, kubki, misy, świeczniki, zegar, łańcuchy, obrazy świętych i lipowe łyżki...

Młoda niewiasta przypadła z płaczem do ręki szlachcica.

–Miejże litość, panie Ramu! – wyszlochała. – Zmiłujże się nad dziećkami moimi, jeśli nade mną miłosierdzia nie masz!

–Nie mam! – rzekł wesoło swawolnik. – Nie mam nie tylko miłosierdzia, ale nawet żalu. Powiem zaś więcej – rzekł, potrząsając wyciągniętym palcem. – Nie ma we mnie bojaźni bożej, pani Belchacka. Nie poradzą na Ramu! niewieście łzy i biadania. Albowiem, jak powiedział pan Herburt erudyta, jestem niewzruszony jako ten Herkules przedwieczny, nieczuły na płacz i łzy jak diabli kamień pod Liskiem. A przecież radziłem waćpani już dawno, co powinna uczynić. Skoro pan starosta zygwułski naznaczył bakszysz, trzeba było go po dobroci zapłacić.

–Skądże ja mam wziąć dwieście złotych?! – jęknęła niewiasta. – I za co ja w ogóle mam płacić?! Za to, że żyję i oddycham?

Ramu! schylił się i ucałował dwornie dłoń wdowy.

–Dwie niedziele mijają, jak do nówek waćpani padłem – rzekł, podkrecając wusa. – I dobrze radziłem, aby pieniążki gotować, gotowiznę składać, bo zajeździk będzie. A skoro nie posłuchała mnie mości pani Salomea, to teraz po trzykroć biada. Przecież – ściszył głos i mrugnął szelmowsko do szlachcianki – mogliśmy inaczej całą rzecz załatwić. Waćpani od dwóch roków wdowa, bez męża, bez opieki żadnej. A ja od dawna waćpani mówiłem, co mi na duszy leży. I jak nasze frukta miłości rozkwitnąć mogą, a wybujać wysoko jako te dzikie róże na dzikich połoninach Bieszczadu...

–Ogier by tego jaśniej nie wyraził – załkała wdowa i opadła bez sił na kolana, tuląc do siebie maleńkie dzieciątka. – Panie Boże sprawiedliwy – jęknęła przez łzy – jeśliś kiedy różnymi plagami karał złych i niesprawiedliwych łotrów, szelmów i brygantów bez czci i sumienia – tu Ramu! uśmiechnął się od ucha do ucha – wydzierców, szarpaczy, krwi ludzkiej rozlewców, dziś pokaż sprawiedliwość twoją nad tymi oto swawolnikami. Aby ich pioruny z nieba strzaskały, aby ich ziemia żywcem pożarła, aby ich pierwsza kula nie minęła! Aby ziściły się wszystkie plagi, które dopuściłeś na faraona! Aby z piekła diabeł po nich przyszedł...

–Co tu się dzieje?! – zagrzmiał, podchodząc bliżej, Gedeon, ponury i chmurny niby guślarz przed odprawieniem Dziadów. – Co wy, waszmościowie, wyprawiacie?

Ramu! spojrział nań bystro, szarpnął ze złością przydługiego wusa.

–A ty, dziadu proszalny, zwady szukasz? Poszedł precz, szelmo! Jak śmiesz do panów braci, pierwszych szabel Ziemi Sanockiej, mówić niepytany?!

–Pierwszych szabel? – parsknął Gedeon. – Chyba pierwszych kpów! Wydrwigroszy i drapichrustów! Z jakiej przyczyny napastujecie panią dziedziczkę?

–Poskrom język, didu! – warknął Ramułt. – Bo zaraz zawyjesz psim głosem. Widział to kto dziada w rzyć chędożonego, co się mądrzy jak statysta na sejmiku! Zmykaj na gościniec, bo jak się nie podoba nasze rycerskie zajęcie, to mogę ci drugiego kulasa przetrącić!

–Nie podskakuj, panie szlachcic, bo nim ty mnie poprzetrącasz, ja ciebie na ziemię sprowadzę! Daruję waszmości zdrowiem, jeśli pójdziecie precz! Zaraz, natychmiast!

–Jaśko! – Ramułt okrzyknął pocztowego, który właśnie wytaszczył na próg dworku zamkniętą skrzynię i teraz zawzięcie rąbał ją czekanem. – Ten dziad nas opuszcza. Pomóż mu szybko za bramę trafić! Będiesz miał orta, nie... dwa szóstaki na przepicie!

Czeladnik poderwał się bez słów, a potem skoczył do Gedeona z czekanikiem. Pielgrzym nawet nie drgnął. A kiedy sługa był już blisko, wykonał dwa szybkie ruchy kosturem. Rąbnął w zaciśnięte na rękojeści palce, a potem wybił czekan z rąk wroga, walnął w łeb i na koniec płaskim sztychem ugodził przeciwnika prosto w żywot. Pacholek padł w błoto. Chciał jeszcze złapać za szablę, ale Gedeon nastąpił mu żelaznym kulasem na rękę. Sługa zawył, szarpnął się, a wówczas pielgrzym kopnął go w skroń. Wystarczająco mocno, aby uciszyć krzykacza.

Po czym ruszył na Ramułta z kijem w obu dłoniach.

–Chciałem po dobroci – wysapał – ale widzę, że jak zwykle skończy się po złości. Nic się, do kroćset, nie zmienicie, panowie szlachta!

–Do mnie! Bywajcie tu! – krzyknął Ramułt, cofając się ku gankowi.

Trzech kompanionów swawolnika wychynęło z domu; czwarty, który mocował się z oporną krową, cisnął postronek i także przyskoczył bliżej. Dwaj pierwsi byli w żupanach i rajtrokach, przy szablach i pałaszach.

–Ja tego dziada poznaję! – mruknął trzeci, w birecie i breacanie, wyglądający na Szota, który zamienił kramarstwo na rozbój i grabież. – To ten sam, co w Przeworsku pobił kompanię pani Łahodowskiej! W klasztorze Ojców Bernardynów jatkę prawdziwą sprawił, aż u Bożogrobców i w kościele farnym we dzwony bili!

–Baba z wozu, koniom lżej – mruknął Ramułt, zdradzając w sobie nie tylko skłonności do warcholstwa, ale i filozofii. – Ot i pofiglowała pani Łahodowska z mnichami, a że trafiła przy tym kosa na kamień, to już nie nasza wina. Kończcie go, panowie bracia, i dalej do karczmy!

Ramułt pierwszy skoczył z szablą na Gedeona. Ciął wręcz w posiwiały łeb pątnika. Już w pierwszym zwarciu żebraczy kij trzasnął przecięty na pół. Gedeon zawinął się w szybkim uniku, umknął spod klingi, a potem rąbnął Ramułta kolejno dwoma kawałkami kija w czoło i kolano. Szlachcic nie zdążył sparować tych ciosów. Odbił zastawą uderzenie w głowę, ale w tej samej chwili dostał pod kolano. A kiedy padł zgięty wpół, Gedeon uderzył go w czerep z taką siłą, że pozostała połówka kostura pękła z trzaskiem, rozpadła się na twardym łbie Ramułta jak drewniany kijaszek.

Szot ciął pątnika w bok; ten uniknął ataku, skacząc w lewo, lecz nadział się na szablę jednego z kompanów Ramułta. Drugi z brygantów chlasnął pielgrzymą, rozcinając Włosienicę i zostawiając krwawy ślad na plecach. Już, już zdawać by się

mogło, że swawolnicy opadną samotnego mężczyznę jak stado psów rannego odyńca! Jednak odyniec zerwał się do biegu jak szarżujący tur, odtrącił barkiem Szota, dopadł do cembrowiny studni.

–Brać go! – zawył przez zęby Ramułt tarzający się w błocie i trzymający za rozwalone kolano. – Otoczyć!

Kiedy skoczyli na zakrwawionego Gedeona z trzech stron, ten porwał z ziemi drewniany ceber na wodę. Odbił nim pierwszy cios, drugi, trzeci i czwarty, wpadł między napastników, roztrącił ich i wyszedł im za plecami. Szot przyskoczył, ciął pałaszem z całej siły. Pielgrzym zastawił się; proste ostrze wbiło się z trzaskiem w drewno, zakleszczyło i uwięzło, przecinając ceber niemal na pół. Pątnik wrzasnął tryumfalnie, szarpnął; jednym ruchem wyrwał wbity w wiadro pałasz z rąk przeciwnika, doskoczył bliżej, rąbnął w łeb, potem w brzuch, poprawił jeszcze raz uderzeniem w głowę zadany z taką siłą, że ceber rozleciał się do reszty. Szot krzyknął, wypluł złamany ząb, zasłonił się rękoma, a wówczas Gedeon chwycił go za pendent od pałasa i pludry, po czym uniósł w powietrze jak dziecko i cisnął, stęknąwszy z wysiłku – prosto na ocembrowanie studni. Szot jęknął, walnął łbem o kamienie, skruszył kilka ciosów z takim impetem, że aż woda plusnęła w głębinie, przeturlał się na bok i tak już pozostał.

Bryganci cofnęli się przerażeni siłą przeciwnika. Stali niepewnie z dobytymi szablami, które zdążyły już posmakować krwi. Ale Gedeon nie wahał się ani chwili. Pewnym ruchem podniósł z ziemi porzucony pałasz, a potem ruszył w ich stronę.

Jeden z kompanów Ramułta; ten który był bliżej płotu, nieopodal koni, skoczył do swego wierzchowca i porwał za przytroczoną do kulbaki rusznicę.

To był ostatni błąd w jego życiu.

Kiedy odwrócił się z arkebuzem w rękach, usłyszał zbliżający się szum, jak gdyby skrzydeł wielkiego wiatraka. Szlachcic nie zdołał nawet podnieść oczu... Ciśnięty przez Gedeona ciężki pałasz wbił się w pierś z tak ogromnym impetem, że ostrze przebiło żupan na plecach! Swawolnik zamarł, nie zdołał nawet krzyknąć. Nogi ugięły się pod nim; wypuścił broń, chwycił nagie ostrze wystające z piersi, a potem padł na kolana i zwałił się na bok. Konie zarżały, zaczęły się szarpać, czując krew i śmierć.

Gedeon został sam przy płocie. Bez broni, zakrwawiony. Otarł posokę spływającą z rozbitego łba, zalewającą oblicze i jedyne oko. Zachwiał się jakby w paroksyzmie bólu i oparł ciężko o drewniane bale, złapał za rozdartą Włosienicę, przytrzymał za poraniony bok.

Dwaj ostatni przeciwnicy szli w jego stronę jak wilki, z błyskiem wściekłości w oczach, spięci, gotowi, by zadać śmiertelny cios.

Głupcy!

Kiedy od pokrwawionego pielgrzyma dzieliło ich zaledwie kilka kroków, ten wyprostował się. Jednym ruchem wyłamał dwie sztachety z płotu, a potem zastawił się nimi. Odbił pierwsze cięcie szabli, drugie przyjął na skrzyżowane deski, wypuścił je, chwycił uzbrojoną rękę przeciwnika, zgiał ją wpół w łokciu i wbił sztych szabli do połowy pióra w brzuch wrzeszczącego szlachcica. Ten zawył, zadławił się krwią i zacharczał, łapiąc ze świstem powietrze.

Gedeon wstrząsnął pokrwawionym łbem, gdy dostał w ciemność szablą drugiego napastnika, przez chwilę świat dokoła rozblęsnął na białe. Ale i tego było za mało, by pątnik padł na ziemię. Wyrwał szablę ze szlacheckiego żywota, a potem zmierzył się z ostatnim z ludzi Ramułta. Odbił cios na odlew, zablokował cięcie z podlewu, a potem sam zamarkował cios wbrew. Kiedy wróg uniósł broń do zastawy, jednym szybkim ruchem przeszedł w zwód, obrócił szablę płasko i chlasnął wkłęb, rozcinając udo i pachwinę przeciwnika. Pan brat wrzasnął, skulił się, opadł na jedno kolano, a wtedy Gedeon poprawił cięciami we wrąb i wlic, rozrąbując łeb i rękę szlachetki.

To był już koniec. Na podwórzu zapadła cisza przerywana jękami rannych, rżeniem wystraszonych koni, charczeniem umierających. Gedeon otarł krew z czoła, podszedł do porąbanego przed chwilą szlachcica; stanął nad nim wielki jak góra, posępny jak jesienny dzionek. Obojętnie trącił rannego podkutym butem w bok.

–Daruję cię zdrowiem, chociażżeś rakarz i śmierdzące bydłę – mruknął. – Pojedziesz do starosty zygwulskiego i przekażesz mu posłanie ode mnie.

–Myślisz, że będę twoim rękodajnym, skurwysynu?! – wycharczał ranny, zaciskając zęby z bólu i usiłując powstrzymać krew sączącą się z porąbanego ramienia. – Zaprawdę powiadam ci, żeś już martwy! Zali myślisz, że pan starosta puści ci płazem to, coś uczynił tutaj i w Przeworsku? Kto się za sługą nie ujmie, ten się i o żonę nie ujmie, chamie! Gotuj swoją szyję na stryk! A ręce na dyby!

–Znaczy się nie chcesz jechać, panie bracie?

–Pies ci bratem, nie ja! A suka matką!

Gedeon nie powiedział nic. Ciął szablą płasko, z zamachu i od jednego cięcia odrąbał podgolony i pokrwawiony łeb. Krew trysnęła w górę, a głowa potoczyła się po ziemi i błocie, obracała, pozostawiając plamy posoki, aż wreszcie zatrzymała niemal między nogami gramolącego się z ziemi Ramułta.

Gedeon był przy nim, zanim zliczyłbyś do trzech. Chwycił za żupan na piersiach, bez żadnego wysiłku podniósł w górę i obojętnie spojrzął w twarz.

–Pojadę, pojadę! – wybełkotał poblady i rozdygotany Ramułt, widząc przed sobą ponure, porąbane oblicze Gedeona. – Przekażę wszystko, co chcecie, panu staroście. Nie musicie dobywać szabli. Ja wiem dobrze, że *nec Hercules contra plures...* A właściwie... *nec plures contra Hercules* – dokończył już zdecydowanie cichszym głosem.

–Wrócisz do starosty i powiesz mu – wydyszał Gedeon – słowa, które masz spamiętać dokładnie! Bez pomyłki!

–Jako żywo, spamiętam wszystko – wybełkotał Ramułt.

–Powiesz mu: pomnij Agrę, panie starosto zygwulski!

–Tylko tyle?

–Wystarczy na początek. Już on będzie wiedział, co z tym fantem uczynić.

Gedeon powłókł Ramułta do koni. Obrócił rannego, chwycił za pas i hajdawery, a potem podniósł z ziemi jak dziecko i przerzucił przez kulbakę. Szlachcic zawył rozdzierająco, ale pielgrzym nie zwrócił na to uwagi. Odwiązał konia od płotu, rzucił wodze brygantowi, klepnął rumaka płazem po zadzie. Koń zarżał i od razu puścił się rysią ku bramie. Jeździec jęknął, ale utrzymał się w siodle, choć pokrwawiony i

ledwie żywy. Gedeon śledził go, dopóki nie dojechał do traktu, a potem, kulejąc, podszedł do studni. Oparł się o cembrowinę i spojrział w dół, na migocące lustro wody. Poszukał wzrokiem wiadra i wówczas przypomniał sobie, że przecież rozbił je na łbie Szota, który leżał teraz bez duszy w gnoju i błocie.

Nagle ktoś postawił przed nim ceber z wodą. Podniósł wzrok i zobaczył wdowę z dworku. Była blada i wystraszona, przez cały czas spoglądała na pokrwawione podwórze, na porąbanych i martwych swawolników. A kiedy zobaczyła odrąbaną głowę w kałuży krwi, zbladła i przygryzła wargi, chociaż w tych stronach, nawiedzanych przez Tatarów, sabatów, beskidników, a po rokoszu wojewody Zebrzydowskiego przez chorągwie konfederatów sandomierskich i regalistów, krwawe waśnie były prawie na porządku dziennym. Takie to już ostatnio bywały czasy, że człowiek liczył się taniej od konia, a krew stała niżej od wina.

Gedeon zanurzył ręce w cebrze i zaczął zmywać z nich krew, obmacał porąbany łeb, natrafił na krwawe szramy i zakrzepłe sople posoki, ale nawet nie jęknął.

–Ranniście – rzekła dziedziczka. – Przyniosłam wam szarpi i chleba z pajęczyną.

–Nie trzeba – mruknął.

–Gangrena was rozłoży. Zdejmijcie ten łachman!

Powoli, zagryzając wargi z bólu, zdjął włosienicę i grubą koszulę. Czarne, splątane włosy na piersi i plecach miał pozlepiane krwią, czerwona posoka sączyła się z rany na boku, plamiła prawą nogawicę hajdawerów. Wdowa zmoczyła w wodzie kłęb szmat, zaczęła obmywać go ze strupów, przewiązywać rany szarpkami, okładać chlebem z pajęczyną.

–Powinnam być wam wdzięczna, ale nie mogę – powiedziała. – Uratowaliście mnie od grabieży, ale być może będę miała z waszej jatki więcej kłopotów niż korzyści. Kiedy starosta zygwulski dowie się, jaką rzeź sprawiliście w Jotryłowie, nie zostanie tutaj kamień na kamieniu.

–Gdyby przyjechali pachołkowie starosty, powiedzcie, że to były prywatne porachunki. Gardłowa sprawa między mną a Ramułem, a nie między waszmość panią a panem łańcuckim. Choć, Bogiem a prawdą, mam ja swoje rankory i do starosty zygwulskiego.

Dotknęła jego pokrwawionych pleców i zamarła. Pomiędzy świeżymi ranami dostrzegła długie białawe blizny ciągnące się od szyi i karku aż do krzyża. A kiedy Gedeon począł przemywać wodą oblicze i rany na głowie, zobaczyła na jego przedramionach sine znamiona po kajdanach albo łańcuchach. Musiał długo je nosić, bo żelazo wżarło się głęboko w ciało i pozostawiło na nim niezatarte piętna.

–Skąd wy przyszliście? – spytała. – Z przemyskiej wieży? Z ciemnicy?

–Dlaczego waszmość pani o to pytasz?

–Bo macie ślady na rękach. Po żelazie...

–Przyszedłem z daleka – mruknął niecierpliwie. – Jestem tylko nędznym grzesznikiem. A to są ślady mojej pokuty.

–Długo musieliście pokutować...

–Dwadzieścia i jeden lat.

Kiedy skończyła, narzucił na siebie mokrą koszulę, z której z trudem zmył

większość krwawych plam. Potem wdział włosienicę.

–Wymoszczę wam łożę w alkierzu – powiedziała. – Odpoczniecie po tym wszystkim. Czym chata bogata, tym rada.

–Dziękuję jaśnie wielmożnej pani dobrodziejce za opiekę i ratunek, ale na mnie już czas.

Przygryzła wargi, jakby nie wiedziała, co odrzec. Gedeon rozejrzał się dokoła, w końcu podniósł ciężką husarską szablę, pas i rapcie należące do tego z brygantów, któremu odrąbał głowę. Bez namysłu przywiesił sobie oręż przy boku, pod Włosienicą.

–Komu w drogę, temu czas – mruknął. – Wybacz, pani dobrodziejko, ten nieporządek w obejściu. Taki już mam los, że gdzie trafię, tam zostawiam jeno krew i trupy.

–Nie boisz się, waszmość, chadzać samemu? Starosta zygwulski nie będzie rad, żeś pobił jego ludzi.

–Pies jebał pana starostę.

–Starosta albo Diabeł, trzyma całe Przemyskie i Sanockie w garści. Niebezpiecznie z nim zadzierać. A waść nie tylko zadarłeś, ale i rzuciłeś w twarz wyzwanie. Kiedy mnie zaczął prześladować i żądać bakszyszu, szukałam pomocy u sąsiadów. Ale nikt nie chciał nadstawić karku dla biednej wdowy. Nie licz, że ktoś ci pomoże.

–Dzięki za radę.

–Weź choć konia!

Pokręcił głową. A potem odwrócił się do bramy.

–Poczekaj... – westchnęła. – Ja... To szczęście, że waszmość byłeś w pobliżu. Ja wielce jestem wdzięczna za ratunek...

–Z Bogiem, mościa pani dziedziczko.

–Jak mam cię wynagrodzić, dobry człowieku?

–Nie jestem dobrym człowiekiem – mruknął niechętnie. – Bywajcie.

–A dokąd idziecie?

–Do domu.

Odwrócił się do niej na chwilę i wówczas pani Salomei wydało się, że przez chwilę zobaczyła na jego obliczu uśmiech.



## Rozdział II

### Zaścianek

Na Sine Wody Bies i rycerz Berda, kiczery i połoniny Cham w Dwernikach  
Nieudane zrękowiny Niedyskrecja rodzinna Zraniona дума Wyprawa do Hoczwi  
Zemsta Amazonki Wojenne przygody Konstancji

–Na Sine Wody, na Zawój. Na upiry Chryszczatej, na moce Propasnyka! Homen mijaj, na miawki nie zważaj, idź na dołynu, gdzie biesy tańczą... Prowadź Smiragdowy przez Chrewt, Jawornyk, z pola na Kremenaros, gdzie czady i dytko; szukaj, szukaj... I najdzij to, szczo każu...

–Widzicie już coś?! – Konstancja Dwernicka nachyliła się nad ogniem, w którym wiedźma Werłycia paliła sproszkowane wilcze łyko, nadrahulę i kwiaty arniki. Panna zasłuchała się tak bardzo, że nawet nie zauważyła, jak jej czarny warkocz zsunął się z pleców i wpadł w gęste kłęby dymu. – Pojawił wam się bies albo człowiek? Duch? A może upir?

Worożycha zadygotała, zaskrzeczała takim głosem, że szlachcianka się cofnęła, ciągle jednak wpatrywała się w pomarszczone, pokryte plamami oblicze czarownicy, jakby za chwilę miało pojawić się na nim imię jej przyszłego męża.

–Bies! Idzie ku wam, panienko. Z tumanów siwych, ze mgły szarej; od Werhowyny, magur wielkich, przez berehy skalne i zawije ustrików. Zły to bies, czarny didko. A po kogo on idzie? Za kim krąży i ryczy? Za tobą! Tak ty się, panienko, biesa strzeż! On straszny, krzywdę ci robi...

–Bies? Diabeł? – spytała zdziwiona Konstancja. – A jaki on? Stary, młody? Bo jak młody i gładki, to za nim choćby do piekła!

–Trzem twoim braciom dałby rady. Ale ty jemu nie oprzesz się, mołodycio... Zaraz! Czeka! Widzę coś w dymie, nad werchowynami, nad połoninami, nad caryną szarą... Tam od niżnego kraju jedzie łycar, ogniem i żelazem naznaczony... On z biesem się za bary weźmie. Oj, nieszczęsna ty diwczynońku...

–Który zwycięży? – zapytała panna, która choć nie do końca zdawała się ufać słowom worożychy, to jednak słuchała jej z takim wyczekiwaniem, że na lica wystąpiły rumieńce. – Kto mocniejszy będzie?

–Je toho ne wydała... – Werłycia zasyczała, cofnęła twarz znad dymu i płomienia, a potem wybuchła śmiechem. – Ale że zły po ciebie rękę wyciągnie, to rzecz pewna. Zatańczujesz ty z nim po kiczarach i berdach jak Hatala i jego beskidniki z lubaskami na Wisielniku Horodyskim! Nieszczęście, panienko!

–Na nieszczęścia – rzekła szlachcianka, nie dając po sobie poznać lęku, chociaż nieco pobladła – różne są remedia i dryjakwie. A najlepsza z nich wszystkich to szabla. Żelazem poradzę sobie z diabłem i z biesem. Nie kracz mi tu, worożycho, jak kruczycyca!

–Ja tylko prawdu każę – rzekła Werłycia. – Com w ogniu i dymie obaczyła. A obaczyłam twój los niewesoły, panienko.

–Masz! – Panna Dwernicka cisnęła jej chudą sakiewkę. – Dzięki za przepowiednię, choć bardziej zawiła niżli horoskop mistrza Rufusa z Sanoka postawiony po pijanemu. Ale on przynajmniej prosto rzeczy wyklada: jest wtorek, dzień Saturna, na

piecu siedź, w drogę nie wyruszaj. Jest piątek, dzień zaduszny – pilnuj sakwy, bo złodzieje blisko! Jest sobota, dzień Marsa – czeladź popije i kogoś ubije.

–Jeśli potrzebę byś miała, jaśnie wielmożna panno, to prichody. We wszystkim pomogę. Lubystki zażyć zapragniesz, taj prichody. Płód zamiarujesz spędzić – taj prichody!

–Na razie poczekam na tego biesa. Jak będzie gładki, przyjadę po lubystkę. A jak szpetny – po truciznę.

Worożycha zaskrzeczała złośliwie, capnęła mieszek, poderwała się na nogi.

–Pomagaj Bóg!

Znikła w gąszczach porastających Horodok – zapomniane, stare uroczysko niedaleko Łopinnika, gdzie kiedyś, dawnymi laty, stał pewnie jakiś gród albo zamek. I gdzie, jak powiadali Hyrniacy z Łopinki, w kamiennych lochach biesy i upiry pilnowały licznych skarbów.

Konstancja odrzuciła w tył warkocz i ruszyła tam, gdzie w gąszczu drzew na krańcu ledwie widocznej ścieżki zostawiła Werchatego. Szła przez las zasłany złotym listowiem, przeskakiwała nad zwalonymi pniami wiekowych buków. Mijała polany, a na każdej z nich zatrzymywała się na chwilę, aby choć rzucić okiem w dal. Znała te bory i szczyty równie dobrze jak zakurzone kąty rodzinnego dworku. Od dziecka przecież harcowała konno po dłach, kiczerach, berdach i prislipach. Po Łopinniku, Kamieniu, Berdzie Falowej; po dolinach i magurach od Baligrodu i Ciasnej aż po Hoczew.

Widok z Łopinnika był niezwykły. Gdyby miała ze sobą perspektywę, widziałaby stąd jak na dłoni zamek kasztelana przemyskiego w Lisku, Sanok, a może nawet i Dynów. Przemysł jak zwykle zakryty był mgłami i górami. W zamian za to cokolwiek bliżej ku wschodowi dostrzec można było Dobromil pana Herburta, uczonego warchoła i zaprzysięgłego rokoszanina, który sam siebie zwać kazał ni mniej, ni więcej, jeno Herkulesem. I jak Herkules u króla Egiptu, tak Jan Szczęsny, pobity pod Guzowem, wydobyty z zameczku w Tajkurach, jak zwykły beskidnik pokutował za grzechy w szlacheckiej baszcie na Wawelu z widokiem na Kraków. Tam, łkając nad własną dolą niczym proszalny dziad na jarmarku, pisywał na klęczkach błagalne supliki do Jego Królewskiej Mości. Stary warchoł czuł bowiem pismo nosem i po nieudanym rokoszu pilnie nasłuchiwał, czy na schodach nie usłyszy zbliżających się kroków małodobrego mistrza.

Kiedy zwracała wzrok ku południowym stronom Łopinnika, widziała kraj dziki, którego nie dało się porównać z żadną inną ziemią Rzeczypospolitej, wyłączwszy może ukraińskie Dzikie Pola. Potargane góry okrywały dziewicze lasy rozpościerające się tak po wierchach, jak i po równinach. Za doliną Solanki, wokół której wznosiły się czarne ściany jodeł i smreków, skrywające miasteczko Ciasna, widać było garby Herlatej porośniętej prastarym borem złożonym z jodeł i buków. Patrząc bardziej na wschód, dostrzec można było kolejną górę – Paportną, a za jarami Wetłynki nad połoninami i ciemnozielonymi plamami bukowych borów wznosił się majestatycznie Smerek – pierwszy szczyt z niższego łańcucha werchowyn należących do nie tak znowu odległego Bieszczadu.

Od północnej strony porośnięte bukowymi lasami zbrocza opadały ku dolinie ozdobione wąskimi paskami pól. Niżej, pomiędzy drzewami, szarzały strzechy chyż Łopinki, ciemniał obłożony świeżym gontem dach drewnianej cerkiewki Świętej Paraskewii. A dalej, prawie niewidoczne za wałem Korbanii, skrywały się wioski: Bukowiec, Ternka z górą, która pozostała po spalonym monastyrze czerwieńców, nieco zaś wcześniej, nieopodal Wetłynki i Solanki, dostrzec można było rodzinne Dwerniki panny Konstancji.

Ledwie dziewczyna pojawiła się na polanie, Werchaty podniósł łeb ozdobiony białą strzałką i zarżał. Konstancja puściła się biegiem, odwiązała cugle od zwalonego pnia i poklepała konia po pysku.

–Spokój, Werchaty – wymruczała. – Wracamy do domu.

Wyjęła z troków sajdak z tatarskim łukiem i strzałami, przerzuciła go przez plecy, a potem jednym skokiem, zwinnie jak żbik, znalazła się na kulbace. Żwawo ruszyła rysią w dół, do doliny. Przemknęła przez las pachnący wilgotną ziemią i paprociami, przejechała przez połacie niedźwiedziego czosnku, polany pełne pszeńca i olszy, a kiedy ścieżka zmieniła się w dróżkę wiodącą wzdłuż pól, łąk i świeżo wypalonych poharów, wypuściła konia w skok.

Pędziła aż do samej Łopinki. Tutaj ściągnęła wodze i wjechała w opłotki, przemknęła między niskimi chyżami malowanymi w białe i brązowe pasy. Nakreśliła znak krzyża na czole, mijając cerkiew, a potem skoczyła ku Wetłynce.

Tutaj była już na swoim, w dawnej włości Kmitów, w Dwernikach, wśród lasów i łąk otoczonych górą, berdami, dólami i berehami. Zaścianek leżał w pobliżu wiosek Solanki i Wetłynki, w obronnym miejscu, dzięki czemu przetrwał napady beskidników i tołhajów, najazdy Ordy, sąsiedzkie spory, właśnie z Hozzowskimi z Hozzowa, zajazdy Rosińskich, wojnę Drohojowskiego ze Stadnickimi, wreszcie przejście chorągwi rokosz, a potem ich powrót. A nawet zagony konfederacji brzeskiej, które dwa lata temu dotarły aż do Ziemi Sanockiej.

Panna Konstancja znów puściła się skokiem. Wiatr zaszumił jej we włosach, zaświstał między uszami Werchatego.

–Heeej! Werchaty, leć!

Kiedy niedaleko od bramy dworskiej wypadła zza niewielkiego pagórka, tuż na drodze jak grom z jasnego nieba wyrosła przed nią rozłożysta kolasa naładowana gnojem aż po tybinki. A z przodu, za hołoblami, kołysał się sennie jej starszy brat – Wespazjan, zwany na zaścianku Kołodrubem; z niedostatku bowiem zwykł był imać się kołodziejstwa, aby przetrwać na przednówku. Z daleka można było wziąć go za chłopca – Hyrniaka, tym bardziej że postrzępiony żupan nakrywał prostą wiejską hunią. Z bliska jednak wszelaką pomyłkę co do jego stanu wykluczała stara, poszczerbiona batorówka w wyświechtanej pochwie, kołysząca się u pasa chodackowego szlachetki. Towarzyszyła ona panu bratu zarówno wtedy, gdy rozrzucał gnój, jak i wówczas, kiedy śniadał, spał, a nawet wybierał się do wygodki na długie albo krótkie posiedzenie. Świadczyła ona, iż chociaż jej posiadacz nie był znany jako *magnificus* czy *generosus*, nie był *capitaneusem* lub *palatinusem*, to przynajmniej mógł się pisać jako *pospolity polonus nobilis*, czyli pan brat szlachcic.

Szaraczek, który choć na co dzień chadzał w lipowych butach, to na swej słomianej zagrodzie, jak zwykle się mawiać, równy był co najmniej wojewodzie.

Konstancja spięła Werchatego do skoku, pochyliła się w kulbace i jednym susem przesadziła trzęsący się wóz z gnojem. Kopyto musnęła chyba Wespazjana, bo kątem oka dostrzegła, jak futrzana czapka brata poleciała prosto pod koła. Nie zatrzymała się jednak, ale uderzyła konia ostrogami i pomknęła ku zaściankowi ścigana krzykami rozzłoszczonego Kołodruba.

Zwolniła dopiero za bramą, wyniosłą, otoczoną płotami i parkanami, ruszyła stępą poprzez zaścianek, pozdrowiła i pomachała swoim bratankom, bratanicom i stryjnym, którzy kręcili się wokół gumien. Dziewczęta nosiły z brogów złociste snopy żyta, a mężczyźni młócili je na klepiskach, waląc w kłosy szerokimi zamachami cepów. Dwie stryjny zbierały ziarno do rękawów, a potem przesiewały je przez sita, chcąc oddzielić plewy, dzieciarnia zaś ganiała wokół nich z piskiem. Mężczyźni byli przy szablach – choć żaden nie nosił nawet zwykłych czarnych butów szlacheckich. A wszystko po to, aby nikt postronny nie pomyślał, broń Boże, że pracowali tu jacyś ucziwi, pracowici czy sławetni chłopkowie, lecz szlachetni panowie, którzy choć zapisani w księgach sanockich jako *golotae et odardi*, byli przecież herbową szlachtą.

Zaścianek zabudowany był inaczej niż wsie po tej stronie Werhowyny. Wzdłuż drogi zamiast niskich chyż mieszczących pod jedną strzechą sień, boisko oraz wszystkie izby i komory wznosiły się solidne domy z bukowych i świerkowych bali ciosanych na zrąb, z jaskółczymi ogonami na węglach, przytykające jedną lub dwiema ścianami do stodół, stajni, spichrzów i lamusów. Nie były to okazałe domostwa; na dachach nigdzie nie widziało się gontów ani dachówki, kominy w Dwernikach były tylko dwa, podłogi miały może ze cztery chałupy, a i to tylko w białych izbach. W zamian za to przed wejściem do każdej chaty wznosił się wysoki ganek; do niektórych z domostw wchodziło się po stopniach, a na krzyżu przed Dwernikami widniały przybite na krzyż pordzewiałe szable. Kolejny znak przypominający, iż mieszkają tutaj szlachcice, którzy bardziej szanują swą rodową dumę niżli porwany żupan po pradziadach.

Konstancja wjechała w końcu na pagórek, na którym wznosił się najokazalszy dwór, należący do jej dziada – starszego rodu Dwernickich. Była to budowla sławna na wszystkie okoliczne wsie, miała bowiem komin (wprawdzie jeden, ale zawsze), wykładaną drewnianą tarcicą podłogę w świetlicy i ganek, na który wstępowało się po czterech zmurszałych stopniach. Na dachu było bocianie gniazdo, a z ogródka za domostwem wyglądały dorodne łby dojrzewających słoneczników; dołem zaś, przy pleciance z łożyny, wychylały się ku słońcu delikatne główki pełników przyniesionych tu z pobliskich gór i dolin, tojady i łubiny kwitnące nawet teraz, na początku tej niezwykle ciepłej jesieni. Po podwórzu kręciły się kury i kaczki, z boku stała stodoła, lamus i mała stajnia, przy niej brogi, dalej zaś, za chruścianym płotem, rozłożyła się pasieka ze słomianych uli. Tam brzęczały i uwijały się pracowite pszczołki, zbierające cierpliwie wrzosowy miód, który po zamienieniu w złocisty trunek w zastraszającym tempie zniknął w niesytych gardzielach Dwernickich i okolicznej szlachty. Czasem zaś,

gdy dobrze zaprószył w głowach, stawał się przyczyną zwad, bójek i pojedynków.

Konstancja podjechała pod ganek, zeskoczyła z konia, a wówczas serce zabiło jej mocniej. Przed dworem stała duża, okuta żelazem kolasa. Zaprzężony do niej kościsty, niewysoki węgierski sekiel zanurzał właśnie łeb w worku pełnym obroku. Konstancja знаła tego konia i pojazd. Wiedziała, do kogo należał, a nade wszystko – że jego pojawienie się we wsi oznaczało poważne kłopoty.

–Dobrze, że jesteś, siostrzyczko – mruknął jej starszy brat Bieniasz, zwany Berynda, który kuł żelazo dla całego zaścianka, a czasem dorabiał jako asystencja woźnego starościńskiego opłacany po dwa grosze od mili. – Dziad Hermolaus posyłał po ciebie.

Konstancja spojrzała nań zamyślona. Berynda przygryzł długiego aż do ramienia wąsa i spuścił wzrok, jakby szukał w szparach podłogi na ganku zagubionego przypadkiem dukata.

–Smoliwąs przyjechał – mruknął niechętnie. – Ze sprawą.

–Widzę.

–Idź do dziada. – Berynda zdawał się teraz przypatrywać czubkom swoich czarnych, postrzępionych butów. – Czekaj w białej izbie. Co komu pisane, to go nie ominie, siostrzyczko.

Konstancja przymknęła oczy.

Jakub Smoliwąs. Włodarz z Saniny, włości pana starosty zygwulskiego.

Ich prześladowca, dręczyciel i oprawca.

–Bies idzie ku wam, panienko – wycharczała wiedźma w jej głowie – z tumanów siwych, ze mgły szarej; idzie od Werhowyny, od magór wielkich, przez berehy...

–Siostrzyczko...

Berynda podszedł bliżej, położył rękę na jej ramieniu, zacisnął mocno, aż do bólu.

–Idź, Konstancjo... I pamiętaj, co nam ojciec rzekł.

–Abyśmy szlachectwa nie odmieniali na talary. Abyśmy strzegli herbu i klejnotu jako własnej źrenicy.

–Dobrze, że pamiętasz. Oni czekają.

Konstancja ruszyła do sieni. Przepędziła nogą kury zajęte wydziobywaniem resztek ziarna z klepiska, a potem pchnęła bielone wapnem drzwi prowadzące do świetlicy, skłoniła głowę, przechodząc pod niskim zwieńczeniem.

W izbie przebywało trzech ludzi. Pierwszym był Hermolaus Dwernicki, zgarbiony, pomarszczony starzec w znoszonym, poznaczonym plamami żupanie. Szata uszyta była z materii, która za dobrych czasów była zapewne adamaszkiem, dziś zaś nie różniła się niczym od zwykłej szaraczyny czy spłowiałego sukna. Stary miał sumiaste białe wąsy opadające aż poniżej szyi i równie długie, przerzedzone włosy. Na jego czaszce widniała głęboka owalna blizna. Była to stara pamiątka po ranie odniesionej jeszcze za panowania króla Stefana, kiedy pan Hermolaus wojował z Moskwą pod Pskowem. Dziś nikt już nie wiedział, czy to coś brudnożółtawego, co przebłyskiwało spod skóry w miejscu dawnego zranienia, było kością, czy też może złotem, którym zalutowano ranę. Jednak z tego właśnie powodu na zaścianku nazywano pana Hermolausa Złotą Czaszą. Złośliwi powiadali zaś, że złoto na łbie najstarszego

przedstawiciela rodu Dwernickich pochodziło z kopuł Uspienskiego soboru w Pskowie, a w razie rychłej śmierci mogło przyczynić się do likwidacji długów i kłopotów zaścianka. Nic zatem dziwnego, że w miarę nieubłagania zbliżającego się kresu życia Złota Czasza stawał się coraz bardziej lękliwy, fukał i gniewał się, gdy ktoś na dłużej zawiesił wzrok na jego czaszce, bojąc się może o całość pokierszowanej łepetyny.

Drugim z obecnych w izbie ludzi był niestary mąż o posiwiałych, podgolonych po szlachecku włosach, roztaczający wokół siebie aż zanadto dobrze wyczuwalną woń dziegciu. Konstancja nie spodziewała się, że jego obecność sprawi jej aż tyle przykrości. Oto bowiem miała przed sobą Jakuba Smoliwąsa we własnej osobie.

To człowiek zdobi szatę, a nie szata człowieka. Jednak doprawdy zdumiewające jest, jak wspaniałym dopełnieniem ludzkiej postaci mogą być szlachecki żupan i delia skrojone przez znających się na swym fachu krakowskich albo poznańskich krawców. Z zaściankowego szaraczka strój taki uczyni możnego posesjonata. Z garbatego pokraki – polskiego pana zarabiającego jednym skinieniem na uśmiechy meretryc wartych dziesięć dukatów za noc. Z karbowego czy ekonoma robi senatora i statystę, a ze słomianego kasztelana – karmazyna na tysiącu wsi.

Ale Smoliwąs nawet w adamaszkowym żupanie i delii z kołnierzem jak stąd do Kijowa wyglądał niczym zwykły cham i śmierdzące bydlę. On, potomek zwykłego plebeja z Saniny, synek kmieci, którzy przez lata gięli harde plecy przed byle karbowym, pozował teraz na pana większego niż ksiązę Radziwiłł, a jednocześnie, gdyby mierzyć jego wzrost w obyczajach i fantazji, nie sięgał podbródkiem nawet do mosiężnej sprzączki na pasku byle sztachetki. Nawet pomijając fakt, iż śmierdział jak beczka dziegciu, szlachcicem bywał tylko do pierwszego toastu, a nikt w całym Sanockiem – dorzuciwszy do tego Ziemię Przemyską i Lwowską – nie zaprosiłby go na biesiadę, nawet do nalewania węgryzna do pucharów. Konstancja nie mogła na niego patrzeć, budził w niej większy wstręt niż cuchnący cygański niedźwiedź prowadzony na łańcuchu. Zresztą zwierz przynajmniej mógłby ją zabawić, Smoliwąs zaś był teraz poważny jak świniarz na tureckim kazaniu, a kiedy się śmiał lub odzywał, zwykle czynił to nie w porę i nie o czasie. Idąc do izby, obawiała się wręcz, że nie będzie w stanie spojrzeć na jego chłopską, nalaną gębę, sumiaste wąsy i lepkie łapska z paluchami przypominającymi napuchnięte serdele.

A jednak patrzeć na niego musiała, bowiem Smoliwąs zawsze był przy pieniądzu. Nieważne, czy część dochodów z Saniny osiadała w jego mieszkaniu z pominięciem pańskiej skrzyni, czy też szczęściło mu się na gospodarce. Dość, że rzucał na lewo i prawo brzęczące grosze, orty, szóstaki, a przy święcie nawet złote dukaty i talary. Konstancja wiedziała dobrze, że całe Dwerniki siedziały u niego w kieszeni. I tylko dlatego dziadek Złota Czasza nie poszczuł jeszcze Smoliwąsa psami, a ona sama nie wsadziła mu grotu strzały w rzyć. Floreny były przyczyną, dla której włodarz chadzał dumny jak oskubany paw i z biegiem czasu unosił coraz wyżej swój kaprawy łeb. Powiadano, że poza Sanockiem kazał sobie już mościpanować i że uchodzić pragnie za szlachcica. I w rzeczy samej nie brakowało szlachetków z zaścianków albo hołoty nieposesjonatów z gościńca, którzy rzucali się włodarzowi na szyję, krzycząc: „Miły

panie bracie!” Gdy bowiem ktoś rzekł do niego „waszmość szlachcic”, ten w podzięcie częstował go aż do zdechu najprzedniejszym węgryzmem. A szlacheckie gardła, jak wiadomo, zawsze bywały spragnione.

Smoliwąs zerwał się z ławy, widząc Konstancję. Potrącił srebrny puchar z winem, rozlewając je na obrus, omal nie przewrócił stołu, potknął się o ławę i skłonił przed szlachcianką aż do samej ziemi.

–Mojaż ty miła Kostusiu – wycharczał, zionąc winem i czosnkiem – padam do nóżek jako rab Boży, a waszej mości poddany wieczysty. Spójrz na mnie łaskawszym okiem, bo ci gościńca przywiozłem! Patrzaj – rzekł i dobył coś z sakwy leżącej koło stołu – oto korale najprzedniejsze, jakim na jarmarku w Przeworsku dostał! W domu pewnie lepszych nie masz! Bo takie korale to całe pięć ortów warte! Więcej jak wasza chałupa na Dwernikach, he, he, he...

Gdyby panna Konstancja mogła wprowadzić w czyn myśli, które krążyły po jej głowie, Smoliwąs byłby już w objęciach kostuchy. Albo w samym piekle, w kotle przeznaczonym dla chamów i plebejuszy. Ale że Dwernicka nie była panią Małodobłą, więc włodarz stał nieporuszony, z głupawym uśmiechem na opasłym pysku. I może nawet jej milczenie wziął za cichą zgodę na przyjęcie daru. Znając jego grubą skórę, pewnie nawet nie podejrzewał, że Konstancja najchętniej własnoręcznie udusiłaby go tymi koralami, aby tylko zamilkł na zawsze. Smoliwąs spojrział na swego sługę, który rozwalony na ławie dłuwał w zębach i oglądał wyciągnięte farfocle, jak gdyby spodziewał się wyczytać z nich coś mądrego.

–Matyjasku, skurwysynu! – warknął. – Padnijże przed panną na kolana, bo to od jutra będzie twoja pani. A jeśli coś nie po jej myśli uczynisz, bedziesz kijem bierał jak leda rataj!

–Powoli, panie kochanku, powoli – mruknął Złota Czasza. – Rzekłem, że najpierw pannę Konstancję zapytać musimy, czy będzie ci łaskawa. My, szlachta, u nas, to, tamto, ten, tego, ten, wola, nie niewola, łaskawy panie. Choć ubodzy jesteśmy, nie oddamy niewieściej cnoty za dukaty!

Konstancja już wiedziała, co się święci.

–Moja najmilsza, zacna i kochana wnuczko! – rzekł Złota Czasza, wychodząc naprzeciw dziewczynie. Konstancja skłoniła się przed nim, ucałowała go w dygocącą, pomarszczoną, pokrytą plamami jak indyjskie jajo dłoń. – Ten oto uczciwy i pracowity Jakub Smoliwąs, włodarz z Saniny, kłania nam się uniżenie i o twoją rękę prosi.

Konstancja milczała. Jej lica pociemniały lekko.

–Ja jednak, moja umiłowana wnuczko, córko mego syna Prandoty, a twego pana ojca, któregom ci godnie zastępował przez te wszystkie lata, chcę spytać cię o zdanie. Azaliż jesteś gotowa poślubić tego oto człowieka?

–Znakomity, szlachetny i wspaniałomyślny nasz Dobrodzieju Najzczegodniejszy – rzekła wolno – nie mnie, prostej dziewczynie, o tym decydować. Wasza wola, a co mi zrobić każecie, to uczynię z wdzięcznością. Ale... – Konstancja pochyliła się znowu ku ręce Złotej Czaszy i ucałowała ją, patrząc starcowi w oczy. A każda część jej prześlicznej twarzyczki, każdy skrawek lica, każda brew i rzęsa, mówiła tylko jedno, jakże złowieszcze dla Smoliwąsa słowo: „Błagam, nie!”.

**Złota Czasza zrozumiał bez zbędnych słów, ale nie dał tego po sobie poznać.**

**Zakasał, zachrząkał, zacmokał.**

**–A jednak, mościa panno, pomnij na twój mizerny stan. Nie zapewniłem ci posagu, nie masz folwarków, włości, nie mamy nawet spłachetka ziemi, który mógłbym, to, tamto, ten, tego, ten, ci zapisać. Dlatego wypowiedz to sama, miłeńka. Nie chcę cię skrzywdzić, bo stary już jestem i krzywda twoja grzechem by była, za który w niebie musiałbym odpokutować. Mów śmiało, moje dziecko, chceszli uczciwego Smoliwąsa za męża?**

**Dwernicka nic nie powiedziała. Jej lica pociemniały od gniewu jeszcze mocniej.**

**–Jakem już mówił – chrząknął Smoliwąs nieco stropiony milczeniem panny – i bez posagu będę ukontentowany. Dacie mi Konstancję, to wam wszystkie długi odpuszczę. I skrypty zastawne wykupię u Żyda Szai, faktora dolińskiego klucza. Talarów wam nie poskąpię, w biedzie pomogę, bo od Dwernik nie przymierzając nędza z biedą na całą Ruś idą!**

**Konstancja milczała.**

**–Mościa panno, co tu dużo gadać, lepsza okazja już ci się nie trafi! Zresztą nie widzę, abyś mi krzywa była. Przecie ja jeszcze niestary, a mam skrzynię z talarami w Saninie! Dwa kielichy, opony! I już na święty Marcin do Warszawy poślę, do króla, dwa tysiące czerwonych, aby mi autentyk przysłał. A wtedy to ja już nie będę zwykły pracowity i uczciwy Smoliwąs, ale pan brat! A całe Dwerniki będą mi się w pas kłaniać! A jak pójdę do karczmy, to każę sobie wina dać w alkierzu – a co! – nie będę się z chamami bratał! Kolasę sobie sprawię! I woźników sześć, jak u pana kasztelana z Liska! Już ja o ciebie zadbam; już ty nie zbiedniejesz! Nie bój się, jak w łożu dobrze się sprawisz, tedy cię do roboty w polu nie będę zażywał, nie będę też bizunem smagać! A czerwońców cały podolek ci nasypię! Już ty nie będziesz trzpiotka biedna, ale królowa, pani wielka!**

**Konstancja dygnęła przed Smoliwąsem uniżenie. Ale z jej oczu sypały się skry, a na wargach wykwił diabelski uśmiech.**

**–Łaskawy panie – rzekła, uśmiechając się zimno i wyniośle – zaiste nie mogę nadziwić się waszym komplementom, które równie łatwo wchodzą mi w ucho co porykiwanie buhaja, kiedy jałówkę w polu obaczy. Tęsknię do ciebie, panie Smoliwąs, jako kobyła do woza; miły mi jesteś jak pijanica w rynsztoku po trzydniowej swawoli, a tak powabny jak cap wleczony na postronku do rzeźnika albo stary kołek w płocie. Miłuję cię zaś, mój ty uczciwy Smoliwąsie, jako zadrę w przyrodzeniu. Oto jak brzmi mój respons na twoje starania.**

**–Znaczy się – włodarz, który nie pojął widać zawikłanych i mało oczywistych aluzji panny Konstancji, aż pokraśniał na gębie – zgadzasz się panna? Wiedziałem, że żadna mi dziewczka odmówić nie może!**

**–Jeśli mam ci to objaśnić w prostych słowach, panie Smoliwąs, to woniejesz jak cap, jesteś równie gładki co wisielec urwany od powroza i bodaj cię katu oddali! Nigdy nie będę twoją połowicą; wolę się nożem pchnąć, niżby nam pop stułą ręce związał, boś łotr, szelma i strach na stare baby!**

**Dopiero teraz Smoliwąs zrozumiał absolutnie wszystko, a nawet więcej. Zbladł,**



zacharczał i splunął pod nogi, a potem roztarł ślinę z takim rozmachem, jakby rozcierał w proch całe Dwerniki.

–A więc to tak – rzekł wreszcie, ledwie skrywając gotującą się w nim wściekłość. – Czarną polewkę mi podajesz, mościa panno? Mnie, Smoliwążowi, zacnemu kawalerowi i najlepszemu włodarzowi z Saniny, potwarze śmiesz rzucać? Czekaj, ty latawico! I tak będziesz moja. A wtedy wybiję ci z głowy upór bizunem!

–Precz, chamie! – warknęła Konstancja. – Dość już nas obrażałeś!

–Panie Dwernicki – rzekł wściekle Smoliwąż i postąpił krok ku Hermolausowi – albo mi Konstancję dacie, albo długi płacie! Zaraz! Teraz! Natychmiast!

–Nie gorączkuj się, panie kochanku – rzekł Złota Czasza. – Panna ci odmówiła, słyszałeś przecie. Ty jesteś chłopski syn, plebejusz, włodarz zwykły. A my, Dwerniccy, herbu Sas, szlachta, choć uboga, to jednak honorowa. Nie wstyd ci, grubianinie, wyciągać po pannę herbową rękę oderwaną od pługa? Ród nasz pohańbiony będzie, jeśli Konstancję za plebejusza wydamy!

–Wy mnie tu waszą godnością rodową się nie wymawiajcie! Ta joj, toż to śmiechu warte. Tyle ten wasz honor wart co łajno na dupie, nie mówcie tedy: szarga Smoliwąż waszą godność, o rękę panny się ubiegając. Wy padalce! Jak pieniądze potrzebowaliście, to ja nie był dla was cham i plebej! Jak trzeba było od Smoliwąża pożyczyć, to się go winem do zdechu poilo, na zaścianek zapraszało. A teraz co – dudy w miech, panie Dwernicki?!

–A cóż ja mam uczynić, skoro ciebie panna nie chce?

–To sprawcie, by zechciała! Wyście, panie Hermolaus, tu starszy, starczy, że dziewczce dwadzieścia odlewanych dać każecie. Rzeknę wam, że już przy piątym łaskawszym okiem na mnie spojrz! Co to, nie wiecie, jak taką młodocianą ćwiczyć?!

–I na tym właśnie, to, tamto, ten, tego, ten – mruknął dziad Złota Czasza – zasada się różnica między plebejami a szlachtą. Bo u nas wolna wola, nie niewola! Nikt nie będzie szlacheckiego dziecka przymusza, aby się za sprośnego chłopca wydało. Gdzie to kto widział, aby chama do naszego rodu dopuszczać, co dziś zażąda ręki Konstancji, a jutro czego? Może złota z mego nieszczęsnego czerepu?

–Kiwajcie głowami, ja wiem, co mówię! Jak nie wiemy, o co chodzi, to wiemy, o co chodzi. Panowie szlachta... A jakże! – zawył rozwścieczony Smoliwąż. – Wy ślactwo dostaliście, a ja się z nim urodziłem, bom szlachetny z natury! Dajecie pannę czy nie?!

–Ja ciebie, Smoliwąż, nie chcę! Nigdy! I pod żadnym pozorem.

–Zawrzyj ty gębę, Konstancja – warknęła Smoliwąż. – Bo po pierwsze, za twoje słowa warta jesteś dostać w papę, a po drugie, nie ciebie pytałem.

Złota Czasza pokiwał głową.

–Kostusia zgrabnie rzecz całą ujęła – rzekł. – Bo ja bym to wam płazem szabli wytłumaczył.

–Wy tu uważacie, że ja co jestem? Jakiś chłystek? – warknął Smoliwąż przez zaciśnięte żółte zęby. – Jeszcze tego pożałujecie! A ty, panna, żeś nie chciała być Smoliwążową, tedy będziesz moją murwą! Na postronkach będę cię włóczył, w chlewie spać każę! Nie chciałaś po dobroci, tedy siłą cię wezmę! Razem z waszym

**parszywym zaściankiem!**

**–Smoliwąs – rzekła spokojnie Konstancja – nie jesteśmy tu, aby słuchać waszych złorzeczeń! Idźcie sobie precz jak najprędzej. Do stajni albo do chlewa, który tak lubisz. Tam twoje miejsce, grubianinie!**

**–Szlachtaście wy, ale i ja szlachcic, bo to przezwisko Smoliwąs to szlacheckie słowo! – zaryczał włodarz. – Dumniście, hardziście, chociażście z tego samego gnoju co ja, chłop! Ale zobaczymy, panowie ślachta, gdzie wasze pisma, gdzie autentyki! Ja o wszystkim rozpowiem! Ja wszystko doniosę! Znajdzie się na was konopny powróż i dyby, wy plebeje, co się śrubujecie na szlachciców!**

**–Panie kochanku – wydyszał siny ze złości Złota Czasza – idź precz! Z widłami do gnoju, chamie! Dopuszczałem cię do konfidencji z nami, ale teraz znać, żeś chłop z mowy i obyczajów! Precz, pókim dobry, bo psami poszczuję!**

**–Zaprawdę powiadam ci, Hermolaus – chamska gęba Smoliwąsa była już niebezpiecznie sina ze złości – ty mnie się strzeż, bo ja tej zniewagi nie puszcę płazem. A ty, panno, kurewnico, wypindrowana suko, wytartusie przez całą wieś chędożony, bazarnico na obie szpary wyjebana! Ty francowata małpo, zamtuźnico ze spalonego bordelu, pamiętaj, że i tak będziesz moja. Znajdę ja sposób, by się dobrać do twojej piczy!**

**Konstancja sięgnęła za plecy. Chwyciła tatarski łuk i strzałę, złożyła go w dłoniach i zanimbyś zdążył zdmuchnąć kaganek, złożyła się do strzału. Naciągnięta cięciwa zatrzeszczała. Smoliwąs zmarł. Błyszczący grot mierzył w sam środek jego czoła, prosto między prawie zrosnięte, krzaczaste brwi i ślepia gorejące jak u wilka, który właśnie zwęszył krew.**

**–Fora ze dwora, Smoliwąs!**

**–Nie dopiłem wina – rzekł nieco stropiony.**

**–I nie dopijesz! Precz, chamie!**

**Smoliwąs rozejrzał się dokoła, jakby w poszukiwaniu popleczników. Wahał się.**

**–Ręka mi mdleje – ostrzegła beznamietnym tonem Konstancja. – Zaraz będziesz przeklinał mnie w piekle, Smoliwąs.**

**Włodarz nic nie rzekł. Porwał ze stołu czapę, rzucił wściekle spojrzenie na Hermolausa, a potem dał susa ku drzwiom. Wypadł do sieni, a potem usłyszeli tupot jego podkutych butów na ganku. Matyjasek popędził za nim, nie wyjmując oczywiście palca z gęby.**

**Zapadła cisza. Konstancja usłyszała trzask bicza, głuchy tętent kopyt i oddalające się rzenie konia. Z westchnieniem ulgi zwolniła cięciwę, opuściła łuk, a potem spojrzała na Złotą Czaszę.**

**–Oj, dziadusiu, dziadusiu – załkała.**

**–Na Boga żywego! – zakrzyknął z zachwytem stary. – Aleś chama sprawiła! Popamięta on na wieczne czasy te odwiedziny! Szkoda, żeś mu w zadku strzały nie ostawiła. Miałby pamiątkę na stare lata i może nauczyłby się pokory! Pójdźże w me ramiona, Konstancjo! Moja krew, panie kochanku! Moja krew!**

**–Dziadusiu – zaszlochała dziewczyna – co teraz będzie? Co teraz będzie z nami? Stary stał zgięty, zgarbiony, trzęsący się.**

–Nie wiem, córuchno – rzekł cicho. – O nic nie pytaj.

\* \* \*

Na naradę we dworze dziada Hermolausa zeszli się wszyscy znaczniejsi Dwerniccy; w tej liczbie Kołodrub, Berynda, a także synowcowie ojca nieboszczyka Konstancji. Był zatem Zbożny Dwernicki zwany Pełczakiem, byli Samuel, Krzysztof i Abraham, którego nazywano Szczerbakiem, a także kilku innych, mniej znacznych krewnych i swaków Dwernickiej. Panowie bracia przyszli w żupanach z sukna i szaraczyny, w prostych siermięgach i huniach, w bekieszach i czamarach pamiętających chyba jeszcze czasy ostatnich wnuków króla Jagiełły. Jednak wszyscy byli w butach, wdzianych zresztą specjalnie na tę okazję, a choć z niektórych wyglądała chłopska słoma, jak na szaraczków z zaścianka prezentowali się dziarsko i bojowo. Zwłaszcza że w zgromadzeniu było nawet kilka szabel. Wprawdzie Szczerbak miał tylko okuty kij, z którym popisywał się na ubiegłorocznym okazowaniu szlachty sanockiej, a pozostali panowie bracia w większości przypasali szabelki bez pochew, zawieszane na konopnych sznurkach, parcianych rapciach czy zwykłych rzemykach. Ale przecież, jak powiadają – lepszy rydz niż nic.

Konstancja, jako niewiasta, nie była zaproszona, ale że to jej miała dotyczyć sprawa, więc wprosiła się sama, nie pytając nikogo o zdanie. Berynda i Kołodrub, których głos, jako najstarszych, przeważał zwykle w kole, nie rzekli nic, choć Wespazjan zmarszczył brwi na jej widok. Może wciąż nie mógł przeboleć krotochwili z koniem?

Szaraczkowie kłaniali się w milczeniu Hermolausowi, całowali go w rękę, a potem zasiedli przy stole w świetlicy. Berynda polał miodu do kuśtyków i srebrnych pucharów. Dwerniccy w milczeniu delektowali się trunkiem, spoglądali jeden na drugiego. Wreszcie pierwszy odezwał się Bieniasz.

–Wezwałem was – mruknął i odrzucił aż na ramię długiego wąsa – względem tego, co się dzisiaj stało. Przyjechał Smoliwąs, którego dobrze znacie. Cham i prostak, ale zausznik i przydupas pana z Łańcuta, włodarz z Saniny. Ten sam, u którego mamy dług zaciągnięty w zeszłym roku, *in iulio*, pod zastaw tych ośmiu morg podług strumienia. Smoliwąs postawił nam, bracia, ultimatum: wóz albo przewóz. Albo oddamy mu rękę naszej siostry Konstancji i nam dług daruje, a jeszcze stare skrypty u Żyda Szai spłaci, albo mamy oddać pieniądze na świętego Marcina. A u nas, jak wiecie, prędzej uświadczysz pohara w komorze niżli choć jednego złamanego szeląga.

–Zali tedy daliście rękę panny Konstancji Smoliwąsowi? – zapytał Pełczak. – Oddaliście szlacheckie dziecko chłopu?

–Panna sama zdecydowała – mruknął Berynda. – Chamskie zaloty Smoliwąsa odrzuciła ze wzdargą i precz go posłała, że mało postoiłów nie pogubił!

Hermolaus, Pełczak, Szczerbak i Samuel wybuchnęli śmiechem.

–A to i dobrze! – huknął Pełczak. – Nie pokaże się grubianin w Dwernikach jak świat światem!

–Doprawdy kawalerska w tobie fantazja, Konstancjo – zakrzyknął najmłodszy Samuel. – Pójdźże w me ramiona, siostrzyczko!

–Moja to krew, panie kochanku – zahuczał Złota Czasza. – Ot po czym poznać nieodrodną córę Prandoty!

–Poznać po głupocie – rzekł Kołodrub, a wówczas gwar i śmiechy urwały się jak ucięte nożem. – Przepędziła panna Smoliwąsa, ale on wróci. Po te osiem mórg podle strumienia, po naszą najlepszą ziemię. Przylezie z dekretem sądowym i z pacholkami starościańskimi. I co wtedy, mości panowie? Co uczynicie? O tym radzić mamy, a nie o fantazji kawalerskiej u białogłów.

Zapadła cisza. Szaraczkowie siedzieli, zmarszczywszy brwi. Berynda był chmurny jak gradowa chmura, a Kołodrub skupiony niczym Żyd rachujący dukaty.

–A nie możemy jakoś Smoliwąsa spłacić? – zapytał z głupia frant Samuel, jakby nie wiedział, że na zaścianku w Dwernikach było tuzin Krzysztofów, sześciu Samuelów, a talara ani jednego.

–Zbiory marne były, a co było wiwendy, tośmy wszystko już dawno, z przeproszeniem, przepili i prze hulali. Nie trzeba było polowań z nagonką urządzać. Nie trzeba było sąsiadów spraszać, koni i chartów kupować, węgrzyna i małmazji pijać, ale źródlaną wodę, jako Pan Bóg przykazał. Bo teraz przyjdzie gołą rzycią przed ludźmi świecić, panowie bracia.

–Do świętego Marcina daleko – mruknął milczący dotąd Szczerbak. – Jeśli długu nie oddamy, tedy Smoliwąs do sądu ziemskiego nas poda. Roczek ziemski najbliższe są zaś w Sanoku dopiero na koniec decembra. Siła rzeczy do tego czasu zdarzyć się może. Wojna jakaś albo wyprawa...

–A choćby Smoliwąs i nas pod sąd oddał, to co?! – zaperzył się Samuel. – Zanim dojdzie do inductów i replik, będą po drodze jeszcze dwie dylacje i ani się Smoliwąs obejrzy, a dwa lata zlecą na samych pozwach. A choćby wyrok miał, musi być jeszcze intromisja. A jak się zbrojno postawim, to się cała rzecz o rok jeszcze przewlecze, do rumacji! No to przez ten czas Smoliwąsa, takiego syna, spłacimy! Z procentami!

–A skąd ty weźmiesz pieniądze? – mruknął Kołodrub. – Myślisz, że ci się przez te dwa lata dukaty urodzą? Gdzie? Chyba między dyniami za chałupą.

–Ja mogę na wojnę iść! A choćby nawet na Moskwicina! Do kniazia Dymitra! Zawsze chciałem zobaczyć Moskwę! Cerkwie, panny, złote wrota. Kiedy wrócę, nasypię Smoliwąsowi w pysk złota jako gęsi tuczonej!

–Ci, co poszli z carową Mniszchówną, gniją teraz w tiurmach w Moskwie i Suzdalu. Albo im motłoch gardła urezał zeszłego roku w majowe gody, kiedy Samozwaniec ślub brał. Ci zaś, co wrócili, same guzy z tej awantury wynieśli. Gdzie ty chcesz iść? Na cara Szujskiego? A może samemu nowym Dymitrem się ogłosić?

–A na Turków?

–Na Turczyzna chadzali nasi ojcowie. I do dziś nikt nie wrócił. Przez tę wyprawę zostaliśmy sami na zaścianku i mamy dług u Smoliwąsa. Pójdę na wojnę – mówisz – a skąd na konie weźmiesz i na moderunek? Szabli nawet nie masz, zbroi ani kulbaki. Nowe długi chcesz na to zaciągać?

–Wiele jesteście winni Smoliwąsowi?

–Półtorasta złotych. Nie licząc procentów.

–O święta Matko Rudecka – westchnął Berynda. – Kiedy mu to spłacim? I z czego? Ostatnią kapotę przyjdzie zastawić, za psiarczyka u Balów służyć. I wyzbyć się skrawka ziemi po rodzicach.

–Wszystko dlatego – uzupełnił Kołodrub – że nasza siostrzyczka wybujała jako ta topola przy płocie. I jej chłop śmierdzi, choć nasz los u niego w ręku. Bo ona pewnie na księcia czeka. Albo na wojewodzica!

–Chceszli mnie zmuszać do ślubu – wybuchła Konstancja – tedy mnie lepiej ożeń ze starym capem, byle nie z tym plebejem! Nie pójdę za Smoliwąsa!

–Nie ty za Smoliwąsa, to Smoliwąs za ciebie pójdzie – rzekł beznamiętnie Kołodrub. – Sam cię siłą weźmie. Bo Smoliwąs, bracia, nie poczeka na żadne dylacje ani dowody. Ledwie papier będzie miał w garści, sam nas zajedzie. A pomocy dostanie – choćby od Hoszowskich albo od panów Rosińskich, za dukaty.

–Niech przyjedzie! – mruknęła Konstancja. – Cóż to, stare baby się z was porobiły? Kramarki sanockie? Albo to nie jesteśmy szlachtą, rycerstwem koronnym, aby trwożył nas jeden chłopski syn?! A niechaj i z hajdukami starościńskimi nas zajedzie! Damy mu prochu z za parkanów powąchać!

–Hańba! – zakrzyknął Samuel. – Na pohybel! Nie oddamy siostry plebejowi grubemu!

–On zdrajca, psi syn!

–Bratu własnemu młyn za długi zabrał!

–Rodzinę całą na gościniec o żebraczym kiju posłał!

–Prać Smoliwąsa!

Kołodrub huknął pięścią w stół, aż echo poszło po izbie.

–Czym niby – mruknął do Samuela – będziesz Smoliwąsa prał? Tą jedną szablą po pradziadach, co w twej chałupie na was pięciu została, czy kijem leszczynowym? Skąd prochy weźmiecie, bracia? Skąd rusznice? Pożyczycie? Złupicie na gościńcu? To wtedy na zamku przemyskim w wieży pognijecie!

Szaraczkowie uciszyli się.

–Smoliwąsa – mruknął milczący dotąd Szczerbak – można przejednać. Dać mu coś na zadatek, winem i miodem ułagodzić.

–A może – ozwał się znowu Kołodrub – o przebaczenie go uprosić i pannę oddać? Czy ty, Konstancjo, zrozumiesz wreszcie, że w twoim ręku los nas wszystkich?!

–Jeśli chcesz mnie zmusić, abym poszła za Smoliwąsa, tedy się kindziałem pchnę!

–Akurat.

–Nie pójdę za Smoliwąsa! Ucieknę!

–Dokąd, siostrzyczko?

–A choćby na Ukrainę! Do Kozaków.

–A myślisz ty, że Kozacy tylko czekają na ciebie? Idzie ci już dwudziesta i trzecia wiosna, siostrzyczko. Czas ci za męża, nawet wedle konstytucji. Na kogo ty czekasz? Kto cię weźmie bez posagu?! Panu Bogu pobłogosław, że ci się Smoliwąs trafia! Ja ci radzę, porzuć niewieści upór, włodarzowi do nóg padnij! I o wybaczenie poproś!

Konstancja zerwała się od stołu, chwyciła próżny dzban po miodzie, a potem cisnęła go podnogi Kołodrubowi. Naczynie roztrzaskało się na kawałki, a Dwerniccy

aż rzucili się w tył, przerażeni wybuchem gniewu dziewczyny. Konstancja stanęła nad bratem jak rozwścieczona kocica.

–Nie pójdę za Smoliwąsa! Nie, nie, nie! Veto!

–Tedy spłać nasze długi u niego. Ocal choć część tego, co nam ojcowie ostawili! Kto nas obroni, kiedy tu Smoliwąs ze zbrojną kompanią przyjdzie?!

–A choćby Dydyńskiego o pomoc poprosimy!

–Ty myślisz, że Dydyński przyjdzie nas bronić za twe piękne oczy? Toż on więcej za pomoc weźmie, niż mamy długu u Smoliwąsa! W chłopcy nam przyjdzie pójść, braciszkanie, aby go wynająć.

–Poza tym – wtrącił Berynda – pan Dydyński jest teraz na służbie u starosty zygwulskiego, który złotem mu płaci i we wszystkich sprawach sądowych daje zastępstwo. A po zwadzie w Tyczynie nie wiem, kogo się bardziej bać, gdyby tu przyszli – Smoliwąsa czy swawolników Dydyńskich.

–Radźmy, bracia – mruknął Szczerbak. – Proponujecie, aby pannę Smoliwąsowi oddać i sprawę załagodzić? A co wy na to, ojczy Hermolausie? Macie jakąś mądrą radę?

Konstancja spojrzała błagalnie na swego dziada. Na próżno. Złota Czasza spał, pochrapywał z odchyłoną do tyłu głową. Widać znużyło go wysłuchiwanie kłótni i awantur krewniaków.

–Moja rada jest taka – rzekł Kołodrub. – Posłać umyślnego do Smoliwąsa, rzec mu, że panna już zmądrzała i gotowa do zaślubin!

–Nie pozwalam! – krzyknął Samuel. – Co to ma znaczyć? Chcesz siostrę naszą, szlachciankę, wydać za chłopca, grubianina i prostaka? Toż Prandota w grobie się przewraca na takie *dictum!*

–A niech się przewraca. Niech mnie nawet w nocy jego duch nachodzi! Ja zdania nie zmienię. Bo jeśli ślubu nie będzie, *tedy primo*: Smoliwąs zabierze nam najlepsze grunta, *secundo*: pójdziemy z torbami na gościniec żebrać po jarmarkach jak dziady. A poza tym dziewczka jest pod naszą władzą, prawda, Berynda? I to my, jako jej bracia, mamy prawo decydować, za kogo ją wydamy.

–Prawda – mruknął niechętnie Bieniasz. – Ale nie chcę jej przymuszać. Lepiej czekać, niż potem narzekać. Tedy poczekajmy jeszcze, obaczymy, co się stanie...

–Panowie bracia – rzekła zdecydowanym głosem Konstancja – słucham was tutaj i zaprawdę powiadam: bodaj was pioruny rozdarły! Bodaj wam haremu u Tatarów pilnować, a nie szlachtą być. Zaprawdę Smoliwąs ma rację! Wy już chłopcy, zwykłe chamy z wioski, a nie herbowi bracia! O czym wy w ogóle mówicie?! Czekać, nie czekać. Dać, nie dać... Azaliż odbierze nam Smoliwąs rolę czy nie... Gdzie, do stu piorunów, wasza fantazja szlachecka?! Gdzie honor i klejnot rodowy? A może już je Żydowi w karczmie za piwo ostawiliście? A może podpiwek, a nie krew macie w żyłach? Ja wam jedno radzę: zajedźmy Smoliwąsa! Porwijmy psiego syna z chałupy, wyduśmy od niego skrypty dłużne, papiery w ogień rzućmy, a jego samego psami poszczujmy i batogami po zadzie schlastajmy! Za to, że śmiał cham podnieść rękę na mnie! Kto się zgłasza? Kto na koń zaraz wsiądzie i za mną na Smoliwąsa ruszy?!

–Ja! – zerwał się z miejsca Samuel. Lecz zaraz po tym jego brat Abraham porwał

go za łeb, ułapił za kołnierz u żupana i usadził na miejscu jak dorodny tur byka.

–Siedź – wycharczał Abraham. – I przed starszych nie występuj!

Konstancja potoczyła wzrokiem po obecnych, przygryzła wargi.

–A zatem nikt nie chce mi pomóc, mości rodzinę? Nikt nie stanie w obronie mej cnoty? Dobrze... Tegom się spodziewała! Bądźcie zdrowi! Sama to załatwię!

Odwrociła się i ruszyła do drzwi.

–Stój! – krzyknął Kołodrub. – Dokąd idziesz, szalona niewiasto!

–Zrobić wam dylację w sprawie o dług u Smoliwasa – odrzekła, patrząc mu prosto w oczy. – Zaprawdę powiadam, że po tym, co tu usłyszałam, Smoliwas weźmie ode mnie taki basarunek, iż ręczę wam, że dylacja potrwa nie tylko do Kwietnej Niedzieli, ale i do Zielonych Świątek. Daję słowo, że cham będzie gnął na wyrze i gryzł poduszkę przez pół roku!

–Poczekaj! – zakrzyknął Berynda. – Nie rób głupstw, dziewczyno...

Za późno. Konstancja wskoczyła do sieni, trzasnęła drzwiami, podparła je brzożowym kołkiem, a potem chwyciła łuk i sajdak ze strzałami. Szybko zbiegła z ganku na podwórze, roztrącając kury i kaczki, pomknęła ku stajni. Przed otwartymi wrotami stał wołoszynek Beryndy uwiązany na kantarze do drewnianego słupka. Po końskim grzbiecie przeciągał zaś zgrzeblę gruby kozak Szawiła, który nucił pod nosem jakąś ruską melodię.

Z Szawiłą była zaś związana historia niemająca nic wspólnego z zaściankiem. Kozak nie był poddanym Dwernickich, lecz ich sługą. Trafił zaś, a właściwie ukrywał się tutaj od wiosny, obawiając się, jak sam powiadał, zemsty możnych panów Ostrogskich. Za co zaś mieliby się pomścić na biednym, starym Zaporozcu kniaziowie z dalekiego Wołynia, tego Szawiła nie chciał rzec nawet pod przysięgą. Siedział jednak na zaścianku cicho jak mysz pod miotłą i chociaż służba u Dwernickich nie napełniła jego chudego trzosa złotem, miał jednak nieborak tę satysfakcję, że nigdy nie chadzał głodny. I to mu, zdaje się, wystarczyło. Konstancja lubiła go wielce, a z facecji i anegdot, które opowiadał, zaczynała powoli się domyślać, jakie przyczyny skłoniły go do porzucenia służby w Ostrogu.

Teraz wszakże nie był czas i pora na pogawędki. Konstancja przystąpiła do Szawiły, a on skłonił się, zdejmując z podgolonego łba wilczą kapuzę.

–Szawiła – rozkazała Konstancja – gotuj się.

–Za pozwoleniem, mościa panno – odrzekł rezolutny Zaporoziec – jam, jak każdy kozak, zawsze gotowy. Starczy, że hajdawery opuszczę, i już mogę przystępować do owej rzeczy. Mam je opuścić? Tutaj? A może na sianko pójdziemy?!

–Stulże pysk, szelmo! Gotuj się do drogi, nie do łaźni!

–Rzeknijcie jeno, gdzie mamy jechać. Na wojnę? Na chadzkę? Do zamtuza?!

–Okulbacz konia i nie gadaj tyle, bo czasu szkoda! Sam weź podjezdka, pojedziesz ze mną jako asysta.

–Służba, mościa panno!

–I przynieś mi szablę dziadusia! Migiem!

–Szablę jego mości pana Dwernickiego? – Kozak wybałuszył oczy. – To jednak na zajazd waćpanna jedziesz?

**–Ruszaj, bo czasu szkoda!**

**–W rzeczy samej czas ucieka – rzekł, nie przestając się uśmiechać – dzisiaj wždy trzeba chwycić każdą najkrótszą chwilę jako nie przymierzając wróbla albo kutasa w garść. Znałem ja pewną znaczną panią, która kiedy tylko napotykała swego wiernego służkę w dobrą porę, bez obawy widoku i odkrycia, zaraz chwyciła okazję, aby się zadowolić z nim najrychlej i najspieszniej jak mogła. Powiem mości pannie w sekrecie, że głupie były owe niegdysiejsze panie, które nazbyt chcąc wytrwać w swoich miłościach i rozkoszach, zamykały się albo w alkierzach, albo w innych ukrytych miejscach. Dzisiaj szkoda czasu trwonić, trzeba tedy w try miga łaźnię sprawić – obłąpić się, żądło wypuścić i zaraz całą rzecz zakończyć, nim kto postronny zobaczy.**

**–Kulbacz konie! – syknęła Konstancja, widząc, że kozak znowu zaczyna snuć jedną ze swych facecji – równie bezwstydnym co żywe widowiska i obrazy na uczcie u pana nieboszczyka kanclerza Zamoyskiego. Jeśli Konstancja nie rumieniła się, słuchając rozlicznych opowieści o miłosnych podbojach Szawiły, to po pierwsze dlatego, iż była biedną szlachcianką, a żyjąc na biednym folwarczku, oswoiła się z naturalną koleją pewnych rzeczy. Po drugie zaś zasób facecji kozaka zdawał się nie mieć końca i już po kilku miesiącach jego opowieści nie wzruszyłyby nawet nowicjuszek będącej świeżo po obłuczynach w klasztorze, a co dopiero panny chadzającej w męskich strojach i wychowywanej od dziecka razem ze starszymi braćmi.**

**Szawiła posłusznie podreptał do stajni. Wyprowadził Werchatego, narzucił nań czaprak, sparciała kulbakę, trzęsel z munsztukiem zdobiony postrzępionymi forgami i kutasami, z których część odpadła ze trzy lata temu. Zakrzętnął się wokół podjezdka, dobył ze skrytki i przyniósł Konstancji starą batorówkę w czarnej pochwie. Panna przyczepiła rapcie do paska, skoczyła na siodło, a potem zwróciła konia ku bramie.**

**–Alt!**

**Ruszyli skokiem przez zaścianek, przemknęli przez bramę, a na rozstajach, zaraz za krzyżem, skręcili na trakt w prawo, na Ternkę i Wilkowyję.**

**–Mościa panno! – zakrzyknął coraz bardziej zdumiony Szawiła. – A dokąd to jedziemy?**

**–Do Hoczwi, Szawiła. Do karczmy. A tam...**

**Wstrzymała konia i przechyliła się do ucha kozaka, a potem coś wyszeptała.**

**Szawiła zbladł. I przeżegnał się po prawosławnemu.**

**\* \* \***

**Dwerniki, zda się, od zawsze leżały nieopodal ustrików Wetłynki i Solanki. A przynajmniej od kiedy ponad dwa wieki temu na zamku w Sobieniu osiadł Piotr Kmita zwany Lunakiem, możny pan z rycerskiego rodu. On tchnął nowe życie w górskie ostępy, którymi do tej pory przemykali się zbóje i Tatarzy, dzicy osacznicy i borowi ludzie, upiory, biesy oraz wilkołaki. Piotr Kmita rąbał odwieczne bory, wydierał lasom, magurom i dolinom miejsca pod zamki i miasteczka, zakładał wioski na surowym korzeniu i wołoskim prawie, sprowadzał osadników z Multan, Rusi, z dalekiego Mazowsza i Podlasia. Wyrąbował trakty, stawiał wiatraki, wytyczał brody i**



przejścia, podbijał zbójeckie gniazda, zajmował zdziczałe uroczyska. I koniec końców ród Kmitów zdobył pół Bieszczadów, dzieląc się nadszańskimi łągami i lasami jedynie z Balami z Hoczwi. I tak poczynając od Sobienia, mieli Kmitowie Lisko, liczne wsie nad Sanem, aż po Równię, Czarną i położoną na krańcu gór Tarnawę. Lecz górskie werchowyny i dolina Sanu nie były bezpiecznym miejscem. Przez dzikie ostępy przechodziły z Węgier do Korony gromady beskidników i tołhajów, Tatarzy, Turcy, Węgrzy i Wołosi, aby grabić i palić. Więc dla obrony granic ściągali Kmitowie w dalekie góry zastępy drobnego rycerstwa i osadzali ich na dzikiej ziemi na lennym prawie. I właśnie w taki sposób powstały Dwerniki, gdy Kmita – dziedzic Liska – założył na pograniczu swych włości, na uroczysku w widłach rzek, rycerską osadę, dając ziemię na prawie lennym dwóm ubogim przybyszom z litewskiego Podlasia – Iwo i Matiaszowi, którzy wzięli swoje nowe miano od nazwy uroczyska Dwernik. Przybysze służyli wiernie Kmitom, dopóki ich ród trwał w tych odległych górach na południowej granicy Korony. Chadzali na wojny krzyżackie, gdzie pod Chojnicami poległ z mieczem w ręku Iwo, a synowie zasiedli po nim na połowie wioski; cudem przetrwali wyprawę bukowińską za Jana Olbrachta i ostatnie wojny z Krzyżakiem, najazd Mołdawian i Wołochów oraz przesławną bitwę pod Obertynem. A kiedy zmarł ostatni z Kmitów, Piotr, marszałek wielki koronny, gdy włości znamienitego rodu przeszły w obce ręce, rozszarpane przez Herburtów, Tarnawskich i Stadnickich, potomkowie braci przestali być lennikami możnego rodu. Kiedy zaś minęły czasy Królestwa Polskiego, a w Lublinie ogłoszono przesławną unię narodu polskiego oraz litewskiego i nastąpiła epoka Rzeczypospolitej, Dwerniccy stali się zwykłą szlachtą. Chodackową i zaściankową, bo od czasów Iwa i Matiasza coraz to nowe pokolenia dzieliły między siebie skąpe spłachetki pól w dolinie Wetłynki i Solanki i rozrywały je jak postaw sukna na coraz mniejsze sztuki. Ziemia była tu o wiele lepsza niż w okolicznych wioskach, jednak podzielona na spłachetki i zagony, z których ledwie można się było utrzymać. Przymierając głodem na przednówkach, ratowali się zatem Dwerniccy służbą wojskową i do końca panowania króla Stefana niewiele bywało wojen, zwad czy bitew, w których nie usługiwaliby Rzeczypospolitej szabelkami. Chadzali jeszcze na Orszę i Smoleńsk pod przesławnym Konstantym Ostrogskim, a potem pod Starodubem ścinali hardych moskiewskich jeńców, którzy rozsierzdzili pana hetmana Jana Amora Tarnowskiego. Bili się w Inflantach i w wojnie kokoszej. Aż wreszcie nadeszły wielkie boje równie wielkiego króla Stefana, który jak Herostrates w kolebce zdusił łeb moskiewskiej hydrze, wydzierając Iwanowi Tchórzliwemu Połock, Wielkie Łuki, ściskając Psków w żelaznych cęgach oblężenia. Z wojny tej przywieźli Dwerniccy znaczne łupy, ale też rany i blizny na łbie starego Hermolaua.

A potem, gdy nastał pokój, a panom Dwernickim ciasno było na maleńkim zaścianku, Anno Domini 1583 umyślili iść na wojnę na Węgry, gdzie cesarz niemiecki wojował z Turkami. Na wezwanie Rakuskie stawili się cały zaścianek – kto tylko mógł unieść szablę i rusznicę, kto tylko był się w stanie utrzymać w kulbace, ten poszedł bić pohańców, a w Dwernikach zostały tylko niewiasty, starcy i dzieci. Pozostał ranny Hermolaus, pociągnął jednak na wyprawę jego syn, ojciec Konstancji, Beryndy

**i Kołodruba – Prandota Dwernicki, razem z młodszym bratem Andrzejem.**

**I taki właśnie był początek kłopotów zaścianka.**

**Z panów braci, którzy wyruszyli na wojnę, nie wrócił nikt! Przepadli jak kamień rzucony w Sine Wiry na Wetłynie. Myślano zrazu, że dostali się w niewolę Turków albo Tatarów, ale lata mijały, a w Dwernikach nie pojawił się żaden posłaniec, nikt, kto by przeszedł na tę stronę Bieszczadu z wieścią, iż żyją albo że okup jest do zapłacenia. Na próżno szukał ich Hermolaus, poszukiwał nawet Piotr Bal, podkomorzy sanocki, uproszony przez wdowy i synów zaginionych; dowiadawali się o nich kupcy i Ormianie, a nawet możni Korniaktowie ze Lwowa. Lecz nikt nie znalazł ani śladu Dwernickich! Domniemywano później, iż musieli wszyscy zginąć ze szczętem, że być może wpadli w zasadzkę sabatów lub dzikich Wołochów, którzy wybili ich do nogi, tak iż nikt żywy nie uszedł, aby zdać świadectwo o tym, co się stało.**

**I to był koniec spokojnych dni zaścianka. Dwerniccy, idąc na wyprawę, narobili długów, których nie miał kto spłacać. Pola i gumna niszczały bez nadzoru, żony i maleńkie dziatki biedowały w chałupach i dworkach, w piecach wył zimny wicher, a w komorach czał się głód. Zagony zarosły młodym lasem, przepadły wcześniejsze łupy. Pasy perskie i tureckie, zdobione kulbaki, czapraki i forgi, trzęsienia i pierścienie poszły do Żydów i Ormian w zastaw za długi, zastawiono tureckie opony, jedwabie i adamaszki ze ścian dworków. Nędza i niedostatek wyzierały pospołu z każdego zakamarka. Dopiero po kilku latach, gdy wyrosli i zmężnieli synowie tych, co pomarli w dalekich stronach, wioska stanęła na nogi. Lecz do dawnej świetności Dwerniki nie powróciły już nigdy. A potomkowie panów braci, którzy niegdyś krzesali iskry podkowami, pędząc po Sanoku, Lisku czy Rzeszowie, dziś zginali karki za pługiem i broną, chadzali w Inie i samodziale, czapkując przed byle Smoliwąsem, bo miał kabzę nabitą srebrnym groszem.**

**Takie właśnie niewesołe myśli krążyły w głowie Konstancji, kiedy wraz z Szawiłą jechała przez Ternkę i Terpiczów do Hoczwi. Zbladły i rozmyły się dopiero wówczas, gdy minęli Wisielnik, gdzie na szubienicach kiwało się kilku smętnych beskidników, czekając, aż miejscowe kruki i wrony raczą dokończyć żałobnej stypy. Wywietrzały ze szczętem, gdy Szawiła wskazał szlachciance Grodzisko – wyniosłą górę w widłach błękitnego Sanu i niewielkiej rzeczki. A później zjechali w dół, między skały, przebyli Hoczewkę rozlewającą szeroko wody na kamiennym brodzie, szemrzącą wśród kamiennych berehów i ścian. A kiedy zmrużyli oślepię zachodzącym słońcem oczy, ujrzeli w dolinie dach zboru, czyli dawniejszego kościoła Świętej Anny, cerkiewkę, karczmę kazimierzowską, zamek i niskie chłopskie chyże rozsypane wzdłuż łągu, pogrodzone opłótkami i parkanami. To była Hoczew.**

**Jechali tam, gdzie wznosił się niewysoki kamienny zamek z czterema obronnymi basztami. To było stare gniazdo rodowe Balów, świeżo odbudowane po pożarze, jaki wybuchł w fortecy jakieś dziesięć lat temu. Pożar sprawił piorun, co oczywiście natychmiast uznane zostało za zły znak i palec boży wymierzony w odszczepieńców i heretyków. Zdarzenie to natychmiast dało pole do popisu miejscowym gawędziarzom. Powiadali oni, iż nieszczęście było karą bożą za bezbożne i**

bluźniercze czyny Matiasza Bala, zawziętego kalwinisty, który miejscowy kościół przerobił na zbór, powyrzucał z niego obrazy i krzyże, a w miejsce księdza sprowadził ministra Boryszowskiego – apostatę i gorliwego partyzanta kalwińskiej wiary. Bal zaś był nie tylko kalwinem, ale i potępionym, gdyż biskup przemyski rzucił był swego czasu na niego anatemę. Ale jak powiadano, biskup Dziaduski rzuciłby klątwę na każdego poza swoją własną matką. Jej zaś nie ekskomunikowałby z Kościoła tylko dlatego, iż w Rzeczypospolitej nie znalazłby się nikt, kto by zapłacił za cierpienie starej wdowy.

To były dawne czasy, gdyż Matiasz Bal, tak ciężki dla chłopów i mieszczan, od lat przeszło trzydziestu spoczywał w pokoju pod kamienną płytą w zborze, czekając na dzień Sądu Ostatecznego. Nie brakowało w Hoczwi jednak i takich frantów, którzy za kielich gorzałki prawili, że grób jest pusty, a oni sami na własne oczy widzieli, jak diabeł porwał heretyka prosto do piekła. Ma się rozumieć, iż opowieść ta zmieniała się z biegiem czasu ubarwiana coraz to nowszymi szczegółami. Powiadano tedy, że Matiasza uniósł żywcem do piekła bies, który nabił go na rozpalone widły. A w Rzeczypospolitej czartowskiej pan Bal chadzał z językiem przebitym rozżarzonymi ćwiekami – pokutując za bluźnierstwa przeciwko Ojcu Świętemu i Przenajświętszej Paniencie. Nie brakło i takich szelmów, którzy na odpustach i jarmarkach w Lisku, Baligrodzie oraz Ciasnej zbierali datki na drewno pod kocioł pana Matiasza. Czynili to, dopóki nie dowiedział się o wszystkim pan Piotr Bal, podkomorzy sanocki, i nie kazał wychłostać kilku hultajów dla dobrego przykładu, a paru innym obić kijami pięty. Od tej pory datków już nie zbierano, a jeśli nawet, to po cichu i zdecydowanie nie w dobrach spadkobierców pana Matiasza.

Konstancja od razu skierowała się ku karczmi kazimierzowskiej, zbudowanej przed wiekami w miejscu, gdzie węgierski trakt krzyżował się z gościńcem z Terpiczowa i Rajskiego. I tutaj po raz kolejny tego dnia Fortuna pokazała jej swe łaskawe oblicze. Przy zajeździe – wielkim domu z przestronną, przejazdową sienią, dwoma alkierzami i stanem z tyłu – stała okuta żelazem kolasa zaprzężona w znajomego sekiela. Serce Konstancji zabiło mocniej. Smoliwąż był w środku; tak jak się domyślała, zatrzymał się po drodze do Saniny, aby zalać smutki u Moszka Szymszyla trzymającego w Hoczwi wyszynk gorzałki, piwa i małmazji.

–Szawiła, za mną! – zakomenderowała, gdy tylko zsiadli z koni. Szlachcianka pierwsza wkroczyła do sieni, a potem od razu skierowała się na lewo, do głównej izby karczmy. Otworzyła drzwi i wpadła do dusznego wnętrza jak rozwścieczona Furia. Pojawienie się orężnej panny było tak nagłe, że siedzący przy najbliższym stole kmiecie aż podskoczyli. Pierwszy wypuścił ze zgrabiących rąk gliniany kufel pełen biłgorajskiego piwa, drugi zakrztusił się i rozkaszał, a trzeci przeżegnał nabożnie, wybałuszając wodniste ślepią, jak gdyby zobaczył Stuposiana figlującego z nagą Sianką i na dokładkę dopomagającego mu w tej ceremonii dusiołka. Panna Dwernicka zaś wyteżyła wzrok, szukając postaci gorszej od wszystkich dusiołków Beskidu razem wziętych – włodarza Smoliwąsa. Dziwne, ale nie było go wśród chłopów. Czyżby možny cham zhardział tak bardzo, że gardził kompanią plebejuszy?

–Szymszyl! Chodźcie tutaj!

Wezwany Żyd wybiegł pośpiesznie zza szynkwasu, otarł ręce o wypłowiąły, pokryty plamami chałat, skłonił się przed szlachcianką. Jednak minę miał wielce zafrasowaną.

–Ja witać, ja witać i służyć pani dziedziczka. Czym chata bogata!

–Posłuchaj, Szymszyl, jestli u ciebie Smoliwąs, wódarz z Saniny?

–A jakżeby go miało nie być, jaśnie wielmożna pani. Po południu przyjechał. I jak pić zaczął, to jeszcze nie skończył. A mnie się coś widzi, że nie tak phędko przestanie, bo go żal thapi. Więc jak to zwykle u Polaków, zamiast khew puszczać, co mój bhat Szmul dobrze pothafi, tak on miód i wino w gębę leje.

–Masz pewnośc, że to melancholija, Szymszyl, a nie złość na Dwernickich?

–Aj waj, ja to wiem, że melankolija, bo on mnie dzisiaj tylko za bhodę szahpał. A żeby złość w nim była, to ja coś czuję, że by się na mojej bhodzie nie skończyło, tylko bym w gębę dostał. A tak on tylko myśli, że jego bhoda lepsza od żydowskiej, aj waj.

–Gdzie jest?

–W alkierzu dla ślachty. On tam siedzi i tziech przyjacieli jego. Ale panienska chyba nie chce tam iść?!

–Nie chcę, ale muszę.

–To ja panience nie hadzę. Bo on złe słowa mówił na ichmościankę. Jako nie przymierzając beskidnik po gorzałce.

–A ja, Szymszyl, mam do ciebie prośbę.

–Słucham, słucham, jaśnie pani dziedziczko.

–Sprowadź tu swojego brata, zanim nie będzie za późno!

–Aj waj, co też panna powiada? Ja tu awantuheę czuję. Panna się na to nie pohywaj, z dobhego sehca hadzę...

–Dzięki za radę. Szawiłła, za mną!

Konstancja wyskoczyła do sieni, porwała za szablę, a potem stanęła w bojowej postawie przed drzwiami prowadzącymi do alkierza. Szymszyl nie kłamał; Smoliwąs był tam na pewno, gdyż nawet przez drzwi słyszała jego gniewny i rozwścieczony głos.

–Mówią do mnie w Dwernikach „ty chamie”, a i oni sami chłopi! – tokował Smoliwąs głosem przerywanym przez pijacką czkawkę. – Taka to ślachta, co na dwóch zagonach siedzi, czterech chałupach i trzech kapuścianych głąbach. Żupan to jeden mają na chyżę, a jak do okazowania przyjdzie, to go sobie muszą pożycząć! Odmówili mi dziewczki, kpy, psie syny, a co bym za nią posagu miał?! Wianuszek grzybów z lasu na Bieszczadzie!

–Waszmości zdrowie, panie bracie!

–Do gardeł naszych, stawać za waszmością będziemy!

–A ja moją szablę waszmości na usługi oddaję, panie Smoliwąs. Powiadam ci, weźmiem szturmem zaścianek i szaraczkom krwie upuścim, panie ślachcic!

–Pannę na powrozie przyprowadzim!

–Jako ladaczniceę mości panu oddamy!

–A nie zechce po dobroci, tedy ją gwałtem weźmiesz!

–Uuuuu, ha, ha, ha – zahuczał znowu Smoliwąs. – Ale żeś koncept powiedział. No pierwsze, to jak można kurwę zgwałcić?! He, he, he... Nie bójcie się, spokojnie Kostusia, kiedy ją lejcami krzynę pogłaskam. Nie chciała mnie po dobroci – pójdzie po niewoli. Nie chciała żoną moją być, tedy jako mała bękarty w chlewie mi rodzić będzie! A jak mi się znudzi...

Dwernicka otworzyła drzwi kopniakiem z takim zamachem, że żelazny skobel pękł na pół. Kiedy panna wpadła do środka z rozwianymi warkoczami i szablą w ręku, biesiadnicy zamarli, jak gdyby zobaczyli upiora. Jeszcze chwilę wcześniej ci sami towarzysze włodarza, którzy deklarowali się jego najlepszymi przyjaciółmi, teraz rzucili się na boki, a najtchórzliwszy z nich, Denko, młynarz z Polany, schował kudłaty łeb pod stół.

Smoliwąs rozejrzał się po izbie, szukając szabli. Ale Konstancja wskoczyła na stół jak szarżująca Amazonka, strącając panwie, kielichy, kufle i czarki z winem. Jednym ruchem cięła wręcz, znad głowy, prosto w łeb włodarza! Smoliwąs wrzasnął, w ostatniej chwili zasłonił się ramieniem, zaryczał, gdy dostał cięcie pod łokieć i krew trysnęła na jego strojny żupan, a kiedy oberwał w posiwiały łeb, zawył jeszcze głośniejsze – jak wół wleczony pod nóż przez czeladników rzeźnika.

Konstancja wpadła w prawdziwą furję. Stojąc na stole, cięła, rąbała, rozdając ciosy na prawo i lewo. Smoliwąs wyrócił się w tył razem z ławą, jego kompani zaś byli tak pijani, że pomyśleli o obronie dopiero wówczas, gdy szabla Dwernickiej wytoczyła z nich co najmniej kwartę krwi. Pierwszy porwał za czekan gruby chłop podstrzyżony na donicę, zasiadający po prawicy Smoliwąsa, kniaź albo wójt z Uherców. Zaraz po nim opamiętał się mały, zgołociały szlachetka, pan Popiel, który wieszał się u rękawa Smoliwąsa jak rzep u psiego ogona, mając nadzieję na darmowy poczęstunek. Gdy prawe ucho podgoliła mu szabla Konstancji, kiedy oberwał w bark i po boku, złapał z krzykiem za szablę i ruszył do ataku przez zwały glinianych naczyń, wywróconych mis z bigosem hultajskim, stosów kości i zalanych winem chlebów...

Pijany Smoliwąs wyplątał w końcu nogi spod przewróconej ławy, zerwał się z wrzaskiem, porąbany, krwawiący, a potem rzucił z gołymi rękami na Konstancję.

–Kurwo ty! – zaryczał. – Przechodko francowata! Naroźnico końską pytą wyjebana! Bęsiu szankrowatej kurewnicy! Zabiję!

Popiel pierwszy ciął szablą. Konstancja nie zdążyła zasłonić się ostrzem, dostała z boku, nad cholewą buta, w dolną część łydki; upadła na prawe kolano... I nim zdołała się zastawić przed kolejnym cięciem, Smoliwąs uderzył ją na odlew w twarz z takim impetem, że dziewczyna przetoczyła się na bok. Byłaby spadła ze stołu, lecz w tej samej chwili chwycił ją trzeci z kompanów Smoliwąsa – ów rosły kniaź z Uherców, przyodziany w szubę roztaczającą smrodliwą woń starego kozucha. Chłop zdławił jej szyję, a potem z furją uderzył głową szlachcianki o krawędź stołu. Konstancja jęknęła, iskry zabłyśły jej przed oczyma, ale nie wypuściła szabli. Kniaź podniósł ją raz jeszcze, rzucił plecami na stół, pozbawiając tchu w piersiach; uczynił to zaś z takim impetem, że Denko, który pod tymże stołem trząsał się ze strachu, skulił się i przypadł do podłogi. Wnet z boku przyskoczył Smoliwąs, rozdarł żupan pod szyją

dziewczyny, spryskując ją przy tym krwią, winem i słodkimi kroplami miodu. Wówczas ręce kniazia rozluźniły uścisk, powędrowały niżej, ku piersiom Konstancji. Smoliwąs wrzasnął tryumfująco, myśląc, że właśnie ostatecznie i nieodwołalnie usidlił swą zdobycz.

Mylił się równie wielce co Kozak, który złapał za łeb przysłowiowego Tatarzyna. Konstancja wyzwolona z rąk chama, który z jej szyi przeniósł zainteresowanie na drażnięta, poderwała głowę, a jej zęby zacisnęły się z całej siły na barku Smoliwąsa, wbiły głęboko jak kły wilczycy i zwały prawie do końca.

Smoliwąs zawył, rzucił się wstecz, ale nie był w stanie wyrwać się z kłów diablidy. Krzycząc, skamłając, drąc się tak głośno, że pewnie i w Lisku było go słychać, uderzył Konstancję w skroń prawą ręką, chwycił za gardło i szarpnął rozpaczliwie. Jednak Dwernicka wgrzyła się weń jak upiorzyca, trzymała jak charcica schwytanego krogulca, drąc materiał żupana, zwierając szczęki najsilniej jak tylko mogła. Popiel przyskoczył bliżej, szarpnął Smoliwąsa w tył, tylko przysparzając mu dodatkowych cierpień, a kniaź w kożuchu znalazł najprostsze rozwiązanie, bo z całej siły walnął Konstancję w żywot. Szlachcianka jęknęła, rozwarła szczęki, uwalniając ramię swego wroga z uścisku. Włodarz zaryczał z całych sił, chwycił za ranę na barku. Krew trysnęła szeroką strugą na żupan, stół i popękane deski podłogi.

–Zabiłaaa mnie! – zawył Smoliwąs. – Zabiła, kurwa!

Jego kompan w śmierzącym kożuchu wznosił pięść do okrutnego ciosu, który być może zakończyłby żywot Konstancji na zalanym winem stole, lecz w tejże samej chwili Szawiła ciął go z tyłu szablą. Ostrze kozackiej ordynki świsnęło cienko, błysnęło w świetle świec jak żmija i od jednego złożenia rozcięło chłopski łeb. Pod kmiem ugięły się nogi. Zwalił się na kolana, rozkładając ręce, a Szawiła poprawił cięciem w krzyż. Cham padł na podłogę jak dąb, zarobił jeszcze kopniaka podkutym butem.

Konstancja przetoczyła się na bok, ześliznęła ze stołu w ostatnim momencie, a ostrze szabli Popiela rozrąbało zalane winem, polewką i kapustą deski o cal od miejsca, gdzie przed chwilą była jej głowa. Panna obróciła się zwinnie jak kotka, chwyciła lewą ręką uzbrojoną prawicę szlachetki, a potem z rozmachem kopnęła go w samą rzyć, dokładnie w to miejsce, w którym na złączeniu nogawic hajdawerów znajdowały się kosztowności znacznie cenniejsze niżli trzy strusie pióra w herbowych klejnotach Popielów.

–Jezu Chry...! – zawył szlachcic, wypuszczając szablę łapiąc się za żywot. – Panien... – jęknął, gdy poprawiła po raz drugi, puściła go i zamierzyła się szablą.

–Trrrrrrastia tebe...! – warknął Szawiła i z zamachu ciął Popiela w łeb, bark i obojczyk; posłał szlachetkę na podłogę, tuż obok śmierzącego chłopca w kożuchu. Pan i cham legli obok siebie wbrew konstytucjom i instrukcjom, zrównani stanem przez zakrwawioną kozacką ordynkę, przypominając tym samym o czasach, w których, jak pisał pan Kochanowski, „ani gardził pan kmiotka swojego osobą”.

Przedostatni z ludzi Smoliwąsa – Denko, młynarz z Polany, który miał chyba najwięcej rozumu z kompanów włodarza, a może też po prostu był najmniej pijany, wyprysnął spod stołu jak gończy polski i rzucił się szczupakiem do drzwi. Nie zdążył

uczynić i dwóch kroków, gdy Szawiła podciął mu nogi, walnął rękojeścią szabli w kudłaty łeb, poprawił kopnięciem w bok, uderzył płazem w potylicę. Denko zwałił się z nóg, przeschorował po nieoheblowanych deskach i tak już pozostał w kałuży krwi, rozlanej strawy i potłuczonych skorup.

Szawiła i Konstancja odwrócili głowy w stronę najciemniejszego kąta alkierza, gdzie między glinianą grubą a malutkim okienkiem przycupnął zakrwawiony, porąbany Smoliwąs, łypiący oczyma jak niedźwiedź osaczony w ostępie. Konstancja zrobiła pierwszy krok, powłócząc ranną nogą. Kozak postępował tuż za nią, a z jego zakrwawionej szabli skapywały na pobojojwisko czerwone kropelki posoki.

Smoliwąs dobrze wiedział, że kto jak kto, ale Konstancja Dwernicka nie będzie miała dla niego litości. Z drugiej strony panna ciekawa była, czy w tej decydującej krotchwili ów cham zdobędzie się na jakiś wzniosły gest – na przykład będzie walczył w obronie może nawet nie tyle honoru, co nietykalności swojego porąbanego łba.

Nie zdobył się.

–Panienko Przenajświętsza, Boża Rodzicielko! – zaskomlął Smoliwąs, widząc idącą ku niemu pannę, która jako żywo przypominała rozwścieczoną Amazonkę z dawnej Sarmacji, po czym złożył ręce do modlitwy i padł na kolana. – Święty Janie z Dukli, patronie ślepych i zbłąkanych, ratujże mnie! Wszak ja wota dawał, u twego grobu, u ojców... we Lwowie... Litości, zmiłowania, pani wielmożna! – zawył, konstatuując, że święty Jan jakoś wcale nie śpieszy mu na ratunek. Widząc zaś, że jego błagania nie wywarły także żadnego wrażenia na Konstancji, Smoliwąs z przyrodzonego chłopskiego sprytu postanowił zmienić front. – Panie kozaku – załkał rozpaczliwie w stronę Szawiły – tyś jest Bóg w Trójcy Świętej jedyny! Tyś jest Jezus Chrystus we własnej osobie! Daruj i nie pozwól mnie skrzy... Ja zapłacę! Za...

Pierwszy kopniak Konstancji przerwał te błagania w pół słowa. Smoliwąs dostał w sam środek wzdętego żywota, zakrztusił się, zgiął wpół. I desperacko zaczął pełznąć ku drzwiom.

–Ty chamie z Chamowa! – wycedziła Konstancja. – Ty ogierze z tatarskiego haremu! Ty strachu na wrony! Ty eunuchu od tureckiej miłości! Ty chłopski synu, idyjoto! Ty grubianinie i prostaku! Chciałeś szlachciankę pojąć, herbową pannę?! Śmiałeś nam grozić w Dwernikach, rękę na nasz ród podnosić! Oto masz teraz basarunek!

Kopnęła go w łeb, potem przywaliła mu po krzyżu, rąbnęła płazem w ucho, tłukła klingą po grzbiecie. Kozak sekundował jej dzielnie, zziajany i spocony, bił trzonkiem od czekana znalezionego przy stole, dopóki nie złamał go wpół, potem tłukł rękojeścią szabli, pięścią, okładał płazem.

Smoliwąs zakrztusił się, zawył, lecz trzeba mu przyznać, że już nie krzyczał. Charczał i jęczał po każdym ciosie, jednak uparcie pełził do przodu, ku drzwiom do alkierza, pozostawiając za sobą smugi krwi. A kiedy Dwernicka z rozmachem kopnęła go podkutym butem prosto w gębę, Smoliwąs zawarczał jak wilk, wypluł kilka zębów, a potem zamarł skulony.

–Za...biję was – wymamrotał. – O torbie i kiiiiju ppppuszczę... ppppo wsze cza...

aaa...sy... Diabeł wam... będzie...

–Sam wracaj do pług! – warknęła Konstancja, a potem z całej siły przyłożyła mu płazem szabli w potylicę. Natenczas pod Smoliwąsem ugięły się nogi, ręce rozjechały na różne strony. Padł jak nieżywy na podłogę, uderzył łbem o spróchniałe deski i tak już pozostał.

Szawiła bez namysłu chwycił Konstancję za rękę, nie dając zadać kolejnego ciosu. Przez chwilę szamotali się w milczeniu.

–Opamiętaj się, mościa panno dobrodziejko! – załkał kozak. – Gardłowa sprawa nam grozi! Nie zabijaj go, bo skończymy w wieży!

Konstancja zamarła, otarła krew płynącą z czoła, a właściwie rozmazała ją po obitej, posiniaczonej twarzy.

–Szawiła, ja... Jezu Chryste... Co my...

–Uchodźmy stąd! – syknął. – Uchodźmy, zanim się w zamku dowiedzą. Żyd pewnie po pacholków posłał; albo po panów Balów. W konie! Jak nas *in recenti* złapią, to na miejscu podgola!

Posłusznie ruszyła ku drzwiom, a potem jęknęła, chwyciła się za prawą nogę; byłaby upadła, ale kozak podtrzymał ją w ostatniej chwili. Wspierając dziedziczkę pod ramię, wyszedł do sieni. Rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na pobojuwisko w alkierzu, a potem naciągnął głębiej na oczy kapuzę. I pomodlił się do świętego Spasitiela, bo dopiero teraz dotarło do niego, jak straszną burdę urządzili w żydowskiej karczmie.

Szumszył czekał na nich przy wierzchowcach. Nie krzyczał, nie ciskał się, nie złościł i nie biadał. Jednak gdy spojrział na Konstancję, zrobił taki ruch, jakby chciał przeżegnać się po katolicku.

–Je... To jest o Jahwe wszechmocny – jęknął karczmarz. – Żywiście, panienko?

–On tak – wyszeptała Konstancja. – Ale ja nie... Wody!

Kozak z trudem podprowadził ją do studni. Zaczepnął całe wiadro wody, postawił przed nią. Konstancja zrazu chciała się obmyć, ale gdy tylko pochyliła się nad cebrem, osunęła się, zmoczyła całą głowę w wiadrze razem z włosami i bezwładnie zwała na ziemię. Szawiła i Żyd przyskoczyli do niej, potrząsnęli, ocucili.

–Ja zahaz! – krzyknął Żyd. – Po cyhulika! Po bhata! Po dhyjakwie, po szahpie...

–Nie! – jęknęła Konstancja. – Nie mamy czasu! Ale zrób... coś dla mnie.

–Co tylko hozkażesz, mościa panno!

–Przynieś mi... zwierciadło.

Żyd załamał ręce, jednak zakrzętnął się szybko i spełnił życzenie panny. Przyniósł małe lusterko, a Szawiła przyświecił Konstancji latarnią.

–Widywałem ja różne niewiasty – rzekł ostrożnie kozak, jakby uprzedzając Konstancję, że to, co ujrzy w zwierciadelku, z pewnością jej się nie spodoba. – Grube, chude, a czasem i takie, które na skórze były wielce skażone i prążkowane jako marmur albo wyrobione jako mozaika, cętkowane jako młode sarniczki, świerzbowate, dotknięte wysypką łuskowatą albo strupiate i tak popsowane, że widok ten zgoła nie był ucieszny. Słyszałem także o jednej wielkiej pannie, która była tak obrosła futrem, kosmata na piersi, żywocie, ramionach i wzdłuż krzyżów, jak



dziki. Widywałem i takie niewiasty, które tak były kościste i żebrowate, że legając na nich, czułem, jakobym sypiał z drucianą pułapką na myszy... Ale takie pamiątki z boju jak na licu waszmość panny widzę pierwszy raz w życiu.

Dwernicka zerknęła w swoje odbicie, a potem zbladła, jęknęła i rozplakała się. Wyglądała jak topielica... Gorzej! Jak obozowa murwa, przez której łożę przeszła w ciągu jednej nocy cała chorągiew piechoty węgierskiej. I to taka dobrze okryta rota hetmańska. Konstancja przypominała tatarską brankę, którą włóczono za koniem przez pół Rusi Czerwonej, albo miawkę, na której używało w górskim wykrocie ze dwudziestów biesów i czadów. Nos miała na szczęście niezłamany, ale zakrwawiony, wargi spuchnięte i rozbite, prawe oko podsiniąte i boleśnie opuchnięte. Dla odmiany zęby z lewej strony ruszały się nieco, a na policzku wykwitł ciemnobrunatny ślad po uderzeniu. Jej warkocze rozplątały się w czasie walki, mokre włosy upstrzone strupami krwi oblepiały poranione czoło i ramiona, na których pozostały tylko strzepy żupana i koszuli. Szlachcianka była mokra, zlaną zimnym potem, winem i miodem. Każdy oddech sprawiał jej ból, a krew z rany na nodze wypełniła prawie całą nogawkę buta.

–Szawiła! – jęknęła i wypuściła lusterko z rąk. – Jak ja... Jak ja... wyglądam... O Boże!

A potem zemdląca.

## Rozdział III

### Kaduk

**Pokładziny karłów Złowrózbné nowiny, czyli powrót diabła Krwawy jarmark na Podgórzu Replika Trojeckiego Kaduk Przygody Zegarta i Dyby Niespodziewane wyzwolenie Dydyński w Łańcucie Wiara lepsza niż talary Lament pohańskiego niewolnika**

W sali rycerskiej na zamku w Łańcucie trwała weselna biesiada. Było już po drugim podaniu, więc panowie bracia zasiadający przy ustawionych w podkowę stołach poczynili większe spustoszenie wśród potraw niżli głodne wilki wpuszczone do owczarni. Z cielęciny z limonami, kapłonów, kaczek i pawi przystrojonych upierzeniem, z bobrowych ogonów z fasolą, chrap łosia i niedźwiedzich łap, ze złożonych pasztetów uformowanych w postaci lwów, lampartów i strusi pozostały już tylko smakowite wspomnienia, misy pełne ogryzionych kości lub puste półmiski. Węgrzyn, alikant, rywuł, lipiec, anżo, burdo i złota gdańska wódka lały się strumieniami do czasz, pucharów, nautilusów i kuśtyków, z których blisko było już do spragnionych ust, pijackich gęb i przepaścistych gardzieli panów braci. Wznoszono huczne toasty, tłuczono wielkie szklenice o podgolone szlacheckie łby; cierpliwa służba donosiła biesiadującym coraz to nowe puchary. I wyносиła tych, co zalegli pod nogami biesiadników.

Jednak nie wszyscy goście zabawiali się pełnymi kuflami i pieczonymi kuropatwami, kapłonami, udźcami jelenia, kwaśną baraniną tudzież ozorami i kielbasami warzonymi z brunatną juchą. Nie wszyscy poświęcali uwagę zawartości złotych półmisków, na których dnie odkryć można było Krzywaśń z zaćwieczonym srebrnym krzyżem – polski herb Śreniawa, starszy niż niejedno miasto w Ziemi Przemyskiej. Na środku sali stało bowiem wielkie łoże z baldachimem, na którym baraszkowała na puchowych poduszkach para równie dziwaczna, co śmieszna: karlik z karliczką. Dzisiejszej nocy pan łańcucki wydawał wesele sługi – karła, a ledwie przed dwoma kwaterami zakończyły się pokładziny. Łoże wprawdzie miało zasłony zakrywające choć częściowo młodą parę, były jednak tak przejrzyste i ponacinane od dołu, że bez trudu można było dostrzec, jak świeżo poślubieni małżonkowie wypełniają swoje obowiązki. Co działo się między nimi w temacie *ars atnandi* albo, mówiąc po polsku – łaźni, śmiech przeszkadza pisać. Tak więc i goście śmieli się, patrząc, jak karlik dosiada swoją żonę, a pijacy dopingowali go, krzycząc i spełniając kolejne kielichy.

W sali zgromadzili się najznamienitsi wywołańcy i swawolnicy Ziemi Przemyskiej i Sanockiej. Byli wśród nich panowie Rosińscy z Teleśnicy Oszwarowej – stary rębajło Jerzy z gębą porąbaną i poznaczoną bliznami jak pergamin, na którym szable i czekany zapisały historie największych szlacheckich waśni, odpowiedzi i zajazdów w Sanockiem. Tuż obok zasiadali jego synowie, podobni do młodych żbików – Stanisław, Piotr i najmłodszy Jan, wstawieni niedawnym zabójstwem pana Kroguleckiego. Najmłodszy ledwie skończył szesnaście wiosen, a już ciążyły na nim kondemnaty za zwady i pojedynki. Dalej zasiadał pan chorąży sanocki Mikołaj Tarnawski z Zagórza, sławny pieniacz, burda, sprawca wojny pomiędzy

referendarzem koronnym a kasztelanem przemyskim, pijanica, który kiedy podpiał sobie dobrze, przestawał władać rękoma i nogami. Służba wówczas sadzała go na stolcu, opartego o ścianę. Tarnawski opierał natenczas głowę o mur, otwierał przepaścistą gardziel, pacholkomie zaś wcedzali mu w nią kolejne kielichy alikantu i małmazji, które znikwały w jego obszernym brzuchu równie szybko co woda w beczce bez dna. Z innych, mniej znanych i sławnych wicherzycieli i hultajów, ale najzawziętszych popleczników i klientów pana łańcuckiego, weselili się przy stołach: Jakub Brzuchowski i Mikołaj Urbański – dzierżawcy i starostowie z włości pana starosty zygwulskiego, bracia Michał i Gedeon Roźniatowscy, porucznicy nadwornych chorągwi, a także Wojciech Trawiński z Buszkowic. Byli też Łahodowscy – Andrzej, Stanisław i Marek, groźni wicherzyciele, gwałtownicy i zawalidrogi; był Adam Kalinowski, Samuel z Niemirowa Niemirycz, bawiący przejazdem w Łańcucie, sławny moczygęba i rozpustnik, którego ulubioną zabawą było palenie z pistoletów do szklenic, kołpaków i łbów drobnej szlachty. A oprócz niego wielu mniej znanych, mniej sławnych i mniej obciążonych zaocznymi banicjami i infamiami familiantów, dzierżawców i rękodajnych pana łańcuckiego. Nie było jednak na uczcie Wilczycy Łahodowskiej, pana Toporowskiego i Żurakowskich. A to z tej prostej przyczyny, iż po nadzwyczaj wyczerpującym spotkaniu z bratem Gedeonem w Przeworsku kurowali połamane gnaty i nadwerężoną szlachecką fantazję w Szpitalu Świętego Ducha na polskim przedmieściu w Łańcucie. Na uczcie brakowało również Szczęsnego Herburta i Prokopa Pękosławskiego – zaufanych kumotrów starosty. Absencja ich nie była wszakże spowodowana ranami, ale polityką. Obaj rokoszanie siedzieli bowiem w wieży na krakowskim Wawelu, gdzie za strawę mieli suchy chleb i cienkie wino, a za biesiadną kompanię – kawki i gawrony za oknem.

Nagle wrzawa i pijackie okrzyki poczęły cichnąć. Ze środkowego stołu wstał, z przepysznym srebrnym nautilusem w kształcie łabędzia w ręku, sam możny pan gospodarz. Był to człowiek zgoła nietuzinkowej postury i obyczajów. Gdyby jego portret dać do odmalowania jarmarcznemu pacykarzowi, wcześniej opowiedziawszy mu historię awantur starosty, malarzyna imaginowałby go zapewne jako człeka budzącego grozę, z twarzą bladą i wychudłą, gdzieniegdzie już pokrytą zmarszczkami, która chwilami przybierała wyraz zwierza – i z oczyma świecącymi przenikliwie jak u kota. Gdyby wierzyć wszelakim plotkom i obmowom, można by pomyśleć, że pan starosta przeszywał wzrokiem ludzi na skroś skuteczniej niż damasceńskie koncerze. I że wyraz dumy niepomiernej oraz zuchwalstwa przebijał na jego obliczu, a szyderstwo krzywiło co chwila blade wargi zaciśniętych ust...

Wszystko to były jeno bujdy a bajania starych bab i proszalnych dziadów.

Szlachcic, który wstał, miał długie, lekko przetykane siwymi nitkami włosy. Postury był potężnej i gibkiej; widać było, że nie spędzał dni na puszczeniu krwi u cyrulika, ale na koniu, w kulbace i przy szabli. Długa senatorska broda dodawała mu powagi, oczy jednak miał tak bystre i wesole, że każde ich spojrzenie, zda się, zapraszało do zabawy i gościny w zacisznych murach łańcuckiego zamku. Mówiąc, nie urażał nikogo ani górnolotnym gestem, ani słowami – widać było, że tyle dbał o

pychę i rodową dumę co o zeszłoroczny śnieg. Z zachowania sprawiał wrażenie zacnego i dobrodusznego gospodarza, dobrego kompana do kielicha, człeka, który choć ubrany w przepyszny karmazynowy żupan szamerowany złotem i zapinany na diamentowe guzy, bez niechęci pochylił się zarówno nad dolą prostego zaściankowego szaraczka, jak i biednego chłopka albo zagrodnika. I wszystkim pomoże, każdego wesprze dobrym słowem i złotem. Gdy spoglądał na swych gości, widać było, iż rad im jest z całego serca. Nawet kiedy młodszy Rosiński, dobrze już pijany, wyrznął w łeb wieprzową kością najstarszego Łahodowskiego za to, że przepił do niego nie tym samym winem, gospodarz zerknął nań pobłażliwie, niby dobrotliwy dziad na wybryki wnucząt bawiących się u jego kolan w wojnę z Moskwą.

Człowiekiem, który wstał, był, rzecz jasna, sam pan łańcuckich włości, Stanisław Stadnicki herbu Śreniawa, były rotmistrz królewski, sejmikowy statysta, a także – jako się wyżej rzekło – starosta zygwulski.

–Wielmożni, uprzejmi i wielce mnie mili moi panowie bracia! – zaczął, wznosząc nautilus napełniony najprzedniejszą małmazją. – Wielce rad jestem, żeście odpowiedzieli na wezwanie i zgromadzili się wszyscy w moim domku ubogim na weselu sługi wiernego. Tedy chcąc dać zadość pospolitemu obyczajowi, który mówi, iż szlachta polska i ruska równa jest wobec siebie jako obywatele Rzeczypospolitej Rzymskiej, piję zdrowie was wszystkich i nawet najmniejszego pachółka w tej sali! A jednocześnie oznajmiam, że ja, urodzony Stanisław Stadnicki, bratem wam jestem, a jeśli to byście o mnie zrozumieli, waszmościowie, abym miał być przeciw pokojowi i równości, roznieście mnie na szablach tu oto w domu moim i psom rozrzucicie! Jeżeli zaś ktokolwiek z was rankor do mnie chowa, niechaj wystąpi; niech wyjdzie chociaż jeden szlachcic, jeśli przeze mnie jedną kokosz wzięto w jego domu!

Ma się rozumieć, iż nikt nie wystąpił, bo choć stos pustych beczek po winie i miodzie był wielki jak wieża kościelna, wszyscy zachowali jeszcze głowy na karkach.

–Znacie mnie wszyscy, moi panowie, i wiecie, że me słowa przyjaźni do was ze szczerego serca płyną. Nie mam ja żadnego zagonu nadanego przez króla, ani też wyproszonego, ale tylko krwią rodziców swoich nabyte. Wojewodą ani starostą nie jestem z tej przyczyny, żem cnotliwy i nie senatorski syn! Radniej tedy bym zamek mój ze szkła miał niżli z murów, żeby każdy widział moje cnotliwe postęпки i życie w domu moim. A mówię to wszystko, aby oznajmić wam, moi najmilejsi panowie bracia, że wszystko, co moje, to wasze!

Tu pan Stadnicki przyłożył puchar do ust, a potem począł doić go powolnymi ruchami. Pił, pił, pił, aż wreszcie z naczynia wypłynęła ostatnia kropla czerwonego trunku. A wówczas jednym szybkim ruchem roztrzaskał nautilusa o własną głowę!

Wrzawa, krzyki i wołania omal nie rozwały sali. Od wiwatów aż zatrzęsły się portrety Stadnickich zawieszane na ścianie koło kominka, a zwłaszcza największy, oprawny w złote ramy, ukazujący starego Stanisława Mateusza Stadnickiego, zaprzysięgłego kalwina i wroga wiary katolickiej, obłożonego anatema przez biskupa przemyskiego Dziaduskiego. Stary szelma Rosiński szlochał wzruszony słowami gospodarza, inni ocierali oczy, kiwali głowami.

–Wiwat panstarosta!

–Wiwat salwator nasz!

–Niechaj żyje! Na zdrowie!

Stadnicki usiadł na swym stolcu dumny jak lew. Natychmiast wyciągnął rękę po nowe naczynie, a uniżony sługa wsunął mu w dłoń kryształowy roztruchan.

–Zacnie nasz karlik sobie w łożnicy poczyna – rzekł do siedzących tuż obok dwóch ponurych szlachciców i wskazał małego sługę chędożącego karliczkę w pozycji zwanej wśród poetów i dworaków „ujeżdżaniem klaczy Kupidyna”, a wśród szlachty po prostu „na raka”. – Dalibóg, niedługo będę miał w Łańcucie tabun małych karypli! A wiecie, co wtedy z nimi zrobię, mości panie Ligęzo? Otóż każę związać i załadować na wóz parę tuzinów, zawieźć do pana starosty leżajskiego, a tam wysypać i rzec: „Mości panie Opaliński, pan Stadnicki przysyła za jednego porwanego karlika czterdziestu!”.

Tu urwał, napił się z pucharu, porwał za kuropatwę i począł ją ogryzać.

–Musicie wiedzieć, waszmościowie – rzekł z pełną gębą – że wielce krzyw na mnie starosta leżajski za porwanie tego karła, którego w łożnicy możecie podziwiać. Przysłał mi list nawet, w którym mnie, Stanisławowi z Łańcuta, rotmistrzowi królewskiemu, wymawia, że wbrew honorowi postępuję! A sam, taki syn, podpisuje się już Jaśnie Oświecony starosta Opaliński!

Rozmówcy Stadnickiego pokiwali ze zrozumieniem głowami.

–Co za czasy, co za ludzie, co za obyczaje nastąpiły! – biadał Stadnicki. – Byle mieszczanek pisze się dzisiaj *nobilis*, byle szaraczek z łajnem krowim na lipowych łyczakach jest już *generosus*. A lada pachciarz – *magnificus*. Taki zaś Opaliński, co jego przodkowie biernat i zamsik krajali w Poznaniu, śmie się pisać *Illustris*!

Tym razem szlachcice nawet się nie poruszyli.

–A waszmościów chyba melancholija dzisiaj trapi – zmartwił się szczerze Stadnicki. – Nie smakuje skromne jadło? Tedy może limonów wam potrzeba? Hej, Sieńko! – Starosta odstawił roztruchan i klasnął na służbę. – Przynieście dla pana Ligęzy limonów najprzedniejszych, fig i rodzyneków, a migiem! A jak się nie postaracie, pasy będę drzeć!

Czeladnik natychmiast popędził, by spełnić polecenie. Pan Stanisław upił nieco małmazji, po czym poufale poklepał ponurego szlachcica po ramieniu.

–Jedz, pij i baw się, mości panie Ligęzo – rzekł. – Bo kiedy do loszku wrócisz, do ciemnicy, nieprędko takie delicje obaczysz. Pij i używaj, bo dzisiaj rad jestem wszystkim i może nawet kilku więźniów na świat wypuszczę.

–Trudno mi jeść z żelazem na rękach – mruknął zagadnięty, po czym wyciągnął rękę spod obrusa, a wówczas wszyscy w pobliżu mogli dostrzec, że na dłoniach miał żelazne okowy połączone krótkim łańcuchem, który zwieszał się aż do podłogi – zapewne do kolejnych kajdan, zatrzaśniętych i zanitowanych na nogach szlachcica.

–Nie ja wam to żelazo nałożył – rzekł, nie przestając się uśmiechać, Stadnicki – waszmości upór, złość i invidia to sprawiły. Gdybyś mnie z długów skwitował, pozwy wycofał, Piotraszówki odstąpił, tobym cię jeszcze dzisiaj z wieży wypuścił. Okowy zdjął z nóg i nałożył na serce! Pomyśl sobie, panie bracie, że wolność czeka na ciebie zaraz zamoim pięknym zamkiem łańcuckim, który psie syny nazywają Piekłem.

Nie byłoby miło posłuchać, jako kurki gmerzą, gąski gągają, jagniątka wrzeszczą, prosiątka biegają, rybki skaczą, ptaszęta śpiewają? I tylko sobie mówić: „Używaj, miła duszo, masz wszystkiego dobrego dosyć!”. Bo przecież wolność możesz odzyskać zaraz, natychmiast, panie Ligęzo. Wystarczy jeden podpis waszej mości.

–Kij waszmości w rzyć – rzekł pan Andrzej Ligęza zdecydowanie mało politycznie, co wszakże nie dziwiło w sytuacji, w której się znajdował. – Wolałbym czartowi cyrograf podpisać, niż waszmość panu w grodzie długi roborować.

–No proszę, widać za mało dbam o waści – pokiwał głową Stadnicki. – Słuchaj mnie i ty, panie Jeziorkowski – rzucił w stronę chudego, posiwiąłego szlachcica po drugiej stronie stołu. – Kazałem już trumny zrobić stolarzowi dla was. Z najlepszego dębu z lasów pod Łańcutem. Będziecie mi hardo odpowiadać, to wnet zamek opuścicie, jeno sęk w tym, że nogami do przodu. Bo jeśli do trzydziestego *octobris* nie okażecie dobrej woli, nie będę was żywił!

–Akurat. Pocałuj psa w rzyć! – mruknął Ligęza.

Stadnicki zamarł. Jego oczy nie były już wesołe i figlarne. Jego oczy nie wyrażały teraz zgoła nic.

Jednym ruchem zgniótł w rękę kryształowy puchar z winem jak pustą skorupkę jajka. Trysnęła krew, ale Stadnicki nie zwrócił na to uwagi.

–Dajesz mi znowu okazję, mości panie – warknął cicho. – Bacz jednak, że jesteś w mojej mocy i fantazji. Zechcę łeb ci uciąć, a zaraz kata wezwę i tu, w tej sali, dasz gardło. Zechcę do sklepu cię przykuć, a będziesz monety mi kował aż po dzień Sądu Ostatecznego! Zechcę, to cię nawet zeunuszę, a wtedy przyjdzie ci tylko haremów u książąt Zbaraskich pilnować!

Stadnicki chciał rzec coś jeszcze, lecz w tejże samej chwili nad jego ramieniem pojawił się jakiś starszy, brodaty i skryty człowiek. Musiał być w dobrej komitywie ze Stadnickim, bo odezwał się niepytany.

–Miłościwy panie, złe wieści!

Stadnicki rozwarł pokrwawioną rękę. Wyciągnął dłoń do góry, a sługa przyskoczył szybko z ręcznikiem i starannie wytarł jego dłoń z krwi.

–Zegart, co się stało?!

–Ramuł wrócił. Samo jeden.

–A kompanija?

–Przywieźli... kompaniję – ponury sługa zamilkł na chwilę, jakby szukał odpowiednich słów. – Na dwóch kolasach.

Stadnicki zamarł na chwilę.

–Gdzie on jest?

–Kazałem go sprowadzić na krużganki. Czeka na was, panie. Może wyjdźcie do niego. Po co gości trwożyć?

Stadnicki wstał od stołu, skinął ręką najbliższym biesiadnikom, a potem spiesznie ruszył do wyjścia. Zegart poprowadził go przez portal na galerię obiegającą dokoła dziedzińca łańcuckiego zamku.

Ramuł czekał oparty o kolumnę, ranny i pokrwawiony. Starosta przyskoczył do niego, chwycił za żupan na piersiach, poderwał w górę.

–Mości Ramułt, do stu piorunów! Co się dzieje?

–Jesteśmy pobici – zaskomlał brygant. – Ledwie żywy uszedłem.

–Twoi kompani?

–Dwóch dycha. Reszta już w kościele. W trumnach...

–Bakszysz?

–Przepadł!

Stadnicki puścił zakrwawiony żupan swego sługi. Ramułt bezwładnie osunął się na ziemię. Wezwany zamkowy cyrulik co tchu rozerwał mu żupan na boku, przyłożył chleba zagniecionego z pajęczyną, pokiwał głową nad raną.

–Kto wam to zrobił?! – wydyszał starosta. – Opaliński? Stary Ligęza? Korniakt? Ilu ich było?

–Był... je...den... – wyszlochał Ramułt. – Sam jeden. Mnich... Albo pątnik... Pielgrzym.

–Jeden diabeł katolik dał radę sześciu zbrojnym?! – Stadnicki aż wybałuszył oczy ze zdziwienia. – Jak to możliwe?

–Jegomość, jegomość... To był ten sam, co pobił Wilczycę. W Przeworsku, w klasztorze Ojców Bernardynów... – Ramułt spazmatycznie łapał powietrze.

Pan łańcucki spojrzał na Zegarta. A ten na starostę.

–On był straszny... – załkał brygant. – Straszny... Biliśmy go, porąbaliśmy na dzwonka, a on... Żył dalej, pobił nas, Sieheniowi uciął głowę. A mi... mi darował życie, jak przekażę waszej mości słowo od niego.

–Jakie słowo? Mów!

–Pomnij... pomnij Agrę, panie starosto! – wydyszał jednym tchem ranny swawolnik.

Stadnicki nie rzekł nic. Jego oblicze pozostało jak wyciosane z kamienia, który kazał łupać w Chmielniku i Błędowej – dobrach swego wroga, starosty leżajskiego.

–Zabrać go! – warknął. – Opatrzeć i obmyć. Jutro pogadamy.

Czeladnicy posłusznie podnieśli rannego. Starosta zygwułski oparł ręce na drewnianej belce, zapatrzył się w dal. Był chmurny, cały jego dobry nastrój z biesiady ulotnił się jak dym. Teraz nie przypominał wcale pana Jowialskiego, ale zamyślonego, podstępnego czarta.

Zegart skłonił się i chciał wycofać tyłem.

–Zostań!

Sługa zamarł. I skłonił się ponownie.

–On wrócił – mruknął Stadnicki. – Diabeł sprzed lat. Potępieniec z piekła rodem. On żyje! – wycharczał. – Jak? Jakim cudem. Po tylu latach?

Zaufany pacholek był cichy i nieodgadniony.

–Jak myślisz, co on zamierza?

–A co wasza miłość zrobiłby na jego miejscu?

–To, co mi proponujesz – mruknął Stadnicki. – Zegartusiu mój kochany, ruszże łepetyną, bo każę zdjąć ci ją z karku i przyozdobić Przemyską Bramę.

–Opatrzność boska czuwa nad nami – przemówił sługa – bo właśnie nasz władarz z Saniny doniósł mi o kaduku, który dotyczy osób dobrze wiadomych waszej mości.

Jeśli wasza miłość prosi mnie o radę, tedy zacząłbym właśnie od tej sprawy. Wiem, że od dawna chciałeś zrobić porządek z tą małą szlachtą. Teraz zaś kaduk daje nam dodatkową sposobność, aby nie tylko uporządkować sprawę tej wioszczyzny, ale także pozbawić czarta sprzymierzeńców.

–Kaduk?! To ci dopiero nowina. No tak, w rzeczy samej, skąd u nich mogłyby być autentyki... Dobrze się składa, Zegart! Bóg jest po naszej stronie. Dam ci ludzi, broń, konie i prochy. Jedź tam i zrób wszystko, co potrzeba, ale szybko i sprawnie, bo ostatnie zwady w Przeworsku i Jotryłowie każą mi domniemywać, że zamiast doborowego towarzystwa służą mi zwykli gamonie i moczygęby, którzy co krok potykają się na własnych rapciach. Nie ma dnia, aby nie wrócili z guzami na łbie.

–Czy mam wnieść protestację do sądów? Naganę szlachectwa? Jak z Korniaktami?

–To też. Ale najpierw dokonaj intromisji, rumacji i banicji za jednym razem.

–Bez wyroku?

Stadnicki roześmiał się chrapliwie. I wszystko stało się jasne jak słońce.

\* \* \*

Zanim dotarli do bram miejskich Dynowa, musieli zwolnić i wlec się noga za nogą w słonecznym skwarze i chmurze pyłu wznieconej przez końskie kopyta. Nic nie pomagało rozganiecie pospólstwa, przekleństwa, groźby i połajanki. Traktem wiodącym do miasta waliły tłumy chłopów i plebsu, zastawiały go szlacheckie kolasy i skarbne wozy, telegi i wyładowane furgony, konie, wielbłądy, stada wołów, kóz i owiec.

Dydyńscy uganiający się przez cały dzień za sprawami pana starosty zygwulskiego zapomnieli, że dziś był przecież piątek, dzień Mateusza Ewangelisty, jak rachowali chłopci i księża, czyli wedle szlacheckiej rachuby czasu *21 septembris*. A jak świat światem w każdy przedostatni piątek września w Dynowie odbywały się targi i jarmarki ogłoszone przywilejem danym jeszcze od Władysława Jagiełły.

W mieście było ludno, gwarno i wesoło. Zegar na wieży ratuszowej wybił godzinę trzecią, zanim Dydyńscy dostali się wreszcie na rynek, gdzie wokół niskiego drewnianego ratusza, przy starych domach z podsieniami, rozstawiono kramy, ławy, jatki i wzorzyste namioty. Było tu nieco luźniej, bo tłumy gromadziły się przede wszystkim wokół kupców i przekupniów.

Aby wyliczyć wszystkich chłopów, szlachciców, kupców, plebeuszy, czeladników, kmienci i zagrodników, którzy zgromadzili się w miasteczku, nie starczyłoby i wołowej skóry. Prościej byłoby podać, kogo nie było w ogromnym, barwnym tłumie oblegającym stragany i namioty, tłoczącym się przy drzwiach sklepów i drewnianych ławach. A nie było zapewne samego Ojca Świętego tudzież Jego Królewskiej Mości Zygmunta i senatorów koronnych. A już na pewno można było spotkać w tłumie diabła i kostuchę, aniołów i świętych, ludzi wszelakich wyznań, profesji, stanów i kondycji. Jarmark na Rusi Czerwonej był bowiem dziki, wesoły, swawolny jak ruskie wesele w karczmie, krzykliwy jak jasełka, pijany niby czeladź na mięsopusty. W podsieniach starego ratusza stały baby przekupki z naczyniami, garnkami i rynkami, z malowanymi łyżkami, przetakami i skopcami. Tuż obok nich Żydzi handlujący solą,



rozłożywszy na ławach i kobiercach żółte solówki, z których jedne były próżne i bebeczami napchane, a inne świeciły białymi głowami, bo brzuchy miały przez szachrajstwo wybrane – wabili chłopów i przechodniów, zachwalając im sprawiedliwość miary nad miarę i doskonałość warzonki. Dalej stali młodzi chłopcy od Beskidu, o długich, jasnych włosach spadających na ramiona osłonięte brunatnymi guńkami, w małych okrągłych kapeluszach, ukazujący leżące na kobiercach stopy drewnianych fujarek, świstawek, kogutków i koników. Byli tu Werhowyńcy, to jest Hyrniacy z Bieszczadu, w brązowych łajbikach i kurtakach. Niektórzy wyklócali się z Żydami, oglądając towary, inni zaś sprzedawali sery, skóry, wełnę, len i konopie. Byli Rusnacy, jak sami o sobie powiadali – Koroliwcy znad dalekiej Osławy, z Komączy i Jaślisk, ubrani we wzorzyste hunie i siraki. Byli Lachy i Rusini z Doliny i Pogórza, w siermięgach i żupanach, w wysokich czarnych butach, kołpakach, magierkach i czapach. Którzy choć uchylali uniżenie czapki, widząc lada zagonowego szlachetkę, to przecież na widok chłopów z gór kroczyli dumnie i hardo niby szlachta, dając znać jasno i wyraźnie, że tyle Werhowyńcom do nich brakuje co prostemu parobkowi do pana starosty.

To jednak nie byli wszyscy, ani nawet drobna część zebranego na jarmarku pospólstwa. Tu i ówdzie tłoczyli się kozacy – dworscy, grodowi i służebni, w zielonych i szarych żupanach, w burkach i giermakach, z długimi, opadającymi w dół, nasmołowanymi wąsiskami, z osełdcami zwieszającymi się spod futrzanych czap, niektórzy palący fajki wielkie jak kominy w gorzelni. Kozacy i chłopci oblegali głównie szatry, namioty i budy na tyłach ratusza, gdzie Żydzi i czerwoni na gębach karczmarze szynkowali piwo, miód i gorzałkę. Tam też przy beczkach z winem gromadziła się szlachta, a obok wszelaka hałastra napelniała powietrze trunkowymi wyziewami i gwarem, z którego czasem wrywał się brzęk srebrnych groszy i ortów, przekleństwo lub okrzyk, a niekiedy słyhać było uderzenie dwu rąk na zgodę.

Tuż obok, jako nierozzerwalni przyjaciele trunków i gorzałkopijowie, rozłożyli swoje kramy szewcy z Rzeszowa i Przeworska, z trzewikami czerwonymi i czarnymi dla niewiast i dziewczek. Dalej bakuniarze z Węgier sprzedawali tytoń rozsypany na kilkunastu płachtach, który ciemnobrunatnymi, błyszczącymi liśćmi spoglądał na chłopów, a ten lepszy, kręcony w drobnutki sznureczki jak szafran, przeznaczony był dla patrycjuszy i szlachty. Potem stali Ormianie z węgryzmem, Turcy rozkładający w namiotach przepyszne kobierce i dywany, wikliniarze z koszami, chłopcy z woskiem i wełną, kramarze i sukiennicy. A wokół nich kręcił się, wirował, huczał tłum kupców i ciekawskich, bab ze wsi, dziewczek i klucznic, popadii i ekonomów oraz drobnej szlachty spod Sanoka i Bieszczadu. Nieopodal Ormian, obok niskich podcieni domostw na pierzejach rynku, stały drewniane budy, gdzie na stołach i poukładanych na poprzek deskach żydowcy tandeciarze i możni kupcy z Krakowa i Białej porozkładali wełniane towary, postawy sukna, falendyszu, dymki, Ślązacy prezentowali płótna, obrusy i wzorzyste tkaniny, Węgrzy bławaty, jedwabie i olejki. Dalej stali w długich szeregach przekupnie z bakaliami, korzeniami i owocami południowymi, cukiernicy z cukrami, arakami i gdańską gorzałką, złotnicy z kielichami cerkiewnymi, pierścieniami, oprawami do szabel, półmiskami i paterami,

czapnicy i kuśnierze z kołpakami, magierkami, z bobrowymi czapkami dla księży, a lisimi dla ekonomów, przekupnie z gronostajami, sobolami i baranicami. Tuż obok stały małe kramiki z nićmi, igłami, guzami i wstążkami; a między nimi ciągnęły tłumy – sprzedający i kupujący, targujący i wyzywający, pijani i jeszcze trzeźwi, weseli i złorzeczący, mieszczanie, chłopci i panowie bracia. Pośród gawiedzi i pospólstwa przeciskały się baby sprzedające razy owsianego chleba, precle i bułki, Węgrzy we wzorzystych żupanach i futrzanych czapach, Liptacy z Mikulasza w czarnych, zatłuszczonych koszulach. Chadzały tam i kurwy dynowskie w długich sukniach na fortugałach, odsłaniając bezwstydnie nagie ramiona i krągłe cycki wypchnięte ku górze mocno sznurowanym gorsetem, szukające w tłumie młodych szlachciców lub dostatnio odzianych miejskich synków, a zbywające gniewnym uniesieniem głowy spojrzenia chłopów, pacholków i czeladników. Za sprzedajnymi dziewczkami szli Cyganie z niedźwiedziami na łańcuchach, stąpającymi uciesznie na zadnich łapach, przygrywający piskliwymi głosami na piszczałkach, wybijający takt na małych bębenkach, Lipkowie w szyszakach turbanowych, z łukami i sajdakami, szukający miejsca, gdzie będą mogli napić się gorzałki i wina ukryci pod lipą lub dachem przed wzrokiem Mahometa z nieba, pijani szkolarze, Żydzi i Grecy.

Pokrzykiwania furmanów i woźniców, odgłosy pijackich nawoływań i awantur, krzyków i bójek mieszały się z głosem piszczałek i tureckich fletów, z dźwiękami basetli i skrzypków dobiegających z karczmy w podziemiach ratusza, gdzie bawiono się do upadłego i do ostatniego szeląga, jak gdyby już jutro miał nastąpić potop. Jarmark w Dynowie, to zbiorowisko ludów, narodów i postaci zaludniających miasta, dwory, zaścianki i wioski Rusi Czerwonej, był tak barwny, tak wciągający, że spojrzawszy na kolorowe tłumy, miałbyś chęć roztopić się w nim, pić, jeść i bawić się, tańcować i targować do wieczora i do samego rana, bez końca, do ostatniego tchu i szeląga w kalecie.

Nie było w tym zatem nic dziwnego, że Dydyńscy jechali przez rynek wolno, zwracając uwagę głównie ku budom z piwem, winem i gorzałką, ku młodym ladacznicom i kramom prezentującym aksamity, jedwabie i złotogłowie, rycerskie pasy, diamentowe guzy, perły, turkusy i karbunkuły. Jacek nad Jackami myślał już, że w sumie do Łańcuta nie muszą wcale się śpieszyć, że przecież mogą stawić się u pana starosty dopiero na jutrzejszy ranek, zresztą – pal diabli – jeśli nawet przyjadą na sobotę wieczór, to i tak Łańcut nie dziewica i przecież im nie ucieknie.

I wtedy jak grom z jasnego nieba padł pierwszy strzał.

Cisawy rumak, na którym jechał najmłodszy Łukasz Dydyński, stanął dęba, zarżał głośno, a potem runął w bok, wprost na bławatny stragan, na deski, ściany. Strącił w błoto i piach bele aksamitu, postawy sukna, bławatu i falendyszu. Przywalił lewą nogą szlachcica, uwięził go pod przemożnym ciężarem.

Wystrzały huknęły znowu, a kule zaświstały wokół braci, niosąc śmierć i zniszczenie. Stefan jęknął, padł w tył, odrzucony na tylny łęk kulbaki, zwałił się z konia Moszczyński – czeladnik Mikołaja; zarżał i potknął się ranny koń Przeclawa...

Jacek nad Jackami wyteżył wzrok – na kalenicach drewnianych domów, pomiędzy kominami i na dachach podcieni dostrzegł sylwetki ludzi z rusznicami!

**To była zasadzka!**

**Tłum wokół jatek, ław i kramów zahuczał głośniejsze, przycichł na chwilę... A potem powietrze rozdarły wrzaski, tupot stóp, trzask pękającego drewna, ochryple rżenie wierzchowców, ryk wołów i wielbłądów, pisk niewiast, płacz dzieci. Czeladź, pospólstwo, kupcy i przekupnie, chłopcy i szlachta rzucili się w panice ku drewnianym sobotom i drzwiom do ratusza, drąc się wniebogłosy, tratując budy i stragany, obalając beczki i deski, wdeptując w błoto kosze, materie, łyżki, tłukąc garnki, wywracając beczki. Wnet wąskie przejścia między straganami zapchały się ze szczętem, pospólstwo poczęło się bić, tratować, walczyć o miejsce łokciami i kulkami...**

**Jacek rzucił okiem na północną pierzeję rynku i od razu wiedział, że nie przebiją się na Denowiec ani na Denowskie Przedmieście; utkną tu między kramami i budami, pośród stosów beczek z winem i kiszoną kapustą a wielkimi postawami sukna, pomiędzy straganami z garnkami i kotłami.**

**–Z koni! – ryknął do braci. – Bo nas tu wszystkich wybiją! Pod ratusz! Za końmi się kryć!**

**Sam pierwszy zeskoczył na ziemię. I wtedy zrozumiał, że popełnił błąd.**

**Z kolas i wozów skarbnych nakrytych pałubami, z bud, w których sprzedawano dębowe beczki i antałki, a także z otwartych drzwi ratusza wypadli sabaci i hajducy, kozacy dworscy i czeladź, zbrojni w spisy, rohatyny, kiścienie i szable. I zanimbyś zdążył zgryźć orzech, jak burza wpadli na zaskoczonych Dydyńskich.**

**–Na koń! – ryknął Przeclaw, wydawało się, że tylko on jeden nie stracił głowy w tej sytuacji.**

**Jacek nad Jackami zastawił się szablą, zbił ostrze mierzące w jego pierś, sparował pchnięcie rohatyny niemal w ostatniej chwili. A potem poczuł, jak żelazo rozcina mu bok, jak ślizga się po żebrach, a lewa strona przepysznego adamszkiego żupana nasiąka tryskającą z rany krwią. Wypuścił wodze konia, zasłonił się młyńcem szabli, porwał lewą ręką za pistolet i jednym szybkim ruchem wyrwał go z olstra. Wypalił w łeb najbliższemu z napastników.**

**–Braciaaaa! – zawył przywalony koniem Łukasz. – Ratujcieeeee!**

**Wrogowie już biegli do niego, już, już dopadali z wściekłością. Pierwszy przyskoczył doń stary, wąsaty hajduk z szablą wzniesioną do ciosu. Łukasz spojrzał w dół, na rękojeść węgierki unieruchomionej pod nogą... Nie mógł wyszarpnąć jej z pochwy.**

**Śmierć zajrzała mu w oczy!**

**Olstra!**

**Strzał zabrzmiał jak uderzenie gromu, kiedy Łukasz wypalił nadbiegającemu wrogowi z pistoletu prosto w piersi. Hajduk zwał się nań, zbryzgał krwią. Jego kompani skoczyli na młodzieńca z dwóch stron; lecz w tejże samej chwili Mikołaj przesadził końskie ścierwo; wpadł przed Łukasza, zbił dwa ostrza, własną pierś wystawiając na ciosy.**

**–Jaceeeek! – rozdarł się rozpaczliwie. – Nie strzymamy!**

**A potem jeden z hajduków chlasnął go w łeb z boku, drugi skoczył ku niemu ze**

wzniesioną węgierką, ciął wręcz, poprawił podstępna odpowiedzią. Mikołaj zbił szablę, odepchnął przeciwnika potężnym kopnięciem, a potem osłonił brata przed ciosami dwóch kolejnych sabatów.

Odepchnięty pacholek wrzasnął wściekle i zaszarżował na zajętego walką jak rozwścieczony buhaj, uderzył głową prosto w żywot Mikołaja. Najpotężniejszy z braci nie zdołał utrzymać się na nogach, zatoczył się w tył, potknął o niekę, a potem uderzył plecami w drewnianą ścianę kramu, roztrzaskał ją na kawałki, wpadł na ławę z nićmi i igłami, zawałił ją pod swoim ciężarem. Wróg skoczył nań z kindzalem w dłoni, aż zadudniły deski. Szlachcic poderwał się pokryty nićmi i wstążkami; w ostatniej chwili chwycił rękę dzierżącą mordercze ostrze, odsunął od swego gardła, wierzgnął, próbując zrzucić z siebie przeciwnika...

Huknęły strzały! Jeden, drugi, trzeci... To Przeclaw oraz Zygmunt porwali za pistolety i króćce. Pędzący wprost na Jacka sabat potknął się, padł z krwawą dziurą w piersi, wypuścił rohatynę z ręki, zwałił się w błoto pokryte potłuczonymi skorupami garnków, rozsypanymi serwetami i obrusami, czerwone od rozlanego wina i krwi. Jacek nad Jackami umknął pod dach najbliższego kramu. Dostał w drugi bok, lekko, samym końcem pióra szabli, zasłonił się przed kolejnym ciosem. Napastnicy rąbali go z wściekłością i krzykiem, jak drwale powalający w lesie stary dąb. Ten z lewej jednym cięciem ściał pał podtrzymujący dach. Okryta płótnem plecionka trzasnęła, pochyliła się, a potem zwała na szlachcica. Lecz zanim to się stało, Jacek przewrócił kopnięciem kozioł pod ladą zastawioną garnkami i dwojakami, stoczył gliniane misy prosto pod nogi drugiego z wrogów. A kiedy ten potknął się, zatoczył, Dydyński wyskoczył ze zrujnowanego kramu, umknął spod szabli sabata, a potem sprawnie ciął wroga w skroń, rozwalając mu czaszkę. Hajduk wypuścił szablę, padł w sam środek straganu garncarza, tłukąc z hałasem resztę mis, do reszty rozwalając stół i ścianę jatki. Jacek nad Jackami uniknął ostrza jego kompana niemal w ostatniej chwili, przetoczył się przez bark, lądując na kolanach; ciął przebiegającego obok pacholka w kolano; zanim tamten zdążył krzyknąć, obrócił szablę w rękę i chlasnął go z tyłu, poniżej krzyża, w miejscu gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Zraniony hajduk potknął się, wyrznął barkiem w drewniany wózek wyładowany antałkami piwa. Wózek potoczył się, spadł z podpór, przechylił... Z głuchym dudnieniem stoczyły się na ziemię pękate stągwie i chlupocące antałki.

Jacek Dydyński poderwał się na nogi, ciął szablą, zastawił się, oberwał w lewą rękę, potem w bark. Później widział przed oczyma już tylko oderwane obrazy, strzępy tego, co działo się dokoła, bo wydarzenia następowały zbyt szybko po sobie, aby mógł poświęcić każdemu z nich z osobna choć chwilę uwagi.

Uratował ich Przeclaw. Wszystkich, a przede wszystkim Łukasza. Poderwał konia do skoku, roztrącił napastników, wpadł między rozwalone beczki, szczątki straganów, ciął szablą pierwszego hajduka w łeb, drugiego zwałił ciosem rękojeści pistoletu, zatrzymał się tuż przy bracie i chwycił go za rękę.

–Trzymaj się! – ryknął. – Wyciągnę cię! Łap strzemień!

Łukasz zacisnął lewą rękę w braterskiej prawicy, porwał za wąskie strzemień przy kulbace Przeclawa, kiedy ten dał koniowi ostróg. Rumak zarżał, wyrwał do przodu,

wyciągnął Łukasza spod końskiego ścierwa, powlókł po połamanych deskach, wgniecionych w błoto serach, rozlanym mleku i serwatce.

A potem Mikołaj zrzucił z siebie hajduka, wykręcił mu rękę za plecami, wydarł kindżał i gruchnął wroga rękojeścią w łeb. Szybko pochwycił przeciwnika za kark i pas na plecach, skulił się, stęknął, podniósł i...

Cisnął!

Bezwładne ciało spadło na sabatów pędzących w stronę Przeclawa i gramolącego się z kolan Łukasza niczym górski głaz; zważyło ich z nóg, roztrąciło. Dwaj zbrojni wpadli na szeroką ławę, przewrócili ją, złamali w pół. W błoto poleciały jak grad rumiane chleby, precle, bułki, rogale i placki. A potem w wyłom, który powstał w szeregu jatek, wskoczyli Zygmunt, ranny, ledwie trzymający się w kulbace Stefan i ostatni pozostały przy życiu pacholek.

–Jaaaacek! – rozdarł się Zygmunt. – Dymamy stąd! Chodu!

Jacek nad Jackami zastawił się szablą, porwał za uniesione ramię przeciwnika, okręcił go w mocarnych rękach, rozchlastał łeb, zasłonił się rannym wrogiem jak tarczą. Ktoś strzelił do nich z bliska! Chybił... Stolnikowic bił na wszystkie strony, wychwytywał cięcia, zbijał sztychy, unikał pokrwawionych ostrzy.

I przebił się do konia! Dwóch hajduków szarpało za wodze, a spłoszony rumak stawał dęba, bił przednimi kopytami w powietrzu, rżał i kwiczał ze strachu. Dydyński nie dziwił się napastnikom. To był wspaniały siwy polski wierzchowiec o łabędziej szyi i zadzie piękniejszym niż tyłek hurysy z tureckiego haremu. Koń wart był więcej niż parszywe żywoty hajduków, nic więc dziwnego, że nie ustawiali w wysiłkach, aby poskromić go i schwytać.

Popelnili błąd. Jacek spadł na nich od tyłu, jednego popchnął prosto pod kopyta, drugiego ciął w bark, poprawił sztychem w plecy; a potem chwycił wodze, dopadł przerażonego konia i jednym skokiem znalazł się w kulbace. Rumak zarżał, a potem zakwiczał, gdy dostał ratyszczem od rohatyny w łeb, cofnął się, stanął dęba. Zawadził zadem o stragan kotlarza, zważył płonące lampy i pochodnie na bele płótna i falendyszu, roztrzaskał ściany z deszczulek, wywalił palenisko z płonącymi węglami. Płomienie skoczyły w górę, szybko objęły chruścianą plecionkę, deski, postawy materiałów, jatki, bele przędzy, lnu i konopi. Wystrzeliły w górę, zahuczały. Powiało gorącem, swądem spalenizny, dymem i siarką.

–Uchodźmy! – ryknął Jacek nad Jackami. – Naprzód!

Uderzył konia ostrogami i pomknął w kierunku braci, roztrącając przeciwników. Kątem oka dostrzegł, jak Zygmunt wciąga rannego Łukasza na kulbakę, jak Mikołaj wspina się na grzbiet luzaka.

–Bij, zabij!

Pomknęli przez zdruzgotane kramy, rozwalone jatki, bele jedwabiu i bryty adamaszku, przeskoczyli nad szerokimi ławami kupieckimi, wdeptując w błoto chleby, bryły masła, tłukąc gliniane garnki, roztrącając uciekających przekupniów i pospólstwo. Poszli w skok tuż obok ratusza, a kiedy Jacek podniósł głowę, dostrzegł, jak z drzwi prowadzących do ciemnego wnętrza budowli wypada tłum zbrojnej czeladzi. I wówczas przez jedno mgnienie oka dostrzegł znajome wąsate

oblicze człeka, którego spostonowali w karczmie w Tyczynie.

–Trojecki! – ryknął do braci. – To jego sprawka! Jednym szybkim ruchem wyrwał z olstra drugi pistolet, obrócił się w kulbace i strzelił w drzwi ratusza.

Chybił. Diabelskim zmysłem Trojecki wyczuł, co się święci, schylił głowę, zapadł między swoich czeladników i pacholków. Kula świsnęła mu o pół cala od łba, zrzuciła z głowy kołpak, wbiła się z trzaskiem w drewniane odrzwia wrót.

Uciekający dopadli do północnej pierzei rynku. Runęli w wąską uliczkę wiodącą do podmiejskiego Denowca, roztrącając mieszczan, tratując czeladników, pospólstwo i niewiasty. Pogoń była tuż-tuż. Od strony rynku sypnęli się za nimi hajducy i sabaci, z tyłu dobiegał łomot końskich kopyt.

A potem ranny koń Przeclawa zakwiczał dziko i padł na pysk jak rażony gromem. Szlachcic zleciał przez łeb, zwałił się prosto w kałużę pełną gnoju i błota, zerwał się brudny, cuchnący, umorusany.

–Braciaaaa! – zakrzyknął. – Pomocy!

Dydyńscy nie dosłyszeli. Pędzili ku Przeworskiej Bramie z dudnieniem kopyt, obalając wszystko, co tylko napotkali na swej drodze. Przeclaw porwał za szablę, zerknął w stronę rynku. Zobaczył konnych sabatów Trojeckiego wypadających spoza zrujnowanych straganów.

Przeżegnał się powoli.

A potem z łoskotem kopyt, z pluskiem rozpryskiwanego błota w kałużę wpadł koń Jacka Dydyńskiego.

–Łap strzemień! – ryknął. – Uchodzimy!

Przeclaw odrzucił szablę, chwycił się strzemienia, a Jacek ruszył skokiem ku bramie. Przez chwilę Przeclaw biegł obok konia, potem potknął się w bloku, jego nogi się rozjechały. Zawył, ale nie puścił zbawczego uchwytu, a rozpędzony koń powłókł go poprzez kałuże i piach, błoto i śmieci, kupy końskiego i krowiego nawozu.

Przeclaw zwarł szczęki, przez chwilę zdawało mu się, że rozszalały koń rozedrze go na pół albo że lada chwila urwie się strzemień. Ale nim to nastąpiło, Jacek Dydyński porwał go za żupan na karku, poderwał w górę, wstrzymał rozszalałego wierzchowca. Przeclaw złapał oparcie dla nóg, podskoczył, chwycił brata za pas i wylądował na końskim zadzie. Z trudem podciągnął się w górę, usadowił za plecami Jacka, zaraz za twardym, gniotącym niemiłosiernie przyrodzenie tylnym łękiem kulbaki.

–Na Łańcut! – huknął Jacek nad Jackami, a potem dał koniowi ostrogi.

\* \* \*

Konni sabaci wpadli w opłotki Dwernik jak orkan, niby tatarski czambulik zwany bez-baszem. Zaraz za bramą rozdzielili się na trzy części. Zegart, woźny i ich poczty pognali przez zaścianek prosto do dworu Złotej Czaszy. Reszta skręciła w pola, przemknęła przez sady i zagrody dla owiec prosto ku gumnom, krzycząc, strzelając z pistoletów, hałakując na sposób ordyńców. Nikt nie stawiał im czoła. Kobiety poczęły płakać, dzieci uciekać do chałup. Mężczyźni chwycili za broń, lecz gdy ujrzeli wymierzone w siebie lufy rusznic i samopałów, rzucili kosy, drągi, kłonicie i widły.

Napastnicy nie zważali na krzyki, prośby i płacze. Smagając szlachetków

batogami, popędzając kolbami rusznic i spisami, pędzili Dwernickich opłótkami w stronę dworu starszego rodu. Wszelki opór łamali brutalnie. Szaraczkowie obrywali po łbach płazami szabel, brali po plecach batogami. Pełczak, który zwał się cepem z kulbaki jednego z napastników, dostał czekanem w potylicę i kiścieniem po krzyżu. Krzysztofa, który schronił się do chałupy i zaryglował drzwi, wywleczono bez litości za próg, obito, skopano i porąbano szablami. Szczerbaka wzięto na arkan i powłóczono za koniem, a potem osmagano batogami, pognano za resztą jego sióstr i braci. Na szczęście sabaci nie byli jeszcze zbyt skorzy, aby dobierać się do wdzięków niewiast i dziewczek z zaścianka. A to dlatego, że rozkazy, które usłyszeli z ust pana Stadnickiego, powtarzane bez przerwy przez Zegarta, były jasne jak słońce i nad wyraz stanowcze. Swawola i rabunek miały nastąpić dopiero po zdobyciu największego dworu i kościoła Dwernickich.

Pół, a może i ćwierć pacierza zajęło Zegartowi i jego ludziom dopadnięcie do dworu Hermolausa Dwernickiego. Nikt w domostwie nie spodziewał się napadu. Nikt nie wyszedł na zbliżający się łomot kopyt. Szybko zeskoczyli na ziemię i co tchu popędzili na ganek. Załomotali w drzwi pięściami, nadziakami i rękojeściami szabel z taką siłą, że deski zatrzeszczały, a zawiasy skrzypnęły boleśnie.

–Otwierać! Bo drzwi obalimy!

–A kto tam? – zapytał załęczniony głos.

–Prawo! – zagrział Zegart.

–Pana starosty ludzie!

Zgrzytnęły odsuwane rygle, drzwi otwarły się nieco, a wówczas ujrzeni na progu wystraszonego Szawiłłę z czekanikiem w ręku. Sabaci nie dali mu dojść do słowa. Rzucili się na niego hurmem, wydarli mu broń z ręki, wykręcili ręce za plecami i wywlekli na podwórze.

–Do dworu! – rozkazał Zegart. – Brać Hermolausa i jego ludzi! W łyka wszystkich i na podwórzec!

Sabaci runęli do wnętrza dworku. Zegart nie poszedł za nimi. Czekał na ganku z dobytą szablą, spacerował wte i wewte, uderzając się płazem po skórzanych cholewach podkutych safianowych butów. W przeciwieństwie do niego Iwan Dyba zwany Szczekaczem, woźny Stanisława Stadnickiego, był spokojny i obojętny jak głaz. Po prostu stał, z sarnią torbą przy jednym, a kagańcem i szablą przy drugim boku, i gwizdał cicho melodyjkę zasłyszaną w karczmie w Hoczwi albo w Sanoku. Rozglądał się ciekawie, mrużąc zapadnięte lewe oko. Była to pamiątka po jednym z zajazdów, w trakcie którego kula ugodziła go w skroń, wybijając głęboki dół i wciskając oczodół w głęb czaszki. Dla niego to nie była pierwszozna, bo w swojej służbie widywał już tyle egzekucji, banicji, rumacji i intromisji, iż zdziwiłoby go chyba tylko, gdyby anioł z ognistym mieczem osłonił skrzydłami Dwernickich.

Załomotały podkute buty, zatupały skórzane postęły sabatów wracających z głębi dworku. Ludzie Stadnickiego prowadzili załęcznionego, trzęsącego się Hermolausa i obitego, krwawiącego z rozbitego łba Beryndę z rękoma skrępowanymi za plecami konopnymi sznurami. Rzucili ich na kolana, na piach i błoto przed gankiem, rozgoniwszy kury i kaczkę, odpędziwszy precz ujadające kundły.

Hermolaus szarpnął się w mocarnych ramionach sabatów, wstrząsnął siwą, poranioną głową, zadygotał z gniewu i złości.

–To gwałt, mości panie! – wykrzyknął. – Zajazd na dwór szlachecki! Gardłami za to zapłacicie, psie syny! Poczciwość straciecie *ipso iure et facto*, o ile ją kiedykolwiek mieliście! Już ja wam pokażę, wy szelmy, kpy, wyrodki narożnicy przemyskiej, jeno mnie z więzów uwolnijcie, psie krwie! Czekajcie, rakarze, niechaj tylko szablę chwycę, to was nauczę, co to gwałt na honorze szlacheckim zadany...

–Milcz, dziadu! – syknął Zegart. – Dawajcie ich tu, a chyżo!

Konni sabaci gnali przez opłotki, poletka i podwórza załęczonych i wystraszonych Dwernickich, szlochające niewiasty tulące do piersi małe dzieci, pokrwawionych, popędzanych kopniakami i płazami szabel młodzieńców i szlachetków, baby, młode dziewczki umykające z piskiem spod nahajów, potykające się, obalane końskimi piersiami. Wkrótce większa część mieszkańców wioski zgromadziła się już pod dworem Hermolausa. Nie było tylko tych, którzy zawczasu uciekli na drugą stronę rzeczki, pochowali się w stogach i na strychach chałup, zataili w lesie i za chruścianymi płotami. Widząc skrępowanego Beryndę i Złotą Czasę, Dwerniccy chcieli protestować, a może nawet rzuciliby się na prześladowców. Jednak ich zapęły ostudziły skutecznie lufy rusznic i pistoletów, dobyte szable w rękach sabatów i czeladników. Zapewne za czasów Prandoty, ojca Konstancji, Dwerniccy wybiliby zajezdników w dwie kwatery, a potem poszli na wieczorną dziękczynną mszę w kaplicy. Zwłaszcza że Zegart nie miał wielu ludzi – ledwie ze cztery dziesiątki. Jednak teraz, po strasznej klęsce, jaka spadła na zaścianek w Multanach, zabrakło odwagi, woli walki, nie starczało szabel i półhaków. Po latach orania roli, doglądania owiec i wołów Dwerniccy wyzbyli się fantazji szlacheckiej, przefujarzyli dumę i własną wolność. I teraz, choć szumieli, wyklinali wrogów, stali przecież jak stado baranów przywiedzione na rzeź.

A kiedy Zegart porwał za pistolet i strzelił ponad głowami zgromadzonych, zapadła cisza; szaraczkowie skulili się odruchowo, jak chłopci na widok srogiego karbowego, przeżegnali, spojrzeli trwożliwie na człowieka w aksamitnym giermaku i kołpaku ozdobionym srebrną szkofią.

–Panie Dyba! – zakomenderował Zegart. – Czyń, waść, swą powinność!

Szczekacz wystąpił przed czeladników i pacholków. Dobył z sarniej torby opieczętowne pismo, choć i tak całą formułę znał na pamięć.

–Czyniąc zadość prawu pospolitemu koronnemu – rzekł mocnym, donośnym głosem nawykłym zarówno do wywoływania banitów i infamisów, jak i do ochryplego śpiewania pijackich pieśni – wedle dekretu królewskiego ustanawiającego *ius caducum* na Dwernikach, a na posesorach ich naganę szlachectwa, albowiem nie piszą się oni wcale *nobilis* czy *generosus*, lecz są z urodzenia *plebeiae conditionis*, chamy i chłopci, szlachcie wieczyście poddani, kładę intromisję na tej włości imieniem mości pana Stanisława ze Żmigrodu Stadnickiego, pana na Łańcucie, starosty zygwulskiego! Co urzędowo stwierdzam w obecności asysty – tu wskazał na dwóch panów braci szaraczków, którzy przybyli z nim do dworu, panów Winnickiego i Denisko, którzy zarabiali na przepicie, wysługując się jako asystencja przy



doręczaniu pozwów Stadnickiego.

–Słyszeliście, Dwerniccy?! – zakrzyknął Zegart do oniemiałego tłumu. – Macie zasądzony kaduk na Dwerniki! Nieprawnie za szlachtę się podajecie! Wyście nie żadni herbowi ludzie, ale plebeje, chłopci i chamy! Orać wam i siać, gnój wozić, sprzężaj odrabiać, a nie szable nosić!

–Ty skurwy... – zerwał się jeden z szaraczków, lecz nie dokończył zdzielony w zęby kańczugiem.

Dwerniccy jęknęli. W tłumie ozwały się krzyki protestu, wrzaski, połajanki. Dziad Hermolaus zatargał się w rękach sabatów tak mocno jak stary niedźwiedź na łańcuchu, który zwietrzył barć. Sine plamy wystąpiły mu na oblicze, głowa zadygotała tak silnie, iż zdawać by się mogło, że za chwilę porażą go apopleksja i paralusz razem wzięte.

–Łgarstwo! – huknął. – Zaprawdę szczekasz jak pies, kłamliwy potwarco. Jesteśmy szlachtą, jesteśmy wolni ludzie, co w dekretach, w konfirmacjach, w księgach ziemskich zapisano! A to, co wasz pan czyni, Diabeł Łańcucki, to zajazd bezprawny, za który śmiercią będzie pokarany! Klnę się na świętego Szczepana, że nie tylko gardłem za to zapłaci, ale wszystkie basarunki za *imparitatis* z nawiązkami zwróci! Pójdziemy do sądów, do trybunałów! Zrobimy wywód szlachectwa na sejmiku! I klnę się na mój złoty czerep, na świętego Jana z Dukli, że Stadnickiego puścimy z torbami, choćby go sam Belzebub i wszystkie legiony piekła wspomagały!

–Nie klnij się na Belzebuba, dziadu – rzucił Zegart – bo ci jeszcze żyłka pęknie! I zdejmie Pan Bóg z piedestału pysznego plebeja, co się śrubował na szlachectwo.

–A tyś sam szlachcic, to, tamto, ten, tego, ten?! – zakrzyknął dziadunio. – Cham jesteś z Krzemieniczy, chłopskiej kompleksyj, gruby plebej. A to ci jeszcze powiem, że twoją mać, Zegart, pan Wapowski chędożył. I ja sam chędożyłem, bo z panami w lada chruście legała, a z chłopami się gziła jakoby klacz na wiosnę!

–Uciszcie tego dziada!

–Stawaj do walki, psi synu! To, tam...

Urwał, gdy sabaci wepchnęli mu w gębę własny kołpak. Złota Czasza postawił oczy w słupek, zadygotał, szarpnął się, ale trzymano go mocno. Zegart znowu skierował swoje szare, okrutne oczy na Dwernickich.

–Jest rzeczą wiadomą – powiedział – że będziecie próbować wyvodu szlachectwa, że zmowa narodzi się na zaścianku i spróbujecie powołać przekupionych świadków. I dlatego pan starosta zamierował zająć zawczasu Dwerniki, a do czasu wyroku sądowego ustanowić tu swojego arendarza, który przypilnuje, abyście pilnie wykonywali swoje powinności. Jest to zatem zajęcie z mandatu naszego najjaśniejszego pana, bowiem wedle prawa połowa wioski przypada teraz królowi! A starostą będzie tutaj zacny sługa pana waszego, sławetny a pocziwy Jakub Smoliwąs!

Smoliwąs wystąpił z trudem spośród sabatów, podtrzymywany pod rękę przez pachołka. Po ostatnim spotkaniu z Konstancją wyglądał tak, jak pewnie ze świętym Stanisławem ze Szczepanowa być musiało, kiedy już pozszywali go do kupy na Sądzie Ostatecznym. Zarządca w odróżnieniu od sławetnego biskupa krakowskiego

posiadał wprawdzie wszystkie członki, co zapewne zawdzięczał miłosierdziu Konstancji i Szawiły, jednak nieprędko mógłby zawierzyć ich sile i skuteczności. Włodarz wspierał się na drewnianej kuli i ledwie poruszał kulasami, bo prawą nogę miał w łubkach. Był tak pobity i potłuczony, że zdawać by się mogło, iż musiał wchodzić na drabinę, aby wzuć buty. Jego łeb przypominałby głowę egipskiej mumii – gdyby, rzecz jasna, Krzysztofowi Radziwiłłowi Sierotce udało się przywieźć takową z peregrynacji do Ziemi Świętej. Jedno oko znikło pod grubą warstwą szarpi, drugie było sine i nabiegłe krwią. Lewą, bezwładną rękę Smoliwasa podtrzymywał płócienny temblak, a w gębie brakowało co najmniej połowy zębów. Gdyby nie nowy żupan, włodarz mógłby z powodzeniem zarabiać na chleb jako strach na wróble. A jednak ten stary czart miał siłę, aby przywlec się do zaścianka. Zapewne dała mu ją nienawiść, wściekłość i chęć zemsty na znienawidzonych szlachetkach. Koło fortuny wykonało obrót i teraz on był katem, panem i władcą całego grona tych już nie szlacheckich, a jeszcze nie chłopskich dusz.

–Poza tym wszystkim – ciągnął dalej Zegart bezlitosnym tonem – mamy dla was pozew o gwałt i znieważenie sługi pana Stadnickiego przez waszą siostrę Konstancję, byłą Dwernicką, i jej sługę – kozaka Szawiłę, obecnie poddanych wieczystych pana Stanisława Stadnickiego. Która *Amazonum more stricta cum framea* zdradziecko napadła uczciwego Jakuba Smoliwasa w karczmie hoczewskiej, za co ją dostawić mamy jak najszybciej do Łańcuta!

–A teraz – wycharczał z trudem Smoliwas – zdymać broń, szable, prochy i strzelbę. A kto nie posłucha, tego... – zacharczał i zakrzuszył się.

–Tego w dyby! – dokończył za niego Zegart. – Słyszeliście, Dwerniccy?! Tfu, jakowi Dwerniccy! Dwerkami teraz zwać się będziecie! Na kolana, chamy. Dwa palce ku górze wystawić i powtarzajcie za mną to, co powiem!

–Żadnej przysięgi nie czyńcie! – wybuchnął Berynda, choć pokrwawiony, związany i pilnowany przez sabatów. – To gwałt! Bezprawie! Stawcie opór! Nie dadzą nam rady! Będzie jeszcze wywód, będzie sejmik deputacki, a po nim trybunał! Nie dajcie się schłopić! Kto przysięgnie, tego żywcem zagryzę!

Najbliższy sabat walnął Beryndę nadzieją w łeb. Oczy szlachcica stanęły w słup, jęk wydarł się spoza warg, ale Bieniasz wytrzymał cios. Rzucił się w więzach, szamotał, wszelako zdziałał tylko tyle, że dostał jeszcze płazem szabli w kark i na dokładkę dwa kopniaki w krzyż.

–Klękać mi tu, chamy! – zaryczał Zegart. – I przysięgać wierność panu! Co, buntujecie się? Tedy może przekonają was dyby, kuny, kłody i biskupy?! Na ziemię! – warknął, widząc, że choć kilku zahukanych Dwernickich posłusznie uklękło, większość nie okazała pokory i stała nieporuszona.

–Nie dajcie się Diabłu! – jęknął Berynda. – W imię Ojca i Syna, nie przysięgajcie!

–Tego – Zegart wskazał imć Bieniasza – brać w dyby! Dwadzieścia batów! Sabaci szarpnęli szlachcica, powlekli go w stronę drewnianej kłody.

–Stój!

Głos, który zabrzmiał w zapadłej ciszy, był zimny jak lód, ponury, jakby dochodził z głębi starego grobu. Choć wieczór był ciepły, zdawać by się mogło, że powiało

mrozem.

Zegart, Smoliwąs, Dyba i pacholki obrócili się w stronę, z której dochodził. Człowiek, który im przeszkodził, nadszedł od strony Ternki, przez pola i lasy. Stał między rozwalonymi chruścianymi płotami, wśród kwiatów wdeptanych w ziemię przez końskie kopyta, wielki jak góra, poraniony, pokryty świeżymi bliznami. W rękę trzymał długi żebraczy kij, ale spod Włosienicy wystawał aż nadto dobrze widoczny trzewik przy pochwie u czarnej szabli.

–Co tu się wyprawia?! – zapytał złowróżbnym głosem. – Kto was, suczy synowie, do Dwernik w gościnę zaprosił? Kto was tu wpuścił?

Sabaci zaszemrali. A Zegart od razu zrozumiał, z kim mają do czynienia. Do diaska, spóźnili się! Sługa Stadnickiego porwał za pistolet. A kiedy zrozumiał, że przecież przed chwilą wystrzelił, porwał za pas z ładownicą, chwycił gotowy ładunek, odgryzł jego wierzch i począł dygocącymi rękoma wpychać kulę do lufy. Nie szło mu to zbyt sprawnie, rozsypał część prochu, wypuścił z rąk stempel.

–Co tak stoicie! – warknął do sabatów. – Brać i tego! W kuny go!

Ludzie łańcuccy nie poruszyli się nawet. Odważni wobec bezbronnych Dwernickich ani myśleli ruszać na czarnego pątnika, znanego im aż za dobrze z opowieści i plotek. Od razu poznali, że był to ten sam człowiek, który pobił kompanię Wilczycy Łahodowskiej w Przeworsku, poszczerbił i pozabijał ludzi Ramuła w Jotryłowie pod Dynowem. Sabaci pierwsi byli do rabunku, grabieży i gwałtu, ale ostatni, aby zakolatać do bram świętego Piotra. Zwłaszcza że musieliby wlec się tam z połamanymi kulasami i rozbitymi łbami. Pomruk rozszedł się wśród sług Stadnickiego; z ust do ust szła wieść, która była straszniejsza niż nagle pojawienie się chorągwi kwarcianej:

–Gedeon!

–Czarny pątnik!

–On sam!

–To ten!

–Brać go! – ryknął Zegart i zdzielił ręką pistoletu w plecy najbliższego sługę.  
– Dziesięć dukatów za głowę dam!

–Poszli won! – rzekł spokojnie Gedeon. – Wynosić się z zaścianka, pókim dobry.

Żaden z sabatów nawet nie drgnął. Poruszył się jednak Gedeon. Cisnął drewniany kostur prosto w grupę pacholków stojących tuż obok skrępowanego Beryndy. Nie trafił. A to dlatego, że w jednej chwili owi okrutni i straszni sabaci węgierscy rozpiechli się na wszystkie strony jak stadko kur umykające przed wygłodniałym jastrzębiem.

Gedeon ruszył ku nim wolno, ale nieubłagane jak śmierć. Odchylił połą Włosienicy, a potem szarpnął za rękę szabli. Ostrze zabłysło w jesiennym słońcu na pohybel Zegartowi i Stadnickiemu.

–Dwadzieścia dukatów! – jęknął wystraszony Zegart! – Ruszać się, z kurwy synowie! Za co pan starosta wam płaci?!

–Sam daj przykład! – warknął któryś z pacholków. Sabaci cofali się przed ponurą postacią pątnika, umykali do koni. Zegart rozejrzał się w panice, ale wszyscy unikali

jego wzroku. Dyba pomknął jak spłoszony zając w stronę swego konia, umknęli przez zagony Winnicki i Denisko.

Zegart nie czekał. Gedeon szedł wprost na niego, nieśpiesznie, utykając na prawą nogę, a sługa Stadnickiego wołał nie myśleć, co się stanie, kiedy spotkają się twarzą w twarz. Dlatego skoczył z ganku w pokrzywy, złapał wodze wierzchowca i jednym susem znalazł się na kulbace.

–Precz, ścierwa! – zaryczał Gedeon. – Zabierać dupy w troki, pókim dobry.

Kłęska była zupełna. Sabaci uzbrojeni w szable oraz kiścienie, w rusznice i guldynki, którzy samą swoją liczbą mogliby zgnieść samotnego pątnika, stratować go kopytami koni, umykali precz, cofali się za zagony, za stodołę, stajnię, uciekali za dwór. Nikt już nie słuchał Zegarta, więc sługa chcąc nie chcąc cofnął się do bramy. Tutaj odwrócił się do posępnego Gedeona, podniósł dłoń z pistoletem.

Świst i huk! Jęk Zegarta...

Strzała wbiła się w sam środek dłoni sługi domu Stadnickich, przebiła ją na wylot. Zegart zawył, wypuścił pistolet z rozdygotanych rąk, chwycił za zakrwawioną dłoń.

A na dachu dworu Hermolausa stała Konstancja. W obu rękach dzierżyła wygięty podwójnie tatarski łuk. Szybko dobyła kolejną strzałę z sajdaka i wdzięcznym ruchem nałożyła ją na cięciwę.

Zegart nie czekał, aż pośle do niego kolejnego pierzastego posłańca. Zawrócił konia i umknął. To znaczy chciał umknąć. Gedeon chwycił jego wierzchowca za uzdę, przytrzymał w miejscu, poskromił bez żadnego wysiłku. Nie był nawet drażniony – strzała Konstancji sprawiła, że kula z półhaka Zegarta poszła Panu Bogu w okno.

–Dokąd, pacholku?! – wydyszał czarny pątnik. – Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Zegart szarpnął się wstecz, ale się nie bronił. Rozsądek podpowiadał mu, że gdyby porwał za szablę, skończyłby równie niewesoło jak Ramuł albo pani Łahodowska.

–Jedź do swego pana, kpie – warknął Gedeon. – I powiedz Diabłu Łańcuckiemu, że kompani z Czufut-Kały w pas mu się kłaniają i zdrowie jego w piekle piją!

Gedeon zawrócił konia na gościniec, puścił wodze i z taką siłą klepnął zwierzę po zadzie, że rumak zarżał i puścił się skokiem. Zegart nie odwrócił się już – dołączył do sabatów, a potem za zaściankiem pomknął w stronę traktu wiodącego na Ternkę i Wilkowyję. Za nim rzucili się pozostali jeszcze w wiosce zbrojni, luźna czeladź i pacholki.

Smoliwąs jak zwykle miał najmniej szczęścia. Jego sługa umknął, zabierając oba konie, więc włodarz kuśtykał, a właściwie skakał na jednej nodze, wyjąc z bólu i strachu. Konstancja od razu wzięła go na cel, ale po chwili opuściła łuk. Nijak było jej strzelać do kaleki, który i tak wziął sowity basarunek w karczmie kazimierzowskiej w Hoczwi.

–Matyjasku, skurwysynuuuu! – ryczał Smoliwąs za sługą uciekającym wraz z sabatami Stadnickiego i wiodącym za sobą jego konia. – Ja z ciebie siedem skór zedrę, ćwiekami nabiję! Ja ci, bestyjo, małpo, rzyć z korzeniami wyrwę, jajca ci na przetak przerobię! Czekaj, niechże cię jeno dopadnę!

**Matyjasek nie słyszał, a jeśli nawet doszły do niego groźby patrona, tedy tym mocniej wbijał ostrogi w boki konia i tym szybciej zmykał gdzie pieprz rośnie, pozostawiając włodarza bez nadziei na ratunek.**

**Nikt nie ścigał Smoliwasa. Nie leciały za nim kamienie, a jeśli już, to tylko śmiech i przekleństwa. A jednak chłop spieszył się, raz i drugi wywrócił w piach drogi, zgubił kulę, porzucił sakwę, kołpak, zbył się pasa i sakiewki, zanim wreszcie, jęcząc z bólu, dopadł do zbawczego krzyża na rozstajach dróg za Dwernikami. Ale nie był to jeszcze koniec jego peregrynacji. Bo teraz wyruszył w długą i męczącą drogę śladem Zegarta, Dyby i Matyjaska...**

**Minęła długa chwila, gdy Gedeon wszedł na podwórze przed dworkiem pana Złotej Czaszy. Szedł powoli, z twarzą ściągniętą z bólu, jak gdyby wciąż doskwierały mu świeże rany, a kiedy stanął twarzą w twarz z Dwernickimi, opuścił uzbrojoną rękę, wbił szablę w ziemię i powiódł wzrokiem po obliczach mężczyzn, młodzieńców i niewiast. Szlachta wiwatowała na jego cześć, wszyscy pchali się bliżej, chcąc choć spojrzeć na człowieka, który sam jeden (z niewielką pomocą Konstancji) uratował zaścianek przed Diabłem Łańcuckim. A chociaż uwolniony z więzów Berynda i jego bracia mieli tyle pytań co jezuita dysputujący z luterskim ministrem o prawidłach wiary, ponura, zarośnięta gęba obcego skutecznie zniechęcała ich do dalszych indagacji. Gedeon podszedł najpierw do dworu, wszedł na ganek, ukląkł przed wejściem. Przeżegnał się wolnym, zamaszystym ruchem – po prawosławnemu, z prawa w lewo, a potem pochylił się i ucałował próg. Podniósł się wolno, poszukał wzrokiem Hermolausa Dwernickiego. Podszedł do niego, skłonił się. Wszyscy widzieli, jak z jego oczu spłynęły dwie łzy.**

**–Stryju Hermolausie – rzekł łamiącym się głosem – albo to nie poznajecie mnie? Jam jest Gedeon Janusz Dwernicki, syn Spytka, którego ojciec, Samuel, był bratem waszmości ojca, pana Mikołaja, a synem waszmościnego dziada, Macieja. Ja u was we dworze stołowałem, kiedy panna Konstancja dzieckiem w kołysce była. Jam poszedł z waszym synem Prandotą na Wołoszczyznę bić Turków. I oto po dwudziestu latach wróciłem... do domu...**

**Hermolaus zadygotał. Wpatrzył się w oblicze Gedeona, złapał rękoma za pokierszowany siwy łeb i zadrżał.**

**–Gedeon? Gedeon? Nie... Nie może to być, panie kochanku – wyjąkał. – Tyś jest... Tyś jest...**

**Hermolaus Dwernicki krzyknął urywanie, porwał się za serce z obliczem skrzywionym bólem.**

**A potem bez życia zwałił się na ziemię niczym rażony gromem!**

**\* \* \***

**–Wielmożny, uprzejmy i wielce mnie miły mości panie Dydyński!**

**Stadnicki podniósł się z za suto zastawionego stołu na widok Jacka nad Jackami, szedł ku niemu z rozwartymi szeroko ramionami. Porwał stolnikowica w objęcia, obłapił tak, że Dydyński, choć wcale nie ułomek, aż stęknął w niedźwiedzim uścisku Diabła. Ucałował w oba policzki, poklepał po ramieniu. Potem podał Przecławowi dłoń do pocałowania, odpowiedział skinieniem na jego uniżony ukłon i wskazał miejsce za**

stołem zastawionym cukrami i marcepanami. Dydyński aż wytrzeszczył oczy, bo stały tam nie tylko kofekty i zwykłe wety, ale też herby, piramidy, cyfry i draganty, to jest całe sceny w kolorach. Był Żyd wyjmujący kielbasę z kieszeni Mahometa, był hajduk zwodzony przez kurtyzanę, husarze i petyhorcy, sanie, kolasy i karoce. Były też, co trochę mogło dziwić na stole zawziętego kalwina, za jakiego uchodził Stadnicki, sceny wyobrażające tańce czartów i diablików. Przystawały one wszakże dziwić, gdy ktoś przyjrzał się bliżej obliczom czartów i rogatych demonów, albowiem wyobrażały one najzawziętszych wrogów innowierców w Rzeczypospolitej. W cukrze trudno było oczywiście oddać ich rysy twarzy, dla ułatwienia zatem poszczególne figury przybrane w biskupie tiary i kardynalskie kapelusze opatrzone stosownymi podpisami. I tak na stole tańcowali za pan brat z czartami ksiądz Skarga, prymas Bernard Maciejowski, Stanisław Warszewicki i kardynał Hozjusz. Nie figury jednak zwróciły uwagę Dydyńskiego. Za stołem na tureckich dywanach, na kobiercach i makatach płaśły cudne tancerki przystrojone w tureckie stroje, z obliczami zasłoniętymi zawojami z muślinu. Stolnikowic zagapił się na nie tak bardzo, że niemal przestał zważać na Stadnickiego.

–Siadajże z nami do stołu, przyjacielu nasz – rzekł Diabeł Łańcucki, ujmując Dydyńskiego poufale pod rękę, po czym poprowadził go ku ławie wysłanej kobiercami. Wnet służba napełniła puchary i szklenice claretem oraz węgryzmem. Stadnicki przepił do stolnikowica, a stolnikowic do starosty.

–Jakże tam podróż do Łańcuta? – zapytał Stadnicki. – Mów, przyjacielu, śmiało, co wam się w drodze przytrafiło.

–Wpadliśmy w zasadzkę – mruknął Dydyński. – Na jarmarku w Dynowie czekał na nas Trojecki, stolnik przemyski. Tenże sam, który dwie niedziele temu w Tyczynie zjadł ze smakiem pozew, który waszej mości przysłał. Oczywiście nie bez naszej drobnej pomocy.

–Co z braćmi?! Dlaczego nie ma tu reszty Dydyńskich?

–Bracia w szpitalu leżą, obok ludzi pani Łahodowskiej. Mikołaj jest pocięty i poharatany, Stefan ledwie dycha, bo postrzelony. Reszta Dydyńskich, poza mną i Przecławem, u cyrulika się kuruje. A najgorsze, że pachółków nam ubito, trzy konie, dwie kulbaki zagrabili, pistolety, olstra, forgi i czapraki warte po sto złotych polskich! Nadto straciliśmy prochy, nie mówiąc już o uszczerbku na naszej fantazji. Nieprędko znowu, mości starosto, przyjdziemy do sprawy.

–Pachółków, konie, broń i prochy dam i zastąpię – rzekł Stadnicki tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Za uszczerbek na fantazji winem i dziewczkami wynagrodzę, za zabitych głów szczyzny popłacę, a wszystkie straty zwrócę.

–Dziękuję waszmości z całego serca. Myślę jednak, że nie uczynisz tego na piękne oczy czy z przyrodzonej życzliwości do nas.

–Z życzliwości na pierwszym miejscu. A co do reszty... No cóż, bystre masz oko, panie Jacku, wiesz, że bardzo was cenię. Bo przecie wszyscy, co mi służą, jedna to banda opojów, jeden w drugiego głupcy, kpy, psie syny i zdrajcy. A to się dadzą w klasztorze mnichom obić, a to z zaścianku uciekną przed szaraczkami. Ino na Dydyńskich, na szlachcicach zacnych, mogę polegać. Tylko wy macie jeszcze w

żyłach krew herbową.

–Do rzeczy, mości panie Stadnicki. Jakie zadanie masz dla nas?

–Zadanie miałbym dla was wszystkich, ale skoro klęska was sroga spotkała, myślę, że starczy, jeśli ty się go podejmiesz, panie bracie.

Przeclaw zasiadający po drugiej stronie stołu nadstawił ucha.

–O czyją głowę idzie tym razem?

Stadnicki i Zegart wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Diabeł wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Rzecz jest prosta jak żołądz na końcu kutasa. W Dwernikach w Sanockiem, pod granicą węgierską, ukrywa się pewien szlachetka, który srogo pohańbił moich ludzi, pana Zegarta i mości Ramuła. A panią Łahodowską bez żadnej przyczyny obił w klasztorze Bernardynów w Przeworsku. To łotr i szelma, psi syn. Będzie wisiał, kiedy odstawię go do starosty. Napsuł mi krwi tyle, że chętnie w sklepie pod zamkiem bym go potrzymał. Ten człek zowie się Gedeon Dwernicki.

Dydyński pokiwał głową. Dał znać słudze, który szybko dołał mu słodkiej małmazji do kielicha.

–Robota jest prosta, choć niebezpieczna – ciągnął dalej Stadnicki. – Pojedziesz do Dwernik, złapiesz tego Gedeona i przywieziesz do Łańcuta w łańcuchach. A potem, panie Dydyński, będzie cię stać na najlepsze ladacznice we Lwowie, na skortezanki, przy których sama królowa Barbara zdałaby się karczemną latawicą. Znamy, znamy się na tym, co wam, młodym, po głowie chodzi. – Diabeł znowu poklepał Dydyńskiego po ramieniu. – Bracia twoi porąbani, ale ja dam ci, kogo tylko chcesz, z moich ludzi. Wydam broń, prochy, kule, samopały, a choćbyście kogoś zabili albo porąbali, ja wszystko zastąpię, przed sądami zdam sprawę, zapłacę wszystkie nawiązki i główoszczyny, dam palestranta na proces i co tam jeszcze zechcecie. Jeśli armaty będą potrzebne, dam i falkonety. Jeśli organki, tedy bierzcie sobie najprzedniejsze ze zbrojowni, bo siła zależy mi na tym, aby ten szelma trafił wreszcie w moje ręce. I pamiętaj, że ma być złamany, ale żywy.

Zapadła cisza. Dydyński wpatrywał się w popisy zwinnych tancerek.

–A zatem, mości panie starosto, idzie waszmości tylko o schwytanie tego Gedeona? Ale o nic więcej? O żadną banicję, intromisję, ani tym bardziej o zajazd bez wyroku?

–Zależy mi tylko na Gedeonie. Nie dbam o resztę tej parszywej wioski. Ale nie łudź się, panie bracie, że złapiesz go równie łatwo co tłustą rybę do saka. Dwerniki to prawdziwe zbójeckie gniazdo. Wysłałem tam już pana Zegarta z sabatami, ale nic nie sprawił, bo szelma Dwernicki rozdał swej rodzinie broń i prochy, zaścianek otoczył sztukietami, parkanami, strzelców porozsadzał na wieżach. Szturmem trzeba brać Dwerniki. I wojennym fortem.

–Kiedy stawałem pod Kircholmem z panem Chodkiewiczem – wzruszył ramionami Dydyński – powiadali, że pół Europy przeciw nam się zebrało. Niemce, Szwedy, Angielczyki, Olędry, Francuzi nawet. I co? Nim pół pacierza nie minęło, połowa z nich mostem legła, a reszta mało pluder w ucieczce nie zgubiła. Furda mi Dwerniki! Wezmę je szturmem, choćbym nawet Bieszczad z posad musiał ruszyć. Jutro

wyruszam.

–A toś mi brat – ucieszył się Stadnicki. – Zdrowie twoje, mości Dydyński!

Szybko spełnili kolejny toast. Diabeł porwał ze stołu cukrową statuetkę czarta z gębą Bernarda Maciejowskiego i z wielkiej uciechy od razu odgryzł mu głowę.

–Chciałbym wszelako wiedzieć – mruknął Jacek nad Jackami – jakie rankory masz do tego Gedeona, panie starosto. O co idzie w tym wszystkim? Zali tylko o zniewagę służby i pacholków? Czy też masz jeszcze jakieś pretensje do owego Dwernickiego, o których nie wspomniałeś?

–A skąd ci to przyszło do głowy, mości Dydyński? – zapytał oschle Stadnicki. – I dlaczego imputujesz mi, że coś przed tobą ukrywam?

–Bo nie wysyła się Dydyńskiego na lada szlachcica gołotę, hetkę z pętelką – odparł beczelnie stolnikowic. – Kto to jest Dwernicki? Szlachcic zgołociał, co w siermiędze chadza, a miał to nieszczęście, że kilku hultajom rzyć przetrzepał. Toż na takiego starczy tuzin hajduków albo dworskiej czeladzi. A jeśli zaś sprawa dochodzi do tego, że trzeba na niego mnie wołać, tedy zapewne nie jest to żaden szaraczek, byle zawalidroga z karczmy, ale gracz na szable, statysta, może nawet infamis i wywołaniec.

–Tak – wycharczał Stadnicki. Potrącił kielich z winem, które wylało się na stół nakryty trzema obrusami, a potem szarpnął za zapięcie żupana pod szyją, jak gdyby się dusił. – To nie jest zwykły szlachetka, którego mogę wedle woli kijami ćwiczyć, żonę i córki wychędożyć, a on jeszcze rad będzie, że dostanie basarunek za każdego guza na łbie. Dwernicki to niebezpieczny, szalony człek, który gotów porwać się nie tylko na mnie, ale i na samego króla, ba, chana tatarskiego i w trzydzieści szabel iść na Bakczysaraj. Dlatego potrzebuję do tej roboty ciebie i w nagrodę mogę nawet podwoić ci lafę.

–Czy ty się boisz tego człowieka, mości panie Stadnicki?

Diabeł nie odpowiedział. Jego wzrok był pusty i niewiele można było w nim wyczytać.

–Zaprawdę powiadam waszmości – wydyszał stolnikowicowi wprost do ucha – że nie boję się ani diabła, ani Boga, ani sodomczyka Zygmunta z Warszawy, więc tym bardziej nie lękam się Gedeona. Kto to jest dla mnie ten Gedeon? Ja go do ściany przykowam, do ciemnicy wsadzę. Ja się z nim zabawię i wygodzę tak, jak kat nie wygodził Nalewajce, bo ja jestem Stadnicki herbu Śreniawa, a to jest pan Dwernicki z Psychkiszek. Warto zatem, by pamiętał, że skoro moją czeladź znieważył, to tak jakby znieważył mnie albo wszystkich Stadnickich! Jakby w gębę dał całej Rzeczypospolitej, której ja tu bronię! Więc bierzesz go na siebie czy nie?!

–Biorę, biorę – skwapliwie przytaknął Dydyński. – Ruszamy skoro świt. Pojedzie ze mną Przeclaw, a ludzi i eskortę sam sobie wybiorę.

–Za pozwoleniem waszej mości – wtrącił Przeclaw. – Sam mógłbym poradzić sobie z Gedeonem. Nie potrzeba trudzić pana Ja...

–Milcz, waszmość – wybuchnął Stadnicki – i przed brata nie wychodź, bo sam ci dam w gębę! Młodyś ty jeszcze i płochy. A póki ja tu rządzę, będziesz za Jackiem szabelkę nosił, choćby w zębach!



Przeclaw zamarł, skulił się, zbladł ze złości, ale nie śmiał nic rzec.

–Przydam wam jeszcze Zegarta i mego woźnego – mruknął Stadnicki. – Aby wszystko było wedle reguł prawa ziemskiego. W rzeczach tyjących się spraw wojskowych będą się ciebie słuchać. Ale w sprawach zaścianka, pozwów i protestacji daję im wolną rękę. A teraz, panie Dydyński, napijmy się za pomyślność twej wyprawy.

\* \* \*

Dwerniccy nie wiedzieli, czy śmiać się, czy płakać. Stali oniemiałi, wpatrując się w Gedeona jak w zjawę albo upiora z zaświatów. Wreszcie jako pierwszy ocknął się Berynda, a choć obity i pokrwawiony, skoczył do Złotej Czaszy, przyłożył ucho do piersi starca, podłożył własny kołpak pod głowę. Potem wspólnie z Kołodrubem oraz zapłakaną Konstancją podnieśli starca i wnieśli go do dworku. Za nimi pobiegł co tchu Pełczak, który bywał trochę cyrulikiem i pospołu z Kołodrubem wyrwał zęby, nastawiał kości, wycinał czyraki tudzież puszczał krew mieszkańcom Dwernik. Nie było ich długo. Wreszcie na progu ukazał się Kołodrub, za nim Berynda. Ich miny nie były wesole.

–Wyżyje – rzekł Wespazjan do Dwernickich. – Apopleksja go razila. Nie wiemy, kiedy władzę w nogach i rękach odzyska.

Gedeon złapał się w rozpacz za podgolony łeb, zgiął wpół zdjęty bólem, zatrząsł od skrywanego szloch. Berynda nie wiedział, co mu rzec. Po prostu stał i patrzył na krewniaka zmartwychwstałego z grobu, do którego dawno już złożyli go razem ze swoimi ojcami, dziadami i synowcami.

–Pójdę! – rzekł w końcu Gedeon. – Do kościoła. Stoi jeszcze u was kościół? Tam nad rzeką, przy młynie?

–Jest, panie bracie. Chodźmy.

Gedeon szedł pierwszy, za nim Kołodrub, Berynda, Pełczak i cała reszta mężów zdolnych do noszenia broni. Z tyłu kłębił się tłum niewiast, dziewczek, młodzianków i hałaśliwych dzieci. Przemierzyli cały zaścianek, aż wreszcie doszli do Wetłynki pieniającej się wśród skał i kamieni. Tutaj w cieniu wiekowych buków i lip stała stara kaplica o omszałym dachu i ścianach, kryta gontem. Na górze miała małą sygnaturkę, na niej żelazny, rozłożysty krzyż, trzy okna i niewielki podcień przy wejściu.

Gedeon podszedł do maleńkiego kościółka, ukląkł ciężko na progu i przeżegnał się. A potem pchnął dębowe, nabijane bretnalami drzwi i wszedł do wnętrza. Światło złotego jesiennego słońca padało w poprzek zakurzonej izby, żółte snopy przedzierające się z trudem przez mętne szybki ledwie wydobywały zarysy dębowego, złoczonego ołtarza i najcenniejszej rzeczy na zaścianku – obrazu Matki Boskiej Rudeckiej ozdobionej srebrną koroną, której oblicze jak zawsze było dostojne i spokojne.

Pod tym obrazem ukląkł Gedeon. Modlił się, bijąc się w piersi, szepcząc ciche słowa pokuty i oddania Panu. A tymczasem Dwerniccy zapełnili całą nawę – siedli na ławach, przyklękli pod ścianami, tłoczyli się w progu, zgromadzili licznie w podcieniach. Wszystkie oczy wpatrzone były w tajemniczego przybysza. I wszystkie

wyrażały tylko jedno: niemą prośbę o dobre nowiny. Nadzieję...

Wreszcie Gedeon skończył. Wstał wolno, przeżegnał się, odwrócił i stanął naprzeciwko szaraczków zgarbiony, postarzały, straszny.

–Jam Gedeon Janusz Dwernicki – powtórzył. – Nie znacie mnie i nie poznajecie, choć narodziłem się tu, w Dwernikach, a wielu z was pewnie pamiętam po raz ostatni, kiedy byli dziećmi. Albowiem roku od narodzenia pańskiego tysiąc pięćset osiemdziesiątego trzeciego poszedłem ze stryjem moim Prandotą, z braćmi jego i synowcami na wojnę z Turkami, pod Agrę, której sułtan Murad dobywał, aby bić się z pohańcami.

Wszyscy wstrzymali oddech, zamarli. Oczy Dwernickich wpatrzyły się w usta Gedeona. Tymczasem jego ręce zadrżały, zadygotały.

–Nie ma dla was nadziei, bracia! – rzekł łamiącym się głosem. – Ci, z którymi poszedłem na Węgry i Wołoszczyznę, wszyscy już dawno pomarli. Kiedyśmy wojowali w wojskach cesarskich, wysłano nas na podjazd razem z Wołochami. I za ich zdradą wpadliśmy wszyscy w ręce Tatarów. Część z naszych ścięto, część pobrano w niewolę. Nikt jej nie przeżył. Porzućcie tedy, panowie bracia, wszelką nadzieję, bo nigdy już nie ujrzycie swych bliskich. Umarł i Prandota, stryj zacny, zginął na śmierć zarąbany przez janczarów ojciec mój Spytko, umarł Janusz Dwernicki, umarł pan Hoszowski, pociot mój, odeszli z tego świata Samuel i Hwiedko, Jan i Gerwazy, ci wszyscy, których opłakaliście przez lata. I przez lata czekaliście na ich powrót... Wszystko na próżno... Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie. A światłość wiekuista niechaj im świeci.

W kościele wybuchł płacz, krzyki, wrzawa. Łzy ronili wszyscy – płakali nawet Berynda i Kołodrub. Konstancja, która wcisnęła się do kaplicy za plecami braci, upadła na wpół żywa na kolana i ukryła twarz w dłoniach. Żal i boleść rozdzierała ciała i dusze. W świątyni uczyniło się cicho i mroczno, bo słońce ukrywało się już za górami. Tylko stary obraz Matki Boskiej Rudeckiej jaśniał złotawym blaskiem jak jutrzienka nadziei. Płacz i żal pospołu zawładnęły Dwernickimi. A przecież mieszkańcy wioski pochowali swoich bliskich lata temu. Przecież po latach nikt już nie miał złudzeń, iż ojcowie powrócą kiedyś żywi z wyprawy. A jednak mimo wszystko w sercach synów i córek zaginionych tliły się jeszcze jakieś iskierki nadziei. Teraz zostały zagaszone na zawsze.

Wreszcie pierwszy opanował się Berynda. Otarł łzy rękawem siermięgi, przeżegnał się i spojrzał na Gedeona.

–Mów dalej – rzekł ponuro. – Jak zginęli? Czy bardzo cierpieli?

–Kiedy to się stało? – krzyknął ktoś inny.

–Jak? Czemu? Mów! – dopytywały się kolejne, uniesione głosy.

Gedeon uniósł dłonie, by gestem powstrzymać gwar, uciszyć stłoczonych ludzi.

–Tych, którzy wyglądali na chudopachołków, Wołosi pościnali od razu. Mnie zaś i wielu innych, w tym stryja Prandotę, pognali do Krymu, do Gródka, a potem nad Morze Ponckie i zapędzili na galery. Spędziłem na nich więcej jak dwadzieścia lat!

Jednym ruchem podniósł w górę dłonie wielkie jak bochny chleba, a ciężkie jak głązy, odsunął rękawy Włosienicy, a wówczas wszyscy zobaczyli sine ślady na jego

przedramionach, okrutne znamiona pozostawione przez kajdany.

–Kiedy nas Tatarzy wzięli w jasyr – ciągnął znacznie cichszym głosem – chcieliśmy się okupić i z nimi traktować. Pewnie byśmy się uwolnili, choć za ruiną naszych bliskich, jednak wezyrem był wówczas Sinan pasza, zawzięty na chrześcijan jak Luter heretyk na Najświętszą Panienkę. Kiedy żołnierze rakuscy wyścinali Turków wziętych do niewoli, zakazał jeńców za złoto wymieniać, jeno wszystkich wysłać na wieczne zatracenie. Poszliśmy tedy, roniąc łzy, z płaczem i narzekaniem, jakoby do piekła. Żaden nasz krewniak nie wyszedł z galer na światło dzienne. Mnie jednego przenieśli po latach do Warny, gdzie po staremu byłem niewolnikiem w młynie prochowym. Ale ja wiedziałem, że wolność już blisko. Wolałem młyny prochowe, straszne, gdzie co drugi niewolnik umierał, niż galerę, na której dniem i nocą wiosłem robić trzeba, a skóra na ciele nie inaczej niż jako u osmalonego wieprza pęka i pot oczy zalewa. Próbowałem zbiec, aż w końcu uśmiechnęła się do mnie fortuna. Po roku mej niedoli w młynie prochowym, a w dwudziestym drugim niewoli u pohańców, udało mi się uciec, choć straciłem natenczas nogę, a wcześniej za nieposłuszeństwo Turcy wypalili mi zamię na czole i oko wykapali pochodniami. Trafiłem na Węgry, a potem do Siedmiogrodu, gdzie się błąkałem bez nadziei na odmianę losu. Stąd pieszo, dziękując Panu Bogu za łaskę, wróciłem do Dwernik jako proszalny dziad, bez delii i żupana, bez złamanego szeląga w kalecie, jeno z kosturem dziadowskim w ręku. Zapadła cisza. Nikt już nie płakał. Wszyscy modlili się i słuchali.

–A wiecie, co było moim puklerzem i ratunkiem przez te wszystkie lata niewoli? Co sprawiło, że kiedy Turcy korbaczami mnie chłostali, klejmo wypalali, oko wyłupywali, skórę żelazem rozpalonym palili, w twarz im się śmiałem i tylko w duszy powtarzałem, że i tak ucieknę? Święta przysięga. Kiedy mój stryj Prandota umierał na galerach, w moich ramionach, kazał mi przysiąc na moją duszę i na Święty Krzyż, że jako najmłodszy wszystko przetrzymam i wrócę do Dwernik, aby bronić zaścianka. Abyście swoich herbów i wiary nie odmienili nigdy na złote talary...

Berynda i Kołodrub drgnęli, słysząc te słowa, zupełnie jak gdyby padły one z ust ich zaginionego ojca...

–Przyszedłem – ciągnął Gedeon – wróciłem, choć wiem, że być może będziecie przeklinać kiedyś dzień, w którym wstąpiłem w wasze progi. Wierzcie mi, wolałbym szczeznąć, niż powiedzieć tę straszną nowinę o naszych bliskich. Ale ktoś w końcu musiał wyznać wam tę smutną i pełną boleści prawdę.

Zamilkł, zgarbił się. Zapadła straszna cisza.

–Wróciłeś między swoich – wyszeptał wreszcie Kołodrub. – Wróciłeś... bracie. Witaj... Witaj w domu. Na Dwernikach.

A potem wybuchł powszechny płacz i krzyki. Dwerniccy rzucili się do krewniaka. Każdy chciał objąć go, ucałować, rzucić się na szyję. Minęła długa chwila, nim znowu zapadła cisza.

–A ja nie mogę w to uwierzyć – rzekł Berynda. – Chryste Miłosierny, święty Janie z Dukli! Coś ty nam zrobił, bracie Gedeonie? Po coś tu przyszedł?!

–A dokąd miałem pójść? Do Moskwy? A może poturczyć się i zostać u pohańców?! Nie musicie przyjmować mnie pod dach. Jeśli chcecie, rzeknijcie tylko

słowo i już mnie nie zobaczycie. Jednak jeśli jest w was niewiara co do mojej osoby, tedy mogę przysiąc na Święty Krzyż. Jako przysięgałem stryjowi Prandocie...

–Co ty powiadasz?! – syknął Kołodrub do Beryndy. – Toż to nasz krewniak! Krew z krwi, kość z kości Dwernickich. Chcesz go na gościniec wygnać?

–Nic takiego nie powiedziałem – mruknął Bieniasz. – Ale to, co mówisz... To dla nas klęska!

–Uwierzcie mi, że gorzej jest robić przez dwadzieścia lat na galerze. Albo przez cztery w kieracie u prochowego młyna. Jednak zważywszy na to, co dziś się stało, być może mój powrót okaże się wielce szczęśliwy dla was. Gdyby nie ja, poszlibyście w kuny, w dyby, a potem oralibyście rolę Stadnickiego.

–Jesteśmy ci dozgonnie wdzięczni, mości Gedeonie – rzekł Berynda. – Stała się rzecz straszna. Starosta zygwulski wytacza nam sprawę o naganę szlachectwa. Uzyskał kaduk na Dwerniki, chce nas zmienić w chłopcy, zaprzecza przywilejów. Wszystko za sprawą naszej siostry Konstancji, a twej krewnej, która znieważyla pewnego włodarza... Smoliwasa!

Konstancja drgnęła, gdy Gedeon spojrzał na nią swoim jedynym, krwawym okiem.

–To on z zemsty doniósł Stadnickiemu, że nie zachowały się żadne przywileje ani confirmacje naszego szlachectwa. Bo, mówiąc prawdę, nie mamy oblat ani pergaminów na obronę. Dlatego nie mamy sił, aby radować się z twego powrotu. Ale wierzaj mi – szczerze cieszymy się, że wróciłeś cało do domu. Witaj nam, krewniaku. I pójdź w me ramiona!

Uścisnęli się mocnym braterskim uściskiem.

–Złe wieści mam dla ciebie – mruknął Kołodrub. – Nie ma u nas nikogo z twej najbliższej rodziny. Jeśli sam wróciłeś, znaczy to, że twój rodzic oddał życie na wyprawie. A pani matka...

–Matka?! – Gedeon drgnął. – Co z nią?! Mówże!

–Ja tego nie pamiętam, bo mały byłem. Ale dziadunio Hermolaus opowiadał, że kiedy jej mąż i syn zaginęli, od zmysłów odeszła, uciekła z Dwernik i poszła tułać się po świecie, w jakieś nieznane strony.

Gedeon milczał przez chwilę, widać trapiiony bólem. Wreszcie pokiwał posiwiałą głową, a potem wyprostował się.

–Módlcie się do Bogurodzicy Rudeckiej, że mnie z niewoli uwolniła. I dziękujcie Panu, że dzisiaj trafiłem do Dwernik. Bowiem zaprawdę wam powiadam, że mię nie użrą, aż gdy przyjdzie czas, kiedy rzeciecie: „Błogosławiony, który przyszedł w imię Pańskie”. Ja wiem, że niektórzy z was nie ufają mi – zerknął na Beryndę – ale teraz oto uczynię coś, co sprawi, że nie będziecie lękać się dłużej Stadnickiego. Chodźcie za mną.

Postąpił ku drzwiom do kaplicy. Szedł szybko i zdecydowanie, więc ruszyli za nim.

Gedeon wyszedł z kościółka, skręcił w lewo i skierował się prosto do starego młyna przy jazie, nad brzegiem małego potoku wpadającego do Wetłyny. Gedeon pchnął rozchwierutane drzwi i wszedł do środka. A potem jednym ruchem wyrwał razem z trybem drewnianą oś przechodzącą przez środek kamienia młyńskiego i odrzucił ją precz. Zanim ktokolwiek zdołał zaprotestować przeciwko niszczeniu

majątku Dwernickich, Gedeon schylił się, chwycił kamień młyński, stęknął i uniósł go nad głową.

Szaraczkowie zamarli. Pątnik zachwiał się, sine żyły wystąpiły na jego czerwone oblicze, pot począł spływać z czoła i włosów. A jednak Gedeon uczynił jeden krok, potem drugi. Aż wreszcie cisnął ogromny głaz wprost pod nogi Beryndy i Kołodruba. Bracia aż jęknęli, odskoczyli, widząc pokaz tak przerażającej siły. Gedeon zaś odwrócił się, wydobył jakieś pokryte kurzem i mąką zawiniątko, które leżało pod kamieniem młyńskim. Szybko rozsznurował rzemień, którym było okręcone, otrzepał z mąki, a potem wyciągnął z niego złożony we czworo papier ozdobiony pieczęcią wielką jak holenderski dukat.

–Patrzcie, ludzie małej wiary! – rzekł tryumfująco. – Oto jest tajemnica, którą przed śmiercią wyjawiał mi Prandota. Kiedy wyjeżdżaliśmy na turecką wojnę, tutaj pod kamieniem ukrył konfirmację waszych przywilejów szlacheckich jeszcze z czasów Zygmunta Augusta. Oto jest dokument, którym możecie zaświecić w oczy Diabłu Łańcuckiemu jak psu pochodnią! Oto jest nasza wiktoria i chwała!

Dwerniccy zamarli. A potem gruchnęły wiwaty i krzyki, płacze i wybuchy śmiechu. Kołodrub pokręcił głową z niedowierzaniem. A Berynda rzucił się w ramiona pątnikowi.

–To tyś teraz nasz brat! – zakrzyknął. – Witaj w domu, mości Gedeonie.

Pątnik nic nie odrzekł. Zmiażdżył Wespazjana w uściskach, poklepał po plecach.

–Oblatujcie ten dokument w grodzie sanockim – mruknął Gedeon. – Przekujcie lemiesz na miecze i trzymajcie straże wokół zaścianka. Tym razem Stadnickiemu nie pójdzie tak łatwo. Bo ja i Bóg jesteśmy z wami!

## Rozdział IV

### Crimen

Zajazd Stadnickiego Fantazja Dydyńskiego Ja kaduków nie biorę! Zdrada Na polu chwały Tajemnice Bieszczadu Verbum nobile debet esse stabile Wymuszona przysięga Czarna strzała Wojna z Diabłem Sejmik w Dwernikach

–Wystawili strażę, pilnują się – rzekł Przeclaw, gdy tylko pozbył się brody i pejsów, odmienił chałat żydowskiego tandeciarza na szlachecki żupan, a kij ze skórką jeża do odganiania psów zamienił na szablę i pas kolczy. – Ale reszta relacji ichmość pana Zegarta niewarta jest funta kłaków. Taka z Dwernik forteca jak z dziupli picza niewieścia.

–A palisady? Blokhauzy, ostróżki są?

–Gdzie tam! To zwykły kurnik.

Dydyński spojrzał pytająco na Zegarta. Sługa Diabła zafrasował się, spuścił głowę.

–Mało wojenny człek jestem – mruknął. – Może mi się jeno zdało... Wiecie dobrze, że na wzroku słabuję.

Dydyński pokiwał głową ze zrozumieniem, bo Zegart łągał jak z nut. Wszyscy wiedzieli, że jego ślepie były równie bystre co u drapieźnego jastrzębia. Powiadano, że sługa łańcucki potrafił nie tylko dojrzeć dukata w cudzej kieszeni z kilku mil, ale również niemal natychmiast obmyślić szybki i skuteczny sposób na jego zagarnięcie.

–Tym niemniej – ciągnął Przeclaw, dociągając sprzączkę pasa – nie da się wpaść niespodziewanie do wsi konno, bo nawet gdyby przemykać się polami, dostrzegą nas z daleka.

–Widziałeś Gedeona?

–Może jeszcze miałem sprawdzić, która panna to dziewica, a która poćpięga? I tak się na mnie patrzyli jak wilcy na jagnię. Już się bałem, że się czegoś domyślą. Pośrodku wioski, na górcie, stoi największe domostwo, prawdziwy Wawel przy tych kurnych chatach. Jeśli gdzie szukać Gedeona, to pewnie tam.

Dydyński namyślał się przez chwilę.

–Podzielimy się na trzy partie – powiedział. – Ty oraz ichmość Zegart weźmiecie hajduków i zakradniecie się od strony lasu. Podejdziecie jak najbliżej chałup, a potem zaatakujecie. Ty, Szatmar – Dydyński spojrzał na ponurego, wąsatego setnika sabatów z Łańcuta – ze swoimi ludźmi uderzycie wzdłuż strumienia. Wetłynka płynie w jarze, więc jeśli zachowacie czujność, nie spostrzegą was. Ja wezmę dworskich semenów, a kiedy usłyszę pierwsze strzały, wpadnę konno do wsi i ruszę prosto na ten największy dwór. Zrozumiano?

Pokiwali głowami bez zbędnych słów. Na zajazd Dydyński wziął z Łańcuta samych najwierniejszych i najpewniejszych ludzi Stadnickiego. Sabatów, hajduków i kozaków, którzy dobywali z Sośnicy Korniakta, bili się jeszcze z Mikołajem Spytkiem Ligęzą o jarmarki w Rzeszowie i na roczkach w Przemyślu. Brali udział w rokoszu sandomierskim, a także we wszystkich zwadach, rankorach tudzież nielegalnych banicjach, rumacjach i intromisjach, które urządzał Stanisław Stadnicki w Ziemi Przemyskiej i Sanockiej.

–Jak tylko w Dwernikach będziecie, zaraz chałupy szturmować. Drzwi toporami rozwalać, do komór wpadać, stogi i szopy przetrząsnąć. Baby i dzieci zostawić w spokoju. Kto by spośród Dwernickich opór stawiał, prac, a dobrze, ale kto by był bezbronny – nie ruszać, bo jak każdy hołota otaksuje sobie byle guza na trzydzieści grzywien, to dobrodzieja naszego, pana łańcuckiego, w ostatniej koszuli ostawimy, kiedy do procesów przyjdzie. Wieś możecie przetrząsnąć, ale dopiero gdy Gedeona znajdziemy. Jeśli kto będzie rabował wcześniej, to daję wam słowo, że takiemu synowi łeb rozwalę i za koniem powłóczę. A potem tak rzyć batogami oćwiczę, że jaja do Krakowa doleczą! Zrozumieliście, szelmy?

Pomruk starczył za odpowiedź. Sabaci i hajducy wiedzieli dobrze, że inna była sprawa z Zegartem, a inna z Dydyńskim. Zegart nie służywał wojskowo, a jego słowo znaczyło tyle co dym, stolnikowic zaś nigdy nie darował nikomu niesubordynacji.

–Ruszajcie!

Skoczyli do swoich ludzi – Przeclaw i Zegart do hajduków, Dydyński do kozaków, a Szatmar do siedmiogrodzkich sabatów. Jacek nad Jackami wskoczył na kulbakę, gwizdnął i na ten znak semeni – rosłe, czerstwe chłopcy w zielonkawych samodziałowych żupanach, zbrojni w szable, spisy i samopały – poczęli wsiadać na koń. Stolnikowic odczekał, aż wszyscy zgromadzili się wokół niego, a potem wskazał dróżkę wiodącą na trakt.

Ruszyli ku wiosce z trzech stron, jak wilki z Beskidu podchodzące bezbronną łanię. Po Wetłynce, brnąc po kolana, a czasem i po pas w rwącej wodzie, szli sabaci w kabatach, płóciennych portkach, burkach i rajtrokach. Od strony lasu przemykali się łęgami i zaroślami ledwie widoczni hajducy w brązowych deliach, bekieszach, ferezjach i kołpakach. Semeni stanęli na skraju boru. Dydyński podniósł rękę w górę. Czekał...

Dwernicy dali się zaskoczyć. Kiedy dzwon w kościółku rozdzwonił się na trwogę, ludzie Stadnickiego byli już o ćwierć stajania od wioski. Natychmiast poderwali się, wypadli z ukrycia i rzucili biegiem w stronę pierwszych chałup.

–Alt!

Jacek wypuścił konia w skok. Pomknęli gościńcem jak wiatr; łomot końskich kopyt rozbrzmiał głucho, karpy, głązy i przydrożne lipy zostawały w tyle. Jak burza wpadli na rozstaje, skręcili w stronę wioski.

Nikt prawie nie stawiał im oporu. Dwóch wyrostków chciało zamknąć główną bramę do Dwernik, ale pierzchli na sam widok nadciągających kozaków. Dydyński rąbnął pierwszego płazem szabli, drugi skoczył na chruściany parkan, rozwalił go, zanim przedostał się na drugą stronę. Inni mieszkańcy uciekali do chałup i stodół. Nikt nie porwał za czekan, szablę czy widły, nikt nie pomyślał o rozpaczliwej obronie.

Dydyński nie zadawał sobie trudu dobywania poszczególnych zagród. Skrzyknął kozaków, którzy już rzucili się do komór, kurników i spichrzy za rabunkiem, a potem pomknął do największego domostwa w wiosce. Duże dębowe wrota były zaryglowane, ale dworek otaczał jedynie liche, niski parkan przechodzący w płot. Dydyński spiął konia, pochylił się w kulbace i jednym skokiem przesadził pokrzywione chruściane ogrodzenie, lądując na zagonach, wśród dyń, słoneczników,

cebuli i rzepy. Kozacy poszli w jego ślady.

Skoczyli konno ku bramie, ale i tu nie napotkali oporu. Wierzeje były zatrzaśnięte, zaryglowane. Dwaj semeni bez rozkazu zeskoczyli z koni, zdjęli zapory, rozwarli oba skrzydła wrót, wpuszczając na podwórze resztę kozaków. Dydyński podjechał do starego, omszałego dworku, zatrzymał się przed gankiem.

–Z koni! Otoczyć dom!

Semeni wykonali rozkaz szybko i sprawnie, jak polska chorągiew kwarciana. Dopadli do ścian dworku z szablami i rusznicami, pochowali się na ganku, w zaroślach przy narożnikach budowli.

–Rąbać drzwi! – rozkazał Dydyński! – Do środka! Chyżo!

Solidne, nabijane bretnalami wrota zadudniły głucho pod uderzeniami siekier i czekanów. Gdzieś za stodołą, od strony kościoła, rozległ się pojedynczy strzał z rusznicy, krzyki, brzęk szabel. Potem wszystko ucichło. Opór Dwernickich nie trwał dłużej, niż potrzeba czasu na odmówienie jednej antyfony, a Jacek nad Jackami był tym niepomiernie zdumiony.

Drzwi zatrzeszczały, grube, pociemniałe bale pękły pod zaciekłymi ciosami i choć czekany i siekiery szczybiły się na łbach bretnali, przeszkoda zaczęła ustępować. Dydyński spoglądał z niepokojem na okna zasłonięte ciężkimi okiennicami, przy których warowali jego ludzie gotowi dawać ognia z rusznic na każdą oznakę oporu. Nic takiego się nie stało. Z dworku nie padł żaden strzał, nikt nawet nie pisnął, nie wzywał pomocy ani imienia Boskiego nadaremno. Dwerniccy siedzieli cicho jak mysz pod miotłą, lecz jeśli myśleli, że przeczekają w spokoju polowanie, tedy się mylili, bo Dydyński był zaiste starym i wytrawnym kocurem. I gotów był przysmażyć piętę samemu diabłu, aby tylko przywieźć Stadnickiemu Gedeona w łańcuchach.

Drzwi ustąpiły wreszcie, pękły z hukiem i niemal w tej samej chwili puściły solidne, kute w kuźni Beryndy zawiasy. Semeni wpadli do wnętrza dworku z szablami i czekanami. Dydyński usłyszał huk wystrzału, jęki. Już miał sam skoczyć na pomoc mołojcom, kiedy usłyszał ich tryumfujące okrzyki, wrzaski i przekleństwa. Wkrótce polepa w sieni zatrzęsała się od podkutych kozackich butów. Rozradowani słudzy wypchnęli na podwórze rosłego szlachetkę w siermiędze, grubego kozaka o czerwonej gębie, za nim zaś młodego hajduka bez czapki, w podartym żupanie, o zmierzwionych długich czarnych włosach. Jeńców przywleczono do Jacka, rzucono na kolana, jak Niżowców schwytyanych na chadzce i doprowadzonych przed oblicze hetmana zaledwie na chwilę przed wywindowaniem na świeżo zaostrzone paliki.

–To już wszyscy, wasza wielmożność – rzekł ataman semenów. – Dziad stary w łożnicy został, ale ledwie dycha i sam tu nie przyjdzie. A jeśli go wasza miłość każe na powrozie przywlec, tedy zaraz za progiem ducha wyzionie!

–W czyich rękach jesteśmy? – zapytał szlachetka w siermiędze. Nie wyglądał na wystraszonego, lecz raczej na zobojętniałego. – Kto tym razem zajazd uczynił, bo już połapać się w tym wszystkim nie mogę?

–Przecież widzisz, że to stolnikowic sanocki! – rzucił hajduczek, a kiedy Dydyński spojrzał nań, przekonał się, jak bardzo się pomylił. To nie był sługa dworski, ale panna. Wnosząc zaś po sińcach pod oczyma i porwanym żupaniku, raczej stepowa



wilczyca niżli spokojna i stateczna prządka. – Czegóż od nas chcesz, mości Dydyński? – spytała przez zaciśnięte zęby. – A możesz się z byle kpem na rozumy pomieniał, że Diabłu Stadnickiemu służysz jako zwykły opryszek?!

–Wolałbym się pomieniać z kpem niż z waćpanną – zgodził się Dydyński. – Bo tylko od twego rozumu i rozsądku zależy, czy wyjdziecie cało z tej przygody. Ja do was nic nie mam, jeno do waszego krewniaka, Gedeona Dwernickiego. Wydacie mi go po dobroci, to was cało ostawię. Nie wydacie, to będziecie musieli śpiewać, kiedy wam zagram. A muzykować będę nie na basetli, nie na skrzypkach, ale na czekaniku, szabelce i łańcuchach. Wierzcie mi, dawałem sobie radę z lepszymi od was charakternikami i wywołańcami.

–Wymień, waść, chociaż dwóch! – Konstancja wstrząsnęła głową jak rozzłoszczona lwica. Była tak urocza i tak rozwścieczona, że gdyby jej wzrok mógł palić na popiół panów braci jako oczy sławnej królowny angielskiej, po panu Dydyńskim ostałyby się tylko hajdawery i portret trumienny.

–Hola, mościa panno – rzekł stolnikowic, który wcale nie wyglądał na skonfundowanego. – Ja tu jestem od opowiadania krotoczwil. A skoro już jesteś taka rezolutna, to łatwo zmiarkujesz, że całość twych członków zależy od tego, czy znajde tutaj imć Gedeona. Bo widzisz, mościa panno, ze mną, z Dydyńskim, to jeszcze można załatwić całą rzecz po dobroci. A ze Stanisławem Stadnickim już tylko po złości. Wybierajcie, co wam milsze. Pan starosta zygwulski wielce będzie rad gościć was w Łańcucie! Mogę zapewnić, że nie zabraknie wam ani suchego chleba, ani rozgrzanego żelaza! Wielu tam już klientów dzwoni w ciemnicy łańcuchami, umilając tym dźwiękiem noce panu starości.

–Jak waszmości nie wstyd – wybuchnęła Konstancja – abyś jako stolnikowic sanocki, Dydyński, szlachcic osiadły na tej ziemi od czasów króla Władysława, służył łotrowi, szelmie i rakarzowi z Łańcuta?! Panów braci niewolił, herby i przywileje zabierał?! I w racje Diabła Łańcuckiego wierzył jak w żywoty świętych!?

–Gdybym wierzył w głupoty, które Stadnicki rozgłasza, tedy bym się zwał Wierzejskim, a nie Dydyńskim. Sprawa ze mną jest jak kraj ten stara – ze starostą wiąże mnie parol, szlacheckie *nobile verbum*. Dane po pijanemu i w złej godzinie. Waćpanna wybac, ale odbiegliśmy znacząco od tematu dysputy. – Uśmiech znikł z ust Dydyńskiego, gdy ryknął jak lew z całych sił: – Gdzie Gedeon?!

–Na Węgrzech go waszmość pan szukaj – Konstancja skłamała, nie patrząc Jackowi w oczy. Zresztą nawet gdyby patrzyła i tak by jej nie uwierzył.

–A może w Moskwie, na Kremlu?

–Szukaj, waść, wiatru w polu!

–Jak trzeba będzie, to poszukamy. Przetrzęsnać dwór! – zakomenderował Dydyński. – Podłogi zerwać, strych sprawdzić i piwnicę! A wy – rzucił do atamana – do stajni, do stodół! Gumna i brogi przepatrzeć!

Semeni porwali się w mig, aby wypełnić rozkazy. Tymczasem z za węgła stodoły wyjechał Zegart wsparty dumnie pod boki – rzekłbyś, hetman albo przynajmniej podstarości udający kasztelana. A za nim szedł długi korowód szaraczków z zaścianka. Panowie Dwerniccy postępowali wolno, pobici i wystraszeni, smagani

bizunami, popędzani kopniakami hajduków i sabatów, boso, w skrwawionych, zabłoconych świtach, sirakach i zniszczonych żupanach. Wszyscy mieli dłonie skrępowane za plecami, co poniektórzy zaś – a w ich liczbie Kołodrub, Pełczak oraz ich bracia – ręce i szyje uwięzione w solidnych dębowych kłodach obwiązanych łańcuchami.

–Panu Dydyńskiemu cześć i sława! – zakrzyknął Zegart niczym rzymski tryumfator, chociaż jadący u jego boku Przeclaw miał nieco mniej marsową minę. – Kościół i młyn wzięte. W dwóch chyżach się jeszcze zawarli, ale ich Szatmar dobywał! A jak nie dobiedzie, to dymem wykurzy jak pszczoły z barci! Co ja widzę! – syknął, dostrzegając Konstancję. – Mała łuczniczka! Widzisz tę brzechwę, kurwo?! – zakrzyknął, wydobywając z juków długą strzałę, tę samą, którą Dwernicka przestrelała mu dłoń w czasie poprzednich odwiedzin na zaścianku. Potrząsnął zabandażowaną szarpami dłonią, która jeszcze nie zdążyła się zagoić. – Jak widzisz, zachowałem ją sobie dla tej chwili. A teraz imaginuj sobie, gdzie ci ją wetknę, mała ladacznico! Nie – roześmiał się, jakby uprzedzając pytanie dziewczyny – wcale nie tam. Wsadzę ci ją w zęby, kiedy cię będę chędożył. Abyś nie jęczała i przez cały czas wspominała, że niezdrowo jest Zegarta obrażać! Panie Jacku, każ odprowadzić na bok dzierlatkę i wziąć na arkan. Wezmę tę dziewczkę do Łańcuta!

–Weźmiesz, ale czekaniem w łeb! Na razie ja tu dowodzę. I pytam się – zagrzmiął Dydyński – co to ma znaczyć?! – Wskazał na skowanych szaraczków, a jego twarz nagle stała się ponura. – Siła waćpan Gedeonów znalazłeś – pół zaścianka. I co my niby mamy z nimi zrobić? Do Łańcuta ciągnąć?

–Gedeona nie znaleźliśmy. A to są Dwerniccy, tfu, co gadam, Dwerkowie, chłopci zbuntowani. Będą oni teraz rolę orać dla pana starosty, sprzężaj odrabiać trzy dni w tygodniu, jako konstytucje stanowią. Założy im się zaraz księgę dworską i wszystkie powinności ustanowi.

–Chyba się waszmości rozum pomieszał! To jest szlachecka wieś, a tamci to herbowi szaraczkowie, o czym wie byle kiep w Sanockiem.

–Tacy z nich szlachcice jak ze mnie biskup – zarechotał Zegart. – To są ludzie z urodzenia *plebeiae conditionis et ignobiles*. Nic im nie pomogą wywody, atestacje, konfirmacje i co tam jeszcze diabeł im podpowie! Będą kijem bierać i po trzy dni w tygodniu pańskiego odrabiać! Za każdy łan kmieczy!

–Waść zapomniałeś, po co tu przyszliśmy?! Mieliśmy łapać Gedeona Dwernickiego, który waszmości spostponował, a nie szlachtę chłopić! Jego mość Stadnicki nic mi o tym nie mówił!

–A po co miał mówić?! Twoja rzecz pojmać Gedeona. A moja – zaprowadzić tu prawo i sprawiedliwość, czyli dokonać egzekucji kaduka na tych oto plebejach!

–Dydyński *sum!* – wybuchnął Jacek. – Ja jestem od pojedynków, zwad i zajazdów, a nie od schłopiania wolnych szlachciców! To jest *crimen*, pospolita zbrodnia! Jak się o tym szlachta dowie, trudno będzie nas z kawałków do trumny pozbierać!

–Panie Dydyński, uspokój się, waść! – wrzasnął Zegart siny z wściekłości. – Tyś się za dużo naczytał romansów rycerskich, Długosza i Kromera! Ty mi tu nie strugaj, proszę, Zawiszy Czarnego, boś nie Sulimczyk, ale Nałęcz. A przy tym wywołaniec i

banita, jak my wszyscy. Dzisiaj żyjem, jutro gnijem. Przeszkadza ci cnota, tedy ją wycharchnij! Zawadza sumienie, to je winem zalej, jak robaka!

–Veto, panie Zegart. Ja nie pozwolę na takie poniżanie szlachty!

–Szlachty?! Jakiej szlachty? Lepiej spytaj się ich, waść, czy autentyk mają, przywileje na wioskę, pergaminy, gdzie napisano, że są *nobilis*, a nie poczciwi!

–Pytaj się dębiny, kto jej kazał rosnać nad wszelkie krzewiny!

–Stój!

Dydyński nie czekał. Skoczył konno w stronę Dwernickich, dopadł do Kołodruba, zamachnął się i ciął szablą. Z krótkim, urywanym brzękiem pękł łańcuch obejmujący kłodę na szyi i rękach szlachcica! Jacek nad Jackami skoczył ku kolejnemu Dwernickiemu, przerąbał okucie deski. A kiedy następny szlachetka wzniósł doń jak do świętego Jana z Dukli ręce skrępowane długim łańcuchem, Jacek uderzył szablą jak piorunem i z metalicznym chrzęstem strzaskał okowy i kajdany.

Dwerniccy krzyknęli jak jeden mąż. Wszyscy rzucili się do wybawcy, klękali przed jego koniem, wyciągali doń skrępowane ręce, jak jeńcy uwolnieni z tatarskiego jasyru. A urodzony Jacek Dydyński z Niewistki, herbu Nałęcz, szlachcic osiadły, z rodziny starszej niż weneckie katedry i włoskie zamki, przecinał więzy, rąbał dyby i kajdany. Kiedy on, polski pan odziany w przepyszną karmazynową delię ze złotymi pętlcami, z diamentowymi guzami, z których każdy wart był więcej niż pół Dwernik, niósł wolność na ostrzu swej husarskiej szabli biednym, zahukanym szlachetkom w znoszonych giermakach, ferezjach i siermięgach, wyglądał jak święty archanioł, który zstąpił z nieba, aby ochronić maluczkich przed zniszczeniem.

–Szatmar! – wycharczał poblady Zegart. – Do mnie! Do rusznic! Mierzyć w Dydyńskiego!

–Semeni! – rzucił krótko Jacek nad Jackami. – Brać na cel Zegarta!

Żołnierze Stadnickiego pogłupieli. Z początku nie wiedzieli, kogo słuchać, ale semeni, czy to, że byli bardziej karnym wojskiem, czy też Dydyński miał większy mir między nimi, skoczyli konno i pieszo w stronę pana Jacka. Z metalicznym szczękiem odwiedli kurki od pistoletów i rusznic, z trzaskiem opuścili krzoski na zębate kółka zamków arkebuzów. Dopiero wówczas sabaci zaczęli biec w stronę Zegarta, a potem stanęli obok niego ramię w ramię.

–Nie rób żadnych głupstw, Zegart! – warknął Dydyński. – Wsadź dupę w troki i ruszaj na gościniec. Spotkamy się w Łańcucie i tam zdamy sprawę przed starostą! Myślże, człecze, bo to zaboli cię mniej niż kula. A jak nie pomyślisz, tedy każę cyngłów ruszać! I tak ci łeb obrobie, że stare baby będziesz na jasełkach straszyć!

Zegart zawahał się. Już wiedział, że przegrał. Nie mógł dostać pola Dydyńskiemu. To była oczywista prawda, o której wiedział każdy z jego żołnierzy.

Opuścił broń...

I wtedy padł strzał!

Jacek pochylił się w kulbace. Na jego plecach wykwitła szkarłatna plama.

Semeni dali ognia z kilkudziesięciu kroków, prosto w umorusane łby sabatów i dworskich hajduków.

Podniósł się wrzask, krzyk, jęki, rżenie i kwik wierzchowców. Dym spowił

podwórze przed dworkiem Dwernickich. A potem przeorały go błyski ognia z luf arkebuzów oraz pistoletów ludzi Zegarta.

Najwierniejszy sługa Diabła Łańcuckiego wyleciał z kulbaki, padł na ręce swoich sabatów, zawył z bólu, omdlał. Dydyński uderzył czołem o przedni łęk kulbaki; wiedziony ostatnią wolą obrócił się na bok, spojrzął za siebie...

I przymknął oczy.

W zdeptanym, zrytym końskimi kopytami ogrodzie za dworem stał Przeclaw z dymiącym pistoletem w dłoni. Jacek Dydyński wypuścił szablę z ręki, osunął się na ziemię, pomiędzy ciała zabitych. Chciał jeszcze wstać, ale nie mógł, krew trysnęła z okrutnej rany w plecach, spłynęła na delię obszytą wilczurem, na pętlice, adamaszki, jedwabie i aksamity... Na kindżał nabijany turkusami, szablę husarską w czarnej pochwie ozdobionej srebrem. Na Nałęczu wyrytego na sprzączce ciężkiego rycerskiego pasa...

Strzały z ganku rozległy się zupełnie niespodziewanie, a pozbawieni dowódcy semeni rozpierzchli się, gdy kilku z nich padło od zdradliwych kul. Ze stopni stoczył się na zakrwawione, zadymione podwórze ogromny szlachcic bez prawej nogi i lewego oka. Chwycił wystrzelony arkebuz za lufę – niby maczugę – a potem wpadł między przeciwników. Jednym ruchem rozłupał łeb najbliższemu z kozaków, uderzeniem z zamachu zdruzgotał żebra hajdukowi, połamał ręce sabatowi zbrojnemu w szablę i pistolet. I poszedł dalej, rozwalając głowy, krusząc żebra, obojczyki i karki.

Berynda skoczył za nim z pistoletem w rękę. Potem pobiegła Konstancja, Samuel, Krzysztof i jeszcze kilku Dwernickich. To wystarczyło. Bez wodzów wojsko Stadnickiego było już tylko zbójceją watahą opryszków i włóczęgów. Pierwsi pierzchli z placu boju hajducy. Za nimi, porwawszy rannego Zegarta, sabaci. Po nich umknęli w opłotki semeni i cała reszta hałastry.

Samuel strzelił z rusznicy do Przeclawa, wciąż tkwiącego w miejscu i wpatrującego się w milczeniu w zakrwawionego starszego brata. Kiedy kula świsnęła Dydyńskiemu tuż nad ramieniem, zadygotał, rzucił precz pistolet, porwał za cugle, a potem śmignął w ogród, jak szarak umykający przed polowaniem. Samuel widział, jak pędził na wronym wierzchowcu w dół pagórka, jak wpadł w Wetłynkę i przebył ją skokiem, a potem znikł w lesie za rzeką...

Gedeon stanął w milczeniu nad zalany krwią Jackiem Dydyńskim. Wziął szeroki zamach, aby zadać cios łaski i przerwać cierpienia zajeźdnika. Konstancja skoczyła ku krewniakowi jak tygrysica, złapała go za ręce. I choć z równym powodzeniem mogłaby zatrzymać szarżującego wołu, Gedeon zamarł, nie zadając ciosu.

–Zostaw go! – wykrzyknęła. – On musi żyć!

–Stadnicki nie da okupu za zdrajcę!

–To nie zdrajca, bo stanął po naszej stronie. Uwolnił Kołodruba i resztę braci! Czy w zamian za to chcesz rozwalić mu łeb?!

–Tak jak każdemu pachotkowi Diabła!

–Ale nie temu!

–To wywołaniec, jak i tamci. A wywołańca zabić nie grzech!

–Ja – w oczach Konstancji zobaczył łzy – ja proszę, błagam, nie czyn tego. To jest sławny pan Dydyński, Jacek nad Jackami, zajezdnik, człek znany z honoru i fantazji. Zmiłuj się, panie Gedeon! Proszę...

–Nie!

–Zrób to dla mnie! Błagam!

Spojrzała na niego tak smutno, że Gedeon zawahał się. Opuścił rusznicę i wsparł się na niej.

–Dobrze, siostrzyczko – mruknął półgębkiem. – Każ zanieść go do dworu. Ale nie waż się opatrywać. Jeszcze z nim nie skończyłem.

\* \* \*

Czarny kruk przysiadł z łopotem skrzydeł na ciele martwego szlachcica. Błyszczące, ruchliwe oczy spoglądały na zakrwawione pole, na trupy ludzi i koni, nad którymi krążyły stada wron i kawek. Ptaki obsiadły zabitych, rozdzierały szponami żółte i karmazynowe delie, przeskakiwały z litych jedwabnych pasów na wilcze, kunie i sobole kołnierze żupanów, wbijały pazury w szuby i aksamitne giermaki. Skradały się po zakrwawionych czamarach, pozłacanych zbrojach, dziobały palce zaciśnięte na rękojeściach szabel i pałaszy, wyrwały strzępy mięsa spomiędzy szlacheckich sygnetów, diamentowych i turkusowych pierścieni. Wydziobywały oczy z głów nakrytych wilczymi czapami i rysimi kołpakami, łamały czaple i strusie pióra, szamotały się między srebrnymi szkofiami i kosztownymi trzęsieniami.

Kruk przefrunął na kolejne ciało. Usiadł na martwej ręce zaciśniętej na rękojeści szabli; jego pazury objęły złoty sygnet ze Śreniawą.

Kruki... Zawsze widywał je wtedy, gdy o włos ocierał się o śmierć, kiedy czuł na ciele lub podgolonym łbie ostrze wrogiej szabli. Nie wiedział, czy była to zapowiedź nadchodzącej śmierci, która już, lada chwila miała porwać go do tańca, czy tylko złe wspomnienie z dzieciństwa. Kiedyś, gdy miał osiem, może dziesięć wiosen, ojciec zabrał go pod szubienicę, aby dobrze się przypatrzył, jak kończyli ci, którzy przesadzili w nadmiarze swawoli, a nie mieli szczęścia urodzić się szlachtą. Nie wiedział, czy był to Wisielnik Horodyski koło Bachlawy, czy też góra szubieniczna na Posadzie Liskiej. Dość, że gdy zatrzymali się obok pochybła, ujrzał kilka kołyszących się na wietrze ciał, które w niczym nie przypominały ludzkich szczątków. I wtedy zobaczył kruki... Czarne ptaszyska obsiadły trupy tak gęsto, że zrazu wydawało mu się, że powieszoni jeszcze żyją i drgają w przedśmiertnych drgawkach.

Zrozumiał swoją pomyłkę, gdy spłoszone przez zbliżających się ludzi ptaki zerwały się do lotu i poszybowały prosto na nich, jak gdyby chciały rzucić się na kolejną ofiarę. Wtedy krzyknął, spadł z konia, wtulił się w wykrot pod korzeniami buka, aż ojciec musiał wyciągać go stamtąd siłą. Od tej pory bał się kruków. Czarne ptaszyska prześladowały go w snach, zawsze pojawiały się wtedy, gdy majaczył w malignie. A teraz znowu gromadziły się wokół niego. Nie wiedział, czy będą w spokoju czekać na jego śmierć, czy też jeszcze za życia rzucać się, aby wydrzeć mu oczy potężnymi dziobami.

Jacek Dydyński umierał. Konał z głową wspartą na nabijanej perlami, szamerowanej złotem kulbace swego rumaka. Leżał między trupami w delii obszytej

wilczym futrem, zapinanej na diamentowe guzy. Delia zaś okrywała karmazynowy żupan ze skrzącymi się pętlcami i guzami, w które wprawiono małe, błyszczące diamenty. Na tym przepysznym żupanie zastygała szlachecka krew wypływająca z głębokiej rany na plecach, pod prawą łopatką, między żebrami.

Dydyński czuł, jak życie ucieka zeń powoli, uchodzi z każdą kroplą czerwonej szlacheckiej posoki. Nie mógł wstać, gdyż wówczas krwawił jeszcze bardziej, a straszny ból przeszywał ciało; wtedy zaczynał się krztusić i pluć posoką. Leżał zatem, wpatrując się w las, w mroczne niebo, z którego opadały grube krople dżdżu. Zbierałymi wargami szeptał słowa modlitwy – prośby, które porywał wiatr wiejący od Zborowa.

Ostatnie blaski słońca przebiły się przez ołowiane chmury, padały na zakrwawione pole, na którym legł od kozackich i pohańskich szabel sam kwiat sanockiej szlachty, doborowe towarzystwo z dworów, zamków i zaścianków.

–Panie Dydyński...

Ktoś szedł ku niemu przez zakrwawione pole. Był wielki jak góra, odziany w prostą włosienicę, a w rękę trzymał żebraczy kostur. Na głowie nosił kaptur – dlatego Jacek nie mógł rozpoznać jego twarzy ukrytej w mroku, dostrzegał tylko jedno, błyszczące czerwone oko.

–Panie Dydyński – wyszeptał nieznajomy. – To już koniec.

–Pomocy...

–A cóż dasz mi za swoje życie, bracie?

–Zło... to – wyszeptał Dydyński. – Dukaty, talary... Mój ojciec...

–Aż tak nisko cenisz swój żywot, mości stolnikowicu? Myślisz, że judaszowe srebrniki są warte więcej niż twoja nędzna duszyczka?

–Dam, co tylko chcesz... – jęknął szlachcic.

–Dasz mi. A jakże! Wszystko, o co poproszę, bo tylko ja jestem w stanie uchronić cię od zgonu. Panie Dydyński, oddasz mi część tego, co uratuję. Drobną cząstkę swego życia, kawałek dni, które pozostały ci do śmierci na polu chwały. Chcę, abys mi służył przez siedem miesięcy, panie Dydyński. To daje dwadzieścia osiem niedziel. Ani dnia więcej, ani dnia mniej...

–Służyć? – Stolnikowic uśmiechnął się boleśnie. – Jakże to tak? Ja, szlachcic, miałbym iść na służbę do was? To chyba na odwrót, bracie – ty zostań moim pachołkiem! Nie stracisz na tym, zaręczam...

Coś upadło tuż obok głowy Dydyńskiego i zabrzęczało metalicznie. Krzyżyk. Mały, żelazny, na łańcuszku, zakończony na dole trupa głową.

–Będzie, jak sobie życzysz, mości panie Dydyński – rzekł mnich. – Pomnij, że uszanuję każdą twą wolę, choćby była to wola głupca, a nie szlachcica. Chcesz – ucałuj krzyż i zaprzysięgnij mi posłuszeństwo w imię Jezusa Chrystusa, Pana Naszego, daj *nobile verbum*, że będziesz wiernym i oddanym sługą. A jeślić duma ci na to nie pozwala, tedy rzeknij tylko słowo, a wnet się oddalę.

Dydyński zamarł. Krzyż błyszczał w deszczu, był tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę.

–Wynagrodzę cię sowicie – stęknął szlachcic – dam pięćset talarów...

–Czas mija, panie Dydyński. Wbrew temu, co sobie myślisz, nie mam go zbyt dużo.

–Ja też nie...

–Słabniesz, panie bracie – mruknął obojętnie mnich. – Czyż świat nie wiruje ci przed oczyma? Czyż nie tracisz władzy w nogach? Nie czujesz, jak przeszywa cię zimno? Śmierć idzie po ciebie. Pozostaniesz tu, na tym polu. Wilki będą rwać twe ciało, które nie spocznie w trumnie. Żaden malarz nie uczyni twego portretu. Nikt nawet cię nie pochowa, mości panie szlachcic.

Dydyński zadrżał. W rzeczy samej nie czuł nóg. Ogarniał go coraz większy chłód.

–Ja jestem Jacek nad Jackami... stolnikowic sanocki – wyszeptał szlachcic – o moje usługi ubiegają się karmazyni, możni panowie... A ty chcesz, abym został twoim... rękodajnym?

–A więc niechaj któryś z tych posesjonatów cię uratuje. Możemy poczekać na kogoś, jeśli taka twoja wola.

–Kim ty jesteś?

–Tym, którego tropiłeś jak dzikiego zdeba. Oto nadeszła chwila, że zdeb okazał się niedźwiedziem.

Dydyński milczał. Czuł narastający zawrót głowy, z rany chlustała krew.

–Bywaj, panie bracie. – Mnich odwrócił się i ruszył poprzez pole. Dydyński skulił się z bólu. Jęknął, ostatkiem sił chwycił krzyżyk, zacisnął na nim palce, raniąc je do krwi.

–Czekaj! Zgadzam się! Pójdę do ciebie na służbę, jeno ratuj!

Mnich szedł. Oddalał się. Nawet nie odwrócił głowy.

–Ja, urodzony Jacek Dydyński – załkał szlachcic, czując, że spada w otchłań bez dna – stolnikowic sanocki, klnę się na Jezusa Pana Naszego i na rany Jego i daję *nobile verbum*, że przez siedem miesięcy służyć ci będę szablą i radą... Tak mi dopomóż Bóg...

–Ucałuj krzyż, panie szlachcic. – Mnich zatrzymał się. – Uczyń to na znak pokory i oddania.

Dydyński z wysiłkiem podniósł krzyżyk do ust i ucałował, pozostawiając na nim ślad krwi. Zakaszał i zakrztusił się posoką; poczuł, że zaraz omdleje. Ciemniało mu w oczach – zewsząd napływały ku niemu szepty i głosy, słyszał znowu krzyki i rżenie koni, brzęk szabel, huk wystrzałów. A potem usłyszał klekot kości, łoskot kopyt i chrapanie wierzchowca, na którym zbliżała się doń sama śmierć.

–Panie bracie – rzekł nieznajomy – należysz do mnie.

Pochylił się nad stolnikowicem, okrył go płaszczem, a Dydyńskiemu zdało się, że leci w jakąś bezkresną otchłań. A potem otoczyła go cisza i mrok. I wiekuisty spokój.

\* \* \*

Berynda odłożył kowalski młot, otarł pot z czoła. W kuźni było gorąco, duszno; powietrze wypełniał swąd rozgrzanego metalu i skóry. Dwernicki zrzucił skórzany fartuch, wyszedł przed chatę. Pochylił się nad korytem, z ulgą przemył twarz, ochlapał żywot i plecy lodowatą wodą. Na koniec zmoczył cały rozgorączkowany łeb, a wówczas usłyszał za sobą ciche rżenie konia.

Od razu wyprostował się i odwrócił z niepokojem. Zamarł, gdy nieco dalej, za chruścianym płotem, dostrzegł w półmroku jeźdźca dosiadającego wielkiego karego wierzchowca.

Nieznajomy naciągnął łuk tak mocno, że Berynda usłyszał ciche trzeszczenie cięciwy; wymierzył w stronę szlachcica, a Bieniasz zamarł przerażony i zdruzgotany. Chciał porwać za szablę, ale zostawił ją w kuźni, chciał się ukryć – ale nie miał gdzie. Zresztą wiedział dobrze, że wystarczy jego drobny ruch, a nieznajomy pośle posłańca śmierci prosto w jego serce... Co było czynić, na Boga?!

Świsł strzały rozbrzmiał w jego uszach jak skowyt upiora. Dwernicki chwycił się za pierś, krew odpłynęła z jego ogorzałej gęby...

–A więc to tak – przemknęło mu przez głowę. – Umiera się, nic nie czując... Świat kończy się i...

Jeździec zawrócił konia, spiął go i jednym susem przesadził płot, znikając między chałupami. Zapadła cisza.

Berynda nie upadł. To było dziwne, ale nic go nie bolało. Przesunął ręką po piersi, ale nie wyczuł krwi.

Dopiero po chwili poruszył się, obejrzał ręce, nogi, brzuch. Żył. Albo jeździec chybił, albo strzała nie była przeznaczona dla niego.

Rozdygotany odwrócił się ku drzwiom do kuźni. Chciał iść po szablę, ale się wstrzymał. W środek otwartych wrót wbita była ciężka, długa strzała zwieńczona ciemnymi piórami.

Czarna strzała...

\* \* \*

Jacek Dydyński ocknął się na ławie, z głową wspartą na kulbace, nakryty grubą derką z owczej wełny. Ból, który odczuwał w plecach, pod prawą łopatką, zniknął. Kiedy pomacał się po piersi, wyczuł grube zwoje szarpi, które spowijały jego ramię, bok, przecinały tors i przechodziły pod lewą pachą.

Nie wiedział, gdzie się znajduje. Nad sobą miał bielony, ledwie widoczny w ciemności sufit wsparty na grubym tragarzu. Tuż obok na niskim zydłu płonął kaganek, rzucając złotawe blaski na ściany, piec opatrzony kominem, stół, skrzynie, bambetel i długie, niknące w mroku ławy. Najpierw wydawało mu się, że jest w chłopskiej izbie, jednak komin przy piecu, wzorzyste, choć postrzępione opony na ścianach kazały temu przeczyć. Zastanawiał się, czy jest w Dwernikach, we dworze, który jeszcze niedawno zdobywał, rąbiąc siekierami drzwi i okna. I nie wiedzieć dlaczego – poczuł ulgę.

Wstał z trudem z ławy, a wówczas dostrzegł rozchwiane krzesło, a na nim swoje odzienie, buty i hajdawery. Szybko wzuł je na nogi, narzucił na gołe ciało delię, a potem otworzył drzwi. Wszedł do obszernej sieni, potrącił skopiec do mleka, jakies niecki, wypłoszył kota spasionego jak kapucyn, który parsknął ze złości i dał dyla do komory po drugiej stronie korytarza. Szlachcic wyminął żarna i stępę, a potem podszedł do drzwi. W smudze światła, która padała do sieni, dostrzegł, że były świeżo osadzone w odrzwiach – bale i deski nie zdążyły jeszcze ściemnieć, okucia i bretnale błyszcząły, jakby ledwie co wyszły spod kowalskiego młota.



Pociągnął za skobel i drzwi ustąpiły. Nie były w ogóle zamknięte. A przez szczelinę do sieni wpadł podmuch chłodnego, wilgotnego powietrza. Wówczas powoli wyszedł na ganek i głęboko odetchnął.

–Więc jednak waszmość pan żyjesz?

Na ganku przysiadła szlachcianka, ta sama, która – ledwie to pamiętał – razem z wielkim szlachcicem przeniosła go do dworu zaraz po bitwie. Obracała w dłoniach końcówkę jednego z dwóch ciasno splecionych warkoczy, wpatrzona w szczyty górujące nad Dwernikami.

–Chwalić Boga, jeszcze poruszam kulasami. Przynajmniej na tyle, abym mógł przyjść i podziękować waćpannie za uratowanie życia.

–Podziękuj lepiej Gedeonowi, który wyciągnął ci kulę. I pomódl się do Matki Rudeckiej. Gdyby się strzelcowi ręka nie omsknęła i trafił pół ciała w lewo, pokłoniłbyś się świętemu Piotrowi w raju. Albo biesom w piekle.

–Długo leżałem bez zmysłów?!

–Dziś jest czwartek, jedenasty *octobris*...

–Jedenasty? Przybyłem tu na Święto Archaniołów. Toż to prawie dwie niedziele!

–Leżeliście jak martwy. Już bracia myśleli, czy popa z Łopinki nie sprowadzić.

Zadygotał, wsparł się o drewnianą balustradę. Odetchnął chłodnym powietrzem i poczekał, aż przejdzie zawrót głowy.

Był wczesny świt, nieboskłon pogodny, przejrzysty jak kryształ weneckiego pucharu. Choć na wschodzie nad czarnym wałem Otrętu i Werhowyną przedzierała się wolno jasna smuga, w zenicie tkwił ogromny biały księżyc rozświetlający srebrnym blaskiem góry i uroczyska, berdy, berehy, horby i kiczery połączone niskimi, łagodnymi prislipami. Jesień nadciągnęła w góry i doliny. Nastął czas, gdy bory okrywały się złotymi liśćmi, zieleń lasów stawała się coraz ciemniejsza, a z łągów i rzek wznosiły się pierwsze mgły.

Widok z Dwernik był piękny i dziki. Dydyński dawno nie bywał w tych stronach i teraz chłonał pełną piersią mrok, mgłę, księżyc i stare, sędziwe górskie szczyty. Patrzył, jak z dolin Zawoju i Solanki, od Wetłyny oraz wprost z mrocznych głębi Sinych Wirów, ciągnęły się długie przedzie oparów. Jak snuły się niczym osmętнице po okolicznych łąkach i polach, sunęły w przepaściste berdy Połoniny. Oglądał wyniosły, wznoszący się stromo ku górze szczyt porośły bukowym lasem, ze skalistym, dwugarbnym wierzchołkiem, zwany Dwernikiem lub Kamieniem. Tam kiedyś, wedle pradawnych legend, rycerz Juraszko zabił ubogiego witezia Dwernika, od którego wzięła miano cała góra. A poszło, jak to zwykle bywało, o niewiastę, o Łopinkę, którą tenże Dwernik porwał w noc sobótkowąomalże z ramion Juraszka.

Posępna góra, przesłonięta nieco przez Magurkę i Jawornik, była cała skąpana we mgłach. Jej szczyt zdawał się unosić nad ziemią, bowiem rozłożyste ramiona ciągnące się w jedną stronę ku Chmelowi, a w drugą ku połoninom spowite były w opary unoszące się znad łągów nad niewidocznym Sanem. Białe tumany snuły się także i sączyły z wolna z przełomów Prowczy rozdzielających – jak rysa po cięciu szablą – długi wał połonin ciągnący się ku dalekim Ustrzykom i Tarnawie.

Znacznie bliżej wznosił się wyniosły, dołem pokryty gęstym lasem,

przypominający rozłożystą kiczerę Smerek, leżący na wysuniętym ku zachodowi dziale Werhowyny. U jego stóp przycupnęła niewidoczna z zaścianka wieś Kalnica, od której ciągnęła się ku Dwernikom i Łopince dolina, gdzie w miejscu zwanym Sinyimi Wirami Wetłyna kotłowała się, pienią na kamiennych progach i osypiskach. A pomiędzy przegradzającymi jej koryta blokami skał czały się płycizny i sine głębie zwane przez okolicznych Hyrniaków baduniami. Były to mroczne wiry, gdzie nawet słońce nie miało przystępu. Tam właśnie grasowały wodnice, utopce i rusałki wabiące ludzi śmiechem i wołaniem, wciągające zbłąkanych podróżnych w głębie bez dna, skręcające im karki i porywające dzieci.

Po drugiej stronie doliny Łopinki panował jeszcze mrok. Jedyne sam kiczar Łopinnika oświetlały pierwsze promienie przedświtu. Niżej, w uśpionych jesiennym snem dolinach gór, na prislipach, łąkach i horbach, panował nocny mrok i mgła. Tylko we wsi Łopinka rozciągniętej wzdłuż potoku o tej samej nazwie zapaliły się właśnie pierwsze światełka wśród skąpanych w księżycowym świetle chyz. Potem doszło stamtąd beczenie owiec, ryk bydła, skrzyp żurawi – wszystkie te dźwięki, które oznajmiają na wsi wstający z wolna dzień.

–Zajechałem was, a wy zratowaliście mnie w potrzebie – mruknął Dydyński. – Nieczęsto spotyka się takich ludzi.

–Gdybyś się nie postawił Zegartowi i nie uwolnił moich braci, hulałbyś teraz z wilkami na Sinyich Wirach, bo tam ciała wrzuciliśmy. Okrutnie te bestyje zawzięte na sabatów Stadnickiego. Kiedy się do trupów dobrały, dwa dni wyły, jakoby im żywoty boleść skręcała. Musi to znak, że każdy sługa Diabła Łańcuckiego ma w sobie biesa.

–Jak widać, ja mam tylko serce, mościa panno. Gorące i szczere.

–A pod sercem miałeś to. – Podała mu jakiś mały ołowiany przedmiot, który zaciążył w dłoni Jacka Dydyńskiego jak głaz. Stolnikowic od razu rozpoznał go dotykiem.

–Braterska kula z pistoletu – mruknął. – Nie spodziewałem się takiej zdrady po Przeclawie.

–A spodziewałeś się, że Stadnicki cię oszuka?

–Tak jak gromu z jasnego nieba. Diabeł Łańcucki, mościa panno, popełnił błąd, bo choć doskonale wiedział, że mam zasady, których nie można łamać, ukrył przede mną to, że chce was schłócić. A skoro skłamał, tedy koniec z mą służbą w Łańcucie. Cofam moje słowo i odchodzę z dworu Stadnickiego!

–To tylko pusty gest, mości panie bracie. Sam przyznaj, że wszystko czynisz po to, aby znowu rozdzierać szaty przed szlachtą i po raz kolejny zostać bohaterem. Panem stolnikowicem, co *nobile verbum* podeptał, bo szaraczków nie chciał schłócić. Jakże to pięknie brzmi, kiedy opisze szlachta zajazd na Dwerniki w *silva rerum*, a ile będzie gadania na sejmikach i w karczmach. Umiesz sobie łatwo wdzięczność ludzką zaskarbić, mości panie stolnikowicu. Kiedy tu przyjechałeś, byłeś naszym wrogiem. Starczyło zaś jedno twoje słowo, a jak kot na cztery łapy spadłeś. Zamiast skończyć z kulą w plecach, wczasowałeś się w naszym dworku – choć nie wiem, czy nam, Dwernickim, byłoby równie dobrze w lochach w Piekło. Ale nie mogliśmy ostawić cię na poboju jak psa. Bo przecież, panie Dydyński,

**jesteś Hektorem Ziemi Sanockiej. Przecież tobie pisane wielkie bitwy, piękne konie, wystawne skortezanki. Pytałeś, dlaczego uratował cię mości Gedeon. Ano dlatego, że słyszeliśmy o tobie od dawna. Wszyscy chwalą twe rycerskie zasługi dla Rzeczypospolitej – a tak naprawdę dla swej własnej prywaty. Piją twoje zdrowie, panie zajezdniku, kiedy cię wynajmują, abyś im odebrał wioskę czy pannę uwolnił od kurateli. Wszyscy dokoła mówią, że będziesz kiedyś wielkim panem, bohaterem. A bohaterów nie ubija się strzałem z zaslupia w takim śmierdzącym kozami zaścianku jak Dwerniki. Jakże tedy mogliśmy cię zostawić na śmierć, panie Dydyński? Co by sąsiedzi powiedzieli, gdyby się dowiedzieli, że zabito u nas pana stolnikowica?**

**–Waćpanna chyba znasz mnie lepiej niż ja ciebie.**

**–Widywałam cię na zjazdach i okazowaniach szlacheckich, gdzie stawałam jako czeladnik, hajduk mego dziadunia, Hermolauusa zwanego Złotą Czaszą, co teraz bez duszy leży we dworze. Ale ty, mości panie Jacku, nie zwracałeś wtedy na mnie uwagi.**

**–A dziś tego żałuję. Bo pewnie foremny był z waćpanny hajduczek. A jak w ogóle się zowiesz?!**

**–Jestem Konstancja Dwernicka.**

**Powoli ujął ją za dłoń i ucałował. Nie bronila. Spoglądała na niego wielkimi, smutnymi oczyma, jakby nie była w stanie cieszyć się już niczym – ani swą urodą, ani pięknym świtem, ani też towarzystwem pana Dydyńskiego – bądź co bądź kawalera, do którego wzdychała skrycie niejedna podwika i prawie wszystkie młode wdowy w Ziemi Sanockiej.**

**Cień padł z góry na Jacka i Konstancję. Ktoś stanął za plecami stolnikowica – człowiek, którego nie sposób było przeoczyć nawet w tłumie herbowych panów braci, a co dopiero na pustym ganku dworu w Dwernikach.**

**–Konstancja – powiedział, a raczej warknął – wracaj do izby!**

**–Do krosien czy do kołowrotka?**

**–Do kądzieli, mościa panno!**

**–Jeśli powtórzysz to jeszcze raz – syknęła – tedy bądź pewien, że przyniosę tu nie tylko kądziel, ale także tę starą stępę z sieni. I rozbiję ci ją na łbie tak mocno, że do końca życia będziesz chodził z obręczami na szyi!**

**Bez słowa chwycił ją za rękę, przytrzymał. Dziewczyna szarpnęła się, ale dłoń Gedeona trzymająca ją jak w wilczej paści nawet nie drgnęła. Konstancja jęknęła cicho, poznając, że w każdej chwili mógłby zdruzgotać jej rękę na kawałeczki, których nie poskładałby nawet najstarszy owczarz po tej stronie Bieszczadu.**

**–Znałem jedną kotkę, która szarpała się mocniej – zakpił, widząc jej wysiłki. – Zachowaj swoje siły dla przyszłego męża, dziewczyno. Ostaw nas samych, moja miła, bo muszę pogawędzić z panem Dydyńskim w cztery oczy.**

**Przyciągnął ją do siebie i – nie wkładając w to więcej wysiłku niż w poprowadzenie rocznego dziecka – podprowadził Konstancję do progu. Patrzył z zimnym uśmiechem, jak zniknęła w sieni.**

**–Jestem Gedeon Janusz Dwernicki – rzekł do Dydyńskiego. – Szukałeś mnie po całym zaścianku, panie bracie, a jak powiada Pismo Święte – kto szuka, najduje.**

Szkoda byłoby, aby tak zacny kawaler jak ty szukał po próznicy, więc sam cię znalazłem, mości stolnikowicu. Żal tylko, że w błocie i z kulą w plecach.

–Szukałem waszmości nie dla prywaty, ale dla Stadnickiego. U którego służba znaczy teraz dla mnie tyle co plewy na wietrze. Dałem mu kiedyś parol, ale starosta mnie oszukał. Kiedy wyruszałem, rzekł mi, że mam cię ująć, ale nie wspomniał, iż weźmie was w dyby. A ja, mości panie Dwernicki, rozwalam łby i mam wiele żywotów ludzkich na sumieniu, ale nie żyję z kaduków. Urządzam zajazdy, ale nie odbieram nikomu wolności. Tak więc nic do waszmości nie mam, gdyż nie jestem już rękodajnym Diabła Łańcuckiego. I niczym sługą.

–Mylisz się – mruknął Gedeon. – Nawet nie wiesz, waszmość, jak bardzo. Prawie dwie niedziele temu wstąpiłeś na nową służbę, na siedem miesięcy. I przysięgałeś na Święty Krzyż.

Jacek nad Jackami zamarł z otwartymi ustami, jak złotousty orator sejmikowy, któremu Mazurzy przerwali kwiecistą mowę w pół słowa, waląc kuflem po łbie.

–Jak to... – jęknął. – Przecież ja majaczyłem. Byłem na pobojuwisku i spotkałem...

–Byłeś w objęciach kostuchy, mości stolnikowicu. A gdyby nie mój upór, porwałaby cię w tany jak przekupka na comber w Krakowie. Jeno nie wiem, czy mógłbyś wykpić się ortem, bo pani Małodobra przyjmuje tylko dobry pieniądz – ludzkie głowy i dusze. Na szczęście wydarłem cię z jej uścisków. Wyjąłem ci kulę, a ty w zamian za to ofiarowałeś się do mnie na służbę.

–Kiedy? Gdzie?!

–Nie wierzysz, panie bracie?

Gedeon roześmiał się cicho, a Dydyńskiego przeszły ciarki. Dwernicki wydobył z zanadrza mały przedmiot na łańcuszku i rzucił go stolnikowicowi na kolana.

Jacek chwycił go odruchowo, zbliżył do oczu i poderwał się z ławy. To był mały żelazny krzyżyk bez żadnych ozdób i napisów, zakończony na dole trupa głową. Ten sam, na który przysięgał wówczas, na zakrwawionym polu!

–Wraca pamięć, panie bracie?! – zakpił Gedeon. – I co, mości Dydyński, prawda to, że wasze słowo nie dym? Bo jeśli tak, to jestem waszym panem. Chyba że i mnie potraktujecie jak Stadnickiego? Słowo się rzekło, panie bracie, kobyła u płota!

*Verbum nobile debet esse stabile.*

Dydyński milczał. Siedział zawzięty i zasępiony. A potem odezwał się. Twardo, krótko. I na temat.

–Skoro przysięgałem, to mi rozkazujcie!

–Znaczy się już podjęliście decyzję, panie Dydyński?

–Zaprzysięgałem wam. Dałem słowo. A ja słowa zawsze dotrzymuję!

–To dobrze. Posłuchajcie...

–Wy posłuchajcie, mości Dwernicki! – rzekł twardo Dydyński. – Ja nie jestem tołhajem ani beskidnikiem. Ja nie jestem mazowieckim zawalidrogą. Zmusiłeś mnie do przysięgi, więc pamiętaj, że możesz kupić tylko moją szablę. Nic mniej i nic więcej. Mojego honoru nigdy nie oddaję w arendę, choćby mi Niderlandy obiecywano! A to znaczy, że nie uczynicie ze mnie hycła ani małodobrego. *Primo* tedy: nie zabijam starców, dzieci i niewiast. Nie zadaję tortur. Od tego wynajmijcie sobie kata.

**Secundo:** nie bawię się w kaduki i nagany szlactwa. Jeśli któryś z tych warunków złamiecie, ja... cofnę moje słowo. Choćbym miał potem wypić piwo, którego sobie nawarzyłem.

–Skoro waść od razu przechodzisz do rzeczy – pokiwał głową Dwernicki – tedy i ja będę się streszczał. Moja familia jest w tarapatach. Wróciłem z niewoli tureckiej tylko po to, aby dowiedzieć się, że Diabeł Łańcucki ma kaduk na Dwerniki i chce obrócić nas w chłopów. Pomożesz mi obronić się przed nim, bo masz lepszą experyencję wojskową niż ja, a twoje wsparcie może okazać się bardzo znaczące i wartościowe.

–Możecie na mnie liczyć. Daję słowo, że noga obcego nie postanie nigdy w waszej wiosce!

–W takim razie czeka cię pierwsza bitwa.

–Stadnicki? Sabaci? Tatarzy?

–Dwerniccy. Tak się wystraszyli Diabła, że chcą uchodzić – bodaj i na Ukrainę, zanim przyjdzie tu armia z Łańcuta i zostawi jeno niebo i ziemię.

–Co mam zrobić?

–Przekonać ich, aby nie odmieniali herbów i wiary na złote talary.

\* \* \*

Na naradę, a właściwie mały sejmik, zwałili się tłumnie młodzi i starzy, kulawi i chorzy. Ci, którzy donaszali żupany, czamary, giermaki i stare szable po pradziadach, razem z tymi, którzy kontentowali się siermięgami, huniami, kijami i świtami, a za buty mieli chłopskie łyczaki i postoly. Przyszli nawet i stanęli skromnie na uboczu trzej kmiecie z Dwernik, dzięki którym Dwerniccy nie liczyli się w poczet szlacheckiej gołoty, w której szlachecki honor starczał za folwarki. Inni panowie polscy i rusczy mieli wsie i miasta, posady, zamki, dwory, młyny, gorzelnie, stadniny, folusze i blechy. Dwerniccy zaś musieli kontentować się Radosem, Pińczukiem i Połonią – tak bowiem zwali się owi kmiecie. Chłopów na Dwernikach było zatem trzech, a panów Dwernickich więcej niż trzydziestu – wypadaloby zatem, że na każdego szlachetnie urodzonego mieszkańca wioski przypadało po jednej dziesiątej części kmiecia. Rodziło to kłopot ze sprzężajem i orką, bo nigdy nie bardzo wiadomo było, komu i ile mają owi chłopci odrabiać pańskiego. Wreszcie powinności ich zamieniono na daniny i wypuszczono chłopkom ich liche zagony jak Hyrniakom we wsiach na wołoskim prawie. I nie trzeba chyba nadmieniać, że chłopci – zakapiory, których w te dalekie strony zagnały kiedyś waśnie i zwady, a także krnąbrność, upór i nieposłuszeństwo wobec panów – niezmiernie radzi byli z tej odmiany.

Dwerniki w ogóle nazwać można byłoby szpitalem albo wsią na wolniźnie, gdyż często znajdowały tu schronienie różne dziwaczne persony. Nie byli to gwałtownicy i zbóje, bo takowych pan Złota Czasza popędziłby precz, ale poddani uciekający przed uciskiem, słudzy i rękodajni, którzy jak Szawiła rozgniewali swoich panów. Sieroty i biedacy pozostali po tatarskich najazdach, dziewczki wiejskie z brzuchem od pańskiego bęsia, kalecy żołnierze, którzy jeszcze wczoraj stawali dzielnie pod husarskimi i kozackimi chorągwiemi, a dziś jeździli po dworach, zarabiając na łaskawy chleb. I trzeba przyznać, że choć w Dwernikach się nie przelewało,

**Dwerniccy nigdy nie odmówili nikomu kąta do spania i łyżki sałamachy.**

**Na potrzeby licznie zgromadzonych panów braci przed dworek wyniesiono stół i ławy, na których zasiedli najstarsi i najznaczniesi na zaścianku – a więc Gedeon, Berynda, Kołodrub, Pełczak i jego bracia, Jacek Dydyński oraz kilku zamożniejszych szaraczków. Reszta stała za plecami, popijając miód i podpiwek z glinianych kubków, kłócąc się i drapiąc w podgolone łby. Nikt się nie śmiał. Sprawa była poważna, wręcz gardłowa.**

**–Mości panowie bracia – zaczął Gedeon – przedstawiam wam pana Jacka Dydyńskiego, stolnikowica sanockiego, kawalera znanego ze swej fantazji i dzielności, który z nieprzyjaciela naszego stał się oto defensorem naszego zaścianka! Wiwat i zdrowie!**

**Dwerniccy zrazu nie wiedzieli, co rzec. Jacek Dydyński był w Ziemi Sanockiej tak znaną postacią, że na początku skulili się, wybałuszyli oczy, a najbiedniejsi z nich poczęli kłaniać się unieżenie, kiedy wstał. Dydyński zaś zdjął czapę i skłonił się w pas zebrany.**

**–Witam waszmościów i kłaniam się za uratowanie żywota. W zamian zapewniam, że dołożę wszelkich starań, aby obronić was przed gniewem Diabła Łańcuckiego. Nadmienię, że nie uczynię tego dla nagrody, ale ze zwykłej ludzkiej wdzięczności i uczciwości, jako wasz sąsiad i powietnik. Mam ja własne rankory do Stadnickiego, a oprócz tego poprzysiągłem ichmość panu Gedeonowi, iż pomogę mu w waszej sprawie. Ręczę mym słowem i honorem, że noga famulusów starosty nie postanie więcej w Dwernikach!**

**–Wiwat pan Dydyński! – zakrzyknął Samuel.**

**–Wiwat! – zawtórowała mu Konstancja, która widać była na zaścianku najgorliwszą partyzantką pana stolnikowica i choć starannie to ukrywała, łatwo było dociec, że spod swych długich rzęs wpatrywała się weń czasem jak w święty obraz w cerkwi w Łopince.**

**Dwerniccy zawtórowali, przepili zdrowie stolnikowica na jedną nogę, na drugą i zaraz poprawili na trzecią. A potem odetchnęli z ulgą. Dydyński widział, jak kilku z nich przeżegnało się, dziękując Panu Bogu, iż mają choć jednego przyjaciela na tym paskudnym świecie.**

**W chwilę później przeżegnali się jeszcze raz, gdy Gedeon rzucił na stół czarną jak noc, pierzastą strzałę. Powiódł uważnym spojrzeniem jedyne oko po zgromadzonych i ujął się pod boki.**

**–Wczoraj z wieczora dostaliśmy dziwny znak. Czy ktoś wie, co on oznacza? Szaraczkowie pochyłili się nad strzałą, a ich miny były co najmniej niewyraźne.**

**–Ja wiem – rzekł Dydyński. – To czarna strzała Stadnickiego. Kiedy starosta zygwulski ma do kogoś wielki rankor, gdy ktoś go do furii i desperacji przywiedzie, wypuszcza w drzwi jego domu takiego posłańca, zawiadamiając, że wkrótce stanie w nich jako niezapowiedziany gość. Tak zrobił Stanisławowi Wapowskiemu, któremu w drzwi dworu w Dynowie wypuścił czarną strzałę. Tak uczynił Korniautom i Andrzejowi Ligęzie z Piotraszówki. Znaczy się zaleliście sadła za skórę Diabła, ale czegoż innego można było się spodziewać po ostatnich ekscesach? Strzała znaczy tyle: szykujcie**

**się do wojny, mości panowie bracia.**

**Dwerniccy zamarli. Spoglądali na siebie spode łbów, rozglądali się dokoła, jakby Diabeł Stadnicki już krążył dokoła zaścianka niczym głodny lew i potężny rezolut.**

**–Do czarnej strzały czasem dołączony był papier albo odpowiedź – mruknął Dydyński. – Znaleźliście coś takiego?**

**–Był, był – pokiwał głową Gedeon. – Konstancjo, zajrzyj do sieni, do mojej sakwy na ławie, i przynieś pismo.**

**Konstancja skoczyła, choć z niechęcią, do sieni, bo wciąż jeszcze boczyła się na Gedeona za poranną scenę na ganku. Szybko znalazła ławę i leżącą na niej skórzaną sakwę. Rozwiązała rzemienie, otworzyła ją i zajrzała do środka. Pomiędzy mieszkciem a wyszczerbionym drewnianym kubkiem leżał tam złożony we czworo papier.**

**Kiedy go wyciągała, poczuła coś jeszcze. Tam głębiej był drugi list, zwinięty w ciasny rulon, pomarszczony, brudny. Co to mogło być? Konstancja nie mogła się opanować, aby nie zerknąć na ten świstek. Pierwszy raz widziała coś takiego – wszak wszystkie listy szlacheckie składało się na cztery lub więcej części, pieczętując na górze woskiem albo lakiem. Udając, iż ciągle szuka papieru Stadnickiego, zajrzała do sakwy, ujęła za krawędź tajemniczego dokumentu, rozwinęła i...**

**Pismo, które zobaczyła na wytłuszczonym, brudnym papierze, w niczym nie przypominało łaciny, polskiego, ani nawet cyrylicy. Wprawdzie umiejętności pisania Konstancji ograniczały się do mozolnego wykrobywania własnego podpisu, jednak bywając w grodzie wraz z dziaduniem, nieraz widziała dokumenty, księgi, obiady i bez trudu potrafiła odróżnić krągłe, kształtne łacińskie litery od ruskiej cyrylicy. Jednak ten papier zapisany był w jakimś dziwnym języku. Dwernicka miała wrażenie, że ogląda poskręcane, wijące się robaczki, ani chybi czartowskie, bo opatrzone rogami, ogonami i zawijasami...**

**–Konstancja! – zawołał Gedeon.**

**Zamarła spłoszona. Szlachcic spoglądał wprost na nią, miała wrażenie, że czyta w jej myślach jak w księdze do nabożeństwa, że pod żupanem i świtą staje przed nim zupełnie naga. Czuła, jak jego palący wzrok ślizga się po wszystkich jej krągłościach, a zwłaszcza po tych, które bywały najsmaczniejszymi kąskami. Dlatego szybko wyciągnęła list z Łańcuta, zasznurowała sakwę, a potem zaniosiła pismo do stołu.**

**Dydyński wziął dokument, otworzył i rzekł na głos:**

**Ja, Stanisław Stadnicki ze Żmigrodu, a na Łańcucie starosta zygwulski, tobie, Gedeonie Dwernicki, wraz z całą rodziną twoją oznajmuję, że czyniąc zadość prawu pospolitemu, posyłam ci odpowiedź. Iż ty, nie umiejąc uważać sobie stan zacny szlachecki polski, ważyłeś się targnąć na honor mój, znieważając czeladź i sługi moje w Przeworsku, Daszówce pod Dynowem, w Dwernikach, że twoja synowica Konstancja gwałt uczyniła włodarzowi naszemu pocziwemu w Hoczwi i że sobie przywłaszczasz przywileje szlacheckie, bo nie jesteś żaden nobilis ani generosus, jeno chłopiec prosty plebejskiej kondycji, przeto się mnie strzeż na wszelakim miejscu: chodząc, śpiąc, jedząc, pijąc, w domu, w kościele, w drodze, w łaźni, u dziewczki, bo się tej krzywdy na tobie, całym twym rodzie i Dwernikach mścić będę i da**

**Pan Bóg na gardle twym usiędę.**

**Dan w Łańcucie die 5 8-bris**

**Dwerniccy pobledli, pochyliłi głowy. Berynda ukrył twarz w dłoniach.**

**–Wojna – wyszeptał Kołodrub. – Wojna nas czeka, bracia. Taka, jaką wiódł mości pan referendarz koronny z kasztelanem przemyskim lata temu, po nim zaś pan Herburt z Dobromila, póki za rokosz do wieży nie trafił. Jaką toczył w Przeworsku Andrzej Ligęza, gdy się spod opieki stryja, pana rzeszowskiego, uwolnił. Co my teraz poczniemy?!**

**–Pierwsze, co trzeba zrobić – rzekł Gedeon – to wnieść w grodzie protestację na Stadnickiego za bezprawny zajazd. Wytoczyć mu sprawę, choćby w trybunale, okazać rannych, a jeśli trzeba, to nawet zawołać woźnego, aby uczynił wizję urzędową i obwiedzenie głów na trupach jego sabatów.**

**–Kłopot w tym – mruknął Kołodrub – że w grodzie sanockim i przemyskim tyle protestacji na Stadnickiego leży, że zza nich nie widać już podpisków. Pozwy się mnożą, ale nie ma coś chętnych, aby je do Łańcuta dostarczyć.**

**–Bo woźny, który do wrót Piekła zastuka – rzekł Berynda – musi być rączy jak sarna albo ogar polski, bo inaczej ciepło mu się zrobi. A póki takiego nie masz, nie dojdzie żaden pozew do pana starosty.**

**–Będzie trzeba, to sami zdybiemy Diabła, w łaźni albo u dziewczki. I pozew do wilczego gardła wciśniemy!**

**–A co z naganą szlachectwa? – zapytał Pełczak. – Co uczynimy z kadukiem?**

**–Pamiętajcie, bracia – rzekł Gedeon – że mamy konfirmację naszego stanu, którą trzeba oblatować w grodzie sanockim. To jest dokument, za który winniście oddać gardła. Bo tu, na tym papierze, zapisana jest wasza wolność. A jeśli Stadnicki go dostanie, tedy do końca życia będziecie famulusami i ratajami, Dwerkami, a nie Dwernickimi.**

**–Stadnicki dokument uzna za fałszywy – wtrącił Dydyński. – I protestację pozanosi, jak na szlachectwo Korniaktów. Dlatego musicie przygotować ekspurgację i mundację na sejmik w Sądowej Wiszni albo na roczki deputackie w Sanoku.**

**–Ekspu... co? – zapytał Berynda.**

**–Wywód szlachectwa, panie bracie. Wystarczy dokument, który imć Gedeon wyciągnął, i świadectwo sześciu świadków – trzech z waszej linii ojczystej, a trzech po matce.**

**–Skąd ich wziąć? – rozłożył ręce Pełczak. – Spod ziemi wykopać?**

**–Poszukamy, to się znajdą. Ja sam poświadczę, jeśli trzeba, bo nie wierzę, abym w rodzie nie miał choć jednej prababki Dwernickiej.**

**–Wszystko to mądrze i chytrze przemyśleliście – rzekł Kołodrub. – Ale cóż z tego, że pozwiemy Diabła choćby i przed sąd sejmowy? Że się wywiedziemy na sejmiku, skoro to wszystko potrwa długie miesiące. A Diabeł nie będzie czekał na woźnych, sędziów i deputatów. Nie wysiedzi na ogonie, aż się sejmik zbierze. On zajedzie nas zaraz, choćby nawet jutro. Może nawet już jego wojska maszerują na Dwerniki! Co z tego zatem, że naszą stronę wezmą trybunały, skoro zanim wyroki zapadną, będzie nas Smoliwąs z karbowym w pole wyganiał? Co uczynimy, gdy Stadnicki nas**



wcześniej zaatakuje?

–Atakował już dwa razy – mruknął Gedeon. – I jak do tej pory Opatrzność Boża nie pozwoliła uczynić nam krzywdy.

–Bo za pierwszym razem nie było wielu sabatów. A za drugim, gdyby nie pan Dydyński, który zmienił stronę, wszyscy byśmy poszli w łykach do Łańcuta. Prawda jest taka, że nie mamy sił i środków, aby przetrwać kolejny zajazd starosty.

–A nie możecie poprosić o pomoc sąsiadów? – zapytał z głupia frant Dydyński. – Choćby pana Bala, podkomorzego sanockiego? A nawet pana Stadnickiego, ale tego z Liska, a nie z Łańcuta. Przecież on krewniaka nie lubi.

Gedeon roześmiał się cichym, chrapliwym śmiechem. A jego bracia pospuszczali głowy.

–Myślisz, panie Dydyński, że gdy ty leżałeś jako wór buraków na ławie, myśmy jeno dziewczki swadźbili i miód pili? Próbowaliśmy już prosić o pomoc.

–I co?

\* \* \*

–Nie będzie z tego nic – rzekł Piotr Bal, podkomorzy sanocki, po czym skrzyżował ręce na piersi, na wzorzystych pętlicach aksamitnego giermaka. – Nie wygrać nam z Diabłem Łańcuckim, nawet z moją pomocą. Pomagałem ongi panu Ligęzie z Piotraszówki i jeno guzy z tej pomocy wyniosłem, procesy i pozwy. W dodatku złupił mi Stadnicki wozy z towarami, które do Leżajska posłałem. Same stąd mam straty i niepokoje.

Dwerniccy pokłonili się nisko, aż do samej ziemi.

–Jedyne, co mi na myśl przychodzi, zacni ludzie – mruknął pan Bal, szarpiąc długiego siwego wąsa – to iż możecie schronić się u mnie w Baligrodzie. Jeśli za czeladź pójdziecie na służbę, chętnie was z dobytkiem przygarnę i kąt jakiś znajdę...

\* \* \*

–W opresji jesteście, mości panowie sąsiedzi?! – zapytał jego mość pan Łoziński, dzierżawca Łopinki. – Czy pomogę wam znaczy? Oczywiście! Bądźcie pewni, że wam moją szablę na usługi oddam. Starczy, że posłańca do mnie do dworu przyślecie, a zaraz z pocztą w Dwernikach się stawię!

Dwerniccy pokłonili się w milczeniu.

–Maryna, Jewka! – zagrział pan Łoziński, gdy zaraz po odjeździe sąsiadów przekroczył próg czeladnej. – Pakujcie kufry, skrzynie i przyodziewek! Iwaszkę budźcie, niechaj konie zaprzęga! Co się stało? Jak to: co się stało! Jezus Maria, Józefie święty! Zadarli Dwerniccy ze Stadnickim z Łańcuta! Uchodźmy stąd czym prędzej, bo tu zaraz piekło będzie! Do Rakszawy! Nie, do diaska! Do Rzeszowa!

\* \* \*

–Jaśnie oświecony pan kasztelan dziś nie przyjmuje – rzekł pajuk z takim namaszczeniem, jakby za chwilę odebrać miał konia z rządem za dobrą służbę. – Przyjedźcie jutro, mości panowie.

–Jak to? – zapytał nieśmiało Berynda. – Przecie wczoraj gadaliście, że dziś jego mość na pewno nas przyjmie. Byliśmy też przedwczoraj i jeszcze wcześniej. Jaką tedy mamy rękojmię, że posłuchania udzieli nam jutro?

**–W takim razie – zawyrokował sługa – przyjdźcie pojutrze!**

**\* \* \***

**–Przyjaciele moi drodzy! Mości panowie Dwerniccy! Kopę lat! Albo i dwie kopy! Waszmościów zdrowie! Co słyszę? Kaduk wam ktoś wytoczył? Pozwami nęka? Zajechał zbrojnie? Niech ja go dorwę, takiego syna! Moich przyjaciół śmiał spostponować! Daję głowę, że kiedy go w obroty weźmiemy, pozwy na surowo zeżre. A któż to jest?**

**–Stanisław Stadnicki.**

**–Ten z Liska?**

**–Ten z Łańcuta.**

**–Khe, khe, khe... O Chry... To o czym my gadaliśmy? Czy urodzaj będzie łońskiego roku?**

**\* \* \***

**–Waszmościowie, ja stąd uchodzę – rzekł pan Łukasz Opaliński, starosta leżajski. – Wyjeżdżam do Wielkiej Polski i tam pomoc zbiorę. Tu nie ma dnia bez zaczepki. Nie ma niedzieli bez zwady, bijatyki. Starostwo jest zrujnowane, spichrze spalone, majątności złupił mi Diabeł do cna. Posyłam mu pozwy jakoby w czeluść piekielną. Nie mogę pomóc, choć gdybym był przy pieniądzu, tedy bym waszym wsparciem nie pogardził. Wybaczcie, ale co ja mogę... A swoją drogą, waszmościowie, nie macie aby paru dukatów pożyczyć? Nawet do świętego Marcina... Bo widzicie, ma małżonka już suknie wysprzedaje, a ja najlepszy żupan... Nie macie? To może chociaż co kupicie? Skoro delii nie chcecie, to może pierścień?**

**\* \* \***

**–Skoro sprawę sąsiedzkiej pomocy mamy z głowy – mruknął Dydyński – tedy pozostaje wam tylko jedno: umocnić Dwerniki, a kiedy Stadnicki przyśle tutaj swych pacholków, prać ich ile tchu w piersiach.**

**–O to się właśnie rozchodzi – rzekł Kołodrub – że na razie prać możemy ino obrusy i prześcieradła w Solance. A kijankami hajduków z Łańcuta nie przepędzimy.**

**–Sam osobiście stanę w waszej obronie. Jego mość Gedeon też od bitki nie stroni, prawda, panie bracie?**

**–Na potęgę Stadnickiego, z całym szacunkiem, mości panie stolnikowicu, was dwóch nie wystarczy. Choćbyśmy na zaścianku baby i dzieci uzbrowili w szable i rusznice, które wzięliśmy po zabitych sabatach, nie poradzimy staroście zygwulskiemu. Bo jemu nikt nie wydoli. Stawali już przeciwko niemu możni panowie i karmazyni. I co? Dudy w miech albo głowy w piasek schowali. Jeden pan Mikołaj Spytek Ligęza dał mu radę, a i to z trudem, kiedy Diabeł jarmark mu w Rzeszowie zajechał, na świętego Wojciecha siedem lat temu. Drugi Ligęza długo się opierał, ale przecie słyszałem w karczmie, że już go Diabeł capnął i w łańcuchach w loszku trzyma. Alboż oparli się Stadnickiemu Korniaktowie? Ci, którzy mają tyle złota, że by z niego górę usypali wyższą niż Łopinnik? Stadnicki armię zgromadził, pana Konstantego, człowieka zacnego, który nam pieniędzy nieraz pożyczał i długi prolongował, jak obwiesia z Sośnicy dobył. Na szkapę go wsadził i gołego do Łańcuta wywiózł. A potem przez dwa miesiące w więzieniu trzymał. Teraz bije się**

**Diabeł z panem starostą leżajskim. Spichrze mu wylupał, karła porwał, kozaka dworskiego oćwiczył, jarmark w Tyczynie rozpędził. Pana Ciężkowskiego w Cisowej obiegł i porwał, pana Świerczyńskiego w kajdany okuł. Łąkę wylupił, zajechał Palikówkę i inne majątności zniszczył – Rachwałową Wolę, Chmielnik, Błędową i Zawałów. Zrujnowany pan starosta, kiedyśmy u niego byli, ostatnie swoje suknie wysprzedaje, aby tylko opłacić żołnierstwo. A przecież w tamtych majątnościach była zbrojna czeladź, pachołkowie, dzierżawcy, zameczki, dwory obronne, palisady, przy których nasze parkany i płoty w Dwernikach mogą iść kurom na śmiech. I nie obroniły się przed Diabełem. Tedy pytam – jak my go powstrzymamy, skoro nie mamy ani prochów, ani armaty, ani rusznic, ani zbrojnej czeladzi, ba, szabel i pałaszy nam brak?! Ja rozumiem twój szlachetny zapał, mości panie Dydyński. Ale my nie wystawimy ci chorągwi husarskiej, ani nawet kozackiej, bo biedni jesteśmy jako za przeproszeniem dziady proszalne na jarmarku w Rzeszowie!**

**–A więc co radzicie?! – zapytał Gedeon.**

**–To co wcześniej. Zbierzmy, co mamy, na kolasy i telegi i jedźmy stąd.**

**–Dokąd?**

**–A choćby i na Ukrainę!**

**–A ty myślisz, bracie, że na Ukrainie nie ma Stadnickich? Gorzej – tam są panięta majątne, którym Diabeł z jego Łańcutem mógłby wieszać się u rękawa ferezji. Tu, w Sanockiem, Stadnicki może zmusić cię do powolności tylko siłą. A tam królewęta są panami życia i śmierci szlachty. A zwłaszcza swoich dzierżawców. A my nie będziemy nikim więcej.**

**–Na Ukrainie wyrastają fortuny...**

**–I mogły. Dlaczego chcesz, bracie, porzucić wioskę? Ten spłachetek ziemi, dzięki któremu możesz się pisać, żeś z Dwernik?**

**–Pisać może tak, ale nie bronić. Nie przed Diabełem i nie na takiej lichej wiosce! Szaraczkowie pokiwali głowami i zamruczeli.**

**–Na tej ziemi spotykają nas same nieszczęścia. Ojcowie nasi w Turczach polegli. Stadnicki parol na nas zagiął. Głód i mizéria wszędzie. Co nam zostaje innego, jak jechać? Co jest takiego w tym spłachetku ziemi, abyśmy mieli za niego ginąć!?**

**–Tutaj jest wasza wolność – rzekł Dydyński, patrząc Kołodrubowi prosto w oczy. Obszedł stół dokoła, spoglądając bystro na Dwernickich, a żaden z nich nie mógł znieść jego wzroku. – To jest ziemia odziedziczona po przodkach! – powiedział głośno i ze złością. – Dziedzictwo, które dziadowie wasi wydarli górom, skałom i rzekom. Jak psu kość z gardła, tak oni wyszarpnęli Dwerniki Tatarom i Wołochom, tołhajom i beskidnikom. Zdobyli ten spłachetek ziemi, dzięki któremu jesteście wolni i piszecie się szlachtą! Czym będziecie, gdy pozbędziecie się Dwernik?! Hołotą? Pachciarzami? Aby w arendy pójść, trzeba panów wielkich opłacić. Skąd na to dukaty weźmiecie? Zali to chcecie odmienić swój los z biednych chodaczków, którym wola, nie niewola, na słuźalców Jazłowieckich, Wiśniowieckich, Buczackich, Ostrogskich i Czetwerłyńskich, na zwykłych pachołków u kniaziów ukraińskich, bo przecież nikt nie puści całych kluczy wsi w arendę hołocie! A może im w poddaństwo się oddacie, bo już zapomnieliście, że jesteście szlachtą i macie szablę przy boku?!**

**W takim razie Stadnicki ma rację, że was pozywa o uzurpację tytułów szlacheckich, bo wie, że wy jak barany pokornie pod nóż pójdziecie. Ma prawo tak myśleć, skoro zgadzacie się, aby wyrządzono wam zło, i nie chwytacie za szable!**

**Dydyński mówił coraz głośniej.**

**–Powiadam wam, że jeśli pozostawicie Dwerniki na pastwę Diabła Łańcuckiego, to po latach, kiedy będziecie umierać, każdy z was gotów będzie oddać wszystko, co posiada, aby choć na chwilę wrócić tu, wziąć broń do ręki i stanąć w pierwszym szeregu do walki. Dopiero wtedy, gdy będziecie umierać na cudzej ziemi, zrozumiecie, że wrogowie mogą odebrać wam wszystko. Ale nigdy nie odbiorą wam wolności! Nie ma innego sposobu, jak walczyć. Nie powstrzymacie Stadnickiego dobrą wolą ani uczonym słowem. Nie ocalicie się modlitwami, bo Pan Bóg nie pomaga tchórzom, ale mężnym i rycerskim ludziom. A zatem, jak mawiał mój wierny kompan Tacyt, potrzeba w miejscu, nadzieja w męstwie, a zbawienie w zwycięstwie. Czas już, bracia, położyć tamę wyniesieniu i potędze jednego człowieka nad nami wszystkimi. Zajuszył się Stadnicki krwią waszą i będzie się mścił, dopóki krew wasza krwią zapłacona nie zostanie. Ma on was z Dwernik wyzuć i wniwecz obrócić, wy go wcześniej sami wniwecz obróćcie!**

**Umilkł przez chwilę i przechadzał się między Dwernickimi.**

**–Stadnicki, diabeł wcielony, puścił głosy na wsze strony, że Pana z królestwa rzuci. Ale starosta zygwulski nie jest lwem, tylko lisem. Kiedy napotka opór, gdy widzi, że komuś nie poradzi, umyka z podkulonym ogonem jak zbity pies. Tak uciekł spod Janowca w zeszłym roku, tak dał spokój panu Spytkowi Ligęzie po bitwie w Przemyślu dwa lata temu. Daję wam słowo, że kiedy zaświecicie mu w oczy główkami szabel, sam was będzie szukał z ugodą. A gdy będzie prosił i łaski błagał, jak wilk w jamie, rzekniecie mu: my z Dwernik, ale wy, panie Stadnicki, z Łańcuta ustąpić musicie! Bijcie się ze mną ramię w ramię, mości panowie! Do walki! Bigosować, nie paktować!**

**Dydyński skończył. Pomiędzy szaraczkami zapanowało milczenie.**

**–Wiwat pan Dydyński! – zakrzyknęli pospołu Samuel i Konstancja.**

**–Bić się! Bić się! – zakrzyknął Pełczak.**

**–Na pohybel Diabłu!**

**–Na Łańcut!**

**–Do broni, bracia!**

**Teraz krzyczeli już wszyscy i na podwórzu uczyniła się tak wielka wrzawa, że aż splotzone kury odezwały się w kurniku.**

**Aż wreszcie Berynda zdarł z łba swoją wilczą czapę i cisnął ją o ziemię!**

**–Idę z wami! – krzyknął. – Szykujmy się do obrony!**

**–Zbierzcie do kupy broń i szable pobitych sług Diabła – rzekł Dydyński. –**

**Rozdzielimy je sprawiedliwie między ludzi zdatnych do boju. Posłuchajcie mnie, a zrobię wam z Dwernik Kamieniec, na którym Stadnicki połamnie sobie kły, choćby były z żelaza!**

**–A może byś, panie Jacku, twego przyjaciela poprosił o pomoc? – zapytał Gedeon.**

**–Kogo masz waść na myśli?**

**–Tego Tacytusa, czy jak mu tam... Tfu, cóż za pohańskie imię! Taka osoba to chyba nie z naszego powiatu?**

**–Tacyt będzie z nami! Zawsze mam w sercu jego rady! – roześmiał się Jacek nad Jackami.**

**–To kiedy nas będziesz uczył, jak robić bronią? – zapytał Pełczak. – I egzercerunki przeprowadzał?**

**–Zaczniemy od najprostszego oręża, panowie bracia! – rzekł Dydyński. – Od łopat i rydli! W tym nasza siła. A teraz do roboty!**

## **Rozdział V**

### **Diabeł Łańcucki**

**Obrona zaścianka Sabaty idą! Obyczaj sarmacki Odsiecz panów braci Szaleństwo Hermolausa Dwernickiego Tatarskie zaloty Prawne wybiegi Dramatyczna zagadka Gość Stadnickiego Jego straszna kompania**

**–Panie stolnikowicu! Mości panie Dydyński!**

**Jacek nad Jackami otworzył oczy. Samuel pochylał się nad nim, szarpał za ramię, jakby zbliżał się potop albo nadciągali Tatarzy. Młody Dwernicki dygotał z nerwów, oczy miał rozgorączkowane i błyszczące.**

**–Jeździec! Na gościńcu! Sabat! Widziałem!**

**–Sam jeden? – spytał powątpiewająco Gedeon, który właśnie narzucał na ramiona starą delię, przepasał się grubym, ćwiekowanym pasem, zapiął szablę na rapciach, nałożył skórzane rękawice dziadka Hermolausa. – Może to jakiś tołhaj?**

**–Będzie ich więcej – mruknął Dydyński i porwał za szablę. On z kolei nie musiał się ubierać, bo od kilku dni sypiał w kolczudze. – Pobudź ludzi! – rzucił do Samuela. – Zebrać broń i strzelby!**

**Wyszli z dworu na chłodny jesienny poranek. Był wczesny świt. Białe przędze mgły utkane z księżycowego światła ścieliły się na łąkach i łąkach, po borach i uroczyskach od Korbanii aż po Berdo Falowej. Tumany to zagęszczały się, to rzedniały, odsłaniając drzewa, krzewy, rozstaje i skaliste berehy nad brzegami Wetłyny i Solanki. Księżyc był jeszcze w pełni, wisiał nad dachami dworków i chałup, ledwie widoczny na niebie, na którym powoli pojawiał się pierwszy brzask sączący się zza gór i szczytów Werhowyny.**

**Dydyński i Gedeon dopadli głównej bramy do zaścianka. Nie było tam już poczerniałych, spróchniałych ze starości wrót, które podpierano na noc kołkiem. Stolnikowic zmienił Dwerniki jak król Kazimierz Królestwo Polskie, zastał je wioszczyną, a zostawił jako fortalicjum. Na drodze Dwernicy osadzili nowe wrota, rozlatujące się parkany i chruściane płoty wzmocnili palisadami, wilczymi dołami i czostkami, tyły domów zabezpieczyli zasiekami. Jeszcze silniej umocniona była druga linia obrony oparta na dworze Hermolausa, jego zabudowaniach i kilku pobliskich chałupach. Okna zabito deskami i balami, czyniąc z nich wąskie strzelnice dla rusznic i pistoletów, od węgła do węgła, od ściany do ściany wkopano ostrokoły i kobylice wzmocnione ziemnym wałem i rowami. Wrota zasypiano ziemią i zabito belkami, pozostawiając tylko wąską furtkę dla obrońców. W strzechach chałup przebito otwory dla strzelców.**

**Ostatnią ostoją obrońców miał być kościół wzniesiony na krańcu wsi, na wysokim brzegu Solanki otoczonym zasiekami i parkanem. Tutaj mieli się wycofać, gdyby Diabeł Łańcucki nastąpił z przeważającą siłą, umrzeć albo zwyciężyć, bo klęska oznaczała wieczystą niewolę u Stadnickiego, który miał w sobie tyle wrodzonej miłości dla poddanych co hycel dla bezpańskich psów.**

**–Idą! – syknął Samuel, gdy przyłożył ucho do ziemi. – Matka Boska Rudecka niechaj ma nas w opiece. Idą!**

**–Na stanowiska!**

Dwerniccy skoczyli na swoje miejsca. Dydyński wszedł na ławkę strzelecką przy palisadzie obok głównych wrót. Wyteżył wzrok i popatrzył na gościnniec wiodący spod rozstajów aż do wzgórz pokrytych lasem, wprost na Polanki, Ternkę i Wilkowyję. Nie widział jednak nic. Mgły podnosiły się z wolna, w dolinach robiło się coraz jaśniej, wysoko w górze zaczynał przebijać się czysty, piękny błękit jesiennego poranka.

–Powiadali ludzie w Hoczwi – rzekł Samuel Dwernicki, który na czas bitwy miał służyć o boku Jacka jako pocztowy – że Stadnicki specjalnie dla waszej mości kazał sprowadzić najgorszą, ochwaconą kobyłę i wyszykować drewnianą szablę, aby ją waszmości przypasać i na lichym koniu do Łańcuta sprowadzić. Ma też trzy wozy z dybami i łańcuchami – aby nimi najznaczniejszych Dwernickich do pługów poprzykuwać.

–Krzyżacy pod Grunwaldem też mieli całe kolasy naładowane powrozami na Polaków i Litwinów – mruknął Dydyński. – Ale że fortuna kapryśną bywa, sami we własnych pętach do niewoli poszli. Może się zatem zdarzyć, że to my panu staroście, psiemu synowi, pług na szyi powiesimy, siądziemy na grzbiet i zajedziemy do samego Sanoka jak na starym ogierze. A tam spod ławy wszystkie swoje pozwy i odpowiedzi odszczeka jak imć pan Gniewosz kalumnie, które rzucał na królową Jadwigę.

Dydyński i Dwerniccy zamilkli. Nagle, zupełnie niespodziewanie, na południu, na lesistych stokach Smereka, gdzieś pod Kalnicą, w głębokiej dolinie Solanki, zabrzmiało głucho, posępne wycie. To były wilki. Dydyński nie wiedział, dlaczego ich głosy rozlegały się wcześniej z rana i tak blisko ludzkich siedzib. A potem zawyła głucho puszcza na stokach Łopinnika i Kamienia oraz cała dolina Wetłyny za Sinymi Wirami.

Na krawędzi lasu, w miejscu gdzie wypełzała z niego wąska smużka gościńca, coś załśniło raz, drugi, trzeci. To poranne słońce przebijające się przez mgły odbiło się na zbrojach i ostrzach spis.

–Idą od Ciasnej! – zakrzyknął Pełczak. – Od Kalnicy! Patrzcie!

–Stadnicki!

–Siła ich!

–Cała armia!

Drogi i trakty wokół Dwernik zaroily się od ludzi, koni i wozów. Z borów wypełzały pierwsze zastępy Diabła, za nimi szły coraz to nowe szeregi spowite mgłami oparów, jak duchy, które wstały w leśnych ostępach na pohybel żywym. Słońce, które wzbilo się ponad szczyt Dwernika, oświetliło dolinę Solanki, wówczas nad głowami idących dostrzegli chorągwie, ostrza rohatyn, pik i buńczuki. Szły wojska, chorągwie i sotnie, jednak nie tak karne jak kwarciane albo suplementowe rotty Rzeczypospolitej, bo w porównaniu z regimentami i chorągwiami koronnymi słuźalcy starosty wyglądali jak stado bezpańskich psów spędzonych batogami do kupy. Cóż jednak z tego, skoro Dwerniki nie były obsadzone przez regiment karnych Niemców czy Szkotów. Zapewne napastnicy rozpierchliby się na sam widok regularnego żołnierza, jednak nie zamierzali uciekać na widok chodaczków Dwernickich. Dydyński spostrzegł, że

wojsko Stadnickiego było podzielone na pięć chorągwi, co znaczyło, że mogło liczyć nawet powyżej czterystu, a może i pięciuset głów. Siła ludzi.

W pierwszej rocie, pod sztandarem ze złotym krzyżem rycerskim na malinowej tarczy, szli dworscy konni sabaci na kościstych węgierskich sekielach, niskich Wołoszynach, na kosmatych, ale wytrzymałych bahmatach i łoszakach. Za nimi podążali piesi – zbrojni w rusznice, samopały, spisy, szable i czekany, w kiścienie i maczugi. Ci mieli w chorągwi żółty krzyż w niebieskim polu. Z drugiej strony jechali dworscy kozacy Stadnickiego, pod chorągwią z malinowym archaniołem. Za nimi szli ciężkim, wyćwiczonym krokiem hajducy z łańcuckiego klucza, a z tyłu tłoczyli się na koniach zbrojni słudzy, dzierżawcy i pieniądze ludzkie zaciągnięci przez Diabła. Ci jako godniejsi szlachcice stawali do boju pod chorągwią z Krzywaśnią i zaćwieczonym w niej krzyżem w karmazynowym polu. To była Śreniawa, herb Stadnickich.

Chorągwie skręciły z gościńca, szły szybkim marszem przez pola i zagony otaczające Dwerniki. Szpiedzy musieli donieść Diabłu o ufortyfikowaniu wioski, bo Dydyński dostrzegł, że oblegający nieśli sprzęt do zdobywania ostróżków, hakownice, osęki, żelazne pawęże, rydle, drabiny, snopy i plecione kosze z wikliny, jakby wybierali się na zdobycie co najmniej zamku starościńskiego, a nie zwykłej drobnoszlacheckiej wioszczyny. A z drugiej strony – przemknęło nagle przez głowę stolnikowica – czy opłaciło się Diabłu zaciągać tak dużo wojska, aby zdobyć liche Dwerniki? Co za korzyść miałby ze zwycięstwa poza powiększeniem swego klucza o jedną małą wioskę? Czyżby zatem, wysyłając taką armię na zajazd, Stadnicki miał w tym wszystkim jakiś ukryty cel? Czyżby chodziło tu tylko o uszczerbek na jego fantazji? O zemstę na Gedeonie? A może o coś jeszcze, o czym Jacek nie wiedział?

Nikt na zaścianku nie dał poznać po sobie, że wie o zbliżaniu się nawałnicy. Nie zapalono świateł, nie zabił dzwon na trwogę, bo tak jak ustalili wcześniej, Dwerniccy aż do ostatka mieli udawać zaskoczonych i przerażonych atakiem.

Dydyński opuścił kurek od rusznicy, przyłożył broń do ramienia, wymierzył w chorążego niosącego wielką chorągiew z rycerskim krzyżem, pod którą jakby na urągowisko sztandarowi jechali najdzikszy, najokrutniejszy i najbardziej zuchwali sabaci. Czekał...

Nadciągający żołnierze Diabła byli coraz bliżej. Już przyśpieszyli kroku. Już ten i ów zaczynał porywać się biegiem, aby jak najprędzej dopaść parkanów i płotów pogrążonego w błogiej ciszy zaścianka. Już w gardłach nacierających zaczął rodzić się zwycięski ryk tryumfu i mordy...

–Staaaać! – Dydyński czekał, aż napastnicy podejną bliżej, wystawią bezbronną pierś na niszczycielski ostrzał z chałup i parkanów. – Stać, do stu diabłów!

Hajducy i sabaci puścili się biegiem, runęli w stronę zaścianka z rykiem, dziką wrzawą, z brzękiem stali i tupotem setek stóp. A potem z tyłu zagrały trąby i kotły, odezwały się niskim basem dwie śmigownice...

–Można już?! – wydyszał Samuel zgięty przy rusznicy, spocony, dygocący...

–Czekaaaać...

Napastnicy byli tuż-tuż! Sto kroków jeszcze dzieliło ich od zabudowań! Jeszcze osiemdziesiąt! Dydyński widział już prawie ich oblicza, rozpalone twarze, wąsiska,



pióra u kołpaków...

I właśnie wtedy pociągnął za spust.

Rusznice, arkebuzy i pistolety Dwernickich wypaliły prawie jednocześnie, z chałup i chat, zza parkanów, płotów i kobylic. Zawtórowały im zaraz guldynki, półhaki i ptaszniczki. Ołów i siekańce spadły ze świstem na szeregi atakujących, ścięły ich w jednej chwili, wstrzymały w biegu, położyły mostem. W chmurze prochowego dymu, kurzu i pyłu ozwały się jęki, wrzaski i przedśmiertne rżenia.

–Dobrze! – zakomenderował poblady nieco Dydyński. – Nabijać!

Nie zdążyli odpowiedzieć drugą salwą. Zanim podano im broń, nim przyłożyli kolby do ramienia, z dymów i prochowych oparów wypadli pierwsi napastnicy z szablami. Strzały zagrzechotały wokół chałup; niemal natychmiast odpowiedziały im rusznice ludzi Diabła. A potem pierwsi sabaci dopadli do bramy, załomotali siekierami i czekanami. Grube tarcice i bale zatrzęśły się od uderzeń.

Dydyński wypalił z pistoletu przez wąską strzelnicę. Biegący na wprost napastnik zwałił się na twarz, potoczył po brunatnym polu, zadygotał, gdy uchodziły z niego ostatki życia. Jacek nad Jackami obrócił się i zerknął przez przerwę między chatami – zobaczył, że szturmowała ich tylko część napastników – piesi i konni sabaci, a także nadworna chorągiew Stadnickiego. Hajducy i semeni przemykali się bokami, okrążali Dwerniki z dwóch stron, szukając przejścia w obwałowaniach. Jacek miał nadzieję, że w okolicy kościółka spotka ich godne przyjęcie.

A potem coś ciężkiego uderzyło we wrota. Raz, drugi, trzeci. Okuty żelazem łeb tarana roztrzaskał deski, przebił się na wylot. Szawiła wypalił przez dziurę z rusznicy, po nim dali ognia Samuel i Pełczak. Odpowiedziały im strzały z drugiej strony parkanu. Kule gwizdnęły im koło uszu, wyszczerbiły drewniane krawędzie strzelnic.

–Cofać się! – zakomenderował Dydyński. – Od bramy! Do wozu!

Skoczyli w tył, aby znaleźć się jak najdalej od wrót rozrąbywanych toporami, pchanych i wyważanych z zawiasów. Stolnikowic spodziewał się, że zaraz rozpocznie się tu mały czyściec, a przecież on sam nie chciał pozbawić się okazji do urzędzenia prawdziwego piekła. Dlatego dopadł do wozu ustawionego w poprzek traktu prowadzącego przez wieś. Samuel, Pełczak, Szawiła i pozostali skupieni przy nim Dwerniccy przycupnęli za kolasą, porwali za ładunki i rogi z prochem, zaczęli pośpiesznie nabijać broń. Po bokach huczały rusznice i strzelby, gdy ukryci w chatach i za parkanami Dwerniccy razili atakującego przeciwnika, posyłając kule niemal wprost między oczy następujących na nich hajduków i sabatów.

Brama zadrżała, zachwiała się. Dydyński podziwiał ciesielską zręczność Kołodruba – potężne wrota wytrzymały dłużej, niż sądził, i dały im sposobność do bezpiecznego wycofania się na tylną pozycję. Stolnikowic wykręcił tłący się lont z arkebuza. Czekał...

Taran z trzaskiem przebił dębowe deski, rozwalił belkę ryglującą wrota. Drzwi wygięły się, ustąpiły, a potem padły pchane mocarnymi ramionami. Majestatycznie przechyliły się wyrwane z zawiasów, rąbnęły o ziemię z łoskotem, wznecając chmurę kurzu. Za nimi zamajaczyły sylwetki sabatów przybranych w giermaki, żupice, kapuzy

i derki. Wrzask radości wydarł się z piersi zdobywców. Pokonali już główną przeszkodę na drodze do wsi. Przed nimi był błotnisty trakt prowadzący do głównego dworu i kościółka. Stała na nim pojedyncza kolasa nakryta płótnem, przy niej zaś samotny szlachcic, którego imię budziło respekt i trwogę na całej Rusi Czerwonej.

Widok Dydyńskiego nie wstrzymał napastników. Sabaci rzucili się z szablami między opłotkami, popędzili wprost na stolnikowica i garść jego pachotków, przepychając się, tłoczając, przewracając.

Dydyński nie przejął się przewagą wrogów. Jednym ruchem ściągnął płótno z wozu, odsłaniając rząd spiżowych luf. Przyłożył lont do pierwszego zapalu, a potem skulił się, oczekując na krwawy spektakl.

Sabaci zawyli. Tyle tylko mogli jeszcze uczynić. Organki wypaliły im wprost w twarze, kolejno plując ogniem z sześciu luf. Pierwsza kula wpadła z piekielnym impetem prosto pod nogi atakujących, wyrzucając żołdaków w górę, rozrywając ciała na części, śląc bryzgi krwi aż na kalenicę pobliskiej chałupy Pelczaka, którą to kalenicę pan Walenty Dwernicki wzmacniał jeszcze cztery dni wcześniej. Druga zmiotła, zmasakrowała na krwawe strzępy biegnących w tylnych szeregach wrogów, trzecia uderzyła w róg bramy, zrykoszetowała od podwaliny, przemknęła jak anioł zagłady przez stłoczonych, wyjących ze strachu napastników i w końcu upadła na polu, wzbijając ogromny słup kurzu i pyłu. Czwarta i piąta przemknęły, ścinając ludzi jak kosa śmierci, ostatnia świsnęła, przelatując nad głowami atakujących, ścięła drzewce sztandaru z krzyżem, uderzyła w końską i ludzką ciżbę, zwalając z nóg zbrojnych niczym szmaciane kukły.

Sabaci zawyli głosem, który w niczym nie przypominał zwycięskich okrzyków po zdobyciu bramy. Widząc, co stało się z ich towarzyszami, rozpierzchli się z podwiniętymi ogonami jak dworskie kundle, czmychnęli w dwie strony, próbując znaleźć schronienie pod drewnianymi parkanami, skąd strzelano do nich, cięto szablami i kiścieniami, bito drągami, kłuto spisami jak jadowite robactwo.

Kopyta końskie załomotały na trakcie przed zaściankiem. Widząc, co dzieje się przy bramie, Michał Roźniatowski, porucznik nadwornej chorągwi łańcuckiej, dał znak buławą i jeźdźcy ruszyli skokiem, aby dopaść organek, zanim Dwerniccy zdołają nabić je ponownie. Aby wysiec obrońców, pomścić krwawo rzeź sabatów, spaść na swych wrogów jak pancerna lawina kopyt, szabel i pałaszy...

Dydyński widział konnych otwierających usta do krzyku, wpadających do rozwalonej, płonącej bramy, pędzących po zakrwawionych trupach. Nie poruszył się, stał bez osłony przy wozie, nie podniósł nawet szabli; śmiało spojrzał prosto w oczy szarżującym.

Gdyby był czas, być może tamci wstrzymaliby konie, uniknęli zagłady!

Ale czasu już nie było...

Pancerni jeźdźcy pędzili niczym żelazny huragan, mknęli jak burza, tratując ciała poległych. I ledwie minęli ostatnie zakrwawione trupy, piekielna otchłań otworzyła się pod kopytami, gdy z trzaskiem i chrzęstem zawaliły się pokrywy wilczych dołów, odsłaniając zaostrzone, sterczące pale szczyrzące się niczym kły śmierci.

**Wierzgające wierzchowce zwały się do dołów z kwikiem, z rzeniem, łamiąc nogi, nabijając się na kołki i ostrza. W jednej chwili przestrzeń przed wozem zmieniła się w kłębowisko koni i ludzi, a tryumfalny wrzask ludzi Diabła przeszedł w ryk przerażenia, w śmiertelne wrzaski i jęki umierających.**

**A potem otwały się na oścież drzwi chaty Pelczaka, rozwarły wrota starego lamusa z drugiej strony traktu. Wypadli z nich obrońcy prowadzeni przez Beryndę i Kołodruba, zbrojni w szable, kosy i kiścienie, w rohatyny i sulice, drągi i zwykłe kłonicie. Jak burza spadli na zaskoczonych konnych, siekąc ich bez litości, rozwalając żebra i czaszki, dobijając ranne wierzchowce. Ryk mordowanych, umierających, tłuczonych kiścieniami, ciętych strasznymi bojowymi kosami, przygniatanych przez szalejące rumaki i tratowanych kopytami zabrzmiał w bitewnym zgietku jak akord wieńczący dzieło. Wystarczyła chwila i było po wszystkim; jeźdźcy zostali wybici, wysieczeni, ci, którzy nie wpadli w zasadzkę, cofnęli się od bramy, pierzchnęli za sabatami; ci zaś, którzy okazali dość odwagi, aby wytrwać, cofnęli się przed kosami i spisami Dwernickich.**

**–Pod dwór! Cofać się! – Dydyński stojący na wozie z organkami na tle dymów i ognia, spowity mgłami prochowych oparów wyglądał jak pradawny Mars, gdyby, rzecz jasna, bóg wojny wdział kiedykolwiek polski żupan i podgalał łeb na rycerski sposób. Jego wzrok przebił się przez bitewny zamęt, widział jak na dłoni to, co działo się na polu chwały. Sabaci, którzy zdołali ochłonąć ze strachu i paniki, wracali znowu na pole walki ponaglani przez setników kolbami pistoletów, płazowani szablami. Również część semenów usiłujących bezskutecznie przedrzeć się przez zasieki i częstokoły koło kościoła przybywała wesprzeć atakujących przy bramie.**

**Dwerniccy cofali się do dworu Hermolausa, ostrzeliwując z samopałów, rąbiąc następujących na nich hajduków, którzy przebili sobie drogę przez parkany, płoty i zasieki. Główna pozycja była już nie do utrzymania. Dydyński jednak liczył, że stawia silniejszy opór na tylnej, a w razie czego cofną się do samej cerkwi.**

**Odchodził jako jeden z ostatnich. Kiedy mijał wóz z organkami, zapalił lont od prochowej miny. Już dopadając okopanych wrót dworu Hermolausa, usłyszał wściekły ryk wybuchu, zobaczył słup dymu i kolumnę ognia. Przez chwilę pożałował dobrych organek, ale przecież nie mogły one wpaść w ręce ludzi Diabła. W duchu zaś pobłogosławił Hermolausa, który wracając cało z moskiewskiej wyprawy króla Stefana, ufundował spiżowe dzwony w kościele. Z dwóch ciężkich czasz i serc bez trudu odlali aż sześć luf organek poświęconych przez popa z Łopinki na pohybel Stadnickiemu. I dzięki temu Matka Boska Rudecka nie opuściła ich w potrzebie.**

**\* \* \***

**Okiennice rozleciały się z trzaskiem pod ciosami toporów i masłaków, poleciały na podłogę razem z resztkami ram i okiennych błon. Z krzykiem i wrzaskiem hajducy runęli do wnętrza dworu. Konstancja usłyszała trzask rozbijanych okien w komorze i czarnej izbie, ściany zadygotały od uderzeń w drzwi. Przerażona zerknęła na Gedeona, szukając w nim oparcia i schronienia.**

**–Po drabinach przez palisady przeszli! – jęknął szlachcic. – Od tyłu nas zaszli! Do broni!**

Wypalili z pistoletów przez rozłupane okno. Dwóch hajduków zważyło się na ziemię. A pozostali poczęli wspinać się po osękach, wpychać do wnętrza dworu przez okna. Gedeon dobył szabli.

–Przynieś pistolety! – zakrzyknął do oniemiałej panny. Ich dwór miał być ostatnią linią oporu, a teraz groziło im, że padnie jako pierwszy. Dydyński zabrał wszak wszystkich ludzi zdatnych do walki do obrony chałup i parkanów w wiosce poniżej domostwa Hermolausa.

Dwernicki skoczył do wąskiego okna, przez które próbowali dostać się do wnętrza dworu dwaj napastnicy. Odbił ostrze szabli, chlasnął przeciwnika po boku, drugiego zdzielił w łeb łapą wielgachną jak bochen chleba i tym sposobem kupił sobie chwilę spokoju.

Konstancja pobiegła w głąb dworu. Wiedziała, że broń ukryli w świetlicy, nieopodal łoża, na którym spoczywał bezwładny dziadunio Hermolaus. Kątem oka dostrzegła, jak drugie drzwi wiodące do sieni ustąpiły; jak wyskoczyło stamtąd dwóch napastników. Pierwszy podrzucił pistolet do góry, wymierzył w Gedeona i pociągnął za spust. W ostatniej chwili szlachcic ciął szablą, zahaczył młotkiem łokieć przeciwnika, zbił lufę na bok, gdy padał strzał. Kula świsnęła obok barku szlachcica, wbiła się w ścianę obok okna.

Hajducy runęli do środka, opadli obrońcę jak dworskie psy. Dwernicki zastawił się szablą, ciął na odlew, wyprowadził zwód, pchnął w sam środek żywota pierwszego z napastników. Drugiego, który z czekaniem w ręku i kindzalem w zębach szarżował z nisko pochyloną głową, przepuścił bokiem, uderzył kułakiem w skroń, podciął nogi i popchnął prosto na dwóch sabatów, którzy właśnie wpadli przez drugie okno. Teraz zakotłowało się wokół niego. W ostatniej chwili zbił ostrze szabli mierzące w jego udo, odbił kolejny cios, jeszcze jeden... A potem dostał w łeb tak mocno, że iskry zabłysły mu przed oczyma. Wówczas wypuścił szablę, zawył, porwał przeciwnika gołymi rękami za kark, ścisnął mu szyję, a potem jednym szybkim ruchem skręcił kark, zupełnie jakby ukręcał łeb tłustej gęsi.

–Żywcem! Żywcem brać! – zakrzyknął dziesiętnik hajduków.

Rzucili się nań ze wszystkich stron. Odtrącił gołą ręką ostrze szabli, dostał w plecy, poczuł pomiędzy żebrami zimną stal. A wtedy zachwiał się i upadł w tył pod ciężarem uwieszonych na nim napastników chwytających go za ręce, szyję, za łeb i pas. Poleciał na bambetel, zdruzgotał ławę, przewrócił stół, walnął plecami o ścianę, aż dym poszedł z bielonych zalipów w balach. Oderwał od siebie napastników, wyrznął w czyjś podgolony łeb, a potem zawył, młócąc dokoła pięściami, czując krew zalewającą oczy:

–Konstancjaaaaa!

Konstancja dopadła do łoża, na którym spoczywał bezwładny Hermolaus, rzuciła na ziemię szablę, podniosła trójkątne wieko misternie rzeźbionej skrzyni i z ulgą dojrzała błysk luf, panewek i odwiedzionych rękojeści ciężkich pufferów, które przywiózł Dydyński. Porwała dwa pierwsze pistolety, zasadziła za pas, złapała dwa następne. Już miała się odwrócić, gdy nagle, zupełnie niespodziewanie, poczuła na ramieniu uścisk kościstych, zimnych palców. Szarpnęła się, ale zatrzymały ją z

równą łatwością co druciane sidła schwytanego żywcem ptaka. To był Hermolaus. Trzymał ją dygocącym ramieniem, szarpał, nie wypuszczał.

–Dziadusi! – jęknęła rozpaczliwie. – Gedeon zginie! Muszę... Och!

Zdawać by się mogło, że na dźwięk tego imienia ścisnął ją z taką siłą, że aż krzyknęła. Wypuściła z rąk pistolety, chwyciła ramię starca, starając się wyrwać z jego uścisku. Nadaremnie. W izbie obok usłyszała ryk Gedeona, rozwścieczone krzyki hajduków, potem strzał, przeraźliwy wrzask rannego, łoskot szaf i ław rozwalanych przez atakujących.

–Puść mnie, do diabła! – ryknęła, walcząc o uwolnienie ze wszystkich sił. Na próżno! Hermolaus przyciągnął ją do siebie dygocącą ręką, spojrzał prosto w oczy, a wówczas zobaczyła na jego obliczu strach. Wargi starca poruszyły się, jakby szeptał i próbował coś jej przekazać. A potem z najwyższym wysiłkiem podniósł drugą dygocącą rękę, wskazał w stronę izby, w której Gedeon powstrzymywał napastników, lub, co bardziej prawdopodobne, konał rozsiekany szablami. Ręka Złotej Czaszy opadła w dół, zatrzymała się na szyi starca i wykonała krótki, ale wymowny gest.

–Dziadusi! – jęknęła z przerażeniem Konstancja. – Co ty mówisz? Jak to? Jego? Puść, puść mnie wreszcie!

Ścisnął jej ramię z taką siłą, że aż zawyła. Do kroćset, skąd w ciele tego ledwie żywego starca brało się tyle siły? I o co mu właściwie chodziło?

Szarpała się w jego uściskach jak wściekła wilczyca, ale nie śmiała uczynić tego, co przemknęło jej przez głowę – aby zdzielić go w poznaczony bliznami łeb rękojeścią pistoletu. Zrozpaczona chwyciła palce wczepiające się w jej ramię jak szpony kruka, a wówczas usłyszała za sobą łoskot. A potem ktoś, kto stanął za plecami dziewczyny, chwycił dłoń starca i oderwał ją od ramienia Konstancji.

–Co to ma być?! – zakrzyknął Gedeon zziębnięty, porąbany, zakrwawiony. – Co ty robisz?! Gdzie twoja pomoc, do stu fur beczek kartaczy?!

–On – jęknęła, wskazując oczami dygocącego Hermolauusa. – On... chciał ciebie...

Jednym szybkim ruchem Gedeon wyszarpnął jej pistolet z pasa i wymierzył lufę prosto w pierś dziewczyny. Konstancja krzyknęła, szarpnęła się, ale zanim padł strzał, ramię Gedeona opasało jej kibić, odsunęło Konstancję na bok. Dwernicki pociągnął za spust. Huknął strzał, spowił ich obłok dymu.

Gedeon dał ognia niemal w ostatniej chwili. Paskudny, szczerzący spróchniałe zęby sabat, który wpadł przez drzwi z uniesioną szablą, nakrył się nogami, aż zadudniły deski podłogi. Dwernicki odepchnął dziewczynę, porwał pistolet za lufę, odbił nim cięcie kolejnego wroga, który wpadł do świetlicy, a potem chwycił lewą ręką za uzbrojoną dłoń, a prawą gruchnął w łeb z rozmachem, rozwalając głowę napastnika okutą rękojeścią półhaka. Hajduk padł na łożo Hermolauusa, zalał krwią starca, opony i kobierce na ścianach, zsunął się na kolana.

–Konstancja! – zawył Gedeon. – Dydyńskiego! Na pomoc!

Nawet i bez tego ponaglenia usłyszała łoskot kolejnych okiennic rozwalanych siekierami, wrzaski atakujących i tupot podkutych butów w izbie za nimi. Pomknęła do drzwi jak spłoszona sarna, nie podnosząc nawet szabli, którą pozostawiła przy

skrzyńce. Wiedziała, że musi znaleźć Dydyńskiego albo wezwać pomoc, zanim dwór zostanie zdobyty, a Dwernickich wycofujących się od parkanów przywitają za bramą szczere uśmiechy sabatów i hultajów Stadnickiego.

Wpadła do sieni, a potem co tchu wbiegła na ganek, zeskokczyła ze stopni, rzuciła się w stronę bramy. Była o krok od zaryglowanych, zaspanych ziemią wrót, gdy za kolasa z prawej i krzakami pod parkanami dostrzegła jakiś ruch. Chciała zatrzymać się, lecz ktoś chwycił ją wpół, od tyłu, mocno. Szarpnęła się, ale bezskutecznie, wierzgała, krzyczała. Wówczas doskoczyli do niej jeszcze dwaj swawolnicy. Była w rękach trzech sabatów, których zdradził bijący od nich smród zjełczałego baraniego sadła, diegciu, potu i krwi.

–Gedeon! – rozdarła się dziewczyna. – Gedeoon!

Zarechotali. Ten niższy, który trzymał Dwernicką w objęciach, złapał ją wpół, uniósł z ziemi, powłókł w stronę stajni. Ręka Konstancji od razu opadła do lewego boku – tylko po to, aby zmacać pustą pochwę szabli. Była bez broni! O Boże, mój sajdak! – pomyślała, jak gdyby łuk mógł w jakikolwiek sposób pomóc jej w walce z takiej odległości z trzema siedmiogrodzkimi sabatami, którymi matki na Werhowynie straszły małe dzieci.

Żołdacy Stadnickiego znowu zarechotali głośno. A wówczas Konstancja, wkładając w cios całą siłę i złączając dłonie razem, uderzyła łokciem w wąsatą gębę trzymającego ją swawolnika. Mężczyzna zawył, potrząsnął głową, splunął krwią i połamanymi zębami, a potem lewą ręką chwycił ją za czarne warkocze, a prawą uderzył na odlew w twarz. Głowa Konstancji odskoczyła na bok, szlachcianka jęknęła, przewróciłaby się od takiego ciosu, gdyby napastnik nie przytrzymał jej drugą ręką. Świat zawirował na chwilę. A potem poczuła, jak ręce sabatów podnoszą ją z ziemi i wloką do stajni. Zaczęła krzyczeć, wierzgać, kopać i bić, ale jej waleczność nie uczyniła na nich większego wrażenia niż protesty kotki niesionej w worku do najbliższej rzeki.

Konstancja załkała, odwaga opuściła ją całkowicie. Zaczęła gryźć i kęsać – wszystko na próżno. Kiedy chwyciła zębami dłoń jednego z prześladowców, dostała kulakiem z drugiej strony – pod ucho, a potem jeden z sabatów – najmniej śmierdzący diegciem, a w zamian za to najbardziej horyłką – złapał ją za warkocze i odgiął głowę do tyłu.

Rzucili ją na słomę i gnój w stajni, tuż obok przerażonych, wierzgających koni. Ten pierwszy, któremu uczyniła w zębach szparę równie wielką co kula z kolubryny w zamkowym murze, przycisnął ją kolanem, rozdarł żupan i koszulę na piersiach. Konstancja jęknęła, kiedy opadł na nią całym ciężarem, a jej zęby kłapnęły tuż przed obliczem wroga. Najezdnik zaśmiał się, chwycił ją za szyję, zdławił, przydusił. Dwernicka szamotała się coraz słabiej, czując, że łzy same ciekną jej z oczu, a serce wali jak oszalałe. Wiedziała, że przegra; bójka ze Smoliwąsem i jego chłopską kompanią była zaledwie dziecinną zabawą w porównaniu ze starciem z okrutnymi sabatami... Lecz przecież to wszystko nie mogło tak się skończyć! Nie mogło!

A potem stał cię cud. Sabat, który już prawie rozsunał jej nogi, złapał się za pas i począł spuszczać hajdawery, zaskomlał jak pies i poleciał w bok, pod kopyta

szalejących koni. Konstancja cofnęła się tyłem, zasłaniając piersi dłońmi, i wówczas ujrzała stojącego na progu stajni Jacka Dydyńskiego, za nim zaś spocone, pokryte pyłem, kurzem i drobinami prochu oblicza Szawiły i Samuela.

Jacek nad Jackami wpadł pierwszy; natarł z furią na sabatów, którzy na widok zbrojnych chwycili za broń. Ciął pierwszy – wrąb, odbił cios z odlewu, zripostował szybkim, wręcznym cięciem wkłęb, zbił ostrze wroga, ciął od zewnętrznej strony i jednym chłaśnięciem odrąbał sabatowi rękę w nadgarstku!

Węgier zawył jak pies, potrząsnął krwawiącym kikutem, rzucił się Dydyńskiemu do gardła, lecz ten skoczył w bok, doprawił go w żywot, w skroń i – kiedy tamten zachwiał się – w kark. W końcu zwałił go potężnym cięciem w łeb na słomę i stos końskiego nawozu.

Dwaj ostatni sabaci opadli stolnikowica z dwóch stron. Ten zastawił się przed pierwszym ciosem, zbił chłaśnięcie wkłęb, zripostował wlic i w pierś, waląc długimi cięciami zamachowymi z ramienia. Dostał w lewy bark, ledwie wymknął się spod ostrza, odbił cięcie na odlew i oddał pięknym za nadobne błyskawiczną odpowiedź. Sabat za późno złożył się do zastawy, nie zdążył osłonić się przed polskim ostrzem. I dostał cios w twarz, przez czoło, nos, prawy policzek; cięcie, które raz na zawsze skończyło jego doczesne udręki.

Dydyński skoczył na ostatniego wroga. Ów umknął z wrzaskiem spod ostrza, ale w ciasnej stajni nie miał dokąd uciekać. Drogę zagradzały mu miotające się na uwiązach konie i wierzchowce, a drzwi stajni pilnowali Samuel i Szawiła. Sabat rzucił się zatem na Jacka. Szable brzęknęły, zderzyły się raz, drugi, trzeci... A potem stolnikowic skończył ostatnią scenę moralitetu pod tytułem „Pokaranie sabatów”. Zakończył tak jak zwykle, ze szlachecką fantazją, cięciem godnym zapamiętania w traktatach, gdyby ktokolwiek w Ziemi Sanockiej zadawał sobie trudu na spisywanie szermierczych ciosów i układów. Uniknął zwodem cięcia w pierś, a potem delikatnie ciął niżkiem sabata z lewej strony, przecinając brzuch, nacinając głęboko prawe udo. Uderzył tylko raz. To wystarczyło, by trysnęła krew, a sabat padł pod kopyta koni, zaryczał z bólu, by krew z przeciętej tętnicy trysnęła aż pod sufit. Dydyński doskoczył do powalonego i jednym krótkim pchnięciem wpakował mu ostrze szabli w plecy – głęboko, aż po młotek i sam kraniec pióra. Sabat zawył, zacharczał, jego oczy pokryły się bielmem, a nogi poczęły uderzać w ziemię w przedśmiertnych drgawkach.

Dydyński otarł pot z czoła, spojrział na Konstancję, która podniosła się na nogi i stała, wpatrując się weń szeroko otwartymi oczyma, pełna podziwu dla jego wyczynów. A wówczas stolnikowic wbił szablę w słomę i uczynił coś, czego nigdy w życiu nie zrobiłby w takiej chwili żaden szlachetny ani świątobliwy krzyżowiec – żaden Gawain, Parcival spod kresowych stanic czy Walgierz Wdały z dawnych pieśni i legend. Nie było się jednak czemu dziwić – krew pana stolnika odziedziczona po pradziadach była gorąca. A wszak w czasach walk Parcivala z Sasami pradawni Sarmaci, przodkowie szlachty polskiej, stali, jak wiadomo, po tej drugiej stronie barykady.

Drapieżnym ruchem Dydyński chwycił Konstancję za ręce zasłaniające urocze pagórki, rozsunał je na boki, porwał dziewczynę w ramiona, oparł ją z boku o zad

konia, przycisnął, zdusił w uściskach. Jego stwardniałe od szabli dłonie przesunęły się od ciemnobrązowych jagód w dół, na rozkosznie gładkie plecy panny Dwernickiej, podążyły ku dwóm znacym krągłościom poniżej. A jednocześnie pan Dydyński nie odrywał ust od koralowych warg niewiasty, zdusił ją tak, że pozostała prawie bez tchu...

A jednak miała dość siły na ten ostatni desperacki uczynek!

Dydyński jęknął i odskoczył, gdy dostał kolanem w swe szlachetne klejnoty herbowe. Zdumiony wybałuszył oczy na Konstancję, jak gdyby właśnie odebrano mu smaczny, acz nieobiecany kąsek.

Konstancja chwyciła husarską szablę pana Jacka, cofnęła się, stanęła w wysokiej postawie.

–Ty zdrajco! Ty psi synu! – wybuchła. – Złodzieju podolski! Miłośniku francowatych przechodek! Szelmo! Kpie francuski!

Zamilkła, dysząc ze złości.

–Powiadali mi, panie Dydyński, że tyś pierwszy szlachcic w powiecie! Szlachetny jako Zawisza Sulimczyk! Cnotliwy jako Cyncynat!

–Kłamali! – wykrztusił wreszcie Dydyński. – A może jeszcze gadali, że się postrzygłem w mnichy?!

–Jak śmiałeś, mości panie, nastawać na moją cnotę!

–A nagroda za ocalenie?! – roześmiał się Dydyński. Konstancja miała przez chwilę wrażenie, że nie tak bardzo różni się od sabatów, którzy właśnie zeszytnieli lub wydawali ostatnie tchnienie na gnoju. – Waćpanna wybac, ale ja zawsze lafę biorę!

–W naturze? – Konstancja zamierzyła się do ciosu.

–Myślałem, że się to waćpannie spodoba...

Samuel wskoczył z impetem pomiędzy nich.

–Sabaty idą! – krzyknął rozpaczliwie. – Do broni!

–Spasi Chryste! – rzekł Szawiła. – To Stadnicki nas we dworze oblega, a pan Dydyński tymczasem pannę Konstancję obiegi!

Konstancja cisnęła szablę pod nogi stolnikowica, okryła się porwaną koszulą, a potem odwróciła do Szawiły, który, rzecz jasna, nie omieszkał skorzystać z okazji, aby nie uronić nawet najmniejszego detalu z tej sceny. To zresztą był prawdziwy powód złości Konstancji. Gdyby Dydyński obłąpił ją gdzieś po kryjomu, nie byłaby może o to krzywa. Panna wiedziała jednak, że skoro świadkiem tej sceny stał się Szawiła, może być pewna, że – jeśli Dwerniki przetrwają zajazd Stadnickiego – jutro będą gadać o tym wszystkim chłopci i Żydzi w Hoczwi, Koroliwcy w chatkach nad Osławą i Hyrniacy po całej Werhowynie. Pojutrze wieść o niej i stolnikowicu dotrze do sanockich przekupek i pijanic. Pewne jak amen w pacierzu było także, iż za dwa dni gadać o tym będzie cały Rzeszów oraz pan kasztelan Spytek Ligęza przy wieczerzy. A przed Wszystkimi Świętymi opowieść dotrze lotem błyskawicy do samego Krakowa, gdzie weselić się będą z tej historii po równo książę kasztelan Ostrogski, żacy w karczmach, plebeje i kupcy w szynkach, baby kupczące na rynku i wszystkie murwy i przechodki z Kazimierza. A najgorsze zaś, że zawsze i wszędzie znać będzie w tych opowieściach okrutną i krzywdzącą niesprawiedliwość.



Konstancja wiedziała dobrze, że pana Dydyńskiego, choćby wychędożył tutaj i dwadzieścia dziewczek, nie nazwie nikt szelmą, kpem, gwałtownikiem niewieściej cnoty, lecz wszyscy i wszędzie pić będą za jego zdrowie kwarciane kielichy i puchary pełne węgrzyna i małmazji. Z niej zaś zrobią ladacznicę albo polatuchę lub też, co gorsza, głupią zaściankową kurę, poćpiegę albo zwykłą przechodkę. Taki już parszywy był cały ten świat!

A potem Dwernicka zamarła, kiedy uświadomiła sobie, że przez to wszystko nie powiedziała Dydyńskiemu, aby ratował Gedeona broniącego się samotnie we dworku. Dziewczyna chwyciła się za głowę, zaszlochała. Ale kiedy stanęła na progu, ujrzała Beryndę, Połoninę i Pińczuka, którzy właśnie wychodzili z dworu, wiodąc zakrwawionego, ale żywego Dwernickiego. Konstancja zaszlochała, kamień spadł jej z serca.

Dydyński jednak był niewrażliwy na niewieście łzy. Chwycił za szablę i wypadł na podwórze. Od razu w jego uszy uderzył huk wystrzałów, oczy zasnuł kwaśny dym prochowy, który dla ludzi kochających wojnę był niczym wonne kadziło, jak aromat najstarszego wina dobytego z omszałej beczki.

Hajdacy i sabaci odparci od dworu wrócili z większą siłą – wparci spieszonymi semenami, szlachtą i pacholkami Stadnickiego. Szli do ataku, przystawiając do parkanów drabiny, rąbiąc bale i deski siekierami, ciskając płonące maźnice ze smołą na dachy szop i chałup, wspinali się na częstokoły po osękach. Dwerniccy strzelali im prosto w twarze, bili szablami, cepami, kiścieniami, spychali rohatynami i spisami, odrzucali drabiny widłami.

Siły szaraczków wyczerpywały się z wolna. Rannych i umierających znoszono do dworu Hermolausa, opatrywano naprędce, drąc w paski koszule, prześcieradła i poszwy, zagniatając chleb z pajęczyną, zmywając krew szmatami. Zabici leżeli wszędzie – padł Krzysztof Dwernicki, dogorywał pan Abraham zwany Szczerbakiem. Berynda dostał kulę w ramię, Kołodrub oberwał kiścieniem po krzyżu. Ostatnią krew w obronie wioski przelało kilkoro pacholąt i starców, kilkunastu krewnych i powinowatych Konstancji. Zewsząd dobiegały jęki i krzyki, wołania o pomoc. Strzelb i pistoletów nie miał prawie kto nabijać, tu i ówdzie Dwerniccy walczyli już na kolby i pięści, zastawiali się szablami i z trudem spychali napastników z umocnień.

Dydyński rzucił się bić sabatów i dworskich ludzi, prał ich sprawnie i bez zbędnych słów, jak drwał rąbiący drzewo na stokach Chryszczatej. Czasem tylko ustępował miejsca Szawille, bo Samuel oberwał w łeb i po boku, po czym trzeba było znieść go do dworu. Ale napór wrogów był silny i bezlitosny. Powoli słabła nieugięta wola oporu stolnikowica... Zaczynał już przemyśliwać, czy nie czas, aby wycofać się do kościółka lub nawet wszcząć pertraktacje z oblegającymi. Zastanawiał się, czy atakami dowodzi sam Diabeł Łańcucki, czy też któryś z jego ludzi. Choć jednak wpatrywał się w dymy i pożary, nie widział nigdzie wyniosłej postaci Stanisława Stadnickiego. Zapewne zatem Diabeł naznaczył regimentarzem jednego ze swych klientów i rękodajnych. Jeśli tak było, to być może mieli szansę, aby wykpić się układami i uzyskać chociaż przerwę w walce, która zaczynała przybierać coraz bardziej niekorzystny obrót.

Nie doszło do poddania się ani wywieszenia białej flagi. Kiedy obrona poczyniała słabnąć, gdy ważyły się losy bitwy, niespodziewanie na tyłach ludzi Stadnickiego rozległy się strzały i krzyki.

Dydyński aż wspiął się na szczyt częstokołu, ryzykując wystawienie się na strzał. Wytężył wzrok i wreszcie ujrzał, co było przyczyną zamieszania. Zobaczył jeźdźców na wspaniałych polskich koniach, w deliach, w kolczugach i behterach, w przepysznych szyszakach turbanowych i misiurkach, cwałujących główną drogą wprost do dworu. Było ich pięciu, może ośmiu, ale z pewnością nie więcej niż dwunastu. Jacek nad Jackami widział, jak mknęli wprost na tyły wroga, jak palili z pistoletów do zaskoczonych semenów i hajduków. A potem jak burza wpadli w stłoczone szeregi sabatów, rozwalając łby i czaszki, rąbiąc szablami ze złowieszczą wprawą znamionującą doświadczonego żołnierza.

Kłując, siekąc i tratując wszystko, co stało im na drodze, dopadli do ogromnej karmazynowej chorągwi ze Śreniawą. A potem jeden z nich – potężny, zwalisty chłop z długą brodą, ciął chorążego w kark, inny chwycił drzewce. I wielki sztandar Stadnickiego padł, złożył się, zniknął.

Ludzie starosty wrzasnęli. Wstrzymali szturm na obwarowania dworu. Wnet w ich szeregach wszczął się zamęt, krzyki, zamieszanie. Dydyński już wiedział, co czynić. Nie mogli stracić tej szansy!

–Mości panowie! – ryknął do skrwawionych obrońców. – Odsiecz idzie! Prac sabatów, psubratów! Bij, kto w Boga wierzy!

Dwerniccy dostrzegli, co działo się po drugiej stronie płotów i kobylic, widzieli nadciągającą jazdę i zrozumieli, że odsiecz uderzyła w tył wrogów jak grom z jasnego nieba. Pierwszy ocknął się Pelczak, po nim Szawiła, dalej reszta szaraczków i kto tylko jeszcze trzymał się na nogach.

Co tchu odwalili kłody, pniaki i podpory blokujące wrota, rzucili się, aby przelazić na drugą stronę palisad i częstokołów.

Dydyński pierwszy wypadł przez otwarte przejście z szablą w zaciśniętej dłoni, za nim pędzili Dwerniccy z kosami, szablami, kiścieniami, ze zdobycznymi pałaszami i spisami. Gnali na wroga z gromadnym rykiem. Z okien dworku, z dachu stodoły rozbrzmiały nowe strzały.

I to załamało żołnierzy Stadnickiego. Poniósłszy w boju wielkie straty, sądząc, że od strony gościńca następuje na nich wroga jazda, poczęli pierzchać między opłotki, w pola, pomiędzy płonące stogi z sianem, gumna i stodoły. Najpierw uciekli sabaci, którzy zawsze woleli rozbijać skrzynie i sklepy, krzywdzić dziewczki i łupić szlachtę, niż stawać do boju z szablą w ręku. Za nimi popędzili skrwawieni hajducy, na końcu zaś semeni. Panika ogarnęła wszystko i wszystkich. Dobosze rzucali kotły, muzykanci trąby, chorążowie wyzbywali się sztandarów. Z wrzaskiem przerażenia czeladnicy i pachołkowie z Łańcuta poczęli wrywać w pola, uciekać przez Solankę, wpadać w Wetłyne, walić się z nóg, upadać, topić, byle tylko dopaść zbawczego lasu. Dłuższy opór stawiała tylko jazda dworska, ale gdy uderzyli na nią Dwerniccy z kosami i spisami, kiedy dali ognia do jeźdźców stłoczonych w wąskich przejściach i ogrodach między chałupami, szlachcice i rękodajni Stadnickiego poczęli zawracać konie, a w

końcu wszyscy puścili się skokiem za hajdukami.

Dydyński nie ruszył w pogoń. Szedł środkiem zakrwawionego traktu prowadzącego do wyważonych głównych wrót, gdzie leżały stopy trupów i martwe ścierwa koni. A na jego spotkanie podążało czterech konnych, których oblicza były wesole, szczere i roześmiane, choć tu i ówdzie szpeciły je jeszcze niezagojone blizny i rany.

Mikołaj, Zygmunt, Stefan i Łukasz Dydyńscy jechali rysią na zdrożonych wierzchowcach. Z tyłu tłoczyła się czeladź, ośmiu pocztowych zabranych z Dydni i Niewistki, rodowych włości panów Dydyńskich. Choć wszyscy mieli marsowe miny, trudno wprost było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą te cztery poczty zbrojnych uczyniły większe spustoszenie niż dobrze okryta chorągiew husarska.

Mikołaj pochylił się w lęku, porwał Dydyńskiego w niedźwiedzie uściski, poklepał po bratersku po plecach, omal nie zgniatając przy tym żeber.

–Ty szelmo! – zakrzyknął. – Gdzieś się wybrał?! Na wojnę ze Stadnickim? Bez nas?!

–Przecież Diabłowi służyliście!

–I rzuciliśmy służbę w diabły! Kiedyśmy się dowiedzieli, że starosta zaścianek chciał schłopić, że na ciebie parol zagiął, rzekliśmy mu: „Pocałuj psa w rzyć, panie Stadnicki!” I jeszcześmy mu konie zagarnęli! Patrzajcie, jakie zacne husarskie i natolijczyki, jakie podjezdki śmigły pod pocztowymi!

–A Przeclaw?!

Mikołaj popatrzył w ziemię.

–Ostał na służbie. On, bracie, zawsze miał do ciebie rankor, zazdrościł ci sławy i powodzenia. Pies drapał Przeclawa. Co to, my nie Dydyńscy bez niego?

Jacek zmarkotniał. Ból w plecach odżył na nowo. Może to odezwała się rana po kuli, a może tylko niemiłe wspomnienie?

Dwerniccy wracali bezładnymi gromadami – pocięci, pokrwawieni, ale z błyskiem w oku, krzyczący i wiwatujący. Gedeon podszedł do Dydyńskiego. Miał zakrwawiony łeb, zmęczone, przekrwione oczy, śmierdział dymem i siarką. Położył rękę na ramieniu szlachcica.

–Mości panie Dydyński – rzekł – dziękuję. Po prostu dziękuję, żeś nie zapomniał... O danym słowie.

Rana w plecach stolnikowica zapulsowała bólem jeszcze mocniej.

–Waszmość pozwól, oto moi bracia. – Wskazał Dydyńskich. – Mości panowie, poznajcie Gedeona Dwernickiego, który uratował mi życie. A w zamian za to ofiarowałem mu szablę.

Bracia pokłonili się, uchylili czapek i kołpaków.

–To wielki dzień dla nas – mruknął Gedeon. – I dla waszmościów. Dziękuję za pomoc. A teraz chodźmy znieść rannych i zabitych.

Dydyński pokiwał głową.

–Stryj Hermolaus skonał. Nie wytrzymał starowina bitwy. Nie dożył naszej wiktorii. Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie. I światłość wiekuista niechaj mu świeci. A teraz do roboty! Nie będziemy tu sterczeć. Sabaci mogą wrócić!

Pobici sabaci i hajducy już nie wrócili. Ani tego samego dnia, ani następnego. Na próżno Dwerniccy wystawiali strażę, wzmacniali parkany i zasieki, wysyłali na wszystkie strony konne czaty. Minął w końcu jeden tydzień i drugi, przeminęło Święto Łukasza Ewangelisty i nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Wyglądało na to, że pokonany Stadnicki zaległ w swym łańcuckim Piekło, liżąc rany, i na razie nie dawał zaściankowi okazji do wojny.

Dała je jednak Konstancja.

Oczywiście nie zaściankowi, lecz stolnikowicowi sanockiemu.

Pierwsze pojawiły się równo w dwa tygodnie po pogrzebie zabitych tudzież po obwiedzeniu ciał sabatów i hajduków w sanockim grodzie. Nie obeszło się rzecz jasna, bez wpisania do ksiąg grodzkich kolejnej protestacji i przygotowania pozwu dla Diabła. Sterta papierów rosła w urzędzie grodzkim niemal z tygodnia na tydzień, cóż jednak z tego, skoro nie miał kto nosić pozwów. Woźny grodzki wypuszczony za okupem z loszku w Łańcucie kurował się od miesiąca z blizn, pręg po kijach i sińców, a na zastępstwo jakoś nie było ochotników. Wszystkim było bowiem doskonale wiadomo, że Diabeł Łańcucki srogo bijał urzędników wysyłanych doń z napastliwymi pismami. Zresztą gdyby nawet zaczęły się procesy, Stadnicki i tak kpił sobie zawsze z sądów i trybunałów; nie stawiał się nie tylko na indukta i repliki, ale nie fatygował nawet na dylacje i akcesoria. Siła była wystarczającym prawem dla niego, a o resztę zupełnie nie dbał.

Wszystko zaczęło się w dniu, w którym Jacek nad Jackami wybrał się na nadrzeczne łuhę, aby przejeździć konia, zranionego zresztą w czasie dawnej zwady na jarmarku w Dynowie. Konstancja zaś, która pojechała za nim na swym wronym koniku, najpierw dwa razy zajechała mu drogę, potem niby przypadkiem wyrznęła nahajem w zad jego wierzchowca i uciekła, w końcu omal nie wpadła na Jacka i prawie zrzuciła go z kulbaki, gdy spłoszony Werchaty stanął dęba.

Dydyński nie wiedział, jak się zachować, zwłaszcza po rekuzie, którą dostał na zaścianku, w stajni w czasie bitwy. Z początku puszczał mimo uszu zaczepki i tatarskie zaloty panny; wreszcie, kiedy kilkakrotnie przemknęła skokiem obok niego, zniecierpliwiony rzucił się w pogoń i bez trudu dopadł Dwernicką, niemal w pół drogi do Ciasnej. Tam, w zagajniku z gęstych buków, wyciągnął ją z jarczaka, zmiażdżył w uścisku i wycisnął na wargach drugi już pocałunek.

Konstancja wyrwała mu się i znowu uciekła, gonił ją więc wytrwale, ale z tryumfem i przekonany, iż jego starania zaczynają odnosić skutek. Wszak nawet kropla drąży skałę, choć miną wieki, nim zdoła utorować łożysko dla podziemnej rzeki.

Od tego czasu spotykali się prawie codziennie, aby urządzać dzikie galopady po okolicznych polach, górach i dolinach. Jesień roku Pańskiego 1607 była piękna, ciepła i pogodna. Choć dochodził już koniec października, każdego ranka złote słońce wzbijało się nad sine mgły zalegające w dolinach Bieszczadu, wschodziło na niebie błękitnym, czystym i niepokalanym jak iza uroniona przez dziewicę nad grobem Chrystusa. Wstając, oświetlało krainę dziką, tajemniczą, niebezpieczną, a

przez to jeszcze bardziej piękną, pełną nieopisanego uroku nawet dla kogoś, kto przez całe życie przywiązywał wagę jedynie do wojaczki, konia, szabli i zbroi. Panna Dwernicka знаła tu każdy kąt, każdy głaz, buk, sosnę i strumień. Każdego ranka jeździli zatem po skalistych brzegach Wetłyny, przeprawiając się przez kamienne osypiska, progi oraz badunie Sinych Wirów i Zawoju. Ścigali się wąskimi leśnymi duktami prowadzącymi do wiosek zagubionych pod rozłożystymi ramionami Bieszczadu, gdzie między dębami Dwernika, Smereka, Halicza i Krzemienia szumiały tajemniczo srebrzyste smużki wezbranych górskich potoków – Hulskiego, Caryńskiego, Mucznego i Dwernika. Byli w Żubraczym pod Hyrlatą, położonym w tak dzikim wertepie i między tak ogromnymi borami, że aż trudno było uwierzyć, że znalazł się ktoś, kto obrał sobie ten przysiółek na zamieszkanie. A jednak nie tak daleko od wioski przez ten dziki matecznik przebijały się liczne karawany kupieckie dążące na Węgry i do Małej Polski starym, wyjeżdżonym traktem ciągnącym się od Roztok na granicy aż po Baligród, Lisko i Sanok. I tutaj, zda się, przebiegała granica świata, bo zaraz za Baligrodem wjeżdżało się jak w czarne gardło. Droga i rzeka były jednym i tym samym, a z jednej i z drugiej strony strumienia wznosiły się czarne ściany jodeł i smreków. Jeździli też na Werhowynę, w najwyższej części Bieszczadu, gdzie ludzie zamieszkujący wioski i przysiółki byli równie zdziczali jak pradawna puszcza okrywająca szczyty i doliny. W górskich ostępach, w wioskach i przysiółkach ukrytych w wiekowych borach, gnieździł się hardy lud skory do zwady i pomsty. Tutaj, jak gdyby Ziemia Sanocka była małymi Dzikimi Polami, uciekali wszelacy hultaje, swawolnicy, wywołańcy i banicy, a pod osłoną leśnych gąszczy przemykali beskidnicy z polskiej strony gór i tołhaje z węgierskiej. Chłopi ze Sturzyca, Polany, Ruskiego i Rosochów chadzali własnymi ścieżkami, z których te najbardziej kręte wiodły ich ku zbójckiej sławie, dostatkowi i bogactwu, lecz znacznie częściej ku konopnemu strykowi kołyszącemu się na dębowej poprzeczce szubienicy. Tędy właśnie, przez nieoznakowane drogi i trakty, przekradali się na północną stronę gór tołhaje, sabaci i opryszki zbierający się w Bystrej, Lutni, Wołosiance, Zahorbiu, Sławnie, Užoku po drugiej stronie granicy, bo wszystkie z tych wiosek były zbójckimi gniazdami. Tu urządzali swoje chadzki i wyprawy watahowie wołoscy, którym niestraszne były napady na szlacheckie dwory i największe nawet miasta. Po tej stronie gór ucztował kiedyś na kamiennym stole straszny Istvan, którego chłopi ze Stuposian zabili okrutnie na polanie Stuposiewskie i tam pogrzebali razem z braćmi we wspólnej mogile. Tutaj, na pograniczu Beskidu i Bieszczadu, zbójował Lewek Hostowicz, który zdradzony i wydany w ręce kata w karczmie w Komączy zawisł w Sanoku na pochyblu na strawę dla kruków i wron. Jego zbójnicką sławę podjął potem Marko Hatala, co przez lata wywijał się pachołkom starościańskim i harnikom. Aż wreszcie noga powinęła mu się w Lipnicy, skąd krótka już tylko czekała go droga – do Sanoka i na szubienicę, choć znajdowali się i tacy, co twierdzili, iż obwieszono go na Wisielniku Horodyskim pod Hoczwią.

Byli i po Hatali kolejni beskidnicy, łotry, watahowie – Karlik Ichnat z Radwani, Hryć z Wyłagu. A kiedy na mękach pokończyli życie, nastali po nich Łapszun i pnący się w górę w zbójckiej hierarchii Ichnat Wysoczan. Ci wszyscy mieli swoje kryjówki w

Beskidzie, Bieszczadzie, w górach przemyskich i Samborskich. Tam, gdzie w bezludnych ustroniach, wśród górskich berd, w zarębach, skrytych, zapadłych i niedostępnych, wśród borów i wertepów siedzieli na czerszlach i poharach, w chałupach, grotach i ostępach dzicy i złowieszczy chłopci, przyzwyczajeni jak wilki do boju i walki. Z nich właśnie, a także z drobnej cząstkowej szlachty, z ludzi niebędących ani niczymi poddanymi, ani wolnymi, z tych pół opryszków, pół chłopów, z wójtów strwiążkich nieodrabiających żadnych powinności, z kniaziów, krajników, łanników i wolników brali się najzawziętsi beskidnicy i hultaje.

Ale i tak znacznie groźniejsi byli od nich szlachetnie urodzeni rozbójnicy i swawolnicy, będący *de nomine* herbowymi Polakami i Rusinami, a w duszy brygantami i raubritterami na niemiecką modłę. Z sąsiadów Dwernickich słynęli z tego panowie Rosińscy z Teleśnicy Oszwarowej zwanej także Fedorową po drugiej stronie Sanu, sławni z zabijania szlachty, którą gościli we dworze. Tak trzy miesiące temu uczynili z Kroguleckim, odrąbawszy mu głowę w czasie uczty. Gedeon i Dydyński pełni byli obaw co do ich intencji, gdyż Rosińscy słynęli jako najzawziętsi poplecznicy i klienci Diabła Łańcuckiego, u którego od lat znajdowali ochronę i protekcję przed wieżą i starostą. W dalszych stronach żyli z rozbojów bracia Białoskórscy, synowie burgrabiego na Wysokim Zamku lwowskim, a także pomniejsi zbóje, jak: Żebrowski, Górski, Pamiętowski z zawziętą kompanią wisielców urwanych przedwcześnie od powroza, a pochodzących z Łyskowic i Lachowic. Ten ostatni napadał często dwory i wioski, udając Tatarów. Dalej szła pomniejsza szlachta zaściankowa i zagrodowa – Sękowscy, Kadłubiccy, Dąbscy, Żurakowscy. A także Paweł Zaklika z Gwoźnicy i Konstanty Komarnicki grasujący od czasu do czasu w górach Samborskich, zaprzysięgły wróg księcia Janusza Ostrońskiego.

Lecz teraz była już jesień. Góry opustoszały, jedynie woły i owce pasły się jeszcze na połoninach. Hultaje kryli się po dziuplach i matecznikach, a zbrojni panowie przepijali łupy i zapasy po dworach. Nikt i nic nie przeszkadzało zatem Konstancji i stolnikowicowi w ich wyprawach.

Gdyby ktokolwiek zapytał wówczas Jacka Dydyńskiego, czy trzymając w ramionach pannę Konstancję na Berdzie Falowej, przesiadując z nią w dzikich ostępach nad Solanką i Wetłyną, przemierzając pradawne bory Chryszczatej, liczy na coś więcej niżli tylko przelotną miłość, z pewnością potrzęsnałby przecząco głową. Wszak jemu, Jackowi Dydyńskiemu, nie wypadało brać sobie za żonę panny ze zubożalego rodu szlacheckiego, za którą w posagu mógłby dostać dwie beczki dziegiu i wiadro pokrzyw zebranych z ugoru przy Solance. Wprawdzie Dydyńscy nie należeli do wielkich posesjonatów, a Niewistka i Dydnia miały przejść po śmierci ich ojca w ręce sześciu braci, jednak Jacek nad Jackami był przecież dobrze znany w całym Sanockiem. Bijąc się ze Szwedami pod panem Chodkiewiczem i rozwalając w czasie zajazdów podgolone łby panów braci, nabrał tyle łupów, iż śmiało mógł startować w konkury do posażnych panien, córek miejscowych starostów czy dygnitarzy koronnych. Po drugie zaś Dydyński był zawodowym żołnierzem, towarzyszem chorągwi hetmańskiej, a choć porzucił służbę po konfederacji brzeskiej, miał zamiar znowu wrócić do szeregów. Nie był więc skłonny do

sentymentów i mówiąc krótko – miał względem Konstancji jasny cel – chciał sprawdzić, czy prawdą jest, że każda białogłowa tak jak ryba smak swój nosi w środku. I czy smak ów u panny Konstancji jest może słodszy niżli u Jadwisi, najdroższej i najkrańszej ladaczniczki z górnego przedmieścia w Łańcucie. Tudzież czy można w ogóle porównywać go ze smakiem pewnej dwórki pana Krzysztofa Zbaraskiego, z którą to niewiastą spędził Dydyński wiele upojnych chwil na podkrakowskim Kazimierzu. Mówiąc zaś wzniosłymi słowy – pan Dydyński był jak polski hetman, który chcąc utrzymać w ordynku swe nieopłacone, spragnione łupów i powstające do konfederacji wojsko, musi jak najszybciej wydać walną bitwę koronnemu nieprzyjacielowi, bodaj nawet był to lichy gospodar wołoski albo chorągiewka zbójeckich Wołochów, i pobić go ku swej chwale i sławie.

–Dziwny człek z tego Gedeona – powiedziała Konstancja, kiedy jednego z ostatnich październikowych dni wracali do Dwernik doliną Solanki.

–Uratował mi życie, a wam wolność – mruknął Dydyński. – Dzięki niemu obroniliście się przed Stadnickim za pierwszym razem. Aż nie chce się wierzyć, że przetrzymał tyle lat niewoli. Czy ty pamiętasz go z czasów, gdy wyruszał na wyprawę do Wołoch?

–Byłam wtedy dziecięciem w kołysce. Berynda zapamiętał go lepiej, ale Gedeon był dużo młodszy. Teraz, kiedy po latach wrócił przemieniony w Belialia, niemal nie przypomina nikogo z nas.

–Po dwudziestu latach na galerach każdy będzie wyglądał jak Szejtan albo zostaną z niego tylko kości na dnie morza.

–Czy ty wiesz, że Gedeon ma diabelskie pismo? Arkusz pokryty czarcimi zawijasami, znakami piekielnymi!

–Gdzieś to widziała?

–U niego w sakwie – szepnęła, nie wiedząc, czy dobrze robi, dzieląc się z Dydyńskim swoim sekretem.

–Jak wyglądało to pismo?

–Żebym ja była worożychą, tobym je odczytała. A tak... Tam były... Kiedy wstydzę się powiedzieć.

–Mów, mów, duszo moja. Nie powiem tego nawet księdzu.

–Tam były zawijasy, dziwne, diabelskie ogony albo za przeproszeniem, kutasy. Jak na jakim cyrografie. – Konstancja przeżegnała się nabożnie.

–To pewnie nie cyrograf – pokręcił głową Dydyński – ale pismo w tureckim języku. Pohańcy takie zawijasy na papierze kładą, jakby im Pan Bóg, z przeproszeniem, języki poplątał. Nieraz widziałem tureckie emiry, ceduły, glejty i listy. Nie dziwi mnie coś takiego u człowieka, który wrócił z krajów sułtana.

Konstancja westchnęła z ulgą. Popędziła Werchatego ostrogami...

W bramie do Dwernik stał Gedeon. Kiedy podjechali bliżej, Dydyński poczuł mrowienie na karku. Ogromny szlachcic wpatrywał się zmrużonym ślepiem w Konstancję, a jego oblicze było zacięte i gniewne. Czyżby miał za złe dziewczynie, że po raz kolejny wybrała się na przejażdżkę ze stolnikowicem.

–Gdzie wy się podziewacie?! – wybuchnął, kiedy podjechali bliżej. – Panie

Dydyński, larum grają, na koń czas siadać, a ty niewiastę po roztokach włóczysz?!

–Co się stało?

–Stadnicki przysłał nam nowe pismo.

–Odpowiedź? Groźby? Połajanki? Pozew?

–Napisał, że chce się z nami pojednać. Winy darować, zastaw zawrzeć i ugodę.

Do ksiąg wszystko roborować, a jeśli go z zajazdów i napaści skwitujemy, gotów nam wypłacić basarunki.

Dydyński uśmiechnął się zawadiacko. I podkreślił węża.

\* \* \*

–To podstęp i zdrada – rzekł stolnikowic do Gedeona, Kołodruba i Beryndy. – Stara sztuczka Diabła. To samo uczynił Korniaktom Anno tysiąc sześćset pięć. Najpierw wyciągnął rękę do zgody, a potem, kiedy jego mość pan Konstanty rozpuścił milicję, *ultima iulio*, Stadnicki wpadł do Sośnicy z wojskiem, porwał go w jednej koszuli, okułał w kajdany i wtrącił do lochu.

Berynda i Kołodrub milczeli.

–Sęk w tym – rzekł Gedeon – że następnego zajazdu Diabła możemy nie przetrzymać. Ja wiem, że w waści żołnierska krew się burzy, ale popatrz sam. Połowa naszych pociętych, chorych, postrzelanych. Co z tego, że wzięliśmy rusznic, prochów, koni, kulbak i szabel, a nadto kilkaset złotych z sakiewek zabitych, jeśli nie ma komu dać tej broni do ręki.

–Co zatem radzisz?

–Chcę się z nim spotkać w grodzie sanockim. Na warunkach, o których wspomina. Przyjedziemy tylko ja i on. A każdy z nas będzie miał jednego uzbrojonego sługę. Tak zresztą postanowił pan *capitaneus*. Nie wierzę, aby Stadnicki chciał porwać nas albo zabić na zamku sanockim, na stolicy starostwa, w obecności podpiska, podstarościego, a może nawet samego starosty. Bo to byłby kryminał, z którego nieprędko by się wywinął.

–Jeśli tam pojedziemy tylko we dwóch, Stadnicki urządzi na nas zasadzkę w drodze powrotnej. Albo w tym samym czasie napadnie na Dwerniki.

–A mi się zdaje, że powinniście jechać – rzekł milczący dotąd Berynda. – Co nam szkodzi spróbować?!

–A jeśli nie wrócimy? Będziesz waćpan sam wioski bronił? I czym? Warząchwiami, wespół z babami i dziećmi?

–Raz kozie śmierć. Przynajmniej zyskamy na czasie – mruknął Gedeon. – Ja jestem gotów się z nim spotkać.

Kołodrub pokiwał głową.

–Skoro się upieracie, tedy zgoda – rzekł w końcu Dydyński. – Co pan każe, sługa musi. A zatem wyruszmy do Sanoka, jak chce Stadnicki. Pojedziemy do grodu jak wszyscy, przez Hoczew i Lisko, ale przy powrocie przeprawimy się promem przez San pod Sobieniem i wrócimy naokoło – przez Ustrzyki. Jeśli Diabeł zrobi na nas zasadzkę na traktach, to mamy szansę jej uniknąć.

Berynda i Kołodrub nadstawili uszu.

–Ale nigdy w życiu – rzekł Dydyński – nie pojedziemy do Sanoka sami. Weźmiemy



moich braci i kilku Dwernickich, którzy poczekają na nas na przedmieściach. A potem uczynimy tak...

Pociągnął łyk lipcowego miodu. I wyłuszczył im swój plan.

\* \* \*

Szlachcic, który wjechał na dziedziniec Piekła owego jesiennego popołudnia, zwracał na siebie uwagę. Jednak nie w taki sposób jak możni panowie posesjonaci. Zupełnie inaczej niż hultaje, towarzysze wojskowi czy znani swawolnicy. Ci pierwsi bywali pozdrawiani, drugim ustępowano z drogi, wszelako zerkając ciekawie, kto jedzie i po co, z jaką sprawą, jak odziany i młody czy stary.

Za tym panem bratem nie oglądał się nikt.

Ci wszyscy, którzy napotkali jego pogardliwy, zimny wzrok, natychmiast kulili głowy. Mieszczankowie i chłopci przemykali pod ścianami domów, pod murami i płotami łańcuckich ogrodów. Nawet srodzy, wąsaci zbrojni sabaci, którzy trzymali straż przed bramą, woleli udawać, że niczego nie widzą. Przynajmniej do czasu, gdy nieznajomy skręcił w stronę furty i stało się jasne, że zamierza wjechać na główny dziedziniec Piekła. Stanisław Stadnicki budził strach i grozę, więc spoglądano na niego jak na wcielonego czarta. Lecz jeśli starosta zygwułski był diabłem, ten człowiek wyglądał jak kochanek śmierci.

A najgorsze, że wcale nie był straszny, nie toczył dokoła błędnym wzrokiem, nie krzyczał, nie unosił się. Paradował w krótkim rajtroku do konnej jazdy, karmazynowej delii i wysokim kołpaku z przypiętą na otoku kitą czaplich piór. Jego oblicze nie wyrażało nic – złości ani bólu, nienawiści czy radości. Sprawiał wrażenie młodego, rozkapryszonego panka, który jednym drgnięciem brwi posyłał pacholka na sto kijów w pięty, a krótkim skinieniem palca nakazywał zamknąć chłopka na pięć dni do pręgierza. Spoglądając z bliska w jego oczy, miało się wrażenie, że człowiek ten był w stanie zamordować bliźniego za kolor pasa, a potem wrócić spokojnie do czytania wierszy.

Za młodym szlachcicem jechało dwóch pacholków strojnych po polsku, z twarzami i brwiami wymalowanymi barwiczką jak u pospolitych skortezanek. Widać było, że mieli za nic ludzkie obmowy, bo podążali obok siebie, trzymając się za ręce, przekomarzając cicho, czasem chichocząc. Świadczyło to tylko o tym, iż nieobce im były arkana tureckiej miłości, a kiedy spojrzano się na nich uważniej, można było dociec, że równie dobrze co na sodomickiej *ars amandi* znali się na mordowaniu. Ich wysztafirowane oblicza zdobiły liczne blizny i źle zagojone rany, a szable w wyświechtanych czarnych pochwach nosiły ślady częstego używania. Zapewne każdy pijanica, który zechciałby nazwać ich w karczmie sodomitami, prędzej pożegnałby się z uchem, niż zdążyłby złapać za rękonożce ormianki.

Z tyłu jechał jeszcze jeden pacholek – stary, wąsaty, przygarbiony, o gębie poznaczonej szramami i bliznami jak pień do rąbania drwa. Ten dla odmiany mruczał pod nosem modlitwy, nie zwracając uwagi na otoczenie. I co pewien czas zęgał się zamaszystym znakiem krzyża.

Kompania wjechała na dziedziniec zamku, gdzie szybko zakrzętnęli się wokół nich słudzy i pajucy. Młody panicz cisnął pacholкови w twarz wodze wierzchowca,

rozejrzał się po dziedzińcu.

–Gdzie starosta?!

Szybko wskazano im drogę do komnat. Weszli po drewnianych schodach wyłożonych krasnymi dywanami, a potem dwaj hajducy rozwarli przed nimi drzwi do głównej sali.

Stadnicki i Zegart czekali na nich przy stole zastawionym srebrnymi dzbanami z winem, kielichami i kubkami. Nie byli sami. Przy drzwiach czuwał tuzin hajduków zbrojnych w rusznice. A po prawicy Diabła stał Przeclaw Dydyński w kolczudze, delii, z dłonią na rękojeści szabli. Za nim zaś tłoczyli się liczni zabijacy wieszający się u rękawa delii lub pobierający lafę od pana starosty. Wszyscy popatrywali z ukosa na młodego przybysza, żaden jednak nie ośmielił się hardo spojrzeć mu w oczy. A już na pewno rzucić wyzwania.

Stadnicki poderwał się zza stołu. Ruszył do nowo przybyłego, rozłożywszy szeroko ramiona.

–Zbawco! – zakrzyknął. – Przyjacielu nasz! Salvatorze! Jakże miło mi cię gościć!

Diabeł chciał obłąpić młodego szlachcica. Ale dla tamtego chcieć nie znaczyło wcale musieć. Dlatego zasłonił się przed starostą – po prostu oparł rozłożoną rękę na piersi łańcuckiego pana. To wystarczyło. Stadnicki zamarł z otwartymi ramionami.

Nowo przybyły wyminął go, poszedł prosto do stołu, zdjął i rzucił na blat rękawice, usiadł niepytany, jak gdyby kpiąc sobie z wszelakich reguł polskiej gościnności i okazując tym samym otwartą i jawną pogardę domowi Stadnickich.

Zegart własnoręcznie podsunął mu puchar pełen małmazji. Nieznajomy wstrzymał go krótkim ruchem głowy. Skinął na pachołka. Jeden z dwóch sodomickich towarzyszy szlachcica, ten z mniej umalowaną gębą, lecz w zamian za to woniejący piżmem i węgierskimi olejkami na pół podolskiej mili, podniósł naczynie w górę, skosztował, przymknął oczy, przeplukał usta, wreszcie skinął głową i oddał puchar swemu panu. Dopiero wówczas młody panicz leniwie pociągnął łyk słodkiego trunku.

–Mości panie starosto – rzekł głosem nieznoszącym sprzeciwu – kto to ma być?!

–Sprawa nie jest prosta – rzekł Stadnicki, któremu wrócił trochę poprzedni rezon.

– Za Hoczwią jest zaścianek... Widzisz waść...

–Kto to jest?

Stadnicki zamilkł na chwilę, na jego obliczu narastał gniew. Ale pohamował się.

–Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki. Prawa ręka niejakiego Gedeona

Dwernickiego.

–Trzy tysiące.

Stadnicki chrząknął. Wymienił z Zegartem znaczące spojrzenia.

–To duży pieniądz, mości panie – rzekł sługa. – Trzy tysiące złotych...

–Czerwonych złotych – poprawił nieznajomy. – Połowa z góry.

Stadnicki zacharczał i poluzował zapięcie żupana. Jego gęba przybrała kolor podobny zgoła do barwy delii podolskiego karmazyna.

Nieznajomy wstał. Zabrał rękawice i ruszył do drzwi.

–Czekaj, waszmość! – wydusił Stadnicki, widząc, że tym razem nie wygra. –

*Divina ope* dogadamy się. Zgoda.

**Nieznajomy skinął głową.**

**–Jest jeden warunek – dodał Stadnicki. – On musi być żywy.**

**–To warte pięćset więcej.**

**–Dam pięćset! – zacharczał Diabeł. – Ale Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki, musi jak najszybciej znaleźć się tutaj. W tej świetlicy, w tych murach. W moich rękach.**

**–To teraz ja mam warunek, mości panie starosto.**

**–Rad go spełnię.**

**–Zanim przystąpię do dzieła, chciałbym spotkać owego Dydyńskiego. Twarzą w twarz.**

**–To da się załatwić. Ale nie będziesz mógł użyć swoich forteli, bo to będzie, rzekłbym, urzędowa wizyta.**

**–Powiedziałem, że chcę go tylko obejrzeć. I może chwilkę pogawędzić – mruknął nieznajomy. – W każdym razie dobiliśmy targu. Jakże miło to słyszeć, mości panie starosto. Mój sługa zgłosi się do podskarbiego waszmości.**

## Rozdział VI

### Amor i demon

Komedia w grodzie sanockim Co się rodzi na polskim ugorze, połknie to morze Purim po szlachecku Krwawy odwet na Sanie Miłosierdzie stolnikowica Judasz z Dwernik Wygnanie Opowieści o tureckiej niewoli Ucieczka z jasyru Zraniona duma niewieścia Rębajło prosto z piekła

–W grodzie pusto – mruknął Jacek nad Jackami, gdy podjechał do Gedeona czekającego na wielkim wronym chmyzie pod bramą do klasztoru Ojców Franciszkanów przy sanockim rynku.

–Sprawdzałeś cerkiew? I podzamcze?

–Nie widziałem ani jednego sabata.

–Myślisz, mości Dydyński, że Diabeł wziąłby tu Węgrów? To tak jakby na bramie napisał: Stadnicki *adsum!*

–Sam napierałeś na tę wyprawę.

–Ostrożność nie zawadzi. Sprzykrzyły ci się Dwerniki, mości panie Dydyński? Wolisz w Piekło łańcuchami pobrzękiwać? Mnie rozkazywać, a tobie słuchać.

–Tedy słucham. Co teraz?

–Skoro nie ma nigdzie zasadzki, to jedziemy na zamek.

Ruszyli wolno, przebijając się przez zatłoczony rynek. Mijali przekupki, chłopów z solą, suszoną wiśnią, kupieckie kolasy, skarbne wozy wyładowane kufami z węgierskim winem, antałami z piwem i gorzałką. A także leżące tu i ówdzie sterty belek, tarcic, kamieni i cegieł, mularzy wiozących na taczkach świeże ciosy, cieśli piłujących deski, okorowujących ogromne bale zwiezione z lasów Bieszczadu. Sanok ciągle odbudowywał się po pożarze, który w zeszłym roku zniszczył prawie pół miasta, docierając niemal do zamku i klasztoru. Ze wszystkich stron Rusi Czerwonej śpieszyli tutaj czeladnicy i mistrzowie, kupcy i faktorzy wiozący kamień, drewno i palcówki.

Deszcz przestał siąpić, kiedy dojechali do drewnianego mostu wiodącego ku zamkowej bramie zwieńczonej dwiema wieżami z cegły. Wrota były otwarte, jak to w zwykły dzień, aby do grodu mogła zjechać szlachta sanocka załatwiać pozwy, obiady i protestacje.

Pachołkowie z milicji starościńskiej czekali na murach i basztach. Wszędzie widniały ciemnoniebieskie świty i bekiesze kozaków starosty sanockiego zbrojnych w rusznice i szable. Zamek obsadzony był wojskiem jak przed najazdem Tatarów, których, nawiasem mówiąc, nie widywano w tych stronach przez ostatnie kilka lat.

Dydyński i Dwernicki wjechali wolno na główny dziedziniec kamiennego, trój skrzydłowego zamku pamiętającego czasy królowej Bony i Mikołaja Wolskiego, który w miejsce ponurych kamiennych blend i sterczyn ozdobił wszystkie budowle gzymsami, attykami, półkolistymi portalami i belkowanymi stropami.

Służba grodzka oczekiwała na nich przed głównym wejściem zdobionym ogromnym kamiennym portalem z fryzem wyobrażającym herby Litwy, Polski i Sforzów.

–Pan starosta oczekuje waszmościów w kancelarii – rzekł stary sługa, biorąc z

**rąk Dydyńskiego wodze konia.**

**–Stadnicki już jest?!**

**–W rzeczy samej. Przybył z jednym czeladnikiem.**

**–To dobrze.**

**–Mości panowie – rzekł pacholek starościński, kiedy zsiadli z koni – wedle ugody, którą przed panem starostą zawrzeć chcecie, mieliście stawić się do sądu grodzkiego samowtór, bez broni. Oddajcie, waszmościowie, pistolety, łuki, rusznice, pałasze, kindżały i co tam jeszcze macie, aby stało się zadość sprawiedliwości.**

**Dydyński bez słowa odpiął szablę z rapci. Gedeon bez wahania oddał swoją batorówkę młodziutkiemu kozaczkowi.**

**–Strzelby waszmościowie nie macie? – spytał podejrzliwie sługa.**

**Gedeon odchylił poły delii. Dydyński pokręcił głową.**

**–Przy koniach zostały.**

**–Tedy pozwólcie na górę, mości panowie. Wskażę drogę.**

**Ruszyli za starym pacholem starościńskim, stukając podkutymi butami na kamiennych płytach podwórca, łomocąc na deskach podłogi, gdy przestąpili kamienny próg. Szybko znaleźli się w przepastnej sieni, skąd pięły się w górę drewniane schody. Balustrady i poręcze były rozchwierutane, ozdobione nacięciami od szabel i czekanów – świadectwem zwad i awantur, jakie odbywały się tu czasem z okazji roczków ziemskich i sądów grodzkich obradujących, jak nakazywał obyczaj, co sześć niedziel. Kamienne ściany nosiły ślady nacięć – w miejscach, gdzie sanoccy awanturnicy i peniacze ostrzyli klingi szabel i pałaszy, aby skuteczniej upuścić znieprawionemu sąsiadowi kilka kropel szlacheckiej posoki.**

**–Wejdźcie na górę, do komnaty, waszmościowie – rzekł sługa. – Tam już na was czekają.**

**Gedeon ruszył pierwszy. Wchodził na stopnie powoli, z namysłem. Ledwie doszedł do połowy schodów, kiedy Dydyński usłyszał zbliżający się łoskot podkutych butów. Ktoś schodził w dół po trzeszczących deskach – pewnie sługa albo palestrant, jakich wielu kręciło się zawsze wokół sądu grodzkiego. Jacek zobaczył młodą twarz nieznanego, błyszczące oczy i czerwony ślad na policzku – jakby po uderzeniu czy ciosie płazem szabli. Palestrant nie silił się, aby zejść z drogi Gedeonowi, niechętnie ustąpił mu miejsca, bezczelnie potrącił szlachcica w ramię, jakby chciał zepchnąć go ze schodów.**

**Dydyński jednak wiedział od razu, że to nie był przypadek. Nic nie uszło jego oczom. Dostrzegł, jak młody szlachetka chyłkiem włożył w dłoń Gedeona rękojeść pistoletu. Przez chwilę w półmroku zaśniła wypucowana do połysku lufa; potem Dwernicki odsunął poły delii i wsunął broń z boku, za pas.**

**Jacek położył mu dłoń na ramieniu w chwili, gdy Gedeon chciał złapać za klamkę.**

**–Stój! – wysyczał. – Co to ma być, do kroćset!? Mieliśmy przyjść bez broni.**

**–Czep się lepiej ogona swego konia, Dydyński – warknął Gedeon.**

**Jacek nad Jackami stanął na drodze między nim a drzwiami do kancelarii grodzkiej.**

**–Czyś ty na głowę z kalenicy zleciał? Chcesz zabić Stadnickiego na oczach**

starosty? Toż to kryminał!

Gedeon porwał Dydyńskiego za ramię, ścisnął je z całych sił. Stolnikowic poczuł się tak, jakby jego rękę ujęto w karby hiszpańskiego trzewiczka. Ale nie jęknął. Sam ułapił za kark Dwernickiego i również ścisnął. Ma się rozumieć, iż bardziej dla fantazji, bo z równym efektem mógłby złapać za łeb największego niedźwiedzia z beskidzkich borów.

–Nie ma innego sposobu – wycharczał Gedeon. – Oto jedyna okazja, aby pozbyć się Diabła raz na zawsze. Ty nie musisz o niczym wiedzieć! Biorę to wszystko na moje barki! To mnie skazą na gardło. O ile w ogóle będzie proces. Stadnicki to infamis. A wywołańca zabić nie grzech!

–Ale nie w grodzie, na oczach starosty! Poza tym Stadnicki dotrzymał słowa. Stawił się bez broni. I my dotrzynamy naszych obietnic!

–Jesteś moim rękodajnym, panie bracie! Odstąp mi z drogi.

–Sługą, a nie rękodajnym – wypalił Dydyński. – Nie naginaj mojej woli, bo kiedy pęknie, rozwałę te schody twym własnym łbem!

–Jeszcze chwila, a będziesz żałował do końca swoich dni!

Gedeon nie bez wysiłku odsunął Jacka na bok, przytrzymał mocniej. Położył dłoń na klamce, a wówczas stolnikowic chwycił go za kiść. I też przytrzymał. Prawie z taką samą siłą.

–Jeszcze chwila, a nas usłyszą! – wydyszał Jacek. – Co wolisz – więzę czy spotkanie ze Stadnickim!?

–Mości panowie! – zakrzyknął z dołu stary sługa. – Do izby na wprost prosiemy! Tam już są wszyscy. Czekają.

Gedeon zamarł. Puścił Dydyńskiego.

–Jeszcze się policzymy.

–Oddaj broń, bo narobię hałasu!

Dwernicki zawahał się. Ale w końcu niechętnie wyciągnął pistolet zza pasa. Przez chwilę Dydyński miał wrażenie, że Gedeon ma ochotę strzelić mu w łeb albo palnąć kolbą. Jednak olbrzym pohamował się.

–Masz!

–To dlatego tak nalegałeś na spotkanie? – mruknął stolnikowic. – Chciałeś zabić Stadnickiego, nie bacząc na konsekwencje?!

Gedeon nic nie powiedział. Dydyński schował pistolet pod delię, pchnął okute drzwi. Wkroczyli do kancelarii.

W dużej izbie o wysokim, belkowanym suficie, zastawionej ławami i stołami, na których piętrzyły się księgi grodzkie, kałamarze pełne inkaustu, pęki piór, gąbki, piaskownice i zwoje czystego papieru, czekało na nich kilku ludzi. Wzrok Dydyńskiego najpierw skierował się na starostę sanockiego, Stanisława Bonifacego Mniszcha, ledwie o rok czy też dwa starszego od pana Jacka. Starosta był zamyślony, zgarbiony – Dydyński widział, że życie na tym pograniczu płynęło mu na ustawicznych zwadach oraz pogoni po sanockich górach za warchołami, swawolnikami i wywołańcami. Ciężkim chlebem była godność starosty grodowego w Ziemi Sanockiej, gdzie bez mała jak na Ukrainie wciąż wybuchały wojny i zatargi

szlachty, dokąd w każdej chwili mogli wpaść Tatarzy, a od węgierskiej granicy groziły napady sabatów, beskidników i tołhajów. Zdawać by się mogło, że na pobrużdżonym czole wcześniej postarzałego starosty każda zmarszczka, blizna czy szrama oznaczała kolejną banicję, rumację, zajazd albo egzekucję starościńską.

Za starostą czuwało pięciu najtęższych hajduków dworskich. Po jego lewej ręce siedział pan Sękowski, podpisek grodzki, z flachą inkaustu i pękiem świeżo przyciętych gęsich piór. A po prawej stał Diabeł Łańcucki we własnej osobie, w husarskim półpancerzu, obojczyku, w karwaszach i naramiennikach wykutych w formie lwich głów. Na ramiona narzucił karmazynową delię, a pancerz przyozdobił wspaniałą rysią skórą. Głowa drapieźnika szczyrzyła na Dydyńskiego kły z wysokości lewego ramienia starosty zygwulskiego.

Za Stadnickim stał szczupły, młody panek w krótkim rajtroku do konnej jazdy, karmazynowej delii i wysokim kołpaku z kitą czaplich piór. Starczyło, że Dydyński spojrział na niego, i zaraz poczuł się tak, jakby właśnie stawił się na pogrzeb. To nieprawda, że ten młody szlachcic miał minę jak kapnik czy grabarz. On po prostu wyglądał, jakby właśnie zaprosił w tany Panią Śmierć. I wyszedł z tego żywy.

Dydyński poznał go, lecz był zaskoczony. Zdziwił się, że Aleksander Sienieński, dla którego ubicie człowieka było niczym odgonienie natrętnej muchy, zgodził się zostać sługą i kumotrem Diabła Łańcuckiego. Znając wybujałą fantazję Sienieńskiego, Dydyński mógłby się spodziewać, że powinno być odwrotnie.

Pokłonili się przed starostą, a potem przed Stadnickim.

–Wielmożni, uprzejmi i wielce mnie mili moi panowie bracia – rzekł Mniszech – czyniąc zadość wymogom prawa pospolitego, zgodziłem się oto pośredniczyć w zawarciu ugodowej intercyzy pomiędzy urodzonym Stanisławem ze Żmigrodu Stadnickim, panem na Łańcucie, Krzemienicy, Czarnej, Głuchowie z Saniną i Białobrzegami, Rakszawie, Żołyń, Stadnikach, Rudej et cetera, a moi panem szlachetnym Gedeonem z Dwernik Dwernickim, co czynię przy świadkach i rękodajnych sługach stron, jako: urodzonym Jacku Dydyńskim tudzież urodzonym Aleksandrze Sienieńskim, biorąc na świadka powagę urzędu grodzkiego. Moim zadaniem jest do ugody doprowadzić, waszym ją zawrzeć z dobrej woli, a ichmość pana Jakuba Sękowskiego, podpiska grodzkiego, intercyzę ową do ksiąg grodzkich oblatować. Poczynajcie tedy, moi panie Stadnicki.

–Wielmożni, uprzejmi i zacni moi panowie bracia – rzekł Diabeł głosem statecznym i słodkim jak toruńskie pierniki – znane wam jest, co rzekł Ezopos mądry, iż zgoda buduje, a złość rujnuje. Tedy ja, Stanisław ze Żmigrodu Stadnicki, porzuciwszy zaszczyty i dostojęstwa, zjeżdżam tutaj z jednym czeladnikiem moim, któremu płacę nie ze starostw, tenut ani żup solnych, ale z mego chudego mieszka ziemiańskiego. Aby jako równy z równymi, wolny z wolnymi, szlachcic ze szlachcicem przyjść do zgody. Oświadczam *tedy primo*: iż żadne z mej strony przeszkody ni pozwy odtąd nie będą już nękać szlachetnych Dwernickich. Pozwu, który przeciwko nim złożyłem, iż sobie uzurpują prawa szlacheckie jako *ignobiles*, zaniechuję, uroczyście ich deprekuję i oświadczam, iż pan Dwernicki jest *verus nobilis ex omnibus antecessoribus suis*, razem z całą familią. Lepiej bowiem nie żyć,

niż szlachcicem nie być. Lepiej szlachcicemnie być, niż wolności odstąpić, lub też ją innym panom braciom niegodziwie wydrzeć. By też do ostatniej koszuli, choćbym potomstwu swemu i szeląga nie ostawił, tym się samym cieszyć będę, gdy zgoda między naszymi rodami zapanuje, prawo i sprawiedliwość na zawsze! Zapadła cisza. Starosta skinął na Gedeona.

–Cóż wy na to, mości panie Dwernicki?

Gedeon postąpił do przodu. Zamrugał jednym okiem i spojrzał na Stadnickiego tak srogim wzrokiem, że gdyby były w nim ukryte sztylety, pan łańcucki wyglądałby jak Cezar po marcowej pogawędce z Brutusem. A najdziwniejsze, że Stadnicki poruszył się niespokojnie, wyglądał na przestraszonego. A jeśli – błysnęła nagła myśl w podgolonym łbie Jacka – a jeśli ci ludzie znali się wcześniej? Czyżby łączyła ich nie tylko rodowa waśń?

Stadnicki spuścił wzrok, jak gdyby już zaspokoił swoją ciekawość odnośnie wyglądu Gedeona. Ale wciąż był niespokojny. Dydyński dałby sobie uciąć głowę, że Diabeł czuł się w obecności Dwernickiego równie dobrze co potępieniec położony na rozgrzanych węglach.

–Względem kaduka – odezwał się w końcu Gedeon – tedy zgadzamy się zawrzeć ugodę. Waśń nie będziesz nas pozwami obrzucał, ciągał do sądów, żądał mundacji, my zaś nie będziemy cię wlec po trybunałach. Wpiszesz nam zaraz deprekację do księgi i po sprawie. Ale kaduk to jedno, a zajazdy na Dwerniki – to druga sprawa. Jak waszmość wynagrodzisz nam straty, zabójstwa i gwałty, których twoi ludzie dokonali w naszej wiosce?!

–Mości panie bracie – rzekł Diabeł – jakże wy śmiecie pozywać mnie o zajazdy? Dlaczego wypominacie rzekome gwałty, gdy ja z dobrej woli rękę do was wyciągam do zgody? Jam nikogo nie zabił ani nie kazał zabijać, kryminalów nie miałem nigdy na sejm ani mnie o więź nikt nie pozywał na trybunał. A dlaczego?! Bo grzecznie żyję, wedle praw boskich i ludzkich! Mnie Diabłem zowią tylko z kurwy synowie, a od takowych zelżon być nie mogę! Ja panów swoich nie zdradzam, zamków murowanych nie mam i sklepów w skałach, gdzie chłopci dukaty kuja, jako psi syn Jazłowiecki w listach pisał! Moje nakowadła do robienia pieniędzy, chwała Bogu, widują ludzie cnotliwi po Wiśle płynące do Gdańska na skutach! Ja pobereźników nie chowam i złodziejskich wydzierków nie żywię ani czeladzi swawolnej! Do wieży szlachciców poczciwych miotać nie każę ani za nimi, opiwszy się, po gospodach z dobytą szablą nie biegam! I dlatego ja was z dobrej woli deprekuję i pozwy wycofam o kaduka, wy zaś mnie ze wszystkich dawnych zaszłości między nami skwitujecie!

Stadnicki mówił to wszystko natchnionym głosem, spuściwszy skromnie oczy. Rzekłbyś, że przemawia jak senator na warszawskim zamku albo niczym stateczny posesjonat upomina się na sejmiku o los utrapionej ojczyzny. A tymczasem po głowie pana Dydyńskiego przemykały wspomnienia ostatnich uczynków Diabła łańcuckiego. A więc krwawe zagarnięcie Wojutycz, zajazdy na Dwerniki, porwanie pana Andrzeja Ligęzy, zajazdy i splądrowanie Chmielnika, Rachwałowej Woli i Błędowej należących do Anny Opalińskiej. Długa i krwawa bitwa w Krzemienicy, gdzie Stadnicki zdobył chorągiew Łukasza Opalińskiego i jeńców, napaście na



kupców, mieszczan i Żydów z Leżajska, pospolite zwady i krwawe grabieże na dzierżawców Opalińskiego.

Teraz nastał czas na replikę Gedeona.

–Nie ma zgody, mospanie! – rzekł Dwernicki głuchym, nieprzyjemnym głosem. – Ja niekształcony w retoryce. Więc powiadam prosto z mostu, że zaprawdę, mości panie Stadnicki, jeśli po zajazdach Dwernik, po próbie uczynienia z nas chłopów, po szesnastu martwych naszych braciach, a trzydziestu poranionych, otrzymasz od nas jakąś kwitację i intercyzę, tedy niechaj mi kutas na dłoni wyrośnie i zakwitnie jak akacja na wiosnę! Moja odpowiedź brzmi: nie. Klnę się na wszystkich świętych, że zapłacisz za nasze krzywdy! Dasz basarunki za każdy zajazd, każdy gwałt i każde podpalenie! Choćbym ci miał łeb ukręcić tymi oto rękoma.

–Hola, mości panie! – wtrącił się starosta. – Nie zapędzaj się za daleko, bo w grodzie jesteś. Bacz, abyś tego, co rzekł, nie musiał potem spod ławy odwoływać – dorzucił mniej pewnym głosem, bo nawet jemu trudno było wyobrazić sobie, kto i w jakich okolicznościach mógłby zmusić tego wielkoluda do wejścia pod ławę i odszczekania obelg psim głosem.

–Ja to wszystko rozumiem – mruknął Diabeł. – Sęk w tym, że nie z mojej woli zajazd na Dwerniki uczyniono. Złożyłem już protestację przeciwko memu porucznikowi Michałowi Achacemu Roźniatowskiemu, który zajechał waszą wioskę. Ja posłałem go ledwie ze stem piechoty...

–Trzema stami – wtrącił Dydyński.

–I jeszcze z półtorej setki konnych tam było – uzupełnił jego patron.

–...do Dwernik, gdzie był szlachetny Gedeon Dwernicki, z tym rozkazaniem, aby żadnego gwałtu nie popełniono i żadnej rzeczy nie brano, ale by pozew doręczono... Gedeon i Dydyński roześmieli się wesoło.

–...wszelako Roźniatowski sam z ludźmi powierzonymi na Dwerniki się rzucił, dwory i chaty szturmował, rzeczy niektóre pobrał i wiele krzywd oraz despektów mnie, panu swemu, uczynił!

–Łżesz, waćpan, jak pies – mruknął Gedeon. – Takie to bajanie jak opowieści, żeś Turków bił pod Agrą. Bo znajdą się jedni, panie Stadnicki – dodał ściszone głosem – którzy gadają, jak żeś wtedy z czaty sromotnie uciekał, małoś hajdawerów na chrustach nie zostawił. Znajdą się też i drudzy, co pamiętają, jak żeś o towarzyszach swoich z wieży w Czufut-Kale zapomniał!

Dziwne, ale Stadnicki zbladł i cofnął się, jakby wspomnienie owej Agry bolało go znacznie bardziej niż otwarta potwarz. Do kroćset, co się za tym kryło?

A niech to wszyscy diabli – pomyślał – kiedy Dwerniccy wyruszyli na tę nieszczęsną wyprawę? Czy aby też nie pod Agrę? Czyżby byli tam razem ze... Stanisławem Stadnickim z Łańcuta?!

–Jak tedy będzie z intercyzą, mości panowie? – zapytał Mniszech. – Dojdziecie do zgody czy nie?

–Jeśli taka jest wola mości Dwernickiego – odezwał się zbolalym głosem Stadnicki – tedy mogę zaniechać kwitacji pod warunkiem, iż ustanowisz, panie starosto, zastaw między nami, iż do czasu zakończenia sprawy w sądzie grodzkim, a da Pan

Bóg i w trybunale lubelskim, panowie Dwerniccy i ichmość pan Dydyński powstrzymają się od wszelakich gwałtów na osobie mojej, mojej rodzinie i czeladzi. I *ad instar Tartarotum* nie będą mych wiosek palić ani zbrojnie zajeżdzać.

To było jakieś *novum*. Rzekłbyś: wyjdzie suchą nogą z bagna. W każdym razie dawało Dwernickim nieco więcej czasu.

–Zgadzą się – rzekł niechętnie Gedeon. – Jeśli waść zaniechasz *ius caducum* i nie będziesz nas prześladował, ślubujemy poniechać dochodzenia naszych pozwów zbrojnie. Ale to nie znaczy, że wycofamy je z grodu i nie będziemy potem włóczyć cię po sądach.

–Włóczcie mnie – rzekł wesoło Stadnicki, jak każdy hultaj obeznany doskonale z procedurami. – I obyście się na sądny dzień wyroków doczekali.

–Zastaw wyznaczam na pięć tysięcy złotych – rzekł starosta. – Która ze stron warunki ugody złamie, tedy musi go wpłacić na rzecz poszkodowanego.

–Zgoda!

–Zgoda.

–Panie pisarzu – rzekł Gedeon – czyn, waszmość, swą powinność. Oblatuj intercyzę, a wcześniej ubierz ją w jakie mądre słowa. Ja zaraz poświadczę ją podpisem.

Pióro zaskrzypiało w księdze. Stadnicki i Gedeon ustalali wolno treść dokumentu, pan Sękowski wtrącał co pewien czas swoje trzy grosze; czasem zaprotestował starosta, znacznie częściej zaś Diabeł Łańcucki.

–Mości panie Dydyński...

Aleksander Sienieński był tuż przy nim. Zawsze przemykał szybko i cicho, niczym dziki zdeb podkradający się do ofiary. I równie okrutnie mordował. Bo nigdy nie cieszyło go zabijanie szybkie, lekkie i litościwe...

–Witam waszmości. I dziwuję się.

–Czemu waszmość pan się dziwisz?

–Temu, że Sienieński Diabłu służy, a nie na odwrót.

–Skoro ostatnio, jak powiadają, stolnikowice sanoccy czapkują chodaczkowym szlachetkom, tedy nie powinno zadziwiać cię nic. Lepiej wszak być sługą Stadnickich niżli pachółkiem u Dwernickich.

–Nie służę za pieniądze.

–Zatem za miskę stawy?

–To moi przyjaciele, mospanie. Od śmierci mnie uchronili. Spłacam dług wdzięczności.

–Wzruszające – chlipnął udawanie Sienieński – podaj tę historię ojcu Skardze i Birkowskiemu do kazań, bo pomiędzy *sarmatiae bellatores* już tylko ciebie jeszcze im brakuje.

–Bądź pewien, że tak uczynię. Gdy tylko usłyszę od ciebie, jaką cenę wyznaczył waszmości Stadnicki za moją głowę?

–Nic.

–Nic, bo jej nie chce, czy nic nie daje, bo skąpy?

–A nie myślisz, panie bracie, że może po prostu twoja głowa nic nie jest warta?

–Po tym, co się stało w Dwernikach, idę o zakład, że Stadnicki chętnie by ją na wety nosił.

–Bezwzględny z waści człek!

–Gdybym nie był bezwzględny, już dawno bym nie żył. Lecz gdybym nie potrafił być miłosierny, nie zasługiwałbym na to, aby żyć.

–I dlatego nie trzeba mi waszmościnej głowy.

–Zatem czemu zawdzięczam to spotkanie?

–Ciekawość, waszmość panie, pierwszy stopień do piekła. A ten krzyżyk przy rapciach to od kogóż? Od panny?

Dydyński pomacał się z boku. Do diaska, odkładając szablę, zapomniał odczepić od sznura mały krzyżyk z prochem z grobu świętego Jana z Dukli, który dostał od panny Dwernickiej.

–Ciekawość, mości Sienieński... Nie chcę cię do piekła sprowadzać. A jeśli nawet od panny, to co wtedy?

–Wtedy już rozumiem, czemu służysz Dwernickim. Dziewka. Urodziwa, gładka, choć niebogata. Taaaaak. Wszystko jasne. Dziękuję waszmości.

–Za co mi dziękujesz?

–Chciałem posmakować, jak pachnie twój strach, waszmość panie Dydyński.

Stolnikowic milczał. Nie wiedział, jak ma traktować te słowa. Sienieński nie był zwykłym rębajłą, a już na pewno człowiekiem pokroju Stadnickiego. Dydyński znał historie, jakie od kilku lat krążyły o tym szlachcicu. Powiadano, że jako dziecko dostał się w ręce Tatarów pod Baworowem, a choć został odbity, pohański czarownik odmienił mu duszę. Może i była to prawda, bo dla Sienieńskiego niczym było strzelić człowiekowi w łeb jak psu, a zaraz potem opowiadać śmieszne krotochwile, czy rozszczepić chłopca czekanem, bo... zasłonił mu słońce, choć tego dnia od rana siąpiło. Powiadano o nim, że strzelał do Żydów z gwintówki. A gdy kiedyś kazał zabić Andrzeja Rusieckiego w gospodzie w Pomorzanach, zaś ów po pierwszym strzale żył jeszcze i błagał o litość, Sienieński nabił pistolet na nowo, wręczył pachotkowi i kazał ponownie mierzyć w głowę lub w piersi. Innym zaś razem, kiedy stary sługa Strusiów nie dawał mu konia ze stajni, własnoręcznie odrąbał starcowi prawą rękę. O co jednak chodziło mu teraz? Dydyński nie był w stanie tego odgadnąć, bo natura pana Sienieńskiego była równie zawiła co horoskopy postawione przez pijanego astrologa, które w dodatku przez miesiąc leżały w norze pełnej wygłodzonych szczurów.

Szybko złożyli podpisy pod oblatowaną intercyzą wpisaną przez podpiska Sękowskiego do *liber decretorum* Ziemi Sanockiej. A potem rozstali się z Diabłem i jego inkluzem bez zbędnych słów, czułych pożegnań czy picia strzemienego.

–Idź, waszmość, do koni – mruknął Gedeon do stolnikowica, gdy za Stadnickim zamknęły się drzwi. – Ja przejrzę jeszcze nasze protestacje i zaraz przychodzę.

\* \* \*

Kiedy dotarli do przeprawy promowej pod Sobieniem, deszcz przestał padać, a zachodzące słońce przedarło się przez ciężkie, ołowiane chmury. Chociaż był dopiero pierwszy poniedziałek po Wszystkich Świętych, czyli piąty *novembris*, na

rzece i traktach panował ruch. Dotarli bowiem do skrzyżowania szlaków, z których jeden, ze Lwowa wychodzący, przechodząc przez Lisko i odgałęziając się w Zagórze na Węgry, zmierzał prosto jak strzeł na Sanok, Krosno, Pilzno i Tarnów, a drugi, wodny – zmierzał z biegiem Sanu do Wisły, a potem ku Sandomierzowi, Warszawie, Toruniowi i Gdańskowi. Tędy szły szerokim strumieniem dobra, bogactwa i towary. Z jednej strony pędzono na zachód nieprzebrane stada czerwonego i włochoatego bydła z Rusi, Podola i Ukrainy, z jarmarków w Trembowli, Kołomyi, Przemyślu i Jaworowie. W drugą jechały wozy wyładowane winem, srebrem, bronią, materiałami, jedwabiami, sukniem, płótnem i konopiami. Na północ zaś płynęły daniny lasów oraz pół Ziemi Sanockiej i Przemyskiej. Po miesiącach suszy spadły deszcze i poziom wód podniósł się znacznie, więc rzeka na całej swej szerokości usiana była ciężkimi, ozdobionymi białymi żaglami skutami, płaskodennymi komięgami i dubasami z szerokim, nisko wzniesionym dziobem, wokół których uwijały się mniejsze byki, lichtany, kozy i płty, a środkiem nurtu ciągnęły ciężkie tratwy z dębowych i świerkowych pni. Niektóre statki cumowały przy drewnianych pomostach na lewym brzegu Sanu albo powiązane linami, ze zwiniętymi żaglami i podniesionymi pojazdami oczekiwały na załogi. Na skutach i komięgach wieziono w dół rzeki żyto, pszenicę, jęczmień i proso. Na tratwach zalegały wielkie bale, całe lasy porąbane na klepki, falby i wanczosi, buk do huty, sośnina na smołę oraz dąb na budowę okrętów w Gdańsku i za morzem. Inne znów statki wyładowane były aż po chorągiewki na dachu skarbówek beczkami ze smołą, potażem i ługiem. Z biegiem wody wieziono na handel wielkie solne bałwany z kopalń i zwykłą sól z solanek pakowaną w pękate dębowe beczki. Dalej szła saletra i siarka, skóry, wosk i gorzałka, a na mniejszych łodziach i promach piętrzyły się antałki piwa jezuickiego, żółkiewskiego i grodzkiego, beczki z lipcem, kufy z małmazją, wołoskim i greckim winem. Nade wszystko zaś z wybornym węgrzynem, który – *Hungariae natum et Poloniae educatum* – przyczyniał się co roku do szybkiego opróżniania mieszkań szlachty z Małej Polski i Rusi Czerwonej. Obok niego szły dubasami, bykami i lichtanami pękate faski masła, kapusta, groch i buraki, bele płótna, miód oraz rzepa ekspediowane aż do Sandomierza i Kazimierza.

Wszystkie trakty do przystani zapchane były bydłem, końmi, wozami, kolasami i wielbłądami, nade wszystko zaś kolorowym i gwarnym tłumem ludzkim. Na nadrzecznych łęgach obozowali pod namiotami i szałasami flisacy zwani orylami, warzący w kotłach jagły i krupy. Frochtarze, szyprowie i rotmani śpieszyli, aby spławić w dół rzeki – do Wisły i Gdańska – towary, które z powodu zbyt niskiego stanu wód zalegały w Sanoku i innych miastach Rusi Czerwonej, jeszcze zanim pierwsze mrozy skują jeziora i rzeki. Deszcze padały od tygodnia, i to tak rzęsiście, że myślałby kto, iż święci zanieśli się łzami albo iż aniołowie szczają po wareckim piwie, które jakiś zacny samarytanin dostarczył im do nieba.

Długo trwało, zanim Gedeon i stolnikowic dopchali się wreszcie do promu. Na polskiego byka zapakowali się razem z końmi, a także tłumem chłopów i czeladzi. Zaraz za nimi wbiegła jeszcze gromada Żydów w żupanach, giermakach, chałatach i lisiurach naśladujących bezwstydnie szlacheckie kołpaki. Starozakonni nosili się godnie, całkiem jak panowie bracia, tyle że przy wjeździe ustąpili miejsca szlachcie.

Stolnikowic spoglądał na tę rzeszę ludzką, chłonał gwar, przekleństwa, rżenie koni, ryk bydła, a także pieśni śpiewane przez flisaków, luzaków, pachotków i czabanów. Te u Rusinów, Hyrniaków albo Koroliwców były tęskne, smętne i melancholijne.

Woły moje sełenykie

Woły moje woły

Kto was bude zawertaty

Z wysokoji hory.

Polacy zaś z właściwą dla tego narodu fantazją śpiewali tylko pieśni zawadiackie, wojenne, nade wszystko zaś pijackie:

Jestem sobie panem

Gdy siedzę nad dzbanem

Nie dbam ja o złoto, przepiję z ochota

Oto ja pan, pan

Oto ja pan, pan!

–ryczeli na cały głos flisacy z przepływającej nieopodal szkuty.

–Patrzaj no, Korson – rzekł jeden stary oryl do drugiego, palącego fajkę na promie – ile to narodu tu ściąga. Istny jarmark.

–A co się dziwujesz? Dyć taka Polska ogromna! Jedziesz za Kraków, pedają, że tu Polska. Jedziesz dalej, na Wołonie do Telatyna, pedają, że to Polska. Jedziesz za Boh, także Polska. Tyleśwa do Warszawy płynęli, też Polska, tu już dale płyniemy, na Gdańsko, na Wilno, na Dyneburk – pedają, że jeszcze nie koniec.

–Bydzie ona ci długo duża – mruknął pierwszy, jakby czytywał dzieła księdza Kromera i Modrzewskiego albo narodził się pierwszym w historii Korony chłopskim dziejopisem. – Dopokąd psiekrwie panowie za durniczkę nas nie zaprzedadzą, jako pod Sendomirzem próbowali, za rokосу pana wojewody krakowskiego. Dziś uny harde, ale skapsonieją kiedyś i będą dziadować nie lada i my jako dziady będą się tulać za chlebaskiem. Dyć gdyby to król rządził, a nie panięta, toćby musiało być duśnie wszystko unacy.

–Te, Długosz! – krzyknął szyper. – Chybajcie do pojazdów! Łapcie za drygawki, bo nas prąd zniesie na szkuty!

Prom odbił już od drewnianego pomostu, ruszył wolno w poprzek Sanu. Przeprawa nie była łatwa. Z biegiem rzeki płynęły z Liska i Hoczwi ogromne szkuty, ciężkie tratwy i dubasy wyładowane towarami. Widząc prom podążający w poprzek nurtu, musiały sprawnie manewrować, wstrzymywać się, a flisacy odpychali statek bosakami i żerdziami. Klęli przy tym na wszystkich świętych, diabła i Belzebuba, grozili sobie, krzyczeli, chlapali wodą i wygrażali pięściami. Tymczasem stolnikowic przysłuchiwał się gadaniu Żydów.

–A wedle lcka Dydynia co uczynicie, rebe? – zapytał starozakonny, patrząc po stroju, pachciarz albo faktor z Sanoka lub Doliny. – Bo wiecie, rebe, że on nie żyje jak pobożny Żyd. On nie robi, co trzeba, a przedwczoraj – ściszył głos i pochylił się do ucha rabina – nawet świecy szabasowej nie zapalił w oknie.

Pozostali przewrócili oczyma.

–Ja nie wiedzieć, co powiedzieć – ozwał się drugi. – Ja jestem prosty Żyd. Ale Icek Dydyń kompromituje naszą gminę. Bo kiedy on wziął w arendę młyny i wioskę od pana Tarnawskiego, to on się już nie pisze Icek, ale pan Icek. To może nawet on już nie Żyd?! Może on sobie Nałęcz szlachecką na chałacie naszyje?

–Aj waj! – westchnął drugi z Żydów. – Aj waj!

–On nie przestrzega żadnej micwy – zagadał z drugiej strony stary Żyd w tałesie i jarmułce, po czym potrząsnął paluchem tuż przed nosem kompana. – I z gojami w karczmie w szabas pije. I to jeszcze powiem, że przez niego zbawiciel do nas nie przyjdzie!

–Poczekajcie, poczekajcie – uciszył ich szybko ten, który wyglądał na rabina. – Powołał mnie pan, cobym stał na straży tego Domu Bożego. Tak i pójdę do Icka i pomówię z nim. A jeśli Bóg mi będzie sprzyjał, nawrócę go na drogę prawdy i cnoty. Wy zaś módlcie się, abym przyniósł wam dobrą nowinę.

Prom zbliżył się już do drugiego brzegu. Zarośla, wierzby i lipy pod Sobieniem rosły w oczach, a wraz z nimi długie szeregi czekających na załadunek statków. Flisacy poczęli kłąć i przerzucać się wyzwiskami – z lewej strony, od północy, mijali właśnie dwie niskie, przysadziste szkuty uwiązane do drewnianych bali wbitych w dno rzeki, aby nie porwał ich prąd. Tymczasem z prawej, od południa, wyrósł nagle ciężki dubas załadowany beczkami z potażem. Szybki nurt wezbranej rzeki spychał go wprost na prom. Oryle zaczęli krzyczeć, miotać się przy drygawkach i pojazdach. Ci z dubasa chwycili za bosaki i żerdzie. Zrazu zdawało się, że po to, aby odepchnąć statki od siebie. Zamiast jednak wspierać się o drzewca, zaczepili bosakami o burtę promu i ściągnęli go na siebie.

–Stać, fajfusy! – zawył szyper. – Ostawcie byka, chwieje czyszczone!

Było już za późno. Stateczki zderzyły się z głuchym łoskotem, prom zadygotał, zatrzęsł się, zanurzył głębiej z jednej strony. Konie przywiązane do barierek zakwiczały, poczęły wierzgać, rzeć. Niektórzy chłopci zwalili się z nóg, na deski poleciały antałki z piwem załadowane na tamtym brzegu Sanu, poturlały się po pokładzie, zbijając z nóg pasażerów. Wezbrany San przycisnął prom do skut, uwięził z trzaskiem między dubasem a dwoma większymi statkami. Byk zatrzęsł się, zadygotał i stanął.

Huknęły dwa wystrzały. Chłopi i flisacy rzucili się na pokład, szukając schronienia między beczkami i workami z owsem. Nie poruszyli się tylko Żydzi i obaj szlachcice.

Z budy i szałasu wzniesionego na dziobie dubasa, spoza beczek i worków na pokładach skut wypadli sabaci. Pędzili jak burza prosto na pokład promu, przeskakiwali nad burtami statków, wpadali między konie, ludzi, kryli się za barierkami. Wszystkie lufy napastników skierowały się w stronę Jacka i Gedeona!

–Złóżcie broń, waszmościowie! – zakrzyknął znajomy głos. – Dwa tuziny rusznic w was mierzy. Będziecie kłopoty sprawiać, to na pokarm dla ryb pójdziecie! Nie tykaj szabli, bracie!

Zza stosu beczek wyskoczył młody, gładki szlachcic w krótkim żupanie do konnej jazdy, w zielonkawej bekieszy i przekrzywionym zawadiacko kołpaku. Wargi stolnikowica ściągnęły się, odsłaniając zęby. To był Przeclaw. Brat. Zdrajca! W tej

jednej chwili Jacek nad Jackami pożałował, że nie pozwolił Gedeonowi strzelić do Stadnickiego w grodzie. Gdyby teraz mógł cofnąć się do tamtej chwili, z przyjemnością wypaliłby Diabłu prosto między oczy.

–Powiadali, że nikt jeszcze na ziemi nie skonfundował Dydyńskiego! – zakrzyknął Przecław. – Tedy sobie pomyślałem, że cię dopadnę na wodzie, drogi bracie! Daliście się złapać jak bojko na arkan! Oddawać szable! Szatmar, bierz ich w dyby!

Sabaci z dubasa skoczyli w stronę Dydyńskiego i Gedeona. Nie mieli daleko, jednak na ich drodze byli Żydzi. Starozakonni jak zwykle wykazali się godnym podziwu uporem. Zamiast paść na pokład i jak chłopci szukać schronienia pomiędzy workami, beczkami oraz wiklinowymi koszami, stali nieruchomo, wybałuszając oczy na sabatów.

–Precz, parchy! – rozdarł się Szatmar. – Na ziemię, łaski prosić, judasze, zabójcy Chrystusowi!

Szybko zdzielił w łeb płazem szabli najbliższego z Żydów, roztrącił jego braci, rozdzielając szcudrze kopniaki i przekleństwa tak, by starczyło ich na każdą żydowską głowę. Sabaci skoczyli za nim.

A potem stała się rzecz wręcz niewiarygodna. Uderzony Żyd skulił się, rozerwał zapięcie kitla, który nosił na giermaku, wy dobył stamtąd pistolet i strzelił – prosto w łeb sabata! Huk wystrzału poraził wszystkich jak uderzenie gromu. Szatmar zwałił się bez słowa, rozłożywszy szeroko ręce, gdy ołowiana kula odwaliła pół skroni z łukiem brwiowym od reszty jego czerepu.

W rękach Żydów zabłyśły ciężkie półhaki, garłacze i bandolety! Wypalili na obie strony – zmiatając resztę Szatmarowych sabatów, posyłając na deski Węgrów mierzących do nich z pokładów skut. Na chwilę dym spowił cały prom, tak iż nie było widać nic na odległość wyciągniętej ręki. W sinych prochowych kłębach rozległy się krzyki przerażenia, jęki rannych, rżenie i łoskot kopyt spłoszonych koni, piski niewiast, wrzaski chłopów, przekleństwa flisaków. A potem z sinej chmury wypadli Żydzi z szablami w rękach i zanimbyś zdążył skrzesać ognia, aby zapalić szabasową świecę, rzucili się na sabatów Stadnickiego.

Nikt nie stawiał im oporu; zaskoczenie było tak wielkie, że część Węgrów skoczyła do wezbranej rzeki, szukając ocalenia w ucieczce. Gdyby na promie przebywali zbrojni hajdacy, czeladź, a nawet straszna piechota niemiecka z wojsk koronnych – sabaci biliby się do ostatniej kropli krwi. Lecz nikt nie przypuszczał, że z taką furją spadną na nich Żydzi, których sabaci na co dzień obłupiali w Łańcucie, Przeworsku i Lisku, nie spodziewając się w zamian za to żadnej kary ani oporu. A jeśli ludzie Stadnickiego myśleli nawet, że wszystko to jakaś zabawa, żydowski purim, to srodze się zawiedli, bo wnet spod kapeluszy, jarmulek i lisiur wyjrzały znajome oblicza Dydyńskich i Dwernickich.

Pierwszy skoczył na przerażonych pacholców Diabła Zygmunt Dydyński, podkasawszy poły chałata, odkrywając płytkie trzewiki i pończochy. Z rozmachem zbił na bok ostrze szabli, chlasnął przeciwnika na odlew, rozwalając łeb, rozrąbał bark drugiego, podciął trzeciego. Tuż za nim wpadł Mikołaj w kapocie rabina, tnąc przeciwników na odlew, siekąc głowy i czaszki, porywając sabatów w tany niczym

trąba powietrzna. Za nim szli pozostali Dydyńscy, Kołodrub i Pełczak. A z drugiej strony wpadli na wyładowane skutny Samuel z resztą Dwernickich i chłopami z zaścianka.

Skrwawieni i postrzelani sabaci rozpierzchli się w mgnieniu oka, pozostawiając trupy, rannych i umierających kompanów. Stolnikowice wsiedli im na karki, poczęli gonić po pokładach dubasa, po promie i skutach...

Pomysł z żydowską maskaradą wpadł do głowy pana Jacka już po wyruszeniu z Dwernik, gdzie został Berynda z resztą czeladzi i częścią Dwernickich, aby doglądać zaścianka. Lecz teraz nie było czasu na zachwyty nad szatańską przebiegłością tego planu. Dydyński skoczył z szablą w rękę w stronę oniemiałego Przeclawa, który nagle znalazł się sam pośród tłumu wrogów i pierzchających służalców Diabła Łańcuckiego.

Zdrajca nie spiekł raka na widok szarżującego brata. Stawił mu czoła z rozpaczą, cofając się po pokładzie promu. Stolnikowic jak piorun ciął młodszego brata na odlew, wrąb i wlic, z zamachu. Przeclaw zastawił się szablą przed dwoma pierwszymi ciosami, złożył desperacko pierwszą zasłonę... Spóźnił się, dostał w policzek; a potem skoczył w bok, omal nie wypuszczając broni.

–Stawaj! – ryknął Jacek. – Bij się ze mną, tchórze!

Przeclaw rozejrzał się zaszczutym wzrokiem. Był sam, otoczony przez wrogów – zza beczek, znad ciał porąbanych sabatów pędzili już ku niemu Samuel i Pełczak, za nimi zaś Połonina i Rados ze srogimi minami. Widząc, że zginie, o ile nie uczyni czegoś desperackiego, runął w bok i jednym susem wskoczył na barierkę na burcie promu.

Udało mu się! Uszedł spod szabel w ostatniej chwili, dostał tylko po ramieniu. A potem przemknął po belce tam, gdzie stał wrony wierzchowiec Gedeona, spieniony, przerażony, szarpiący wędzidłem. Przeclaw nie miał czasu na rozplątywanie wodzy – jednym cięciem przerąbał je tuż przed pyskiem konia, a potem skoczył prosto na kulbakę.

Wierzchowiec zarżał, załomotał kopytami o deski pokładu, cofnął się, uderzając zadem w baryłki i beczki, tratując chłopów kryjących się za nadburciami i czekających na zakończenie zwady, zakwiczał, stanął dęba. A wówczas Przeclaw chwycił wodze, ścisnął rumaka kolanami, opanował go i w jednej chwili popędził prosto na Jacka i Samuela.

Umknęli spod kopyt niemal w ostatniej chwili. Dydyński popchnął Dwernickiego pod barierki, a sam padł plackiem na deski i przeturlał się za nadburcie promu. Rozszalałe zwierzę przeskoczyło tuż obok, kopyta uderzyły o dłoń od głowy szlachcica. A potem Przeclaw zmusił rumaka do skoku nad barierką. Koń zarżał, przesadził ją jednym susem, wpadł na pokład największej ze skut, roztrącając Dwernickich i sabatów, pomknął skokiem w stronę rufy statku.

Zanim tam dotarł, Jacek porwał za strzemień swego wierzchowca, podciągnął się, chwycił wodze, jednym skokiem usadowił się w kulbace i runął na przerażonym, rozszalałym koniu w pościg za Przeclawem.

W normalnych warunkach pogoń szybko skończyłaby się na dnie Sanu. Jednak



**plaskodenne szkuty, tratwy, komięgi i dubasy stały tak blisko siebie, że można było zmusić konia do skoku z jednego statku na drugi. Rumak Przeclawa dopadł jak wicher niewysokiej burty szkuty, a szlachcic z całych sił ponaglił go do dalszej gonitwy. Koń zachrapał zatrwożony, wyciągnął szyję, przesadził przeszkodę jednym długim susem, a potem, rżąc z przerażenia, wpadł na pokład długiej tratwy wyładowanej balami drzewa, roztrącił baryłki, niecki i pomknął wzdłuż lewej krawędzi statku.**

**Jacek Dydyński aż przymknął oczy, bo jego koń rwał tak szybko, że wszystko dokoła tylko migotało mu w oczach. Roztrącił wrzeszczących, przerażonych flisaków, dopadł do niskiej burty, spał się do skoku i...**

**...wylądował z piekielnym łoskotem na tratwie. Stolnikowic pognał za Przeclawem, coraz bardziej następując mu na pięty. Spłoszony rumak jego brata rwał po drewnianych balach, deskach i pomostach, jakby nagle dostał skrzydeł. Po drodze stratował dwa szałas, rozwalił skrzynki i drewniane skojce na pokładzie, strącił suszące się na palikach sieci. Łoskot podkutych kopyt zdawał się rozsadzać głowę Jacka, serce tłukło się opętańczo w jego piersi. Flisacy i luzacy zorientowali się już, co się święci, zewsząd ścigały ich krzyki, przekleństwa, wymyślania. Jednak oba konie przeskakiwały z tratwy na tratwę, ze szkuty na dubasa i z dubasa na komięgę tak szybko, że nikt nie pomyślał nawet, aby rzucić się w pogoń czy zagrozić im drogę.**

**Przeclaw pochylił się w lęku, prawie przygiął do końskiego karku. Wiedział, że jego złowieszczy brat jest coraz bliżej, więc kiedy galopował pokładem szkuty zastawionej workami pełnymi dorodnej pszenicy, ciął w przelocie podtrzymującą żagiel linę. Konopny powróż świsnął, a potem z łoskotem poleciała w dół główna reja masztu, ciągnąc za sobą zwój żaglowego płótna.**

**–Jezu... – zdążył tylko krzyknąć Dydyński.**

**Jego koń po raz kolejny okazał się wart swojej ceny. Nie mając miejsca, by się zatrzymać, nie mogąc przeskoczyć nad reją tarasującą przejście, rzucił się w bok, dał wielkiego susa i szybko jak błyskawica wpadł na pokład przepływającej obok tratwy. Flisacy gotowali się właśnie do opuszczania śryków i zatrzymania statku, gdy nagle doszedł ich łomot końskich kopyt, a tuż nad sobą ujrzeli spieniony, rozarty szeroko pysk husarskiego wierzchowca.**

**–...Chryste! – dokończył przerażony. – Nieeeee!**

**Nawet tak znakomity jeździec jak on nie zdołałby powstrzymać konia przed stratowaniem ludzi podkowami. Choć szarpnął za wodze, rozszalały rumak nie posłuchał. Flisacy uratowali się niemal w ostatniej chwili. Zanim obaliła ich smukła pierś rumaka, po prostu skoczyli z pluskiem w wodę, tak szybko jak żaby umykające do stawu na dźwięk łopotu skrzydeł bociana. Jeździec wrzasnął. Znaleźli się na przedzie tratwy dokładnie w tej samej chwili, kiedy wartki nurt przysunął ją do burty niskiej, wyładowanej solą komięgi!**

**Jacek nad Jackami dał znów koniowi ostrogi. W ostatniej chwili spał go do skoku, modląc się do świętego Jana i Najświętszej Maryi Panny. Fortuna raz jeszcze uśmiechnęła się do niego! Przerażony, zagubiony koń wpadł na sam środek statku,**

roztrącił solówki i bałwany, rozwalił beczki, z których wysypała się drogocenna sól, zdruzgotał je podkowami, wdeptał białe kryształy w brudne deski pokładu, a potem, kwicząc ze strachu, pomknął jak szalony za umykającym Przeclawem.

Dwóch flisów skoczyło ku Dydyńskiemu. Pierwszy uderzył bosakiem nisko, płasko, chcąc podciąć koniowi nogi. Wierzchowiec zarżał, skoczył, odbił się od ziemi zwinnie jak tancerka... i przeszedł, opadł po drugiej stronie zakrzywionego haka. Drugi z orylów zamierzył się szerokim drewnianym pojazdem na jeźdźca, lecz nim dosięgnął szlachcica, Dydyński zniknął pod kulbaką tatarskim sposobem i w ostatniej chwili umknął przed ciężkim drewnianym drągiem.

Przeclaw wrzasnął z przerażenia, widząc, że jego wysiłki zdały się na nic. Nie mógł zeskoczyć na ląd, bo szkuty i łodzie stały zbyt daleko od brzegu; nie był w stanie skierować rozpędzonego wierzchowca na któryś z pomostów, bo były zbyt wąskie i wąskie. Lecz statki i tratwy kończyły się już zaraz, za chwilę... A dalej rozpościerały się spienione wody Sanu...

Koń Przeclawa przeskoczył na ostatnią komięgę. Stał dęba, gdy dopadł do jej krańca, zarżał tak przeraźliwie, że aż echo odezwało się nad rzeką. A potem zrzucił jeźdźca, uderzył kopytami w pokład, rozwalił stos baryłek i wreszcie poniósł, skoczył w nurt, później wynurzył się i począł płynąć ku brzegowi.

Szlachcic zerwał się na nogi potłuczony. Doskoczył do lin trzymających statek na uwięzi i ciął dwa razy szablą, przecinając je ze świstem.

Grube konopne sznury puściły od razu. Komięga porwana bystrym nurtem Sanu poczęła oddalać się od pozostałych szkut. Pas wody dzielący ją od sąsiedniego statku coraz bardziej się powiększał...

Dydyński pochylił się wprost do ucha swego wierzchowca, wtulił głowę w rozwianą grzywę.

–Leć, Białonóżek! – wyszeptał. – Leć ile sił!

Koń pomknął jak spłoszony ptak, przesadził zwój liny, dwie baryłki, w najwyższym pędzie dopadł dziobu ciężkiej szkuty...

Przez chwilę Jackowi zdało się, że się nie uda... Że wraz z rumakiem pograży się w odmętach spienionej rzeki, pozostawiając Bogu honor rodu Dydyńskich.

A jednak stało się!

Ostatkiem sił koń wylądował wszystkimi kopytami na wolnym skrawku pokładu, zarżał, zakwiczął przeraźliwie, wyhamował wśród porozwalanych baryłek z potażem. Jeździec z trudem osadził go w miejscu, ściągając wodze z największym wysiłkiem, rozkrwawiając Białonóżkowi pysk twardym munsztukiem, aż ten zarżał boleśnie. Stolnikowicz przerzucił wodze przez dach budy, z której sterczał grot małej chorągiewki, a potem skoczył z szablą w rękę prosto na Przeclawa.

Starli się z brzękiem ostrzy na deskach mokrych od wody i potażu.

–Dalej, bracie! – ryknął zdrajca, zastawiając się przed szablą Jacka, młóćąc klingą w powietrzu. – Zabij mnie! Zawsze byłeś górą!

Dydyński odbił ostrze, uniknął cięcia w pierś desperackim zwodem, zmacał brata przeciwtempem.

–Zawsze to tobie się kłaniali – zawył Przeclaw. – A ja co? Stul gębę, służ i zagryzaj

wargi. Całuj po rękach, które Jackowi do uścisku podawano! Zbieraj za niego cięgi!  
Bili się jak dwa diabły! Cięcie wrąb, zastawa, zbiecie, odpowiedź, błysk szabli  
wzerek, podlew, referendarskie...

–I pilnuj brata w łaźni! – zakrzyczał Przeclaw. – W zamtuzie, u dziewczki... Noś za  
nim szablę, bo tyś gorszy!

Silny prąd porwał tratwę na sam środek rzeki. Obrócił dokoła własnej osi.  
Białonózek stanął dęba, szarpnął wodzami, zarżał przestraszony.

–Strzeliłeś mi w plecy, psi synu! – ryknął Jacek, tnąc brata nyzkiem w żywot.  
Przeclaw zbił ostrze, w ostatniej chwili przyjął je na zastawę, chlasnął brata włęg, z  
całej siły, z piruetu, rąbnął wbrew, potem leciutko w kiść, z nadgarstka...

–Boś ty buntownik! – krzyknął. – Pana zdradziłeś!

–Diabła, nie pana! Czarta Łańcuckiego!

Ścięli się z furją, aż iskry poszły z ostrzy i zastawy. Walczyli zdyszani, wściekli, na  
chybocącej tratwie, tuż obok wierzgającego, spłoszonego konia.

–Złamałeś słowo!

–Brata postrzeliłeś!

–Który mnie gorzej jak psa traktował!

A potem Jacek ciął z góry, szybko niczym bies zatoczył dłonią małe kóleczo w  
lewo, właśnie wtedy, gdy przeciwnik złożył się do górnej zastawy... I wyprowadził  
zwód do cięcia włęg!

Przeclaw zastawił się... Za późno, za płytko!

Jacek uderzył z taką siłą, że ostrze szabli brata pękło na pół, zafurkotało w  
powietrzu, wbiło się w ścianę szopy rotmana, zadygotało. Zdrajca dostał w bok,  
niezdarnie zastawił się samą rękonością; Dydyński ciął go w łeb, posłał na kolana  
skrwawionego jak byczka, a potem puścił szablę, chwycił młodszego brata za szyję,  
obalił na zakrwawione deski, na plecy, przydusił kolanem.

Wyrwał kindżał z za pasa, wzniosł go w górę!

–Nie zabijaj! – jęknął ranny. – Litości!

–Módl się!

–Jest zdrajca! – ryknął rozpaczliwie Przeclaw. – W Dwernikach! Ja powiem...

Daruj! – zacharczał, splunął krwią.

Dydyński zamarł ze wzniesionym kindżalem. Zadygotał, gdy usłyszał te słowa.

–Co? Co takiego powiedziałaś?!

–Zdradzono was – jęknął pokonany. – On... doniósł wszystko Stadnickiemu...

Wiedział, że będzie was więcej... Że pojedziecie na Ustrzyki... Nie powiedział tylko...

– Przeclaw, choć zalany krwią, uśmiechnął się słabo – że się za Żydów  
przebierzecie... Myślałem, że się rozdzieliliście. Dlatego tak gładko wam poszło...

–Daruję cię zdrowiem – warknął Jacek. – Ale chcę wiedzieć, kto to jest.

–Bieniasz... Bieniasz Dwernicki, znaczy się... Berynda!

Dydyński wypuścił z rąk kindżał. Złapał się za podgolony łeb. To... To było aż  
śmieszne, całkiem jak u Plauta albo w Terencjuszowej komedii. Berynda zdradził? Ale  
po co? Dlaczego?! Cóż takiego mógł obiecać mu Stadnicki?

Rzeka niosła ich dalej i dalej... Na Sanok, na Hulucz... Ku rodzinnej Niewistce

Dydyńskich.

To nie mogła być prawda!

Ale Berynda znał ich plan w tej części, która udała się Stadnickiemu. Wiedział, którędy pojedą i jaką drogą będą wracać. Był na naradzie, na której postanowili, że wbrew obietnicy danej staroście Gedeon i Jacek wezmą do Sanoka braci Dydyńskich i pacholków z Dwernik. Ale ponieważ został na zaścianku, nie dowiedział się, że Dydyński wpadł na pomysł z żydowską maskaradą.

Bo pomysł ten przyszedł stolnikowicowi do głowy po drodze!

Jacek nad Jackami wstał. Spojrzał dokoła – na szarą, wezbraną rzekę, na zakrwawioną tratwę. Na rannego brata.

–Daruję cię zdrowiem ostatni raz – powiedział. – Jeśli się kiedyś spotkamy, zabiję cię jak psa, Przeclawie. A teraz idź, gdzie cię oczy poniosą! – Zawahał się, rozłożył ręce. – I nigdy nie wracaj...

\* \* \*

Berynda wyciągnął z paleniska rozżarzony pręt, złożył go na kowadle, przytrzymał szczypcami. Uderzał młotem z rozmachem, walił, sypiąc iskrami, dopóki nie spłaszczył końcówki. Z sykiem zanurzył żelazo w wodzie, wyciągnął, obejrzał, a potem cisnął w płomień i wyprostował się, gdy zobaczył stolnikowica sanockiego. Dydyński stał z dłonią na rękojeści szabli. Nie krzyczał, nie obrażał, nie wyzywał. Po prostu spoglądał ze smutkiem.

–Zdradziłeś, waszmość – rzekł powoli – wydałeś nasze plany Stadnickiemu, a na mnie z Gedeonem pomogłeś przygotować zasadzkę.

Jeśli Jacek nad Jackami myślał, że Berynda rzuci się nań z kowalskim młotem, to się mylił. Szlachcic odłożył narzędzie na kowadło z brzękiem, spuścił głowę, zgarbił się, odrzucił z czoła mokre od potu włosy.

–Dobrze, że wiesz – mruknął. – Nie miałem już sił, aby z tym dłużej żyć. Ja się nie urodziłem judaszem, ale zwykłym chudopachołkiem. Ale musiałem to uczynić... Nie było innej drogi.

–Ile zapłacił ci Stadnicki za nasze głowy, mości panie judaszu?

–Nie zależy mi na waszmości śmierci – pokręcił głową Berynda. – Ale gardło mości Gedeona jest dla Diabła warte więcej niż cała nasza wioska! Stadnicki obiecał mi poniechać wojny, zajazdów, kaduka... Dać nam spokój i sownie zapłacić w zamian za jego łeb.

–Gdyby nie Gedeon, chadzalibyście dzisiaj na odrodek, Smoliwąs by wami rządził, do kuny i kabata zamykał, kijami bił. Ładnie waść się odwdzięczyłeś.

–Życie zawdzięczasz, panie stolnikowicu, tylko prośbom i błaganiom Konstancji. To ona ubłagała Gedeona, aby nie dobijał cię jak wściekłego psa. Za jej namową wyciągnął ci kulę i kazał opatryć.

–Zanadto zbaczacie z tematu, panie Berynda. Nie przyszedłem tu, aby mówić o moim ocaleniu, ale o waszej zdradzie. Dlaczego to uczyniłeś? Ja tego nie mogę zrozumieć! Łeb mało mi nie pękł, gdy Przeclaw powiedział mi o wszystkim.

–Gedeon pcha nas do wojny, z której nie wyjdziemy cało – rzekł ponuro Berynda. – Jemu nie idzie wcale o Dwerniki, o naszą wolność i klejnoty szlacheckie, ale o

zemstę na Stadnickim. Nienawidzi Diabła i w imię tej nienawiści gotów jest poświęcić cały nasz ród!

–A ja w zupełności się z nim zgadzam. Wszyscy w okolicy boją się Stadnickiego, jeno nie my! Jeśli teraz ustąpimy, jeśli okażemy słabość, wtedy Diabeł zagryzie nas jak głodny wilk! Nie możemy mu pofolgować, bo skończymy jak Ligęza albo Korniaktowie i dołączymy do zacnej kompanii w lochach pod Piełem.

–Nikt nigdy nie widział tu Gedeona – mruknął Berynda. – Byłem dzieckiem, kiedy wyjeżdżał na wyprawę do Multanów. A jedyny człowiek, który go poznał, dziad Hermolaus znaczy się, padł rażony apopleksją na sam jego widok. Złota Czasza coś wiedział. On coś pamiętał. Kiedyś, gdy leżał bez czucia na łożu i wspominałem przy nim Gedeona, rzucał się strasznie, przewracał oczyma, zębami zgrzytał jak upiór z Jawornyka. Oj, nie podobało mi się to, ale milczałem. Za ręce go brałem, ucha nadstawiałem. On coś chciał mi przekazać, ale nie miał jak, bo leżał jak kłoda.

–Majaczył.

–Kiedy ja jak przez mgłę pamiętam człowieka z blizną na czole! Waszmość mi nie uwierzysz, ale jestem pewien, że gdy nasz ojciec, Prandota, wyjeżdżał z poczem bić się z Turkami pod Agrę...

–Pod Agrę?!

–A pod Agrę... Taki zamek u Węgrów, co padł wzięty zdradą.

–Tam był Stadnicki! Na pewno! Sam się do tego przyznał w grodzie w Sanoku...

–Nie wiem, co miał do tego starosta zygwułski, ale jestem prawie pewien, że wtedy, gdy rodzice wyjeżdżali na wojnę, towarzyszył im człek z blizną na czole... Z taką samą, jaką nosi Gedeon. Ale to nie był nikt z naszej rodziny.

–A więc wedle twych słów Gedeon to nie Dwernicki? W takim razie kto? Samozwaniec?

–Tego nie wiem, wszelako pewne jest jedno – on doprowadzi do zniszczenia Dwernik. Do śmierci nas wszystkich, przez swą szaleńczą nienawiść do Diabła Łańcuckiego. I dlatego musiałem go powstrzymać. Wybacz mi, waszmość... Ja wiem, że zgrzeszyłem, ale nie mogłem dłużej tego wytrzymać...

–Ale może ja ci powiem, dlaczegoś to uczynił?

Gedeon pojawił się tak jak zwykle – szybko, cicho i niespodziewanie.

–Póki tu nie przyszedłem, ty, drogi krewniaku, rządziłeś na zaścianku. Tobie Dwerniccy czapkowali jak staroście! Ty żyłeś we dworze, ty miałeś dostatki. Tyś przy szabli chodził i w butach. Do ciebie wszyscy przychodzili po radę. A kiedy Stadnicki zagiął na was parol, to wtedy co, mości Berynda? Dudy w miech! Nie starczyło ci fantazji, aby bronić zaścianka! Ale przyszedłem ja i z pomocą panów Dydyńskich odparliśmy Diabła. Bo jednakowoż dało się. I dlatego w tobie jest zawiść, dlatego nas wydałeś. Bo zawsze miałeś tu pełną miskę kaszy i tobie wszyscy usługiwali! A kiedy pojawił się ktoś godniejszy, służyłbyś bodaj Diabłu, aby tylko utrzymać swą władzę nad Dwernickimi!

–Ja nie doprowadziłem do śmierci żadnego człeka z mego rodu! Ilu Dwernickich przez ciebie zginęło? Ile chałup spalili sabaci? Ilu jest rannych? Ile kalek?! Sam policz, jeśli naprawdę jesteś z naszej krwi! I rozważ, czy warto było tak się stawiać?!

–Gdybym nie był Dwernickim, nie znalazłbym wam konfirmacji na szlachectwo, o której nawet nie wiedzieliście. – Gedeon wyrwał z zanadru stary, zniszczony dokument wyciągnięty spod kamienia młyńskiego i potrząsnął nim przed obliczem Beryndy. – A niby skąd bym miał o tym wiedzieć, gdyby mi Prandota nie powiedział?! I po co ja, obcy człowiek, miałbym przelewać krew w waszej obronie?!

–Bo chcesz śmierci Diabła. I niczego więcej.

–Dość. Zbieraj się, Berynda. Kolasa czeka!

Pan Bieniasz Dwernicki pokiwał głową. Zdjął fartuch, cisnął go na kowadło.

Gedeon chwycił go za ramię, popchnął ku drzwiom, w których czekali już Pełczak, Samuel i kilku innych Dwernickich. Szybko porwali Beryndę za siermięgę, wywlekli go na zewnątrz, gdzie zgromadził się tłum szaraczków. Przyszli tu wszyscy – mężowie, niewiasty, wyrostki, baby, dzieci. Cały zaścianek wyległ na plac przed kuźnią, gdzie stał wóz naładowany gnojem, ciągnięty przez chudą szkapę.

Kiedy wyprowadzono Beryndę, wśród Dwernickich ozwały się krzyki, klątwy, złorzeczenia. Szaraczkowie wygrażali zdrajcy pięściami, łapali za szable, których teraz, po klęsce zajazdów Stadnickiego, było na zaścianku dosyć, palili z pistoletów.

–Powinienem cię zabić – warknął Gedeon. – Ale pan Dydyński, Konstancja i reszta naszych braci wstawili się za tobą. Idź precz i nigdy nie wracaj! Nie chcemy cię tutaj.

Dwernicy podnieśli Beryndę, a potem rzucili twarzą w gnój, przycisnęli ręce do tybinek, przywiązali je mocnymi konopnymi powrozami. Pełczak zaciął szkapinę batem i wóz ze skrzypieniem ruszył drogą między płotami. Tłum zafalował, zahuczał, a potem poszedł w ślad za zdrajcą.

–Obyś z piekła nie wyjrzał! – krzyknął ktoś. – Judaszu!

–Pachołku diabelski!

–Zdrajco! Zdrajco! Po trzykroć zdrajco.

Kamienie świsnęły w powietrzu. Pierwsze były niecelne, kolejne spadły na plecy Beryndy, ostatni zawadził go w głowę. Samuel wstrzymywał Dwernickich krzykiem, Pełczak pogrózkami. Niewiele to jednak pomagało. Dzieciarnia ciskała grudami błota, końskim i krowim łajnem.

Jacek nad Jackami nie ruszył za wozem. Stał w drzwiach kuźni obok zapłakanej Konstancji. Patrzył na kondukt odprowadzający pana Bieniasza w tę ostatnią drogę.

–Dlaczego tak się dzieje?! – zaszlochała Dwernicka. – Po co to wszystko?! Jak to się mogło stać?

Stolnikowic utulił ją w ramionach, objął żelaznym uściskiem, a potem bezwiednie poszukał wargami jej ust.

Za nimi cichły krzyki, przekleństwa i wrzawa. Na ziemię opadały wolno pierwsze jesienne płatki śniegu.

\* \* \*

Zima zaczęła się pięć dni później. Jednego dzionka oglądali jeszcze połoniny spowite niknącymi w chmurach tumanami mgieł, bory i lasy gubiące ostatnie złote liście, a już następnego dnia wysokie magury, kiczera, przysłupy i położone wyżej miejsca okrył biały welon śniegu. Potem padało co dnia, jakby ktoś rozpruł nad Werhowyną ogromną białą pierzynę. Przez pewien czas śnieg utrzymywał się tylko

na połoninach, czerszlach i poharach Dwernika, Hnatowego Berda i Łopinnika. A potem pokrył całą ziemię – łąki, pola, zagajniki i chrusty. Wnet ścisnął mróz, ozdobił nagie gałęzie drzew szadzią misterniejszą niż najcieńsze brabantkie koronki, błyszczącą setkami maleńkich diamentów, z których każdy był kropelką wody czystą jak niebiańska łza. Skuł lodem potoki i strumienie, przydał świeżej bieli jodłom i cisom.

Przez cztery długie dni nad górami i dolinami wyła zamieć, a wiatr przeganiał kłęby sinych chmur, jak gazda spędzający owce z pastwisk. Wicher dał w kominach dworów i na strychach chat, zniechęcając ludzi do wyjścia na dwór, mroząc oblicza swym lodowatym dechem, zacinając śniegiem i grudami lodu. A kiedy piątego dnia weszło żółte zimowe słońce, oczom wszystkich ukazała się odmieniona jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki postać Bieszczadu.

Od Korbanii, Kamienia i Łopinnika, poprzez wznoszącą się maj estetycznie Hyrlatą, Jasło i Smerek – aż po Dwernik, Tarnicę i Halicz, wszędzie rozciągała się tylko ogromna biała pustynia, bo nawet parowy i trzęsawiska pokrywał grubą warstwą śnieg. Powietrze było jak kryształ, przejrzyste jak weneckie szkło; nawet bez perspektywy na stokach Werhowyny, na Dwerniku, Prislupie i Łopinniku dostrzec można było przemykające się po śniegu długie szeregi jeleni, wilcze watahy, sarny, a czasem dalekie brązowe plamki, które z bliska okazałyby się zapewne groźnymi górskimi niedźwiedziami. Wioski i przysiółki zasypane były ze szczętem. Jedynie smużki dymów unoszących się nad dolinami Wetłyny, Solanki, Sanu i Prowczy mówiły, iż gdzieś tam, za polami pokrytymi śniegiem skrzącym się w słońcu jak cukier lodowy podany na wety, leżały Krywe, Tworylne, Strubowiska, Zawój, Łopinka, Ciasna, Polanki czy Ternka.

Wieczorem pewnego dnia przed świętami, kiedy czerwona łuna zachodzącego słońca dogorywała nad wyniosłym Łopinnikiem, Gedeon wyciągnął dwa srebrne puchary zdobione Sasem Dwernickich i zasiadł w dworskiej świetlicy nad gąsiorem miodu. Nalał do naczyń trunku, w którym uchowało się sporo złocistego letniego blasku słońca zebranego w pocie czoła przez pszczoły.

Dydyński siadł bez słowa naprzeciwko. Wypili.

–Dlaczego chciałeś zabić Stadnickiego w sanockim grodzie? – zapytał po przeciągającym się milczeniu. – Za taką zbrodnię ujęty *in recenti* przez ludzi starosty dałbyś gardło szybciej, niż zdołałbyś odmówić pacierz. Czyżby Stadnicki aż tak zalał ci za skórę, że gotów jesteś poświęcić własne życie i całe Dwerniki w imię zemsty?

Gedeon milczał przez chwilę. Wreszcie wsparł głowę na rękach.

–Stadnicki był z nami pod Agrą. Widziałem, jak się zdumiałeś, kiedy gadaliśmy o tym w Sanoku. Jest między nami coś, o czym wie tylko on i ja. Tajemnica, której powiernikami są: rodzic, stryja i dalsi bracia panny Konstancji. Ci, z którymi wyprawilem się na Turków Anno Domini tysiąc pięćset osiemdziesiąt trzy, a teraz gniją na dnie. Ich kości leżą niepogrzebane w Morzu Ponckim, w resztkach łachmanów, i kiwają się tak, jak przez dwadzieścia lat kiwali się na galerniczej ławie. Nie wszystko ci jeszcze powiedziałem, panie bracie. A to dlatego, że nie chciałem wracać do czasów, kiedy czułem na plecach świeże razy pohańskiego korbacza.

**Gedeon wychylił puchar do dna. Dydyński dołał mu miodu.**

**–Stadnicki jest sprawcą wszystkich nieszczęść, które spadły na Dwerniki. To dlatego chciał schłopić naszych braci i nastaje na moje gardło. Diabeł nie spocznie, dopóki jestem przy życiu, póki po ziemi chadza ostatni świadek jego zdrady. I dlatego musi ponieść karę. Ale do rzeczy, panie bracie. Po kolei:**

**Szliśmy w Multany strojni jak panięta. Pamiętam jak dziś, że obiecywaliśmy sobie wrócić z bogatymi łupami, w chwale i sławie. Wcześniej, na wyprawach króla Stefana, wzięliśmy dość łupów, aby starczyło dla wszystkich. Mieliśmy husarskie konie, andaluzyjskie dzianety, dzielne podjezdki, wspaniałe natolijczyki i bieguny. Forgi i pióra przy rzędach, wzorzyste czapraki, stroje, futra, czapy lisie, sobole, rysie, marmurki, skóry lamparcie, pierścienie, pasy i ferety, manele z perłami i diamentami, czaple kity, pancerze złotem nabijane. Cóż z tego, że w Dwernikach głodno było i chłodno? Obiecywaliśmy sobie, że wrócimy panami, że po wyprawie pod Agrę każdy z nas kupi sobie wioskę, albo przynajmniej pójdzie dobrymi dzierżawami, a tę wioskę zostawimy najmłodszemu z nas.**

**Poszliśmy. Zbrojnie, strojnie, hucznie. Jak głupcy. Zaraz gdy tylko przyszło mierzyć się z Turkami, wysłali nas razem z wołoskimi chorągwiami na czaty. A potem na uroczyskach pod zamkiem Beryn napotkaliśmy Tatarów, a wówczas wołoska jazda, która się przy nas wieszała, jak lekko z nami poszła, tak równie lekko uszła.**

**Opadli nas ordyńcy jak wściekłe psy rannego tura. Bili strasznie – część z braci, stryjów i mój ojciec poległa od razu. Pozostałych połapali na arkany, wydarli broń zakrwawionym... A reszty już możesz się domyślać. Nie byłoby jeszcze może z nami tak źle, bo ordyńcy, chociaż bisurmanie, psie krwie i z kurwy synowie, zacniejsi są i bliżsi nam, Polakom, niż Turcy. Mieliśmy jeszcze trochę bogactwa na wozach w obozie, więc zaczęliśmy od razu traktować z Tatarami o wykupie i bylibyśmy wrócili cało do domu, choć świecąc tyłkiem gołym i bosymi piętami. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że sułtan przywrócił do łask Sinana baszę – wezyra podobniejszego rozwścieczonemu lwu. Ten, mszcząc się za klęski, w których padło wielu janczarów i spahów, kazał, aby żadnego giaura za wykupem nie oddawać. Nakazał wlec nas do Kaffy, władować na statki i do Stambułu wysłać. I tak dostaliśmy powrozy na szyje, drewna na ręce i poszliśmy – do Budziaku jako zwykły jasyr.**

**Ale nie to jeszcze było najstraszniejsze. Nie to, mości panie Dydyński.**

**Tatary nie posłuchali Sinana baszy. Zamiast do Stambułu zawieźli nas na Krym, do twierdzy, która zowie się Czufut-Kała, a po naszymu Gródek. Zamek tam jest wielki, na skale osadzony, a pod nim czeluście, sklepy, przepaście, gdzie chanowe raby kują monetę, gdzie są skarby nieprzebrane pohańców. A janczarów i straży więcej tam znajdziesz, niż robaków będzie na trupie Stadnickiego!**

**Tam nas osadzono, bo Urum murza, który nas pojmał, myślał, że jesteśmy bogaci panowie, a lada dzień nasze rodziny sypną złotem. Miał prawo tak domniemywać, bo jak już wspominałem, poszliśmy na tę wyprawę strojni jak karmazyni. Nie wiedział poganin, że trafił na chudopachołków, a owe sobole i brokaty nie są nasze, ale zdarte z moskiewskich grzbietów, a kamuszki kolorowe wyłuskane z bojarskich**



kołpaków. Pal to lichy! Chociaż nasze delie, szable i rzędy orda wzięła, myśleliśmy, że za pomocą Boską wyjdziemy cało z opresji. Pieniądzy w Dwernikach było tyle co dobrych uczynków u lichwiarza, ale myśleliśmy, że pożyczyc się od Korniaktów, od Balów, choćby nawet Dwerniki puścić w zastaw. Zawsze były coś warte.

I wtedy przyszło najgorsze.

W Kale siedział z nami Stanisław Stadnicki, pan możny i zacny na Nienadowej, Szklarach, Tarnawej, Piatkowej i Iskaniu, a co ważniejsze, nasz znajomy, z którymś pod Psków chodzili, rotmistrz królewski. Tenże szlachcic został jako i my wzięty w niewolę pod Agra, to jest pod węgierskim miastem i twierdzą Erlau.

Daliśmy zatem znać do Urum murzy, że jednego z nas do Polski wyślemy po pieniądze, a pozostali za niego się założą i rękojmię dadzą, że wróci. Tak to już jest w Turczach, że jeśli kto chce się wykupić z niewoli, musi za niego innych dziesięciu czy dwunastu niewolników poręczyć, albowiem żaden pohaniec za chrześcijanina nie zaręczy. Wybraliśmy Stanisława Stadnickiego, bo raz, że był naszym rotmistrzem, dwa, że wiedzieliśmy, iż z niego możny pan i łatwiej mu będzie traktować z Ormianami i Żydami o pożyczki na okup. Umówiliśmy się, że wróci najdalej na Kwietną Niedzielę następnego roku i nas wykupi w Jassach, gdzie zwykle więźniów wymieniają. Tak i pojechał.

Siedzimy i czekamy, panie bracie. Nie było nam tam źle, bo Turcy i Tatarzy dbają o jeńców, za których wykup mają dostać; samotność jeno doskwierała bardzo. Nadszedł w końcu wielki post, nadeszła Kwietna Niedziela, a Stadnickiego nie ma. Minęło Święto Apostołów, Zielone Świętki, a rotmistrza jak nie ma, tak nie ma. Myśleliśmy, że może co złego go spotkało. Przez karaimów krymskich, przez Tatarów posłaliśmy do Polski. Wiadomo – szukaj teraz wiatru w polu. Nadeszło lato następnego roku, a okupu nie ma.

I teraz dopiero zrozumieliśmy, że Stadnicki nas zdradził. Że skoro za niego daliśmy rękojmię, uszedł z niewoli i ani myślał po nas wracać, ani okupu dawać.

Dopiero wpadliśmy w rozpacz i desperację. A najgorsze, że Tatarzy poczęli coraz częściej dopominać się o złoto, bo czas mijał, a oni w czasie naszej niewoli wydatki wielkie ponieśli, bo nam wina i jadła nie żalowali. Teraz to wszystko odjęli. W kajdany nas zakuli, do ciemnicy wsadzili. I czekali na pieniądze. A tych nie było, bo i skąd?

Musisz zaś waść wiedzieć, że jeśli więzień z okupem się nie zjawi, cała wina spada na poręczycieli. I tak z nami było. Mnie na czole wypalili piętno, od czego oko jedno wypłynęło. Braciom moim oczy wylupili, uszy poobcinali, stryjowi Sebastianowi palce wszystkie u rąk obcięli, a bratu memu stryjecznemu Mikołajowi tysiąc kijów dali – w plecy, w łydki, w pięty, aż ledwie wyżył i tak napuszył się jak żaba. Potem zaś na galerach skonał, ale o tym później mówił będę.

Wreszcie stracili Tatarzy cierpliwość. Padliśmy do nóg baszy i prosiliśmy, aby jeszcze jednego z nas uwolnić kazał, a ów pojedzie do Polski i z okupem wróci, ale poganin tylko jeszcze bardziej się rozwścieczył. Wywlekli nas z lochów Kały, powlekli do Kaffy, a tam sprzedali Turkom na galery.

Nie byłeś ty nigdy na galerach, panie bracie. I niechaj cię Bóg uchowa, abys kiedyś miał tam trafić. Lepiej już w grobowcu zostać pogrzebanym żywcem, niż

wiosłem do końca życia robić w skwarze i znoju. Pamiętam jak dziś ten dzień, kiedy sadzali nas na ławie. Wszyscyśmy wtedy płakali i modlili się. A ja myślałem, że koniec, że żywcem nas do piekła przenieśli i nic gorszego już nas spotkać nie może. Ale się myliłem. Do piekła jeszcze było bardzo, bardzo daleko.

Był na tej galerze Achmet reis, znaczy hetman Achmet, który nią dowodził, odszczepieniec, Włoch z pochodzenia. Ten nam dopiero pokazał, co to męka, pot i lzy. Nigdy waść nie uwierzysz, jaką niedolą jest wiosłowanie na galerach: lepiej na łożu madejowym się kłaść, na gwoździach spać bez koszuli, niżli u poganina pojazdą robić. Statek był duży – po pięciu skazańców w jednej bance, czyli ławie, którzy jedno wiosło pospołu ciągnęli. Każdego więźnia przykuwają tam za jedną nogę do łańcucha na dole, pod ławą, aby swobodnie na nią wejść i wiosłem ciągnąć mógł. A kiedy tempo zaczął dawać, ze spiekoty inaczej nie można, jeno gołym być, niczego nie mając na ciele oprócz gaci czy hajdawerów. A kiedy z Czarnego Morza wypłynęliśmy na Dardanele, gdzie stoją naprzeciwko siebie dwa zamki, tam dali nam wszystkim na ręce manipoły, czyli żelazne orumpanty, abyśmy Turkom się nie sprzeciwiali i bronić nie mogli.

Takim sposobem przykuci za ręce i nogi przez cały dzień wiosłowaliśmy, a kiedy wiatru nie było, to i w nocy. Czuliśmy się całkiem jak na dnie czeluści diabelskiej, panie bracie. Kiedy na galerze robisz, skóra na całym ciele pęka nie inaczej niż u osmalonego wieprza, oczy pot zalewa i w rany się wżera. A gdy comito, zarządzający wiosłarzami, dojrzy, że ktoś sobie odrobinę pofolguje, obnażonego korbaczem lub mokrym powrozem zdzieli, a bije tak, że na całym ciele krwawych pręg narobi. Ale ty, panie bracie, musisz wtedy milczeć, chociaż szlachcic, a serce w tobie gorące, bo krzyknie nadzorca: *Pregidi anasemi sigligum irlasen?! – to jest po naszymu: „Co tam, psie, z kurwy synu, mruyczysz, zuchwale odpowiadasz i się dąsasz?!”*. I jeszcze drugie tyle razy zarobisz.

Tak właśnie skończył na galerze ojciec Konstancji... Prandota... I jego brat młodszy. Bo gdy ten ostatni dostał kiedyś batogiem po plecach, po dwakroć czy trzykroć, „Olaboga, nie bij!” – wykrzyknął. Wtedy Turek, który polskiej mowy nie znał, okropnie go okładać począł.

Nie ścierpiał tego Prandota. Porwał za rzemień i wciągnął comito między więźniów, łańcuch mu na szyję zarzucił i zdusić próbował. Wybuchłby bunt jak amen w pacierzu i byśmy wolni byli, gdyby jeden Niemiec, który przez lat trzydzieści wiosłem robiąc, zdurniał ze szczętem, nie począł krzyczeć i Turków sprowadził.

Nie chcę, byś mówił o tym panie Dwernickiej... Trzysta razy dostał brat młodszy, Prandota pięćset, ja sto, a cała galera po dziesięć. Oni tego już nie strzymali. Umarł mi ojciec Kostusi na rękach, w nocy, a zaraz po nim jego brat. Przed śmiercią zaś wpatrywał się we mnie czerwonymi od krwi oczyma... I kazał przysięgać... Powtarzać, że jeśli jako najmłodszy z nich wszystkich przeżyję, tedy mam do Dwernik wrócić, bronić zaścianka i zemścić się na Stadnickim.

Do dziś jego wzrok pamiętam. Najgorsze zaś, że ławę razem dzieliliśmy. A kiedy skonał, przez miesiąc dla postrachu ciała nie rozkuwali. Tak tedy dzień w dzień z trupem wiosłować musiałem. I patrzeć, jak obsiadają go muchy, jak robaki staczają

**jego ciało...**

**A on każdej znoonej nocy podnosił głowę, spoglądał na mnie krwawymi oczami i szeptał: „Pomnij, coś mi przyrzekł. Wróc do Dwernik i pomścij nas wszystkich”. A kiedy smród był taki, że dotarł na pokład, zabrali go w końcu i ciało do morza wrzucili. A ja nie powiedziałem ani słowa.**

**Robiłem wiosłem. Robiłem i wtedy, gdy umierali kolejni. Robiłem i wówczas, kiedy po latach zostałem sam, gdy przyszli nowi galernicy. I wciąż słyszałem słowa Prandoty: „Gedeonie, żyj! Pomścij nas! Wróc do Dwernik i spraw, by nasze dzieci nie odmieniały czasem szlachectwa i wiary na złote talary...”.**

**I wciąż wiedziałem, że główny sprawca naszych nieszczęść, pan Stanisław ze Żmigrodu Stadnicki, żyje sobie wesoło gdzieś w Polsce.**

**Kiedy mnie bito, widziałem, jak chędoży dziewczkę. Kiedy wyłem jak pies, bo potrojono nam tempo, patrzyłem, jak ucztuje we dworze. A gdy przez dwa dni nie dostaliśmy wody, oglądałem jego ślub i wesele. Kiedy nadzorca chędożył po turecku młode pacholęta przykute do wiosła, widziałem, jak Stadnicki idzie z dziećmi na nabożeństwo do heretyckiego zboru.**

**I dzięki tej nienawiści przeżyłem. Nauczyłem się rzemiosła, plotłem rękawiczki i pończochy z bawełny, a kiedy staliśmy w jakimś porcie, kupowałem wołoskie sery oraz gotowane baranie łby. Nie zmarniałem – przeciwnie, nabierałem krzepy. I czekałem.**

**Wreszcie Turcy poczęli się mnie bać. Którejś nocy rozkuli mnie, wzięli pod straż. Zabrali do jeszcze gorszego miejsca, to jest do prochowego młyna w Warnie, gdzie jeńcy chrześcijańscy poruszali żarnami, stępami w lochach i otchłaniach, do których nigdy nie zaglądało słońce.**

**Wcześniej myślałem ja, że to galerę można nazwać piekłem. Ale teraz zdała mi się jeno czyścćcem. Albo naszą ziemską katorgą. Na galerach przykuwano jeńców, ale czasem na zimę wyprowadzano do więzienia. Niekiedy gnano ich do innych robót. W młynie zaś nie widziałem niewolnika, który przetrzymałby rok. I nie stracił przy tym wzroku, bo oczy wyżerał proch i saletra, nie był poparzony, nie spłonął żywcem, lub też nie rozerwało go na sztuki przy wybuchu.**

**Ale ja byłem mocny i cierpliwy. Czekałem na swoją kolej. I w końcu doczekałem się.**

**Był u nas starszy nadzorca – Turek z Egiptu, który celował w okrucieństwie. Chadzał zwykle z toporem, bo lubował się w obcinaniu rąk i nóg skazańcom, którzy nie mogli pracować. A na mnie zawziął się w szczególności. Zwał się Ali-beg i nie miał prawej stopy, którą urwała mu kula z chrześcijańskiej armaty, kiedy służył jako topczy, to jest artylerzysta u sułtana.**

**Pewnego razu, gdy pracowałem przy żarnach mielących saletrę, przyszedł do mnie z batogiem pijany i począł chłostać dla rozrywki. A ja czekałem, cierpiałem, modliłem się. Bo wiedziałem, że wreszcie nadeszła moja chwila. Musisz wiedzieć, że nie miałem tam skutych rąk i nóg, jeno ogromną obręcz na prawej kostce i ciężki łańcuch, który przykuwał mnie do kamienia młyńskiego. Nie było w mojej mocy, aby go skruszyć ani rozgiąć okowy Ale patrzyłem zawsze na topór przy pasie nadzorcy i**

żelazną kulę. I wiedziałem, co mam zrobić.

Kiedy się zmachał, złapałem go za szyję i skręciłem kark jak zdychającemu psu. A potem porwałem za topór i... obciąłem sobie nogę od jednego zamachu. Wsadziłem krwawiącego kikuta w palenisko, aby wypalić ranę, założyłem kulę Ali-bega, jego turban, szaty i wyszedłem z młyna na światło dzienne.

To cud, że strażę mnie puściły. Matka Boska wzrok im zamaściła, a mnie przez cały czas szeptała do ucha, co mam zrobić. Wyszedłem zatem z ciemnicy, przeszedłem miasto i puściłem się w lasy, bory, góry. Dotarłem wreszcie do karawany kupieckiej, która jechała do Kamieńca. Z Kamieńca zabrałem się z pielgrzymami do Przeworska. A dalej już wiesz, co się stało. Wróciłem do domu po przeszło dwudziestu latach niewoli. Odmieniony, straszny. Ale nie złamany.

Czy teraz rozumiesz waszmość, dlaczego chciałem zabić Stadnickiego w Sanoku? Czy pojmujesz, że jestem w stanie przegryźć mu gardło, skruszyć mury, rozedrzeć bramy i blokhauzy, aby dokonać zemsty? Nie ma takiego muru na świecie, którego bym nie sforsował, nie ma takiego więzienia, z którego bym nie uciekł, aby tylko dobrać się Diabłu Łańcuckiemu do skóry!

Chcę pomsty za te wszystkie lata! Za śmierć moich braci, Prandoty, Sebastiana i innych. Nie spocznę, póki nie pošlę Stadnickiego prosto w objęcia diabła, choćbym miał sam wpaść przy tym do otchłani, trzymając go za nogi!

Jacek złapał się za podgolony łeb.

–A ja powiem ci coś jeszcze, mości Dydyński – rzekł Gedeon powoli i groźnie. – Czy ty wiesz, dlaczego mogę pokonać Diabła? Odebrać mu majątności, sławę, bogactwa, a na końcu życie? Dlaczego tylko ja jestem w stanie to uczynić?

Dydyński dołał do pucharów. Pokręcił głową.

–Bo tylko przede mną Diabeł czuje respekt. On się mnie boi, mości panie bracie!

\* \* \*

Mróz zelżał dopiero w kilka dni po Trzech Królach. Przyszła odwilż, ciepły wiatr gnał po niebie kłęby szarych chmur, przez które czasem przebijało żółte, zamglone słońce. Mokry śnieg opadał płatami ze strzech i ganków, lody puściły, uwalniając rzeki, które wezbrały niebezpiecznie, z drzew i krzaków skapywały krople wody.

Gwałtowne roztopy oczyściły trakty z zasp. Znowu można było dojechać do Hoczwi i Wetłyny, a na węgierskim trakcie do Baligrodu i Sanoka pojawiły się kupieckie karawany z winem i małmazją. Wraz z cieplejszymi wiatrami do Dwernik powrócił niepokój. Wcześniej, kiedy leśne dukty i trakty zawałone były śniegiem, nie sposób było oczekiwać Stadnickiego. Teraz odwilż mogła dać Diabłu nową sposobność do zbrojnego zajazdu. Znowu więc zaprowadzono w wiosce czaty i rozstawiono strażę. Dwerniccy chadzali spać z bronią na podorędziu, ryglowali na noc drzwi i okna, trzymali w stajniach okulbaczone konie i wypatrywali zbrojnych na gościńcu. Stos protestacji wpisanych przez Gedeona do ksiąg sanockich był wielki jak Magura pod Stuposianami i zdawać by się mogło, że sam ciężar tych wszystkich pozwów i skrutyniów zmiecie Diabła Łańcuckiego, jak głaz spadający z nieba wgniecie w ziemię małego, złośliwego czarcika. Tymczasem odbyły się roczki ziemskie w Sanoku, przeszło posiedzenie sądu grodzkiego, a starosta zygwulski nie stawiał się, nie

przysłał nawet palestranta na zastępstwo, pokazując tym samym dorodną figurę zarówno Dwernickim, jak i staroście, sędziemu tudzież pisarzowi grodzkiemu. Przyszło zatem do nowych protestacji i pozwów. Na razie Stadnicki miał zapłacić niestawne, gdyby zaś dalej uchylał się od procesów, groziła mu kondemnata, czyli... tyle co nic. Diabeł Łańcucki miał bowiem tyle kondemnat, czyli wydanych zaocznie wyroków, że mógłby podbić sobie nimi delię albo ozdobić ściany w największej sali łańcuckiego zamku... Ten zaś, kto chciałby przeprowadzać egzekucję albo banicję na staroście zygwulskim, równie dobrze mógłby intronitować się na Bakczysaraj, gdyż chan Gazi Gerej siedział na swej stolicy równie pewnie co Stadnicki na Łańcucie, a ruszyć go było zgoła niepodobieństwem. No, chyba że przydałoby się woźnemu za asystę nie dwóch, ale dwadzieścia tysięcy szlachty polskiej.

Przez cały ten czas, kiedy trwały przygotowania do procesów, indukt i replik, Konstancja Dwernicka czuła na sobie wzrok Gedeona. Od dawna świadoma była tego, że zwraca na nią uwagę, wcześniej to jednak lekceważyła. Dopiero ostatnio poczęła zdawać sobie sprawę, że śledzi ją spojrzeniem za każdym razem, kiedy jest w pobliżu.

Z początku ta adoracja nie była dla niej niemiła, zresztą na zaścianku wśród okolicznych chudopachołków i drobnoszlacheckiej młodzieży trudno wprost było znaleźć kogoś, kto nie marzyłby choćby o skradzeniu całusa dziewczynie. Przyzwyczała się zatem do powszechnych hołdów. Jednak spojrzenia Gedeona poczęły stawać się coraz bardziej natarczywe, zuchwałe i przenikliwe. Niemal każdego ranka, dnia i godziny czuła na sobie wzrok jego jedyne oka. Nieraz wspominała mu o tym mimochodem, pytała, cóż takiego w niej widzi. Wówczas jednak Gedeon kierował rozmowę ku tematom takim, jak proces ze Stadnickim czy obrona Dwernik. Czegóż jednak mogła chcieć od człowieka, który dwadzieścia lat spędził przykuty do wiosła i częściej zapewne widywał syreny, morskie potwory i tureckich nadzorców niż urodziwe niewiasty? Z drugiej zaś strony, kiedy czuła na sobie jego spojrzenie, nieraz brała ją chęć, aby ukazać mu cokolwiek więcej. Czasem zastanawiała się, co stałoby się, gdyby ujrzał ją w czasie kąpieli albo wszedł do łożnicy, gdzie sypiała... Nieraz pojawiała się w niej pragnienie, aby przejść obok niego w samym gieźle, z rozpuszczonymi włosami. I z wrodzonej okrutnej niewieściej ciekawości zobaczyć, jak będzie skręcał się i wił z bezsilnego pożądania.

Jeśli tego jeszcze nie uczyniła, to przede wszystkim z tej prostej przyczyny, iż Gedeon uratował zaścianek przed schłopieniem, które oznaczałoby dla niej ni mniej, ni więcej, tylko cuchnące, chamskie łapska Smoliwąsa. Konstancja nie miała złudzeń, iż jej życie jako poddanej byłoby nieco trudniejsze niż losy żniwiarek i dziewczek z wiejskich sielanek i fraszek pana Szymonowica i Kochanowskiego, które przed laty czytywał jej dziadunio. Wiadomo było, iż zostawszy w Dwernikach starostą, stary cap Smoliwąs używałby na niej jak wyposzczony Werhowyniec na najdorodniejszej owieczce ze swego stada. O ile oczywiście wcześniej nie ocknąłby się ze strzałą z łuku tkwiącą w samym środku plebejskiej potylicy. Tylko że w takim przypadku pozostawałby jej już tylko gościniec. A co czekało młodą niewiastę na gościńcu, to już strach przeszkadzał myśleć.

Oczywiście gdyby była mężczyzną, wszystko byłoby dużo prostsze – uciekłyby do wojska, pod hetmańską protekcję. Niestety, próbowała tej sztuczki już siedem lat temu, gdy wściekła na braci, mając szesnaście wiosen, wsiadła na koń, przyjechała pod Przemyśl, gdzie ciągnęła traktami na Mołdawię armia koronna mości pana kanclerza, po czym zażądała rozmowy z hetmanem koronnym. Jan Zamoyski omal nie zleciał z krzesła, kiedy przyprowadzono do niego pannę paradującą z łukiem, która zażądała, aby przyjął ją w poczet rycerstwa koronnego. Wysłuchawszy jej jednak, nie krzyczał, nie kłął, nie rzucał gromów. Wezwał pułkowników i rotmistrzów – to jest pana Żółkiewskiego, Potockiego, Golskiego i Sobieskiego, a potem sprezentował im bojową i orężną Konstancję. Ujrawszy ją, owi weterani spod Pskowa, Buczyny i Sołonicy ryknęli jednym gromkim śmiechem. A Zamoyski zawołał zaraz swoich nadwornych kozaków i kazał odprowadzić ją do Dwernik, na pośmiewisko sąsiadów i całego zaścianka. Nawet teraz, gdy wspominała tamte chwile, ciemny rumieniec bił jej na policzki.

Jeśli Konstancję korciło, by doprowadzić do tego, że siódme poty poczną bić na czoło Gedeona, to przede wszystkim dlatego, iż zaczynała miłować się w Dydyńskim. Zaś Jacek nad Jackami wcale nie dawał jej do zrozumienia, iż zamierza kiedykolwiek odwzajemnić te gorące uczucia. Rzecz oczywista, jak każdy mężczyzna korzystał szczerze z owoców jej miłowania, całował, pieścił, karesował jej łączki, źródelka, góry i gaiki, owe, mówiąc po hyrniacku – dwie strome kiczerki z przodu, zwieńczone nadobnymi horbami, tudzież owe dwie magury z tyłu, przedzielone wdzięcznym prislupem, w którym począwszy od przedniej części, pienił się słodki gaik nietknięty jeszcze ręką kosiarza ani pyskiem dzielnego polskiego konika. Sęk jednak w tym, iż pan stolnikowic coraz natarczywiej dopominał się jej wianka. Konstancja wprawdzie, jako wychowywana na zaścianku, gdzie nie robiono tajemnic ze spraw Kupidyna i natury, nie była harda ani bogobojna, obawiała się jednak, aby Jacek nad Jackami nie potraktował jej jak zwykłej wiejskiej dziewczki, to znaczy poużywał, pohasał, a potem wsiadł na konia i rzekł: „Bywaj zdrowa, mościa panno!”. Myślała zatem zgodnie ze swą przewrotną niewieścią naturą, że jeśli dopuści Gedeona bliżej do siebie, Jacek dostrzeże to i umiłuje ją tym bardziej. A przy tym wszystkim wcale nie miała świadomości, że dawanie okazji Gedeonowi oznaczać może igranie z ogniem.

Oczywiście był jeszcze jeden sposób, praktykowany przez bodaj wszystkie niewiasty w Koronie i na Litwie, którym Konstancja mogła próbować opętać stolnikowica – miłosne czary. Ale te zdecydowała się zostawić na sam koniec potyczki o jego względy, jako ostateczny huf walny w tej miłosnej batalii.

Pewnego razu, gdy wiatr przegonił chmury, Konstancja wybrała się na łągi za wioską, aby przejechać Werchatego. Pomykała na koniku, zataczając koła, zwalniając konia do stępa, a potem przechodząc w dyrd i kłus, zawracając niespodziewanie rysią, a potem wypuszczając wierzchowca w galop, przeskakując żerdzie i opłotki, a potem ściągając wodze, zmuszając konia do przejścia do stępa. W pewnej chwili, gdy rzuciła okiem na wioskę, ujrziała Gedeona, który stał samotny, zgarbiony, oparty o grubą lipę za parkanami. Mężczyzna wpatrywał się w nią bacznie. Ciągle czuła na sobie jego oko; wiedziała dobrze, że śledził z uwagą każdy jej ruch, każde uniesienie

głowy czy pochylenie się w kulbace. Chcąc trochę się z nim podroczyć, zaczęła wyczyniać najróżniejsze sztuczki. Wypuszczała Werchatego galopem i zatrzymywała go, by stanął dęba, cofała, zataczała korbety, posady, wężokręty, kapryjole, zawracała i przechodziła w skok, aż jej czarne warkocze furkotały wokół kształtnej twarzyczki.

Kiedy po którymś z rzędu korbecie spojrzała w stronę zaścianka, Gedeona już nie było. Wzruszyła ramionami, trochę zła, iż straciła jedyne obserwatora, a potem, strzeliwszy z pistoletu Werchatemu nad uchem, aby nie odzwyczał się od huku, zawróciła do stajni.

Kiedy przejeżdżała koło lipy, zatrzymała konia i zamarła. Kora na drzewie od strony dworu była zdarta pazurami aż do białego pnia, porozdzierana, pogryziona, rozcięta. Konstancja zadrżała. Czyżby Gedeon, spoglądając, jak harcuje na koniu, drapał i gryzł drzewo z wściekłości? Czyżby aż tak jej pożądał? A może też nienawidził za to, że jak głupia dziewczka wdziękowała się przed nim na środku pustego pola?!

Od tego dnia nie chciała już zwracać na siebie jego uwagi. Nie paradowała przed Gedeonem konno, nie próbowała go kusić ani upokarzać. Teraz, gdy tylko zawiesił na niej wzrok, czuła, jak dziwny chłód ściska jej serce. Zabawa z ogniem była skończona.

Lecz nie podejrzewała, że miała okazać się tylko początkiem.

\* \* \*

Kilka dni później, gdy Dydyński pojechał z braćmi do Niewistki, aby załatwić rodzinne sprawy, a Gedeon wyruszył, by z Pełczakiem i Samuelem pełnić straż przy bramie, przyuważyła otwarte drzwi do alkierza, w którym sypiał. I wówczas, nie wiedzieć skąd, pojawiło się w niej pragnienie, aby zajrzeć przez szparę.

A kiedy już zerknęła, zobaczyła ławę, na niej skórzaną sakwę i powyciągane papiery. Natychmiast przypomniała sobie o owym tajemniczym liście, który znalazła u Gedeona wiele dni temu. Jacek powiadał o nim, iż był to dokument spisany po turecku.

Zapragnęła zobaczyć ten papier.

Wiedziała, że to czyste szaleństwo, że nie powinna tego robić, aby nie nawarzyć sobie piwa, którego będzie za dużo na jej niewieścią głowę. A jednak pchnęła drzwi, powoli, ostrożnie...

W dworku panowała cisza. Szawiła wyszedł na zaścianek, Kołodrub, od czasu gdy wstąpił w złote jarzmo małżeńskie, postawił sobie chałupę przy trakcie. Była sama. Przecież zdążyć usłyszeć, jak otwierają się drzwi – pomyślała – wtedy go zaraz schowam. Udam, że nic się nie stało.

Nie mogła oprzeć się pokusie i z bijącym sercem weszła do izby. Czuła, jak spod powiek spływają jej łzy. Wiedziała, że coś się stanie, domyślała się, że to pułapka... A jednak nie mogła się powstrzymać. Czuła się jak łania spoglądająca w drapieżne oczy przyczajonego wilka.

Dokument leżał na samej górze. Teraz, rozwinięty z rulonu, wyglądał dużo mniej groźnie niż wtedy, gdy tylko przelotnie rzuciła nań okiem. Tureckie zawijasy nie

sprawy wrażeń diabelskich charakterów. Jacek miał rację – to było po prostu pohańskie pismo.

Nagle pomiędzy wierszami wijącymi się jak robaczki dostrzegła znajome znaki... Nie można by powiedzieć, aby Konstancji uczono retoryki i łaciny, a prawdę powiedziawszy, jej biegłość w czytaniu i pisaniu ograniczała się do umiejętności złożenia podpisu i znajomości kilku liter, jednak wyraźnie rozpoznawała wstawione w dokumencie nazwisko Dvernyczczy... Dvernyczczy... Dwerniccy?

Tutaj mogło chodzić tylko o jej rodzinę... Pytanie jednak, dlaczego wymieniono ją w owym dokumencie.

Cofnęła się zdumiona, odwróciła ku drzwiom i...

Stał w nich Gedeon. Uśmiechał się krzywo i złowieszczo łypał jedynym okiem. Zupełnie jakby z góry wiedział, co zrobi Konstancja, kiedy on zostawi te papiery na wierzchu.

–Gedeon... Ja...

Bez słowa podszedł do niej i chwycił w objęcia. Mocno, brutalnie, aż krzyknęła z bólu. Miała wrażenie, że zaraz połamie jej wszystkie żebra, zdławi jak niedźwiedź. Nie opierała się przerażona i dygocąca, gdy ją całował, kiedy wielkie, stwardniałe dłonie poczęły gładzić ją po plecach, drzeć pazurami materię jej żupana.

–Nie, nie, nie! – zawołała. – Bła...gam, nie...

Podniósł ją jak dziecko, a potem rzucił na stół, na papiery, na prochnicę z ziołem do podsypki, na szklenice i puchary. Zabrzęczało rozbite szkło, załomotał przewracający się zydel. Wszystko działo się tak wolno i tak szybko... Zupełnie jak we śnie. Panna Dwernicka nie mogła wręcz w to uwierzyć, nie była w stanie pojąć, że Gedeon uczynił coś, czego w głębi duszy wcale nie chciała.

–Puść mnie! Puść! – jęknęła. – Nie czyń mi nic, błagam!

–Jesteś moja! – wycharczał. – Na zawsze! Moja, moja, moja!

Szarpała się i rzucała, biła go pięściami po plecach, po twarzy. Na próżno. Mogła okładać go do woli, bo każdy jej cios działał na Gedeona równie mocno co płatek śniegu opadający na grzbiet rosnącego bojka.

–Coś ty mi uczyniła! – zawył. – Coś ty mi zrobiła, dziewczko. Ja za ciebie... wszystko... Ja oddam ten cały zaścianek! Będę twoim rabem, a ty moją niewolnicą! Ja dla ciebie zemsty na Diabie poniecham! Ale musisz być mi powolna!

Szarpała się, wila i gryzła, rzucała mu w ramionach, nadaremnie stawiając opór. Aż wreszcie jej prawa dłoń napotkała coś szorstkiego i obłego, co dało się chwycić, ścisnąć w rękę...

Uderzyła z zamachu, z całą rozpaczliwą siłą, na jaką było ją stać! To, co chwyciła, okazało się glinianym garnczkiem; Gedeon ryknął śmiechem i nawet nie wyciągnął ręki, aby ją powstrzymać.

Źle zrobił!

Gliniany kaganek roztrzaskał się na pokrytej szramami głowie Gedeona, jak gdyby był to żelazny łeb tarana do rozbijania murów. Oliwa chlusnęła na plecy szlachcica, ściekła na Konstancję i zaraz w jednej chwili zabłysła ogniem i zapaliła się z cichym syknięciem.



Gedeon zawył. Za późno zrozumiał swój błąd. W jednej chwili oderwał ręce od ciała Konstancji, poderwał się na nogi ogarnięty płomieniami.

Nie był głupcem. Rozerwał zapięcie giermaka i w jednej chwili zrzucił go na podłogę. Porwał za wzorzysty kilim na ławie, zarzucił go sobie na łeb, dusząc płomienie, zanim zdążyły dobrać się do jego skóry. A kiedy obrócił się w stronę drzwi, gdy przetarł oczy z lepiałej się, tłustej oliwy, zaklął. Dwernickiej nie było już w izbie.

–Konstancja! – krzyknął z rozpaczą. – Konstancjaaa!

Drzwi w sieni trzasnęły. Na wprost oszalały wypadł z alkierza, rzucił się za dziewczyną. Po drodze przewrócił stępe, wywalił misy, sita i przetaki wiszące na hakach, otworzył furtę kopnięciem, omal nie wywalając jej z zawiasów.

Zeskoczył z ganku prawie pod kopyta Werchatego. Wrzasnął i cofnął się, odruchowo osłaniając twarz lewą ręką. To ocaliło mu życie. Rozpędzony koń odrzucił go w tył, na schody. Padając, Gedeon rozwalił plecami boczną balustradę ganku, zdruzgotał grube deski jak wątle szczapki i wpadł głęboko w śnieg.

Kiedy poderwał się na nogi i wypadł na podwórze, Konstancji już nie było.

–Com ja uczynił?! – załkał rozpaczliwie. – Com ja zrobił najlepszego!

A potem zawył, długo i donośnie, jak wilk zwołujący stado, aby podążało śladami upatrzonyj zwierzyny.

\* \* \*

Pierwszą myślą Konstancji, zaraz po skoku na kulbakę, było uciekać jak najdalej. Wypuściła się zatem w galop, przeskoczyła parkany tam, gdzie były najniższe, a potem pognąła pędem po pokrytych śniegiem polach, łągach i pastwiskach. W ten sposób oddaliła się od Dwernik, przemknęła przez rozlany szeroko strumień, minęła cerkiew Paraskewii i zasypane śniegiem chyże, przeleciała jak upiorzyca obok ukrytych w śnieżnych tumanach pagórków będących w istocie brogami z sianem. Dopiero widok pierwszych poskręcanych buków otrzeźwił ją na tyle, że wstrzymała wodze Werchatego i uświadomiła sobie, że właśnie dotarła do lasów otulających zbocza Łopinnika. A jednak bez namysłu wjechała między drzewa, a potem odnalazła ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta i ruszyła ku górze na zmęczonym, parującym koniu.

Była już noc. Księżyc świecił spoza zasłony mgły, rozświetlając gęstwinę starych, wielkich buków. Rosły prosto jak okrętowe maszty, splatając się nagimi gałęziami w tysięcznych załamaniach i przeplotach. W zwodniczej srebrzystej poświacie zdawały się olbrzymami, a ich ogromne konary wyglądały niczym ramiona wyciągające się ku górze po to, aby już za chwilę spaść z zamachem i zdławić nieproszonego gościa. Pod śniegiem czaiły się korzenie i zdradliwe karpy; Werchaty potykał się o spróchniałe pnie zwalonych drzew, przekraczał połamane gałęzie, kamienie i głązy okryte grubą warstwą lodu, czasami prychał trwożliwie, kiedy gdzieś poza ścieżką przesunął się jakiś cień, gdy mijali tropy niedźwiedzi. Daleko za Ciasną zawył wilk. Odpowiedział mu jeszcze jeden i jeszcze... Ale Konstancja nie zamierzała wracać. Woląta nocne strachy, wilki i upiory Łopinnika od ponownego spotkania z Gedeonem.

Pomimo iż od awantury minęło sporo czasu, ciągle nie ochłonęła z gniewu, żalu i strachu. I dlatego zamiast jechać na Sanok, a potem do Niewistki, do Jacka Dydyńskiego, wodziły ją po ostępach błędnie i biesy, prowadziły duchy i upiory; lecz przede wszystkim wiodła ją po bezdrożach i uroczyskach najgorsza z wiedźm – wściekła jak wilczyca, zraniona niewieścia duma.

Wreszcie Konstancja ujrzała daleko przed sobą mały czerwony płomyk. Nie wiedziała, czy był to water, czy też błędny ogień wzniecony przez propasnyka, ale skierowała się w tamtą stronę. Jechała ostrożnie, z dłonią na rękojeści pistoletu. Ogień w nocy w Bieszczadzie i w środku zimy nie mógł wróżyć niczego dobrego. Wprawdzie dawno minął już święty Michał, skończył się czas, gdy beskidnicy i tołhaje wychodzili na wyprawy; jednak blask płomienia mógł znaczyć, że w Beskidzie znowu pojawili się niewidziani od dawna Tatarzy.

Konstancja ostrożnie podjechała bliżej, wyciągnęła pistolet z olstra, a potem odetchnęła z ulgą. To nie było obozowisko brygantów czy ordyńców, tylko stara chata czarownicy Werłyci, do której często przyjeżdżała po zioła i wróżby.

Konstancja podjechała do watra, ale nigdzie nie dostrzegła wiedźmy. Zeskoczyła z konia, wrzuciła pistolet do olstra, przywiązała wodze Werchatego do wystającej spod śniegu gałęzi, a potem podeszła do niskiej chruścianej chaty okrytej śniegiem od przyciesi aż po sam szczyt dachu. Drzwi były otwarte, ognisko ciągle dymiło – znaczyło to, że wiedźma była w pobliżu.

Konstancja przekroczyła próg i zatrzymała się w miejscu. Werłycia stała na wprost niej oparta o drewnianą ścianę, głowę miała przekręconą na bok i zwieszoną. Nie poruszała się.

Straszne przeczucie pojawiło się w głowie Konstancji. Ostrożnie, krok za krokiem, podeszła do wiedźmy, dotknęła dłonią jej czoła. Było lodowate. Podniosła bezwładną głowę, a wówczas zmroziło ją spojrzenie martwych, nieruchomych oczu czarownicy. Konstancja jęknęła... Kto i dlaczego zabił wiedzącą? Zbóje? Chłopi? Rozbójnicy? I dlaczego pomimo śmierci Werłycia ciągle stała przy ścianie?

Zrozumiała wszystko, gdy tylko spojrzała na jej czuhę i łajbyk pokryte plamami brunatnej posoki. I prawie krzyknęła.

Ktoś przybił Werłycię do ściany wielkimi, pięciocalowymi bretnalami. Wbijał je w żywe ciało, w nogi, brzuch, ręce, szyję, raz za razem, zadając nieszczęsnej okrutną i beznadziejną mękę. Ale kto to zrobił? I dlaczego?! Za co?

Konstancja drgnęła, słysząc szelest przy drzwiach. Obróciła się jak wściekła tygrysica i porwała za szablę. Ale w progu nie ujrzała Gedeona. Stał tam wysoki, młody i gładki szlachcic w rajtroku i kołpaku. Był tak boleśnie, tak okrutnie piękny i spokojny, że aż zadrżała, napotykając spojrzenie jego błękitnych oczu. Oczu, które w ogóle nie przejmowały chłodem ani zimnem. One były po prostu martwe jak u trupa.

– Jesteś wreszcie – powiedział spokojnie. – Długo czekaliśmy, aż wreszcie łania sama do nas przyszła.

Nie trzeba Konstancji szukać

Jeno w bębenek pukać.

Przybieży sama z rana

**Jako owieczka do siana...**

**–zadeklamował. – Chociaż, do diaska, taka z ciebie łania, mościa panno, jak ze mnie święty Stanisław. Ale skoro mamy już waderę – rzekł, unosząc do góry wskazujący palec i potrząsając nim gwałtownie – przyjdzie pora, by osaczyć samego basiora.**

**Konstancja wpadła nań z szablą jak piekielna furia, niby Amazonka, której ubito ukochanego konia. Zdawać by się mogło, że rozwścieczona panna rozsieka nieznanomego na krwawe strzępy, ubije w jednej chwili, iż jego oblicze pod ciosem szabli straci raz na zawsze wrodzoną gładkość i urodę.**

**Uchylił się przed pierwszym ciosem jak przed natrętną muchą. A potem od niechcienia ciął, uderzył z boku, zawiął ostrze w wiatraku, rąbnął dwukrotnie i wyłuskał szablę z dłoni dziewczyny równie łatwo jak zabawkę z ręki dziecka.**

**Dwernicka rzuciła się na niego z pazurami, nie zważając na ostrze w jego rękę.**

**Nie uchylił się. Lekko, jakby od niechcienia, uderzył ją płazem szabli w bok głowy. Konstancja jęknęła. Poczwała się tak, jak gdyby ktoś zgasił latarnię, a cały świat pogrzyżył się w ciemności. Niemal nie czuła, jak wpada na szlachcica, osuwa się na kolana...**

**Do chaty wpadło trzech pacholków. Dwóch młodych, o obliczach wymalowanych barwiczkami, trzeci stary, o pobrużdżonej twarzy oszpeconej kilkoma bliznami. Złapali Dwernicką za ręce, szyję, wykręcili ramiona w tył, unieruchomili w uścisku, przytrzymali.**

**Młody panicz rozsiadł się wygodnie na pieńku ze starej bukowej karpny. Pochylił się i dobył z sakwy gęsie pióro.**

**–Ty jesteś panną, którą miłuje Jacek Dydyński – mruknął. – Nie wiesz, niewiasto, jak bardzo ci zazdroszczę. Czym bowiem jest miłość? Czym strach? Dlaczego ja nigdy jej nie poczułem? Do diabła, ja w ogóle niczego nie czuję. A bardzo bym chciał! Czy ty wiesz, jak wdzięczny jestem losowi, że urodziłem się szlachcicem? Gdybym nim nie był, musiałbym udawać, że miłuję, iż lituję się nad bliźnim, że wzrusza mnie męka Chrystusa i szelmy wieszanego na miejskiej szubienicy. Inaczej wygnano by mnie z rodziny, wypędzono z każdej wioski czy miasta. A ponieważ jestem panem, nie muszę odgrywać żadnej komedii, zakładać maski dobrego samarytanina czy innego kpa. Jestem, uważasz, Konstancjo – samym sobą.**

**Dwernicka milczała, wpatrując się weń z przerażeniem.**

**–Jedno tylko czuję u ludzi – rzekł cicho. – Wasz lęk. Widzę go i bez trudu rozpoznaję, czego się boicie, przed czym drżycie, z jakiego powodu klepiecie modlitwy na kolanach i polecacie duszę Bogu. Nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak wielki to dar. A teraz – rozkazał głosem nieznoszącym sprzeciwu – zobaczmy, czego ty się boisz od małego dziecka. Obnażyć ją! Pokażcie mi jej strach.**

## Rozdział VII

### Bitwa o Dwernicką

**Wstrząsający list Zbójeckie gniazdo Ostrze na ostrze W diabelskich sidłach Piekło  
Podstęp Stadnickiego Niespodziewane uwolnienie Wojna z Łukaszem Opalińskim  
Tajemnica ksiąg sanockich Samozwaniec Ofiara Gedeona Któż zacz Hryń Kardasz?**

Świst strzały zabrzmiał jak zawodzenie upiora. Grot wbił się w drewniany słup ganku, o łokieć od głowy Jacka, i zadygotał. Stolnikowic przyklęknął, kładąc dłoń na rękojeści szabli. Daleko za bramą, za palisadami, którymi obwiedziony był dwór, dostrzegł jeźdźca zawracającego konia w stronę gościńca.

To nie był morderca, lecz posłaniec. Jak legendarny Pandaros spod Troi, w zapadającym mroku posłał pocisk prosto w sam środek słupa i Dydyński był pewien, że strzelec tam właśnie mierzył. Potwierdzał to nadziany na strzałę wbitą w drewno kilkakrotnie złożony skrawek papieru. Jacek złamał drzewce, zdjął list i zbliżył go do oczu. Było zbyt ciemno, cofnął się więc do izby i pochylił nad świecą.

Pismo otwierał wiersz:

Ukaż mi się, o Pani, ukaż twarz swoją,  
Twarz, która prawie wyraża różą oboje  
Ukaż złoty włos powiewny, ukaż swe oczy  
Gwiazdom równe, które prędko krąg nieba toczy...

Panie bracie i przyjacielu mój zacny, mości stolnikowicu sanocki – głosił dalej list. – Wiem ja już, jakowy klejnot waszmość pan w Dwernikach ukrywał tudzież dlaczego tak zawzięcie przeciwko wrogom Dwernickich i ludziom ichmość pana starosty zygwulskiego stawał. Wybacz, waść, iż klejnot ten bez pozwolenia wzięłem w posesyję, jednak blask jego tak jest cudny, że zauroczył mnie od pierwszego wejrzenia. Nie dziwota zatem, że chciałem bliżej jemu przyjrzeć się.

Aby zaś waszmość pan nie myślał, że szutki sobie stroję, pilno podaję, jako klejnot ów nieobiecany wygląda. Liczy on sobie długości trzy łokcie warszawskie bez dwóch cali i czwartej części piędzi, jeśli zaś o szerokość pytasz, tedy dokładnie odpowiadam, że w biodrach będzie tego jakiś łokieć warszawski i dwie ćwierci bez dwóch ziaren, w żywocie jeno dwie stopy bez połowy ziarna – musi głodno bywało ostatnimi czasy na Dwernikach. Na piersi zaś aż z półtorej łokcia i pół dłoni będzie obwiedzenia. Znaczy się, żeś waszmość twardej deski heblować nie musiał.

Ma także waszmości klejnot trzy rzeczy białe, jako powiadają Francuzi: skórę, ręce i zęby. Co zaś się tyczy tych ostatnich – rzecz niespotykana – wszystkie poza dwoma są na swoim miejscu. Trzy rzeczy ma twój kwiatusek czarne – oczy, brwi i rzęsy, trzy zaś rumiane – wargi, lica a paznokietki. I także trzy długie: ciało, włosy a ręce. We włosach zaś nie uświadczysz onej plicae, na którą – wierzaj mi waszmość – nie tylko chłopci nasi chorują. Trzy rzeczy ma krótkie: zęby, uszy a stopy, trzy szerokie: pierś, albo łono, czoło tudzież odstęp między brwiami, a także trzy wąskie: usta – jedno i drugie, kibić a pęcina.

Dalej zasię urodę klejnotu owego kontemplując, rzeknę waszmości, iż drażnięta jego są gibkie i sterczące jako pierś młodej łani. One jabłuszka zwieńczone są także ciemnymi jagodami, aż człowiek ma chęć je zerwać lub wargami i językiem hołubić. A

poniżej lewej piersi, jak waszmość pan dobrze zapewne pamiętasz, jest znamię ciemne, gładkie na skórze, które wszakże nie szpeci, lecz całości obrazu klejnotu dopełnia niby muszka mała, niewinna na limonie soczystym.

Idąc zaś dalej ku dołowi, dochodzimy do smacznego kąska, także łączki przemilej. Trzeba waszmości rzec, iż jest ona jako grzywa jednoroźca niebiańskiego nadobna i wcale nie czarna, ale, jak zapewne waść pamiętasz, nieco rudawa i pokręcona. Wyrasta zaś ku górze z nadobnego pierścienia, potem zasię rozrasta na obie strony – formując jakoby dwie kolumny w tympanonie u świętego Piotra. Łączce owej dobrze żem się przypatrywał i rzeknę waszmości, że dziw to nad dziwy, ale jeszcze nie poita ona konika, wianeczek wszystkim się ostał i na swego rumaka cierpliwie czeka. Wszelako czy to waszej mości wierzchowiec będzie, to już tylko od ciebie zależy.

Nadmienię jeszcze, że nad prawym obojczykiem, prawie że na szyi, obaczyłem na skórze gładkiej jak kitajski jedwab ślady zębów. Czyje są to zęby – nie moja to już sprawa. I nie mnie skrutinium czynić.

Kończąc, przesyłam waszmości pozdrowienia. A jeśli o swój klejnot upomnieć się pragniesz, tedy wiedz, że czekam na ciebie w Hołuczkwie, w karczmie pana Ramułta. Chętnie pola dam ci z szablą w rękę, a jeśli położyć mnie zdołasz, tedy sobie diament ów cudny, choć nieoszlifowany odbierzesz. Jeśli ci się nie pofortuni, tedy wiedz, że dopytuje się ciągle o ciebie nasz wspólny znajomy, pan starosta zygwulski, który wielce pragnie cię w Łańcucie ugościć.

Jeśli zaś, panie bracie, nie przyjedziesz do Hołuczkwia sam, bez czeladzi i pacholków, jeno z większą kompaniją, lub też komuś postronnemu się wygadasz, tedy bądź pewien, że klejnot swój obaczysz nie gdzie indziej, jeno na zaponie sułtana tureckiego albo carza krymskiego. I ma się rozumieć, iż odebrać będziesz musiał go w Bahczysaraju albo Stambule.

Niechże mnie Wszehmocny Pan Bóg z Najświętszą Panią uchwata od tego, abym ja dobre chrześcijanki miał w niewolę sprzedawać, jako niecnota zbój Kardasz, o którym musiałeś słyszeć. Ale schodzą się tu do mniepobereźnicy i złodziejskie wydzierki, którzy na klejnocik twój wielce są zawzięci. Może tedy stać się, że go nie upilnuję.

Sługa uniżony Aleksander Sienieński

Dan w Hołuczkwie die 3 februarii 1608

Z listu wypadło coś jeszcze. Grube, czarne ptasie pióro. Stolnikowic podniósł je do oczu zdumiony. A potem rzucił na ziemię, zmiął list w grubą kulę papieru, zgniótł w strasznym uścisku. Zerwał się od stołu, przewracając świecę, rzeźbione krzesło i puchar z winem.

–Skurwysyn! – jęknął i złapał się za głowę.

O Boże, nie wiedział, co czynić! Nie spodziewał się, że tak poruszy go list Sienieńskiego. Nie myślał, że wieść o porwaniu panny Dwernickiej zaboli gorzej niż cios tatarskim kindżalem prosto w serce, będzie gorszym cierpieniem niż piętnowanie rozpalonym żelazem. Jezu Chryste, to wszystko była jego wina! Dlaczego wyjechał, po co ją tam zostawił?! I czy, do diabła, Gedeon nie był w stanie

**upilnować jednej młodej dziewczki?!**

**Upilnować! – pomyślał po chwili z goryczą. Równie dobrze można było próbować złapać wiatr w polu albo rączą łanię za ogon. Zapewne uparła się, aby przejechać konia, upić się wiatrem i słońcem na łąkach i polach, poszaleć po dolinach i upłazach. I poszalała – na arkanie Sienieńskiego.**

**Kiedy tylko pomyślał, co ten szaleniec jest w stanie uczynić jego umiłowanej Konstancji, aż zawył z bóleści. Przygryzł wargi niemal do krwi, szarpał węża, bił się w czoło. I główkował.**

**Niewiele, prawdę mówiąc, wymyślił. Zresztą nic tu nie było do myślenia – raczej do zrobienia. Sienieński trzymał go jak rybę w saku. Niczym dorodnego szczupaka, którego wystarczy zdzielić kijem w łeb i podać na półmisku Jaśnie Oświeconemu panu Diabłu Stadnickiemu. Który to Jaśnie Oświecony Diabeł z wdziękiem odgryzie szczupakowi łeb. Raz na zawsze.**

**Co miał zrobić? Co czynić?**

**Nie miał wyjścia. Nie mógł powiedzieć o tym Gedeonowi, bo ów nigdy nie puściłby go do Hołuczkowa samego. Nie mógł pojawić się tam z braćmi, bo nigdy nie ujrzałby Konstancji. Nie mógł nawet podzielić się tym z Mikołajem czy Zygmuntem, bo Dydyńscy prędzej zamknęliby go w loszku, niż pozwolili na taką wyprawę.**

**Nie było rady – musiał samotnie przeciwstawić się przeznaczeniu. Ale to było szaleństwo; wiedział, że pcha się w pułapkę, w śmiertelną paść, z której nie sposób wyjść inaczej jak pokąsanym przez wściekłego psa.**

**A jednak nie mógł zostawić Konstancji w łapach Sienieńskiego. Oszalał na samo wspomnienie tego, iż sługa Stadnickiego mógł wziąć ją siłą, a potem ze śmiechem oddać Dydyńskiemu, jak imć Pamiętowski z Rozłucza, który odtrącony na konkurach odebrał panu Tyszkowskiemu świeżo poślubioną żonę, pohańbił ją, a potem odesłał ze wzgardą. Na samą myśl o czymś takim Dydyński toczył pianę z ust. Wiedział tylko jedno: Sienieński był już trupem, skoro poważył się, aby podnieść rękę na jego pannę. Był śmierdzącym, rozkładającym się zewłokiem, jak umarli i upiory na obrazach w kościele w Tarłowie. A to, że miał sługi i przyjaciół, liczyło się tyle, że Dydyński będzie miał kilka ludzkich żywotów więcej na sumieniu. Stolnikowic musiał tylko pojechać do Hołuczkowa i zabić go.**

**Jacek nad Jackami był na to gotowy. List sprawił, że umiłował Konstancję jak żrenicę własnego oka.**

**\* \* \***

**Hołuczków, położony na trakcie między Tyrawą Solną a Tyrawą Małą, był zbójckim gniazdem zaludnianym przez szlachetnie urodzonych hultajów wszelkiej maści i autoramentu. W Ziemi Sanockiej wszystko podzielone było bowiem wedle praw i przywilejów Rzeczypospolitej, jak w żydowskiej karczmie, a herbowi swawolnicy nie pospolitowali się z rabusiami plebejskiej kondycji. Tołhaje i beskidnicy mieli swoje zbójckie dziuple, kryjówki i zimowiska w Sturzycy i Polanie pod Bieszczadem. A szlachcice wyjęci spod prawa znajdowali schronienie i opiekę w Hołuczku, w karczmie u Jana Ramuła oraz w Gwoźnicy, gdzie miał swoje leże Paweł Zaklika, banita, infamis, swawolnik i wichrzyciel.**

Z bliska Hołuczków robił wrażenie małego miasteczka. Były tu dwie karczmy, parę chłopskich chałup, jeszcze więcej szop, lamusów i składów. Na Ukrainie taki przysiółek mógł uchodzić za mały Kraków, jednak ponieważ postawiono go na Rusi, w sąsiedztwie Sanoka i Przemyśla, był tylko Hołuczkowem.

Starosta grodowy z Sanoka rzadko pojawiał się w wiosce, a jeśli już, to z przytupem, z milicją dworską, kozakami, czasem nawet z powiatowym pospolitym ruszeniem i w towarzystwie zacnych pań śmigownic. Jego wjazd zazwyczaj odbywał się z taką pompą i zwadą, że nawet w Sanoku, Dynowie i Przemyślu bito we dzwony, myśląc, że oto nadchodzi orda. Starosta zwykle wyciągnął stąd za czuprynę jednego czy dwóch banitów, których później podgalali na czerwonym suknie kaci w Sanoku i Lisku. Potem zaś na jakiś czas spokój wracał znowu na trakty i gościńce Rusi. Przynajmniej do chwili, gdy do Hołuczkiwa nie zawitali kolejni wywołańcy i infamisi spragnieni uciech i zawartości kupieckich wozów.

We wsi należącej do Ramuła znajdował schronienie szlachetnie urodzony zbój z Bieszczadu, swawolny żołnierz ścigany przez prawo, szlachcic, któremu nie pofortuniło się w zwadzie czy zbrojnej napaści. Tu trafiali Lipkowie i swawolna, buntownicza czeladź. A także wszyscy ci rębacze i zawalidrogi, którzy chętnie i bez wyrzutów sumienia odmieniali ludzkie żywoty na portrety Jaśnie Miłościwego Króla Zygmunta bite na poznańskich i gdańskich dukatach. Przy nich zaś wieszala się rozbójnicza hałastrza ludzi, którzy chcieli dorobić się szybkiej fortuny na fantazji panów braci rzucających talary i floreny sługom i ladacznicom. Byli to Żydzi, Ormianie i lichwiarze skupujący za bezcen ornaty i pateny połupione z kościołów, odkupujący klejnoty, stroje i broń zagrabioną w czasie zajazdów, herbowe pierścienie, w których tkwiły jeszcze oberżnięte palce poprzednich właścicieli. Pasy, szuby, delie i kołpaki z krwawymi dziurami po kulach i cięciach szabel. Do Hołuczkiwa udawał się Szot domokrażca, gdy chciał na jakiś czas zamienić swój kram na pałasz, szlachcic chudopacholek szukający służby u możnego awanturnika, rębajło żyjący z podgalania łbów i wąsów panów braci. Tutaj przyjeżdżał obywatel werbujący ludzi do pomocy w urządzeniu zajazdu lub przetrzepaniu skóry znienawidzonemu sąsiadowi, mnich demeryt zbiegły z klasztoru i sprzedajne dziewczki marzące o losie wielmożnej meretrycy z łaski możnych polskich panów tudzież ich herbowych kusiów.

Kolorowy tłum zaludniał od świtu do zmierzchu karczmy, siola i opłotki wioski. Dlatego Dydyński porzucił myśl o przebraniu się. Inna rzecz, iż aby wyróżnić się z tłumem w Hołuczkiwie, trzeba by chyba włożyć na łeb turecki turban, ustroić się w ornaty, chadzać poprzedzany przez sześć kurew z trąbami i powiewać chorągwią z wizerunkiem Matki Boskiej Ludźmierskiej.

Los jednak spletał mu figla. Stolnikowic miał nadzieję, że uda mu się odnaleźć karczmę, w której stanął Sienieński, bez zwracania na siebie uwagi. Tymczasem już na gościńcu przed wioską czekał na niego sam Ramułt w towarzystwie trzech pocztowych. Dydyński pozdrowił go z daleka, wyminął i dalej jechał swoją drogą, jednak szelma i frant nie dał się wykpić – zawrócił konia i zrównał się z wierzchowcem pana stolnikowica.

–Mości panie Dydyński – rzekł cicho – nie jedźże do Hołuczkowa.

–Tak? A niby dlaczego?

–Bo tam w mojej karczmie stoi ichmość Sienieński. A kto to jest Sienieński, to już na pewno waści wiadomo.

–I cóż z tego?

–To, że on tam czeka na waszmości.

–Zatem się z nim spotkam. A waszmość co się frasujesz?

–Bo zginiesz.

–To się waszmość powinienes radować. Będziesz dobrze Sienieńskiemu służyć, dwójniaki lać do kuśtyków, tedy ci da moją głowę odwieźć do Łańcuta. A pan starosta nie poskąpi za nią musztułka.

–Nie służę Stadnickiemu – mruknął zafrasowany Ramułt. – Nie jestem niczym pachółkiem.

–A może jeszcze do klasztoru chcesz wstąpić?

–Jeno guzy wyniosłem z tej służby, panie bracie. Po ostatniej zwadzie w Jotryłowie za Dynowem, u pani Salomei Bełchackiej, powiedziałem sobie, że koniec i basta! Przecież mam ja mój Hołuczków, nie potrzebuję po dworach szczęścia szukać.

–A ja już wiem, kto waszmości na dobrą drogę nawrócił – mruknął Dydyński. – Twarde pięści pana Gedeona Dwernickiego. Solidnie poszczerbił waści kompaniję, aż w szpitalu u Świętego Ducha cztery niedziele w betach leżeliście.

Ramułt przeżegnał się nabożnie.

–Jezus Maria – wykrztusił. – Abyś tego imienia w złą godzinę nie wymówił, panie bracie. Toż to prawdziwy bies z piekła rodem. Druhowi mojemu głowę odrąbał, mnie porąbał, pachółków posiekł, psi syn. Oj, zbrzydła mi wówczas kompanija pana starosty i już do Łańcuta wracać nie chcę. Cóż jednak z tego, jeśli być może wkrótce wszyscy w obozie Diabła się spotkamy.

–Jak moglibyśmy się spotkać, skoro zarówno ja, jak i waszmość tyle zważamy na niego co na szczekanie psa?

–Stadnicki szykuje się do rozprawy ze starostą leżajskim. Mało mu swoich ludzi łańcuckich, więc chce jeszcze zmusić szlachtę przemyską i sanocką, aby mu stanęła jak na pospolite ruszenie!

–Jak to? Przecież to gwałt! Bezprawie jawne! Jak myśli to uczynić?!

–Prawem i lewem. Z pozwem w jednym, a szablą w drugim ręku. Porozsyłał już listy do okolicznej szlachty, w których żąda pomocy przeciwko Opalińskiemu. Jeśli dojdzie do wojny, a to rzecz pewna jako amen w pacierzu, wszyscy mają stawać z pocztami pod Czarną i iść pod rozkazy jego poruczników, jak na Tatarów albo na Wołoszę.

–Już widzę, jak go posłuchają.

–Posłuchają, posłuchają. Kto się na wici nie stawia, w tego folwarkach i włościach niebo i ziemię Stadnicki zostawi. To rzecz pewna, że cała okoliczna szlachta się nie zjedzie, zwłaszcza że większa część pójdzie lub już poszła na służbę do Opalińskiego. Ale bliskich sąsiadów Diabeł trzyma w strachu i ci – *volens nolens* – wyruszą, aby się bić za niego.



–Dziękuję waszmości za wieści.

–Podziękujesz mi najlepiej, jeśli zaniechasz wyprawy. Sienieński naprawdę chce cię zabić.

–Moja w tym głowa, nie waszmości.

–Ja z dobrego serca ostrzegam.

–Czy jest może w Hołuczkwie jakaś panna? Młoda, krasna, z czarnymi warkoczami? Nie przywiózł jej Sienieński?

Ramułt nachylił się do ucha Dydyńskiego.

–Jest, jest, panie bracie. W karczmie Pod Lipą. Ale Sienieński jej okrutnie pilnuje, bo ma ze sobą poza poczem kilkunastu hajduków z Łańcuta i Zegarta.

–Zegart też jest? No proszę, całkiem zacna kompanija. Kogo tu jeszcze brakuje? Judasza Iskarioty? Beryndy? Mego brata Przeclawa?

–Waszmość zawróć... Ja proszę.

–Nie, panie Ramułt. Nie mogę.

–Tedy ja się oddalam – rzucił pośpiesznie szlachcic – niebezpiecznie będzie, jeśli kto mnie zobaczy z tobą.

–Z Bogiem.

W chwilę później Dydyński wjechał w opłotki Hołuczkwowa, między chaty, kramy, szopy. Mimo iż zima była w całej pełni, a od rana mróz malował na błonach i szklanych gomółkach okien wzory piękniejsze niż koronki u pludrackich koszul, kręciło się sporo szlachty, przekupniów i Żydów. A kiedy stolnikowic sanocki podjechał bliżej, wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Panowie bracia, czeladnicy, pacholkiwie, murwy, kramarze i chłopci odsuwali mu się z drogi, czyniąc przejście, rozchodzili pod płoty i podcienia, obracali głowy w stronę niezapowiedzianego przybysza. Rozmowy, krotochwile i śmiechy urywały się jak ucięte nożem. Ladacznice przestawały zabawiać swoich gachów, Żydzi, Szoci i Ormianie kończyli targowanie, zawalidrogi i rębacze podrywali głowy znad mis z polewką i glinianych kufli z piwem. Wszędzie, gdzie pojawił się stolnikowic, zapadała złowieszcza cisza, jak gdyby upiór wstały z grobu przyjechał do wioski z własną głową w rękę.

Wszyscy wiedzieli, po co przybył Dydyński i co się będzie działo w Hołuczkwie. Czekali zatem w milczeniu i patrzyli.

Jacek nad Jackami jechał środkiem traktu, rozparty wygodnie w kulbace, z ręką wspartą na biodrze, jak polski pan i posesjonat. A w jego głowie zakiełkowała myśl, że jeśli nawet przyjechał tu po śmierć, tedy w kondukcje odprowadzą go osoby, które trudno było wyrzucić z pamięci. Stolnikowic bez trudu poznawał hultajów, awanturników i brygantów, którzy kulili się pod sobotami, wyglądali zaciekawieni z okien i drzwi. W tłumie herbowych ludzi dostrzegał oznaczone bliznami oblicza dwóch najmłodszych Rosińskich z Teleśnicy – Piotra i Jana – górskich zbójców, z którymi miał niedokończone porachunki. W najlepszej komitywie pił z nimi Mikołaj Tarnawski z Zagórza, hultaj i paliwoda, swawolnik i rozpustnik, najbliższy komilton i kochanek kasztelana Stadnickiego z Liska. Człowiek, który trzy lata temu doprowadził do wielkiej wojny pomiędzy Stadnickimi a referendarzem koronnym

**Drohojowskim.**

**Dydyński jechał dalej, widząc grymasy wściekłości lub zdumienia na twarzach niektórych panów braci, oglądając uchylające się czapki i kołpaki lub dłonie chwytające za szable. Widział, jak otworzyły się drzwi pierwszej z karczem i stanął w nich niski, gruby jegomość o czerwonawej gębie, spoglądający ze złośliwym uśmiechem na stolnikowica. Był to Jerzy Krasicki z Dubiecka – warchoł, pieniacz i awanturnik wojujący ze wszystkimi sąsiadami, słabujący na umyśle, zwany na sejmikach i po karczmach Grandzadzą. Tego Dydyński porąbał kiedyś w Krakowie, pod Wawelem, w zwadzie o nierządną dziewczkę. Starosta poprzysiągł mu zemstę, nie mogąc jednak dorównać sławnemu Jackowi nad Jackami w szabli, wyżywał się protestacjami tudzież w miotaniu na głowę stolnikowica przekleństw i kalumni. A także wpisywaniem do ksiąg grodzkich pozwów sążnistych i długich jak pogrzebowe epitafia, w których miażdżył na pył, bijał, łomotał i eunuszył swego adwersarza.**

**Dalej w tłumie szlachetków wyległ na ulice pan Andrzej Fredro – szlachcic możny i bogaty, sławny burda i zawalidroga, który nie wiadomo co robił w Hołuczkwie w kompanii brygantów, frantów i judaszów. Za nim stał jego sługa – Murzyn odziany w delię i aksamitny żupan, którego to pacholka Fredro zakupił sobie na bazarze w Kaffie. Był to jego najwierniejszy stronnik, a w dodatku wydmikufel i rębajło, który wszczął niejedną zwadę, pojedynkę i awanturę. A ponieważ był także sławnym na cały powiat jebaką, nie dziwota, że porodziło się po nim ongiś wśród przemyskich ladacznic kilkoro dzieci czarnych jak smoła. A i niejednen sąsiad pana Fredry z trwogą zaglądał do kołyski po połogu żonki. Dalej zaś w szeregach czeladzi, Kozaków i Lipków, dotrzymał pan Dydyński kaprawe i poszczerbione gęby kolejnych już przedstawicieli rozrodzonego szeroko na Rusi rodu Żurakowskich, którzy nie wiadomo skąd wzięli się w Hołuczkwie, skoro większość z nich pokutowała po wieżach starościńskich, a reszta nie wykurowała się jeszcze po łaźni, jaką sprawił im Gedeon w klasztorze Ojców Bernardynów w Przeworsku. Może zatem ci tutaj po prostu spadli panu Twardowskiemu z Księżyca? Zresztą Żurakowskich zawsze wszędzie było pełno.**

**W miarę jak Dydyński zbliżał się do karczmy Pod Lipą, coraz to nowi panowie bracia wychodzili na jego spotkanie. Już z daleka wygrażali mu dwaj bracia Rytarowscy, rabusie z gościńców, zabójcy Wawrzyńca Wessla w Bańkowej Wiszni, których Dydyński, wynajęty przez wdowę, nie tylko wybrał z Gwoźnicy jak ślepe kocięta, ale na dokładkę posłał do wieży na rok i dwanaście niedziel pokuty, a najstarszego Mikołaja – na katowski szafot, gdzie szlachcic dał głowę katu na czerwonym suknie.**

**Za Rytarowskimi cisnęła się sroga, obszarpana czeladź i szlachecka gołota. Ci wszyscy Sękowscy, Kadłubiccy, Dąbscy, Rybczyńscy, Komarniccy, Jaworscy, Terleccy, Wysoczańscy, Zagwojscy, Czernieccy i Berezowscy, którzy gotowi byli każdego zdradzić, wszystko zaprzedać, zabić szlachcica dla pary dobrych butów czy rycerskiego pasa, własną matkę oddać w tatarską niewolę za dwa szelągi oraz garniec piwa i jeszcze chwalić się tym przed kompaniami. To właśnie była owa rzesza szlachecka, która najmowała się do zajazdów i raptów, do zwad i waśni, czasem**

odpływała pod chorągwie tatarskie, wołoskie i wolontarskie, bo żadnego z tych zgołociałych szlachciców nie stać było na poczet i porządnego konia. Z nich właśnie tworzyły się złowieszcze kupy swawolne terroryzujące spokojnych włościan i obywateli, oni brali udział w wyprawach na Wołoszczyznę, rumacjach i zbrojnych demonstracjach, łupili dwory, rozbijali skrzynie i sklepy, krzywdzili dziewczki i szlachcianki, a zwykle kończyli gdzieś na stepie albo na gościńcu umierający z ran od kuli, pałasza bądź tatarskiej strzały. Nie wszyscy patrzyli miło na Dydyńskiego. Jednak żadna szabla nie wyskoczyła z pochwy, nikt nie sięgnął po rusznicę, nie porwał za półhaka, garłacz czy pistolet. Sienieński był pierwszy, a oni wszyscy – zgołociali *et odardi*, nie śmieli iść przed jaśnie wielmożnego pana z Pomorza. Czekali zatem jak szakale i hieny, bacząc, czy ze zdobyczy da się uszczknąć jakiś kęs dla siebie. Dydyński wiedział, iż jeśli wygra, będą pić jego zdrowie do niedzieli, a co drugi ofiaruje mu swą szablę na usługi. Lecz jeśli przegra, rzucą się na jego dogorywającego trupa jak dworskie psy na konającego z głodu wilka.

Aleksander Sienieński czekał na niego w sobotach starej karczmy Ramuła, w otoczeniu swoich ludzi oraz hajduków Diabła Łańcuckiego, spokojny, piękny i opanowany. Tuż obok stali jego dwaj pachołkowie, przy czym ten bardziej poszczerbiony obejmował młodszego jak chłop babę. Dydyński poznał ich od razu. To był Piotr Krzysztoporski i jego sługa Gerwazy Mniński zwany Aramisem. Para morderców połączona sodomicką namiętnością do męskiego ciała. Dydyński słyszał, że równie wprawni byli w uprawianiu tureckiej miłości i niewoleniu młodych chłopców co w przecinaniu nici ludzkich żywotów. A najgorsze, że w ich towarzystwie nikt nie mógł być pewien nie tylko zdrowia, ale także całości swego siedzenia. Stolnikowic domyślał się, że po przybyciu do Hołuczkiwa znieważano ich i wyśmiewano. Wszystko jednak do czasu, gdy padł pierwszy trup, bo teraz nie spostrzegął, aby ktoś choć zerknął krzywo na ich diabelskie karesy. A tak prawdę mówiąc, trupów pozostawionych za sobą przez tę parę sodomitów uzbierałoby się już ze dwie krypty. I to takie solidne jak w kościołach krakowskich.

Ciekawe, że nigdzie nie było widać Przeclawa, a przecież młody judasz Dydyński nie powinien darować sobie kolejnej okazji do upokorzenia brata – zwłaszcza po klęsce, która spotkała go na przeprawie pod Sobieniem. A jednak stolnikowic nigdzie nie dostrzegł jego ponurej gęby.

W zamian za to zobaczył starą kolasę nakrytą porwanym płótnem, pod którym rysowały się dziwne, podłużne kształty. Trupy? Martwe ciała? Nie było to nic szczególnego w Hołuczkiwie.

–Witam, panie Dydyński! – rzekł Sienieński. – Zaiste nie ufali moi ludzie, że waszmość sam przyjedziesz, kazali hajduków ściągnąć, czeladź z rusznicami. A ja przecie wierzyłem, że pan stolnikowic swój honor ma. I panny na szwank nie wystawi!

–Gdzie Dwernicka?! Chcę ją zobaczyć!

–Ręczę słowem, że jest cała i zdrowa.

–Muszę ją widzieć! Inaczej nici z naszej umowy, mości panie!

–Hola, mości Dydyński! – zaprotestował Sienieński. – Czy ja dobrze słyszę? Sam

tu jesteś, a nas prawie chorągiew. Nie myślisz chyba nam tu rozkazywać. Zważ, że nie chcę cię z zastupia zastrzelić, ale po kawalersku dać pole z żelazem w rękę.

–Choćbym sam jeden na pułk miał uderzyć – Dydyński położył dłoń na szabli – nie stanę z tobą do walki, dopóki się nie przekonam, że panna Konstancja jest cała i zdrowa!

Sienieński skinął na hajduków. Po chwili dwóch rosyłych drabów wypchnęło z izby młodą niewiastę. Dydyński wyteżył wzrok...

Konstancja!

Dziewczyna poznała go od razu. Była blada, z wielkimi sińcami pod oczyma, podrapana i poobijana; w jej żupaniku brakowało połowy guzów, jeden rękaw zwisał naderwany, włosy były rozpuszczone, potargane i pokryte zakrzepłą krwią. Widać okazała się równie potulna co wzięta żywcem lwica. Dydyński z satysfakcją odnotował, że wśród hajduków Stadnickiego były już pewne straty. Jeden z pilnujących jej drabów miał podbite oko, zaś nos drugiego był przestawiony na bok jak żelazny kogut na wieży ratusza po wichurze. A na policzku trzeciego sługi widniały świeże ślady zębów.

Ot i cała Konstancja Dwernicka!

Dziewczyna szarpnęła się w ramionach hajduków, jej oczy zaszklily się łzami.

–Jacek! – krzyknęła, ale Sienieński podniósł rękę ostrzegawczym gestem.

Konstancja zamarła. Nie wydała już z siebie żadnego głosu, choć przecież nie zatkał jej ust ręką. Dydyński widział, jak zadygotała i zamiast wyrwać się z rąk hajduków, cofnęła wstecz. No cóż, Sienieńskiego strach się było bać.

–Panna jest żywa i zdrowa – rzekł rębajło do Dydyńskiego. – Tak jak obiecywałem. Nieco obita, ale jak sam rozumiesz waszmość, na tak ognistą klacz potrzeba ostrego munsztuka.

Jacek Dydyński zamarł wpatrzony w dziewczynę. Konstancja! Konstancja! – zawyło coś w głębi jego duszy. Teraz, kiedy widział jej bladą, wymizerowaną twarzyczkę, niemal dzielił strach i lęk miotający dziewczyną, poczuł tak straszną wściekłość, iż zdawałoby się, że jeszcze chwila, a nie wytrzyma, porwie za szablę i rzuci się na całą sforę służalców Diabła Łańcuckiego, choćby go mieli porąbać na sztuki!

Bez słowa zeskoczył z konia, klepnął zwierzę po zadzie, zrzucił delię i cisnął ją na śnieg zryty kopytami wierzchowców, założył za pas poły żupana.

–Stawaj, waść! – wycharczał ze złością. – Tutaj, zaraz!

Zimny uśmiech wykrzywił piękne oblicze Sienieńskiego. Zszedł w dół po stopniach, wolno, nie śpiesząc się.

–Ot, widzę, panie Dydyński, że doprawdy kawalerska w tobie fantazja. Mości panowie! – zakrzyknął do obecnych. – Wszystkich jak tu jesteście biorę na świadki, że jeśli pan Dydyński mnie pokona, wolno mu będzie z panną Dwernicką odjechać – choćby na koniec świata. Zrozumieliście?!

Starczyło, by Krzysztoporski i Aramis pokiwali głowami, a Dydyński wiedział już, że jego wróg nie łągał. Nigdy nie słyszał, aby ktoś kiedykolwiek kwestionował rozkazy Sienieńskiego, gdyż groziło to wielkim uszczerbkiem na zdrowiu. Ze swojej strony

zaś miał nadzieję, że dotyczyło to również tych poleceń, które miały zostać wykonane pośmiertnie. Nie przewidywał wszak, aby ten pojedynek miał zakończyć się inaczej niż klęską jego wroga.

Dydyński porwał za czarną szablę bojową. Z cichym szmerem ostrze wyskoczyło z pochwy, zabłysło w zimowym słońcu, smukłe, łagodnie zakrzywione, dość szerokie, lecz zaopatrzone w bruzdę i trzy strudżyny – z czego jedną w tylcu. Oprawione było w czarną rękojeść zaopatrzoną w paluch, jelce i szeroki kabłąk dochodzący niemal do samej główicy.

Sienieński szedł w jego stronę powoli, bez zbytecznego pośpiechu. Nie wyciągnął jeszcze broni.

–Ile ja słyszałem o waszmości – rzekł. – Sławny pan Dydyński w powiecie, w Ziemi Sanockiej, w województwie. Honorowy, dzielny, zacny, bez trwogi. Wielu takich było przed tobą, panie bracie. Wszystkich ich zabiłem.

–Stawaj! – wycharczał Dydyński.

Łopot skrzydeł zaskoczył stolnikowica. Czarny kruk przysiadł na ramieniu Sienieńskiego, przyjrzał się Jackowi nad Jackami mrocznymi paciorkami oczu. Do diabła?! Co to miało znaczyć?

Dydyński odrazu przypomniał sobie straszne zdarzenie spod szubienicy, trupy dziobane przez ptactwo, ten ruch i rumor, który zbudził się wśród ścierwojadów, gdy podjechali bliżej razem z ojcem. Kruki... Teraz je zobaczył! Całe stado krążyło nad Hołuczkiem jakby nad polem przyszłej bitwy. A pan stolnikowic już domyślał się, jaką rolę wyznaczono im w misterium, którego głównymi bohaterami byli on i Konstancja.

–Strach, proszę waszmości – rzekł Sienieński, a potem pogładził kruka po grzbiecie lewą ręką – jest okrutny. Strach może przydarzyć się najmężniejszemu rycerzowi. Najwaleczniejszemu towarzyszowi wojskowemu. Czuję twój lęk, panie bracie. Poczulem go wtedy, gdyśmy spotkali się w grodzie w Sanoku...

Kruk wpatrywał się szyderczo w stolnikowica. Czyżby już wiedział, jak zakończy się pojedynek? Czy szykował się, aby z resztą swoich braci spaść na świeże, jeszcze ciepłe ciało Dydyńskiego i poszukać owych dwóch najsmakowitszych kęsów – ludzkich oczu?

Ptak rozłożył skrzydła, zakrakał i odleciał. A potem nie było już mrocznego ptaka, nie było jego czarnych jak noc oczu... Był Sienieński, który właśnie – Dydyński oglądał jego ruchy jakoby we śnie – pędził wprost na stolnikowica. Jacek nad Jackami widział lśniące ostrze jego węgierki zaopatrzone w pióro i sterczący młotek, zwieńczone rękojeścią o pochylonej ku przodowi główicy, z łańcuszkiem odchodzącym od krzyżowego jelca... Szabla płynęła wolno w powietrzu, tnąc z zamachu wykonanego obrotowym ruchem ręki Sienieńskiego. Szła w górę, była coraz bliżej, wznosiła się... Na chwilę przesłoniła blask dalekiego zimowego słońca...

Furkot ostrza rozdzierającego powietrze!

Brzęk zimnej stali.

Dydyński sparował z rozmachem cięcie zadane piekielnym polskim atakiem, z podlewu wrąb, zastawił się szablą niemal w ostatniej chwili, osłaniając czoło, które

już, już rozłupać miała krzywa węgierka Sienieńskiego! Przyciął wroga wlic, krótko, szybko, z łokcia... Przeciwnik nie był głupcem. Mając lepszą pozycję po łukowym ciosie, nie przyjął ostrza na zwykłą zastawę, lecz sparował cięcie odbiciem, tnąc z całych sił brzuścem w sztych czarnej szabli stolnikowica.

Rękojeść aż zadrżała Dydyńskiemu w ręku. Sprawnie uskoczył w bok, poprawił wnik, krótkim, błyskawicznym cięciem z nadgarstka rąbnął wroga w kiść i posłał szybką odpowiedź, jeszcze zanim nadeszło kolejne uderzenie.

Chlastali się i uderzali trudnymi do wychwycenia cięciami, wypróbując słabości i niezręczności przeciwnika. Dydyński uderzył w kiść, Sienieński zripostował wręcz, stolnikowic odpowiedział wnik, dostał cios wklet i sam przyciął wlew. Ruchy walczących stawały się coraz szybsze, a oddechy coraz bardziej świszczące. Rozgrzewali się, rozpędzali, szykując do prawdziwej walki.

Sienieński zaczął jako pierwszy – tnąc z łokcia węg, przekręcił rękojeść szabli pionowo, chlasnął Dydyńskiego po łuku, na odlew, próbując podstępnego zwodu. Stolnikowic przyjął wyzwanie – zamiast zastawiać się, opadł w dół, skurczył na przygiętych nogach, a jednocześnie, przepuszczając ostrze wroga nad głową, wyskoczył w przód z prostym cięciem wkłęb!

Sienieński zawinął się niemal w ostatniej chwili. Umknął spod ostrza w momencie, gdy szabla Dydyńskiego przecięła skrawek cholewy jego safianowego buta. Od razu wyprowadził szerokie, zamachowe cięcie wzerk, chcąc od jednego ciosu zdjąć łeb stolnikowica z ramion jak dojrzałą dynię. Dydyński zasłonił się, trzymając szablę obróconą ostrzem w górę, a potem niespodziewanie zawinął w miejscu, zakręcił w rzadko spotykanym piruecie, tnąc węg z zamachu i dodając do potęgi ciosu całą siłę obrotu swego ciała.

A kiedy wyprowadzał uderzenie, szybko jak błyskawica złączył obie dłonie na rękojeści, tnąc Sienieńskiego strasznym podwójnym trybunalskim uderzeniem w łeb lub w pierś.

Śmierć musnęła Aleksandra o włos. Zdmuchnęła mu kołpak z łba, ścięła z rozmachem pęk czaplich piór przy trzęsieniu. Dydyński chybił – bo w tejże samej chwili usłyszał łopot skrzydeł tuż obok swojej głowy...

Sienieński wrzasnął tryumfująco – zakończył sprawę unikiem z jednoczesnym cięciem węg. Stolnikowic ledwie odbił ten cios. Kruk przemknął mu nad lewym uchem, a szlachcic wstrząsnął się przerażony, spodziewając się, że lada chwila pazury rozorają mu twarz, a potem odskoczył w tył.

Aleksander z Pomorzan runął nań, zasypując gradem ciosów. Ciął na odlew, zbił kontruderzenie, przyciął z podlewu i znowu na odlew. Dydyński składał zastawy odruchowo. Nie mógł jednak skupić się na walce, bo przeklęty kruk ciągle krążył wokół niego, łopocąc złowieszczo skrzydłami. Przemknął nad głową szlachcica, muskając jego brew, załopotał pod pachą, przeciągnął pazurami po plecach. Był blisko, zbyt blisko – atakował i nawracał, uciekał i ponawiał swe podstępne starania. Dydyński doskonale zdawał sobie sprawę z tego, iż potężny, zrogowaciały dziób bestii poluje na jego zielone, błyskające gniewem oczy. Że jeszcze chwila, a straci wzrok, a wówczas ten przeklęty diabeł Sienieński wypruje z niego bebechy, pośle

wprost w objęcia aniołów, z których żaden nie przypominał Konstancji. Na razie bez trudu odbijał proste ataki wroga. Odlew, podlew, odlew, podlew. Cięcie, zastawa, zastawa, cięcie...

A potem zamiast na odlew Sienieński rąbnął z całych sił wręb, wyszczerzywszy swe zęby białe jak perełki!

Jacek nie zdążył się zastawić, jego ręka, przyzwyczajona do odbijania cięcia na odlew, sama, niemal zupełnie sama przesunęła się do piątej zastawy... Może uniknąłby ciosu, gdyby ptak nie spadł na niego z góry, jego pazury nie zahaczyły o szyję, a gruby dziób, wprawiony w zręcznym wyłuskiwaniu martwych oczu wisielców, nie ugodził stolnikowica boleśnie w policzek, tuż pod prawym okiem, pół cala od powieki.

Dydyński dostał w lewy bark, w obojczyk. Mocno, ale powierzchownie, bo w ostatniej chwili zdołał opaść w dół na ugiętych nogach. Lecz to, co omal nie skończyło się jego klęską, okazało się wiktoryą. Przeklęty ptak zerwał się do lotu, do kolejnego ataku... Lecz odlecieć już nie zdążył. Jacek chlasnął go wyciągniętą do zastawy szablą, przeciągnął ostrzem po piórach. Ogromny kruk zakrakał, opadł, brocząc czarną krwią, rozcięty niemal na dwoje.

Stolnikowic sanocki wpadł na Sienieńskiego jak burza. Chlasnął go wręcz, w kiść i na odlew, a potem wyżkiem w prawe udo. Szlachcic wrzasnął, ledwo zdołał zastawić się płazem szabli, w ostatniej chwili przechwycił świszczące ostrze! Dydyński chybił, ale tylko trochę. Sienieński dostał w bok; ostrze husarskiej szabli rozchlastało jego rajtrok, rozcięło skórę. Rubinowa krew trysnęła na biały, zdeptany śnieg pod nogami walczących.

Sienieński nie krzyczał. Nie wył z bólu, nie złorzeczył. Może prawdę powiadali po szynkach, iż w duszy tego okrutnika nie było kompletnie nic? Ani miłości, ani nienawiści? Miłosierdzia ani gniewu?

A jednak wróg Jacka wyglądał na zmęczonego walką. Nie był to już Sienieński – tryumfator, Sienieński – pogromca stolnikowica. Pot zalewał mu oczy, spływał z podgolonego łba. Aleksander odbijał słabnącą ręką ciosy, zadawał rozpaczliwe, szybkie uderzenia.

Dydyński zerknął nad jego ramieniem i zadrżał.

Trzech roślących hajduków przyciskało Konstancję do omszałego słupa podpierającego podsienia karczmy. Jeden właśnie rozpiął jej żupan na piersiach, rozerwał koszulę i wydobył na światło dzienne piersi niewiasty. Dziewczyna krzyczała, łkała, gdy potężne dłonie boleśnie ścisnęły cudne drażnięta, przesuwały się po smukłych pagórkach, które tak dawno zapadły w pamięć (i nie tylko) pana stolnikowica.

Dydyński skoczył w stronę ganku, niemal zapominając o pojedynku. Sienieński tylko na to czekał! Od ciosu wbrew przeszedł w zwód, mijając w pędzie Jacka nad Jackami, z rozmachem wbił mu pióro swej szabli w pierś.

Stolnikowic zastawił się odruchowo, rozpaczliwie...

Źle zrobił, bo zbił ostrze w lewo, a nie w prawo. Ostre pióro węgierki przejechało mu po żebrach, a kiedy skoczył w bok, zderzył się z przeciwnikiem. Aleksander

**kopnął go z rozmachem w kostkę, chcąc posłać na ziemię, wbił łokieć w żołądek...**

**Rozdzielili się z trudem. Dydyński ciął wściekle, z zamachu – włęg, wrąb, wlic, walił Sienieńskiego jak drwał starą sosnę, chcąc zabić go, porąbać w dzwonka, zatłuc razami szabli niczym wściekłego psa, a potem skoczyć na ratunek Konstancji. Zamierzał skupić na walce całą swoją uwagę, poświęcić wszystko dla zagłady znienawidzonego wroga i... nie mógł tego uczynić. Usłyszał kolejny krzyk dziewczyny, jej płacz, jej jęk. Chciał pobiec tam, wpaść z zakrwawioną szablą na ganek, urządzić rzeź, pogrom, lecz wiedział, że Sienieński czeka tylko na jeden jego fałszywy ruch!**

**Ale, do diabła, nie mógł nie patrzeć na umiłowaną!**

**Kiedy dziewczyna zawyła znowu, rzucił jedno szybkie spojrzenie w tamtą stronę. Hajducy obdarli ją już do naga, przycisnęli do drewnianej podpory, rozsunęli nogi... Dydyński ryknął z wściekłości. Nim natarł na Sienieńskiego, ów z rysią zwinnością wymknął mu się spod ostrza, uderzył płazem szabli w dłoń, potem w bok, podbił ostrze w górę, uczynił wiatraczek i jednym szybkim ruchem wyłuskał szablę z ręki stolnikowica.**

**Dydyński rzucił się na niego z gołymi rękami, z pianą na wargach. A wówczas dostał płazem w łeb, świat rozbłysnął, obrócił się i zwałił na bok. Jacek zobaczył jeszcze nadbiegających hajduków, a zarośnięte oblicze tryumfującego Zegarta było ostatnim, co zdołał spamiętać...**

**\* \* \***

**Piwnice i lochy pod zamkiem Łańcuckiego Diabła, zwanym nie bez powodu Piekłem, były ostatnim miejscem, w którym chciał się znaleźć zarówno bogobojny chłopiec, dworski sługa, jak i szlachetnie urodzony posesjonat. Po całej Rusi krążyły o nich opowieści, od których włosy stawały dęba pod kołpakiem, krew zastygła w żyłach i dreszcze przechodziły słuchaczy. Powiadano, że w lochach, w murowanych kamiennych sklepach chował Diabeł Łańcucki czartowskie charaktery i inkluzy. Gadano, że w najgłębszych czeluściach zamkowych katakumb przykuci do ścian chłopcy i niewolnicy kuli fałszywą monetę – czerwone złote, talary, orty i trojaki, które ich pan puszczał potem w obieg na Wołoszczyźnie, a nawet w dalekim Konstantynopolu. Opowiadano, że służy mu tam armia małych diablików i czartów zamieniających pospolity ołów w złoto. Wspominano o setkach więźniów skrępowanych łańcuchami w najgłębszych piwnicach, których jęki czasem słyhać było na pół stajania od Piekła, a Diabeł Łańcucki zwał owych nieszczęśników swoimi najlepszymi śpiewakami. Gadano o mękach i okrutnych torturach, którym kaci poddawali ofiary Stadnickiego, o odrzynaniu piłą rąk i nóg, o zakopywaniu żywcem w ziemi, żelaznych bronach, na które nabijali tych, którzy mieli nieszczęście narazić się na gniew łańcuckiego pana. W karczmach i kramach Łańcuta, Przeworska, Dynowa i Leżajska opowiadano – splunąwszy po trzykroć dokoła dla odwrócenia złego uroku – o czarach, czartach i czarownicach zlatujących się na sabaty i znikających w zamkowych kominach. Wspominano szeptem o tajemnej komnacie w podziemiach, w której Stadnicki przechowywał czarnoksiężskie traktaty i zamknięty w żelaznej skrzyni o sześciu rogach cyrograf, w którym oddał duszę diabłu. I w zamian za złoto i potęgę**



obiecał wygubić w Koronie polskiej wszystkich chrześcijan, księży i mnichów. Wielki spór zaś szedł o to, z którym z diabłów Stadnicki zawarł układ i co otrzymał w zamian. Ksiądz Michał Wereszczaka od ojców bernardynów z Przeworska prawił, że był to sam Pronobis albo Berut z Łęczycy, podczas gdy z kolei ojciec Damazy Piekarski od świętego Dominika we Lwowie dowodził, iż musiał być to Koffel albo Heydasz. Na co zaś replikował ksiądz Wereszczaka, że tak możny pan jak Stanisław ze Żmigrodu Stadnicki nie mógł zaprzedać swojej duszy uczciwemu Heydaszowi, skoro ów był, z przeproszeniem, diabłem plebejskim, skłaniającym pocziwych chłopków i zagrodników do rozbijania sąsiadom łbów sztchetami z płotów. „Nawet bowiem w piekle, pry – dowodził ksiądz – musi być porządek i ład, jako w naszej Rzeczypospolitej. I nie śmie tam iść, pry, diabeł *plebeiae conditionis*, przed ślachcica piekielnego, ani tym bardziej herbowych Polaków do złego kusić. Bo od tego, pry, są ślachetnie urodzone czarty!”

Tak mawiali, ma się rozumieć, katolicy, bo zwolennicy luterskich nauk powiadali z kolei, iż Diabeł Łańcucki, wrogi im jako kalwin, podpisał szatański pakt z samym papieżem Pawłem, któremu nie dość było obłożenia interdyktem Wenecji, nie dość konfliktów z parlamentem angielskim, lecz zmierzał jeszcze do wygubienia wszystkich protestantów w Ziemi Przemyskiej i Sanockiej.

Jak tam z paktami i cyrografami było, Bóg jeden raczy wiedzieć. Jednak zarówno katolicy, jak i innowiercy powtarzali pospołu jedno: kraty i zamki w łańcuckich lochach były grube i mocne, kute przez mistrzów sprowadzonych ze Lwowa. I niełatwo było się z nich wywinąć.

Ze wszystkich plotek, jakie głośzono o zamku w Łańcucie, ta jedna okazała się prawdą.

Cięnięta z rozmachem ława roztrzaskała się na żelaznej kracie jak wąż drewniana szczapka. Za nią poleciał gliniany dzban, który rozpadł się z łoskotem na skorupy, potem zydel. Na prętach zatrzymała się z brzękiem miedziana misa, po niej deska wyłamana z podłogi, a na końcu zwykła barania burka.

Cisnąwszy na kratę wszystko, co było w zasięgu wzroku, i porozbijawszy co tylko się dało w celi, Jacek Dydyński przyskoczył do przegrody, chwycił żelazne pręty i potrząsnął nimi. To znaczy chciał potrząsnąć, gdyż jeśli liczył, iż wyrwie je z kamiennego muru, to właśnie okazało się, że do siły Herkulesa ciągle mu daleko.

–Zabiję! – warknął, przybliżywszy twarz do prętów. – Zamorduję!

–A za cóż chcesz mnie zabić, mości panie Jacku nad Jackami? – zapytał łagodnie Diabeł Łańcucki zasiadający po drugiej stronie prętów, przy stole zastawionym dzbanami z winem i marcepanami. – To ja cię, waszmość, w najlepszej celi trzymam, ja ci kaganek kazałem przysłać, aby ciemności rozświecić. Ja cię jak wojewodzica przyjmuję, jadło daję, dziewczkę – każesz – przyślę. Zapewniam waćpana, że sam Konstanty Korniakt nie miał u mnie takich wywczasów. A cóż znaczą Dydyńscy przy Korniaktach? I ty mnie chcesz zabić? Za co?

–Gdzie jest panna Dwernicka?! Coście jej uczynili?!

–O to waści idzie? – roześmiał się Stadnicki i nadstawił kielich, aby sługa mógł dolać doń wina. Diabeł wypił trochę, posmakował, a potem skrzywił się. Ostatnio

jego piwniczka świeciła pustkami, a to dlatego, że ludzie starosty leżajskiego złupili między Świńczą a Trzecianną transport wina ciągnący ze Śląska do Łańcuta. – Niewiasta, mospanie, *instrumentum diaboli*. Z niejednego mędrca zrobi głupca, z niejednego pana dziada proszalnego. Tak ja ci, panie Dydyński, dam dobrą radę: strzeż się, waszmość, podwik, bo krew w tobie gorąca. Bo po co było mnie zdradzać? Po co ujmować się za szaraczkami z zaścianka, gdzie dwie krzywe chałupy i diabeł mówi dobranoc? Wszystko przez jedną podwikę, która zawróciła ci w głowie. A może – ściszył głos – czarami cię zniewoliła? Nie byłoby to żadne *novum*, mości panie bracie, bo gładka jak diablina.

–Przypominam ci, mości Stadnicki, że nie ma takiego miejsca na świecie, z którego nie zdołałbym cię wyciągnąć! Nie ma takiej nory, do której schowałbyś się przede mną, jeśli ją skrzywdziliście!

–Na twoim miejscu, waszmość – mruknął starosta – zastanawiałbym się bardziej nad swoim obecnym losem, a nie nad zemstą na mnie, Bogu ducha winnym człowieku. Wielu tu przed tobą, panie bracie, bywało hardych i dumnych ludzi. Ale opuścili go tylko ci, co pomiarkowali, że z mego loszku można wyjść nie inaczej, jak tylko w pokorze, na kolanach. Bo co powyżej, to miecz łańcuckiego oprawcy ukroci. Tak i ty, panie bracie, mnie nie urażaj, bo cóż ja poradzę, że cię Sienieński poturbował, a pannę twą porwał? A może – dorzucił Stadnicki z chytrym uśmiechem – jakieś miłowanie jest między nimi, co? Bo to przy raptach dzisiaj różnie bywa...

–Zabiję cię, psi synu! – ryknął Dydyński. – Podejdź bliżej, niech cię zagryzę przez kraty, ty diable!

–No, no, no, panie Dydyński. – Starosta pogroził wyciągniętym palcem ozdobionym okazałym pierścieniem z rubinem, zrabowanym kilka lat temu we dworze Korniaktów w Sośnicy. – Mnie Diabłem zowią tylko z kurwy synowie, a przez takowych zelżon być nie mogę. Nie równaj tedy swojej pani matki, którą dobrze znałem, z byle małpą z Sanoka czy Przemyśla, bo zbluźnisz! Miewałem ja tu w Łańcutie przed tobą figlarzy, co mnie lżyli, na sądy i starostów liczyli. Oj, skruszeli oni w końcu, niebożęta. Bo nie masz waszmość pojęcia, jak długi post o samej wodzie umniejsza dumę i pychę szlachecką i jak bardzo rozjaśnia ludziom w głowach. Jak szybko znajdują się po takim poście dukaty, pieniądze, jak sprawnie odnajdują zagubione skrypty i papiery. Jak znikają pozwy i obiady w księgach grodzkich. Nie zmuszaj mnie tedy, abym ci jako zajęczkowi skruszeć kazał, bo na pewno ci to na zdrowie nie pójdzie.

–Spróbuj szczęścia, mości starosto. Teraz masz szansę, aby się pomścić na mnie, bo jestem w ciemnicy, za kratami. Ale wierz mi, że gdyby nie te żelaza, które nas dzielą, bardziej liczyłbyś się ze słowami, bo oszukałeś mnie podle w sprawie Dwernickich. Pomnij, że kiedy wstępowałem do ciebie na służbę, rzekłem jasno – kaduków nie biorę, niewiast ani dzieci nie zabijam. A waszmość nawet mi nie wspomniałeś, że mamy przywlec z Dwernik cały zaścianek w dybach, że Zegart ma schłopić wolnych panów braci.

–Zdziwisz się, mości panie Dydyński. Nie mam do ciebie żalu o to, co się tam stało, bo co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. A ponadto serce we mnie łaskawe

i miłosierne, nie to co u Opalińskiego, który mi Mietelskiego, szlachcica poczciwego, sobie równego, na drodze pojmawszy, kazał siekierkami tak zbić, że się w nim kości połamały. A ponadto mi łotrostwo, które pan starosta we dworze chowa, chłopów kilku zabiło w Stadnikach i Żołyni, mężatki i dziewczki pogwałciło. Ja ci w ogóle odpuszczam, a Sienieńskiemu zakazałem cię ubijać. Wszystko dlatego, iż pilnie potrzebuję pomówić z tobą o pewnej sprawie.

Dydyński uśmiechnął się zimno i nadstawił uszu. Wiedział dobrze, że kłamstwa przechodziły Diabłu przez gardło równie łatwo co jezucie na królewskim dworze, jednak cóż wadziło ich posłuchać.

–Pierwsze, co ci powiem, mości panie Dydyński, to że twa dziewczka jest cała i zdrowa. No, może nieco pokory nabrała, kiedy z nią moi sabaci poigrali. Ale – uniósł ostrzegawczo rękę, wstrzymując protesty stolnikowica – nie została pohańbiona. Nie turbuj się zatem, że jej żywot urosnie, bo wianek został na swoim miejscu, może nieco przywiedły, ale cały. Sam oglądałem i próbowałem.

–Z kurwy synu! – wydarł się Dydyński. – Bodajbym ja ciebie tak próbował na szable!

–Względem tego chłopca, Borka, od wołów księżniczki Ostrogskiej. – Stadnicki obrócił się w stronę sługi, który od dłuższego czasu czekał zgięty wpół, jakby jego plecy były równie giętkie co najlepsza brzoza witka do ćwiczenia hardej czeladzi. – To od razu go sprawcie. Ręce urznąć piłą, chłama na bronie żywcem w ziemi zakopać. Jak skapieje, głowę uciąć i do Przeworska z listem odesłać. A w liście...

Upił nieco wina i skrzywił się.

–W liście napiszcie tak... – Lice Diabła rozchmurzyły się nieco, kiedy wyrecytował:

Jeśli Zosieńka przyjdzie woły paść, pójdę i ja

Jeśli się tam bić ze mną będzie, będę i ja.

Waszej Książęcej Mości sługa i brat

Stanisław Stadnicki z Łańcuta

–A niechaj tam mistrz Wojtek piłę naostry – krzyknął Diabeł za sługą – bo mu znowu kości będą jęczeć jak stara przekupka u kuny! Chłopu dobrze gębę zatkać, bo dziś w Łańcucie bawi pan referendarz Świętosławski. Jeszcze się przestraszy i napisze, że ja tu poddanych męczę! Żem szelma i okrutnik, bies i pieski syn. Bo on przecie przyjechał jednać mnie z Opalińskim – roześmiał się wesoło Stadnicki.

Sługa skłonił się jeszcze raz, a Dydyńskiego zadziwiła zwinność jego grzbietu. Wiadomo jednak było wszystkim, że na dworze Diabła giętkość pleców była cechą, która mogła znacząco ułatwić życie czeladzi i pacholków.

–O czym to my... – zwrócił się znowu do Dydyńskiego. – A, o dziewczce. I o naszych dawnych sprawach. A więc, mości panie stolnikowicu, kiedy cię schwytał Sienieński, zakazałem cię zabijać, tylko żywego do loszku wsadzić. A uczyniłem to dlatego, że chcę się z tobą rozmówić. A jeśli co dobrego wyjdzie z naszej rozmowy, tedy gotów jestem nawet cię uwolnić.

–Zatem słucham.

–Mości panie Dydyński. Zapewne zdziwi cię to, a być może zaskoczy, ale ja

naprawdę nie mam nic ani do ciebie, ani do panny Dwernickiej, ani do samych Dwernickich, których, jak słyszałem, wzięłeś pod obronę.

–Zratowali mnie, kiedy Przeclaw – mój brat, a waszmości sługa – strzelił mi w plecy.

–Nie idzie mi tu o Przeclawa, ale o pewnego człowieka, któremu, jak chodzą słuchy, waszmość służy. Nie bardzo ja w to wierzę, bo od kiedy szlachcic polski, syn stolnika, służy pierwszemu lepszeemu chodaczkowi z zafajdanego zaścianka?

–Ten zafajdany chodaczek, jak waszmość powiadasz, wyjął mi kulę z pleców. Bez czego dziś tańcowałbym ze śmiercią. Dałem mu słowo. Słowo szlacheckie.

–A słowo Dydyńskiego nie dym, o czym sam miałem możność się przekonać. Nie o to mi jednak idzie, panie bracie. Nie o Dwernickich, bo co mi po takich Sarmatach, co na pospolite ruszenie z kijami stają, w szyszakach ze świerkowych łubów i w lipowych butach. Taka z nich szlachta, że jeno Żydom na śmiech. Nic mi do nich – niechaj sobie żyją, mnożą się i zaludniają Dwerniki. Nic mi do panny Konstancji, a jak chcesz, to ją sobie bierz za żonę; bierz i posag, bo przecież niezłe majątności za nią dostaniesz – dwie beczki dziegiu, wianuszek grzybów, lechę błota i co tam jeszcze mają na zaścianku. Choć gdybyś mi wiernie służył, gotów byłem dać ci moją Felicjanę. A z nią Rakszawę i Żołynię, a może jeszcze i Stadniki. Ale wola twoja, nie niewola. Nic mi do waścinego ożenku. Bo ja, proszę waszmości, mam rankor nie do ciebie, ale do starszego na Dwernikach, który pojawił się ni stąd, ni zowąd – do owego Gedeona Dwernickiego.

–Nietrudno to zauważyć – mruknął Dydyński. – Wszak kazałeś mi go schwytać. Imć pan Gedeon niezłe porachował kości waściny pachołkom u ojców bernardynów w Przeworsku i Ramułtowi w Jotryłowie. A i potem w Dwernikach sporo zaszkodził Zegartowi.

–Otóż to, mój przyjacielu. W samoś sedno trafił. Mam wielki rankor do Dwernickiego. Albo mnie, albo jemu żyć na tym świecie. Dlatego powiem ci, panie Dydyński, że gotów jestem odpuścić Dwernickim, ba, nawet zawrzeć z nimi nową intercyzę i w pieniądzu wyrównać straty. Mało tego – oddam ci Konstancję w najlepszych sukniach, jakie ze Lwowa sprowadzę, ślub i wesele wam jeszcze wyprawię i sam na nim zatańczę, jeśli...

–Jeśli co mości panie?

–Jeśli przywieziesz mi z Dwernik głowę Gedeona Dwernickiego. Nie musi być w dobrym stanie – starczy, żebym go rozpoznał. Ma się rozumieć, że z żywego będę jeszcze bardziej rad. Ale nie bujajmy w obłokach, panie bracie. Po tych wszystkich zajazdach i zwadach Dwernicki dobrze się pilnuje i prędzej naszemu Szwedowi Zygmontowi wrzód na dupie wyrośnie od sodomii, niżli przyprowadzisz Gedeona żywego do Łańcuta. Dlatego wystarczy mi sama głowa.

–Chyba o czymś zapomniałeś, mości panie bracie.

–Taaak? O czym, jeśli łaska?

–O tym, że Dydyński na rozkaz nie zabija.

–Nie zapomniałem o tym, mości panie stolnikowicu. Dlatego zaraz powiem ci coś, co sprawi, że spojrzysz na wszystko inaczej. *Respice finem*, panie bracie, bo zaraz

może się okazać, że to ja jestem lepszym obrońcą Dwernik, niżli twój pan.

–Słucham waszmości.

–Gedeon nie jest Gedeonem. Dwernicki nie jest żadnym Dwernickim. To w ogóle nie jest szlachcic! Po dwudziestu latach z niewoli wrócił człek, który jest samozwańcem, a jego prawdziwe imię i miano to Hryń Kardasz.

Dydyński milczał. Nie wiedział, co rzec o tym wszystkim.

–Ładne masz oczy, panie starosto – mruknął. – Ale widywałem piękniejsze i dlatego waszmości na nie nie uwierzę. Po pierwsze, czy masz jakieś dowody, że to prawda? A po drugie, po co ten... Kardasz miałby udawać Gedeona Dwernickiego?

–Bo jest chłopem i chce śrubować się na szlachectwo. Widzisz waszmość równie łatwą sposobność? Oto pojawia się na zaścianku po dwudziestu latach. Nikt go nie zna, nikt nie pamięta. A w dodatku wioska jest w tarapatkach. Wtedy przedstawia się jako jej obrońca. I cóż ma zrobić biedna mała szlachta? Do kogóż wyciągać rączęta?! Do Gedeona alias Kardasza. I Kardasz nie tylko zostanie szlachcicem, ale także wciągnie zaścianek w wojnę ze Stadnickim, do którego ma zadawnioną urazę.

–Za to – uzupełnił Jacek nad Jackami – że jego bracia w niewoli dali rękojmię za pana rotmistrza Stanisława Stadnickiego, który miał jechać do Polski po okup. A pan Stanisław lekce ich sobie ważył i z pieniędzmi nie wrócił. Zdobył wolność za cierpienia i krew kilku szlachciców, których winą było jedynie to, że nie narodzili się w Żmigrodzie na zamku, jeno w biednych Dwernikach. I jak tu się nie mścić, skoro wraca człek ze srogiej niewoli, a tu pan rotmistrz królewski rodzinę chce mu schłopić – aby nigdy jego zdrada i krzywoprzysięstwo nie wyszły z ukrycia.

Stadnicki zmieszał się. Ale tylko na chwilę.

–A więc o tym też ci mówił – mruknął. – Ani ja znałem tych szaraczków, a poza tym *falsum*, żem był w niewoli tureckiej. Jeśli nie wierzysz, tedy pytaj pana Czahrowskiego, Grotusa Tarnowskiego, pytaj i w końcu wojewodę Jazłowieckiego. Dziwię się, że pozwoliłeś mu tak się zwieść. Widziałeś jakieś dowody, że to, co mówił, jest prawdą? Widziałeś w Dwernikach skrypty dłużne na mnie? Jakieś pisma, papiery? Intercyzy?

–A jakie ty masz dowody, że Gedeon Dwernicki to samozwaniec?

–Wyobraź sobie, waszmość, że mam, i to niebłahe.

–Słucham tedy.

–Samozwaniec ma znamię na czole, którego nie miał Gedeon. Mówił mi o tym Berynda, albowiem również podejrzewał go o zdradę.

–To znamię wypalili mu Turcy, kiedy waszmość nie dotrzymałeś słowa i nie powróciłeś z okupem. To przez ciebie wszystkich Dwernickich zapędzili na galery!

–Znamię to klejmo, jakie wypalają woźnemu po złożeniu fałszywego świadectwa. Tak, panie bracie. Kardasz to sprytny ruski plebej, były *Ministerialis Regni Generalis* opatrzny, który wodzi was wszystkich za nos jak Cygan niedźwiedzia na jarmarku.

–Może tak, a może nie...

–Zdradził się, kiedy pierwszy raz zawitał do Dwernik. Gdy klękał pod kościołem, przeżegnał się po prawosławnemu. Berynda to widział.

–A jeśli przez kilka lat był przykuty razem z Kozakami? A jak miał na galerze popa,

a nie księdza? To jeszcze nic nie znaczy.

–Hermolaus Dwernicki przez niego padł jak rażony gromem. Bo on widywał prawdziwego Gedeona i wiedział, że nie było go na wyprawie, na którą poszli Prandota i reszta Dwernickich. Berynda mi wspominał, że Hermolaus bał się go, że dawał znaki, aby go zgładzić. Cóż z tego, skoro imć Bieniaszowi Dwernickiemu nie starczyło na to fantazji.

–W zamian za to starczyło jej Gedeonowi, aby wydobyć konfirmację na szlachetwo spod kamienia młyńskiego. Konfirmację, o której nie wiedział żaden z Dwernickich.

–A skąd wiesz, czy się o niej nie dowiedział od Prandoty? Kardasz był w niewoli u pohańców. Zapewne na tej samej galerze co Dwerniccy. Alboż to nie miał okazji, by z nimi gadać? Albo to po dziesięciu latach nie rozwiązałyby im się języki? Opowiedzieli mu wszystko, licząc na ocalenie. A może nawet... – Stadnicki ściszył głos – skąd wiesz, czy Kardasz nie obiecał im, że kiedy ucieknie, sprowadzi dla nich pomoc. Lecz zamiast iść na zaścianek z dobrą nowiną, udał, że jest Gedeonem, wszczął ze mną wojnę, zaś Dwerniccy, w ich liczbie zaś twój przyszły teść – Prandota – ciągle siedzą przykuci do wiosel jak potępieńcy w piekle. A samozwaniec je i pije w Dwernikach, zaś córki i synowie tych, których zdradził, w pas muszą kłaniają, jadło przynoszą i za starszego mają na zaścianku. Nie boli cię, panie Dydyński, serce na taką zdradę? Cóż teraz? Będziesz odgrywał przede mną cnotliwego sługę? Będziesz zasłaniał się honorem? Złamałeś dane mi słowo. Co zatem stoi na przeszkodzie, abyś złamał parol, który dałeś rzekomemu Gedeonowi? Przysięgałeś przecież wierność Dwernickiemu, a to, jako rzekłem, żaden Dwernicki nie jest.

–A jeśli powiem, że nie złamię, mości starosto, to co wtedy? Wezwiesz katów? Zabijesz Konstancję? Każesz mistrzowi Wojtkowi dobrze naostrzyć i naoliwić piłę? Dalejże, mości panie bracie. Wszak ty do młodzi szlacheckiej nie strzelasz, ty panom braciom uszu i nosów nie urzynasz, pieniędzy nie kujesz, więźniów nie trzymasz. Ciekawi mnie, coż ze mną zrobisz?

–Nic nie uczynię – rzekł cicho Stadnicki. – Nie masz już wyboru, mości panie bracie. Za mną jest prawo i racja. Pojedziesz do Dwernik, ubijesz kogo trzeba i przywieziesz mi jego głowę. W dzbanie z winem, aby się nie zepsuła. Ach, i jeszcze jedno – razem z głową chcę odzyskać pewien turecki list, który Kardasz może mieć przy sobie.

Pismo po turecku? To było coś, o czym Dydyński już kiedyś słyszał od Konstancji. Do kroćset, coż takiego było w tym liście, że tak zależało na nim Stadnickiemu?

–A coż jest w tym piśmie?

–Dużo polityki – mruknął krótko Diabeł Łańcucki. – Ale nie ma niczego, co by dotyczyło Dwernickich. Ta rzecz ma związek z niedawną konfederacją sandomierską i jej okrutnym uśmierzeniem przez sodomczyka Wazę pod Janowcem i Guzowem. Wolałbym, aby nie dostała się w ręce Opalińskiego albo Anny Ostrogskiej. Aby zaś wyrazić się jasno – głowy Kardasza nie przyjmę bez listu. Natomiast w zamian za te dwie rzeczy oddam ci Konstancję i poniecham zemsty na Dwernikach. No i dorzucę

wynagrodzenie. Na beciki i kołyski dla małych Dydyniątek.

–A jeśli powiem veto? Jeśli się mimo to nie zgodzę, mości panie starosto?

Dlaczego to ja mam zabić Gedeona? Nie wystarczy na to Sienieński?

–Sienieński prawie nie wystarczył na ciebie. A Kardasz to szalony człek. W dodatku bronią go Dwerniccy.

–Masz jeszcze Przeclawa. On aż pali się do służby. Do tego stopnia, że gotów był własnemu bratu w plecy strzelić.

–Przeclaw siedzi w lochu. I nie wymyśliłem jeszcze, co z nim zrobić. Zbuntował się, szelma, i – imaginuj sobie, waszmość – Dwernicką chciał uwalniać, przed tobą się pokłonić i o wybaczenie prosić. Też mu się w czas przypomniało. Ale nie będziesz chyba po nim płakał!

Dydyński zamarł. Przeclaw chciał uwolnić Konstancję? O Boże! Czyżby pożałował swoich czynów? Niemożliwe!

–Dwernicki nie spodziewa się zdrady od ciebie – ciągnął Stadnicki. – Dlatego zabijesz go. Szybko, po cichu i bez zbędnych ceregieli.

–Nie, mości starosto. Nie uczynię tego. Co teraz?

–Każę cię uwolnić.

Dydyński zamarł. Zaraz, czegoś nie rozumiał. Miał wyjść na wolność? Gdzieś tu był haczyk, a on nie zamierzał połknąć go tak łatwo jak ryba. Zaśmiał się wesoło i swawolnie w twarz staroście zygwulskiemu.

–Uwolnisz mnie? Tak po prostu? I może jeszcze pozwolisz mi uraczyć tą opowieścią imię Gedeona? A nie wygłosisz przy okazji waszmość oracji, jak bardzo powinienem być ci wdzięczny? Myślisz, mospanie, że będę dziękował ci na kolanach?

–Myślę, że zabijesz Gedeona jeszcze przed Kwietną Niedzielą. Raz na zawsze, aby czasem znowu nie powrócił tutaj za kolejne dwadzieścia lat. A usieczesz go po tym, gdy pojedziesz do Sanoka i w grodzie zajrzysz do *liber decretorum* pod rok 1582. Tam poczytasz sobie, któż zacz ów Kardasz i za co wypalono mu piętno. A kiedy już to uczynisz, jedź do klasztoru Sióstr Benedyktynek w Jarosławiu i poproś o widzenie z siostrą Magdaleną. Zapytaj ją o Gedeona Dwernickiego, a dowiesz się prawdy, samej prawdy i tylko prawdy.

–Ja proponuję waści inny układ. Uwolnij Konstancję, a w zamian za to zatrzymaj mnie.

–Konstancja nie odrąbie łba Kardaszowi tak sprawnie jak ty.

–A co, jeśli ja także okażę się za mało sprawny? I niezbyt chętny?

–I właśnie z tego powodu twoja dziewczka nadal pozostanie u mnie w... gościnie. Jeśli uczynisz coś przeciwko mnie – na ten przykład staniesz w obronie Dwernik, kiedy tam rychło przybędę, to wierzaj mi, że oddam ci Konstancję z brzuchem jak kopuła zamku na Wiśniczu. A ojca dla bękartą będziesz szukał wśród mojej zamkowej załogi. Siła tych ojców będzie, powiadam ci, bo dziewczeczka przypadła do gustu sabatom. Jednemu nos przestawiła, drugiemu zęby wybiła, trzeciemu jajca stłukła kolanem, a czwartemu wygryzła pół policzka. Dlatego żaden nie odmówi, gdy im pozwolę na chwilkę uciechy. Od jednego bęś weźmie rączęta, od drugiego nóżki, od

trzeciego główkę... Cóż to, bładys, mości kawalerze?

Dydyński zbladł.

–Ale na szczęście nie będziemy musieli uciekać się do takich środków, mości panie bracie. Bo ty wszak swój rozum masz; pojedziesz do grodu, a potem do klasztoru. Wrócisz do Dwernik i ubijesz samozwańca. Nie będzie inaczej, zaufaj mi. Bo przecież – Stadnicki ściszył głos – ty za wszelką cenę będziesz chciał się dowiedzieć prawdy?

–Rzekłeś, mości starosto.

\* \* \*

–Kiedym polował na stolnikowica, śmiałeś się ze mnie, panie bracie, żem się zbłądził, czyniąc czary przeciw Dydyńskiemu, żem nie poczynał jak mąż, ale jak, za przeproszeniem, kiep. Większy to jednak błazen niż ja, który mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swobodę...

–Patrz i ucz się, mości Sienieński. Nietęgą miałeś minę, kiedyś się bił z Dydyńskim. Nie wszystko da się osiągnąć żelazem. Czasem wystarczy słowo.

–Naprawdę waszmość myślisz, że on zabije Kardasza?

–Posiałem w jego umyśle nasienie zbrodni, panie bracie, które może wydać zdradliwe frukta. Cóż on teraz uczyni? Jeśli wystąpi przeciw nam, zrobisz krzywdę jego dziewczce...

–Mnie to nie bawi. Posiadłem siłą kilka panien i... Nic w tym wielkiego, a sporo kłopotu, krzyku i wrzasku. Niewarta skóra za wyprawkę, lepiej ladacznicy zapłacić. Wolę, aby to wszystko poszło na karb waścinych sabatów. Którzy tyle już mają karbów co deska w karczmie po tęgiej biesiadzie.

–Jeśli Dydyński naprawdę pojedzie do Sanoka i do klasztoru, to cóż... Załatwię całą rzecz bez wielkiej wojny. Bo co by mi przyszło, panie Sienieński, z trzymania stolnikowica w loszku? Nasyciłbym zemstę, ale cóż miałbym poza tym? To przestroga dla ciebie, że nie zawsze warto ulegać namiętnościom.

–Ja nie mam żadnych namiętności. A co, jeśli Dydyński zdradzi?

–Jeśli stolnikowic nie zabije Gedeona albo wystąpi przeciwko nam, będzie twój. Zabijesz go.

–Gdybym posiadał jakiegokolwiek uczucia, rzekłbym: z przyjemnością. Tak, zabiję go. Ani on mi brat, ani swat, ale przecież prawie usiekł mnie w Hołuczku. Ja zaś, choć nie znam żadnych uczuć, nie mogę przecież nie dbać o moją reputację...

\* \* \*

Zima kończyła się z wolna. Choć na polach, łąkach i lasach leżały całe połacie mokrego śniegu, na gościńcach i ścieżkach sączyły się już leniwie strumyki wody. W powietrzu czuło się nadciągającą wiosnę, słońce coraz częściej wyglądało zza ołowianych chmur. Już wkrótce miało do reszty stopić lody, uwolnić Ziemię Sanocką i Bieszczad z okowów mrozu.

A jednocześnie zwiastować nadejście piekła.

Wsie i wioski między Łańcutem a gruntami starostwa leżajskiego były spalone, zniszczone, wyludnione. Z niektórych osad i przysiółków pozostały tylko kominy i nadpalone przyciesia chałup, w innych panowała nędza i głód, bo wszystko wybrali



stamtąd swawolnicy Stadnickiego lub w odpowiedzi na zajazdy i okazje – ludzie Opalińskiego. Wojna między panem łańcuckim a starostą leżajskim srożyła się od jesieni – od kiedy starosta zygwulski uprosił sobie skład w spichlerzach leżajskich, a potem nie chciał ich opuścić ani wydać zboża należącego do Opalińskiego. Potem przyszło do dalszych zaczepki. Diabeł zelżył posła na sejmiku w Sądowej Wiszni, łupał kamień w kamieniołomach w Chmielniku i Błędowej należących do pana leżajskiego. Do tego doszło zaraz porąbanie przez sabatów dwóch dworzan Opalińskiego na roczkach ziemskich w Przemyślu.

A kiedy starosta leżajski puszczał zaczepki mimochodem lub próbował zdać się na mediatorów, Diabeł rozzuchwalił się jeszcze bardziej. Najpierw porwał z Leżajska dwóch poddanych żony starosty, jednemu obciął piłą ręce, a drugiego kazał powiesić na haku za żebro, oćwiczył niemiłosiernie kozaka leżajskiego, który kurował się u balwierza w Łańcucie oraz pachotka Opalińskiej wziętego na naukę przez koniuszego z Piekła. A potem najechał na Tyczyn, rozpędził kupców. Żaden zgoła dworzanin ani dzierżawca Opalińskiego nie mógł się czuć bezpiecznie, bo gdziekolwiek spotkali go hajdacy i sabaci Stadnickiego, zaraz rąbali i imali albo wlekli do łańcuckich lochów. Na koniec Diabeł zajechał pana Ciężkowskiego w Cisowej, porwał w Palikówce imię Świerczyńskiego i okrutnie męczył w lochach, a potem ledwie żywego odesłał Opalińskiemu z obelżywym listem.

To przepełniło czarę goryczy. Z powodów mniejszych okazji, zniewag i potwarzy wybuchały na Rusi Czerwonej waśnie, wróżdy i wojny prywatne. W innych stronach wystarczało czasem znieważenie sługi, obicie chłopca czy wystrzelanie okien we dworze, aby prowadzić do zajazdów, bójek, pojedynków, raptów, pozwów, banicji i infamii. Dopiero po wielu latach procesów zapadały wyroki, za którymi postępowały uroczyste deprekacje. Toteż z powodu zwady Stadnickiego z Opalińskim nie było dnia, w którym na kartach ksiąg grodzkich w Sanoku nie pojawiałby się coraz to nowy szlachcic, rękodajny sługa z Łańcuta lub Leżajska figurujący jako martwy – przedstawiany po gwałtownej śmierci w grodzie – albo ranny, który jako *saucius*, *laesus*, *vulneratus* stawiał się w urzędzie starościńskim, aby dać sobie przed cyrulikiem otaksować odniesione guzy. Równie często zjawiał się tam także jako pokrzywdzony albo piniacz oblatujący nowe protestacje i pozwy przeciwko Stadnickiemu lub Opalińskiemu.

I tak wybuchła wojna, przy której zbrojny zajazd Dwernik zdawał się być potyczką bez większego znaczenia.

Stadnicki napadł w czterysta konnych i pieszych sabatów, kozaków i Szkotów na Palikówkę Opalińskiego, pojmał pozostawionych tam czeladników starosty, poprowadził ich związanych do więzienia w Łańcucie, folwark i chłopów złupił ze szczętem, porąbał śmiertelnie pana Wilczopolskiego, który trzymał wieś w arendzie. A gdy Opaliński nie pozostał mu dłużny, Diabeł zajechał dobra Anny Opalińskiej, co zaraz spotkało się z odwetem starosty. Kiedy jednak Opaliński wpadł do Krzemienicy i ruszył na Łańcut, Stadnicki wypadł ze swoim wojskiem, zadał mu klęskę, a w dwie niedziele później dopadł starostę pod Łukowem, rozpędził jego ludzi, a samego ciężko poranił.

Potem przyszło już do regularnej wojny, w której na każdy zajazd odpowiadała zbrojna napaść, a na rabunek i gwałt zbrojna pomsta. Stadnicki szalał, srożył się jak wściekły lew, równał z ziemią wioski, katował chłopów Opalińskiego, odrąbując im ręce i nogi, paląc żywcem, ozdabiając nimi drzewa, wieszając całe rodziny na progach chałup. Po zajazdach, rabunkach i zwadach całe wsie leżały w zgliszczach i ruinie. Rachwałowa Wola, Chmielnik, Błędowa i Zawałów były złupione, spustoszone do cna. Sabaci Stadnickiego zabrali ze spichrzów ostatnie zboża na wiosenny zasiew, powyrywali nawet żelazne haki i gwoździe, dopuszczali się srogich okrucieństw i zniewag na dzierżawcach. Stadniki Małe leżały w gruzach i zgliszczach, a ludność pokryła się w lasach, Żołyńia była opustoszała, a w Rakszawie psy szarpały na gościńcu niepogrzebane trupy ludzkie. Z Palikówki nie pozostał nawet jeden przysłowiowy palik w zagrodzie chłopskiej, zniesiono ją bowiem *fundatis* w czasie dwóch najazdów Diabła; w Krzemienicy, którą zajechali z odwetem ludzie Opalińskiego, nie pozostał kamień na kamieniu. Kmiecie i zagrodnicy we wszystkich okolicznych wsiach porzucali chałupy i zagrody, uciekali tłumnie do Rzeszowa i Przemyśla, a czasem nawet na Wołyń i Ukrainę. Dzierżawcy, rządcy i ekonomowie pakowali kufry na kolasy, wymawiali kontrakty przybite na świętego Marcina, uchodzili do miast i w spokojniejsze strony.

Przez taką właśnie zrujnowaną i wypaloną krainę podążał wolno Dydyński w drodze do Sanoka. Był ledwie żywy, rozgorączkowany i chory. Pozostawił za sobą Łańcut przypominający obóz wojskowy, pozostawił nieszczęsną Konstancję więzioną w ciemnicy w niewiadomym miejscu przez Diabła, a także wspomnienia trzech tygodni swego życia spędzonych w lochach Piekła. Stolnikowic nie wiedział ciągle, czemu zawdzięczać ma niespodziewane uwolnienie. Ostatni raz Stadnicki okazał miłosierdzie więźniom trzy lata temu, kiedy udało mu się pojmać Konstantego Korniakta. Wówczas jako akt łaski i prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia wypuścił z lochów i kazamat czterdziestu więźniów, darowując ich wolnością, ale niekoniecznie zdrowiem. Czy zatem Diabeł zwolnił go z łaski, czy też aby wykorzystać do niecnych celów? A może uczynił tak dlatego, że nawet w lochu nie opuszczała pana Dydyńskiego przyrodzona fantazja i wesołość, która zawsze przechylała na jego stronę Fortunę – panią szlacheckiego losu.

Kiedy pierwszy raz przyszli do niego hajducy, biorąc miarę na trumnę, bo Stadnicki ogłosił, że lada dzień każe mu uciąć głowę, Dydyński dał pierwszemu z nich w łeb, mówiąc, iż źle mierzy, bo skoro mają go ścinać, starczy, jeśli weźmie miarę od stóp do szyi, a nie do samego końca głowy. Bo po co tak długa trumna i większe koszty? Kiedy mu jeść przynosili, wszystko z mis wylewał, wołając, że nie chce być na łasce Stadnickiego i woli z głodu zdechnąć, niż przyjąć od starosty zygwulskiego bodaj zgniłego suchara. Diabeł, który wcześniej morzył głodem Korniakta i innych więźniów i dzięki temu uzyskiwał zawsze okupy i zastawy, nie wiedział, co czynić z więźniem, który sam chce skazać się na śmierć. I wreszcie doszło do tego, że Stadnicki nakazał hajdukom, by siłą otwierali usta Dydyńskiemu i wlewali mu gorzałkę zasypaną startymi sucharami, karmili i dbali, aby tylko pozostał przy życiu. Stolnikowic zaś przyjmował to w pokorze. Zbuntował się tylko wówczas, kiedy

przyszli do jego celi sabaci, przynosząc pieniek i katowski miecz. Wówczas sam położył głowę na pniaku, po czym łajając srogimi słowy pacholków, nakazał ścinać się co rychlej, bo ma już dosyć tej męki. Wygrał wtedy. Tak jak przypuszczał, żaden z hajduków nie miał rozkazów, aby naprawdę pozbawić go życia, a jedynie nastraszyć. Od tej pory Stadnicki poniechał przesładowań, a w końcu przyszedł sam osobiście do jego ciemnicy i po wiadomej rozmowie nakazał wypuścić go wolno. Dydyński jechał zatem do Sanoka, ale nie wiedział do końca, o co w tym wszystkim chodziło. Czy Gedeon naprawdę był samozwańcem? A jeśli nawet, to co wtedy? Czy miał wypowiedzieć mu swoją służbę? Zabić? Czy słowo dane Gedeonowi Dwernickiemu nie liczyło się, gdyby odkrył, że przysięgał w istocie Hryniowi Kardaszowi? A może Diabeł Łańcucki uknuł nową, szaleńczą intrygę, która miała pogrążyć ich wszystkich? Tego Jacek nad Jackami nie wiedział. Na razie jednak liczyło się to, że wypuścił go z lochu. A z łańcuckich więzień nie tak łatwo się wychodziło. Mówiąc prawdę, opuszczali je tylko wielcy posesjonaci, którzy mieli dość złota, aby jak Korniakt opłacić się Diabłu. Chudopacholków wywożono zaś na zwykłym drabiniastym wozie, przykrytych płótnem, grzebano na cmentarzyku przy kościele Świętego Ducha na polskim dolnym przedmieściu lub wydawano zapłakanym żonom, matkom i rodzinom czekającym cierpliwie za bramami Piekła.

Kiedy Dydyński dojechał do Sanoka, zapadł zmierzch, zaczynał padać deszcz, który wkrótce zmienił się w ulewę. Dlatego dopiero następnego ranka szlachcic udał się na zamek, do grodu, aby odszukać wskazaną przez Stadnickiego księgę. Przez cały dzień Dydyński zagłębiał się w lekturę ogromnych foliałów grodzkich, ksiąg dekretów i relacji. Już po paru godzinach czuł się tak, jakby znowu siedział w łańcuckim lochu o chlebie i wodzie, bo wszystkie te wypisy, obiady, dokumenty, mocje, deprekacje, apelacje, dylacje, a ponadto gravameny i kondemnatki, na które zaraz znajdowały się formuły *male abtentum*, latały po jego podgolonej głowie jak Żyd po pustym kramie. I pomimo wydatnej pomocy pana Sękowskiego tudzież czterech dzbanów małmazji przyniesionych przez czeladź dworską z targu Dydyński nie mógł znaleźć nic na temat Gedeona alias Kardasza.

Wreszcie pod wieczór, kiedy znużony szlachcic przeglądał stary, wyblakły sentencjonarz, zniecała zatrzymał wzrok na jednym z wpisów. A potem przeczytał:

Anno Domini 1582, 17 dnia miesiąca octobris

Bywszego woźnego ziemskiego Opatrznego, Generała Koronnego Ziemi Sanockiej od czci i wiary sądzono, aby za fałsz pospolity i przekupstwo w sprawie pana Frydry od urzędu i godności swej był wytrąbiony. Dowód uczyniony, przez sześciu świadków poświadczon daje świadectwo kalumnii i występkom ichmości. Czyniąc zadość prawu pospolitemu, woźny ma być z urzędu zrzucen, a na twarzy wieczny znak jego fałszu ma być przepalony i pryskowan. Mocą urzędu starościńskiego onże sam, sławetny...

Tu powinno zostać podane nazwisko i imię winowajcy, ale zamiast niego był koniec karty. Dydyński z bijącym sercem odwrócił stronicę i...

Zamarł.

Na kolejnej karcie sentencjonarza widniało wypalone czarne znamię w kształcie

dłoni. Wyglądało tak, jak gdyby ktoś przyłożył gorącą rękę do papieru, wypalając większą część tekstu wpisywanego pracownicy do księgi przez starościnnych podpisków i suspektantów. Dydyński oniemiał. Coś takiego widział po raz pierwszy w życiu.

–Jezu Chryste! – jęknął pan Sękowski, kiedy Dydyński pokazał mu stronicę, po czym przeżegnał się nabożnie. Jego pomocnik zaś poza znakiem krzyża, splunął jeszcze po czterokroć kolejno na wszystkie strony świata.

–Czary! – zakrzyknął podpisek i złapał się za głowę. – Na Boga żywego, pierwszy raz takie znamię widzę!

–W Lublinie w Trybunale Koronnym podobna rzecz się zdarzyła – rzekł suspektant zaglądający przez ramię podpiska. – Raczcie posłuchać, wielmożni panowie. Kiedy pan nieboszczyk Filon Kmita procesował się z jedną wdową o wioścynę Chabety podle Lubartowa, chodziły słuchy, że podkupił sędziego. Natenczas, gdy wyrok ogłaszano, wstała wdowa i rzekła: „Diabeł by to sprawiedliwiej osądził!”. I patrzajcie – szast-prast, zjawił się diabeł z czarcikami, wyrok wydał, a zamiast podpisu zostawił swój znak – ślad ręki wypalony ogniem na stole trybunalskim. Powiadali ludzie – ściszył głos do szeptu – że Chrystus na krucyfiksie płakał wtedy krwawymi łzami.

–Kto ostatnio przeglądał te księgi?

–Szukaj wiatru w polu, panie bracie. Sypią się u nas pozwy i protestacje, bo czasy ciężkie, a tu dokoła wszyscy za byle okazją za pałasz łapią. Jakbyś zresztą sam waszmość nie wiedział, jak to jest w Sanockiem. Co szlachcic, to szabla. Co szabla, to zwada. Co zwada – to zaraz proces, sprawa, pozew i rozprawa. Tylu tu panów braci się kręci i pospółstwa, że choćbym chciał – twarzy nie spamiętam.

Dydyński podniósł sentencjonarz i powąchał nadpaloną kartę.

–Tego nie uczyniono pół wieku temu. Czuć jeszcze spaleniznę. Ktoś musiał zatrzeć zapis tydzień, a może i miesiąc temu. Pewnie przed Nowym Rokiem albo zaraz po Wszystkich Świętych.

–Nie pomnę, kto by się wtedy dobierał do tej księgi. Wybacz, waszmość, ale gardłowa sprawa się stała. Muszę dać znać staroście, a może... – podpisek zawahał się – może i ojcom dominikanom, aby kancelarię wyświęcili?

Dydyński pokiwał głową. A potem pożegnał się i co koń wyskoczy pognął do Jarosławia.

\* \* \*

–Ja was nie znam, wielmożny panie – szepnęła przez kratę siostra Magdalena – skulona i zgięta wpół starowina z benedyktynek od świętego Mikołaja i Stanisława w Jarosławiu. – Z czymże przybywacie, bracie?

–Jestem Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki. Przyjechałem w sprawie tyczącej się Dwernik – wioski pod Bieszczadem, która jest pod moją opieką.

–Dwerniki... – Stolnikowic nie był pewien, czy jej szept przeszedł w szloch, nadaremnie starał się dojrzeć łzy na jej obliczu. – I ja stamtąd pochodzę. Jestem Dwernicką z rodu.

Serce Jacka nad Jackami zabiło mocniej.

–Ale to już minęło, nie wróci... Dwerniki przekłęta ziemia! Tam zginęli moi bliscy. Mój mąż, Spytek Mikołaj, a wcześniej syn. Dlaczego mnie prześladujesz, bracie?! Nie chcę do tego wracać. Uciekłam do klasztoru, bo wszystko i wszyscy w Dwernikach przypominali mi o zmarłych.

–Wybacz, siostrze, że cię ranię – powiedział ostrożnie Dydyński – ale na Dwerniki przyszły teraz ciężkie czasy. Mamy wojnę i proces ze Stanisławem Stadnickim z Łańcuta, a tylko ty możesz mi pomóc w odtworzeniu pewnych wydarzeń z przeszłości. Zaklinam cię w imię Jezusa Chrystusa, pomóż mi! Los wszystkich ludzi powierzonych mej opiece zależy od tego, co dziś usłyszę od ciebie.

Milczała. Dydyński i tak dziękował Bogu, że nie odeszła od kraty.

–Jeśli byłaś małżonką mości Spytka i pamiętasz, jak Dwerniccy wyruszali pod Agrę bić się z Turkami, wtedy powinnaś znać Gedeona Dwernickiego...

Ciałem siostry wstrząsnął dreszcz. Chwyciła pokrzywionymi, trzęsącymi się palcami za kraty, przywarła do nich, wbiła w Dydyńskiego przeszywające spojrzenie.

–To był mój syn! – wykrzyknęła rozdygotanym głosem. – Czego chcesz? Czemu mnie męczysz, bracie?!

–Twój syn wrócił – wyszeptał Dydyński. – Powrócił po latach z tureckiej niewoli, do której dostał się, kiedy wraz ze swym ojcem, a twoim mężem Spytkiem wyruszył na Wołoszczyznę...

Staruszka zaszlochała, odstąpiła od kraty.

–Poczekaj, siostrze – błagał stolnikowic. – Odpowiedz mi, czy naprawdę Gedeon wyruszył na wyprawę na Turków?!

–Odejdź, przybyszu – szepnęła z ciemności zakonnica. – Nie dręcz mnie, diabelski pomocie! Nic ci nie powiem!

–Pomóż mi, błagam, na rany Chrystusa! Nie opuszczaj...

Bardziej wyczuł, niż zobaczył, jak odwróciła się od niego, sposobiąc do odejścia.

–Nie dręcz mnie podłymi kłamstwami, człowiecze – jęknęła. – Mój syn... mój Gedeon zginął, zanim nadeszła ta wyprawa. W dziesiątym roku życia spadł z konia i kości sobie połamał. Pod kościołem go pogrzebaliśmy, od północnej strony, od Bieszczadu. Mój mąż sam wyruszył na Turków. I już nie wrócił, tak jak inni krewniacy.

–Ostańcie z Bogiem – wykrztusił Dydyński.

–Z Bogiem, bracie...

Stolnikowic został sam, trzymając się krat. Wszystko zawirowało wokół niego. A więc to, co mówił mu Stadnicki, było prawdą... Straszna, okrutna, beznamiętna prawda.

Lecz przecież nawet najgorsza prawda była lepsza od kłamstwa. Tak przynajmniej myślał Jacek nad Jackami.

Teraz pozostawało mu tylko jedno – jechać do Dwernik. I zakończyć całą sprawę.

\* \* \*

Po długiej i ciężkiej zimie wiosna wracała z wolna do Bieszczadu. Kiedy Dydyński zawrócił konia na południe, gdy minął Przeworsko, Dynów, Sanok i za Liskiem wjechał na górzysty skraj Ziemi Sanockiej, czuł ją w powietrzu, w wietrze i na słońcu.

W dolinach spienionych, wezbranych roztopami ustrików, na łąkach i łązach, zboczach i działach, z których dawno zniknął śnieg, rwała się do życia młoda trawa, a przez wyschnięte zielsko przebijały pierwsze wiosnki, pszeńce i pełniki. Lecz wyżej, na magurach, połoninach i stromych berdach zalegały jeszcze pasma śniegu. Ostry, Dwernik i Łopinnik skąpane były we mgłach, oparach, w niskich białych chmurach, pomiędzy których prześwitywało złote słońce. Choć bukowe i cisowe bory na ramionach posępnych gór były jeszcze bezlistne i nagie, nad potokami krzewiła się bujnie pierwsza zieleń mchów, porostów, rozwijały się wielkie paprocie i osty. Pierwsze zielone listki okrywały brzozy, cisy i olchy. Traktami i ścieżkami ciągnęły stada owiec i wołów, które watahowie i pasterze gnali na stoki Bieszczadu, do koszar i kołyb na połoninach i łąkach. Beczenie i stukot kopyt zwierząt zlewały się z szumem wezbranych rzek, z dzikimi głosami potoków, z łoskotem toporów na przesiekach i porębach, skąd zalaływało dymem i kwaśną wonią smoły. A kiedy Dydyński wyjechał poza Tarnkę, gdy zobaczył przed sobą wznoszące się łagodnie w górę lesiste stoki Korbanii i Berda Falowej obejmujące Łopinkę i Dwerniki niczym rudawy pierścień, słońce wyszło spoza mgieł i oparów, rozświetlając błękitne niebo, strumienie, grzęzawiska i unoszące się nad nimi opary. Jedynie na wschodzie, nad Tarnicą i Krzemieniem, gęstniały niebieskie chmury, zapowiadając pierwszą wiosenną ulewę.

Dwerniki były całe. Mokre po niedawnym deszczu strzechy chałup lśniły w słońcu, odcinając się szarymi plamami od wznoszącej się stromo ściany lasu po drugiej stronie Wetłyny, skalnych osypisk i berehów na lewym brzegu Solanki. Dydyński odetchnął w pierwszej chwili, gdyż lękał się, że zastanie tu niebo i ziemię oraz ptaki kołujące nad ruinami zaścianka. A potem z głębi doliny, spod buków i wierzb, doszedł do niego cichy, głęboki głos dzwonu – tego ostatniego, którego nie przetopili na organki. Wówczas stolnikowic dojrzał poczerniałe pogorzelska po niektórych chatach, porąbane, wyłamane palisady i parkany. Zaś gdy podjechał do bramy, zobaczył długi korowód zmierzający do kościółka. Niewiasty i stare baby płakały, zawodziły głośno jak płaczki na pogrzebach Hyrniaków, starcy wlekli się ze spuszczonej głowami, a mężczyźni nieśli proste, zbite z sosnowych desek trumny – niektóre okryte czerwonymi kapami.

Jacek nad Jackami ściągnął kołpak. Już wiedział, już domyślał się, co stało się na zaścianku. Podjechał pod bramę, w której trzymał straż Samuel. Zbliżył się do młodzieńca, stanął przed nim, a Dwernicki wytrzeszczył oczy, przeżegnał się i spojrzał na stolnikowica jak na zmartwychwstałego.

–Dydyński?! Mości Dydyński? Ty żyjesz... Wróciłeś? Jakże to...

A potem skoczył ku Jackowi, który pochylił się w kulbace, porwał go w ramiona.

–Waszmość – wyszlochał Samuel – nie wiesz, co się tu działo... Stadnicki...

Napadł... Zrzuńował... Ludzi nazabijał. Ale odparliśmy...

–Gdzie Kołodrub? Gdzie Pełczak? Gdzie twój ojciec?

–W kościele są – zapłakał Samuel – na marach. Ojca już pogrzebaliśmy, bo się psuć zaczął.

–Gdzie Gedeon, na Boga?!

–We dworze się zamknął. Boleść go trapi, z nikim widzieć się nie chce. Oj, jegomość, co za czasy przyszły, co za niedola na nas...

–Prowadź do niego!

Dydyński ruszył przez wioskę mocną stępą. Wmieszał się w korowód, wyminął pierwszą trumnę, drugą, trzecią...

A potem ktoś podniósł głowę i przyjrzał mu się uważniej, a potem krzyknął, wskazał go palcem.

–Jegomość! Jegomość wrócił!

–Przyjechał! Jest z nami!

–Jezusie, żyje!

–A myśmy cię już pochowali...

W chwilę później stolnikowic sanocki znalazł się w tłumie Dwernickich, którzy rzucili się w jego stronę. Zeskoczył z konia, bo każdy chciał go objąć, wypłakać się, wyszlochać po tym, co przeszli.

–Wróciłem, wróciłem – powtarzał w kółko. – Nie zostawię was w potrzebie... Nie trwóźcie się... Prowadźcie do Gedeona!

Wnet ruszył w stronę dawnego dworku Konstancji otoczony przez krzyczących i wiwatujących Dwernickich. Z powodu jego przybycia pogrzeb ofiar niedawnego najazdu Stadnickiego prawie zamienił się w tryumf, choć byli i tacy na zaścianku, co do końca nie wierzyli, że Dydyński naprawdę wydostał się z Łańcuta, i zastanawiali się, czy czasem Diabeł nie darował mu wolności za zdradę Dwernickich. Wnet uformował się wielki pochód, który odprowadził stolnikowica aż do samego ganku dworu Hermolausa. Kiedy nań wszedł, Dydyński odwrócił się.

–Zacni ludzie – zawołał – dajcie mi pomówić z Gedeonem! Wnet potem do was wyjdę i wszystko opowiem!

O ile przeżyję to spotkanie – przemknęło mu przez głowę.

Znowu rozległy się wiwaty, ale Jacek nad Jackami nie słuchał ich dłużej. Otworzył drzwi do sieni i wszedł do wnętrza dworu. Od razu rzucił mu się w oczy wielki nieporządek. Na podłodze wały się skorupy garnków, rozwalone deszczułki, potrzaskane niecki, okruchy szkła. Czyżby Gedeon porozbijał wszystko w napadzie wściekłości? Z żalu, ze złości, że Stadnicki schwytał Konstancję i stolnikowica? A może domyślał się już, że Jacek nad Jackami poznał prawdę?

Gedeon Dwernicki alias Hryń Kardasz siedział na starym dębowym karle, zarośnięty, pokryty pyłem i krwią, jakby nie przebierał się wcale od czasu ostatniego zajazdu. Patrzył obojętnie na ścianę znad pustego pucharu i przewróconego dzbana po winie.

Dydyński stanął przed Dwernickim z dłonią na rękojeści szabli. Spojrzał mu drwiąco prosto w oczy.

–Nie upilnowałem Konstancji – wycharczał Gedeon. – Moja to wina... Moja wielka wina. Boże mi odpuść, ale się z nią pokłóciłem, krzyczałem... A ona precz poszła, prosto w łapy Sienieńskiego... Dydyński milczał.

–A ty... Jak? Skąd ty tutaj? – wycharczał półprzytomnie Gedeon. – Przecież cię schwytał Diabeł, złapał w Hołuczkanie, gdzie pojechałeś bez mojego przyzwolenia,

pozostawiając nas wszystkich na łasce Stadnickiego. On nie czekał; zaraz jak ciebie osadził w loszku, znowu nas zajechał... Odparliśmy go, ale trzecia część naszych zginęła. Idź i obejrzyj sobie trupy w kościele, mości panie stolnikowicu. Obacz, do czego doprowadziła twoja samowola. Pokłoń się umarłym i proś o przebaczenie!

–Dobrze grasz swą komedię, mości Kardasz – rzekł twardo Dydyński. – Jeszcze chwila, a uwierzę, że naprawdę zależy ci na zaścianku i tych nieszczęsnych szaraczkach. Zaiste wybornie odgrywałeś obrońcę Dwernickich. Wszelako, łaskawy panie, zapomniałeś o jednym – że matka prawdziwego Gedeona żyje, u sióstr benedyktynek w Jarosławiu. I pamięta równie dobrze jak dziś, że jej syn zabił się, spadając z konia, kiedy był dziecięciem. Co teraz, samozwańcze? Jaką bajką będziesz próbował mnie uspokoić? Co powiesz Dwernickim? Ja będę prosił zmarłych przebaczenia, ale jak ty spojrzysz żywym w oczy?

Gedeon nie powiedział nic. W każdym razie na szczęście nie uczynił tego, czego obawiał się stolnikowic. A więc nie zerwał się na nogi, nie rzucił mu do gardła, nie ukręcił szyi jak gąsiorowi. Po prostu ukrył oblicze w dłoniach.

–Niechaj Pan Bóg wybaczy mi moje kłamstwa – wycharczał. – Nie mogłem inaczej. –Kłamałeś tak wiele razy, że strach pytać ciebie o prawdę. Czy ty w ogóle byłeś u Turków, wiosłowałeś na galerach? Czy znamię na czole wypalili ci pohańcy, czy też sanocki kat pod szubienicą jako woźnemu za złożenie fałszywego świadectwa?

–Co jeszcze nagadał ci Stadnicki? – zapytał głucho Gedeon. – Bo wszak wypuścił cię po to, abys mnie ubił, nieprawdaż? Co ci obiecał za moją śmierć? Konstancję? To rzecz pewna! A może jeszcze kaduk na Dwerniki, aby twoja dziewczka miała dobry posag i wiano, a ty dożywocie na połowie wioski?!

–Udawałeś Dwernickiego, aby poderwać Dwerniki do walki ze Stadnickim! Aby rękoma tych zacnych ludzi dochodzić prywaty i pomsty?! Czy nie ma w tobie za grosz sumienia?! Krew wszystkich pomordowanych, Kołodruba, Pełczaka, Mikołaja, tych, którzy zginęli, spadnie na twą głowę, zdrajco, krzywoprzysięzco!

Jednym szybkim ruchem Gedeon alias Kardasz chwycił rękę Dydyńskiego opierającą się na rękojeści szabli. Ścisnął mocno, odciągnął z dala od broni.

–Nie jestem Dwernicki – rzekł cicho. – Tak, masz rację, wielmożny panie stolnikowicu. Byłem woźnym. Zwano mnie Hryń Kardasz. Dawno zostałem skazany za fałszywe zeznanie, bo niesłusznie oskarżył mnie Mikołaj Spytek Ligęza. Jednak wtedy, dwadzieścia sześć lat temu, miałem także świadków mej niewinności – panów Dwernickich. Nie im było wojować z Ligęzami, ale kiedy ziemia paliła mi się pod nogami, pan Prandota pozwolił mi dołączyć do swego pocztu, wziął mnie za czeladnika pod Agrę. To dlatego imć Bieniasz pamiętał, że byłem w Dwernikach. To prawda – przebywałem tu przez pewien czas, zanim wyruszyliśmy na Turków.

Razem z panami Dwernickimi dostałem się w łapy pohańców. Razem dzieliliśmy los, wspólnymi siłami wiosłowaliśmy na galerze. A resztę historii już znasz. To nikt inny, jak tylko Prandota, który wyciągnął mnie spod szubienicy, zaprzysiągł mnie przed swą śmiercią, abym wrócił do Dwernik i bronił zaścianka; on wskazał miejsce ukrycia confirmacji szlachectwa Dwernickich pod kamieniem młyńskim. Wróciłem zatem i przekonałem się, że możny pan, za którego daliśmy rękojmię, tym razem



**nastaje na wolność tych, którzy uratowali mnie przed niesławą, kiedy kat niesłusznie wypalił mi klejmo na czole. Postanowiłem zatem obronić Dwernickich przed Diabłem. Za moje grzechy pomścić śmierć Prandoty, który był dla mnie jak ojciec, i odplacić Diabłu za cierpienia jego braci.**

**–Czemu podawałeś się za Gedeona? Dlaczego nie przyjechałeś jako Kardasz, dawny sługa Dwernickich?**

**–A kto by mnie pamiętał jako Kardasza? Chciałem ukryć się przed Stadnickim; zamyśliłem sobie, że lepiej będzie, aby ten psi syn uwierzył, że nie wszyscy Dwernicy, których tak podle oszukał, zgnili żywcem na galerach. A poza tym ile w sądach warte było świadectwo byłego woźnego napiętnowanego za fałszywe zeznania, a ile szlachetnie urodzonego Dwernickiego?! Rzuciłem wszystko na jedną szalę. Dla dobra tej wioski. Tak właśnie to wszystko się układa.**

**–Za dobrze, jak na mój gust. Podaj mi choć jeden powód, dla którego miałbym ci wierzyć?!**

**Gedeon puścił rękę Dydyńskiego, odchylił głowę w tył.**

**–A więc wolisz ufać słowom Diabła Łańcuckiego? Który porwał i pohańbił ci krasawicę, po trzykroć zajeżdżał Dwerniki i namówił do zdrady twego brata. Wierzysz jemu, a nie mnie, który uratowałem ci życie, któremu przysięgałeś być posłusznym przez siedem miesięcy?! Powtarzasz w kółko słowa człeka będącego wcielonym czartem, który bije i płacze, a kiedy kogoś zajędzie, natychmiast składa na niego protestację! To kiep i szelma!**

**–Ten kiep uwolnił mnie z lochu. Bez okupu, bez żadnych warunków. Wszystko po to, abym sam mógł dojść prawdy i przekonać się, że łżesz jak sobaka!**

**–Stadnicki nigdy nie uwalnia nikogo z dobrej woli. Darował ci wolność, kiedy przekonał się, że i bez ciebie obroniliśmy Dwerniki. A także po tym, co stało się wówczas, gdy wysłał do nas posła. W zamian za twoje zwolnienie żądał skwitowania go ze wszystkiego, a w dodatku zbrojnej pomocy do rozprawy ze starostą leżajskim. W razie odmowy obiecywał odrąbać ci głowę.**

**–I co powiedzieliście?**

**–Odpowiedziałem, że nigdy nie ugniemy się przed starostą zygwulskim. A ciebie mamy już za umarłego. Posłańcowi daliśmy pięćdziesiąt batów, a potem zagraliśmy jeszcze do tańca na guldynkach sabatom Stadnickiego na jarmarku w Hoczwi. Wszystko po to, aby przekonać Diabła, że może rozsiekać cię na sztuki, a my i tak nie zegniemy przed nim karków. Dlatego postanowił zagrać inną kartą i zamiast cię uśmiercić – co by nie dało mu wiele poza ukojeniem zemsty – opowiedział bajeczkę o złym samozwańcu, mając nadzieję, że zabijesz mnie w złości albo podburzysz całe Dwerniki przeciwko mojej osobie.**

**Dydyński przymknął oczy i odetchnął pełną piersią.**

**–A więc poświęciłeś mnie dla swej zemsty, mości Gedeonie? Dobrze to wiedzieć.**

**–Uczyniłbyś to samo na moim miejscu. Powiem więcej – gdyby zdarzyło się, że Stadnicki dostał w swoje ręce mnie – zakazałbym ci wchodzić z nim w żadne traktaty, gdyż wolałbym umrzeć, niż zobaczyć Dwernickich służących Diabłu jak folwarczne psy.**

Przez chwilę panowała cisza.

–To wszystko jest ponad moje siły – mruknął Kardasz. – Jeśli mi nie ufasz, jeśli myślisz, że łżę, tedy idź, powiedz o wszystkim Dwernickim. Niechaj to oni zadecydują, co ze mną uczynić. A może już im powiedziałaś?! Może już otoczyli dwór, czekając, kiedy wyniesiesz im moją głowę?

–Najpierw chciałem rozmówić się z tobą.

–A więc zabij mnie, mości Dydyński. Nie lękaj się, nie będę się bronił. Tnij szybko, bo jeszcze się rozmyślę; odrąb mi łeb, póki masz sposobność. Zawieź go do Łańcuta i zapalcie potem z Kostusią świeczkę w mej intencji.

Kardasz odwrócił się plecami do szlachcica. Wyprężył swój byczy kark i siedział nieruchomo, wpatrując się w białą poświatę okna.

Dydyński porwał za szablę, stanął dokładnie za plecami Hrynia. I milczał. Nie wiedział, co uczynić, wahał się, namyślał...

Kardasz słyszał jego ciężki oddech, a zimny pot spływał mu po pokrytym bliznami czole. Czekał... Wytężał słuch, starając się wychwycić cienki świst szabli.

Drgnął i odruchowo zamknął oczy, kiedy usłyszał cichy szmer. Ostrożnie dotknął szyi. Nie krwawiła, co pozwalało przypuszczać, że jego głowa ciągle tkwi na swoim miejscu. Powoli rozwarł źrenice i odwrócił się. Dydyński stał nieruchomo. Schował broń do pochwy.

–Nie zabiję cię – mruknął. – Jestem ci winien przysięgę, a ostatnio nie dotrzymałem mego słowa za często. Zbyt często, jak na Jacka Dydyńskiego. Być może popełniam największy błąd w moim życiu, ale nie mogę tego uczynić...

–Wybrałaś mądrze – wycharczał Kardasz. – A skoro nie dałaś się zwiść Diabłu, tedy wiedz, że i ja dokonałem wyboru. Konstancja jest w niewoli przeze mnie, bo to ja sprawiłem, że uciekła z Dwernik tak jak stała. Miłowałem ją bardzo, bez tchu, bez końca. Ale teraz już wiem, że ona nie dla mnie, mości panie.

Dydyński zachwiał się jakby uderzony obuchem w łeb. Zamrugnął oczyma.

–Nie zaprzeczaj, panie stolnikowicu. Miłujemy tę samą pannę, więc tylko jednemu z nas żyć na tym świecie. Temu, kogo Kostusia wybierze. Już wybrała, bo ja spóźniłem się z moim afektem o dobre dwadzieścia lat. Nie, nie przerywaj mi, ja teraz mówię. Nie jestem w stanie znieść jej niewoli. Nie mogę się pogodzić z tym, że nic nie mogę dla niej uczynić. A zatem pozostaje mi tylko jedno...

Zadrżał, westchnął głęboko.

–Oddam się w ręce Diabła Łańcuckiego w zamian za wydanie Konstancji – oświadczył głucho. – A także w zamian za basarunki dla Dwernickich. Dostaniesz swoją miłośnicę, panie stolnikowicu. Weźmiesz z nią ślub i część Dwernik. Wiem, że to niedużo, ale z drugiej strony jako mąż Dwernickiej będziesz miał zaścianek do swoich usług. Trzydzieści posłusznych szabel. Niby niewiele, ale jednak siła. Ty nic nie mów, panie szlachcic. Ja już postanowiłem. Odkupię grzech względem Konstancji i raz na zawsze zakończę moją mękę. Przynieś mi inkaust, pióro i papier. Napiszę zaraz do Diabła, do Łańcuta.

Dydyński milczał. Nie wiedział, co rzec.

–Ale zanim wysłę list – Kardasz wziął ze stołu krucyfiks, wstał i podszedł do

**stolnikowica – zaprzysięgniesz mi na święty krzyż i swoją duszę to samo, co ja zaprzysięgałem Prandocie Dwernickiemu na galerach. Że weźmiesz Konstancję za żonę i do końca życia będziesz bronił Dwernik przed Diabłem, a także przed każdym, kto by chciał podnieść ręce na ten ród. I że nie będziesz odmieniał jego herbu i wiary na złote talary. Przysięgaj, panie bracie. Na kolana!**

## Rozdział VIII

### Rycerze i rabusie

Spotkanie pod Hoczwią Strzały Kupidyna, to jest o nadziei miłości Wilk w owczej skórze Bitwa w młynie Szaleńczy pościg Sprawa z Zegartem Mrówki Zwada w katedrze Dydyński i Kardasz Ostatni pojedynek

Diabeł Łańcucki stawiał się sam we własnej osobie na miejscu wymiany jeńców. Czekał pod Hoczwią, w miejscu gdzie trakt z Czarnej, Soliny i Terpiczowa wychodził na kamienisty bród wezbranej wiosennymi roztopami Hoczewki płynącej wzdłuż skalistych berehów i urwisk obrośniętych świeżą zielenią. Słońce przygrzewało, świeciło im wprost w oczy, gdy nadjechali od strony Terpiczowa, skręcili w lewo, wspięli się na skaliste wzgórze, a potem wyjrżeli spomiędzy chrustów. Na drugim brzegu czekali na nich Stadnicki i Sienieński. W zasięgu wzroku nie było nikogo więcej.

–Gdzie Konstancja?! – zapytał Dydyński. – Albo jej nie ma, albo ją ukrywają. To drugie zaś znaczy, że stary Diabeł ma gdzieś na podorędziu co najmniej kilku gotowych na wszystko diabełków. Może powinniśmy ukryć naszych w pobliżu brodu?

–Umowa była taka jak w Sanoku – mruknął Kardasz, który ciągle udawał Gedeona. – Każdy z nas przyjeżdża z jednym pacholkiem, a Stadnicki dodatkowo przywozi dziewczkę. Jeśli odkryje, że jest nas większa kupa, gotów się rozmyślić i uciec. A nie muszę chyba dodawać, że zrobił się trochę strachliwy, od kiedy zaleliśmy mu sadła za skórę!

–A więc? – zapytał Mikołaj Dydyński. – Co robimy?

–Panowie Dydyńscy – rozkazał Kardasz – wy wracacie do Terpiczowa. Jedźcie do karczmy i czekajcie, aż wrócimy. Gdybyście słyszeli strzały, skoczycie nam na pomoc.

–Nie zdążą, jeśli na brodzie robi się gorąco – zaproponował Jacek. – Do Terpiczowa prawie pół mili. Zanim tu będą, Stadnicki weźmie nas w dyby.

–Na razie ja tu rozkazuję – warknął Kardasz. – Będziecie słuchać pana Jacka, jak już znajdzie się w Piekło!

Dydyński pokiwał głową.

–Naprzód! – zakomenderował Kardasz.

Rozjechali się w dwie strony świata. Dwerniccy i Dydyńscy pomknęli na wschód, Kardasz i Jacek skierowali konie ku rzece. Wierzchowce opierały się, parskwały, nim weszły w spienioną wodę. Hoczewka szumiała wśród kamieni, prąd był szybki i mętny. Konie potykały się na kamieniach, stawały dęba i minęło kilka chwil, nim wreszcie dotarli na drugą stronę przeprawy.

Stadnicki i Sienieński czekali na nich w milczeniu. Kardasz podjechał do nich pierwszy, Dydyński stanął za nim, nie spuszczać wzroku z Sienieńskiego, czasem tylko lustrując baczny wzrokiem okolicę.

–Panom Dwernickim cześć i sława... – zaczął Diabeł. – Powitać, powitać waszmościów i zdrowia powinszować.

–Masz waść dziewczkę?! – Kardasz nie zamierzał widać wdawać się w jakiegokolwiek

pogawędki; jednak nie przybyli tu, aby wygłaszać oracje.

–A waść zabrałaś papiery? – zripostował Stadnicki pytaniem.

–Zabrałem.

–Pokaż.

Jakie papiery? – pomyślał Dydyński. Turecki dokument, o którym wspominał Diabeł?

Kardasz sięgnął do sakwy, wydobyl zniszczony, porwany na brzegach papier. Rozwinął kawałek i pokazał Stadnickiemu, nie dając mu go do ręki. Stolnikowic nie widział, co było na nim napisane.

–Oddajcie dziewczkę!

Stadnicki skinął na Sienieńskiego. Ten zawrócił konia ku najbliższym chałupom i zamachał ręką.

Wnet z za drzew wyskoczyło dwóch jeźdźców. Pierwszego Dydyński poznał po paskudnej, brodatej gębie i wyblakłych, pustych oczach. To był Zegart. A drugi... Drugi jechał pochylony do przodu, z rękoma skrępowanymi za plecami, z arkanem na szyi – zupełnie jak gdyby był tatarskim jeńcem, a nie wymęczoną, bladą niewiastą o skołtunionych czarnych włosach...

Jacek nad Jackami poczuł, że świat zaczyna wirować, jak gdyby porwał go w tany wichur albo małodobra Śmierć. Tyle ran, tyle zmartwień... Tyle cierpienia, krwi... Wszystko to przeszedł, byle choć na nią spojrzeć. Zająrzeć jej w oczy... Do kroćset, był głupcem, że nie powiedział wcześniej tego, co leżało mu na sercu!

Dwernicka patrzyła gdzieś w dal. Nie wzruszał jej widok Stadnickiego, nie spoglądała na Kardasza. Drobne, szczupłe ręce drżały, blada, wymizerowana twarz i głębokie cienie pod oczyma przywodziły na myśl nieboszczkę z portretu trumiennego w sanockim kościele, a nie wesołą i swawolną pannę, która jeszcze kilka miesięcy temu śmigła na koniu po polach i lasach.

–Bierzcie ją! – warknął Stadnicki. – Bo się rozmyślę!

Dydyński skoczył ku Zegartowi. Sługa cisnął precz arkan, dał koniowi ostróg tak mocno, aż wierzchowiec zakwiczał i rzucił się w bok; chwycił czekan, jak gdyby obawiał się, że Jacek nad Jackami za chwilę zmiecie go z łęku jednym ciosem szablą!

Ale stolnikowic tego nie uczynił. Złapał za arkan, zdjął go z szyi dziewczyny i odrzucił. Chwycił związane z tyłu ręce Konstancji, a potem jednym ruchem rozszarpał więzy, potargał je, uwolnił dziewczynę. Porwał Dwernicką w ramiona, spojrzął na jej oblicze. Wpatrywała się w niego oczyma pełnymi łez.

–Jacku, mój Jacku! – zaszlochała.

Objął ją niby najdroższy skarb, utulił jak dziecko. Obejmował, pieścił, całował, hołubił tak mocno, aż ich konie odezwały się głośnym rżeniem, jakby pełne były podziwu dla lubości i miłowania, które zapanowało pomiędzy jeźdźcami. Jacek nad Jackami zapomniał o całym świecie. Tuląc Konstancję w ramionach, poczuł się dosłownie tak, jak gdyby dostał obuchem w łeb, bo nagle zakręciło mu się w głowie. Świat stanął dęba i niczym narowisty koń zrzucił ich oboje ze szczytów rozkoszy. Osunęli się z kulbak, upadli na ziemię, na kamienie, trawę i rozkładające pierwsze płatki wiosenne kaczeńce. Jacek ucałował Konstancji usta, a wówczas znów poczuł,

że leci w bezdenną otchłań... Czyżby tak działał odurzający żar miłości? Czy też omamił go nieziemski oddech Wenus i Amora?

Konstancja krzyknęła, odepchnęła go od siebie. W jej pięknych oczach dostrzegł przerażenie.

–Uciekaj! – krzyknęła. – Uciekaj, błagam!

Ogromny ciężar spadł stolnikowicowi na plecy. Ktoś szarpnął go za ramiona, wygiął w tył, omal nie wyłamując rąk ze stawów. Poczuł, jak skrępowano mu je szorstkim powrozem, poderwano w górę, mocno, boleśnie. Chciał się bronić, strącić z siebie napastników, ale nie znalazł na to sił. Zamrugał oczami, bo oślepiło go wiosenne słońce, i wówczas dostrzegł przed sobą Sienieńskiego, który wpatrywał się beznamiętnie w obuch swego nadzieaka.

–Dalibóg – wymamrotał – co to jest miłość? Jak ona was zaślepia! Zaprawdę rację mieli Petrarca i ichmość pan Kochanowski. Trzy razy waszmości musiałem łeb zmacać, zanim w ogóle coś poczułem.

Dydyński był w rękach Zegarta i ludzi Aleksandra, którzy nie wiedząc skąd zjawili się na brodzie. Dwaj sodomici przytrzymywali go za ramiona, a stary, poznaczonego bliznami pachol chwycił Konstancję za włosy. Dopiero teraz szum wypełniający głowę Jacka począł cichnąć, świat przestał tańcować obertasa, a do stolnikowica zaczęło docierać, że miłosne zapomnienie, które stało się jego udziałem, bynajmniej nie zostało spowodowane strzałą Kupidyna, lecz nadzieakiem Sienieńskiego.

Kardasz podjechał bliżej, chmurny, zamyślony.

–Jest wasz – mruknął do Stadnickiego. – Tak jak się umawialiśmy. Myślę, że zrobisz z nim waszmość co trzeba, bo siła wie o naszych sprawkach. A jeśli wyżyje, jego wiedza nie wyjdzie nam na zdrowie.

Co on mówił?! Na Boga, co on mówił? Co to wszystko miało znaczyć? Nie, to nie mogło być prawdą. To nie mieściło się w głowie stolnikowica... Gedeon? Zdrajcą?! Niemożliwe!

–Wybacz mi, Jacku – rzekł Kardasz. – Nie mogłem inaczej. Ta dziewczka maści mi we łbie tak bardzo, że prawie dla niej oszalałem. Mówiłem ci, abyś mnie zabił... Dlaczegoś tego nie uczynił?

Dydyński szarpnął się w ramionach pacholków, zagryzł wargi aż do krwi.

–Ty zdrajco! – krzyknął. – Ty psi synu! Jak mogłeś... Mnie... Za co?

Nie wiedział, co mówić. Język wprost plątał mu się w ustach. Gdyby mógł, rzuciłby się na Kardasza z gołymi rękoma, ale przydupnicy Sienieńskiego trzymali go mocno.

Dwernicki, tfu, jaki tam Dwernicki! Hryń Kardasz, psi syn, rakarz, szelma i krzywdziciel, porwał wpół Konstancję, podniósł ją bez wysiłku i usadowił przed sobą na kulbace. Dziewczyna szarpnęła się, krzyknęła.

–Cichaj, ptaszyno! – warknął groźnie. – Bo drugi raz nie wyrwę cię spod skrzydeł jastrzębia.

–Nie... – wyszeptała cicho Konstancja. – Nie! Nie chcę! Nie pójdę z tobą nigdzie! Idź precz! Precz!

Uderzyła go w twarz raz, drugi, trzeci, tłukła go pięściami, waliła z całej siły,

zdyszana, szlochająca.

Bez trudu chwycił ją za rękę, unieruchomił, zdusił wszelki opór. Stadnicki i Zegart zarechotali.

–Nie wiem, czy waść do katedry przemyskiej cało dojedziesz – rzekł Stadnicki. – Może ci hajduków pożyczyć? Albo pannę na arkanie do ślubu poprowadzić?!

–Żeby nie ta dziewczka – mruknął Kardasz – pogadalibyśmy w piekle, panie starosto. Za te dwadzieścia lat galer, które za waszmości grzechy musiałem odpokutować! Wierzaj mi, zagryzłbym cię, rozszarpał własnymi rękoma, gdyby nie ona!

Stadnicki zachrząknął znacząco, zerknął na zniszczony dokument, który trzymał w ręku.

–Grunt, żeśmy się zgadali – mruknął. – Myślę, że dziewczka i basarunki, które ci dałem, wynagrodzą z nawiązką lata niewoli. A nie próbuj czasem nachodzić mnie znowu! Wszystko w tym piśmie stoi o tobie, mości Kardasz! Nie patrz na mnie jak wół na malowane wrota! Jakbyś chciał mnie kiedyś pozwami nękać, całe województwo się dowie, coś uczynił z Dwernickimi! I wtedy będziesz się kłaniał wiatrom, tam – na Wisielniku Horodyskim!

Gedeon poklepał czule dwa pękate worki przewieszane przez grzbiet konia. Pod jego wielką dłonią wydały odgłos miły uszom każdego lichwiarza albo podskarbiego.

–Ona sprawi, że zapomnę! – wykrzyknął, obejmując Konstancję w pół czułym uściskiem. – Cóż to, nie radujesz się, gołąbeczko?! Będziesz wielką panią na Ukrainie! A nie bój się, po kawalersku cię wezmę! Pop już czeka w przemyskiej katedrze. Nic cię z moich rąk nie wyrwie, moje kochanie!

Splunęła mu w twarz rozpaczliwym gestem.

–Konstancja! – wykrzyknął desperacko Dydyński. – Przyjdę po ciebie! Czekaj... Czekaj na mnie!

–Dydyński! – warknął Kardasz. – Mości Dydyński... Czegoś mnie nie zabił?!

Jacek nie odpowiedział. Po prostu brakło mu słów. Zdrada przyszła z najmniej spodziewanej strony.

Kardasz zawrócił konia, uderzył go ostrogami i pomknął prosto przez bród na drugą stronę rzeki, na Terpiczów i Solinę, Ustrzyki i Przemyśl, w którym czekał ksiądz gotów związać im ręce stułą.

Jacek nad Jackami zawył, kiedy Sienieński i jego ludzie podnieśli go, posadzili na kulbace, a potem związali nogi pod brzuchem końskim. Stadnicki dał znak i ruszyli w stronę Hoczwi. Diabeł zrównał się ze stolnikowicem.

–Panie Jacku, dlaczegoś go nie zabił?!

Dydyński milczał.

–Przecież mówiłem, że to judasz i zdrajca! Cham, plebejusz, łotr bez czci i sumienia! Czegoś nie wrócił do mnie z jego głową?! Pytam się waści!

Stolnikowic odwrócił wzrok. Patrzył na spienioną Hoczewkę.

–A, pewnie to znowu odezwał się w tobie ten twój sławny honor i fantazja, mości Dydyński! Dałeś mu słowo, że będziesz służył, więc nie wypadało zastrzelić go jak psa, z zasłupia, albo zdjąć głowy z karku, kiedy śniadał czy się modlił! Czyż nie tak?

Jacek nie powiedział nic.

–Wiesz, komuś służył? – Stadnicki poprawił kołpak, otarł pot z czoła. – Ten człek winien jest całemu złu, które spadło na zaścianek. On skrzyknął Dwernickich na wyprawę pod Agrę. On był jej wodzem i prowodyrem! Mnie Diabłem zowią tylko skurwysynowie, ale jak nazwać Kardasza? Wilkiem w ludzkiej skórze? Belialem? Diabłem Dwernickim? Bo przecież nie człowiekiem!

Zapadła cisza. Jechali wolno, wlokąc się noga za nogą. Z tyłu wymieniali uśmiechy, pocałunki i uściski Krzysztoporski oraz jego miłośnik Mniński.

–Panie Zegart – rzekł Diabeł Łańcucki – weź ten papier, dziesięciu sabatów i jedź do Łańcuta. Schowaj dokument tam, gdzie zwykle. Byłbym spalił tę turecką gramotę, ale to ciągle bicz na Kardasza, gdyby próbował dochodzić swego w sądach albo przystał do moich wrogów. Papier to papier i dopóki mam go w ręku, moje słowo więcej waży w sądach niż jego przysięga.

–Tak jest, wasza miłość!

–Mości Sienieński – mruknął Diabeł – waszmość zajmij się zdrowiem pana Dydyńskiego. Uczynź to szybko i po cichu. Inaczej biada nam.

Rębajło pokiwał głową.

–Nie zadawaj mu bólu – wycharczał Stadnicki. – Niechaj pan stolnikowic nie cierpi. Trzeba mieć wzgląd, że rycerski z niego kawaler, chociaż nasz wróg. Szkoda, panie Jacku, żeś poniechał służby u mnie i nie posłuchał dobrych rad. Inaczej by się to wszystko skończyło. Masz jakąś ostatnią wolę? Mam coś komuś przekazać albo rzec?

Dydyński milczał.

–Jedźcie dalej sami.

–Waszmość nie chcesz skruszyć kopii na pogrzebie stolnikowica?

–Dość już na dzisiaj – mruknął Diabeł. – Jadę z czeladzią do Sanoka, do pana brata Marcina. Zabawię tam jakiś czas, a może jeszcze dłużej. Ruszajcie!

\* \* \*

Jacek nad Jackami milczał jak nieboszczyk na swoim własnym pogrzebie. Nie był to jednak pogrzeb odpowiedni dla jego fantazji. Nie miał pan stolnikowic karawanu z sześćma końmi karymi jak noc. Nie było hajduków i Niemców idących pieszo, z opuszczonymi lufami muszkietów, nie było bractw, chorągwi kościelnych, chórów, nie było koni prowadzonych w kapach altembasowych, złotogłowiach i aksamitach wlokących się po ziemi. Nie było także, ma się rozumieć, masztalerzy i kawalkatorów w lampartach, szyszakach, nie było uroczyście przybranych sług, procesji ze świecami, pacholków i księży. A zamiast chorągwi husarskich i kozackich, tłumu szlachty i zbrojnej czeladzi towarzyszył mu Aleksander Sienieński, jego ponury, porąbany sługa, dwóch sodomitów i czterech cuchnących dziegciem sabatów pozostawionych przez Stadnickiego. Doborowe towarzystwo, które w sam raz nadawało się na kompanię dla szubienicznika, ale stanowczo nie na poczet sławnego pana stolnikowica. Ostatnią podróż uprzyjemniał mu jeszcze fakt, iż dwaj sodomczykowie korzystali z okazji, iż stolnikowic miał ręce związane z tyłu, i szpetnie zabawiali się z jeńcem. Raz po raz ocierali się o niego, chichotali, poklepywali po



karku i plecach, a Krzysztoporski kilkakrotnie załaskotał go w ucho językiem. Czasem obaj przekomarzali się po włosku, jak gdyby w starożytnej polskiej mowie nie znajdowali słów oddających wystarczająco udanie żar ich uczuć i namiętność serc.

–*S'amor non č, che dunque č quel ch'io sento?* – mówił natchnionym głosem Krzysztoporski do swej męskiej kurwy.

–*Ma s'egli č amor, perdio, che cosa et quale?* – odpowiadała męska kurwa głosem słodkiej hurysy. – *Se bona, onde l'effecto aspro mortale?*

Dydyński nie znał włoskiego, zrozumiałe zatem, że nie mógł wtrącić się do rozmowy. Domyślał się wszakże, że obaj mówili o sodomickich i plugawych sprawach dotyczących się uwodzenia niewinnych chłopiąt i pacholąt tudzież chędożenia ich przez tę część ciała, przez którą z człowieka wychodzi gnój, a w przypadku swawolnych Tatarów i Kozaków – czasem wchodzi dobrze zaostrzony palik.

Koniec paskudnych karesów sodomitów nadszedł dopiero wtedy, kiedy znudzony ich chichotami Sienieński obrócił się do tyłu i skinął na pacholków. Obydwaj od razu pokłusowali do niego.

–Tu niedaleko wpada do Hoczewki potok z Żernicy Małej. Jest przy nim duży młyn, który dzierży w arendzie kniaź Ilnat Hołubok. To swój człek. Jedźcie przodem i jeśli kto by tam był, tedy go do wsi wypędźcie.

–Jakże to? – zaprotestował Krzysztoporski. – Nie pozwolicie nam, panie, na odrobinę... uciechy przed egzekucją?

–Jaką egzekucją? Przecież się stolnikowic w Hoczewce utopił. Sodomici zarechotali.

–A ciało?

–Właśnie, ciało – wymamrotał stary sługa o łbie posiekanym bliznami niczym główka kapusty po starciu z nożem kuchcika. – Będziemy je gubić, jak było ze starym Łahodowskim? Spalimy nieboszczyka czy porąbiemy na sztuki? Azaliż tylko głowę ukryjemy, jako uczynili Rytarowscy Wesslowi w Bańkowej Wiszni? Bo jeśli głowę, to kłopot będzie... Piły nie wziąłem.

–Na co ci piła? – mruknął Sienieński. – Stadnicki kazał po cichu rzecz załatwić, tedy pójdzie na dno pan stolnikowic. A jak ciało wyłowią w Hoczwi, tedy niechaj skarżą rzekę, a nie nas. I Pana Boga za to, że deszcze zesłał.

–Nie będzie to proste – zafrasował się stary. – W worku go chcesz topić, panie? Gwałtu narobi i hałasu.

–Utopimy go w beczce! – uciął dalszą dysputę rębajło. – A potem do Hoczewki wrzucimy, konia w rzekę wpędzimy i tyle. Niechaj myślą, że przy przeprawie spadł z kulbaki i utonął!

–Rozumiem – pokiwał głową staruch.

–To dobrze, bo nie będę musiał języka strzępić.

Wnet ukazała się przed nimi szeroka, rozłożysta dolina Żernicy, która pieniać się wśród kamieni, wpadała do Hoczewki. Wyżej, przy trakcie do wioski, widniał omszały, kryty strzechą dach młyna. Mroczny bukowy bór schodził z wyniosłych stoków gór aż pod samą budowlę, otaczał ją od południa. Młyn był duży, korzeczny, zachodzące

słońce odbijało się w niedużym stawie na młynówce. Przy drewnianych podsieniach i kładce wiodącej na drugą stronę jazu szemrał wodospad tworzony przez wodę wypływającą spod stawidła, opadającą tysiącami perlistych kropeł na poczerniałe koło młyńskie.

Dydyński jechał na okrutną śmierć, tak dalece różną od tej, która powinna spotkać go z racji profesji zajezdnika. Zamiast umierać z szablą w ręku na polu chwały, miał skończyć utopiony jak ślepy kot, w parszywej, śmierdzącej beczce w starym młynie pod Hoczwią, gdzie diabeł mówił dobranoc, wyły wilki i topielcy. Ale to wszystko niewiele go wzruszało. Jedynym obrazem, który stolnikowic miał ciągle przed oczyma, był widok Konstancji uwożonej w dal przez Kardasza...

Jak Jacek mógł być tak głupi?! Dlaczego nie zauważył spojrzeń, które stary bies Kardasz rzucał skrycie na dziewczynę? A może wszystko stało się dlatego, że stolnikowic umiłował Konstancję dopiero wówczas, kiedy znalazła się w niewoli. Bo dopiero wtedy poczuł, jak bardzo brak mu jej szczebiotu, śmiechu, oczu, rąk i ust...

Podjechali w milczeniu pod młyn. Zapachniało wilgocią, mchem i mącznym pyłem. Krzysztoporski i Mniński z pomocą sabatów zsadzili Jacka z konia, a potem powlekli do wnętrza budowli. Byli na niższym z dwóch pięter, gdzie za drewnianymi przegrodami leżały wory z mąką i ziarnem, a ze ściany wychodziły wały, zębate tryby i osie napędzające wielkie kamienie młyńskie ukryte w skrzyniach nad ich głowami.

Sienieński patrzył na Dydyńskiego szarymi, wyblakłymi oczyma, z których nie można było wyczytać absolutnie nic. Ani pogardy, ani złości, ani nawet tryumfu z pozbycia się rywala.

–Dwóch było najlepszych rębajłów na Rusi Czerwonej – mruknął. – O jednego za dużo, jak na nasze województwo. Gdybym kiedyś odmienił szablę na pióro, rzekłbym, że wszystko się kończy całkiem jak u Sofokla czy Eurypida dawnego. Oto kres godny moralitetu, wszelako gdzie są Dobro, Wiara i Cnota? Gdzie anioły niebiańskie przybywające na ratunek swemu ulubieńcowi? Nie ma ich tutaj. Cóż za strata, mości panie Dydyński. Jacek nic nie odpowiedział.

–Jak to jest, panie bracie, umierać? – zapytał Aleksander. – Jak to jest bać się śmierci?! Powiedz mi o tym, proszę! Tak chciałbym dowiedzieć się, co to znaczy cokolwiek odczuwać... Bo mi zawsze były obce wasze namiętności. Możesz mnie nazwać szatanem, panie bracie, wyrachowanym mordercą, ale ja nigdy, absolutnie nigdy nie miłowałem, nie nienawidziłem, nie czułem strachu ani bólu... Litości ani miłosierdzia.

–Kończ – mruknął Dydyński.

Sienieński pokręcił głową.

–Skoro się waszmość upierasz, tedy przynieście beczkę i utopcie go – zakomenderował. – Głową w dół i po krzyku. Ciało wrzucić do Hoczewki. Istvan – krzyknął na dziesiętnika sabatów łańcuckich, który przed chwilą wyszedł przed furte prowadzącą na mostek obok koła młyńskiego – przynieście antał albo kufę! Wodą je napelnić! Zaraz!

Odpowiedziała mu cisza.

Sienieński nie był głupcem. Od razu porwał za szablę, skoczył w stronę drzwi

wiodących nad młynówkę.

Młyn ruszył! Ktoś widać przesunął stawidło, puszczając wodę na pierzydła. Potężne, pociemniałe koło młyńskie obróciło się z wolna. Ciężki, dębowy, wzmocniony ryfami wał poruszył się, wprawiając w ruch paleczne koła, cewie i stępory. Wysoko nad ich głowami obrócił się z chrzęstem biegun kamienia młyńskiego, załomotały i zaskrzypiały wprawiane w ruch drewniane tryby.

Sienieński dopadł do drzwi razem z Krzysztoporskim i starym sługą. Stojący obok nich sabat porwał za pistolet, ale nim opuścił kurek na zamek, Aleksander uderzył go po rękę płazem szabli.

–Żadnych rusznic! – syknął. – Chcecie polecieć do nieba, głupcy?! We młynie jesteście!

Młyn! Promienie słońca wpadające przez okienne otwory tworzyły długie słupy czerwonego blasku. W ich świetle wirowały tysiącami maluteńkich drobin mączny pył. Dydyński wiedział, że w tych starych młynach czasem starczyła tylko iskra, aby wywołać wybuch większy niż eksplozja beczki z prochem potraktowanej gorejącą żagwią.

Sienieński zlustrował uważnym wzrokiem koło młyńskie, rynnę, stawidła, drewniany mostek i skraj lasu. Nie dostrzegł nikogo, postąpił zatem kilka kroków do przodu. Za nim ruszył Krzysztoporski i część sabatów.

–Istvan?! – zapytał Sienieński, już nieco mniej pewnym głosem. – Gdzieś ty?!

–Tam on – rzekł głucho sodomita, pokazując palcem przed siebie.

Koło młyńskie obróciło się z szumem i pluskiem. A na jego szczyt wyjechał rozkrzyżowany na pierzydłach, przybity pałaszem do mokrego drewna, bezwładny jak wór rzepy dziesiętnik sabatów z Łańcuta.

–Zdrada! – krzyknął Sienieński. – Do broni!

A potem zabrzęczały szable, huknął wystrzał – na szczęście na podwórzu przed młynem. Dydyński dostrzegł, jak z dachu wprost za plecy Sienieńskiego zeskakują postaci uzbrojone w szable i pałasze. Napastnicy wpadli na sabatów i rębajkę z takim impetem jak chorągiew husarska na pijanych i nieruchawych Moskwicinów. Stolnikowic ujrzał pośród nich szeroką gębę Szawiły, potężną postać swego brata Mikołaja, dalej Zygmunta i innych. Jednocześnie usłyszał wrzaski, szcęk szabel z drugiej strony młyna, przy głównych wrotach.

Jacek nad Jackami kucnął, odbił się od ziemi i podskoczył, podkulając nogi jak tylko się dało. Z najwyższym trudem przerzucił pod nimi skrępowane z tyłu ramiona, omal nie zawadzając sznurami o ostrogi przy safianowych butach. Stojący obok Aramis ucapił go mocno za kołnierz.

Za późno! Dydyński zdążył przełożyć ręce do przodu. Jednym silnym ruchem walnął sodomitę łokciem w sam środek żywota. Mniński stęknął, zgiął się wpół, a wówczas Dydyński huknął go bykiem prosto w łeb, wpadł na niego, obalił. Upadli razem, potoczyli się z hałasem po drewnianych schodkach wiodących w dół, do podpiwniczenia, gdzie turkotały złowieszczo zębate koła i drewniane wałki; rozwalili poręcz, strzaskali drewnianą ściankę, zza której poleciały na ziemię worki ze świeżo zmieloną mąką. Aramis pierwszy poderwał się na nogi, porwał za pałasz, skoczył na

stolnikowica. Ciął wlic z zamachu, poprawił na odlew, nie bawiąc się w żadne zwody i uniki. Dydyński skoczył w tył, przysiadł na piętach, unikając drugiego ciosu, a potem przeturlał się po drewnianej posadzce prosto pod nogi sodomity. Mniński zaklął, gdy jego cios przeciął powietrze, przeskoczył nad Dydyńskim, potknął się o beczkę, wylądował na podkurczonych nogach i jednocześnie okręcił się wokół własnej osi jak zwodnica. I z furią rąbnął leżącego na ziemi Dydyńskiego wbrew, pionowo, z góry.

Stolnikowic zasłonił się drewnianą szuflą do ziarna, wychwycił uderzenie tuż nad piersią, podkulił nogi i wyprostował je z całych sił, trafiając Aramisa w brzuch, odrzucając go do tyłu. Gdy skoczył na nogi, Mniński rzucił się w jego stronę. To był błąd. Dydyński wykopał klin spod trzech opartych o ścianę beczek.

Dziewięciogarncowe antały stoczyły się prosto pod nogi pachółka. Sodomita krzyknął, stracił równowagę, zaplątał się między beczki, padł na najbliższą, lecz zaraz zerwał się na nogi. A wówczas Dydyński skoczył na antał, pojechał na nim prosto na Aramisa, przebierając nogami. Przeciwnik krzyknął, ciął pałaszem; stolnikowic sparował uderzenie połamaną szuflą, odrzucił ją i skoczył całym ciężarem na wroga, łapiąc go związanymi rękoma za szyję.

Polecieli z hukiem w tył, roztrącając beczki. Aramis uderzył plecami o obracający się wał, walnął barkiem w brzeg ogromnego koła palecznego. Dydyński uderzył czołem w wymalowane barwiczkami oblicze sodomity, rozwalił mu łuk brwiowy. I nie czekając, aż ostrze pałasza ukąsi go w plecy, wbił z rozmachem prawą, uzbrojoną rękę przeciwnika pomiędzy szerokie palce drewnianego koła, przetoczył się na bok, zerwał na nogi...

Aramis krzyknął. Chciał się poderwać, ale nim zdołał cokolwiek uczynić, koło paleczne porwało jego rękę w górę, do miejsca, w którym grube kołki stykały się z trzeszczącą drewnianą cewią. Sodomita zawył przeciągle, szarpnął się, ale bezskutecznie. Z chrupotem miażdżonych kości, z chrzęstem i łoskotem jego ręka dostała się pomiędzy drewniane tryby i bolce. Pachółek zaryczał, szarpnął się uwieszony na zmiażdżonym ramieniu jak kukła, zadygotał z jękiem.

Dydyński zamarł przerażony, bo takiej śmierci nie życzyłby nawet najgorszemu z wrogów. Wielkie koło nie wypuściło Aramisa ze swych objęć – porwało go w dalsze tany, przeciągnęło po podłodze zraszanej strumieniami krwi aż do miejsca, gdzie wznosił się okuty żelazem wspornik wału.

–Jezuuuu! – zawył Aramis. – Pomścij mnie!

Było już za późno na cokolwiek. Drewniane bolce wciągnęły sługę Sienieńskiego w szczelinę, zatrzeszczały, gdy ciało zaklinowało się między wałem a wspornikiem, zatrzymały na krótką morderczą chwilę... Kark sodomity pękł w jednej chwili, chrupnęły łamane żebra i kruszone kości. Dydyński widział, jak spomiędzy zakrwawionych ryf i obręczy wypadł pokrwawiony zewłok przypominający bardziej stary łachman niż ciało młodzieńca.

Stolnikowic skoczył po schodach na górę, wypadł do młyna, gdzie trwała walka, a Dydyńscy, Szawiła i Dwerniccy ścierali się z sabatami i resztą ludzi Sienieńskiego.

–Masz, kamracie! – ryknął ktoś niedaleko. Jacek ujrzał, jak w jego stronę leci szabla, wysunął związane ręce, aby ją chwycić...

Nie zdołał. Rękojeść minęła jego skrępowane dłonie dosłownie o cal, zawadziła o krawędź podłogi górnego półpiętra młyna, uderzyła z brzękiem o drewnianą podłogę i zatrzymała się gdzieś na górze. Dydyński zdębiał, gdy dostrzegł, kto rzucił mu broń. To było znajome szczere oblicze ozdobione wąsiskami zwieszającymi się aż na ramiona...

**Berynda!**

**Do kroćset, co on tu robił?!**

Nie było czasu na zastanawianie się. Dydyński skoczył ku schodom wiodącym na górne piętro młyna. Chciał wskoczyć na górę, porwać broń, oswobodzić ręce...

**Nic z tego!**

Z góry, z podwyższenia, skoczył ku niemu szlachcic w rajtroku, bez czapki. Od razu, nim jeszcze wylądował na deskach, rąbnął go wyżkiem od dołu w lewą pachwinę. Jacek rzucił się wstecz, padł na drewniane schody i poczuł chłód niczym u dwudniowego nieboszczyka. Jego przeciwnikiem był Sienieński!

Aleksander bez trudu roztrącił walczących, rozdając uderzenia niczym magister karcący rozbrykaną dzieciarnię różgą. Lecz każde z nich zostawiało krwawe znaki na łbach i ciałach popleczników Dydyńskiego. Szawiła zajęczał i padł cięty w bok, Zygmunt odskoczył uderzony w lewą rękę, jego pacholek dostał w łeb, padł na twarz, aż zadudniły deski.

Jacek pomknął w górę schodów. Potknął się, przeleciał przez ostatni stopień, lądując na górnym piętrze, na białej od mącznego pyłu podłodze. Zerwał się na kolana, skoczył w stronę broni. I wtedy zorientował się, że jakimś czartowskim sposobem Sienieński znowu okazał się szybszy.

Morderca ciął stolnikowica węg, potem wlic. Dydyński ledwie wywinął mu się spod szabli, dostał w lewy bok samym końcem pióra. Sienieński skoczył nań z rykiem, rąbnął krótkim ciosem z łokcia, w kiść.

Jacek nie miał się gdzie cofnąć, bo za nim wznosił się stos worków z mąką; nie miał szabli, nie miał czym się bronić przed rębajłą...

**Zastawił się gołymi rękoma!**

Sienieński wrzasnął, gdy jego szabla spadła na bezbronne ręce stolnikowica. Lecz zamiast odrąbać dłonie od ramion, pozostawiając krwawiące kikuty, wpadła w szczelinę pomiędzy rozwartymi wnętrzami obu dłoni, przecięła grube konopne powrozy, którymi były skrępowane, i zatrzymała się na lewym barku szlachcica, pozostawiając krwawy ślad...

Dydyński zastawił się tak, by ostrze weszło między skrępowane dłonie; by przecięło więzy, nie naruszając skóry ani ciała!

Rozłożył uwolnione ręce, chwycił lewą dłonią za uzbrojone ramię przeciwnika i jednym kopnięciem odrzucił Sienieńskiego na bok. Rębajło wpadł tyłem na worki z mąką, wzbil wielki obłok pyłu, osunął się na ziemię, lecz zaraz poderwał obsypany bielą.

Jacek chwycił szablę w zgrubiałe, zmartwiałe dłonie, skoczył na wroga. Starli się na samym środku piętra, przy drewnianej skrzyni, w której obracały się z chrobotem kamienie młyńskie. Dydyński ciął wtrok z ramienia, z niskiej, przykurzonej postawy,

w ostatniej chwili zmieniając cięcie w zwód. Pchnął z całej siły, a wtedy Sienieński skoczył w tył, zachwiał się, dostał po boku. Zbił ostrze szabli desperackim odbiciem, a zaraz potem płynnie wyprowadził krótkie cięcie wręczne w kiść. Jacek zasłonił się, przyciął wczłon, odpowiedział wlew, a wtedy Sienieński zbił jego szablę, ciął w nadgarstek, zasłonił się wiatraczkiem i jakąś czarnoksięską sztuczką, nie wiedzieć jak ani kiedy, wybił szablę z ręki stolnikowica!

Dydyński zachwiał się na nogach. A wówczas przeciwnik, prostując się, uderzył go rękojęścią szabli w żywot, poprawił łokciem w pierś, a potem zdzielił płazem w sam środek czoła. Jacek nad Jackami zrobił krok w tył, oparł się o brzeg skrzyni. Wróg spadł nań jak armatnia kula, porwał za rękę, obalił, przycisnął ostrze szabli do gardła.

I zaraz przegiął głowę stolnikowica przez szparę w deskach, tam gdzie na leżaku obracał się ogromny, chropawy, osadzony we wrzecionie biegun młyński.

Dydyński zadrżał, ostatkiem sił utrzymał się na krawędzi drewnianej zabudowy. Chwycił Sienieńskiego za uzbrojoną prawą rękę, porwał za lewą, która – oparta o jego czoło – wolno, nieubłagalnie spychała podgolony łeb szlachcica coraz niżej, wprost w objęcia śmierci. Jacek wiedział dobrze, że rozpędzony gład rozetrze jego gębę na krwawą miazgę i ze wszystkich sił bronił się przed tym, co nieuniknione.

–Módl się, waszmość – wycharczał Sienieński. – Ostatni czas ku temu...

–Aaaaaa! – wycharczał Dydyński z rozpaczą odpychający ręce.

–Nie możesz gadać – wystękał Sienieński. – To może ja zmówię za ciebie...

–Raaaaakarz...

–Różaniec czy... Pater noster, mości stolnikowicu?!

–Ty z kurrrrr...wyyyyy...

–Znaczy się Ave Maria...

–Chędoż...

–*Ave, Maria, gratia plena, Dominus tecum* – zaczął Sienieński i zepchnął głowę Dydyńskiego tak nisko, że już, już dotykała kamienia młyńskiego i obracających się obok trybów. – *Benedicta tu in mulieribus...*

–Aaaaaa, yyyyyyyyy...

–...*et benedictus fructus ventris tui, Iesus...*

Nie zdołał dokończyć ofiarowania, bo Królowa Niebieska natchnęła w tejże samej chwili Dydyńskiego do dalszego działania. Na słowa *Sancta Maria* stolnikowic wbił kolano między nogi Sienieńskiego. Na *Mater Dei* wymierzył solidny cios w klejnoty wroga, zaś na *ora pro nobis peccatoribus* poderwał z krzykiem głowę i huknął łbem w sam środek czoła Aleksandra.

Dalej poszło szybko. Na *nunc et in hora mortis nostrae* uderzył kolanami w brzuch przeciwnika, ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem podniósł go w górę i przerzucił nad głowę. Sienieński zwałił się na drewnianą skrzynię, rozwalił drewniany kon i sita, uderzył plecami o brzeg kamienia młyńskiego, potrząsnął łbem i zanim zerwał się na nogi...

–Amen, panie bracie! – krzyknął Dydyński, dopadając doń z szablą wśród kłębow mącznego pyłu, nad trzeszczącym kołem młyńskim. Rąbnął na odlew, wręcz, ciął i

odbijał ciosy z podlewu, w kiść, wrąb. A potem błyskawicznym unikiem, nie wiedząc jak i kiedy i nie spodziewając się, że pójdzie mu tak sprawnie i gładko, ciął Sienieńskiego nyżkiem...

*Hollische polnische Quarte*, jak mawiali rajtarzy królewscy...

Ostrze szabli rozchlastało udo i pachwinę, przecięło ciało, mięśnie, żyły i tętnice. Krew chlusnęła z rany, zmoczyła pokryte grubą warstwą pyłu deski podłogi... Sienieński porwał się lewą ręką za zranioną nogę, chciał pewnie walczyć dalej, ale nie zdołał złożyć się do zastawy. Dydyński uderzył go wkłęb, z zamachu, z niskiej postawy i już w czasie cięcia dołączył lewą rękę do prawej...

Z przerażającym chrzęstem odrąbał przeciwnikowi nogę do reszty...

Aleksander opadł na deski, ale nie wypuścił broni. Dydyński zmacał go przez łeb, ciął przez policzek okropnym cięciem, przecinając skórę aż do zębów, odrąbał trzy palce w dłoni trzymającej szablę...

Dopiero teraz węgierka rębajły upadła z hałasem na ziemię. Sienieński runął na deski, chwycił się oburącz za kikut nogi, z którego tryskały strumienie posoki, ścisnął rękoma, lecz nie mógł zatamować krwawienia.

Dydyński stanął nad nim zbryzgany posoką.

–Mości panie, oto twoja śmierć.

–A niby gdzie ona?! – wycharczał Sienieński, głosem, w którym nie można było wyczuć nawet cienia strachu. – Pokaż się, kurwo?! Co, boisz się mnie?! Chodź tu, wściekła suko!

Poraniony i porąbany Sienieński wyglądał jak upiór z Jawornyka. Jego nos był złamany, jedno ucho wisiało w strzępach, w prawej dłoni brakowało środkowych palców. Krew lała się strumieniami z przerażanego uda, a na policzku spoza brzegów rany wystawały zakrwawione dziąsła i połamane zęby. Wyglądało to tak, jak gdyby na jego obliczu wykwitł krwawy uśmiech.

–Kończ mnie – wycharczał. – Zdaje się, że wygrałeś. Cnota tryumfuje, a wszelki występek otrzyma słuszną zapłatę... Jak u Długosza czy innego klechy! Zapłać mi do końca, Hektorze sanocki, a ja zwrócę ci wszystko z nawiązką, kiedy spotkamy się w piekle!

–Podnieś i walcz! – Dydyński wskazał piórem szabli broń przeciwnika.

Aleksander pokręcił głową.

–Kończ – wycharczał, plując krwią. – Skoro nie chce chędożyć mnie ta przechodka z kosą, tedy ty spełnij obowiązek jako prawy katolik. Za moją duszę kupisz sobie ze dwa szczeble w drabinie do raju. Za pięciu takich jak ja wezmą cię żywcem do nieba... Jako twego patrona, świętego Jacka Odrowąża w Kijowie!

–Więcej pokory, panie bracie. Dziś jeszcze staniesz przed Ojcem Niebieskim.

–Nie myśl, że wszystko skończy się tak prosto – wydyszał Sienieński. – To dopiero początek. Ten pojedynek dokończymy tam, po drugiej stronie. Nie ciesz się, panie bracie! Choćbyś trafił do nieba albo piekła, wszędzie cię znajdę!

Dydyński uśmiechnął się, jakby przeczuwał, co się stanie. A potem usłyszał obok siebie szmery, szelesty, łopot powiewających łachmanów i delikatne skrzypienie podłogi.

–Poleć duszę aniołom, bo czuję twój strach – wyszeptał zdjęty grozą. – Oni już przyszli po ciebie.

Zobaczył, jak zakrwawione oblicze Sienieńskiego staje się białe jak chusta, jak jego oczy wpatrują się w coś za Dydyńskim.

–Ru... Rusiecki – wycharczał wywołaniec, a stolnikowic po raz pierwszy dostrzegł na jego obliczu strach. – To... ty... Jak to? Co tu robisz? Dlaczego...

Lodowaty dech owionął głowę Jacka. Sienieński cofnął się, pełzł, wlokąc za sobą zakrwawiony kikut nogi, znacząc swoją drogę rozmazanym, oblepionym mącznym pyłem śladem krwi.

–Niemirowski... Zaklika – wyjęczał. – Czego chcecie ode mnie?! Rusiecki, to nie... ja... Nie ja strzela...łem. To czeladnik. Mój czeladnik! Mariooooo!

Dydyński zrobił krok do tyłu, przeżegnał się, chociaż nic nie widział. Coś wolno zbliżało się do umierającego bryganta, osaczało go, straszne, lodowato zimne; coś, co łopotało na wietrze zetłalymi strzępami szmat... I z głuchym stukotem przemieszczało się po deskach podłogi.

–Zostawcie mnie! – wybełkotał Sienieński, cofając się, aż przylgnął do ściany. – Przyszliście po mnie! W końcu, skurwesyny! Nie dalibyście mi rady za życia, więc będziecie gnębić po śmierci... Ale ja wam się nie dam... Nie daaaaam!

Dydyński szedł rakiem aż do schodów, zdjęty trwogą, której nie zaznał nawet wtedy, gdy pod Kircholmem kula ze szwedzkiego falkonetu zbiła z nóg konia i odbiła się od jego husarskiego napierśnika. Już miał uciec, gdy nagle wstrząsnął nim jęk Sienieńskiego.

–Panie Dydyński! Mości stolnikowicu...

Zamarł rozdygotany, drżący.

–Oni po mnie przy...szli – jęknął Aleksander. – Zabie...rają, a tam, w piekle, nie powitają mnie dobrze. Dużo grzeszyłem. Błagam cię...

Błagaj – powtórzył w myślach Dydyński. Błagaj, jak twoje ofiary. Jak postrzelony w karczmie Rusiecki, na którego oczach po raz drugi sam nabiłeś pistolet i kazałeś słudze mierzyć prosto w serce. Jak Jaksmanicki, któremu odrąbałeś obie ręce, choć prosił cię, abys mu choć lewą ostawił... Tak, panie bracie, dzięki mnie poznałeś choć trochę, co to znaczy być człowiekiem. Poznałeś... strach!

–Odpuść mi winy, jak Chrystus... Błagam! – zaskomlał Sienieński.

Dydyński uczynił znak krzyża.

–Jako w niebie tak i na ziemi... Odpuszczam ci wszystko... Odejdź w pokoju.

Sienieński uśmiechnął się krwawo i boleśnie. A potem szelesty osaczyły go ze wszystkich stron, jego łeb owionął trupi oddech dusz, które przyszły, by odprowadzić go drogą bez powrotu prosto do diabelskich kołowrotów.

Dydyński odwrócił się i szedł na dół. Nie miał tu już nic do roboty. Walka była skończona – trupy sabatów leżały w zgodzie na deskach, posypane mącznym pyłem.

Mikołaj, Szawiła, Berynda i reszta kompanii stali na progu. Powitali jego zejście krzykiem. Stolnikowic padł im w ramiona. Najpierw uścisnął go Mikołaj. Potem Berynda, dalej Szawiła i reszta braci. Jacek nie dał im się weselić – niemal przepchnął ich przez próg, wypadł biegiem z młyna.



Za drzwiami odwrócił się, zerknął tam, gdzie umierał Sienieński. A potem przeniósł wzrok na podłogę, gdzie klęczał porąbany i zakrwawiony Krzysztoporski, trzymający na kolanach zmiażdżone, złachmanione ciało Mnińskiego. Rębało szlochał, łyzy grube jak groch toczyły się po jego pokrytym bliznami, wymalowanym obliczu. Dydyński poczuł skurcz pod sercem.

–Łaskiiii! – zawył przeciągle jakiś głos. Sienieński. Dydyński usłyszał, jak zakrwawione ciało pełźnie po deskach, jak brygant szlocha, uciekając przed okrutnymi upiorami. – Zostawcie mnie! Precz! Precz, do diabła.

Stolnikowic wyciągnął Szawille pistolet zza pasa, odciągnął skałkę. I choć jego kompani krzyknęli ze strachu, pociągnął za spust, mierząc w worki z mąką.

Pył zajął się ogniem w jednej chwili. Wybuch targnął powietrzem, odrzucił ich od budowli. Płomienie skoczyły na deski, wiązary, worki i beczki. Żywiół zaszumił głośnie, zahuczał przerażająco, obejmując belki przyciesi, ściany i dach budowli.

Dydyński usłyszał ze środka przeraźliwy ryk, z jakim Sienieński rozstawał się z tym światem. Przez chwilę widział płonącą postać miotającą się wśród trybów i zębatach kół. A może tylko tak mu się zdawało?

Odwrócił się i ruszył do koni.

Ten rozdział opowieści był dla niego skończony.

Stado kruków zerwało się z łopotem skrzydeł z okolicznych drzew. Zawirowało, zakrążyło nad płonącym młynem, a potem poleciało na południe, prosto do Jawornyka.

Czyżby po to, aby złożyć duszę Sienieńskiego między tamtejszymi upiorami?

\* \* \*

–W sam czas zdążyłem! – wydyszał Berynda. – Jak mnie z zaścianka wytrąbiliście, do Terpiczowa poszedłem, za kowala do dworu. A kiedy łańcuckich ludzi zobaczyłem, to zaraz kuźnię rzuciłem i na koń. Widziałem, jak się spotkaliście z Diabłem na brodzie i jak ciebie, panie bracie, zdradziecko w plen wzięto. Tak zaraz skoczyłem szukać pomocy. Chciałem do Dwernik jechać, ale po drodze napotkałem ichmość panów Dydyńskich i Dwernickich. I dobrze, bo zanimbym do wioski skoczył, już by było po wszystkim! Zaraz za Sienieńskim ruszyliśmy drugim brzegiem i w młynie zapadliśmy, bo ten szelma często do młynarza przyjeżdżał i tam widać knuł ciemne sprawki. Rychło w czas przybyliśmy; gdybyśmy się nie pośpieszyli, nakarmiliby waszą mością pstrągi hoczewskie...

–Dokąd teraz?! – zapytał Mikołaj. – Co robić? Ukarać Gedeona? Czy za Zegartem gonić?

–Jedźmy za Zegartem! – zakrzyknął Berynda. – W tym piśmie musi być coś ważnego, skoro Diabeł oddał w zamian moją siostrę. Będziemy mieli haka na starostę zygwulskiego!

–A przez ten czas Gedeon poślubi Konstancję w Przemyślu, a potem zniknie?! – zapytał gorzko Jacek nad Jackami. – Łatwo wam tak mówić! Jedźmy ratować moją dziewczkę, zanim pani Dydyńska stanie się panią Kardaszową!

–Od tego pergamentu, proszę waszmości – rzucił z furią Berynda – może zależeć los nas wszystkich, Dwernik, Niewistki, całej Ziemi Sanockiej i Przemyskiej! To jest

**kwit na Diabła, to jego największa tajemnica, cyrograf zbrodni dokonanej w przeszłości. Jedźmy za Zegartem, dogonimy go za Sanokiem! Zgodzisz się czy mam ci do nóg upaść?! Jam cię zratował, panie bracie, pomóż tedy w zamian nam wszystkim!**

**Dydyński ścisnął głowę rękami.**

**–Diabeł z nim tańczył! – warknął. – Nie zostawię Konstancji!**

**–Konstancja poczeka! – krzyknął Berynda. – Odbijemy ją choćby z piekła! Przecie to moja siostra.**

**Dydyński pokręcił głową.**

**Mikołaj mrugnął do Łukasza, Łukasz do Zygmunta, a Zygmunt do Stefana...**

**A potem Mikołaj porwał Jacka za prawe ramię, Zygmunt i Łukasz za lewe, a Stefan zaciął pod nim konia nahajem. Pomknęli na Hoczew, mijając bród z drogą odchodzącą na Terpiczów i dalej – na Polanę, Ustrzyki i Przemyśl.**

**–Zdrajcy! – krzyknął Jacek nad Jackami. – Bodaj was pokręciło, psie syny!**

**–O co ta złość? – wysapał Mikołaj. – Daj nam choć raz zdecydować samym, bracie, bo nie chciałbyś chyba doczekać się czterech kolejnych Przeclawów. Na Sanok!**

**\* \* \***

**Dopadli Zegarta i jego pachołków na starym trakcie wiodącym do Dynowa, niemal na pół stajania przed Huluczem. Nie było czasu na żadne zasadzki, podchody czy fortele. Ujrzawszy szarawe hunie, burki i czapy sabatów, Dydyński pochylił się w kulbace i pomknął skokiem za ludźmi Stadnickiego.**

**Podkowy załomotały na gościńcu; konie wyciągnęły łby i stuliwszy uszy, poszły w skok, w półbieg, a gdy wiatr zaświszczał im w rozwianych grzywach – w cwał. Dydyński wysforował się przed braci na swym husarskim wierzchowcu, na Białonóżku, który od trzech lat dzielił z nim dzielnie wszystkie zwady, pojedynki, zajazdy, sejmikowe rąbaniny i niewolę u Diabła Stadnickiego. Prześcignął dzianety, podjezdki, wszedł na ogony kościstym sekielom Węgrów!**

**Zegart nie był głupcem. Słyszając nadchodzący ogłuszający tętent kopyt, obejrzał się, krzyknął coś do sabatów, a potem wszyscy jak na komendę uderzyli konie ostrogami. Zausznik Diabła bał się zaryzykować zbrojne starcie, a stolnikowic w duchu przyznawał mu rację. Zegart wiedział dobrze, że ktoś, kto uszedł cało z rąk Aleksandra Sienieńskiego, wymorduje jego sabatów równie łatwo, jak pijany szlachcic gasi szablą płonące świece w karczmie. Z dwojga złego wołał zatem zaufać rącości kopyt swego wierzchowca.**

**Konie rwały jak szalone, niby lotne ptaki, jak czajki, które długo lecą nad ziemią, zanim ostatecznie zerwą się do lotu ze stepu Ukrainy. Spod kopyt leciał żwir, kamienie, woda i błoto na rozmokłym trakcie. Na czele uciekających pędził Zegart na bułanym perskim argamaku, za nim sabaci na małych, kościstych siedmiogrodzkich sekielach i bahmatach. Dalej stolnikowic, który wysforował się na siwym polskim wierzchowcu na czoło pogoni, potem bracia Dydyńscy, a na końcu Szawiłta i Berynda na pokrytych pianą Wołoszynach. Wierzchowce Zegarta i jego poczty nie były tak zmęczone jak Dydyńskich. Jednak poza koniem łańcuckiego sługi wszystkie**

były znacznie słabsze, jako że bracia z Niewistki siedzieli na dobrych, roślących dzianetach, rumelijczykach i polskich rumakach – rącznych i śmigłych, powstałych z połączenia najlepszych klaczy i ogierów sprowadzanych z Turcji z końmi andaluzyjskimi, włoskimi i niemieckimi.

Jak wicher przebyli zakręt gościńca biegnącego wzdłuż rozległej doliny Sanu. Byli tuż przed Huluczem; w miejscu gdzie gęsty sosnowy bór schodził z łagodnych wzgórz aż do samego nurtu rzeki. Przemknęli przez las pełen zwalonych, spróchniałych drzew, przez pola i nadrzeczne łągi i jak burza wpadli w opłotki wioski.

Trakt przechodzący przez wieś pełen był ludzi, kolas i chłopskich wozów, do których zaprzężono niskie, długowłose, czerwonawe bojki. Kmiecie i zagrodnicy rozpierzchli się z wrzaskiem, gdy zobaczyli pędzącą w ich stronę gromadę konnych, porzucając kosze, garnki, hołoble, widły i chomąta. Wnet stratowały je, wdeptały w ziemię kopyta rozszalałych koni, które przemknęły jak orkan wzdłuż długich teleg, płotów i parkanów.

Nagle z zagrody po prawej, z głębi ciężkiej dębowej bramy wyjechał na trakt chłopski chmyz ciągnący wyladowaną kolasę. Niespodziewający się niczego kmięć zagroził drogę Dydyńskim zaraz po tym, gdy obok chałupy przemknął Zegart i część jego pocztu. Widząc nadciągających jeźdźców, chłop wrzasnął, cisnął lejce i zrejterował z wozu, przytrzymując słomiany kapelusze na łbie.

Przedostatni z umykających sabatów wpadł z krzykiem na kolasę, jego koń wylał się przed skokiem, zarył kopytami w ziemi tuż brzed burta, zrzucając jeźdźca prosto na gliniane garnki, dwojaki i kosze. Węgier fiknął kozła, wylądował na stosie potrzebnych skorup, przewalił się przez kolasę, padł w błoto.

Ostatni z uciekających ściągnął wodze w lewo, skręcił z traktu prosto w ogród wokół niskiej, pociemniałej ze starości chyży. Jego koń przesadził polski płot z plecionki, wpadł na zagony i grządki, runął jak oszalały na podwórze, gdzie przy chałupie suszyły się chusty, prześcieradła i białe koszule. Przerażony sekiel wpadł w chłopskie pranie, zrywając powrozy jak wężle nitki, wypadł z kłębowiska okryty łopocącymi płótnami, a jeździec zleciał z kulbaki zaplątany w bieliznie, zwałił się między dębowe beczki i antałki przy bocznym okienku chałupy.

A stolnikowic skierował konia prosto na tarasujący drogę wóz. Jego wierzchowiec skoczył zwinnie, przesadził obie burty, a potem pomknął za umykającymi wrogami. Tuż za nim pokonał przeszkodę Zygmunt, potem z krzykiem Mikołaj, wreszcie Łukasz, Berynda i dwóch pacholców Dydyńskich. Szawiła był ostatni; jego koń zawadził w przelocie tylnymi kopytami o wysoką burtę wozu, zdruzgotał deskę, a kiedy wylądował na ziemi, zwolnił, odstał od pogoni, kulejąc na tylną nogę.

Jacek Dydyński pochylił się w kulbace, wtulił twarz w rozwianą końską grzywę...  
–Leć, Białonóżku – wyszeptał – leć ile sił!

Husarski rumak pomknął jak stepowy wiatr. Przemknęli obok Dębniaka i wzniesionej na owym wzgórzu cerkwi, zbudowanej jeszcze za Zygmunta Starego. Wypadli na wąską, błotnistą drogę prowadzącą prosto jak strzelił między świeżo zaoranymi polami. Zegart obejrzał się, krzyknął, widząc, iż pogoń zbliża się coraz bardziej, a potem desperackim ruchem sięgnął po półhaka. Sabaci także porwali za

pistolety. Dydyński zobaczył czarne otwory luf łypiące nań groźnie niby oczodoły kostuchy, pomodlił się, polecił duszę Bogu. Półhaki, puffery wypaliły z hukiem i błyskiem, lecz kule wystrzelone w tak szaleńczej gonitwie poszły panu Bogu w okno. Jedna, widać przypadkiem, zdmuchnęła sobolowy kołpak z łba Mikołaja, inna zaświszczała Dydyńskiemu nad uchem.

A potem koń Zygmunta zwałił się z kwikiem i rżeniem; jeździec fiknął kozła nad łbem, padł prosto w błoto, przeturlał się po ziemi...

Gnając jak szaleni, wpadli do podmokłych olchowych zagajników, przemknęli przez zbity gąszcz, przeskakując nad zwalonymi pniami drzew; pognali dróżką wiodącą wzdłuż nadrzecznych łągów i mokradeł porośniętych trzcinami i tatarakiem. Z szumem, z łoskotem skrzydeł zerwały się z nich ogromne stada kaczek i dzikich gęsi powracających wraz z wiosną w rodzinne strony.

Konie dobywały wszystkich sił. Płaty białej piany odpadały z boków wierzchowca Dydyńskiego, toczyły się z pyska. Ale sekiele sabatów odstawały od Zegarta, zostawały w tyle.

Jacek dopadł ostatniego z uciekających. Ciął go z zamachu przez łeb, zwałił na trakt. Pędzący cwałem wierzchowiec zarżał dziko, skręcił w bok, przyspieszył, zrównując się z następnym koniem.

Kolejny sabat przeczuł, że pościg jest już o krok. Zaciął rozpaczliwie nahajką. Skórzany bat chlasnął stolnikowica po gębie, zakręcił się wokół prawej dłoni. Pacholek Zegarta pociągnął go do siebie, chcąc wyłuskać przeciwnika z kulbaki. I być może udałoby mu się to, gdyby Jacek nie chwycił się kuli przedniego łęku, nie osiadł mocniej w siedzisku.

Stolnikowic szarpnął dwa razy ręką, wrywając nahaja z dłoni sabata. A potem ciął go po plecach szablą, zdruzgotał lewy bark, zrównał się z jego koniem, uderzył rękojeścią broni w łeb. Sabat zakwicział jak zarzynana świnia, ale nie wypadł z terlicy. Trzymał się rozpaczliwie końskiego grzbietu, pokrwawiony i porąbany, jak tonący uczepiony ostatniej deski z rozbitego statku. Na taki upór stolnikowic mógł poradzić tylko jedno. Wypuścił z ręki szablę, która zawisała na temblaku, porwał wroga za kark, wyciągnął go z terlicy, a potem zrzucił wprost pod kopyta. Sabat zawył, zaskrzeczał, dostał w głowę kopytem i potoczył się po trakcie jak bezwładny tobół.

Dydyński ponaglił konia ostrogami. Husarski wierzchowiec dawał z siebie wszystko, gnał jak orkan z wyciągniętą szyją i zbliżał się, zbliżał coraz bardziej do najwierniejszego sługi Stadnickiego. Stolnikowic krzyknął tryumfalnie, widząc, iż tylko dwaj sabaci dzielą go od Zegarta...

Wpadli do lasu porastającego obniżenie pomiędzy wzgórzami, rwali wąską przecinką wyciętą w zieleniącym się wiosną młodniaku, pędzili przez polany zarośnięte paprociami i malinowe chruśniaki.

Zegart porwał za drugiego półhaka. Obrócił się w łęku i strzelił. Ale nie w Dydyńskiego. Z rozmysłem wpakował kulę prosto w pierś konia ostatniego z sabatów. Wierzchowiec zakwicział, opuścił łeb, skulił się, potknął raz, drugi. A potem zwałił na ziemię, tarasując wąską ścieżkę, kwicząc, bijąc kopytami...

Koń Dydyńskiego znowu okazał się wart swej ceny. Niemal w ostatniej chwili

uskoczył w bok, wpadł w krzaki, chrusty chłuszczące jeźdźca kolczastymi gałęziami, wychynął na wąską, wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę wijącą się równolegle do leśnego duktu, którym uciekał Zegart z ostatnim już sabatem.

–Leć, Białonóżku! – wyszeptał Dydyński wprost do ucha najwierniejszego przyjaciela szlachcica. – Bierz ich.

Koń dobył z siebie ostatka sił, resztek fantazji i cnoty. Rwał ścieżką jak jeleń, a stolnikowic niemal w ostatniej chwili pochylił się w siodle, kiedy rumak szybko jak wiatr przemknął pod zwieszającym się nisko konarem drzewa. Wierzchowiec skoczył zwinnie nad spróchniałą kłodą, wpadł w przerwę między drzewami, skręcił na dukt tuż za uciekinierami. Zegart zawył z rozpacz. Z rozmachem zdzielił ręką pistoletu ostatniego ze swoich sług, popchnął go, chcąc zwalić z końskiego grzbietu wprost pod kopyta Białonóżka – aby za wszelką cenę kupić sobie choć chwilę przewagi. Sabat krzyknął, porwał za rękaw delii Zegarta, młócił rozpaczliwie rękoma, szlochał i kulił się. Zegart walił go raz za razem – po łbie, po rękach i skulonym grzbiecie. Wreszcie przydzwonił mu w skroń, odepchnął, poprawił głownią pistoletu, aż zadudniło, i rzucił wprost pod nogi wierzchowca stolnikowica.

Nic tym nie zyskał! Węgier zniknął pod kopytami, stratowały go podkowy Białonóżka i pędzące za nim konie braci Dydyńskich. A Jacek nad Jackami nie oddalił się nawet na piędź.

W ostatniej desperacji Zegart zdarł z ramion delię i cisnął ją na łeb wierzchowca swego prześladowcy. W chwilę później pozbył się pistoletów, wyrzucił olstra, sakwę, kołpak, niczym Tatar uchodzący przed pościgiem. Ale prześladowca nie odpuszczał, dochodził zdobyczy jak wilk. Już, już gorący dech konia stolnikowica owiewał kark ofiary, już Białonóżek dotykał pyskiem zadu wycieńczonego biegiem argamaka!

A potem wypadli na błotnistą łąkę. Wierzchowiec potknął się, wpadł głęboko w błocko, zrzucając jeźdźca. Sługa Diabła przeokoziółkował w wysokiej trawie, przeturlał się, lecz zaraz poderwał na nogi, chwycił za szablę.

Jacek zawrócił konia, podjechał do Zegarta. Ciął raz, drugi, złożył się do zwodu, a potem obalił wroga cięciem w łeb. Zeskoczył z kulbaki i przyłożył mu pióro szabli do szyi.

Zegart padł na kolana, wytrzeszczył oczy, złożył ręce jak do modlitwy, widząc nadciągających Dydyńskich, Beryndę i Szawilę.

–Łaski, jaśnie wielmożni panowie! Litości i miłosierdzia! – zaskomlał jednym tchem. – Ja wszystko oddam, wszystko poświęcę, uczynię, co tylko chcecie, jeno nie zabijajcie!

–A dupy też nam nadstawisz?! – zakrzyknął groźnie Mikołaj.

Zegart był tak przerażony, że odruchowo wyciągnął rękę w kierunku pasa, a wówczas Dydyński zmacał go po przyjacielsku płazem szabli po łbie.

–Dawaj list! Ten od Turków, który twój pan dostał od Gedeona... Tfu! Od Hrynia Kardasza.

Zegart zawahał się, rozejrzał, jakby w poszukiwaniu pomocy, ale otaczały go same ponure i nieprzystępne gęby braci Dydyńskich. Resztki odwagi zmiękły w jego sercu jak wosk na świecy. Dygocącymi rękoma rozsznurował czarną sakwę, wyciągnął z

niej zwinięty w rulon dokument, podał stolnikowicowi. Dydyński gwizdnął przeciągle.

–Co z nim zrobimy? Mości Berynda, decyduj. On waściny zaścianek najechał, ciebie i braci chciał do pługa przymusić.

–Ja pamiętliwy nie jestem – wzruszył ramionami pan Bieniasz Dwernicki. – Krwi jego nie chcę. Starczy, że go z szat rozdziejemy i posadzimy gołą rzycią w mrowisko. Co wy na to, mości Zegart? Wytrzymacie do rana, to pożyczcie. A i podagra was nie będzie trapić na starość. Nie ma lepszego leku na przekłete choróbsko jak jad mrówek. Tych czerwonych, największych!

Zegart rozejrział się żałośnie i zaryczał, jak gdyby mrówki już teraz dobierały się do jego jajec.

–To może ja jednak dam dupy?! – zasugerował nieśmiało.

Tym razem zaryczeli bracia Dydyńscy. Ale ze śmiechu.

\* \* \*

Szum ze Stefkowej, uczony Żyd liski, którego Dydyńscy wyciągnęli nocą z domu, obiecując czapkę czerwonych złotych, odchrząknął, rozprostował poźótkle, wytłuszczone karty tureckiego pisma i zbliżył je do płomienia świecy. Długo wpatrywał się w pokręcone znaki, aż wreszcie powoli, z namysłem wypowiedział pierwsze słowa:

Bismi r-Rahmani r-Rachim

W imię Allacha Miłościwego, Miłosiernego! Chwała i sława nieskończona Temu, którego istnienie jest konieczne, szczodremu rozdawcy łask, który posoką ściekającą z ciał giaurów ugasił i stłumił płomień nienawiści i mściwości nieprzyjaciół naszych rakuskich – wyznawców złych zasad.

Oto jarłyk dany Hrynowi Kaydaszowi, słudze Stanislausa Stadnieckiego, od Urum Murzy wielkodusznego i najłaskawszego, z ojca i dziada poddanego Porty Czyngischańskiej, dzięki wielkoduszności i wspaniałości owej Porty, która przypomina gniazdo ptaka huma. Spisany przez Mehmeta, biedaka nieuczonego i mało oświeconego, z łaski najwznieślej mego pana – kadiego, dla perkałuby chocimskiego, aby rzeczonemu Kaydaszowi, jego sługom i niewolnikom nie wzbraniał przejazdu przez granice Porty. I w tym względzie żadnych nie doznawał przeszkód tak od wiernych Bogu muzułmanów. Albowiem postanowiona została ugoda pomiędzy panem mym z mocy Boga i proroka jego Mahometa a giurem niewiernym, niewolnikiem nikczemnym, Styanislausem Stadnieckim ze Żmigrodu, roku 994, piątego dnia miesiąca dziemazieleuwel, w pozostającej pod Bożą opieką Kaffie, chronionym i wspomagany przez Boga miastem w ziemi Krymskiej. Natchniony mocą Boską Stadniecki ze Żmigrodu, niewolnik najnikczemniejszy w węgierskiej stronie pojmany, czołem memu panu bił i żałując głośno błagał, aby Pan mój z niewoli go zwolnił, w której od roku w Czufut Kale pozostawał, albowiem pojął giaur ów swój błąd, zrozumiał, co mu wolno, a czego nie wolno, co może, a czego nie. Przeto błagał pana mego Urum Murzę, aby odjechać mógł do Lechistanu, w zamian zaś za swą osobę obiecywał dostarczyć trzydziestu giaurów niewiernych, możnych panów, którzy jako niewolnicy służyć będą. Niewiernych tych, którzy się zowią Dvernyczczy przyprowadzić ma inny giaur, Hryn Kaydasz, na czole klejmem

oznaczony. W zamian za onych niewolników, Stadniecki wolność uzyska. Litując się tedy nad robakiem Bożym, kazał mój pan Urum Murza rzeczonemu Kaydaszowi jarłyk dać na sprowadzenie szczęśliwe owych giaurów do Porty. Oby Bóg Najwyższy zawsze spełniał pragnienia najszczęśliwszego Pana mego, darząc go długim życiem oraz wiecznym szczęściem. Na Ducha Wiecznego Amen.

Zapadła cisza.

–Prawdę mówił mi Stadnicki na brodzie pod Hoczwią – wyszeptał Dydyński. – Hryń Kardasz, któregoście widzieli w Dwernikach, nie był sługą nieboszczyka Prandoty, ale wodzem tej wyprawy. On namówił waszych ojców do pójścia na Wołoszczyznę, on wyprowadził ich z Rzeczypospolitej na pewną niewolę... Jednego tylko nie pojmuje – dlaczego wrócił do Korony dopiero teraz? Dlaczego pojawił się tutaj po tylu latach, i to z bliznami po kajdanach? Ale pal to diabli, teraz niechaj zagrają nam do tańca działa! Mości Bieniaszu... Cóż mamy czynić?

Jeśli Dydyński myślał, że Dwerniccy rozszlochają się albo omdleją, tedy się mylił. Berynda położył dłoń na rękojeści szabli i podkręcił wąsa. Bo nie był to już ten sam Bieniasz Dwernicki herbu Sas, który z pokorą w głosie chciał przyjąć Stadnickiego i wziął kark przed możliwym chamem Smoliwąsem. Z tyłu w szeregach szlachetków z Dwernik zaświstały dobywane z pochew ostrza, podniosły się okrzyki wściekłości. Dydyński widział ich srogie, poznaczone bliznami oblicza i złe spojrzenia. Tak, to nie byli ci sami Dwerniccy w huniach i sukmanach, którzy orali rolę na zaścianku i z trwogą wypatrywali jutra, ale szlachcice pewni swej siły i prawa, gotowi na śmierć i życie dla ratowania ojcowizny.

–Biada Kardaszowi – powiedział spokojnie Berynda. – Bo gdy go dopadniemy, to zarąbimy kłamliwego sukinsyna!

–Tom chciał usłyszeć – mruknął Dydyński.

\* \* \*

Do Przemyśla dotarli następnego dnia rano. Przejechali rysią przez drewniany most od strony Zasania na zmordowanych, spienionych koniach. Poranek był mokry i wilgotny, ale mgły unosiły się tylko nad wezbrany Sanem, nie przesłaniając widoku. Gdy zjeżdżali ze wzgórza, roztoczyła się przed nimi rozświetlona wiosennym słońcem panorama miasta – opasanego wyniosłymi murami z cegły i kamienia, zjeżonego dachami warownych bram i baszt. Spoglądając od wschodu, widzieli wyniosłą Bramę Grodzką wiodącą do zamku, dalej majaczył zielonkawy dach i zwieńczenie katedry przemyskiej, błyszcząły w słońcu mokre od rosy kopuły wieży zegarowej ratusza. Bliżej, u wyjazdu na most, wznosiła się szeroka, przejazdowa Brama Wodna, idąc wzrokiem dalej na zachód, patrzyli na baszty Kuśnierską i Rymarską; za nimi widniała wyniosła Brama Senatorska zwana także Lwowską, fundowana przeszło pół wieku temu jeszcze za króla Augusta. Za nią zaś piął się w niebo stromy, schodkowy dach katedry prawosławnej Świętego Jana Chrzciciela. Przemyśl bowiem, jak wiele miast na Rusi Czerwonej, miał dwóch biskupów obu obrządków – katolickiego i wschodniego, to jest Macieja Pstrokońskiego i Michała Kopystyńskiego. Miał także siedemnaście kościołów i cerkwi, których krzyże wznosiły się na tle błękitnego, pogodnego nieba, dziesięć domów zakonnych, liczne

młyny, folusze, kuźnie, browary i gorzelnie, a także bodaj ze trzy zamtuzy, nie licząc miejskiego, dogładanego wedle starodawnego obyczaju magdeburckiego przez poczciwego kata.

Gdy przejechali pod wyniosłym sklepieniem ceglanej Bramy Wodnej, niepokój Jacka nad Jackami począł wzrastać. Już w trakcie drogi, pod Przemysłem, dowiedzieli się od proszalnych dziadów i frantów, że do miasta zjechał wczorajszego wieczoru jakiś ponury i wielki chłop z piękną panną, który sypał złotymi dukatami i zaraz chciał brać ślub. Wnet znalazł się chętny ksiądz, wszelako gdy ów zarośnięty chłopisko ciągnął pannę do katedry – widać po jej niewoli – dała mu w gębę przy ludziach, z czego zrobiło się zaraz wielkie zbiegowisko. Po tym zdarzeniu stolnikowic poznał od razu, iż panną mogła być tylko Konstancja. Ślub został zatem odroczone, jednak kiedy miał się odbyć i czy w katedrze – tego już nikt nie wiedział.

Jak wichur wpadli w ulicę Mostową, roztrącając mieszczan i przekupniów, płosząc konie. Przemknęli nią jak duchy i wypadli na rynek, pomimo wczesnej pory zastawiony straganami, budami, kramami, ławami i jatkami. Dydyńscy wpadli w kłębówisko ludzi, krzycząc, rozganiając przechodniów, pryskając błotem i wodą z mętnych kałuż na ławy, towary i pałuby. Przegalopowali obok podsieni ratusza ukrywających grube, okute drzwi do kramów, przecięli Grodzką, wstrzymali konie dopiero w wąskiej, zastawionej kolasami uliczce Świętego Jana wiodącej wprost do katedry łacińskiej.

Kiedy dotarli na miejsce, gdy zarysowała się przed nimi ciężka fasada kościoła, niespodziewanie rozdzwoniły się dzwony na drewnianej wieży obok kaplicy Drohojowskiego. A Jacek nad Jackami wiedział już, że chyba przybywali za późno...

Zeskoczył z kulbaki wprost na schody, a potem pomknął ku ciężkim, dwuskrzydłowym drzwiom do katedry, dobywając w biegu szabli. Gdy ostrze zaślniło w słońcu, dokoła rozległy się piski i krzyki. Jakaś kobieta zagarnęła z placu przed katedrą dwoje małych dzieci. Ktoś cisnął kosz wyładowany rogalami i umknął za przypory, kilku strojnych mieszczan rzuciło się do ucieczki ku zamkowej furcie, wiedząc dobrze, co znaczy szabla w ręku Dydyńskiego. Nie poruszył się tylko stary żebrak Tomala rozparty wygodnie na kamiennych stopniach, który niejedno już w Przemysłu widywał, a z racji swego wieku nie lękał się ani tatarskiego najazdu, ani nawet odwiedzin konfederatów wojskowych.

Dydyński wpadł do mrocznego wnętrza niczym niegdyś proboszcz Orzechowski, kiedy dowiedział się, że w przemyskiej katedrze jego najzawziętszy wróg – biskup Dziaduski – rzuca nań klątwę i anatemę, krzycząc: „Fiat, Fiat” i ciskając świece. Ogromna nawa rozświetlona snopami świateł przedostających się przez wysmukłe, ostrołukowe okna zdobione witrażami była prawie pusta. Kilka starych bab i przekupek modliło się w ławach, a przy głównym ołtarzu zgromadził się nieliczny tłumek mieszczan i pospólstwa.

Dydyński kroczył ku prezbiterium, szedł pobrzękując ostrogami, a za nim pędzili jego bracia, pośpieszali Dwerniccy z minami, które zatrwożyłyby wszystkie skrzydlate cherubiny w niebie. Był coraz bliżej. Gawiedź i plebs rozstępowali się przed nim, mieszczankowie cofali, widząc szablę w dłoni stolnikowica, zmykali do



kaplic, za ogromne kolumny wzniesione z kamiennych ciosów, trwożliwie wystawiali głowy spoza ławek i drzwi, wypatrując sposobności do ucieczki.

A przed ołtarzem, na podwyższeniu, stał Kardasz w przepysznym karmazynowym żupanie, z pałaszem przy boku. Mocarną, wielką jak bochen chleba ręką trzymał za ramię Dwernicką, która ubrana była w ten sam postrzępiony i porwany żupan, w którym na bród pod Hoczwią przyprowadził ją Stadnicki. Jej ręka związana była stulą z drugą dłonią Kardasza...

Jezu Chryste! – jęknęło coś w duszy Dydyńskiego. To już, stało się... Za późno!

Kiedy podchodził bliżej, Kardasz obrócił się i spojrzał chmurnie w stronę wejścia do katedry. A kiedy dostrzegł Dydyńskiego, tłoczących się za nim jego braci i szaraczków z zaścianka, których tak haniebnie zdradził, zadygotał i zbladł.

Jacek nad Jackami mógłby przysiąc, że po raz pierwszy zobaczył na obliczu tamtego lęk.

–Niespodzianka! – krzyknął, aż echo zawtórowało mu spod sklepienia katedry. – Zostaw Konstancję, psi synu, i przypomnij sobie, jak żeś zaprzedał poganom Dwernickich! Nadeszła godzina zapłaty!

Kardasz przyciągnął do siebie Konstancję, wyrwał z za pasa kindżał i przyłożył jej do gardła.

–Odstąp, Dydyński! – warknął i rozejrzał się dokoła takim wzrokiem, jakim spogląda wilk osaczony w norze przez gończe psy. – Bo twoja dziewczka nigdy nie zaśpiewa ci do snu!

–*Pax! Pax!* – zakrzyknął cienko ksiądz. – *Pax* między chrześcijany...

–To wywołaniec! – huknął Berynda. – Chrześcijan Turkom sprzedał! Brać go! Na zamek starościński! Do wieży skurwego syna!

Dydyński pierwszy skoczył ku Kardaszowi, niewiele przejmując się ostrzem, które zawisło tuż nad gardłem Konstancji. Wówczas Hryń jednym kopnięciem przewrócił ogromny, ważący prawie cetnar, odlany z brązu kandelabr z czterdziestoma, a może i więcej świecami. Ciężki lichtarz zwałił się wprost pod nogi Jacka, Dydyński potknął się, padł na kolana, a Kardasz skoczył w bok, popchnął wymachującego krzyżem księdza na biegnącego ku niemu Beryndę. A potem, widząc gnających ku niemu Dwernickich, jednym ruchem porwał z ziemi ciężką dębową ławę, zwalając z niej dwie rozmodlone staruchy. Stęknąwszy obrócił ją w rękach, a potem cisnął z całych sił na prześladowców.

Podniósł się krzyk, jęki i złorzeczenia, kiedy dębową ława spadła na łby, ręce, piersi i żywoty Samuela, Mikołaja, Beryndy i pozostałych Dwernickich, zwała ich z nóg, zadudniła głucho, gdy spadła na kamienną posadzkę, przygniatając nogi i ręce. A Kardasz, zyskawszy kilka chwil przewagi nad wrogami, zarzucił Konstancję na lewe ramię jak małą dziewczynkę i skoczył ku kaplicy Drohojowskich, w stronę drewnianych bocznych drzwi z katedry.

Zygmunt i Stefan pognali za nim. Podkute buty załomotały na kamiennej posadzce, wrzaski, krzyki i nawoływania odbiły się gromowym echem od wyniosłych sklepień i kolumn katedry.

Hryń kopnięciem otworzył okutą furtę, wypadł na zewnątrz i wówczas zrozumiał,

że popełnił błąd. Nie było stąd wyjścia na ulicę – drzwi prowadziły do drewnianej dzwonnicy. Jedyna droga wiodła w górę, po krętych, spróchniałych, sypiących się schodach.

Kardasz rozejrzał się jak wilk schwytany w potrzask. Furta nie miała zasuw, a w zasięgu wzroku nie dostrzegął nic, czym mógłby zaryglować drzwi. W ostatniej desperacji rzucił się ku szczytowi wieży.

–Łapać go! – krzyknął Jacek Dydyński, który poderwał się na nogi i wpadł zaraz za braćmi do drewnianej wieży. – Na dzwonicę!

Z łoskotem podkutych butów, z trzaskiem pękającego, skruszalego drewna popędzili w ślad za umykającym Kardaszem. Wieża była wysoka, smukła, a schody strome i wąskie. Samuel potknął się, padł z krzykiem, kiedy zmurszała deska pękła mu pod nogą, uderzył czołem o stopień, wypuścił z ręki szablę, która z brzękiem zsunęła się niżej.

–Uważać! – ryknął Mikołaj. – Tu wszystko w proch się sypie!

Jacek nad Jackami wyprzedził wszystkich; sforsował pierwszy zakręt, drugi, trzeci... Zatrzymał się, gdy wyżej dostrzegł małą drewnianą platformę załadowaną balami, tarcicami, ciężkimi dębowymi beczkami. Zobaczył, jak Gedeon przemknął obok rusztowania i wyciągniętym z pochwy pałaszem przerąbał dwie belki wspierające deski. Z hukiem i łoskotem na schody poleciały kantówki, wielkie, dziesięciowiadrowe beczki, bale i deszczułki.

–Na bok! – wykrzyknął Dydyński. – Pod ścianę!

Ogromna beka z łoskotem pędziła wprost na stłoczonych za zakrętem ludzi! A jednak nie dotarła do celu, nie zmiotła nikogo... Osłabione deski schodów pękły pod jej ciężarem, załamały się z trzaskiem. Z ogłuszającym hukiem runęły dźwigary i szerokie bale podtrzymujące stopnie, w chmurze pyłu zwała się w dół część klatki schodowej. W jej miejscu była teraz ogromna dziura, z której sterczały potrzaskane tarcice i ostre zadziory.

Nadzieja Dydyńskiego runęła w pustkę razem ze schodami. Zatrzymał się nad przepaścią, której nie mógłby przeskoczyć, nawet gdyby dosiadał uskrzydłonego konia.

–Dawać drabiny! – krzyknęli z za jego pleców Dwerniccy.

–Nie ma czasu! – jęknął Dydyński. – Muszę się tam dostać!

–Nie przefruniesz, bratku! – rzucił Mikołaj.

–Nie muszę! – krzyknął Dydyński, bo olśnienie spadło nań jak grom z jasnego nieba. – Bierzcie mnie na ręce i wrzucicie tam, na górę!

–Oszalałeś?!

–Nie, bracie. – Dydyński gorączkowo szarpnął go za rękaw. – Weźmiecie rozpęd, rzucicie z całej siły...

–Zabijesz się! Rozwalisz sobie łeb!

–Spadnę na schody jak kot na cztery łapy, bracie! Nie ma czasu!

–Dobrze – mruknął Mikołaj. – Jezus Maria, co my robimy...

Wnet kilkanaście silnych ramion porwało Jacka w górę. Dwerniccy i Dydyńscy cofnęli się, wzięli rozpęd, nabrali rozmachu.

**–Ruszaaaaaaj!**

Z łoskotem i wrzaskiem ośmiu szlachciców pognało w górę. W jednej chwili dopadli do zrujnowanych schodów, a potem z całych sił, stękając z utrudzenia, wypchnęli stolnikowica w przód, cisnęli go ponad przepaścią...

Dydyński poleciał głową naprzód. Spadł po drugiej stronie, przeokoziółkował po poszczerbionych stopniach. Ale zaraz zerwał się, słysząc tryumfalne okrzyki swoich popleczników. Odwrócił się i popędził na szczyt wieży.

Nie miał dalekiej drogi. Ledwie wypadł z za zakrętu schodów, dojrzał ogromne dębowe rusztowanie, na którym wspierały się dzwony przemyskiej wieży. Wyminął wielkie dźwigary wyciosane z pni drzew, wspiął się na schodki i wypadł na najwyższe piętro. Niegdyś zapewne były tu pomosty i podłoga z desek, jednak teraz, gdy przyszło do naprawy wieży, wszystko to rozebrano, pozostawiając pustą przestrzeń. Tutaj na dębowych progach osadzonych w łożyskach zwiślały podtrzymywane linami spiżowe dzwony, których głos zwoływał wiernych na poranne i niedzielne nabożeństwa, chrzciny, śluby i pogrzeby. A za prześwitami dzwonowymi widniały szczyty domów i kościołów Przemyśla. Stolnikowic dostrzegł pochyły dach katedry, strzelistą iglicę kościoła przy klasztorze sióstr od świętego Dominika, widoczną dobrze na tle dachów wież zegarową ratusza. Drewnianą, wysmukłą dzwonnice obok kościoła Świętej Anny przy konwencie Franciszkanów, a dalej, za murami miejskimi, baniaste kopuły cerkwi Świętej Trójcy. Równie potężne i wyniosłe co bary Kardasza, który oczekiwał na niego, stojąc w progu, na którym zawieszony był największy dzwon – Rex Regis – ufundowany za biskupa Dziaduskiego, pogromcy heretyków, do czasu gdy jego samego pogromił sejm walny Anno Domini 1552.

Kardasz jednak nie wyglądał na takiego, który zląkłby się biskupiej klątwy. Czekał z pałaszem w dłoni, dzierżąc w lewym ręku grubą linę opadającą spod dachu. Za nim Dydyński dostrzegł Konstancję. Dziewczyna wisiała na rękach na grubym sznurze wiodącym do serca spiżowego dzwonu zawieszzonego wyżej, ponad ich głowami. Była blada. Miała zamknięte oczy.

**–Dobrze, że jesteś – mruknął Kardasz. – Lepiej, żeś przyszedł sam, niż z tą hałastrą wartą tyle co psie łajno na gościńcu.**

Dydyński ostrożnie wszedł na dębowy próg. Wolno ruszył przed siebie.

**–Ile dał ci Stadnicki za życie ich ojców? Od głowy płacił czy z góry za wszystkich?**

**–Za wszystkich – wycharczał Gedeon i cofnął się nieco. Dębową belką dzwonu zakołysała się lekko od tego ruchu. – Nie możesz odmówić mu sprytu. Zamiast się wykupywać, zastawiać wioski u lichwiarzy, wymyślił sposób, za który ja sam jestem gotów uchylić przed nim czapki.**

**–Wymienić siebie za trzydziestu niewinnych szlachciców?!**

Kardasz odsonił w uśmiechu żółte zęby.

**–Za karmazynów, panie bracie. Na cóż by byli pohańcom tacy Dwerniccy w siermięgach? Wynajął mnie, dał jarłyk od swego pana, złotem płacił. A ja wtedy chudo przędłem, panie bracie. Bo kto weźmie do służby woźnego z klejmem na czole? Kto będzie mu ufał? Chyba tylko rakarz sanocki!**

Jacek zamarł, gdy dzwon pod nimi zakołysał się, a Kardasz zarechotał wesoło.

–To było dla mnie, mości Dydyński, jakbym Pana Boga za nogi złapał albo z piekła na rogatym diable wyjechał! Dwerniccy winni mi do śmierci dziękować, bo chociaż na chwilę ich los się odmienił. Gadali ci pewnie na zaścianku, że ich ojcowie pobrali łupy na Moskwie za króla Stefana. Leż to zwykła, panie bracie. Więcej oni robactwa na siermiędze nosili, niż mieli groszy w kalecie! Sam im konie kupiłem za pieniądze Stadnickiego, broń, szable, przyodzievek, bo chciał starosta, aby jak panięta stawali, żeby pogan oszukać. W życiu Dwerniccy takich szat i koni nie widzieli, a za to wszystko prawie się do mnie modlili jak te dzikie do Allacha!

–Zdradziłeś ich!

–Wyprowadziłem za granicę, gdzie już czekała gromada Wołochów i ordyńców podkupionych przeze mnie. Weszli w zasadzkę jak ślepe kocięta. Myślisz, że dzielnie stawali? Gdzie tam, mości panie! Na kolana padli i o litość pohańców błagali! Taka to, mości Dydyński, szlachta starożytna koronna. Ale ja nie byłem tam od okazywania miłosierdzia. Tatarzy wzięli ich w pęta i zaraz pognali do Urum murzy. Ich głowami okupił Diabeł swoją wolność. Zbajał Tatarów, że to możni panowie, że złotem sypną, a kiedy go wypuścili, uszedł do Polski i ani o tym dalej myślał.

–A ty?! Jak się stało, że skończyłeś na galerach?!

Kardasz pociągnął za sznur. Dydyński usłyszał nad sobą łoskot, a gdy rzucił krótkie spojrzenie w górę – dostrzegł przewracającą się dziezę, lecące w dół baryłki, deski, bale. Z krzykiem skoczył w bok – na próg sąsiedniego dzwonu, a wówczas Hryń ciął go pałaszem od prawej. Stolnikowic zblokował cios, odbił płazem szabli, stracił równowagę, zachwiał się i spadł w przepaść otwierającą się pod ich stopami!

Jacek nad Jackami poleciał w dół, po skosie, uderzył barkiem w dzwon zawieszony poniżej. W ostatniej, dosłownie w ostatniej chwili, chwycił lewą ręką za spiżowe ucho nad gmerkiem, na koronie! Zacisnął palce z całych sił, przywiedziony do ostatniej desperacji, i zawisł z nogami nad otchłanią.

Dzwon zakołysał się pod jego ciężarem. Ogromne serce uderzyło o spiżową ścianę, dobywając z wnętrza czaszy dźwięczny, śpiewny ton.

–Stadnicki mnie zdradził! – ryknął złowieszczo Kardasz. – Ja przeczuwałem, co się stanie, wykradłem mu ugodę i schowałem dobrze. Ale Diabeł był sprytniejszy. Kiedym mu sprezentował jeńców, kazał mnie schwytać i wydać Tatarom razem z Dwernickimi! Chciał się, szelma, pozbyć świadka! Wiedział, że póki żyję, nie zazna spokoju, bo znałem prawdę i mogłem świadczyć przeciwko niemu!

Kardasz przeskoczył na rozkołysaną dębową belkę z dzwonem, którego korony uchwycił się Dydyński, złapał linę wiodącą do kolejnego serca, rozkołysał ją pod własnym ciężarem. Kolejny głos dzwonu dołączył do poprzedniego. Wieża zadrżała w posadach, pył posypał się z drewnianych bali, zastrzałów, słupów i mieczy.

–Pół życia gnilem przy wiosle! – krzyknął z furią Kardasz i jednym ruchem pałasza przeciął pierwszą z sześciu lin, na których zawieszony był dzwon z Dydyńskim. – Dzień po dniu, noc po nocy, przykuty obok tych, których wydałem na śmierć. Bo kiedy Tatarzy zobaczyli, że Stadnicki ich oczukał, że nie dostarczył w zamian żadnych bogatych karmazynów, posłali nas wszystkich na galery!

Ciął z furiąpo raz drugi. Dzwon zakołysał się mocniej, zatrzeszczały liny łączące

spiżowe pierścienie korony z dębową belką.

–Czy ty wiesz, jak to jest siedzieć przez lata przykuty do jednej ławy z tymi, którzy za twoją sprawą stali się potępionymi za życia? Patrzyć im w oczy dzień po dniu... Pracować wspólnie wiosłem, krwawić pod razami bata, jeść na ich oczach, spać na ich oczach, srać i szczać pod wzrokiem trzydziestu parszywych Dwernickich...

Ostrze pałasza opadło ze świstem, przecinając kolejną linę. Ostatnia, która została, zatrzeszczała głośno, pękła. Rozkołysany dzwon spadł, uderzył z łoskotem w dolną część rusztowania, zrujnował ją, a potem poleciał na sam dół i kiedy uderzył w ziemię, pękł z ogłuszającym hukiem na cztery ogromne odłamy.

Dydyński w ostatniej chwili puścił koronę. Rozkołysany dzwon odrzucił go na bok, wprost na konopne liny, a stolnikowic złapał się ich, zjechał niżej, zeskoczył na wąską drewnianą kładkę obiegającą wieżę, a potem skoczył ku schodom. Kardasz przeskoczył na drugą belkę, z niej na podwyższenie, zbiegł na stopnie, ruszył mu na spotkanie.

Starli się na wąskim pomoście z desek zawieszonym przez cieśli pomiędzy błyszczącymi spiżowymi cielskami dzwonów. Hryń ciął na odlew, rąbał pałaszem jak drwał, a stolnikowic zbijał najmocniejsze cięcia, bez trudu zdobywał przewagę, przypierał przeciwnika do ogromnych bali podtrzymujących dzwony obok nich.

–Czy ty wiesz – ryknął Kardasz – co to być między samymi wrogami? Bać się nie tylko nadzorcy, ale i więźniów obok ciebie?! Czekać, kiedy uduszą cię łańcuchem, zagryzą na śmierć albo wydrą żywcem serce?!

Ciął z całej siły, walił pałaszem jak młotem w kowadło, aż iskry szły spod zderzających się ostrzy. Dydyński uniknął ciosu niespodziewanym zwodem, rąbnął go w łeb, chlasnął po boku, po lewej ręce. A jednak Kardasz był niewzruszony niczym głaz. Cios szablą rzucił go na kolana, krew z rany na łbie spłynęła na oczy. A wówczas ciął w linę z lewej, na której zawieszony był pomost. Dostał od stolnikowica pchnięcie pod żebra, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Z rykiem wściekłości rozrąbał kolejną linę, jeden koniec pomostu opadł w dół, a drugi stanął dęba.

Zlecieli na dół, na kolejne rusztowanie ustawione przez czeladników naprawiających dzwonnice. A kiedy deski pękły z trzaskiem pod ciężarem Gedeona, zwalili się na kolejny pomost, zatrzymali w chmurze pyłu, słuchając złowieszczonego skrzypienia lin i ogłuszającego dźwięku dzwonów.

–Dwadzieścia jeden lat siedziałem z nimi na ławie! – ryknął Kardasz. – Nie dawali mi spać, chcieli ubić. Kiedyś wybili mi oko, omal nie zadławili łańcuchami, zanim nie uspokoił nas korbacz nadzorcy. A ja czekałem... Poznałem wszystkie ich tajemnice, gdy przysłuchiwałem się rozmowom. Kiedy umarł ostatni, wiedziałem, że muszę wrócić, by zemścić się na Diabie Łańcuckim. I byłem pewien, że najlepiej będzie uczynić to w skórze Dwernickiego! Odnalazłem jarłyk i powróciłem, aby pokazać Stadnickiemu, że żyję! I zdeptać go, choćbym miał przy tym zetrzeć w proch całe Dwerniki z szaraczkami i ich śmierdzącą chudobą!

Zwarli się znowu. Dydyński ciął Kardasza w łeb, po raz kolejny chlasnął po barku, rozrąbał ucho, aż krew trysnęła na drewniane bale. Hryń zaśmiał się charkotliwie.

–Czy ty wiesz, człecze, dzięki czemu przeżyłem galery? Zaprzedałem duszę diabłu! Kiedy Dwerniccy zawodzili litanie, modliłem się do biesów i czartów. Wyłem do Lucyfera, aby pozwolił mi wyjść z tego cało. Oddałem niebo i raj za zemstę, za chwilę, w której złapię za gardło Stadnickiego!

–Dlaczego tego nie zrobiłeś?! Po co darowałeś mu życie?

–Bo miłuję Konstancję! – ryknął Kardasz. – Dla niej poniechałem zemsty, wydałem cię, oddałem mu jarłyk, który był wyrokiem na szyję Stadnickiego. Zbyłbym się wszystkiego za jeden uśmiech, za jej włosy, ciało, duszę! Nigdy jej nie dostaniesz, panie bracie! Bo ona jest żoną Hrynia Kardasza!

–Więc będzie wdową! – ryknął Dydyński. – I wtedy ją poślubię!

–Zdrajco! – ryknął Kardasz, gdy starli się znowu na wąskiej kładce, rąbali bez litości, bez miłosierdzia; kiedy dostał cięcie w łeb, szabla chlasnęła go po piersi, przecinając żupan. – Zaprzysiągłeś mi posłuszeństwo! Złamałeś słowo, bo ciągle jesteś moim sługą!

–Oszukałeś mnie i wydałeś Diabłu!

–Słowo jest słowem! Łżesz jak pies, mości Dydyński. Złamałeś parol dany Stadnickiemu, złamałeś przyrzeczenie zaprzysiężone mi na krzyż wtedy, po bitwie w Dwernikach...

Dydyński roześmiał się lodowato.

–Ofiarowałem ci się na siedem miesięcy służby. Ani tygodnia krócej, ani dnia dłużej. Zaprzysiągłem ci w Święto Archaniołów, dwudziestego dziewiątego września! A dziś jest trzydziesty *aprilis!* Nasza umowa jest skończona! Nic nie jestem ci winny!

Kardasz zawył ze złości. Jednym ruchem odrzucił pałasz, który z furkotem poleciał w górę, wbił się w drewnianą belkę obok dzwonu Dziaduskiego. A potem rzucił się z gołymi rękoma na Dydyńskiego!

Stolnikowic ciął go w brzuch, wytaczając kwartę czerwonej krwi, chlasnął w policzek i w skroń, a potem, widząc bezcelowość swych wysiłków, wskoczył na schody i pomknął na górę. Kardasz szedł za nim, powoli, z okrutnym uśmiechem na zakrwawionej twarzy przypominającej teraz oblicze diabła, co na chwilę wychynął z piekielnej otchłani.

W chwilę później stolnikowic nie miał już dokąd iść. Był na najwyższym piętrze dzwonnicy, nad dębowymi progami, na których wisiały najcięższe dzwony. Wstąpił tyłem na najszerszą z belek i cofał się wpatrzony w prześladowcę.

–Czas do piekła, mości Dydyński – wycharczał Kardasz. – Szabla ci się nie przyda, nie zabijesz mnie tutaj! Pójdź w me ramiona, ukręcę ci łeb szybciej, niż myślisz. Nie bój się, nie zaboli...

Dydyński ciął go z zamachu w łeb, poprawił w pierś, chlasnął w żywot.

Kardasz przyjął cięcie na lewy bark, chwycił ostrą klingę nieuzbrojoną prawą dłonią, ścisnął i przytrzymał. Stolnikowic szarpnął za rękonoż i wrzasnął, bo wróg uwięził mu broń jak w kleszczach. Hryń roześmiał się jeszcze głośniejszym, wyrwał oręż z ręki Jacka nad Jackami. Cisnął szablę na sam dół dzwonnicy!

Pan stolnikowic nie czekał, aż znajdzie się w braterskich uściskach Kardasza. Jednym ruchem wyrwał kindżał z pasa. Hryń roześmiał się, widząc krótkie ostrze w

**ręku Dydyńskiego. I rzucił się, aby schwycić wroga wyciągniętymi, pokrwawionymi rękoma!**

**Jacek nad Jackami nie skoczył na niego. Nie walczył dalej. Zerknął w dół i bez namysłu skoczył z progu! Sam z własnej woli rzucił się w rozwierającą się pod jego nogami otchłań liczącą prawie sto stóp. Lecz nie spadł w pustkę. Uderzył nogami w krawędź największego dzwonu przemyskiej katedry, zjechał po śliskiej krawędzi, popchnął spiżowego smoka własnym ciężarem, zakołysał nim. Stoczył się na bok, na grubą belkę nośną podtrzymującą całą konstrukcję. Spadł, ocierając się o heblowane, gładkie drewno...**

**Zanim pogrążył się w przepaści, uchwycił kindżał oburącz, wbił go w zmurszałe drewno, głęboko, z całych sił, ścisnął i przytrzymał!**

**Ostrze pogrążyło się w balu, zarysowało długą, głęboką bruzdę w starym drewnie i wreszcie się zatrzymało. Dydyński zawisł nad otchłanią uczepiony zbawczego kawałka stali. Szlachcic usłyszał cichy trzask, dostrzegł, jak ręcznie kuty i hartowany damast wygiął się w łuk.**

**Przez długą chwilę życie stolnikowica zależało od tego wąskiego kindżału wykutego przez nieznanego kowala w dalekim Perekopie, na Krymie...**

**Broń wytrzymała!**

**Dzwon obrócił się na łożyskach. Wraz z nim przekręciła się gruba dębowa belka. Kardasz zawył, bo nagle stracił oparcie w nogach. Z rykiem ześliznął się z progu, zamachał rękoma i spadł!**

**Nie... W ostatniej chwili chwycił się szczytu dębowego progu zakrwawionymi rękoma, zawisł obok dzwonu. A potem wsparł się na koronie spiżowej czaszy, wydzwignął w górę, na kołyszącą się belkę dzwonową, przytrzymał lin i zastrzałów.**

**–Nie tak prędko, mości Dydyński – wycharczał z tryumfem. – Obaj pójdziemy do piekła, ale ty będziesz tam na długo przede mną!**

**Podciągał się coraz wyżej na rozbujanym progu. Rozglądał w poszukiwaniu broni, a wówczas jego wzrok padł na Konstancję...**

**–Panieeeee! – zdążył tylko ryknąć. – Neeeeeeeeeee!**

**Dwernicka desperacko odbiła się od drewnianego filaru, zakołysała związana, powieszona za ręce, a potem uderzyła Kardasza obiema nogami, celując prosto w zęby i jedyne oko na zakrwawionym łbie!**

**Ten cios przeważył szalę. Odrzucił łeb Hrynia w tył, wyzuł z sił, wtłoczył męczyznę pomiędzy dębowe belki. Jego prawa dłoń od razu straciła oparcie, ześliznęła się po świeżo rozlanej krwi, a lewa ręka nie utrzymała już ciężaru porąbanego ciała.**

**Kardasz poleciał w dół z rykiem przerażenia, wpadł między dzwony, zawadził łbem o pierwszą czaszę, uderzył plecami w dzwon piętro niżej, potracił nogą lewar odchodzący od bocznego progu. I zanim wyrznął z impetem o ziemię, wprawił w ruch wszystkie spiżowe serca szybciej i sprawniej, niżli potrafiłoby to uczynić pięciu najlepszych przemyskich dzwonników...**

**Ta sztuczka była ostatnią, której dokonał. Miała tylko jedną wadę.**

**Była nadzwyczaj trudna do powtórzenia.**

Hryń Kardasz spadł na sam dół wieży. Jego ciało wyrznięto z impetem o ziemię, zadygotało. Żył jeszcze, próbował powstać na nogi, dźwigał się z wolna na kolana.

Dydyński puścił prawą ręką zbawczą rękojeść kindżału. Zakołysał się, zachybotał, aż wreszcie chwycił poprzecznej belki. Stęknąwszy, przeniósł tam ciężar ciała, zawisł, podciągnął się z trudem, a potem wywindował na deski. Od razu spojrzał w dół, na zakrwawione, dygocące ciało charakternika.

Stolnikowic nie czekał, aż Kardasz wróci po niego na górę. Skoczył na ostatnie piętro, wpadł na dębowy próg i przeciął pałaszem wroga wszystkie liny podtrzymujące dzwon Dziaduskiego. Ogromna czasza fundowana przez przemyskiego biskupa, pogromcę heretyków i apostatów, poleciała w dół, odbiła się z brzękiem od spiżowych cielsk swych mniejszych braci i ze strasznym hukiem, z brzękiem pękającego spiżu, wbiła w drewnianą podłogę pokryte krwią ciało Hrynia Kardasza.

Dydyński pokiwał smutno głową. Dopiero teraz nabrał pewności, że Diabeł z Dwernik nigdy już nie wstanie.

\* \* \*

Kiedy było już po wszystkim, pan stolnikowic złożył na schodach bezwładne ciało omdlałej Konstancji. Ogromny tłum mieszczan, chłopów i czeladzi zgromadził się przed katedrą. Dydyński oparł głowę dziewczyny na ramieniu, ostrożnie sprawdził puls, po czym ulga odmalowała się na jego obliczu.

–Kostusiu! Ty żyjesz? – jęknął. – Żyjesz po tym wszystkim. Zbudź się, proszę, najmilsza.

A potem wybuchnął płaczem i porwał dziewczynę w ramiona. Jego bracia i Dwerniccy stali dokoła ponurzy i zmęczeni. Berynda zmiął kołpak w dłoniach, ocierał oczy kułakiem.

Wnet sprowadzono cyrulika, który obejrzał bladą jak śmierć dziewczkę, nacierał skronie gorzałką, podsuwał pod nos trzeźwiące sole. Nic jednak nie pomagało. Konstancja leżała bez tchu, z głową wspartą na kolanach stolnikowica, z rozpuszczonymi czarnymi włosami opadającymi na kamienne schody. Jacek nad Jackami gładził ją po policzkach i głowie, przytulał jak najdroższy skarb.

–Nie umieraj, mościa panno – wyszeptał. – Nie odchodź, kiedy nie ma już Gedeona...

Tak jakby promień słońca padł na oblicze panny Dwernickiej. Dydyński krzyknął z radości, kiedy jej oczy rozwarły się z wolna i zobaczył w nich niebo.

–Zostaw mnie! – jęknęła Konstancja. – Nigdy nie będę... Puszczaj!

–Moje serce, jego już nie ma.

–Nie ma? – Spojrzała na Dydyńskiego błędnym wzrokiem. – Jacku – wyszeptała – czy my jesteśmy... w niebie?

Zanim zdołał odpowiedzieć, nachylili się nad nią Berynda, Samuel, a potem Mikołaj i Zygmunt Dydyńscy. Konstancja drgnęła, widząc ich ogorzałe, pokryte pyłem, kurzem i bliznami gęby, które niewiele wspólnego miały z obliczami aniołów i świętych.

–Co się z nim stało?! – wyszeptała. – Gdzie on jest?



–Pod Dziaduskim.

–Dziaduskim?

–Spuściłem mu na łeb dzwon biskupa. Tydzień go będą pacholankowie miotłami do worka zbierać. Nie ma już Gedeona, nie lękaj się, moja miła! Posłałem go do piekła, prosto między diabły!

Dydyński porwał dygoczącą Konstancję w ramiona, ucałował, przytulił jak dziecko.

–Wiedziałaś, że po mnie przyjdiesz – wyszeptała. – Mój panie stolnikowicu, mój Jacku... Siedziałam w lochu, leżałam w trumnie, do której Anna Stadnicka kazała mnie zamykać, ale cały czas wiedziałam, że w końcu mnie uratujesz.

–Ze Stadnickim jeszcze się porachujemy – mruknął Dydyński. – Ale nie kłopot się o to. Kto nawarzył piwa, będzie je musiał wypić. A ja już dopilnuję, aby w kuflu pana starosty zygwulskiego nigdy go nie zabrakło!

Za nimi od ulicy Grodzkiej zagrzmiały końskie podkowy. Nadjeżdżali hajducy i milicja starościńska z zamku, zwabiona wrzawą, strzałami i biciem w dzwony. Dydyński otarł pot z czoła.

–Co teraz będzie?

–To będzie! – Mikołaj rzucił na kamienny stopień obok Jacka worek – gruby i ciężki, jakby wyładowany był kulami armatnimi. Zabrzęczał miło, gdy padł na ziemię.

–Znalazłem przy koniu Kardasza – zawołał wesóło. – Trzy wsie by można za to kupić. Starczy na dzwony i na basarunki. Nie zbiednieje biskup przemyski po naszej wizycie. A resztą podzielimy się z panami Dwernickimi.

–To od Stadnickiego – rzekł Jacek. – Zapłata za zdradę Dwernickich i oddanie dokumentu. Nie, nie będziemy tego dzielić.

–Co takiego? Po sprawiedliwości, niewiele byśmy bez Dwernickich działali... Ale nam też się trochę należy.

–Nic się nie bój, bracie, wydamy to sprawiedliwie na nas i na panów braci z Dwernik. Wystawimy chorągiew.

–Jaką chorągiew?

–Jak to jaką? Kozacką!

Oczy Mikołaja zrobiły się wielkie jak półmiski na magnackim stole. A potem walnął się w czoło otwartą dłonią, bo w tej jednej chwili zrozumiał wszystko.

## Rozdział IX

### Koło fortuny

lure et gladio, to jest prawem i mieczem Klęska Złupienie Łańcuta Piekielne sceny Śmierć i chwała Pani Stadnicka Spotkanie z Przeclawem Fantastyczne skarby Ars amandi Pożegnanie z Konstancją Na Moskwę!

–Opalińczycy, wasza miłość!

Stadnicki zerknął przez perspektywę. Ale nawet gołym okiem widać było nadciągające poczty i milicję dworską starosty leżajskiego. Na przedzie jechali elearyzy Opalińskiego – konna szlachta z pocztami, stojąca po kozacku i husarsku; za nimi dzierżawcy i rządcy starostwa leżajskiego. Dalej szli hajducy dworscy w krasnych barwach, później zaś kozacy starościńscy oraz semeni prowadzący wozy skarbne i kolasy uszykowane na kształt małego taboru. Od czasu klęski pod Łukowem w listopadzie zeszłego roku Opaliński obawiał się starcia w otwartym polu i w razie bijatyki z ludźmi Diabła wołał polegać na osłonie z wozów. Przy kolasach kłębiła się luźna czeladź i pospólstwo – chłopci i famulusi zebrani z kilku wsi, często wywodzący się niemal z opryszków, byli beskidnicy, hultaje i swawolnicy wieszający się przy staroście. Był to tłum chciwy i drapieżny, pierwszy do gwałtów i grabieży, ostatni do walki. Jednak Opaliński nie przebierał w żołnierzach – znaczna część starostwa leżajskiego leżała zrujnowana i znikąd nie było pieniędzy na zaciąg doświadczonych wojowników.

Harcownicy Stadnickiego nie odstępowali wojska starosty ani na krok. Krążyli na koniach w bezpiecznej odległości od taboru, krzycząc, nawołując, bijąc z półhaków i bandoletów. Czasem prowokowali drobne utarczki, innym razem doskakiwali do taboru, wywabiali przeciwników, udając ucieczkę; nie dawali chwili spokoju Opalińczykom. Od czasu gdy starosta wyruszył z Łąki do Przemyśla, idąc bocznymi, polnymi drogami, aby ominąć Łańcut, padło już kilku rannych i postrzelonych. Ale i tak wszystko to było jedynie pozorem, który miał zwieść Opalińskiego, wprowadzić go prosto w sidła zastawione zawczasu na jego ludzi.

Stadnicki ujął się pod boki, popatrzył wesoło na swoich poruczników, Zegarta i resztę towarzystwa.

–Tak oto, mości panowie – rzekł niczym hetman wielki koronny przed bitwą, którą słać potem mieli dziejopisarze i apologeci – *finis coronat opus*. Starosty Opalińskiego *finis*, a nasza wiktoria. Zagrajcie mu, mości panie Roźniatowski, skocznego na armatach. Niech się weseli Łukaszek, póki może, bo potem muzykować będzie już tylko na łańcuchach w loszku!

Michał Roźniatowski dał znać trębaczom i doboszom. Zagrzmiały bębny, rozległy się głosy trąbek, a łańcuccy harcownicy rozbiegli się, odskoczyli od taboru, skryli po chrustach i wertepach. Opaliński, który jechał za elearami, na czele wozów uszykowanych w cztery rzędy, rozejrzał się zdumiony i zaniepokojony nagłą zmianą. Nie wydał jednak żadnych rozkazów – ludzie ciągnęli dalej traktem, wozy toczyły się, konie rżały i postępowały jeden za drugim. Lecz nagle czujne oko starosty dostrzegło błysk metalu w brzezynie, z boku gościńca – jeden, drugi, trzeci i czwarty...

A potem z chrzęstem i trzaskiem opadły w dół podpiłowane młode drzewka. Wśród brzoź okrytych świeżą wiosenną zielenią, pośród krzaków i zarośli zabłyśły spiżowe lufy armat.

–Zdrada! – krzyknął Opaliński. – Formować tabor! Do wozów, mości panowie! Do bro...

Nim zdążył domówić tych słów, armaty Stadnickiego przemówiły ogniem, rozpoczynając krwawą orację. Najpierw zaintonowały bojową pieśń falkonety, potem odśpiewały Te Deum łańcuckie śmigownice, na końcu zaś zagrały staroście leżajskiemu na pohybel czechliki, zduski, sokoliki i słowiki.

W jednej chwili piekło otwarło się w taborze. Kule wpadły z impetem w szeregi maszerujących elearów i hajduków, żłobiąc w nich krwawe bruzdy, kładąc ludzi pokotem, wyrzucając w górę zmasakrowane ciała. Lekkie kolasy i skarbne wozy na prawym skrzydle poszły w drzazgi, gdy wystrzały zmiążdżyły ich osie, złamały orczyce, koła, deski, zmiotły pałuby, zdruzgotały drewniane burty, zabijając konie i wyrrywając okrutne szczyrby w równym szyku.

Działom zawtórowały hakownice i kobyły, arkebuzy, rusznice sabatów, półhaki i pistolety. Świszczące kule przeorały zwichrzone szeregi żołnierzy Opalińskiego, położyły mostem hajduków i kozaków. Szyk rozpadł się w jednej chwili, zmienił w jedno wielkie kłębowisko, w którym wierzgały i rżały z przerażenia konie, wrzeszczeli ludzie, jęczeli ranni. Nikt nie pomyślał o oporze – wszyscy rzucili się pod osłonę wozów, poczęli bić się, przewracać i tratować, wyć ze strachu, aby czym prędzej wpaść do zbawczego, gwarantującego ocalenie taboru. Opaliński skoczył na koniu ku jeździe, płazował uchodzących szablą, kazał dąć w rogi, bić w bębny, ale nic nie zyskał. Jego żołnierze pędzili na łeb na szyję do zwichrzonego taboru, przeszkadzając kozakom zamykać przerwy między wozami, zaczęli wyprzęgać rozszalałe konie, rozrywać szyki. Armia starosty przestałaby istnieć w jednej chwili, rozpierzchła się na pola i lasy, gdyby tylko... było dokąd uciekać!

Brzezina, krzaki i wykroty pokryte szarymi prochowymi dymami zaroili się od ludzkich sylwetek. Spoza oparów wypadli konni i piesi sabaci Stadnickiego – jak burza spadli na zwichrzone, skrwawione szeregi, kłując bez litości spisami i rohatynami, rąbiąc szablami plecy i karki, druzgocąc kiścieniami czaszki, nie dając nikomu pardonu. Z tyłu, od gościńca, skoczyła na Opalińczyków jazda semenów i zbrojna czeladź Stadnickiego, z drugiego boku zaś wypadli zamkowi hajducy.

–I na co ci przyszło, Opaliński! – zagrzmał Diabeł Łańcucki z wysokości końskiego grzbietu. – Nie było ci się ostać pokojowym królewskim? Szablę byś za sodomczykiem Zygmuntem nosił, przyodziewek miał zacny i talara co roku. Na co ci było sługi moje kijami bijać, kości im łamać, najeżdżać dom mój pocziwy? Po coś odpowiedzi przysyłał, wsie łupił, chłopów zabijał, wozy moje z winem na Świńczy i Trziannie rabował? Stadniki Małe i Żołynię plądrował? Przecież ci dałem znać, że się na tobie mścić będę i na gardle usiedę! Dałem ci czas, abyś uchodził, bo wiedziałeś dobrze, że masz się mnie strzec na wszelakim miejscu, chodząc, robiąc, śpiąc, w kościele, w łaźni, u dziewczki. Obaczcie, waszmościowie, dziwny losu i fortuny przypadek – oto zwyciężyłem *iure et gladio* wroga mego pysznego, zatwardziałego.

Wieki całe będą śpiewały pieśni o zwycięstwie Stadnickiego pod Krzemienią...

–Konie – wymamrotał z lekkim niepokojem Zegart, który ciągle spuchnięty był od ukąszeń mrówek. – Jazda sroga, proszę jaśnie wielmożnego pana.

–Sprawdź, czy aby nie Amazonki! – zarechotał Stadnicki. – Pewnie od króla w sukurs Opalińskiemu przysłane.

Ziemia zadrżała mocniej. Przez brzęk stali, ochryple wrzaski walczących, huk strzałów i rzenie koni przebił się narastający łoskot kopyt. Stadnicki zerknął na Roźniatowskiego, a Roźniatowski na Zegarta. Coś tu się nie zgadzało.

–Posłaliście po semenów do Łańcuta? – zagrział Diabeł. – Albo po czeladź do Kańczugi?

Śludzy pokręcili głowami. A grzmot kopyt narastał, brzmiał coraz mocniej, coraz natarczywiej.

W kilka chwil później na wzgórzach od południa, od strony Kraczkowej, pojawił się las włóczni i rohatyn, końskich łbów i uzbrojonych po zęby jeźdźców, zwieńczony ogromną żółto-błękitną chorągwią z półksiężycem i strzałą ustawioną pomiędzy dwoma gwiazdami. Jeźdźcy zbliżali się, wjeżdżali na wzgórze, formowali trzy rzędy, szybko, sprawnie, całkiem jak chorągiew kwarciana albo powiatowa...

Roźniatowski porwał za perspektywę, podniósł ją do oka, a potem zbladł, zadygotał.

–Jezus Maria! Dydyński!

–Przecież on nie żyje! – zakrzyknął Stadnicki. – Jak to? Co to? Zdrada! Boże wszechmocny!

Chorągiew wjechała na wzgórze. Była wspaniała, solidnie okryta – składała się ni mniej, ni więcej, tylko z trzystu konnych dosiadających rączych polskich rumaków, zbrojnych w szable, koncerze, pałasze. Pomiędzy towarzystwem rozległ się okrzyk – gromowy ryk, który dotarł aż na pole bitwy, zatrwożył, wstrzymał w pędzie sabatów i hajduków Stadnickiego.

Diabeł Łańcucki spoglądał na wzgórze rozdygotanym wzrokiem. Teraz zaczynał rozumieć wszystko, poznawać niektóre gęby i oblicza. Twarze i sylwetki drobnej szlachty z Sanoka, od Bieszczadu, z doliny Sanu, spod Lwowa, Halicza, Przemyśla, ze słomianych zaścianków, z krzywych dworków, chałup i chyż. Tych wszystkich Dobrzańskich, Łodzińskich, Berezowskich, Chocimirskich, Bilińskich, Bandrowskich, Dębickich, Horodyskich, Krynickich, Łuckich, Konieckich, Drohomireckich, Czajkowskich, Żukotyńskich, Uruskich, Wysoczańskich i wielu, wielu innych... Pomiędzy którymi ze świecą szukałbyś nie tylko drążkowego kasztelana, ale nawet zwykłego cześnika czy krajczego, a znacznie łatwiej znalazł łąpcie i lipowe postoły niż herbowe pierścienie i safianowe buty. Stadnicki nie mógł zrozumieć tylko jednego. Jakim cudem zamiast z kijami, kłonicami i ptaszniczkami ci przekłęci sanoccy szaraczkowie stawali teraz na dzielnych rumakach, z szablami i w zbrojach?!

Stadnicki nie uwierzyłby, gdyby ktoś mu powiedział, że to nikt inny, tylko on sam ufundował Dydyńskiemu tę zacną chorągiew. Złożyły się zaś na to pieniądze dane Kardaszowi, które przechwycili Dwerniccy, i drobne „pożyczki”, które na wieczne oddanie zaciągnął pan Jacek nad Jackami w Saninie i Malawie należących do

łańcuckiego klucza. Nawiasem mówiąc, dzierżawcy Stadnickiego udzielili ich bardzo niechętnie; jedynie szable, pistolety, kułaki i – w jednym wypadku trzydzieści odlewanych na gołą rzyć arendarza – zmiękczyły ich kamienne serca i nakłoniły do podzielenia się grosiwem z ubogimi szlachetkami spod Sanoka.

–Zdrada! – ryknął Stadnicki, a potem chwycił Roźniatowskiego za żupan i potrząsnął. – Róbcie coś, do kroćset! Dydyński szlachtę przeciw mnie uzbroił! Hołotę sanocką przyprowadził! Diabeł mu chyba dał konie i prochy!

–Ramuł nas sprzedał. – Zegart wskazał kolejne gromady konnych, które wyjeżdżały na wzgórze. – Tam jest szlachta, która się miała stawić pod Czarną! Dydyński ich pobuntował i przeciw nam przyprowadził!

Stadnicki złapał się za głowę.

–Jak to?! – zawył. – Jak to się stało?

\* \* \*

–Ot i prosto – rzekł Dydyński. – Przestańcie służyć Diabłu, mości panie Ramuł. Przestańcie na jego rozkazy się stawiać!

–Służymy mu po niewoli, nie z chęci – mruknął szlachcic. – Jak mu nie damy zbrojnej asysty, to ziemia i niebo z naszych folwarków zostanie.

–A jak zwycięży, to was w tatarską niewolę zaprzeda!

–Jak to? Co też waszmość pan gadasz?

–Nie ja tak gadam, ale pohańskie pisma! Czytajcie, panie bracie – oto jest tłumaczenie dokumentu poświadczone przez Żyda ze Stefkowej. Stadnicki porwał szlachciców dobrych, panów Dwernickich, i oddał w niewolę Tatarom, aby samemu odzyskać wolność.

Ramuł przeczytał. A potem zbladł.

–Ja... Jak to... – wybełkotał. – Stadnicki uczynił tak straszną rzecz? Zdrada! Hańba!

–Wreszcie rzekłeś waść coś z sensem. Będziecie go po tym wszystkim słuchać? Będziecie szable na usługi oddawać?

Ramuł porwał za ordynkę. Wyszarpnął ją z pochwy.

–Idziemy z wami!

\* \* \*

–Jarłyk z Kały! – rozdarł się Stadnicki. – On zdobył pakta z Urum murzą... Jezu Chryste... Zegart! A mówiłeś, że bezpiecznie schowane... Zegart, psi synu! Gdzie ty jesteś?!

Rozejrzał się dokoła, ale Zegarta już przy nim nie było.

\* \* \*

–Mości panowie bracia! – wykrzyknął Dydyński, potrząsając wymiętymi paktami Stanisława Stadnickiego. – Zdrajcy i psiemu synowi służycie! Oto stoję tu przed wami ja, urodzony Jacek Dydyński herbu Nałęcz, powietnik wasz i sąsiad. I prezentuję wam panów Dwernickich, których ojców Diabeł Łańcucki wywiódł postępem na Wołoszczyznę i tam oddał w niewolę Turkom i Tatarom. Oto macie tutaj dokument ugody, dowód, że starosta zygwulski postąpił nie jak koronny syn, ale jak kiep, pohaniec, szelma i śmierdzące bydlę!

Szlachta zebrana wokół namiotu Ramułta zaszumiała, zakrzyczała, kilku panów braci od razu porwało za szable.

–Mości panowie bracia! – zagrział stolnikowic. – Nie dajcie się zaprząć przez Diabła jak woły do jarzma! Ma on was za pacholków i rękodajnych, ma na darmo waszą krew przelewać i wniwecz obracać, wy go sami wniwecz obróćcie! Oto tu w ręku trzymam dowód jego wdzięczności! Oto widzicie, że za wasze poświęcenie czeka was tylko zniszczenie i tatarska niewola, bo tak jak Dwernickich pohanom zaprzedał razem z Kardaszem zdrajcą, tak i was w dybach do Budziaku pognać każe! Ja błagam, ja proszę, nie stawajcie za zdrajcę! Idźcie z nami na Łańcut!

–Precz ze Stadnickim! – wrzasnął ktoś z tłumu. – Zdrajca, zdrajca! Kurwi syn po trzykroć!

–I każdy, kto z nim jest!

–Szlachtę w niewolę sprzedawał!

–Pohańcom ludzi oddał!

–Precz z nim!

–Na pohybel!

–Na Łańcut!

Gdzieś w tłumie błysnęły szable, wszczęła się gwałtowna bójka, zwada. Ale nie było to nic groźnego – to tylko rozsiekano Piekłasiewicza, zatwardziałego poplecznika pana łańcuckiego. Inni jego słudzy zamarli, widząc wzniesione ostrza, srogie oblicza szlachty.

A potem wszystkie szable wyskoczyły z pochew, zaśniły w słońcu.

–Wiwat mości pan Dydyński! – zakrzyknął Ramułt.

–Za nim choćby do piekła!

–Na Łańcut!

\* \* \*

Zabrzmiały trąbki i bębny. Jazda Dydyńskiego ruszyła w dół wzgórza, wprost na oddziały Diabła. Konie poszły najpierw stępa, potem przeszły w kłus, pomknęły rysią, aby szybko i gładko przejść w skok.

–Dalej! Dalej! – zakrzyknął Dydyński, który pędził na samym czele chorągwi Dwernickich z buzdyganem w dłoni i podwiniętym aż powyżej łokcia rękawem żupana.

Konnica pognała naprzód jak burza, jak żelazna nawałnica staczająca się ze wzgórz wprost na osłupiałych hajduków i sabatów. Rozszalałe rumaki wyciągnęły szyje, stuliły uszy i poczęły iść coraz szybszym pędem; rwały przed siebie w ogłuszającym łomocie kopyt, od którego trzęsła się ziemia.

–Bij, zabij!

–Jezus!

–Mario!

To było całkiem jak pod Kircholmem, Byczyną czy Toropcem. Chorągiew Dwernickich przebyła wzgórze, przeszła przez łąkę, a potem w chmurze pyłu wpadła wprost na tyły sabatów Stadnickiego atakujących tabor starosty. Ich szyki pękły w jednej chwili, dziesiątki, setki żołdaków padło wdeptanych kopytami w ziemię,

zmiażdżonych, stratowanych, obalonych przez rozszalałe konie. W szeregi wrogów wkradła się panika – kto tylko żyw, rzucił się w stronę zarośli po drugiej stronie traktu. Sabaci konni i piesi, hajducy i dworscy ludzie Diabła runęli jak ogromna fala na semenów, zmiotli ich, obalili, porwali za sobą. A na ich karkach nadlatywali jak rozszalałe furie Dwerniccy i ich pobratymcy, siekąc, tratując i kłując na wszystkie strony, kosząc nieprzyjaciół niczym wytrawni żeńcy kłosy dorodnego zboża, rozbijając szyk i dławiąc w zarodku każdą próbę oporu.

Stadnicki znalazł się w ogromnym tłumie uciekających, porwany jak wątle źdźbło trzciny niesione przez powodziową falę. Nikt już nie myślał o stawianiu oporu, o walce i powrocie na pole bitwy. Uciekali wszyscy – ciężkozbrojni konni sabaci, piesi Węgrzy, hajducy i dworscy ludzie Stadnickiego, pieniądze semeni i poczty szlacheckie. Wszyscy pomieszczeni w jeden wielki tłum; gnali przez pola, lasy i łąki prosto na wschód – w stronę Łańcuta.

Stadnicki chciał jeszcze stawiać opór – dać w trąby – zwoływać ludzi – zapewne po to, aby choć cało wyrąbać się z pułapki. Nie zdążył jednak nic uczynić, bo nagle skoczył nań szlachcic w karmazynowej delii i kolczudze, w rysim kołpaku, z szablą w ręku.

Diabeł zadrżał. Poznał Dydyńskiego.

–Stawaj! – krzyknął stolnikowic, a potem spiął konia ostrogami i runął na starostę zygwulskiego.

Stadnicki porwał za swą wysłużoną batorówkę, złożył się do cięcia, zbił ostrze, uderzył raz, drugi, trzeci...

–Za Konstancję! – ryknął Dydyński i chlasnął na odlew z taką siłą, że ręka Diabła odskoczyła na bok. Stolnikowic odwinął się i ciął z drugiej strony – jednym cięciem przeciął kołpak Diabła, rozwalił mu łeb!

–Za Dwerniki! – krzyknął i poprawił z prawej, rozrąbał lewy bok starosty, wzniosł szablę do cięcia!

–Za Przeclawa! – huknął, tnąc w lewy bark i obojczyk Stadnickiego.

Diabeł zwałił się w tył, szarpnął wodze konia, padł na ręce pachołków. Ten z lewej porwał za cugle gniadego bieguna, pozostali wzniesli pistolety i półhaki, chcąc bronić pana.

Dydyński skoczył za nimi!

Nie zdążył dopaść Diabła, bo nagle w bitewnym zamęcie wpadli między nich uciekający semeni i ścigający ich ludzie Ramuła, konna czeladź Ligęzy i panowie Bolestraszyccy. To dało pachołkom czas na zebranie się do kupy, na rozpaczliwe ponaglenie koni. Chwila jeszcze i cały poczet Stadnickiego począł uchodzić z resztą konnicy poza pole bitwy.

Dydyński nie ścigał ich. Nie było zresztą czasu. Zawrócił do taboru, przeskoczył konno nad potrzaskanymi wozami, popędził tam, gdzie właśnie opatrywano rannego w rękę starostę leżajskiego. Ryk wydarł się z piersi Opalińczyków na widok stolnikowica. W zakrawionym, pokrytym martwymi ciałami taborze wszczęła się wrzawa. Wszyscy krzyczeli i wymachiwali rękoma, prości kozacy i czeladnicy rzucali się w ramiona szlachciców, hajducy tańcowali z chłopami. Niektórzy palili w niebo z

samopałów, wyrzucali w górę czapki, inni padali na kolana, modlili się, cisnęli do Dydyńskiego.

Jacek nad Jackami pozdrowił Opalińskiego uniesioną ręką.

–Mości panowie! – zakrzyknął stolnikowic. – Stadnicki pobity! Kto tylko żyw, na koń! Za nim! Gonić psiego syna! Na Łańcut!

–Stój, waść, poczekaj! – zakrzyknął Opaliński. – To pułapka, to...

–Przejmuję dowodzenie, mości panie starosto! – zakrzyknął Jacek nad Jackami. – Wszyscy za mną! Na Łańcut!

–Czekać, do stu piorunów! – zaproponował Opaliński, ale nikt go nie posłuchał.

–Na Piekło! – ryknęło w odpowiedzi sto gardeł. – Brać łupy!

–Hej, kto szlachta, za Dydyńskim!

–Hajda na Łańcut!

–Wykurzimy Diabła z nory!

W zamęcie wszyscy rzucili się za stolnikowicem. Wnet rozczepiono wozy, wyprężono konie z kolas, poczęto wsiadać na rumaki powodowe, na konie juczne i taborowe.

–Mości Berynda! – zakomenderował Dydyński. – Bierz armaty i idź z nimi do Łańcuta. Bramy wysadzimy, weźmiemy zamek i miasto szturmem!

–Nie pozwalam! – zakrzyknął Opaliński. – *Veto!*

–Tu nie sejmik, abyś waszmość pan wetował! – krzyknął Dydyński. – Nie czas na paktowanie! Spalimy gniazdo Diabła! Ruszajcie!

A potem spiał konia ostrogami, przeskoczył nad wozami i pognał za uchodzącymi ludźmi Stadnickiego. Lecz nagle wstrzymał rumaka tak mocno, że wierzchowiec zarył kopytami w ziemi. Stolnikowic zwrócił go w lewo i przypadł do grupy hajduków wypadających właśnie na koniach z taboru. Dopadł do najmłodszego z nich, porwał go za ramię, szarpnął i brutalnie odwrócił ku sobie.

–Do stu piorunów! – krzyknął, widząc przed sobą oblicze Konstancji. – Co ty tu robisz?! Szukasz guza?! Zamknąłem cię w komorze na cztery spusty.

–Dziaduś też próbował, kiedym piętnaście wiosen skończyła – mruknęła. – Bał się, że za chłopami latać będę i z brzuchem wrócę. A nie wiedział, że tam są przecież dwie deski w pawimencie obluzowane...

Dydyński złapał się za głowę.

–Ja stąd nie odjadę. Choćbyś mnie na arkanie związał, to sznury przegryzę!

–Więc milcz! I trzymaj się blisko mnie!

\* \* \*

Kłując, rąbiąc uciekających, tratując pieszych, zmiatając z kulbak konnych uciekinierów z armii Stanisława Stadnickiego, dopadli w końcu do samego serca łańcuckiej włości. I zobaczyli przed sobą, za łąkami pokrytymi kwieciem, za ogromnymi połaciami przekwitłych już, okrytych delikatnym listowiem ogrodów, Łańcut – miasto na wzgórzu, jak wyniosły okręt zanurzony głęboko w morzu zieleni. Gród otoczony był parkanami i murami, nad którymi pięły się w górę wieża ratuszowa, więzienna, wyniosłe baszty starego zamku, dach fary miejskiej – ongiś kościoła Świętej Barbary, a od czasów apostazji Krzysztofa Pileckiego –



kalwińskiego zboru. A także dzwonnica kościoła klasztornego Dominikanów, odebranego przez Diabła Stadnickiego zakonnikom. W serca uciekających wstąpiła nadzieja na ocalenie, u ludzi Dydyńskiego zaciekłość ustąpiła miejsca uniesieniu. Wszyscy widzieli już oczyma swej duszy owe nieprzebrane skarby łańcuckie, kosztowności, materie, klejnoty i dukaty...

Nikt w mieście nie spodziewał się najazdu. Bo też i nikt nie pomyślał, że Stanisław Stadnicki, właściciel całego klucza, kiedykolwiek zostanie pokonany, upokorzony i zmuszony do ucieczki. Dzwony u fary i Świętego Ducha zabiły dopiero wówczas, gdy pierwsi uciekinierzy dopadli na spienionych koniach Bramy Górnej, zwanej także Murowaną, kiedy dostrzeżono ich z pobliskiej bastei strzelczej i wieży więziennej.

Jednak wtedy było już za późno...

Zanim ktokolwiek zdołał poruszyć ciężkie wrzeciędzie wrót, nim strażnicy miejscy zdołali zatrzasnąć furty, zasunąć rygle, pierwsi semeni i konni sabaci oraz siedzący im na karkach Dwerniccy i Opalińczycy wpadli w ulicę Rzeźniczą. Ogromna fala ścigających rozlała się szeroko wzdłuż murów i ogrodów, dopadła do Bramy Głuchowskiej, do licho umocnionej Dolnej, zwanej Krakowską lub Rzeszowską, wdarła się do grodu...

I od razu rzuciła na mieszkańców!

Nikt już nie słuchał rozkazów, nikt nie zważał na komendy rotmistrzów, rozkazy Dydyńskiego i jego namiestników. Dwerniccy, elarzy i część kozaków dworskich Opalińskiego wytrwali przy Jacku nad Jackami, pognali do Bramy Dolnej, w stronę zamku. A reszta hajduków, semenów, czeladzi, szlachty, dworzan i pacholków runęła hurmem do wnętrza sklepów, kramów i piwnic, do mieszczańskich domów i ratuszowych komnat, do piwnic, szop i składów. Nikt nie stawiał im oporu, nie prosił o łaskę i nikt jej oczywiście nie dawał. W zamęcie podpalono trzy domy przy rynku, obito kupców i przekupniów. Rozwścieczone żołdactwo mordowało mieszczan, rąbało szablami czeladników i mistrzów, rajców i patrycjuszy, gwałciło panny i męzatki, obdzierało do naga łyczków. Krzyk jeden wielki, płacz i lament dobyły się z gardeł mieszkańców, mieszając z tryumfalnym wyciem i rykiem atakujących. A wszystko ginęło w grobowym dźwięku dzwonów, w huku ognia i pożarów, jęku gwałconych kobiet, płaczu dzieci, w daremnych prośbach o łaskę, litość i zmiłowanie. Prośby te jednak milkły pod ciosami szabel i czekanów, po pchnięciach kindziałem, pod kopytami rozszalałych koni, na których cwałowali wąskimi uliczkami konni semeni wespół z okoliczną szlachtą. Wnet w bramach i na murach zjawily się szare świty, kubraki, siermięgi i hunie. To okoliczni chłopci, zwiedziawszy się, że nadszedł koniec Diabła Łańcuckiego, Piekło jest oblegane, a miasto zdobyte, cisnęli się hurmem, by uszczknąć dla siebie choć trochę zdobyczy. Jak szakale i hieny warujące wokół wilków, tak oni wpadli do miasta, rzucili się na bogactwa i towary, krążyli wokół kup kozactwa, hajduków, czeladzi i szlachty, czasem wrywając dla siebie skrzynię, postaw sukna, belę materiału. Zdzierali pierścienie z rąk poległych, odrzynali ich mieszki i sakiewki, ściągali buty i szaty z trupów, obdzierali do naga nieszczęsnych mieszczan.

Nikt już nie zważał na to, że mieszkańcy Łańcuta cierpieli od swojego pana po

równi z okoliczną szlachtą i chłopami. Byli wszak sługami i poddanymi Diabła, a teraz, kiedy Stadnicki był daleko i pobity, zapanowało okrutne i bezlitosne prawo wojny. O ile jednak szlachta sanocka i przemyska zachowywała pozory, rabowała głównie broń i klejnoty, a baby i dziewczki gwałciła po cichu, tak aby nikt nie widział, to kozaków, hajduków i całą zbrojną hołotę Opalińskiego ogarnął prawdziwy szal na widok bogactwa, które ujrzeli w składach, domach i kramach Łańcuta. Jak zauroczeni rzucali się na postawy sukna, bele aksamitu, adamaszku, złotogłowiu, na altembasy, atłasy. Na fryzy, kitajki, kobierce, delie, giermaki, futra kunie, rysie i sobole, wilczury, skóry lwie i tygrysie. Na suknie ze złotogłowiu, alkierzyki, gdańskie meble, srebra, klejnoty i broń. Na szczerozłote półmiski, łańcuchy, zapony, trzęsienia, garnki, puchary i nautilusy, kielichy, miednice, dzbany, roztruchany, srebrne flasze. Na diamentowe guzy do szlacheckich delii i żupanów, kubki, nalewki, miednice, konwie, sztuki złote z klejnotami, panny srebrne i miedziane, rubiny, brylanty, szafiry i perły. To wszystko ładowano na wozy, pakowano do trzosa i kalety, wyrzucano na ulice skrzynie i kufry pełne łupów, rozbijano beczki, komody i sekretarzyki, zdierano suknie z pohańbionych niewiast i aksamitne ciżmy z nóg patrycjuszki. Tu i ówdzie dochodziło już do pierwszych kłótni i bójek o zdobycz – zwłaszcza tam, gdzie na rabunek rzuciła się biedna szlachta z Sanoka i Bieszczadu – szaraczkowie, z których nie każdy widywał na co dzień takie bogactwo i rarytasy. Razem z rabunkiem i gwałtem poczęły się pierwsze pijaństwa i swawole. – na rynku, w podcieniach ratusza, gdzie wytoczono z piwnic wielkie dębowe kufy wina, alikantu, małmazji, węgrzyna, rywula i buzetu, antałki z piwem i ogromne beki pełne zeszłorocznego lipca. Rozbijano je kamieniami, otwierano toporem, a do ich zawartości garnęli się spragnieni, zdyszani kozacy i hajducy – pili garncami, czapkami, zniecierpliwieni zanurzali parujące łby w kadziach. Niektórzy śpiewali, inni krzyczeli, a jeszcze inni wadzili się. Ci zaś, którzy pierwsi dobrali się do zapasów, leżeli już w gnoju i nieczystościach półmartwi z przepicia – często ograbiani przez własnych kompanów. Nieliczni napastowali dziewczęta, ciągnęli je tam, gdzie rozpalano pierwsze ogniska, gnano na rzeź stada wołów i baranów.

\* \* \*

Dydyński, zebrawszy swoich braci, Konstancję oraz ilu się tylko dało Dwernickich, skoczył co tchu ku Dolnej Bramie, położonej niemal na wprost głównego wjazdu do Piekła. Za nimi rzuciła się zaraz część szlachty spod buławy Ramuła, konni semeni Opalińskiego, czeladź i zbrojni elearzy starosty. Jacek nad Jackami sam pierwszy skoczył ku zamkniętej bramie, zza której blanków wystawały kapuzy i kołpaki hajduków z załogi Piekła. Most był opuszczony, ale wrota pozostawały zawarte.

–Otwierać po dobroci! – krzyknął donośnie. – Daruję was, chamy, zdrowiem, jak nas do środka wpuścicie.

–Całuj psa w nos, kpie! – odkrzyknął jakiś nikczemny głos. – Zdymaj konie i broń, paniczku, to cię do lochów na ucztę zaprosimy!

–Wybraliście! – rzekł spokojnie Dydyński. – Panie Berynda! Poczynaj, waść.

Hajducy strzegący bramy wrzasnęli jednym głosem, gdy spoza tłumy szlachty,

**czeladzi i kozaków wyłonił się Bieniasz, a za nim... Za nim Dwerniccy pod komendą Samuela ciągnęli trzy spośród sześciu armat zdobytych w czasie niedawnej potyczki ze Stadnickim.**

**Szybko odwrócono falkonety w stronę bramy, przystawiono lonty do zapalów. Działa huknęły niskim basem, ryknęły przerażająco, posyłając w stronę wrót ciężkie żelazne kule. Ogromna, okuta furta zachwiała się w posadach, obydwa skrzydła wrót wyleciały z zawiasów, pochyliły się.**

**–Na zamek! – ryknął Jacek nad Jackami. – Brać Piekło!**

**Nikt już nie czekał do kolejnego strzału. Ogromny tłum żądny skarbów Stadnickiego rzucił się ku bramie z szablami i pałaszami. U wrót zrobiła się straszna ciżba, ścisk i zamieszanie, nad głową Dydyńskiego zahuczały wystrzały z kobył i arkebuzów zamkowej załogi. A potem ogromne wrzeczydże, nadwerężone wcześniej wystrzałami, zatrzeszczały i padły pchane setką silnych ramion.**

**Podniósł się ryk i wrzask, gdy wrota stanęły otworem. Opalińczycy rzucili się do przepastnego wnętrza bramy, wypadli na dziedziniec, gdzie powitał ich grad kul, dym wystrzałów, deszcz ołowiu uderzył wprost w piersi i twarze. Tłum zakłębił się, zawył w paroksyzmie bóleści jak dzikie zwierzę.**

**–Na górę! Brać zamek! – zakrzyknął Dydyński, który pierwszy zeskoczył z konia, zostawił go pod opieką czeladzi, a teraz wskazał szablą galerię, gdzie w dębowych sobotach zasadzili się hajducy z rusznicami.**

**Wnet cały tłum rzucił się na schody. Nikt nie stawiał im oporu. Opalińczycy wpadli na piętro, wyrznęli hajduków, a potem wpadli hurmem do zamkowych komnat. Kozacy, hajducy i szlachta parli naprzód, rąbiąc, kłując, strzelając, depcząc po trupach i rannych. Wnet sale zaczerwieniły się krwią, w nozdrza uderzyła kwaśna woń dymu, a w oczy łuna pożarów. A to znaczyło, że wraz z ludźmi starosty wpadli do Piekła chłopci, aby choć jedną chwilą odwetu pomścić się za ucisk i okrucieństwo Diabła. I przy okazji puścić czerwonego kura gdzie tylko się dało.**

**Dydyński był w pierwszych szeregach atakujących. Zbryzgany krwią, z braćmi pilnującymi mu pleców przebiegał zamkowe komnaty, rozdając śmierć na lewo i prawo, rąbiąc służbę i uciekających niedobitych sabatów. Pędził właśnie przez galerię, gdy tuż przed nim padł strzał, a jeden z hajduków zwałił się na posadzkę z roztrzaskaną głową. Stolnikowic skręcił w bok, przyskoczył do zabarykadowanych okutych drzwi, gdzie przez dziurę wystawały lufy rusznic i pistoletów, szarpnął za klamkę i skinął na Mikołaja.**

**–Wyważać!**

**Dwerniccy wnet rzucili się po czekany i siekiery, skoczyli do wrót i jęli rąbać je z zaciekłością, wspierani przez kozaków Opalińskiego. Wnet przypadł do nich Berynda z długim żelaznym drągiem. Wraz z Mikołajem wbili go w szczelinę u dołu, podważyli, wyłamali furtę do wewnątrz.**

**Z komnaty prosto w ich twarze huknęły strzały. Dwóch hajduków runęło na ziemię we krwi, Berynda zwałił się z przestrzeloną nogą, zaryczał z wściekłości.**

**–Naprzód! – krzyknął. – Zostawcie mnie. Brać ich!**

**Dydyński wpadł pierwszy. Za nim wskoczyli Samuel i reszta braci, potem hajducy i**

leary Opalińskiego. Stolnikowic nie bawił się w żadne pojedynki. Zmiotł potężnym ciosem pierwszego z pachółków Diabła, drugiemu zablokował broń, ciął nóżkiem w pachwinę, trzeciemu rozrąbał łeb i pół gęby zwodniczym cięciem. Mikołaj i Zygmunt zajęli się resztą. Dydyński skoczył w ką, gdzie przy gdańskim, malowanym piecu kuliła się niewiasta o dumnych, posępnych oczach, ochraniająca przez starego, siwiuteńkiego jak gołąb sługę dzierżącego w pokrzywionych rękach szablę i nabity pistolet. Za plecami niewiasty kuliło się czworo dzieci – młodziutka dziewczyna i trzech wyrostków usiłujących pokryć strach marsowymi minami.

Jacek nad Jackami poznał kobietę od razu. To była Anna z Ziemieńczyk Stadnicka, żona Diabła Łańcuckiego, pani sławna tyle z wyniosłego gestu, co z okrucieństwa; najgorsza podżegaczka wojenna, przeciwniczka Anny Opalińskiej, żony starosty leżajskiego. Słowem – herod-baba, wilczyca stepowa o niewyparzonej gębie. Co jednak nie oznaczało, że brakowało jej urody.

–Panie Dydyński! Mości stolnikowicu! – krzyknęła rozpaczliwie, widząc znajomą twarz między hultajstwem. – Ratuj nas, waszmość! Bywałeś w tym domu gościem... Pomocy! Miłosierdzia!

Jacek nad Jackami skoczył do Stadnickich, a wówczas stary sługa podniósł rękę z pistoletem. Stolnikowic był szybszy, podbił mu dłoń, a wystrzał huknął mu nad uchem, osmalił łeb, utracił pióro u kołpaka. Jacek ciął szablą wrąb, rozwalił starcowi łeb, poprawił węg, rozchłastał brzuch, posłał na zakrwawione kobierce i dywany.

Nie zdążył dopaść Anny Stadnickiej! Hajducy Opalińskiego byli pierwsi. Porwali ją za hiszpańską suknię, rozerwali kryzę pod szyją, chwycili za perłowe naszyjniki, chcąc zerwać je z szyi.

Dydyński przyłożył pierwszemu w łeb szablą, drugiego odtrącił kopniakiem. Hajducy ryknęli z wściekłości, ich kompani podbiegli bliżej z uniesionymi szablami, a wówczas Dwerniccy i Dydyńscy zastąpili im drogę.

–Wara! – krzyknął Dydyński. – Fora na dziedziniec, czubaryki! Do dziewczek koperczaki smalić! Ci jeńcy są moi!

Hajducy nie ruszyli się z miejsc. Dydyński odwrócił się do Stadnickiej.

–Nie bój się, pani dobrodziejko – rzekł – nic do waszmość pani i dzieci nie mam, jeno do waszego męża.

–Ale ja mam! – syknęła Konstancja.

I zanim rzekłbyś: „O rety!”, rzuciła się na Stadnicką jak wygłodniała lwica. Jednym ruchem zajechała ją pięścią w głowę, porwała za suknię, poszarpała, złapała za włosy, walnęła w twarz z drugiej strony, popchnęła na kominek. Stadnicka nie pozostała jej dłużna – kopnęła Dwernicką z całej siły, chwyciła za szyję, poczęła krzyczeć, drapać. Obie baby tłukły się i biły jak rozwścieczone kocice w marcu.

–Ty przechodzona kurewnico! – krzyknęła Konstancja. – Ty mineciaro szankrowata! Kurwo, ruchawico ze szkockiego regimentu! Już ja ci dam mnie w trumnie zamykać, z sukien w celi obdzierać! Małpo chędożona ty!

Stadnicka dzieliła ją w łeb, wpiła się palcami we włosy. A wówczas Konstancja kopnęła ją w brzuch, zwała na podłogę. Obydwie baby poczęły krzyczeć, bić się, gryźć z zaciekłością, okładać pięściami, rwać suknie, wyrywać garściami włosy.

**–Ty niedojeżdżona gamratko – warknęła Stadnicka – ty kurewniczko godmiszami chlastana! Bikso w kusicę jebana!**

**To uratowało Dydyńskich od bratobójczej bitki z ludźmi Opalińskiego. Hajducy, którzy już brali się do szabel, zarechotali głośno. Po chwili śmieli się już wszyscy – zarówno Dwerniccy, jak i Dydyńscy, elearzy, hajducy i kozacy. Śmieli się nawet, aczkolwiek z charkotem, ranni leżący w kałużach krwi przy drzwiach.**

**–To ci dopiero baba! – weselił się Mikołaj. – Będiesz miał, bracie, żonkę jak rzepę. Jak się za lada szynkareczką obejrzysz, rzyć ci żywcem wyrwie!**

**Dydyński pomyślał sobie w tej chwili, że w sumie wcale nie tak spieszno mu do ożenku.**

**–Rozdzielić je! – rozkazał. – Stadnicką weźcie pod ochronę i odstawcie do starosty Opalińskiego. A Konstancję wziąć na arkan, przytroczyć do konia. Jakby krzyczała, zatkajcie jej gębę!**

**–Jak rozkaz, to rozkaz!**

**Wkrótce rozdzielono obie bojowe niewiasty. Stadnicka była pogryziona, Konstancja posiniaczona. Anna trzymała w zaciśniętych pięściach czarne pasma włosów swej rywalki, Konstancja zaś w zębach duży kawał aksamitu z sukni żony Diabła. Zdążyła też zerwać z jej szyi naszyjnik z pereł, którego nie chciała wypuścić z garści, choć Dydyńscy siłą rozwierali jej palce. Mikołaj i Samuel mieli sporo kłopotu, zanim sprowadzili ją na dół.**

**–Za mną! – zakomenderował Dydyński.**

**Wyszli z komnaty, choć już nie było po co. Walka była skończona, załoga zamkowa wybita, służba i czeladź ranna lub wzięta w niewolę. Teraz, gdy nikt nie mógł przeszkodzić napastnikom, rozpoczęła się bezwzględna i bezlitosna grabież. Opalińczycy i Dwerniccy rzucili się na rabunek, a Dydyński nie chciał już dłużej powstrzymać swoich ludzi. Sam rzucił się na łup, wskazywał, co brać, jak pakować, co warte było zachodu, a co lepiej zostawić czeladzi i służbie. Hajducy i kozacy rozbijali skrzynie, rąbali czekanami szafy i sklepy skarbane, wyrzucali kufry i meble na dziedziniec oświetlony blaskiem płonących szop i stajni, zrywali kosztowne obicia, rozpruwali poduszki i pierzyny, porywali szuby, ferety, suknie, troczyli do koni i pakowali w wory szczerozłote półmiski, łańcuchy, czarki, garnki i roztruchany. Łupili i wyłamywali rubiny, brylanty i szmaragdy ze szczerozłotych sztuk, ze szmelcowanych złotem ozdób, rzeźb i reliefów. Porwali ze skrzyń i z garderoby Stadnickiej ogromne łańcuchy pereł, diamentów, rezurekcji, mis i brosz. Kozacy dworscy Opalińskiego wrywali z krzesel w rycerskiej sali okucia, gałki, ćwieki i kaptury ze srebra i złota, zrywali ze ścian fryzy i holenderskie gobeliny. Stadnicki za swego życia z łupów wojennych, z rzeczy porabowanych Korniautom, Ligęzom, Opalińskiemu i swemu teściowi zgromadził prawdziwą fortunę. A teraz w rękach pachołków, sług i sanockich szaraków lądowały po kolei szczerozłote pierścienie herbowe, naszyjniki i trzęsienia, forgi i kutasy. Kozacy i Dwerniccy rabowali husarskie rzędy końskie ociekające od złota i srebra, kulbaki powlekane aksamitem, haftowane w kwiaty ciągnionym złotem. Terlice obszywane perłami, rozetami ze szmaragdów. Czapaki uszyte z najdroższego, tkanego czystym złotem teletu,**

którego łokieć szedł u Ormian za dwanaście czerwonych złotych, haftowane srebrem, zdobione frędzlą i kutasikami z weneckiego złota. Munsztuki, tręzle i strzemiona sadzone złotem, rubinami i jaspisami, skrzynie pełne stołowego srebra, talerzy, złocistych półmisków, mis i łyżek; kufry i beczki z dukatami, florenami i portugalami, z których hajducy nabierali całe czapy pieniędzy, sypali je na podłogę, na dywaniki i materie, a czasem garściami wsypywali sobie w zanadrze.

Lecz najpiękniejsza, najwspanialsza była kolekcja broni Diabła Łańcuckiego. Ludzkie oko nie widziało nigdy tak cudnie zdobionych szabel, czekanów, łuków, buław i buzdyganów. Były tam oprawne w złoto pałasze, batorówki i ordynki w pochwach nabijanych klejnotami, węgierki z diamentowymi kapturkami, kołczany i łubie sadzone perłami, wyszywane złotą nicią, zdobione sztukami z rubinami i jaspisami. Były nawet strzały ze złota, zdobione drogimi kamieniami. Były koncerze ze srebrnymi rękojeściami, w pozłocistych pochwach, pałasze lśniące od diamentów i szmaragdów. Kindżały tureckie i tatarskie, z płaskorzeźbami, z perłami i turkusami. Były w końcu tarcze i kałkany obszywane złotogłowie, zdobione brylantami, z których największy dorównywał wielkością orzechom z ogrodu za dworem nieboszczyka Hermolausa Dwernickiego, a może nawet i był nieco większy od nich. Były cuda i cudeńka ze srebra i złota, z drogich klejnotów, futer, z najprzedniejszej stali i żelaza...

Wszystko to zrabowała hałastra, kozacy, szlachta i chłopci!

Dydyński zamarł, słysząc wściekły ryk i wycie wydobywające się z zamkowych podziemi. Oderwawszy Samuela i Zygmunta od rabunku, skoczył na dziedziniec zamkowy, do drzwi pod wieżą zamkniętych żelazną kratą. Zobaczył, jak potrzęsały nią wynędzniałe i oberwane postacie. To więźniowie Diabła, słysząc, że zamek jest wzięty, rozbili swoje okowy, wyłupali drzwi i kraty. Wnet kilku hajduków i kozaków pomogło im uporać się z ostatnią przeszkodą, wypuściło nieszczęśników na wolne powietrze.

Wyrwali się z ciemnicy jak potępieńcy z piekielnych czeluści. Z wrzaskiem, z wyciem rzucili się do zamkowych komnat zbrojni w kłody, kije, w żelazne laski. Hajducy i czeladź Opalińskiego gwałcili, mordowali i rabowali, ci zaś zajęli się tylko zemstą, czyli niszczeniem. Z wściekłością, mszcząc się za miesiące mąk i tortur, rozwalali na kawałki komody, łoża, stoły i stołki, przepięknie rzeźbione karła, ławy i sekretarzyki. Rąbali szafy i portrety, roztrzaskiwali przepyszne gdańskie piece i zdobione herbami Stadnickich kominki.

Dydyński zadrżał, widząc, jak strasznie byli okaleczeni. Patrzył na ludzi w łachmanach, pokrytych wrzodami i strupami. Takich, którym obcięto piłą ręce i nogi lub wyłupiono oczy, przypalano, batożono, piętnowano rozpalonym żelazem. Ci, którzy trzymali się jeszcze na nogach, pomagali kalekom wyjść z ciemnicy, zdrowi nieśli chorych, wciągali ich po oślizłych schodach na gorący blask czerwcowego słońca. Część z nich rzuciła się po żagwie, pochodnie i kwacze. W bezsilnej złości pognali, aby podkładać ogień pod drewniane hurdyce, zasłony i draperie w komnatach, dębowe ganki, schody i podcienia...

A potem ktoś krzyknął na widok Dydyńskiego. To był zarośnięty człowiek w

porwanym, postrzępionym, rojącym się od robactwa żupanie, ranny w nogę, kulejący, podtrzymywany przez drugiego więźnia.

Jacek nad Jackami wyteńczył wzrok, rozłożył szeroko ręce, przyskoczył do nieznanego, porwał go w ramiona i uściskał. To był Andrzej Ligęza, jego dawny druh i kompanion, z którym wywołał niegdyś wielką awanturę w Przeworsku i mocno załaził za skórę kasztelanowi Mikołajowi Spytkowi Ligęzie z Rzeszowa.

–Panie Ligęza! – zakrzyknął. – Waszmość żyjesz? A myśmy już waści pochowali!

–Co to za życie było! – Szlachcic splunął w stronę zamku. – Chciał mnie Stadnicki pozbawić Piotraszówki, do Sanoka zawieźć, abym go ze wszystkiego skwitował, ale kij mu w rzyć, skurwemu synowi. Głodem mnie morzył, po małodobrego posyłał, a dziś kat jemu poświęci!

–Chodź, waszmość, ze mną. Jestem tu z ludźmi, z przyjaciółmi, z braćmi. Zabierzemy cię do domu.

–Jest ktoś jeszcze, kto chce z waszmością mówić. – Ligęza wskazał na drugiego z więźniów. Dydyński westchnął, otarł pot z czoła, a wtedy tamten padł przed nim na kolana i zaszlochał.

–Panie bracie – łkał Przeclaw, wynędzniały, pokryty ranami, zakrwawiony – braciszku mój najdroższy, zmiłuj się nade mną... Ze dworu wypędź, ale wybac. Co ja przecierpiałem... Kiedym się dowiedział, że Konstancję Sienieński porwał, poszedłem precz ze służby... Uwolnić ją chciałem, ale mnie do lochu posadzili, w dyby. Ucho mi jedno urznęli, nos mieli próbować, szczęściem odsiecz nadeszła... Daruj mi, bracie, błagam cię w imię Jezusa Chrystusa...

–Chciał waści narzeczoną uwolnić, potwierdzam – rzekł Ligęza. – Do Hołuczkowa wpadł, strażę pobił. Ale okazało się, że Sienieński mocniejszy jak młody stolnikowic. Tak i poszedł do loszku Przeclaw, między nas, nieszczęsnych.

Dydyński nie wiedział, co czynić... Nie miał już sił... Nie miał chęci. A zresztą – pal to diabli. Stadnicki był pobity, porąbany, Łańcut złupiony, zamek zdobyty.

Jednym szybkim ruchem Jacek palnął brata w twarz, na odlew, z prawej strony. A potem wyciągnął rękę.

Przeclaw ujął ją i ucałował.

–Wybac, bracie – rzekł. – Zapamiętałem się.

–Prędzej rozum straciłeś. A teraz zaprowadź pana Ligęzę do koni! Zabieramy dupy w troki, póki czas!

Płomienie zahuczały, zatrzeszczało drewno zajęte ogniem. Ogień przeskoczył na soboty i galerie, wtargnął do wnętrza komnat, przeskoczył na dach, liznął krokwie i wsporniki.

–Gore! – rozległo się na dziedzińcu. – Uchodźcie!

–Gore!

Napastnicy i zdobywcy w panice rzucili się do okien i drzwi. Płomienie odcinały im drogę odwrotu, huczały coraz głośniejsze. Pożar objął prawie cały dom wielki, stajnię, wozownię, szopy i browar – rozprzestrzenił się dalej, zajmował hurdyce i machikuły na murach.

–Do koni! – zakomenderował Dydyński. – Zygmunt, Samuel! Zwołajcie wszystkich

**Dwernickich i braci! Migiem!**

**–Jedziemy do sadzawki, bracie! – wyszeptał Przeclaw. – Do tej za fosą zamkową!**

**–Do sadzawki? Po co?**

**–Ja proszę, błagam, posłuchaj mnie... Tam Stadnicki...**

**Dydyński pokiwał głową. Rozumieli się bez słów.**

**\* \* \***

**Szybko podnieśli stawidło, spuścili wodę, pozostawiając muł i szlam na dnie sadzawki. Przeclaw rzucił się tam pierwszy, wpadł w grząskie błoto z oskardem, przebrnął przez wodę i począł jak szalony rozkopywać bagnistą ziemię. Wkrótce dołączyli do niego Dwerniccy. I nie minęło wiele czasu, gdy coś zazgrzytało i załomotało pod oskardem.**

**Spoceni, brudni i umazani w cuchnącym szlamie szlachcice wyciągnęli wspólnym wysiłkiem pierwszą z szeregu ciężkich skrzyń. Była duża, okuta żelazem i zalana smołą, dzięki czemu mogła spoczywać długo na dnie zamkowej sadzawki. Mikołaj z trudem rozrąbał zardzewiałą kłódę, otworzył ciężkie wieko.**

**Kiedy zajrzeli do środka, Dydyński zamarł. We wnętrzu leżały czerwone złote, dukaty i talary, floreny, portugaly i dublony. Blask złota był silniejszy niż czerwona łuna pożaru łańcuckiego zamku.**

**–Skarb Diabła Łańcuckiego – wycharczał Przeclaw. – Dowiedziałem się o tym przypadkiem; widziałem, jak to zakopywali.**

**–Ile jest tych skrzyń?**

**Przeclaw zachichotał, splunął i uśmiechnął się.**

**–Dla wszystkich starczy, braciszku. Dla naszych dzieci. A ostatek dla wnuków, na przepicie...**

**\* \* \***

**I to już był koniec tej historii. Wracali do Niewistki, do Dwernik... Jechali cali, zwycięzcy, choć porąbani, skrwawieni. Daleko za nimi pozostał płonący zamek Diabła, który teraz, w ostatnich chwilach swego istnienia, zmienił się w prawdziwe piekło, wydany na pastwę szalejących płomieni. Pozostał Łańcut, w którym srożyło się żołnierstwo, grabież i gwałt, gdzie wśród trupów wyrzniętych mieszczan lała się strumieniami gorzałka, wino i miody, pijani kozacy i słudzy kłócili się, awanturowali o łupy, dobra i towary.**

**A gdzie był sam Stadnicki? Nikt tego nie wiedział. Jedni powiadali, że uszedł do Przemyśla, inni, że na Węgry lub do Lwowa. Jeszcze inni, iż szukał schronienia w dobrach swego brata Marcina Stadnickiego, kasztelana sanockiego. Nie brakło wszakże i takich, którzy twierdzili, iż poległ w czasie starcia, jak referendarz koronny Dorohostajski, i szukali gorliwie jego ciała między trupami pod Krzemienicą. Ale to była już historia.**

**Przed nimi był San, lasy, pola i coraz wyższe wzgórza, a daleko, prawie na widnokręgu, wznosiły się góry przemyskie i sanockie skrywające daleki Beskid i Bieszczad, połoniny, szczyty, przełęcze, potoki i doliny.**

**Jacek Dydyński wyrwał sznur z ust Konstancji, przeciął jej więzy zdobycznym kindziałem. Dziewczyna usiadła, roztarła zdrętwiałe ręce, wstrząsnęła głową i**



odwróciła się od Jacka.

–Odeszła ci już cholera? – zapytał. – Czy mam ci jeszcze krew puścić?

Milczała.

–Już wszystko zakończone, mościa panno. Łańcut złupiony, Stadnickiego porąbałem, że ledwie żywy uszedł spod Krzemienicy. A Stadnickiej udzieliłaś solidnej lekcji. Długo, oj, długo popamięta ona Konstancję Dwernicką.

–A co ty byś uczynił na moim miejscu?! – prychnęła. – Ta kurewnica znęcała się nade mną w więzieniu. Z szat odzierała, kazała dworkom chłostać, trzymała w ciemnicy, nasyłała hajduków. Obiecywała, że w trumnie w ziemi zakopie.

–Już dobrze, Kostusiu – powiedział cicho. – Wszystko teraz się ułoży.

Nie wiedzieć kiedy objął ją i pocałował. Zwarli się w uściskach na wozie obciążonym łupami tak bardzo, że zostawiał po sobie bruzdy głębokie jak artyleryjski jaszcz wyładowany kulami. Ucałowali się mocno i namiętnie na tle łuny płonącego zamku Diabła, wciąż mając w uszach krzyki mordowanych, palonych żywcem, jęki rannych i umierających ludzi. Trwali tak długo, obściskiwali się namiętnie i bez tchu w pocałunku, który opisał kiedyś ze szczegółami pewien znany poeta, a potem zawstydzony zamazał w rękopisie.

Aż wreszcie legli na wozie, wolni i szczęśliwi. Upadli na łupy, złoto i skarby wydarte ogniem, żelazem i fortem Diabła Stadnickiemu. Legli na futra sobolowe, wilcze i rysie, na skóry kunie i tygrysie, na których jeszcze nie do końca zakrzepła ludzka krew. Leżeli obok siebie, a potem pan stolnikowic wolno objął dziewczynę, rozpiął dwa guzy, które pozostały na jej żupanie po szamotaninie z Anną Stadnicką. Konstancja sama, zupełnie sama pomogła rozsznurować giezło, zrzuciła je przez głowę, wypuszczając na swobodę parę drażniąt okrągłych jak jabłka z rajskiego ogrodu, rozfiglowanych jak młode sarnięta, zsunęła hajdawery, odsłaniając czarny gaiczek kryjący w sobie ów jakże zacny pierścień, do którego pan stolnikowic zaraz miał gonić na swym husarskim koniu, zdjęła podkute buty. Leżała nago wśród kosztownych futer, materii, złotogłowiów i atlasów, odziana jedynie w długi sznur pereł, który zerwała z głowy Stadnickiej. A Jacek nad Jackami zsunął delię i zbryzgany krwią żupan, rozsznurował koszulę, ściągnął hajdawery i przez chwilę pozostał ubrany tak jak wówczas, gdy dwa lata temu wjechał konno do kościoła w Sanoku, wyszedłszy prosto z zamtuza i wzbudzając zrozumiałą sensację; od czego zresztą zemdląła żona rajcy miejskiego Grygiera. Nie omdlały natomiast jego dwie dorastające córki, które później wysyłały do niego liściki z prośbą o schadzkę – ale to już była zupełnie inna historia. Której, nawiasem mówiąc, nie powinno się teraz ani nigdy opowiadać panie Konstancji.

Stolnikowic zdjął kołpak, odpiął pas z szablą, pozbył się butów, a potem przygarnął Konstancję do siebie, utulił w ramionach, ucałował, pieścił, aż dyszała niczym rozgrzana klacz po biegu; wreszcie legł na niej, objąwszy ramionami.

I uczyniło się między nimi to, czego nigdy i nijak jeszcze nie zdołało opisać męskie pióro w taki sposób, aby zadowolić czytające tenże opis niewiasty. Wszelako nadmienić warto, iż z kolei żadnej kobiecie nie udało się jeszcze wyrazić piórem tego, co powinno zostać wyrażone, a i tak znaczna część z nich zwykła udawać zachwyty

lub zaciekawienie, gdy czyta wrażenia spisane przez drugą połowę rodzaju ludzkiego. Pozostańmy tedy przy męskiej stronie opisu tego, co działo się owego wieczoru na wozie pełnym zrabowanych łupów z Łańcuta.

A działo się dużo i namiętnie. Kolasa była nakryta pałubami, jednakże wszyscy domyślali się, co się święci. Najbardziej zainteresowany był kozak Szawiła, który przyłożył nawet ucho do płótna, póki nie odgonili go Mikołaj i Zygmunt Dydyńscy.

Stolnikowic i Konstancja miłowali się tedy we krwi i pragnieniu. Na skórach, na ormiankach i ordynkach w pochwach nabijanych turkusami. Na kolczykach wyrwanych z uszu pań z fraucymeru Stadnickiej, na napierśniku sadzonym diamentami, za który Dydyński zarabiał dwóch sabatów i sługę łańcuckiego. I nade wszystko na złotych monetach ze skarbu Diabła. Tam, pod gorącym tyłeczkiem Konstancji, spoczywały zlepione zaschniętą krwią szóstaki, orty i portugaly, złote floreny ozdobione jak na ironię znakiem niewinnej lili i podobizną świętego Floriana, talary i czerwone złote, grosze i orty. A nade wszystko lśniące dukaty gdańskie, poznańskie i toruńskie z wizerunkiem Orła i Pogoni tudzież dostojną podobizną Zygmunta Snopkiewicza Wazy. Król Zygmunt, jako wychowanek jezuitów nieopuszczający żadnej mszy, łypał złym okiem z dukatów na miłującą się parę, jakby uważając to za profanację i *crimen laesae maiestatis*, zagrożoną w sądzie grodzkim rokiem wieży dolnej. Jadnakże po cichu szczerze radował się w duszy, iż pieniążki zmieniły właściciela i teraz służą za posłanie najwdzięczniejszemu tyłeczкови Ziemi Sanockiej, ba, może nawet całego województwa Ruskiego. Bo przecież Zygmunt także nie cierpiał sukinsyna Stadnickiego.

\* \* \*

Ślub Konstancji i Jacka wyznaczony był na dzień 21 czerwca roku Pańskiego 1608, w sobotę. Dwerniccy czekali na tę ceremonię już od świtu. Wieś była umajona zielskiem i kwiatami, Konstancja przystrojona w najlepsze suknie porabowane na zamku w Łańcucie, a do kolasy zaprzężono sześć siwych woźników. Przybył ksiądz, zjechali się liczni goście. I tylko pana młodego nie było.

Czekali na niego aż do południa. Chodziły słuchy, że Jacek Dydyński wyjechał z Sanoka, że jest w drodze, potem że pije w Hoczwi, w końcu że stanie w Dwernikach lada godzina.

Tymczasem minęło południe i nic. Zaczął się popołudniowy skwar, słońce chyliło się ku zachodowi, a Dydyńskiego jak nie było, tak nie ma.

Aż wreszcie po pewnym czasie na trakcie załomotały końskie kopyta. Przyjechał pan Andrzej Ligęza z czeladzią i pocztem. Zeskoczył z konia, przyszedł do kościółka, pokłonił się zebranym z wielce nietęgą miną i wydobył list.

A potem przeczytał, co następuje:

Jaśnie Wielmożna Panno Dobrodziejko Moja Konstancjo z Dwernik Dwernicka herbu Sas

Piszę do Waszmość Mości Panny list ten smutny, z nowiną niewesołą, gdyż zdecydowałem się odłożyć nasz ślub o czas jakiś, a to z tej przyczyny, iż bez urzędu i godności żadnej będąc nie mogę się o twoją rączkę ubiegać. Ponadto służba mnie wzywa tedy, czemu Waszmość Mości Panno nie możesz być przeciwna, wyruszam

bowiem do Moskwy, na służbę cara Dymitra cudownie ocalonego, od którego list przypowiedni dostałem na chorągiew husarską. Da Bóg wróćę z Moskwy kniazem, lub udziałnym księciem, a wtedy się znowu o rękę Waszmość Mości Panny pokłonię...

Nadmienię także, że WMMPannę miłuję prawdziwie, gorąco i gorliwie. Ale nie zawsze wszelako Pan Bóg łaskawy raczy dać człowiekowi szczęście, by miłować i w miłości żyć. Albowiem obowiązek święty obrony kraju musi mieć pierwszeństwo przed wszystkimi innymi...

–Zdrajca Dydyński! – krzyknęła Konstancja, nie czekając końca listu. – Ty nie wrócisz! Bo jak tu przyjedziesz, to cię własnymi rękoma zabiję!

Nie słuchała tego, co czytał dalej Ligęza. Wyrwała mu pismo z ręki, porwała na drobne kawałki, zrzuciła z głowy wianek, a potem zakrzyknęła do czeladzi:

–Konia!

Nikt nie śmiał jej się sprzeciwić.

\* \* \*

Tymczasem pan Dydyński był już daleko za Lwowem. Jechał ze zbrojnym poczem sług, w towarzystwie Szawiły i Samuela Dwernickiego razem z panem Romanem Narymuntowiczem Różyńskim.

–Panie bracie – rzekł Różyński, wskazując buławą tam, gdzie wschodziło słońce – wielce rad jestem, że waszmość pan z nami wyruszasz. Sam nawet nie wiesz, mości Dydyński, jakie bogactwa w Moskwie czekają! Toż tam tylko iść i brać – dziewczki, młodycie, zamki, miasta, warowne grody, talary, ruble, cerkwie i bramy z kopułami szczyroziłotymi! Wszystko to będzie nasze!

–Chciałbym wierzyć waszmości!

–Chcesz, panie bracie, to się u cara wstawię i księciem cię zrobi. A co wolisz? Suzdał? Włodzimierz? Siergiejewsk? Sierpuchów? Wszystko tam do wzięcia, bo co tylko szabla polska zniesie, co ręką zagarniesz, to twoje!

–Jedźmy więc i dobierzmy się do Moskwicinów!

Wymienili z Dydyńskim spojrzenia pełne wzajemnego zrozumienia. A potem wyruszyli. Na wschód. Do Putywła, Czernihowa, Tuszyna, do Moskwy...

I znacznie dalej.

Na skraj świata.

# Koniec Przypisy

## Rozdział I

W klasztorze Ojców Bernardynów w Przeworsku... – większość miejsc opisanych na kartach *Diabła Łańcuckiego* to autentyczne zamki, dwory, miasta i klasztory, które do dziś oglądać można w województwie podkarpackim (czyli w dawnej Ziemi Przemyskiej i Sanockiej). Wspomniana budowla to oczywiście klasztor w Przeworsku, zbudowany około 1461 roku przez Rafała z Tarnowa i powierzony ojcom bernardynom w roku 1465.

a za cztery dni, na Święto Podniesienia Krzyża Pańskiego, zaczynał się jarmark... – Święto Podniesienia Krzyża obchodzone jest w Kościele katolickim co roku 14 września.

przez krużganki... – wirydarz każdego klasztoru okolony był krytymi dachem krużgankami, czyli podsieniami, z których prowadziły drzwi do poszczególnych sal obiektu.

ciężkimi zwojami żaglowego płótna... – w XVI i XVII wieku Przeworsk słynął z tkaczy, których wyroby trafiały na rynki Lyonu, Frankfurtu i Moskwy. W mieście produkowano obrusy, obicia, jedwabie, a także płótna żaglowe wywożone później na zachód.

namiestnika w najpodlejszej chorągwi wołoskiej... – zwykle chorągwiami jazdy narodowego autoramentu dowodzili rotmistrzowie lub porucznicy. Czasem jednak, jeśli któryś z nich piastował inne urzędy wojskowe, mianował namiestnika, który przewodził rocie w zastępstwie jej właściciela, względnie pomagał przy dowodzeniu. Należy też pamiętać, iż w armii koronnej istniała pewna ściśle przestrzegana hierarchia. Za najgodniejszych uważano oficerów i towarzyszy z chorągwi husarskich, potem szli ci z chorągwi kozackich, zwanych od połowy XVII wieku pancernymi, a dopiero na końcu – rotmistrzowie i porucznicy z oddziałów lekkiej jazdy zwanych chorągwiami wołoskimi lub tatarskimi.

Anna Łahodowska... – prawie wszyscy bohaterowie występujący w niniejszej książce to autentyczne postacie, które zasłynęły szeroko (aczkolwiek raczej ze złych uczynków) w dziejach Ziemi Przemyskiej i Sanockiej na początku XVII wieku. Wspomniana Anna Łahodowska, wywodząca się z hultajskiej i niebezpiecznej rodziny Łahodowskich, znana była w całym województwie ruskim jako prawdziwa wilczyca na włościach, zajeżdżająca sąsiadów, wiodąca spory sądowe i biorąca udział w licznych awanturach. Okres, w którym popełniała swawoleństwa, był wprawdzie nieco późniejszy od lat, w jakich zamyka się historia *Diabła Łańcuckiego*, uznałem jednak, że postać ta jest takim uosobieniem warcholstwa i swawoli, że pani Anna godna jest, aby zasiadać w łańcuckiej kompanii starego Stadnickiego.

Anna zamężna była w ciągu całego swojego życia trzykrotnie. Pierwszym jej mężem był Mikołaj Małyński, który jednak w roku 1627 zginął na wojnie ze Szwedami, drugim zaś Stanisław Kilian Boratyński, który miał taki sam awanturniczy charakter co i jego żona. Siedzibą Łahodowskiej była wieś w powiecie trembowelskim – Kałaharówka, szybko przemieniona w rozbójnicze gniazdo. Anna znana była w

okolicy jako herod-baba, kobieta przysparzająca wielkich kłopotów sąsiadom. Prowadziła zacięte wojny z Grzymałowem Ludzickich i Satanowem Sieniawskich, rozliczne procesy sądowe z krewnymi i rodziną. Dość niemiło postąpiła z Janem Brzuchowskim, deputatem na trybunał lubelski, który pozwał ją z powodu nieoddania długu i uzyskał na Annę zaoczny wyrok banicji. Straszliwa kobieta nasłała wówczas na jego gospodę dziesięciu hajduków, którzy opadli go w izbie i posiekali, krzycząc przy tym: „Otóż tobie banicja, banicja!”. Podczaszy koronny Mikołaj Sieniawski nie mógł w końcu dać sobie rady z niespokojną kobietą i zmuszony był zwoływać pospolite ruszenie, aby przeciwstawić się jej napaściom. Kilkakrotnie także oblegał ją w Kałaharówce, jednak bezskutecznie.

w Gelazyńce na lwowskim ratuszu... – Gelazyńką nazywano w XVII wieku najgłębszą, najgorszą podziemną celę pod ratuszem we Lwowie, do której wsadzano najzawziętszych i najbardziej zuchwałych łotrów, morderców i swawolników. W ich liczbie zaś Andrzeja Polickiego, znanego rozbójnika obwinianego o zabójstwo Stanisława Głębocznego.

Mikołaj z Radomia... – gwardian bernardynów przeworskich, który w roku 1593 ufundował organy w kościele Świętej Barbary.

Węgierski sabat... – sabatami nazywano w XVII wieku Szeklerów – węgierskich górali z Siedmiogrodu, których od czasów Stefana Batorego zaciągano chętnie na dwory w Rzeczypospolitej jako nadwornych żołnierzy i pacholców.

włosienicę i kukullę... – to oczywiście elementy stroju zakonnika – Włosienica to gruba i niewygodna szata wdziewana przez zakonników w celu umartwiania się, a kukulla to płaszcz noszony zwykle na habicie.

w kolczugach i karwaszach, futrzanych kołpakach; w bechterach nakrytych skórami lwów i lampartów... – kolczuga była w XVII wieku zbroją powszechnie używaną przez szlachtę i żołnierzy. Składała się ona ze splecionych metalowych kółeczek. Bechter z kolei był zbroją wykonaną z prostokątnych żelaznych płytek połączonych żelaznymi kółkami. Szlachta polska często zarzucała na zbroje skóry wilcze, lwie i tygrysie.

Jacek Dydyński – zwany Jackiem nad Jackami – postać autentyczna, syn stolnika sanockiego (zwany w Rzeczypospolitej stolnikowicem), pochodzący z Niewistki na północ od Sanoka. Jacek Dydyński, który często gości na kartach *Prawem i Lewem* Władysława Łozińskiego, był zajezdnikiem, czyli szlachcicem, który za stosowną opłatą gotów był urządzić zajazd na każdego. Dydyński służył niegdyś w chorągwiach lisowczyków. Nic więc dziwnego, iż w Ziemi Przemyskiej bano się go jak ognia. Wiadomo też, że miał kilku braci, wśród których wymieniani są m.in. Przeclaw, Andrzej, Zygmunt, Mikołaj i najmłodszy Łukasz – którego zresztą w roku 1629 bracia Dydyńscy porwali ze szkół w Sandomierzu i ograbili. Dydyński znany był ze swego honoru i fantazji – dlatego nawet dawny, XIX-wieczny historyk Łoziński pisze o nim z pewną sympatią. I to pomimo iż Jacek nad Jackami, podobnie jak wielu spośród panów braci z Ziemi Przemyskiej, służył przez pewien czas u Władysława i Zygmunta Stadnickich, synów okrutnego Stanisława Stadnickiego. Wkrótce jednak sprzykrzył sobie ich kompanię i przeszedł do ich wroga – Konstantego Korniakta. Potem służył

**Stanisławowi Krasickiemu, podczasemu łomżyńskiemu, który ubiegał się o starostwo po ojcu – Jerzym, uznanym za słabego na umyśle. W Boże Narodzenie 1637 roku Dydyński napadł ze swą czeladzią na Dolinę, doszczętnie złupił ją i splądrował. W roku 1639 wystąpił zbrojnie przeciwko kasztelanowi wyszogrodzkiemu Maciejowi Siecińskiemu, który usiłował zagarnąć dla siebie dobra, które należały wcześniej do Jerzego Krasickiego; potem zaś Jacek nad Jackami przystał do najzacieklejszych wrogów Stanisława Krasickiego – książąt Sanguszków, za co podczasy groził mu śmiercią. Dydyński przysłużył się następnie innemu synowi Jerzego Krasickiego – Adamowi. Miał on kłopot z niejakim Jakubem Kakowskim, który zagarnął jego matce wioskę. Dydyński szybko zorganizował wielki zajazd na Kakowskiego, który bronił się długo, aż w końcu uchodzić musiał ciężko ranny wraz z niedobitkami swoich dragonów. Jacek nad Jackami służył pomocą panom braciom w rozstrzyganiu wszelakich zajazdów i waśni, dopóki w roku 1649 nie zginął w bitwie z Kozakami pod Zborowem, walcząc w chorągwi powiatowej Ziemi Przemyskiej, pod komendą Zygmunta Przedwojowskiego. Więcej o jego wyczynach i przygodach przeczytać można w książce *Czarna szabla*.**

**Pan Trojecki... – Samuel Trojecki był stolnikiem przemyskim, człowiekiem mściwym i bezwzględny, którego powszechnie się bano. Nie lękał się go jednak Jan Ramułt, który już w rok po opisywanych wydarzeniach porwał mu synowicę, zajechał także włość rodową stolnika – Trójczyce, które złupił i ograbił. Trojecki znany był przede wszystkim jako ciemiężyciel chłopów, a kiedy poddani z królewskiej wsi Torki zaczęli odwoływać się przeciwko niemu do króla, porywał i więził ich w lochach, nasyłał na nich swoich hajduków i smagał różgami.**

**kijami go obić, jako uczynił pan Ostrowski... – Jerzy Ostrowski, zagniewany na woźnego, który doręczył mu pozew przy gościach, nakazał służbie bić go do omdlenia, potem strzelał do niego jak do celu, a zwłoki wrzucił do rzeki Zgniłej Lipy, krzyżąc: „Jużem wygrał i jużem liber, bom woźnego zabił!”. Z kolei Jan Hynek, do którego w roku 1588 przybył woźny z pozwem, kazał mu go zjeść, a gdy biedak się wzbraniał, wpychał mu papier szablą do gęby. Potem nakazał woźnego przywiązać do ogona końskiego i wywlec ze wsi.**

**in fundo... – łac. na dnie lochu.**

**koleśne pługi... – pług z początku XVII stulecia zaopatrzony był w dwa koła, skąd właśnie wzięła się jego nazwa.**

**rzeką szły komięgi i dubasy... – w XVII wieku transport wodny odgrywał podstawową rolę w gospodarce Rzeczypospolitej. To właśnie rzekami spławiano do Wisły – i dalej, do Gdańska oraz Królewca – zboże, drewno i towary, które przynosiły ogromne zyski szlachcie. Komięgi i dubasy były płaskodennymi statkami średniej wielkości, które mogły być używane do transportu nawet przy niskim poziomie wód. Zazwyczaj na każdy z nich można było załadować około 24-30 łasztów zboża (około 86 832 litrów). Statki te często rozbierano po dotarciu do Gdańska i sprzedawano na drewno.**

**sukni na fortugałach... – fortugałami zwano w dawnych czasach stelaże podtrzymujące spódnicę sukni składające się z trzciniowych obręczy wszytych w**

**plócienną spódnicę.**

**Miejże litość, panie Ramułt... – w postaci Ramułta połączyłem kilku przedstawicieli tego rodu – zarówno Jana, który porwał w 1608 roku synowicę Samuelowi Trojeckiemu, jak i Piotra, który trzymał zbójcką karczmę pod Hołuczkiem, często wyprawiał się na kupców, dopóki nie został schwytany przez podstarościego sanockiego Jana Pieniżka i osadzony w więzieniu na zamku w Sanoku.**

**Diabli kamień... – samotna skała stercząca z ziemi nieopodal miasta Lesko, we wsi Glinne. Według jednej z legend opowiadanych w mieście powstał on w ten sposób, iż diabeł zapragnął zniszczyć kościół leski, do którego co niedziela schodzili się pobożni mieszczanie. Porwał tedy ogromny głaz z Bukowego Berda, a potem chciał zrzucić go na świątynię. Traf jednak chciał, że kiedy dolatywał do Leska, nagle rozdzwonił się kościelny dzwon, a czart wypuścił kamień i uciekł. Głaz uderzył w ziemię, stając się leskim kamieniem.**

**Wedle drugiej legendy, opowiadanej głównie w Myczkowcach, niechętnych Lesku, kiedy zakładano miasto, nie było wielu chętnych, aby osiedlić się w tym miejscu. Diabeł postanowił zatem porwać mieszczan i sprowadzić do Leska. Jednak gdy schwycił pod Samborem jednego i niósł do Leska, zniecka zapiał kur, a czart wypuścił jeńca, który padł na ziemię i zmienił się w kamień. Zdesperowany diabeł za radą pewnej czarownicy porwał zatem maciorę, którą także niósł w szponach do miasta. I nagle znowu zdarzyło się nieszczęście – zapiał kur, a czart wypuścił świnię w tym samym miejscu co mieszczanina. Jednak zanim maciora spadła na ziemię, zdążyła się oprosić. Z tych zaś właśnie warchlaków wzięli swój początek lescy mieszczanie, tak nielubiani w Myczkowcach.**

**Lisko – obecnie Lesko, położone około 14 kilometrów na południowy wschód od Sanoka. Największe miasto na opisywanym terenie, nazywane często stolicą Bieszczadów.**

**wyglądający na Szota... – Szotami nazywano w dawnej Polsce emigrantów ze Szkocji, którzy często zajmowali się obwoźnym handlem.**

**nec Hercules contra plures... – łac. siła złego na jednego – znane przysłowie staropolskie, parafrazowane często jako: *I Herkules dupa, kiedy ludu kupa.***

## **Rozdział II**

**Werhowyna – tak nazywano w XVII-XIX wieku południowo-wschodnią, najwyższą część dzisiejszych Bieszczadów (tak zwane Bieszczady Wysokie), czyli Połoninę Wetlińską i Caryńską, oraz Bukowe Berdo ze szczytami Smerekiem, Tarnicą, Haliczem i Dwernikiem-Kamieniem. Pamiętać przy tym należy, że w XVII wieku nie wszystkie góry i przełęcze miały własne nazwy. Te, które udało się odnaleźć autorowi w dawnych zapiskach, dokumentach i księgach sądowych, zostały przedstawione w powieści w ich oryginalnym brzmieniu z XVI i XVII wieku. Czasem jednak dla lepszej orientacji w terenie pozostawiłem współczesne nazwy dla niektórych charakterystycznych gór i lasów dawnego Bieszczadu.**

**Zatańcujesz ty z nim po kiczerach i berdach... – w tym miejscu autor winien jest Czytelnikowi obszerne wyjaśnienie. W czasach, w których rozgrywa się akcja powieści, poszczególne charakterystyczne elementy Bieszczadów, grzbiety, szczyty,**

skały i przełęcze miały swoje lokalne określenia, które są pozostałością nazewnictwa z czasów osadnictwa wołosko-ruskiego na tym obszarze. Podobnie jak górale zamieszkujący Podhale i Beskid stworzyli własny system nazw określających poszczególne części Tatr, tak zamieszkujący Bieszczady w XVII wieku Łemkowie i Bojkowie mieli swoje własne nazewnictwo górskie. Ciekawe, iż przeszło ono także do ówczesnego języka polskiego, bowiem te wołosko-ruskie nazwy spotykamy również w dokumentach dotyczących rozgraniczenia wsi i włości. Jest to dowód na to, iż słownictwo bojkowsko-łemkowskie było używane przez szlachtę polską i ruską Ziemi Sanockiej.



**Aby zaś niepotrzebnie nie powiełać  
przypisów, prezentujemy w tym miejscu  
słownik nazewnictwa wołosko-ruskiego  
odnoszącego się do Bieszczadu:**

**Berdo** – starosłowiańskie słowo określające skały, skalistą górę, przepaść lub urwisko.

**Bereh** – strome zbocze lub brzeg doliny.

**Czerszla** – wyrąb lub wykarczowana polana.

**Dział, Dił** – długi grzbiet rozdzielający dwie doliny, wywodzący się prawdopodobnie od rumuńskiego słowa *deal*.

**Horb, Horbek** – polski *garbek* – niewielka górka lub wzniesienie.

**Kiczera, Kiczora, Kiczarka, Kiczar** – stroma góra pokryta lasem, z gołym wierzchołkiem.

**Łaz** – łąka górską położoną w lesie.

**Łuh** – podmokła łąka nad rzeką lub strumieniem.

**Magura** – rozległa, wysoka i odosobniona góra.

**Płaj** – górską ścieżką.

**Połonina** – góra z pastwiskami, wywodzi się od serbskiego *pianina*.

**Przysłup, Prislip** – obniżenie lub przełęcz w grzbiecie górskim. Wywodzi się od rumuńskiego *prislop* lub od słowiańskiego *preslop*.

**Rosocha** – miejsce rozejścia się ścieżek lub grzbietów górskich.

**Roztoka** – miejsce rozchodzenia się potoków.

**Ustrik** – miejsce, w którym łączą się dwa potoki lub rzeczki.

**Zawój** – pochodzi od ruskiego *zawij*, czyli zakręt.

**Żdżar, Pohar** – wypalony obszar w lesie.

**Wisielnik Horodyski** – wzgórze pomiędzy Hoczwią i Bachławą (na południe od Sanoka i Leska), na którym w dawnych czasach wieszano opryszków i beskidników, zwane również po prostu – Wisielnikiem. Prawdopodobnie w dawnych czasach na miejscu tym wznosił się słowiański gród. W 1647 roku stracono tu Kaspra Boryłę i Michnę Soczyna z Simkowej Woli (obecnie Wola Sękowa). Na Wisielniku wieszano zbójników aż do końca XVIII wieku.

**Łopinnik** – obecnie Łopiennik, góra znajdująca się na północ od Cisnej w Bieszczadach.

**Bieszczad** – najstarsza nazwa dzisiejszego obszaru wschodnich Karpat – Bieszczadów, która zachowała się w dawnych dokumentach, m.in. u Jana Długosza. W XV i XVI wieku mianem Bieszczadu (nie zaś Bieszczadów) określano cały graniczny grzbiet górski biegnący od dzisiejszej przełęczy Łupkowskiej aż po Tarnicę i Halicz, a nawet dalej.

**Łopinka** – obecnie Łopienka, nieistniejąca wieś niedaleko Łopiennika, na północ od Cisnej, jedno z najpiękniejszych miejsc w Bieszczadach. Łopinka została założona prawdopodobnie w pierwszej połowie XVI wieku w dobrach Balów (jest wzmiankowana po raz pierwszy w 1552 roku). Uległa całkowitemu zniszczeniu po II wojnie światowej, kiedy w 1946 roku wywieziono znaczną część mieszkańców do

**ZSRR. Pozostałe kilka rodzin wysiedlono w rok później na Ziemię Zachodnie.**

**We wsi pozostała murowana cerkiew pod wezwaniem św. Paraskewii zbudowana na początku XIX wieku. Do roku 1949 znajdował się w niej cudowny obraz Matki Boskiej Umilenia zwanej Łopieńską, który pojawił się w cerkwi w 1761 roku (obecnie znajduje się w Polańczyku). W związku z cudowną ikoną wielkiego znaczenia nabrały łopieńskie odpusty, organizowane dorocznie 13 lipca. Co roku zjeżdżały się tutaj tłumy pielgrzymów i kupców nie tylko z Bieszczadu, ale także ze Śląska, Małopolski, a nawet z Węgier.**

**W roku 1607 odpustów, ma się rozumieć, jeszcze nie było, a w świątyni nie wisiał cudowny obraz, ale z pewnością istniała tutaj drewniana cerkiew pod wezwaniem św. Paraskewii.**

**Hyrniacy – tak w XVII wieku nazywali się mieszkańcy wsi położonych u stóp bieszczadzkich połonin i na Zakarpaciu, których zwano także Werhowyńcami (od Werhowyny). Począwszy od XIX wieku, zaczęto określać ich mianem Bojków, trudno jednak stwierdzić, kiedy nazwa ta znalazła zastosowanie. Po raz pierwsze słowo Bojko pojawiło się w 1607 roku (sic!), jednak przez długi czas określano tym mianem ciężkiego, upartego wołu używanego w gospodarstwie. Stąd prawdopodobnie w XVII i XVIII wieku była to nazwa obraźliwa, której negatywne znaczenie zatarło się dopiero w XIX wieku. Sami zresztą Bojkowie określali siebie jako Hyrniaków – górniaków, górali lub Werhowyńców – od Werhowyny, najwyższej części Bieszczadów, którą zaludniali.**

**Do dziś nie jest pewne, skąd Bojkowie wzięli się w górach i jakie jest ich pochodzenie. Przyjmuje się, że wywodzą się oni z pasterskiej ludności wołoskiej przemieszanej z chłopami ruskimi i polskimi, a z czasem ulegli daleko posuniętemu zruszczeniu. Już w XVII wieku ich język był gwarą ruskiego, używali alfabetu cerkiewnego, a od czasu zaprowadzenia unii brzeskiej w znacznej większości byli wyznania greckokatolickiego, czyli unickiego. Bojkowie pojawiali się głównie we wsiach zakładanych na terenie Bieszczadów od XV do XVII wieku przez rodziny Balów, Kmitów, a także wielu innych, pomniejszych polskich, ruskich i węgierskich rycerzy i panów. Poznając jednak historię tej grupy, należy pamiętać, że w XVI i XVII wieku Bojkowie stykali się na co dzień ze szlachtą polską – wszak wszystkie wsie na połoninach były albo własnością herbowych posesjonatów, albo też należały do któregoś z możnowładczych rodów Ziemi Sanockiej. W każdej wsi bojkowej w 1607 roku znajdował się zatem przynajmniej jeden dwór szlachecki, w którym zamieszkiwał dzierżawca lub właściciel. W związku zaś z rozdrobnieniem włości często po wioskach stały dwa i trzy dwory, w miarę jak wraz z rozradzaniem się szlachty ich dobra ulegały coraz większemu podziałowi. Stąd właśnie w Bieszczadach wzięło się takie mrowie drobnej szlachty zwanej zaściankową lub chodaczkową, posiadającej cząstki wsi, a często gospodarującej na roli jak zwykli chłopci.**

**Dziś Bojków już nie ma. Ich wsie pozarastały lasem, poszły w zapomnienie. Społeczność ta uległa całkowitemu zniszczeniu po II wojnie światowej, gdy najpierw wywieziono część z nich do ZSRR, a potem – w ramach Akcji Wisła – na Ziemię**

**Zachodnie.**

**Kamień – obecnie Durna, szczyt położony na północ od Łopiennika, nieopodal Jabłonek i Łopienki.**

**Berdo Falowej – obecnie Falowa – lesisty bieszczadzki szczyt położony na wschód od Cisnej, w pobliżu rzeki Solinka.**

**Ciasna – dawna nazwa dzisiejszej Cisnej, miasteczka położonego na południe od Baligrodu, w dolinie Solinki, lokowanego przez Balów w początkach XVI wieku na prawie wołoskim. W XVII wieku przechodził tędy trakt handlowy z Baligrodu przez Cisną do Roztok Górnych, którym przewożono dużo zacnego węgryzna znikającego później w przepaścistych gardzielach szlachty małopolskiej.**

**Widok z Łopinnika był niezwykle... – okolicę Łopiennika odtwarzał autor na podstawie wspomnień Zygmunta Kaczkowskiego, który w roku 1833 wspólnie ze swoim ojcem, Sewerynem Goszczyńskim i Wincentym Polem wyprawili się na tę górę, aby obejrzeć wschód słońca. Opisy przyrody dotyczą zatem okresu późniejszego niż przedstawione w niniejszej książce, jednak należy pamiętać, że w ciągu ponad 200 lat dzielących rok 1607 od wyprawy Kaczkowskiego w Bieszczadach zmieniło się raczej niewiele.**

**Wetłynka – obecnie Wetlinka lub Wetlina, rzeka biorąca swój początek na wschód od Rabiej Skały w głównym, granicznym paśmie bieszczadzkich gór, przepływająca przez Wetlinę, Kalnicę i nieopodal Łopienki łącząca się z Solinką. To właśnie na Wetlince znajdują się sławne Sine Wiry – kamienne progi, przez które rzeka przeciska się w wąskim wąwozie.**

**Solanka – obecnie Solinka. Bieszczadzka rzeka biorąca swój początek nieopodal Roztok górnych i łącząca się z Wetlinką w pobliżu Łopienki i Polanek.**

**zajazdy Rosińskich... – rodzina Rosińskich cieszyła się na początku XVII wieku wyjątkowo złą sławą, a ich wieś – Teleśnica Oszwarowa, zwana wcześniej Teleśnicą Fedorową, położona dzisiaj po wschodniej stronie Zalewu Solińskiego, uważana była za zbójckie gniazdo. Pierwszej ze zbrodni Rosińscy dokonali w roku 1607, kiedy zabili sąsiada, niejakiego Wojciecha Kroguleckiego. Podkomorzy sanocki Piotr Bal wezwał wszystkich panów braci dla zastanowienia się, co począć z Rosińskimi. Jednak nikt w Sanockiem nie myślał o tym, aby wystąpić zbrojnie przeciwko hultajskiej rodzinie. Rosińscy budzili strach, a do obrony wykorzystywali swoich poddanych. Chłopi z Teleśnicy ćwiczeni byli w walce, uzbrojeni w kosy, siekiery i koły, a nawet w szable i rusznice. Rosińscy zaprowadzili we wsi wojskową organizację – gdy tylko ktoś usiłował zajechać Teleśnicę, straż ostrzegała mieszkańców, bijąc w dzwony, a chłopi chwyтали za broń i śpieszyli bronić dworu.**

**Nie wiadomo do dziś, ilu panów braci padło ofiarami Rosińskich. W roku 1611 usiłowali oni w podobny sposób co Kroguleckiego pozbyć się Krzysztofa Głowy z Nowosielec i w tym celu zaprosili go w gościnę. Głowa był jednak bardziej czujny niż Krogulecki, być może też przyjechał z liczniejszą czeladzią. W każdym razie w Teleśnicy doszło do wielkiej zwady i strzelaniny, a Głowa ledwie wyrąbał się z zasadki.**

**Dopiero w roku 1616 Jan Bal wspólnie z synem zamordowanego Kroguleckiego**

zebrali szlachtę i urządzili wyprawę na Teleśnicę. Po krwawej walce zdobyli zbójeckie gniazdo i schwytali żywcem jednego z braci – Stanisława. Bal zabrał go ze sobą do Daszówki, gdzie mieszkali jego znajomi – Leszczyńscy, i zamierzał odstawić go do starosty. Jednak watażce udało się umknąć, korzystając z nieuwagi pijanej służby.

wojnę Drohojowskiego ze Stadnickimi... – Jan Tomasz Drohojowski, referendarz koronny, wszczął wielką wojnę ze Stanisławem Stadnickim z Leska (nie był to oczywiście osławiony Diabeł Łańcucki, ale jego krewny). Powodem był zaś fakt, iż Stanisław Tarnawski, chorąży sanocki, znany warchoł, banita i infamis, który winien był Drohojowskiemu pieniądze, sprzedał wszystkie swoje włości Stadnickiemu. Długotrwały konflikt, w czasie którego werbowano najemnych żołnierzy, urządzano zajazdy i zasadzki, skończył się na jesieni 1605 roku, gdy po wielu bitwach i zwadach 19 listopada w Przemyślu zginął w niejasnych okolicznościach referendarz koronny Jan Tomasz Drohojowski.

Kolasa – czterokołowy pojazd, który mógł służyć zarówno do przewożenia ludzi, jak i towarów.

nie był znany jako magnifkus czy generosus, nie był capitaneusem lub palatinusem – mowa o łacińskich tytułach szlachty polskiej, które w oficjalnej korespondencji zarezerwowane były dla szlachty posesjonatów i magnatów, a nie dla gołoty (pomimo iż teoretycznie rzecz biorąc, wszyscy szlachcice byli równi).

*Magnificus* znaczyło wielmożny i było często stosowane w listach między szlachtą, *generosus* – urodzony, pisali się zwykle posesjonaci i możni panowie, w przeciwieństwie do szlachty zaściankowej i hołoty, dla której zarezerwowany był zwykły tytuł *nobilis* – szlachetny.

*Capitaneus* to łaciński odpowiednik polskiego tytułu starosty, przy czym pamiętać trzeba, iż choć tytuł ten zasadniczo należał się starostom grodowym (*capitaneus cum iurisdictione*), a więc urzędnikom ziemskim pilnującym bezpieczeństwa w powiecie, lub starostom generalnym, czasami byle dzierżawca czy arendarz kazał tak tytułować się swoim chłopom. Doszło do tego, że starostą nazywali poddani lada karbowego albo ekonoma, byle tylko wywodził się z chodaczkowej szlachty. Oczywiście starostami nazywali się także ci, którzy na mocy nadania królewskiego dzierżyli starostwa niegrodowe (*capitaneus sine iurisdictione*) – a więc duże klucze wsi królewskich.

*Palatinus* był z kolei łacińskim określeniem urzędu wojewody – wysokiego dygnitarza Rzeczypospolitej dowodzącego pospolitym ruszeniem podległego mu województwa i wchodzącego w skład senatu.

golotae et odardi – zgołociali i odarci; w takiej to zabawnej łacinie akta sądowe dawnego województwa ruskiego określają ubogą, zaściankową szlachtę.

na ubiegłorocznym okazowaniu szlachty sanockiej – okazowania były po prostu corocznymi przeglądami i lustracjami szlachty z danej ziemi lub powiatu, na które pod srogimi karami mieli stawać wszyscy szlachetnie urodzeni Polacy lub Rusini z bronią, końmi i zbrojną czeladzią. Często okazowania poprzedzały zwołanie pospolitego ruszenia. Drobną szlachtą, która obawiała się, aby nie wzięto ich za chłopów, ściągała na nie tłumnie, aby zademonstrować, iż należy do urodzonych

panów braci. Oczywiście rzadko którego z nich stać było na szablę, zbroję i konia. Szaraczkowie potrafili przyjść boso, w postołach z lipowego łyka, z kijami i rusznicami na ptaki. *Szlachetny Iwan Zapłatyński popisał się z ptaszniczką i siekierka* – czytamy w lwowskich regestrach okazowania – *szlachetny Fedor Dobrowlański z Bratkowic był personaliter na popisie pieszko z kijem; szlachetny Roman Hoszowski personaliter pieszko z kijem.*

Szczytem pomysłowości wykazywali się Mazurzy, którzy zjeżdżali się na okazowania i elekcje na drabiniastych wozach, z głowami przystrojonymi świerkowymi łubami mającymi udawać szyszaki i hełmy.

Roczki ziemskie – terminy, w których zbierał się sąd ziemski rozpatrujący i wydający wyroki w sprawach cywilnych dotyczących szlachty danego powiatu czy ziemi.

Zanim dojdzie do inductów i replik, będą po drodze jeszcze dwie dylacje... – indukta i repliki były w staropolskim prawie karnym ważnymi elementami procesu przed sądem ziemskim (rozstrzygającym w sprawach cywilnych) lub grodzkim (sprawy karne). W czasie inductów strona wnosząca sprawę (powód) przedstawiała sądowi fakty oraz przepisy prawne, na podstawie których wystąpiła z roszczeniami wobec pozwanego. Po ich zakończeniu sąd zarządzał replikę – w czasie której pozwany mógł odpowiedzieć na te zarzuty i przedstawić swoją wersję wydarzeń. Dylacja była z kolei odroczeniem procesu, o które mogła prosić dowolna ze stron, na przykład ze względu na chorobę, służbę publiczną czy dla zgromadzenia nowych dowodów.

Intromisja – kiedy sąd wydał już wyrok korzystny dla którejś ze stron, zarządzał intromisję, czyli prawne wwiązanie (wowiedzenie) zwycięzcy do spornego majątku, którą przeprowadzał woźny w asyście świadków. Jeśli strona przegrywająca proces nie chciała jednak oddać spornej majątności i na przykład przepędzała woźnego, sąd zarządzał rumację, a gdy i ta nie odniosła skutku – banicję – zezwalał zwycięzcy w procesie albo staroście grodowemu na zajęcie przedmiotu sporu siłą.

Stuposiana figlującego z nagą Sianką... – jeśli wierzyć podaniom i opowieściom bieszczadzkim, Stuposian był pradawnym pogańskim bogiem wód i deszczy. Sianki zaś były jego miłośnicami.

### Rozdział III

W sali rycerskiej na zamku w Łańcucie – zamek, w którym rezydował Stanisław Stadnicki zwany Diabłem, nie jest oczywiście związany w żaden sposób z dzisiejszą perłą tego miasta – pałacem Lubomirskich i Potockich, obecnie znanym w całej Europie unikalnym zespołem architektonicznym. Pałac ten powstał już po zakończeniu rozbójniczej działalności Stanisława Diabła Stadnickiego i jego synów – Zygmunta, Władysława i Stanisława zwanych Diablętami, kiedy miasto razem z pobliskimi wsiami kupił Stanisław Lubomirski.

Stary zamek Diabła, który spłonął w czerwcu 1608 roku i nie został odbudowany, znajdował się na północ od fary miejskiej, mniej więcej pomiędzy ulicami Dominikańską, Dolniańską i Łysą Górą – ta ostatnia nazwa wywodzi się od wzgórza, na którym został wzniesiony. Był to zamek murowany, częściowo drewniany,

zbudowany jeszcze przez poprzednich właścicieli miasta – Pileckich, który wszakże znacznie rozbudował Stanisław Stadnicki. Nie zachowały się do dziś żadne plany ani widoki tej budowli, trudno zatem domniemywać, jaki był jej wygląd i z jakich zabudowań się składała. Po spaleniu i złupieniu zamku Stadnicki przeniósł żonę i dzieci do Wojutycz, a jego synowie zbudowali obronny dwór w miejscu, w którym znajduje się dzisiaj sławny pałac Lubomirskich.

Co działo się między nimi w temacie ars amandi – opisywana scena publicznych pokładzin karłów jest autentyczna, tyle tylko, że miała ona miejsce na dworze Stanisława Koniecpolskiego, hetmana wielkiego koronnego, w roku 1643, a jej świadkiem był Albrycht Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielki litewski, o czym wspomina w swoim pamiętniku. *W czasie tej uroczystości – pisze – odbyły się przy nas pokładziny [karłów]. Co potem odbywało się między nimi, śmiech przeszkadza pisać. Kto nie wierzy, że nasi bogobojni przodkowie zabawiali się, oglądając na żywo seks karzełków, tedy niechaj zajrzy do: Albrycht Stanisław Radziwiłł *Memoriale rerum gestarum in Polonia*, Wrocław 1972, tom 3, strona 142. Radziwiłł pisał ten pamiętnik po łacinie, ale proszę się nie bać, bo wersja, do której daję przypis, została przetłumaczona na polski.*

Tarnawski opierał [...] głowę o mur, otwierał przepaścistą gardziel – w ten sposób właśnie postępował pisarz ziemski lubelski Konrad Badowski w drugiej połowie XVIII wieku, który, jak wspomina Kajetan Koźmian, był tak wielkim pijakiem, że gdy przestawał władać rękoma, stawał pod ścianą, *otwierał tylko gębę, a przychodzący wcedzali mu kielichy w gardło, a trunek bulgocąc jak w przepaść przez gardło przelewał się. Szczególna rzecz, że tak z parę godzin stojąc oparty o ścianę, po tym jak ze snu ocucony chodził, śpiewał i całe towarzystwo przetrwał.*

A jednocześnie oznajmiam, że ja, urodzony Stanisław Stadnicki... – to wszystko autentyczne słowa Stanisława Stadnickiego z Łańcuta, fragmenty mowy, którą wygłosił w roku 1606, w czasie rokoszu wojewody Zebrzydowskiego, do szlachty zgromadzonej pod Sandomierzem.

Otóż każę związać i załadować na wóz parę tuzinów... – pomysł na takie odszkodowanie pochodzi z XVIII wieku, a jego autorem był niejaki Mikołaj Bazyli Potocki, starosta kaniowski, awanturnik i szelma, który słynął z prymitywnego okrucieństwa, a także zamiłowania do niezwykle rozrywek. Należały zaś do nich: batożenie chłopów, Żydów i drobnej szlachty, a zwłaszcza swoich dzierżawców. Gdy odwiedzał oficjalistów dworskich, na urzędników i ekonomów padał blady strach. Starosta miał bowiem zwyczaj, iż skrupulatnie sprawdzał wszystkie rachunki. W tym samym czasie zaś przed drzwiami kancelarii stawali kozacy z nahajami, gotowi sypać plagi, jeśli Potocki odkryłby jakieś nieprawidłowości. Gdy jednak wszystko przebiegało po myśli starosty, zapraszał wszystkich na obiad, gdzie każdy mógł opić się jak bąk.

Pewnego razu Potocki zabił Żyda w miasteczku należącym do sąsiada. Gdy ów domagał się zadośćuczynienia i chciał pozwać starostę do sądu, Mikołaj nakazał połapać w swoich dobrach Żydów, a związanych wrzucić na wielki drabiniasty wóz i odprowadzić go przed oblicze sąsiada. Tam słudzy wyrzucili na ziemię cały ładunek i

przekazali, że *nasz pan kłania się jegomości i za jednego zabitego Żyda przysłał czterdziestu*. Powiadano też, że starosta Mikołaj uwielbiał zabawy z babami i chłopami. Kazał im wchodzić na drzewa i kukać jak kukułki, po czym strzelał im w zadek śrutem. Gdy baby spadały – starosta nie posiadał się ze szczęścia i radości.

Potocki uwielbiał także zwady i bójkę z drobną szlachtą. Biednych szaraczków kazał smagać nahajami, bić do krwi. Jednak – co przyznawali wszyscy – płacił zawsze pobitym hojnie basarunki. Często zdarzało się zatem, że drobni szlachetkowie sami prowokowali z nim burdy, aby otrzymać sowite wynagrodzenie. Potocki sam powiedział ponoć kiedyś po rusku pewnemu szukającemu z nim zwady szlachcicowi: *ne ma hroszi, ne budu byty* (nie ma pieniędzy, nie będę bił).

Pod koniec życia Potocki osiadł na pokucie u bazylianów w Poczajowie, nawrócił się, a po jego śmierci grób starosty był nawet celem pielgrzymek – jako mogiła człowieka słynącego z wielu cnót.

*Illustis* – łacińska wersja polskiego tytułu przysługującego magnatom – *Illustis et Magnificus* – Jaśnie Oświecony.

jako kurki gmerzą, gąski gągają – to oczywiście fragment *Żywota człowieka poczciwego* (Księga wtóra, Kapitulum I, 30 Lato gdy przydzie, co z nim czynić) Mikołaja Reja z Nagłowic, jednego z pierwszych poetów piszących po polsku, kalwina i zwolennika reformacji, którego pisma i wiersze – choćby z racji wspólnoty w wierze – Stanisław Stadnicki musiał znać bardzo dobrze.

Kaduk – kadukiem nazywano w XVII wieku prawo zwane *ius caducum*, orzekające, iż połowa majątku człowieka, któremu udowodniono nieprawne podawanie się za szlachcica, przypadła królowi, a połowa delatorowi – czyli oskarżycielowi. *Na ius caducum* – pisze o tym Władysław Łoziński w *Prawem i Lewem* – *nie potrzeba było zresztą wyroku sądowego, wydawał te dekryty król, a raczej kancelaria królewska z bezprzykładną zaprawdę łatwością czy lekkomyślnością. Takie dekryty nie miały realnej mocy, były one asygnatą na skórę niedźwiedzia, który jeszcze zdrów po lesie chodził*. Jeśli nawet zatem ktoś uzyskał na znienawidzonego sąsiada opisywany dekret, musiał go jeszcze wyprocesować w sądach, a zwykle po uzyskaniu wyroku samemu usunąć skazanego z dóbr. W Rzeczypospolitej nadzwyczaj trudno jednak było udowodnić komuś nieprawne podawanie się za szlachcica, a także przejąć dobra takiej osoby. Wbrew temu, co można by sądzić, przypadki nieprawego wślizgiwania się plebejuszy – mieszczan i chłopów – w szeregi stanu szlacheckiego były bardzo częste i ocenia się, że około 20-30% drobnej szlachty nie miało żadnych podstaw do pieczętowania się herbem i klejnotem. Dowodem na to jest choćby księga *Liber generationis plebeorum*, zwana w skrócie *Liber chamorum*, napisana przez Waleriana Nekandę-Trepkę, który spisał w niej kilka tysięcy ludzi podających się nieprawnie za szlachciców.

Jarmark na Rusi Czerwonej był bowiem dziki, wesoly, swawolny – opis jarmarku w Dynowie to tak naprawdę uzupełniony o dodatkowe szczegóły historyczne opis odpustu w Łopience w drugiej połowie XVIII wieku, który znaleźć można w powieści *Maż szalony* Zygmunta Kaczkowskiego, zwanego w XIX wieku bardem sanockim. Kaczkowski w latach 1844-1846 mieszkał w Bereźnicy Wyżnej należącej do jego ojca,

a sławę przyniosły mu powieści historyczne rozgrywające się w XVIII wieku w Bieszczadach. Znał doskonale realia ówczesnej Ziemi Sanockiej zarówno z własnego doświadczenia, jak i opowieści ojca oraz sąsiadów. Był autorem powieści i opowiadań, takich jak *Murdelio*, *Olbrachtowi Rycerze*, *Gniazdo Nieczujów*, *Grób Nieczui*, a także *Bitwy o Chorążankę*, w których opisywał barwne czasy szlachty polskiej w ostatnich latach pierwszej Rzeczypospolitej. Gdy w roku 1863 w Królestwie Polskim wybuchło powstanie styczniowe, Kaczkowski okazał się szpiclem i sprzedawczykiem, który doprowadził do rozbicia Małopolskiej organizacji spiskowej i unicestwienia przygotowywanego zrywu niepodległościowego w zaborze austriackim. Został też skazany przez tajny sąd powstańczy na utratę czci i banicję. Dlatego właśnie pozwoliłem sobie potraktować literacką spuściznę po nim jako kaduk po sprzedawczyku narodu polskiego.

Rusnacy, czyli Koroliwcy, jak nazywano ich ze względu na fakt, iż mieszkali we wsiach będących własnością królewską, znani byli od XIX wieku jako Łemkowie. Nazwa ta pochodzi prawdopodobnie od przysłówka *lem* (tylko lub albo). Początkowo mianem tym określali Rusnaków Bojkowie, później weszło ono do powszechnego użycia. W literaturze nazwę Łemkowie spotyka się po raz pierwszy w roku 1834, a do jej upowszechnienia przyczynił się Oskar Kolberg. Łemkowie ponieśli niepowetowane straty w wyniku Akcji Wisła, gdy większość z nich wysiedlono z Bieszczadów i Beskidów na Ziemię Zachodnie. Dziś w Polsce mieszka ich około 5-6 tysięcy, choć sami Łemkowie zawiązują tę liczbę nawet do 60 tysięcy. Znaczna część z nich powróciła jednak w latach pięćdziesiątych do swych domostw i do dziś żyje we wsiach nad Osławą i w Beskidzie.

Komącza – dawna nazwa Komańczy – dużej wsi położonej w województwie podkarpackim, na południe od Sanoka i na zachód (niedaleko) od Baligrodu. To właśnie tutaj w latach 1955 – 56 w klasztorze Sióstr Nazaretanek internowany był prymas Stefan Wyszyński.

Byli Lachy i Rusini z Doliny i Pogórza... – stosowanie jakichkolwiek kryteriów narodowościowych i określanie chłopów z Pogórza mianem Polaków czy Ukraińców jest kompletnie nieuzasadnione, gdyż podziały społeczne nie przebiegały wówczas wedle dzisiejszych kryteriów. W praktyce w Ziemi Sanockiej i częściowo w Przemyskiej mieszały się kultury i konfesje. Zarówno chłopci pochodzenia etnicznie ruskiego (o ile w ogóle można mówić o etnicznym pochodzeniu kogoś w XVII wieku), jak i polskiego mieszkali w podobnych warunkach, używali podobnego dialektu polsko-ruskiego, wznosili takie same chaty i budynki gospodarskie. Dlatego etnografowie przyjmują dziś, że należeli oni do grupy tzw. Pogórczan, obejmującej zarówno ludność prawosławną, jak i katolicką. Teoretycznie pewnym kryterium narodowościowym mogłaby być religia – chłopci, którzy chodzili do kościoła, byli zazwyczaj pochodzenia polskiego, a ci, którzy modlili się w cerkwi – ruskiego. Jednak wszystko to zmieniło się w momencie wprowadzenia unii brzeskiej w 1596 roku, gdy katolik mógł bez przeszkód chadzać do cerkwi, a prawosławny do kościoła, modlić się i przyjmować sakramenty. Jedyne zatem kryterium podziału ówczesnych mieszkańców Ziemi Sanockiej przebiegało po liniach stanowych, co



znaczy, że funkcjonował podział na chłopów, mieszczan i szlachtę, przy czym większość tej ostatniej – nawet pochodzenia ruskiego – była już mocno spolonizowana.

**plebeiae conditionis** – łac. stanu plebejskiego.

**Amazonum more stricta cum framea** – łac. na sposób Amazonek, z dobytym mieczem. W taki sposób opisują akta sądowe województwa ruskiego Marynę Winnicką, z domu Dziusankę, która chadzała w męskim stroju, jeździła konno jak kozak, umiała się bić na pałasze i brała udział w licznych zwadach swego męża. W tym także w zajeździe na Winniki i usieczeniu tam Fedorka Winnickiego, dokąd w 1650 roku rzeźony Fedorko uszedł z czeladzią po splądrowaniu należącego do Maryny i jej męża Uroża. Nadmienić zaś należy jako ciekawostkę, że gdy Fedorko plądrował Uroże, nakazał czeladzi śpiewać ruskie kolędy, aby zagłuszyły jęki bitych i grabionych mieszkańców.

**Ternka** – dzisiejsza Terka, wieś nieopodal jeziora Solińskiego, jedna z najstarszych w Bieszczadach, założona przez Balów przed 1463 rokiem. Prawdopodobnie był tu kiedyś prawosławny monastyr.

**Jotryłów** – dawna nazwa Witryłowa, wsi leżącej mniej więcej pomiędzy Dynowem a Sanokiem, w dzisiejszym województwie podkarpackim.

**Wilkowyja** – dziś Wołkowyja, wieś nad jeziorem Solińskim, lokowana przez Balów około połowy XV wieku, której pierwszymi mieszkańcami byli, cytując dawne akta: *kniaź Petrus, Vaysko Dzurdz, Michael filius Costh i Clysz*.

**Stoi jeszcze u was kościół?** – wbrew temu, co można by sądzić, w Bieszczadach było kilka kościołów katolickich. Poza świątyniami w Hoczwi zaliczyć można do nich na przykład drewniany kościółek w Terpiczowie (obecnie Średnia Wieś na południowy wschód od Sanoka). Reszta katolików modliła się w świątyniach unickich.

**Agra** – Eger, Erlau, miasto w północnych Węgrzech, zdobyte przez Turków w 1596 roku na skutek zdrady załogi.

pognali do Krymu, do Gródka – czyli do miasta Kale, zwanego także Gródkiem Karaimskim, dokąd Tatarzy spędzali zwykle swoich jeńców zdobytych na wyprawach wojennych. Dzięki pośrednictwu Karaimów przeprowadzano tutaj wykupy jeńców.

**Spędziłem na nich więcej jak dwadzieścia lat!** – choć może się to wydawać niemożliwe, jednak byli jeńcy, którzy potrafili wytrwać na galerach nawet znacznie dłużej. Na przykład kiedy polskie poselstwo bawiło w Konsytantynopolu w 1640 roku, zgłaszali się do niego szlachcice, którzy całe swoje życie spędzili przykuci za wiosłem. *Po obiedzie beli u Jmci z galer dwa Polaków – niejaki jeden Górski, szlachcic i Słomka. Także Polacy, którzy od trzydziestu Górski, a Słomka od czterdziestu lat – robią na galerach. [...] Służyli oba po usarsku, Górski na 4 a Słomka na 3 konie z Potockiem, których pogromieli beli Tatarowie, pogromiwszy poprzedali w Carygradzie na galery* – pisze Zbigniew Lubieniecki w *Diariuszu drogi tureckiej* (w: *Trzy relacje z polskich podróży na wschód muzułmański w pierwszej połowie XVII wieku*, Kraków 1980).

**Sinan pasza** – wojowniczy i agresywny wielki wezyr turecki, który kilkakrotnie

odsuwany był od władzy i kilkakrotnie do niej wracał dzięki sprytnym intrygom politycznym. W roku 1590 namawiał sułtana do wojny z Polską, a władca zażądał wówczas, aby Rzeczpospolita przyjęła islam i zapłaciła Wysokiej Porcie haracz. Na szczęście, jak to zwykle u Turków bywało, były to tylko bujdy i bajania.

#### Rozdział IV

sprężają odrabiać trzy dni – w XVII wieku w dobrach szlacheckich obowiązywały dwa rodzaje pańszczyzny, którą świadczyli chłopci na rzecz dziedzica lub dzierżawcy wsi. Pańszczyzna sprężajna (ciągła) oznaczała, iż chłop pracować musiał na pańskim polu z własnym pługiem oraz zaprzęgiem wołów, i obowiązywała przede wszystkim zamożnych gospodarzy (kmienci) gospodarujących na łanach ziemi. Z kolei pańszczyzna piesza świadczona była przez mniej zamożnych gospodarzy – zagrodników i komorników, i zasadzała się na wykonywaniu robót polowych bez udziału własnych zwierząt pociągowych.

plebeiae conditionis et ignobiles – łac. stanu plebejskiego i nieszlachetni.

łan – w dawnej Polsce istniało kilka jednostek na określenie powierzchni. Łan królewski stary równy był ośmiu łanom frankońskim, a obok niego istniał jeszcze łan królewski wójtowski mający trzy włóki chełmińskie, łan królewski sprawdzony i królewski hybernowy. Aby dopełnić całości, nadmieniamy jeszcze, że stosowano tak zwane łany frankońskie – zwykle i większe, a także łan kmiency, także większy i mniejszy. Różnice pomiędzy nimi bywały znaczne, bo łan królewski stary miał 120 morgów, a kmiency tylko 12, i o ten właśnie łan idzie Zegartowi. Przeliczając to na dzisiejsze miary powierzchni, łan kmiency miał w zależności od regionu Polski od 7 do 17 hektarów.

że są nobiles, a nie pocziwi – w dawnej korespondencji i dokumentach szlachcic miał zawsze przydomek *nobilis* – szlachetny, albo urodzony (*generosus*), natomiast chłop pracowity albo uczciwy. Mieszczanie pisali się zwykle sławetny, czasem łaskawy.

góra szubieniczna na Posadzie Liskiej – wzgórze, na którym w dawnych czasach wznosiła się szubienica używana do końca XVIII wieku. Jeśli wierzyć opowieściom bieszczadzkim spisany przez Andrzeja Potockiego (*Księga Legend i opowieści bieszczadzkich*, Rzeszów 2006), po raz ostatni powieszono na niej kilku Cyganów podejrzewanych o kradzież koni.

Otryt – obecnie Otryt, zalesiony grzbiet bieszczadzki ciągnący się po północnej stronie Sanu, od Smolnika do Terki i Bukowca.

Zawój – nieistniejąca dzisiaj wieś w Bieszczadach nad Wetlinką, na północny wschód od Cisnej.

Chmel – dzisiejszy Chmiel, wieś w Bieszczadach nad Sanem, zniszczona w czasie Akcji Wisła i zaludniona na nowo po 1973 roku, położona pomiędzy Otrytem a Połoninami.

Verbum nobile debet esse stabile – łac. słowo szlacheckie winno być dotrzymane.

Ja, Stanisław Stadnicki ze Żmigrodu, a na Łańcucie starosta zygwulski... – wyjątki z autentycznej odpowiedzi Stanisława Stadnickiego danej Konstantemu Korniaktowi w 1605 roku w Lublinie, po przegranej sprawie w trybunale o zwrot pożyczek

**zaciągniętych przez Diabła pod zastaw Łańcuta.**

**Egzercerunki – łac. ćwiczenia żołnierskie.**

## **Rozdział V**

**Akcesoria – pod tym terminem rozumiano w dawnym prawie ziemskim wszystkie sprawy poboczne, które należało rozstrzygnąć przed rozprawą główną – na przykład wykluczenie bądź pozostawienie ważnego świadka.**

**z tych pół opryszków, pół chłopów, z wójtów strwiążkich nieodrabiających żadnych powinności, z kniaziów, krajników... – większość wsi w Bieszczadach zakładana była nie na prawie niemieckim – jak wioski w Małopolsce – ale na wołoskim, które lepiej sprawdzało się na terenach górskich, mających mniej urodzajne gleby. Chłopi we wspomnianych wioskach nie musieli odrabiać pańszczyzny, płacili tylko czynsze i składali daniny wobec dworu. Korzystali także z własnego samorządu. Zasadźca, który na prawie niemieckim zostawał wójtem (sołtysem), we wsiach na prawie wołoskim zwany był kniazem. Z kolei grupa wsi tworzyła kres lub krainę zarządzaną przez wojewodę zwanego także krajnikiem. Chłopi sprawujący te godności cieszyli się wolnością osobistą i często rekrutowali się z nich przywódcy rozbójniczych band – beskidników, pochodzących z polskiej strony gór, lub tołhajów i opryszków – zbójników węgierskiego i słowackiego pochodzenia.**

## **Rozdział VI**

**Deszcz przestał siać, kiedy dojechali do drewnianego mostu wiodącego ku zamkowej bramie – z zamku w Sanoku, na którym mieścił się urząd grodzki, ocalał dziś tylko główny budynek, zdewastowany i przebudowany w XIX wieku przez Austriaków. Wiadomo, że miał on wieżę, której fundamenty odkopano niedawno w czasie badań archeologicznych, okolony był murem, a główny budynek składał się z trzech skrzydeł – północnego, południowego i wschodniego, z których do chwili obecnej przetrwało jedynie wschodnie. Do zamku wjeżdżało się w XVII wieku przez zwodzony most i budynek bramny zwieńczony dwiema wieżami.**

**Aleksander Sienieński – postać autentyczna; okrutnik, zwyrodnialec, jakiego trudno szukać byłoby między najgorszymi warchołami i hultajami. Wszystkie jego złe uczynki wspomniane w niniejszej książce są prawdziwe, choć dotyczą czasów nieco późniejszych, a mianowicie lat dwudziestych XVII stulecia. Jedną z głośniejszych zbrodni Sienieńskiego było zabójstwo Andrzeja Rusieckiego, którego Aleksander nakazał schwytać w gospodzie w Pomorzanach, wywlec na ulicę i obić przez czeladź. Następnie zaprowadził go do swego zamku i w ustronnej komnacie nakazał dać mu wina, aby się pokrzepił przed śmiercią. Ledwie Rusiecki upił trochę trunku, sługa Sienieńskiego, Łochciński, strzelił do niego z pistoletu. Strzał nie był jednak śmiertelny. Ciężko ranny Rusiecki upadł na podłogę i zaczął błagać o litość. Sienieński bynajmniej się tym nie wzruszył. Wprost przeciwnie – w swym okrucieństwie sam nabił pistolet i podał go Łochcińskiemu, każąc mu dobić Rusieckiego. Sługa spełnił wolę pana i strzałem w głowę położył nieszczęśnika trupem.**

**Jednym z największych wybryków Sienieńskiego była pod koniec lat**

dwudziestych XVII wieku wojna z Adamem Kalinowskim, także znanym warchołem i swawolnikiem. Zarówno Sienieński, jak i Kalinowski żonaci byli z córkami Mikołaja Strusia. Kalinowski wprawdzie nie miał zgody rodziców panny młodej na ślub, poradził sobie jednak po kozacku, bowiem w roku 1625 napadł na czele zwerbowanych semenów na zamek Mikołaja Strusia w Haliczu i porwał Krystynę razem z wielkim skarbem; jednak zamierzał zdobyć przynajmniej część majątku należnego swej żonie po śmierci rodziców.

Gdy umarł Mikołaj Struś, obydwaj zięciowie czekali tylko na śmierć wdowy po nim, aby zagarnąć majątek starego pułkownika. Sienieński często przyjeżdżał do Strusowa, a gdy stara kasztelanowa była już bliska śmierci, poczynił sobie tam zgoła śmiało, uważając się już za prawowitego gospodarza tej włości. Gdy w roku 1629 zamierzał zabrać ze stajni w Strusowie dobrego konia, sprzeciwił się temu stary sługa kasztelanowej – Wawrzyniec Zaleski. Sienieński wpadł wówczas we wściekłość, wezwał swoich hajduków, kazał pochwyć Zaleskiego, wywlec go w pole i dać mu 200 różeg. Potem, jeszcze nieuspokojony, nakazał przywlec starca do przygotowanego wcześniej kamienia i tam własnoręcznie odrąbał mu szablą lewą dłoń.

Sienieński był dobrym znajomym i komilitonem synów Stanisława Diabła Stadnickiego – Władysława, Zygmunta i Stanisława, zwanych z kolei Diablętami Łańcuckimi (w odróżnieniu od wnuka – także Stanisława – określanego mianem Diabełka), pomagał w rodowych porachunkach Łahodowskich, słynął jako jeden z największych okrutników i zwyrodnialców na Rusi Czerwonej.

Intercyza – tak określano akt ugody pomiędzy szlachcicami w dawnej Rzeczypospolitej – na przykład tej zawartej pomiędzy Stanisławem Stadnickim a Konstantym Korniaktem, w której ten ostatni darowywał Diabłu Łańcuckiemu wszystkie długi.

Zjeżdżam tutaj z jednym czeladnikiem moim, któremu płacę nie ze starostw, tenut ani żup solnych, ale z mego chudego mieszka ziemiańskiego... – to oczywiście nieco zmienione wyjątki z przemówienia, jakie wygłosił Stadnicki na kole rokoszowym w 1606 roku.

Mundacja – wywód szlachectwa na sejmiku.

Ja pobereźników nie chowam i złodziejskich wydzierków nie żywię... – to z kolei fragmenty korespondencji pomiędzy Stadnickim a Hieronimem Jazłowieckim, wojewodą podolskim. Wywiązała się ona w związku z faktem, iż Stadnicki w wielu swoich mowach rokoszowych obrażał króla Zygmunta III Wazę, nazywając go sodomczykiem i oskarżając o łamanie wolności szlacheckiej. *Powiadaj kto! – gardłował Stadnicki na zjeździe w Lublinie – co dobrego uczynił [król – przyp. JK] przez te osimnaście lat? Godnego posteritati? Co nawet królewskiego? Naprzód we piłkę grać, druga alchimią robić, trzecia piece wymyślać, czwarta w Saraju mieszkać i tam syna ćwiczyć, pięta w sodomskim grzechu żyć, przyobiecawszy publice na sejmie nie pojmwować siostry żony swojej, po sejmie uczynił to!*

Korespondencja owa zaczęła się od drobnych, uczczypliwych listów, a skończyła na obelgach i kalumniach, pospolitych, karczemnych połajankach, w których obaj

**adwersarze wyzywali się od matek. *Niecnotliwy człowiecze, łańcucki krzywoprzysięzco – pisał na ten przykład wojewoda do Diabła – i zdrajco Pana swego, targnąłeś się na mnie i na sławę moją pisaniem jakiemsi, które udajesz, żeś do mnie posłał! [...] Tylko równego tobie widziałem Nalewajka, któremu co się stało, dali Bóg i tobie! Nie nowinać przeciwko Panu swemu pomazańcowi Bożemu wszetecznie mówić, posłuszeństwo wypowiadać, krzywoprzysięzcą być, ludzi cnotliwych, zacnych [...] na sławie szczypać i szczebrać, jako jadowity pies, paskwilusy niecnotliwe wydawać, co czyniłeś nie sub praetextu libertatis, ale tylko abyś mógł jako złodziej po jarmarku cokolwiek utąpić!***

**A z kolei Stadnicki odpowiadał: *Wierzę, że rano, ale po gorzałce (bo skoro się oczy otworzą, nie omieszka ta do gęby) pisan ten list. Nie furiem stroił, alem oświadczał staropolski cnotliwy ślachecki animusz i według praca publice nie w Krakowie, opiwszy się [...] szkalować pana i mówić tego, co ślinka do gęby przyniesie, a po trzyźwu tego przeciw nie zwykłem. [...] Nie popisuję się, opiwszy się, z rozumem i męstwem, bo się tego strzegę [...] żebym bestyi z siebie nie czynił dla kufla. Żem nie wojewoda, ta przyczyna, żem cnotliwy.***

**byki, lichtany, kozy i płty... – we wcześniejszych przypisach wspominaliśmy już o komięgach i dubasach, teraz wyjaśnić należy, że poza nimi używano także o wiele mniejszych stateczków, jak wspomniane rodzaje łodzi. Nieczęsto wożono na nich zboże, a znacznie częściej piwo, krupy, kapustę, masło, buraki i inne drobne towary. Byki zaś z kolei bywały często zwykłymi promami na polskich rzekach.**

**Hungariae natum et Poloniae educatum... – łac. urodzone na Węgrzech, a uczone w Polsce.**

**Frochtarze, szyprowie i rotmani... – flis w dawnej Polsce miał oczywiście swoją organizację. Zwykle statki płynące po Wiśle i innych rzekach należały do frochtarzy – przedsiębiorców zajmujących się spławem. Na każdym statku przebywał szyper będący pełnomocnikiem właściciela przewożonego towaru i pisarzem kupieckim. Załogę stanowili z kolei: rotman – pilot-przewodnik statków po rzece, sternik, rufnik – czyli starszy wiosłarz, oraz kilkunastu flisaków, a także kilku luzaków – ludzi wynajmowanych do wiosła w razie potrzeby.**

**Pojazdy – tak dawniej nazywano wiosła.**

**Był na tej galerze Achmet reis... – opisy pobytu na galerze tureckiej zaczerpnąłem z dzieła autentycznego galernika, Vaclava Vratislava z Mitrovic, Czecha, który jako paż na dworze cesarskiego w Konstantynopolu dostał się do niewoli wraz z całym poselstwem i został przykuty do wiosła na galerach. Swoje wspomnienia z lat 1591-1595 wydał w pamiętniku znanym jako: *Przygody Vaclava Vratislava z Mitrovic, jakich on w głównym mieście tureckim Konstantynopolu zaznał, jako pojmany doświadczył, a po szczęśliwym do kraju rodzinnego powrocie własnoręcznie w roku 1599 spisał.***

**Rozdział VII**

**Ukaż mi się, o Pani, ukaż twarz swoją... – to oczywiście nikt inny, jak tylko Jan Kochanowski, fraszka *Do Magdaleny*.**

**Hołuczaków – wieś położona w odległości około 7 kilometrów na północny wschód**

od Sanoka, która istnieje do dzisiaj, choć jej największą atrakcją jest obecnie dawna cerkiew pod wezwaniem Świętej Paraskewy, zbudowana w XIX wieku przez miejscowego cieślę Konstantego Mielnika. Dałbym głowę, że obecni mieszkańcy nie wiedzą nawet, że w pierwszej połowie XVII wieku była to *spelunca latronum* (jaskinia łotrowska), gdzie w karczmie prowadzonej przez Ramuła spotykali się bryganci, rozbójnicy i watażkowie. Gospodarz stał zresztą na czele swawolnej kompanii szlacheckiej złożonej ze skorych do bitwy i rabunku wywołańców, która terroryzowała okolicę. W roku 1634 jego ludzie napadli w karczmie pod Jarosławiem na bogatego kupca z Krotoszyna – Żyda Jelenia, i zrabowali mu 70 tysięcy złotych gotówką. Gdy Jeleń złożył skargę na napastników, podstarości sanocki Jan Pieniążek zajął wieś, schwytał Ramuła i uwięził go w Sanoku.

Hołuczków był wsią, nad którą krążyło złowrogie fatum. Gdy w połowie XVII wieku przeszedł w ręce nowych dziedziców – Jarockich, doszło tu do krwawych porachunków pomiędzy właścicielami a rodziną Dybowskich. Najpierw Dybowscy urządzili zajazd na Hołuczków, potem napadli na drodze do Przemyśla na sługę Jarockich, niejakiego Kowalskiego, i utopili go w Sanie. Jeszcze później zabili ich stronnika i bliskiego krewnego – Grzegorza Kosmowskiego. Gdy zaś Adam Jarocki chciał zawieźć trupa do Sanoka, aby zaprezentować ciało przed sądem, napadli go, poranili i zmusili do ucieczki. W pościgu za nim Dybowscy wpadli do dworu w Hołuczku, znieważyli przebywające tu kobiety i poniszczyli meble.

Po tych wydarzeniach przyszło do krwawego konfliktu. Po stronie Jarockich stanęli Chrzastowscy, Błotniccy, Brzostowscy, Chrzaszczowie, Kurbutowie, Dębiccy, Siecińscy, Męcińscy i Konarscy, a po stronie Dybowskich: Giebułtowski, Ujejscy, Ormoszowscy, Stadniccy i Krasiccy. 11 listopada 1655 roku Dybowscy zorganizowali wielki zajazd na dwór w Hołuczku. Po tej rozprawie wojna między rodami srożyła się jeszcze przez kilka lat. W 1656 roku Jaroccy dokonali odwetu; jeden z nich – Felicjan – napadł w Lesku Felicjana Dybowskiego i kazał rozsiekać go prawie na sztuki. Ostatecznie cała rzecz skończyła się ugodą – bowiem głowa rodu, Wojciech Dybowski, skazany przez sądy na infamię, pojednał się w końcu z wdowami po przeciwnikach i zapłacił sowite odszkodowanie za zabitych.

Z cichym szmerem ostrze wyskoczyło z pochwy, zabłysło w zimowym słońcu, smukłe, łagodnie zakrzywione, dość szerokie, lecz zaopatrzone w bruzdę i trzy strudziny – z czego jedną w tylcu... – Jacek Dydyński używa oczywiście czarnej szabli bojowej, zwanej znacznie później husarską. Jest to broń opisywana przez Wojciecha Zabłockiego w *Cięciach prawdziwą szablą* (Warszawa 1989) jako szabla polska I a, podobna do szabli przechowywanej w Muzeum Wojska Polskiego, nr katalogowy 627/I lub szabli z Magyar Nemzeti Muzeum w Budapeszcie – nr katalogowy 55-3422.

Dla tych zaś, którzy nie wiedzą, co znaczą odpowiednie określenia, takie jak młotek, zastawa czy jelec, przypominamy, że:

Szabla zaczyna się od *rękojeści*, to jest części broni, za którą trzyma ją walczący. *Rękojeść* zakończona jest *głowicą z kapturkiem* (metalowa blaszka na końcu *głowicy*), poniżej *rękojeści* mamy zaś zwykle *jelce*, to jest poprzeczny kawałek

metalowi chroniący palce, zaopatrzone w *wąsy* – metalowe trzpienie, z których dwa schodzą na dół, poniżej *jelca*, a dwa idą w górę i nachodzą lekko na *rękojeść*. Zwykle *jelce* zaopatrzone są w *kabląk* – wygięty kawałek metalu, który dochodzi aż do *kapturka głowicy* (niekiedy się z nim łączy), chroniąc palce i grzbiet dłoni walczącego. Nie zawsze *kabląk* występuje w szabli – czasem jest zastąpiony łańcuszkiem albo w ogóle go nie ma.

Poniżej *jelca* jest *głownia*, czyli ostrze dzielące się na *zastawę* – tępą część przeznaczoną do odbijania ciosów, *miąszynę* – miejsce położone na samym środku ostrza, gdzie zaczyna się naostrzona stal, *szytch* – czyli końcową część klingi. Często zaopatrzona jest ona w *pióro* – wyodrębniony fragment ostrza rozpoczynający się od *młotka* – wyraźnie widocznego występu na tylnej części ostrza, który potem przechodzi w *szytch*.

ostrze węgierki zaopatrzone w pióro i sterzący młotek, zwieńczone rękojeścią o pochylonej ku przodowi głowicy, z łańcuszkiem... – z kolei Sienieński używa szabli zwanej węgierską, zaopatrzonej w charakterystycznie wygięty trzonek i łańcuszek odchodzący od jelca aż do kapturka. Szabla taka przypomina broń z Muzeum Narodowego w Krakowie nr katalogowy V.89 A, w typie określanym przez Wojciecha Zabłockiego jako III b i pochodzi oczywiście z początków XVII wieku.

Gadano, że w najgłębszych czeluściach zamkowych katakumb przykuci do ścian chłopcy i niewolnicy kuli fałszywą monetę... – o kucie fałszywej monety oskarżali Stadnickiego wszyscy – łącznie z Opalińskim i Jazłowieckim. A jednak kiedy starosta leżajski zdobył Łańcut, nie znalazł tam żadnych dowodów na tę zbrodnię. Nic takiego nie znajdujemy w jego protestacjach i księgach grodzkich, a przecież gdyby natknął się na prasy i narzędzia do fałszerstwa, nie omieszkałby o nich wspomnieć, aby pognębić przeciwnika.

Jeśli Zosieńka przyjdzie woły paść, pójdę i ja... – ten wierszyk nie jest autorstwa Stadnickiego. Napisał go i wysłał wojewodzinie wileńskiej Zofii Chodkiewiczowej inny hultaj i awanturnik, Samuel Łaszcz, który miał na sobie 236 banicji i 37 infamii, co nawet jak na burzliwy wiek XVII stanowiło swego rodzaju rekord. Łaszcz stał się godnym następcą Diabła Łańcuckiego, a jego Makarów na Ukrainie zasłynął jako zbójce gniazdo. W roku 1646 pospolite ruszenie szlachty kijowskiej wypędziło Łaszczę z jego posiadłości, odebrało mu także wszystkie zdobyte gwałtem i zajazdami włości. Ostatnie lata swego życia spędził w Krakowie, zrujnowany i oblegany przez wierzycieli. Leżąc na łożu śmierci i odpierając coraz natarczywsze żądania zwrotu długów, powiedział ponoć, śmiejąc się wesoło, że chętnie by tak zrobił, gdyby darowano mu majątek, ale jest tak ubogi, że nie posiada absolutnie nic. Niemniej nakazał, aby ostatni z jego wiernych sług – stary Cygan – zagrał rozwścieczonym wierzycielom na cytrze, aby choć trochę osłodzić ich stratę. Zaraz potem z uśmiechem na twarzy wyzionął ducha. Ale o Łaszczu można pisać albo długo, albo wcale. Byłby on zresztą doskonałym bohaterem kolejnej książki.

Respite finem – łac. patrz końca.

a poza tym falsum, że był w niewoli tureckiej... – Stadnicki naprawdę był pod Agrą i walczył z Turkami, o czym wspomina na przykład Bartosz Paprocki w *Herbach*

**Rycerstwa Polskiego. Wspomina i o tym sam Stadnicki w liście do Jazłowieckiego, pisząc: *Na Agru com robił, jeszcze się sylabizować uczył, kiedym ja tę robotę sprawował.***

**Ministerialis Regni Generalis opatrzny... – łac. Generalny Sługa Królestwa – tytuł przysługujący woźnemu, urzędnikowi zajmującemu się dostarczaniem pozwów i odpowiedzi, dokonującym skrutynium (śledztwa), wizji lokalnych i obwieszczającym dekrety. Tytuł *Regni generalis* zarezerwowany był dla woźnych trybunalskich i wojewódzkich, zwykli zadowalali się przydomkiem *ministerialis*. Do roku 1766 woźny nie musiał być szlachcicem – jeśli stanowisko to pełnił mieszczanin lub chłop, korzystał ze wszystkich przywilejów stanu szlacheckiego. To powodowało, że pomimo iż losy woźnych czasem bywały nie do pozazdroszczenia, zwykle znajdowali się chętni na ten urząd wśród nieszlachciców.**

**który jako *saucius, laesus, vulneratus* stawał się w urzędzie starościńskim... – łac. *saucius* – ranny, *laesus* – skaleczony, *vulneratus* – zraniony.**

**obiaty, dokumenty, mocje, deprekacje, apelacje, dykcje, a ponadto gravameny i kondemnatki, na które zaraz znajdowały się formuły *male abtentum*... – obiata określano w XVII wieku wpisanie do ksiąg grodzkich lub ziemskich dokumentów, protestacji, pozwu lub innych materiałów o znaczeniu sądowym. Jako mocję rozumiano naganę sędziego, którą można było zgłosić wówczas, gdy sędzia popełnił błędy w procedurze lub rozstrzygał nieuczciwie. Mocję wobec sędziego grodzkiego rozpatrywał sąd sejmowy, a wobec podkomorzego czy sędziego ziemskiego – Trybunał Koronny. Deprekacją zwano z kolei uroczyste przeprosiny. Apelacja zaś oznaczała to samo co dzisiaj – wniesienie sprawy przed sąd wyższej instancji, a więc do Trybunału Koronnego lub Litewskiego, a tylko w niektórych przypadkach wyrok zaskarżyć można było do sądu sejmowego i króla. Gravamenem nazywano pozwanie sądu przed sąd wyższej instancji – na przykład gdy sędzia nie chciał przyjąć apelacji lub mocji.**

**Kondemnata lub kondemnatką nazywano zaś wyrok wydany zaocznie – wówczas, gdy pozwany nie stawiał się na rozprawę. Jeśli dotyczyła ona zbrodni kryminalnej, często wyrokiem zaocznym była banicja – nakaz opuszczenia Rzeczypospolitej, jednak bez utraty praw. Znacznie gorszą karą była infamia – oznaczała ona wyjęcie szlachcica spod prawa. Każdy mógł zabić go bezkarnie, a jeśli dostarczył głowę infamisa do starosty grodowego, mógł być pewien nagrody. Dodatkowo infamis zabijający infamisa mógł liczyć na zdjęcie z niego infamii. Formuła *male abtentum* oznaczała zaskarżenie wyroku zaocznego, jeśli wydano go w sposób niewłaściwy. Gdy sąd badający tę skargę znajdował błędy w poprzednim postępowaniu, kasował zaoczny wyrok i nakazywał wznowienie procesu.**

## **Rozdział VIII**

**S'amor non č, che dunque č quel ch'io sento?... – to, co Jacek Dydyński uważa za plugawą mowę sodomitów, to w rzeczywistości *Sonet do Laury* Francesco Petrarki. W tłumaczeniu Jalu Kurka na polską mowę brzmi on tak:**

**Jeśli to nie miłość – cóż ja czuję?**

**A jeśli miłość – co to jest takiego?**



**Jeśli rzecz dobra – skąd gorycz, co truje?**

**Gdy zła – skąd słodycz cierpienia każdego?**

**Pierzydła – to po prostu poprzeczne deski osadzone na młyńskim kole, w które uderza woda i w ten sposób porusza całą konstrukcję.**

**Koło pałacze – ogromne koło z palcami, czyli drewnianymi kołkami, które obracając się, napędzają cewię – pomniejsze koło zębate umieszczone na tej samej osi, na której osadzone są kamienie młyńskie.**

**Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum – Sienieński odmawia po łacinie modlitwę Zdrowaś Mario adresowaną do Najświętszej Marii Panny, którą papież Pius V uczynił oficjalną modlitwą kościoła w 1566 roku. Po łacinie brzmi ona tak:**

**Ave Maria, grátia plena, Dóminus tecum.**

**Benedicta tu in mulieribus,**

**et benedictus fructus ventris tui, Iesus.**

**Sancta Maria, Mater Dei, ora pro nobis peccatóribus,**

**nunc et in hora mortis nostrae. Amen.**

**A oto jej polski przekład:**

**Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą,**

**błogosławionaś Ty między niewiastami,**

**i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus.**

**Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi,**

**teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.**

**Hollische polnische Quarte, jak mawiali rajtarzy królewscy... – piekielna polska czwarta to tak zwane cięcie w brzuch tyłcem (jak uważa Wojciech Zabłocki, polski mistrz szabli) według pierwszego polskiego traktatu szermierczego Michała Starzewskiego, który powstał około 1830 roku, a wydany został drukiem w 1932 roku (patrz: *Ze wspomnień o Michale Starzewskim*, Starzewski J., Kraków 1932).**

**Niemieckie określenie tyczy się wprawdzie XIX wieku, ale cięcie to na pewno było używane znacznie wcześniej.**

**Hulucz – obecnie Ulucz, wieś nad Sanem, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Sanokiem a Dynowem, w której najcenniejszym zabytkiem jest cerkiew z początku XVI wieku, zbudowana na wzgórzu Dębnik.**

**wpadł do mrocznego wnętrza niczym niegdyś proboszcz Orzechowski – mowa o Stanisławie Orzechowskim, wybitnym polskim myślicielu i publicyście doby Renesansu. Był on proboszczem w Żurawicy i Pobiedniku, kanonikiem przemyskim. W 1547 roku zbuntował się przeciwko celibatowi i ożenił z Magdaleną Chełmską. Spowodowało to prawdziwą wojnę z biskupem przemyskim Janem Dziaduskim, który obłożył go klątwą i ekskomuniką, został także skazany na banicję i konfiskatę dóbr. Wedle dawnych przekazów, kiedy w katedrze przemyskiej Dziaduski przygotowywał ceremonię ekskomunikowania Orzechowskiego, proboszcz z Żurawicy wpadł do świątyni na czele okolicznej szlachty rozwścieczonej na pazernych klechów i wygłosił płomienną mowę oskarżycielską. Należy także dodać, że anatema była w zasadzie jedyną rzeczą, którą mógł uczynić przeciwko Orzechowskiemu biskup przemyski – ówczesna Rzeczpospolita była bowiem krajem bez stosów i inkwizycji. W dodatku**

sejm w 1552 roku unieważnił wszystkie wyroki, którymi obciążono Orzechowskiego.

A co najciekawsze, Orzechowski pod koniec życia powrócił do wiary katolickiej, rezygnując z głoszenia zasad reformacji, ale bynajmniej nie z żony.

## Rozdział IX

zaintonowały bojową pieśń falkonety, potem odśpiewały Te Deum łańcuckie śmigownice, na końcu zaś zagrały staroście leżajskiemu na pohybel czechliki, zduski, sokoliki i słowiki – do dziś nie wiadomo, jaki wagomiar miały wspomniane działa. Wszystko dlatego, iż dopiero w czasach reform wojskowych Władysława IV Wazy ujednolicono w Rzeczypospolitej kalibry armat. Najprawdopodobniej chodzi tutaj o lekkie działa, które znajdowały się na wyposażeniu dworów i zamczków szlacheckich. Inwentarze arsenałów i zbrojowni z początku XVII wieku przechowały wiele podobnych nazw, niestety, nie jesteśmy w stanie dociec, jakiego wagomiaru były to armaty. Na przykład w roku 1600 Zamoyski wybierający się na wyprawę przeciwko Michałowi Walecznemu do Multan i Mołdawii miał przy sobie, jak podają źródła: *czechlika, dwa słowiki, dwie zduskie i innych [dział] większych kilka, wszystkiego około dziesiątka*. W roku 1601, jak podaje Konstanty Górski w *Historii Artylerii Polskiej* (Warszawa 1902), oprawiono w cekhausie krakowskim działa burzące: *dwa samsony, pannę jedną, jaszczurkę jedną i słowika jednego*. O ile wiadomo, że panna i słowiki strzelały kulami o ciężarze 30 funtów, bazyliszek był kartauną na kule 42-funtowe, a jaszczurka 20-funtową kolubryną, o tyle wagomiaru czechlików, zdusek i sokolików można się jedynie domyślać. Zapewne sokoliki były lekkimi falkonami, strzelającymi kulami o ciężarze od jednego do kilku funtów.

hakownice i kobyły – hakownicą nazywano w XVII wieku ciężką broń palną o kalibrze dochodzącym nawet do 22 milimetrów. Z uwagi na wagę i ciężar broni można było oddać z niej strzał tylko po zaczepieniu specjalnym hakiem o występ muru lub burtę wozu – aby uniknąć dużego odrzutu. Kobyłami z kolei nazywano ciężkie muszkiety niderlandzkie, które wchodziły wówczas w użycie. Nie wymagały one haków, ale forkietów, czyli polskich widelców – podpórek, na których opierało się lufę w czasie oddawania wystrzału. Kula z kobyły była w stanie przebić nawet zbroję husarską.

pierwsi semeni i konni sabaci oraz siedzący im na karkach Dwerniccy i Opalińczycy wpadli w ulicę Rzeźniczą – opisy rzezi i złupienia Łańcuta oraz zamku zgadzają się całkowicie z tym, co przekazują nam dawne akta sądowe. Stadnicki napadł na Opalińskiego, został pokonany, a gdy jego uciekające watahy wpadły do miasta, na ich karkach wjechali tam Opalińczycy. Starostależajski twierdzi, że złupienie Łańcuta *niewinnie, widzi Bóg, bo bez jego woli i rozkazania i wiadomości się stało, a on Pana Boga tylko prosił, aby mu się dał nieprzyjaciołom odjąć*. Ma się rozumieć, iż co innego twierdzi w swojej protestacji Stadnicki, który oskarża wroga, iż specjalnie oblegał zamek, złupił miasto i zrujnował jego majątności.

Stadnicki za swego życia z łupów wojennych, z rzeczy porabowanych Korniautom, Ligęzom, Opalińskiemu i swemu teściowi zgromadził prawdziwą fortunę... – w późniejszych protestacjach Stadnicki twierdził na przykład, że Opaliński zrabował mu skrzynię białą z 10 000 złotych polskich, beczkę z pieniędzmi,

w której było 60 000 czerwonych złotych, 24 000 złotych polskich, 27 000 talarów, cztery skrzynie srebra stołowego warte 50 000 złotych, a także takie przedmioty, jak na przykład strzemiona jaspisami sadzone, broń i zbroje i inne kosztowności warte 500 000 złotych! W cztery lata później wdowa po Stadnickim sprecyzowała, że na przykład w jednej z tych skrzyń ze srebrem było: 24 półmiski złociste, 24 talerze złote, 4 złociste misy, 24 złociste łyżki. Nawet dzieląc wartość tych przedmiotów na pół, uzyskujemy niesamowitą fortunę, która przepadła – dodajmy – wcale nie w kieszeni Opalińskiego, ale w przepastnych sakwach i na wozach jego zbrojnej hałasty, okolicznych chłopów, kozaków i sabatów tudzież drobnej szlachty przemyskiej i sanockiej. Już w kilka miesięcy po zdobyciu Łańcuta starosta leżajski musiał znowu się zapożyczać, zastawiać wioski, aby zapłacić swoim ludziom, co pokazuje, że nie uszczknął nic z bogactwa Diabła. Potwierdza to tylko przypuszczenie, że po bitwie w drodze do Przemyśla Opaliński nie miał żadnej kontroli nad swymi ludźmi, którzy sami rzucili się w pościg, po czym złupili Łańcut i zamek Stadnickiego.

Wyrwali się z ciemnicy jak potępieńcy z piekielnych czeluści... – wedle protestacji Stadnickiego Opaliński celowo zbombardował i zrujnował zamek z armat, aby otworzyć sobie drogę do wnętrza. Prawdopodobnie jednak dzieła zniszczenia dopełnili łańcuccy więźniowie, którzy wyrwali się z lochów w liczbie ponad stu, a potem podłożyli ogień pod Piekło. Warownia Diabła spłonęła doszczętnie – nigdy później nie odbudowano zamku, a jedynie wykopaliska archeologiczne mogłyby dziś być może powiedzieć nam, jak wyglądało legowisko Diabła Łańcuckiego.

#### **Od Autora**

Na sam koniec książki autor winien jest Czytelnikowi szczegółowe objaśnienia odnośnie fabuły, postaci, bohaterów, miejsc i wydarzeń. Historia, w której splatają się losy Dwernickich z Dwernik, Jacka Dydyńskiego, Hrynia Kardasza oraz Stanisława Stadnickiego zwanego Diabłem z Łańcuta, jest całkowitą fikcją literacką. Nigdzie i nigdy nie było w dawnych Bieszczadach wsi Dwerniki położonej nieopodal Łopienki i Polanek, niedaleko miejsca, gdzie Wetlinka wpada do Solinki. Tym niemniej jednak dzieje waśni Dwernickich z Diabłem Łańcuckim osnute są na autentycznych wydarzeniach, które rozgrywały się w pierwszej połowie XVII wieku na Rusi Czerwonej. Próba obrócenia w chłopów ubogiego zaścianka drobnej szlachty miała miejsce w roku 1639 w Witoszyńcach, wsi królewskiej zaludnianej przez ród chodackowej szlachty Witoszyńskich i należącej do starostwa mościskiego. Wówczas to Anna Mohilanka Czarnkowska postanowiła zmusić ubogich szlachetków do odrabiania pańszczyzny. Sprawcą oskarżenia o kaduk był jej administrator, niejaki Kamocki, który postanowił siłą przywołać krnąbrny zaścianek do posłuszeństwa. W najcięższej chwili jednak zjawił się w Witoszyńcach mnich-czerniec, unita, mianowany tam popem Harasym Krykina Witoszyński, członek tego samego rodu, niewidziany dawno na zaścianku, który zresztą jako jedyny potrafił czytać i pisać. Harasym obiecał swoim krewnym, iż uratuje ich od schłopienia, zniknął na pewien czas ze wsi, po czym powrócił z dyplomem szlachectwa wydanym jeszcze w 1448 przez króla Kazimierza Jagiellończyka, a także ze świeżą confirmacją króla

**Władysława IV Wazy wystawioną na ostatnim sejmie koronnym.**

**Ma się rozumieć, iż ani Mohilanka, ani jej administrator nie uwierzyli w autentyczność tego dokumentu, postanowili zatem zajechać Witoszyńce i siłą zmusić mieszkańców zaścianka do uznania się za chłopów. Cóż jednak z tego, gdy Harasym uzbroił chłopów we wsi, ufortyfikował miejscową cerkiewkę i skłonił wszystkich Witoszyńskich do złożenia przysięgi, iż będą walczyć w obronie swych praw do ostatniego tchu.**

**Kamocki zmobilizował służebnych kozaków na starostwie, zaatakował wieś, po krwawych utarczkach obiegł i zdobył szturmem cerkiew, pojmał w niej czerńca Harasyma, którego w kajdanach odstawił do Mościsk i osadził w lochu. Co dalej stało się z zaściankiem, nie wiadomo, sprawa wszakże nie była przegrana, bowiem nieszczęsnego popa wziął w obronę władcy przemyski Krupecki i domagał się jego uwolnienia. Władysław Łoziński, który historię tę na podstawie akt sądowych opisuje w *Prawem i Lewem*, sądzi, że prawdopodobnie Witoszyńscy przegrali z kretesem, bowiem w spisach szlachty zatwierdzonej przez rząd austriacki po pierwszym rozbiore Polski nie spotyka się Witoszyńskich. Kłopot jednak w tym, że spisy szlachty przygotowane przez zaborców nadają się wyłącznie na papier toaletowy w cesarsko-królewskich wychodkach arcypierdoły Franciszka Józefa, albowiem Austriacy, Prusacy i Rosjanie świadomie wykluczali z nich drobną szlachtę nieposiadającą dokumentów potwierdzających ich stan. A wszystko z tego prostego powodu, że biedna szlachta nastawiona była buntowniczo i zawsze stawała się zarzewiem powstań narodowych. Stąd brak Witoszyńskich w spisach z XIX wieku nie oznacza wcale, że dali się oni schłopić w XVII wieku, tym bardziej iż nazwisko to figuruje jednak w późniejszych indeksach i herbarzach, w tym także w sławnym herbarzu Górzyńskiego i Kochanowskiego (Herby szlachty polskiej, Warszawa 1990).**

**Kolejny motyw tej powieści – powrót po latach jeńca, który zbiegi z tatarskiego jasyru, a także dzieje człowieka, który miał udać się po poręczeniu współwięźniów za okupem, po czym zdradził ich i nie powrócił na Krym, także oparty jest na autentycznych faktach. Taka na przykład historia wydarzyła się ze szlachcicem Marcinem Kuczkowskim, który przebywał w niewoli wspólnie z jakimś Sroczyńskim i Andrzejem Pawłowskim. Sroczyński i Kuczkowski zaręczyli za Pawłowskiego, iż pojedzie i wróci z okupem za nich wszystkich, tymczasem zaś szlachcic wyjechał do Polski i tyle go widziano! Podobna sprawa dotyczyła jeńców spod Cecory – Aleksandra Bałabana, Jana Żółkiewskiego, syna hetmana wielkiego koronnego, i kilku innych Polaków. Ponieważ wszyscy dostali się do niewoli, wysłali Bałabana po pieniądze do kraju, przykazując mu, aby przyjechał do nich po siedmiu tygodniach. Tymczasem wysłannik nie pojawił się i po ośmiu, ani nawet po roku, a tylko przysłał listy, w których pisał, iż matka Żółkiewskiego – Regina, nie chciała pożyczyć mu pieniędzy na wykup jeńców z niewoli. Potem zaś, gdy po różnych perturbacjach okup został w końcu wypłacony Bałabanowi, ów zwlekał z przyjazdem na Krym jak tylko mógł. Dopiero gdy Żółkiewski posłał do Rzeczypospolitej ostatniego swego wiernego sługę – Wenera – ostatecznie załatwiono całą sprawę. Podobne historie opisuje także Vaclav Vratislav z Mitrovic w swoich wspomnieniach z niewoli w Turcji.**

**Problemy z okupem nie były jedynymi, o których wspominają dawne księgi grodzkie i ziemskie. Historia Hrynia Kardasza oparta została na autentycznych dziejach samozwańców, którzy wracali z niewoli tureckiej i udawali zmarłych lub zaginionych szlachciców. Tak w roku 1644, w siedem lat po śmierci wojewodzica ruskiego Stanisława Daniłowicza, który zamordowany został w niewoli, w Krakowie pojawił się człowiek, który podawał się za tego właśnie szlachcica. A kiedy dowiedział się o tym przebywający w mieście sługa Daniłowiczów, pozwał go przed sądy. Wówczas samozwaniec porzucił rolę wojewodzica i utrzymywał, iż jest Teofilem Pacem. Na jego nieszczęście znalazł się w Krakowie dworzanin królewski Krzysztof Pac, który wykazał fałsz jego zeznań, aż w końcu oszust z płaczem przyznał się do winy. A kiedy okazało się, że tak naprawdę jest szlachcicem – niejakim Bolkowskim, skazano go na pół roku więzy dolnej *in fundo* na zamku lwowskim.**

***Jacek L. Komuda***

This file was created with BookDesigner program  
bookdesigner@the-ebook.org  
2010-10-28

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*